







Library  
St. Hyacinth College and Seminary  
Granby, Massachusetts





Library  
St. Hyacinth College and Seminary  
Granby, Massachusetts





*VIII*

Bóstwo Chrystusa podstawową  
prawdą chrześcijaństwa.

*Rev. P. Jopolski,*  
*O. M. C.*

Library  
St. Hyacinth College and Seminary  
Granby, Massachusetts





Ks. Dr. Józef Kaczmarczyk.

---

® Bóstwo Chrystusa  
podstawową prawdą  
chrześcijaństwa.



*Rev. P. Topolecki,*  
*O. M. C.*

---

Poznań.

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.  
1911.

Library  
St. Hyacinth College and Seminary  
Granby, Massachusetts

---

---

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

---

---





## I.

„Za kogo mają ludzie Syna  
człowieczego?“ — Pytał się raz  
Jezus uczniów swoich. — „A oni  
rzekli: Jedni za Jana Chrzciciela,  
a drudzy za Eliasza, a inni za  
Jeremiasza lub jednego z proro-  
ków. Rzekł im Jezus: A wy kim  
mnie być powiadacie? Odpowiadając  
Szymon Piotr rzekł: Tyś jest  
Chrystus, Syn Boga żywego“.

Mat. 16, 13 n.

Oto dwie odpowiedzi — jedna w imieniu  
„ludzi“ — druga odpowiedź uczniów, wyznaw-  
ców Jezusowych. Można by podzielić współ-  
czesnych Jezusowi mieszkańców Palestyny na  
te dwie kategorie ludzi: na tych, co uznawali  
w nim Chrystusa, t. j. Syna Bożego w znacze-  
niu prawdziwym, istotnem — i na tych, co Go  
za takiego nie uznawali — co Go tylko mieli  
za człowieka, w najlepszym razie za proroka...  
Ale pytanie to nie ustało... Osobistość Jezusa  
jest tak wielką i niedoścignioną, tak epokową  
w dziejach świata i tak się wiąże z niemi jak  
i z losami poszczególnych jednostek, tak obcho-  
dzi umysły największego geniusza jak i naj-  
mniejszego prostaczka, jest tak olbrzymią i to  
zarówno w oczach władcy takiego jak Tybe-

ryusz — jak w oczach najmniejszego z „maluczkich” — jest tak uniwersalną — choć w swoim rodzaju jedyną — że pytanie to zadane przez Jezusa uczniom nie umilknie, dopóki umysł człowieka nie wyzbędzie się myślenia, a serce uczucia . . . Jedną odpowiedź dał Piotr, którą Jezus przyjął i pochwalił; ona nam Chrystusa i jego dzieło tłumaczy i jedynie umysł uspakaja: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego” . . . Natomiast „ludzie“, t. j. ci, którzy z poza grona uczniów wszystko widzieli w Chrystusie — tylko nie Boga, dawali ich więcej . . . bo Chrystus nie przystawał do żadnej. Już tu widać pewien niepokój, pewne wahanie w pytaniu: Któż to jest ten Jezus, ten Nazarejczyk i Galilejczyk, który się nie uczył, a taką słynie mądrością, iż żaden człowiek nie mówił jak on — któż to jest ten Jezus — z którego moc wychodzi „boża“, który takie czyni „znaki“, jakich nikt dotąd nie widział — któż to jest wreszcie ten Jezus w cierniowej koronie, którego dzieła ani szubienica krzyża, ani śmierć nie niszczy, ale który jeszcze więcej ku sobie pociągnął, gdy był podwyższon od ziemi? <sup>1)</sup> „A Jezus wczora i dziś ten i na wieki“<sup>2)</sup>). Jezus zawsze ten sam, ta sama poprzez wszystkie dotąd wieki o Nim wiara, i ta sama niewiara, ta sama w Nim moc Boża i przepotężna, wystarczająca na wszystkie

<sup>1)</sup> Jan 12, 32.

<sup>2)</sup> Żyd. 13, 8.

czasy, ta sama „szerokość i głębokość“<sup>1)</sup>), wystarczająca do uspokojenia umysłu i serca wszystkich, nie tylko tych, co żyli wczoraj, ale co i dziś żyją — i żyć będą do końca wieków. Któż On jest, któż to jest ten Jezus niezniszczalny, którego sprawa nie ginie, którego nie kończy się panowanie, ale ciągle rozszerza — o którym nie ustaje mowa? Jak niezniszczalny jest Jezus, tak i to pytanie niezniszczalne: kto On jest. Nie ucichło ono — ale spotężniało i z dnia na dzień coraz to bardziej zaprzętać będzie ono umysły największych myślicieli . . . Same dwutysięczne dzieje Jego Ewangelii dopraszają się o to zapytanie, a dziś jeszcze bardziej, niż za życia Jezusa na ziemi.

I dla tego, kiedy Piotr daje kilka odpowiedzi „ludzkich“ na to zapytanie: „Za kogo uważają ludzie Syna człowieczego?“, to dziś tych odpowiedzi coraz to więcej, bo tem mniej znajduje umysł i biedne serce ludzkie zadowolenia, im bardziej się wzdryga przed odpowiedzią, daną przez Piotra Chrystusowi: „Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego“. Kwestya chrystologiczna nie tylko nie ustała, ale się wzmaga i ożywia z dnia na dzień z gorączkowym niepokojem — owszem powiada Chamberlain: „Nigdy jeszcze od początków chrześcijaństwa ludzkość nie zajmowała się osobą Chrystusa tak, jak w ostatnich siedmdziesięciu latach; dzieła Darwina

<sup>1)</sup> Efez. 4, 18.



choćby najbardziej czytane — nie były ani w dziesiątej części tak kupowane, jak o Chrystusie Straussa czy Renana<sup>1)</sup>.

Zainteresowanie się osobą Chrystusa nie tylko nie zmalało — ale wzrosło. Zdawało się, że kiedy Strauss zaprzeczył historycznej wartości osoby Chrystusa — to ludzkość przejdzie do porządku dziennego nad Chrystusem — tymczasem jeszcze za życia doczekał się gryzącej krytyki swojej książki, a pojawiły się tysiące nowych uwag o Chrystusie i istocie Jego Ewangelii.

Mnożą się rozprawy o Chrystusie, wyliczanie ich i recenzja potworzyły już całe tomy — do dni naszych ukazało się ich już tyle, że więcej nie da się więcej przedłożyć, czegoby już przedtem nie wypowiedziano, zwłaszcza na niekorzyść Bóstwa Jezusowego<sup>2)</sup>. To się Harnackowi podoba, bo twierdzi, że w religijnych zapatrywaniach powinniśmy być elastyczniejsi i bogatsi w pomysły! Ale prawdą jest widoczną, iż im więcej odpowiedzi, — tem większy niepokój umysłów — a Chrystus i Jego dzieło staje się dla rozmaitych modernistycznych „krytyków“ coraz bardziej tajemniczym, zagadkowym a pytanie: „Kim jest Chrystus?“ dla nich nie rozwiązane. Bo jak niepowstrzymane są dążności umysłu ludz-

---

<sup>1)</sup> Houston Stewart Chamberlain, *Die Grundlagen des 19. Jahrh.* I, 3. München 1901, 1904.

<sup>2)</sup> Por. Albert Schweitzer, *Von Reimarus zu Wrede*, Tübingen 1906.

kiego, tak niepowstrzymane będzie to pytanie i ciągle będzie dręczyć tych, co zaprzeczają Bóstwa Chrystusowi; pozostanie dla duszy, która już z „natury jest chrześcijańską” zawsze po ludzku zagadkową, dręczącą tajemnicą, dopóki się ona nie odda Jezusowi jako swemu Panu i Bogu.

Osoba Jezusa tak ściśle wiąże się z istotą chrześcijaństwa, że pytanie „kim jest Chrystus?” nasuwa i to drugie: „Czem jest chrześcijaństwo?”

Bóstwo Jezusa Chrystusa było zawsze od początku w chrześcijaństwie fundamentalną prawdą religii. Chrystus jest twórcą religii chrześcijańskiej — jest jej duszą; ale jaki Chrystus? Czy Chrystus w rodzaju Buddy, Zarathustry — czy może w rodzaju Lutra lub nowszego jakiego filozofa-teologa?

Nie! Chrystus jest i założycielem, początkiem — jest i końcem i duszą religii chrześcijańskiej. A jest takim jako Bóg.

Chrześcijanin nie tylko uważa Jezusa za sprawcę religii chrześcijańskiej, ale także wierzy w eń jako w Boga. Chrystus-Bóg, to prawda chrześcijańska, prawda fundamentalna i istotna. Usunąć tę prawdę z chrześcijaństwa, znaczy tyle, co zniszczyć chrześcijaństwo takie, jakim ono jest, t. j. sprowadzić je do rzędu jakichś filozoficzno-etycznych reguł — usunąć grunt z pod wszelkiej chrześcijańskiej cnoty.

Osoba tedy Jezusa, t. j. Jezus-Bóg, a nie tylko sama nauka, jaką podał o Bogu, swoim Ojcu, należy i wchodzi w istotę Ewangelii — wiara w tę Boską Osobę Jezusa Chrystusa jest zasadniczą prawdą chrześcijaństwa. I dla tego sam Hartmann powiada, że „istota chrześcijaństwa tkwi albo w chrystologii albo nigdzie. Kto wyrzuca chrystologię, ten z nią usuwa i chrześcijaństwo“.

Aby zatem być chrześcijaninem, nie wystarczy uznawać i czynić to, czego Chrystus nauczał, ale trzeba wierzyć w samego Jezusa Chrystusa jako Boga.

Naprzeciw temu chrześcijaństwu wraz z Chrystusem jako Bogiem obwieszczają modernisci, t. j. wszyscy ci, którzy swój światopogląd wrogi temu, co nadprzyrodzone, wzięli za punkt wyjścia do osądzenia najważniejszych zagadnień życia - głoszą nowe jakieś chrześcijaństwo bez wiary w Bóstwo Chrystusa.

Osoba Jezusa Chrystusa jest dla tych liberałów tak mało znaczącą, kiedy idzie o istotę chrześcijaństwa, że według protestanta Schmiedla, „religia chrześcijańska żadnejby szkody nie poniosła, gdyby wcale nawet nie żył Chrystus“.

Wszyscy nowocześni liberałowie są zgodni, że Jezus nie był Bogiem i że osoba Jego nie wchodzi w istotę chrześcijaństwa. Zaznaczają się tu tylko dwa główne kierunki, co do metody różne. Kierunek idealistyczny zwalcza historyczną postać Zbawiciela. Mniejsza

o to, powiadają, czy Chrystus czy Paweł był założycielem chrześcijaństwa<sup>1)</sup>.

Chrystus historyczny, o rysach cudownych i pewnych, drażni ich, nie chcą przejąć wobec Niego żadnych zobowiązań. Chrześcijaństwo, to własny dorobek duszy ludzkiej wśród ciągłego rozwoju pojęć religijnych — Chrystus, to raczej symbol i ucieleśnienie idei, która tkwi w chrześcijaństwie.

Inni, którzy tak daleko nie zabrnęli, Chrystusowi żyć pozwalają, ale obdarłszy go skalpelem swej wyższej krytyki „historycznej” z godności Syna Bożego, uważają go co najwyżej za człowieka genialnego, który nawet według Harnacka może się nazywać „Synem Bożym”, ale w znaczeniu przerośniętym, t. j. o ile „odezwał” On, jak nikt może z ludzi przed Nim, w Bogu najlepszego Ojca. Jemu to danem było istotę religii ująć w wyraz o najprostszej i najcudowniejszej żywości jak nikomu innemu przedtem, ni potem, ale istotnej różnicy niema pomiędzy Jezusem, a każdym innym człowiekiem; dla tego też tak samo niema różnicy istotnej między religią chrześcijańską, a pogańską, między Buddyzmem a Ewangelią i t. d.

Ten to Chrystus, odarty z Bóstwa i nadprzyrodzoności wszelkiej, jest Chrystusem „historycznym”, a taki, jak Go nam Ewangelie przedstawiają, jak wierzy weń Kościół — to

<sup>1)</sup> Por. Ed. v. Hartmanns *Evolutionismus — Selbstzersetzung des Christentums* 56.



Chrystus „dogmatyczny”. Oddzielić tego Chrystusa historycznego od dogmatycznego, wydzielić Go z tej mistycznej osłony, z tej mgły tajemniczej legend i podań wynikłych z podrażnienia nerwów, (!) wydzielić Go jakby z łupiny zdrowe ziarno — to jest zadaniem nowoczesnej krytyki liberalnej!

Ale czemuż jest wtedy chrześcijaństwo? Czem ono jest bez Chrystusa jako Boga — żaden nawet z liberałów nie daje na to pewnej i jasnej odpowiedzi, bo jak nie rozwiązana zagadką pozostaje Chrystus bez Bóstwa, tak samo i chrześcijaństwo bez Bóstwa Chrystusa będzie niewyjaśnioną tajemnicą i co do swego początku, i co do swej istoty.

Chrześcijaństwo dla modernistów jest czemś nieokreślonem, jest jakimś bezbarwnem uczuciem a raczej odczuciem jakiegoś etycznego porządku, nie opartego wszakże na żadnym dogmacie, na żadnej wiekuistej prawdzie. Oprócz nazwy niema cno nie wspólnego z Chrystusem i z jego Ewangelią.

Chrześcijaństwo modernistyczne według opinii własnych jego głosicieli jest *n i e ś w i a d o m e m s i e b i e c h r z ę ś c i j a ń s t w e m*. Jeżeli musimy się czuć chrześcijanami — powiadają — to jednak jest zakrytem przed nami, czem jesteśmy jako chrześcijanie i czem jest samo chrześcijaństwo. Nie polega ono na przedstawieniu i sformułowaniu prawd bezwzględnych, i dla nauki miarodajnych, ale na szeregu etycznych faktów, działających skutecznie

w rozwoju dziejów, przedewszystkiem zaś na miłości ludzi, przez wzgląd na dobrotliwego Ojca, albo raczej na wglądnięciu do własnego serca i otaczającego nas świata . . . Niech sobie każdy obmyśla to, co mu się wyda potrzebnem . . . Co jest chrześcijaństwo? Czem jest Chrystus? — to ludzkość dopiero pozna wtedy, jeżeli przebiegnie nieskończony proces naukowego rozwoju, t. j. ponieważ tenże jest nieskończonym, — nigdy<sup>1)</sup>).

Nie przystoi to, mówią, naszym czasom żywić stare kościelne pojęcia, jakkolwiekby one mogły być prawdziwemi. (!) Albowiem dzisiejsze czasy odwracają się od tego wszystkiego, co nadludzkie i niezwykłe . . . Chrześcijaństwo, to nie myśl, ale czyn i życie<sup>2)</sup>. Dla tego niechże pozostanie chrześcijaństwo . . . odczuwaną jakąś mocą, ale naukowo siebie nieświadomą . . . (Jul. Müller).

Naszem zadaniem będzie również wydobyć z mgły Chrystusa — z tej mgły, w jaką Go pełna uprzedzeń modernistyczna krytyka spowiała; pokazać Go światu, nie jakim być powinien według zasad liberalizmu, ale jakim On był rzeczywiście i za jakiego Go pierwsza gmina chrześcijańska od początku uznawała.

Zaglądnąć nam wypadnie także do źródeł historycznych, jakimi są ewangelie (zwłaszcza

<sup>1)</sup> Por. O. Ritschl, Das historische Christentum, p. Zeitschr. f. Theologie und Kirche 1893, 402.

<sup>2)</sup> Jakby czyn mógłby być bezmyślnym!

synoptyczne), dzieje apostołskie i listy św. Pawła, cieszące się powagą nawet u Harnacka; bo szukać nam także obrazu historycznego Jezusa, obrazu rzeczywistego, nie spaczonych własnymi uprzedzeniami podmiotowemi, nie zabarwionego wedle własnego widzimisię, nie wmawiać w drugich, jak zmanierowany malarz artysta, który po swojemu „widzi” — ale patrzeć nam na obraz Jezusa w świetle pełnem, w blasku całej i czystej historycznej i obiektywnej prawdy, z dobrą wolą i odwagą — okiem chętnego, nieuprzedzonego badacza, co szuka prawdy nie okiem przymrużonem — ale co ma odwagę w każdej chwili ujrzeć całą prawdę, gotów na wszelkie konsekwencje, jakichby ta prawda się domagała — choćby mu nawet przyszło wyznać z Piotrem: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego!”

## II.

### Wyznanie się Jezusa Bogiem.

Pytanie, czy Bóstwo Jezusa należy do istoty chrześcijaństwa, łączy się ściśle z tem pytaniem, czy Jezus sam wyznawał się Bogiem i czy żądał wiary w swoje Bóstwo.

Według modernistów Chrystus żadnej wiary dogmatycznej nie ogłaszał, ani się za Boga w znaczeniu prawdziwym i istotnem nie podawał; mimo to przyznają mu pewną świadomość mesyańską — choć czują, że w tej

świadomości mesyańskiej Chrystusa kryje się coś więcej niż „Syn Boży” w znaczeniu przenośnem (t. j. odczucia stosunku do Boga jako ojca). I dla tego jest ta świadomość mesyańska Jezusa dla modernistów czemś bardzo niewygodnem; stąd mówią o niej — byle tylko nie wchodzić w jej treść głębszą — że to tajemnica, żadną psychologią nie wytłomaczona<sup>1)</sup>. I nie dziwnego, bo jeżeli się z jednej strony zaprzecza Jezusowi Bóstwa, a z drugiej podziwia jego wielkość i genialność, jego wzrok daleki i proroczy zmysł, jego etykę ze wszystkich najdoskonalszą — to pozostanie dręczącą zagadką, dla czego Chrystus nie tylko zaniedbał dać jaśniejszego i bliższego określenia swego charakteru i misyi i to tam, gdzie to był powinien uczynić, t. j. wobec swoich uczniów, jak wobec swoich wrogów.

Przeciwnie tak mówił o sobie, to trzeba z jego słów wnosić, że się sam za Boga miał i to Bóstwo swoje za przedmiot do wierzenia podawał.

Chrystus dobrze wiedział, za kogo Go uczniowie i przyjaciele uważali, dobrze był świadom czei, jaką Go uczniowie i rzesze otaczały, a cześć ta równała się czei i uwielbieniu Boga<sup>2)</sup>; dobrze wiedział, że Go uczniowie i rzesze uważały więcej niż za człowieka

<sup>1)</sup> Por. Harnack, *das Wesen des Christentums* str. 81.

<sup>2)</sup> Jan 9, 38: „A on (ślepy) rzekł: Wierzę, Panie, i upadłszy, uczynił mu pokłon“.

słyszał, jak o Nim mówiono: „Nigdy tak człowiek nie mówił jak ten“<sup>1)</sup> i t. p., a nawet jak najwyraźniejsze otrzymał ze strony uczniów wyznanie: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“<sup>2)</sup>. Tymczasem Jezus ten, który „uciekł sam jeden na górę“<sup>3)</sup>, kiedy Go rzesze chciały obwołać królem, ale królem ziemskim, kiedy słyszy, jak Go wszyscy przyjaciele zowią Synem Bożym — wcale się nie oburza i nie boleje nad takim przenoszeniem na siebie świętego a niepodzielnego imienia Boga, nie wymawia się wcale od tej czci i uwielbienia, jaka się już nie królowi, ale Bogu należy; nie tylko nie poprawia uczniów w ich wyznaniu, ale owszem cieszy się z tej ich wiary, chwali ją i nagradza<sup>4)</sup>. Co więcej najwyraźniej żąda od uczniów i od uzdrawianych przez siebie chorych tej wiary w siebie jako Mesjasza i Syna Bożego jako warunku do zbawienia; nad niewiarą zaś w tym względzie ubolewa i wypowiada groźne „biada“ nad temi miastami, co jak Chorozain, Betsaida i Kafarnaum mimo tylu cudów, jakie uczynił tam Jezus, nie uznały w Nim Mesjasza<sup>5)</sup>.

Podobnie grozi Jezus doktorom i Faryzeuszom, że z Niego, t. j. z jego zewnętrznego ludz-

<sup>1)</sup> Jan 7, 45.

<sup>2)</sup> Mat. 16, 16.

<sup>3)</sup> Jan 6, 15.

<sup>4)</sup> Mat. 16, 17.

<sup>5)</sup> Mat. 10, 32 n.; Mk. 8, 38; Łk. 9, 26; 12, 8; Mat. 21, 20 n.; Łuk. 10, 12 n.



kiego wyglądu biorą sobie zgorszenie i nie chcą w Nim nie tylko sami uznać Mesyasza i Syna Bożego, ale nadto stają się przyczyną niewiary ludu, którego są „ślepyimi wodzami“<sup>1)</sup>).

Cóż na to powie „krytyka“? Albo co powie na zachowanie się Jezusa wobec najwyższej Rady? Pod przysięgą i urzędownie zapytany przez arcykapłana, czyli jest Chrystusem t. j. Mesyaszem i Synem Bożym<sup>2)</sup>, odpowiada Jezus potwierdzająco i niedwuznacznie. Za to winien się stać w oczach synedrium bluźnierstwa i kary śmierci. „My zakon mamy, a wedle zakonu ma umrzeć, bo się czynił Synem Bo-

<sup>1)</sup> Mat. 12, 39 n.; 23, 13; Łuk. 11, 20.

Jezus nie był dzieckiem swego czasu. Każdy propagator swoich idei zwykł nawiązywać do ogólnego sposobu myślenia współczesnych i choć stanie na czele narodu, zazwyczaj idzie za narodem i jego aspiracjami. Jezus tymczasem nie podzielał dążeń swego narodu. I to jest właśnie charakterystycznym w Jego mesyańskiej świadomości — że ogłasza On się Mesyaszem wbrew dążnościom żydowskim, nie takim, jak np. był Gaulonitczyk lub Bar-Kochba i inni — ani w myśl zmateryalizowanych mesyańskich oczekiwań Żydów swego czasu, którzy Mesyasza włączali w ciasne ramy nacjonalizmu i partykularyzmu, ale w myśl prorocत्व mesyańskich starozakonnych tak, jak Meszasza pojmowali Mojżesz, Elias, Izajasz, Jeremiasz, Daniel (7, 13). I dlatego, kiedy się dał poznać uczniom swoim, jako Meszasz prawdziwy, co przez cierpienie ma wybawić ludzkość z niewoli grzechu — zakazywał im przedwczesnie tę tajemnicę mesyańską głosić przed ludem, co fałszywie pojmował zadanie Meszasza i Jego chwałę — dlatego również ukrył się przed tym ludem, kiedy Go chciał obwołać królem, dlatego po objawieniu swej chwały w cudownym Przemienieniu — zaraz przestrzegał uczniów: „Kładźcież wy do serc waszych te powieści: albowiem stanie się, że syn człowieczy będzie wydan w ręce grzeszników“ (Łuk. 9, 44).

<sup>2)</sup> Mat. 26, 63 n.

żym<sup>1)</sup>). Umrzeć zatem miał Jezus nie dla tego, że się uważał za Syna Bożego w sposób przenośny tak, jak to każdy prawy żyd mógł o sobie mówić bez obrazy Jehowy — o czem dobrze synedrium wiedziało, ale dla tego, że się wyznał Synem Bożym prawdziwym, rzeczywistym i istotnym. Nie miała tu żadnej wątpliwości Rada, za jakiego Syna Bożego poczytywał się Jezus, ani Jezus nie wątpił, w jakim znaczeniu był przez Radę pytany. Usłyszawszy wyrok najwyższej Rady, przyjmuje go, choć niesłuszny, ale w niczem nie poprawia przekonania najwyższej Rady o swem własnem wyznaniu.

A teraz zapytajmy się: Czy był Jezus Synem Bożym i czy się za takiego uważał? Jeżeli nim nie był, to za rozsiewanie tak bluźnierczych przekonań o sobie słuszny otrzymał wyrok według Zakonu. A nawet według przekonania Harnacka był jeszcze „bardzo łagodnie osądzony za wyznanie o takiej bezprzykładnej zuchwałości i niesumienności“. Jeżeli się nie uważał i nie miał zamiaru podawać się za Mesyasza i Syna Bożego, to powinien był poprawić uczniów swoich w błędnem ich mniemaniu — jak to miał zwyczaj kiedyindziej czy-

<sup>1)</sup> Jan 19, 7. Prawo S. T. (Lew. 24, 16; Dt. 6, 15; 13, 1—10) nakazywało karę śmierci (ukamienowanie) za bluźnierstwo Imieniu Bożemu „aby cały naród nie zginął“. Ta sama kara była wymierzana przeciwko fałszywym prorokom (Dt. 18, 20 n.). Dlatego woła rzesza na Piłata: „zglądź go“ (Jan 19, 15), a arcykapłan Kaifasz radę daje synedrium: „Wypada, aby jeden umarł za naród, aby cały naród nie zginął“ (Łuk. 23, 18).

nić — i wobec Rady należyście się wytłomaczyć. Tymczasem Jezus nie tylko tego nie uczynił, ale jeszcze tak uczniów jak i Radę w tem przekonaniu o sobie jako o Synu Bożym utwierdził, a przez to stał się winnym wobec uczniów swych i tych, co weń wierzyli aż po dziś dzień, najgorszego występkę, bo bałwochwaltwa, najfatalniejszego błędu i nieporozumienia o skutkach doniosłych, któremu uległa ludzkość. Jeśli zaś Jezus nie mógł tego błędu usunąć, to w takim razie posadziłby go można o wielką niezdarność i brak najprostszej przezorności, a tem samem nie należy mu się ani takie uwielbienie, jakiem Go otacza Harnack, jeżeli znów mógł, a nie chciał tego uczynić, to rozmyślnie ludzkość w błąd wprowadził; jest najgorszego rodzaju oszustem, albo w najlepszym razie szaleńcem. Wobec takiego wniosku skrajnego, ileż to znowu nasuwa się niepokojących i niewytłomaczonych sprzeczności pomiędzy tem wyznaniem Jezusa, jakoby był „Synem Bożym”, a charakterem jego tak cudownym i jasnym, jakiego ludzkość nigdy nie zaznała — charakterem pełnym nieopisanego proku o wielkiej prawdzie, prostocie i pokorze<sup>1)</sup>).

Te same konsekwencye trzebaby wyprowadzić i z innych miejsc Ewangelii głównie św. Jana. I tak n. p. kiedy się równa co do

<sup>1)</sup> Por. Charles H. Robinson, *Studies in the character of Christ*. London 1907.

istoty Ojcu swemu: „K t o m i ę w i d z i, w i d z i i O j c a” (14, 9); „ja i Ojciec jedno jesteśmy” (10, 30). Ta wspólność istoty Ojca i Syna sprawia, że On jest źródłem wiecznego żywota: „Ja im wieczny żywot daję” (10, 28) i łaski, drogą do nieba. Jeżeli B. Weiss nie bierze słów św. Jana (10, 30) o tej jedności z Ojcem w znaczeniu metafizycznym, ale tylko o jakimś moralnem zjednoczeniu się z Bogiem, którego organem działania ma być Jezus, to najlepszą odpowiedzią są sami Żydzi współcześni, którzy chyba lepiej zrozumieli tę emuncyację Jezusa, biorąc ją we właściwym, dosłownem znaczeniu: „Porwali tedy kamienie Żydowie, aby go ukamienowali. Odpowiedział im Jezus... dla którego uczynku kamienujecie mnie? Odpowiedzieli mu Żydowie: dla dobrego uczynku nie kamienujemy cię, ale dla bluźnierstwa; a iż ty, będąc człowiekiem, czynisz się sam Bogiem” (Jan 10, 31—33). Wspólne też z Ojcem posiada działanie i wspólną chwałę: „Ojciec mój aż dotąd działa i ja działam” (5, 17) w tem samem jest stosunku do Ducha św. Pocieszyciela co Ojciec: „Pocieszyciel Duch św., którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, cokolwiekbym wam powiedział (Jan 14, 26); „a gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego ja wam pošlę od Ojca, Ducha prawdy, który od Ojca pochodzi: on o mnie świadectwo dawać będzie” (15, 26); „On mnie uwielbi, albowiem z mego

w e ż m i e, a wam opowie" (16, 14). „A teraz wsław mię ty Ojcie sam u siebie chwałą, którą miał u Ciebie pierwiej, niżli świat był" (17, 5).

Przy zakończeniu święta Kuczek przedstawia się Jezus swoim przeciwnikom jako Zbawiciel świata i Bóg wraz ze swoim królestwem pokoju i sprawiedliwości, które ogłosił Izajasz jako wschodzące w Galilei światło dla ludów w krainie cienia śmierci. Ogłasza się światłością i źródłem żywota i łaski: „Jam jest zmarłychwstanie i żywot, kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyw będzie" (Jan 11, 25); „jam jest światłość świata, kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności, ale będzie miał światłość żywota" (9, 5); „jako Ojciec wzbudza umarłych i ożywia, tak i Syn, które chce, ożywia" (5, 21); „bezemnie nie uczynić nie możecie" (15, 5). Jest drogą do Ojca: „Jam jest droga, prawda i żywot" (14, 6). Wszelki inny wysłannik Boży (prorok) nie może tego o sobie powiedzieć, bo on tylko prowadzi na dobrą drogę do Boga, uczy prawdy, wskazuje na środki do zbawienia, atoli sam nie jest ani drogą, ani prawdą, ani żywotem. Jezusowi zaś to wszystko przysługuje, bo sobie to przypisuje, a więc niem jest.

U synoptyków (t. j. u pierwszych trzech ewangelistów) wyznaje się Jezus wyższym nad wszelkich mędrców i proroków i ludzkich geniuszów, bo On sam z siebie (nie tylko dla siły swego słowa) jest jedyną normą i zasadą



żywota niebieskiego i wszelkiej łaski; dla tego w naśladowaniu siebie domaga się bezwzględnej ofiary i posłuszeństwa takiego, jakiego żądać może tylko Bóg: „A mężowie Niwito-  
wie powstaną na sądzie z tym narodem i potępią go: iż pokutę czynili na kazanie Jonaszowe. A oto tu więcej, niżli Jonasz. Królowa z Południa powstanie na sądzie z tym narodem i potępi go: iż przyjechała z krajów ziemi słuchać mądrości Salomonowej, a oto tu więcej, niż Salomon“ (Mat. 12, 41, 42). „Kto miłuje ojca lub matkę więcej niżli mnie, nie jest mnie godzien... a kto by utracił duszę swą dla mnie, najdzie ją“. „I wszelki, któryby opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę dla imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży“. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę“<sup>1)</sup>).

„Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa twego“, rzekł łotr na krzyżu do Jezusa. A Jezus mu rzekł: Zaprawdę „mówię tobie, dziś zemną będziesz w raju“<sup>2)</sup>).

W jakikolwiek sposób łotr, na krzyżu umierający, pojmował to królestwo Chrystusowe, w każdym razie Jezus, (który miał tu na myśli królestwo wiecznej szczęśliwości) przyjmuje tę prośbę łotra; wyraźnie w odpowiedzi prawo

---

<sup>1)</sup> Mat. 11, 28.

<sup>2)</sup> Łuk. 23, 42.

swe do królestwa niebieskiego zaznacza. Jezus jest również świadom nieskończonej wartości swej śmierci na okup za świat położonej: „Albowiem Syn człowieczy<sup>1)</sup> nie przyszedł, aby mu służono, ale aby służył i dał duszę swą okupem za wielu“ (Mar. 10, 45; Mat. 20, 28).

Słowom swoim przyznaje Jezus bezwzględna i wieczna prawdziwość: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą“<sup>2)</sup>). Wyznaje się też najwyższym, boskim prawodawcą i panem szabatu: „Panem jest Syn Człowieczy i szabatu“ (Mat. 12, 1-8).

Posiada i przyznaje sobie najwyższą moc i władzę odpuszczania grzechów: „Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi“ (Mat. 28, 18). „Abyście wiedzieli, że ma moc Syn człowieczy na ziemi odpuszczania grzechów“... (Mat. 9, 6). -- Błżnierstwo przeciwko Jezusowi (Mat. 12, 24 n.) równa się błżnierstwu przeciwko Bogu samemu i Duchowi świętemu (Mat. 12, 31, Mar. 3, 28-30). Absolutną tę władzę nad wszystkim stworzeniem okaże Jezus jako najwyższy sędzia całego

<sup>1)</sup> „Syn człowieczy“ w ustach Zbawiciela oznacza tyle co Mesjasz i Syn Boży (por. Fritz Tillmann: *Der Menschensohn*. Freiburg 1907). Chrystus nazywa się chętnie Synem człowieczym, albowiem w nazwie tej odnosił się do proroctwa Danielowego (7, 13 nastp.), gdzie zaznaczona jest oprócz chwały Mesjasza ludzka strona Jego, mianowicie Jego posłuszeństwo w oddaniu się na ofiarę (*obtulerunt eum*: Vulg.); ta właśnie prawda dla Żydów współczesnych, oczekujących Mesjasza w chwale i mocy, była kamieniem obrazy w Chrystusie.

<sup>2)</sup> Mat. 24, 35.

świata, któremu Aniołowie służyć będą, aby wykonywać wyroki<sup>1)</sup>. „A na on czas się ukaże znak Syna człowieczego na niebie i tedy będą narzekać wszystkie pokolenia ziemi: i ujrzą Syna człowieczego przychodzącego w obłokach niebieskich z mocą wielką i majestatem. I pośle anioły sweje z trąbą i głosem wielkim, i zgromadzą wybranych jego ze czterech wiatrów od krajów niebios aż do krajów ich” (Mat. 24, 30. 31).

Modernizm żąda od nas *sacrificium intellectus* (ofiary z rozumu), bo każe nam Ewangelię Chrystusową przyjąć jako zdawkową monetę bez zagłębiania się nad wartością osobistości, od której ona pochodzi, t. j. bez dociekania godności w osobie Jezusa Chrystusa<sup>2)</sup>.

Ale nikt z myślących ludzi (chrześcijan) na to się nie zgodzi. Bo przecież moc obowiązująca Ewangelii Jezusa będzie zawsze zależeć od tego zasadniczego pytania, czy Jezus był tylko człowiekiem, czy więcej niż człowiekiem, więcej niż stworzeniem?

Jeżeli Jezus był tylko człowiekiem, któż nam poręczy, że jego Ewangelia jest *absolutną prawdą*? Któż nam wtedy każe

---

<sup>1)</sup> Sąd jest wpływem absolutnego panowania Boga i w ścisłym słowa znaczeniu przysługuje tylko Bogu, w znaczeniu tylko dalszem przysługuje ludziom (Mat. 19, 28, Łuk. 22, 30). Sąd ten w ścisłym znaczeniu wykonywać ma Syn człowieczy i przezeń okaże On swą moc boską.

<sup>2)</sup> Por. Harnack l. c. str. 92 n.

zajmować się nią? Jeżeli Jezus był tylko człowiekiem, to wszystko, co On uczył, do czego nas wzywa, posiada tylko względną wartość. Jako człowiek, nie mógł nawet Jezus narzucać ludzkości swoich przykazań i domagać się posłuszeństwa. Jeżeli Jezus był tylko człowiekiem, a jego Ewangelia to tylko jeden z najwyższych stopni rozwoju ludzkości pod względem religijnym — to chyba Harnack i jego zwolennicy nie mogą przeczyć, że ludzkość wydać zdoła ostatecznie jeszcze większego od Chrystusa geniusza? Albo jest i s t o t n a różnica między Chrystusem a innymi ludźmi, albo jej nie ma. Jeśli jest i skoro jest, to Chrystus jest Bogiem, jeśli jej nie ma (podług Harnacka) to albo nie trzeba nie mówić o postępie nieskończonym ludzkości, albo nie uważać jeszcze chrześcijaństwa za najdoskonalszą formę religii.

Może też nie zawadzi przypomnieć sobie, co mówi o tym nowoczesnym obrazie Chrystusa berlińskich liberałów wcale nie klerikalny K a l t h o f f<sup>1)</sup>: „Wobec tego liberalnego Chrystusa, który w istocie niczem nie jest jak żydem, racjonalistą — niewątpliwie ortodoksja ma słuszość, jeśli zamiast dowolnego wyciągu z Ewangelii, zatrzymuje całego ewangelicznego Chrystusa.

Z dzisiejszych teologów protestanckich jeden robi z Chrystusa nowoczesnego Spino-

---

<sup>1)</sup> Das Christusproblem, Grundlinien zu einer Sozialtheologie, Leipzig 1903, 20—28.

zistę, inny socyalistę, oficjalna wreszcie teologia (protestantyzmu) „ex cathedra” głosi Chrystusa jako religijnego reprezentanta wszystkich tych dążeń, które dziś w wielko-pruskiej teologii państwowej zajęły decydujące stanowisko.

I oto skonstruowano tu takiego Jezusa, któryby nie był dla panujących politycznych prądów niewygodny, a któryby przecież umiał najsprzeczniesze zadowolić dążności czasu i z sobą pogodzić... Jezus ten jest tak elastycznym, że zdoła on pod jedną chorągwią skupić konserwatystów i liberalów: Nie jest on, według Harnacka, żadnym cudotwórcą, a przecież cuda działał, nie jest żadnym Mesyaszem i Bogiem, a przecież nim jest! — Skoro liberalna teologia nie ma odwagi przyznać się do dogmatu — *ma heros* — Jezus w świadomości kościoła (protestanckiego) to miejsce zająć jak niegdyś Bóg-człowiek. To podstawienie modernistyczno-liberalnego obrazu człowieka pod całkiem inaczej uformowane pojęcie jest zasadniczym błędem liberalnej teologii... Nie ma ona odwagi powiedzieć, „że Jezus jako człowiek był marzycielem, który co najwyżej jeszcze może budzić zainteresowanie ze stanowiska patologii” — ani też uznawać tradycję blisko 19-wiekową historii Kościoła, że nadprzyrodzone pojmowanie idei mesyjskiej należy do istoty chrześcijaństwa — ale raczej woli ona w 20 wieku



światu nową narzucić wiarę (dogmat), „że ten mesyanizm pierwszych chrześcijańskich wyznawców wcale nie zajmował — lub tylko był czemś nieistotnem, a nawet, że dzisiejsi teolodzy o wiele lepiej zrozumieli Jezusa i istotę jego Ewangelii, aniżeli jego pierwsi uczniowie”.

Aby zaokrąglić te uwagi, zaczerpnięte z antykatolickiego obozu — powtarzamy za modernistą Ed. v. Hartmannem<sup>1)</sup>: „Istota chrześcijaństwa tkwi albo w chrystologii albo nigdzie. Kto z Ewangelii wyrzuca chrystologię, ten z nią razem niszczy istotę chrześcijaństwa... Chrystus jest węglem chrześcijaństwa — wszystko inne w chrześcijaństwie jest tylko konsekwencją Chrystusowego dzieła”.

### III.

#### **Zbawcze znaczenie śmierci Jezusa i jego Zmartwychwstania w pierwszej chrześcijańskiej gminie.**

Jest rzeczą zrozumiałą, że istotne to pytanie, czy osoba Jezusa wchodzi w istotę Ewangelii, zostaje w ścisłym związku z wiarą pierwszej gminy chrześcijańskiej w Bóstwo Jezusa, bo ona nam tłumaczy świadomość mesyjańską Jezusa, co takim brzemieniem ciąży liberalnej

<sup>1)</sup> Die Gegenwart, Berlin 1901, 7, 210 n.; por. Das Christentum des N. T., Sachsa im Harz 1905, str. 113.

krytyce; zarazem jest uzasadnieniem, wyrażonej już powyżej myśli, że bez wiary w Bóstwo Jezusa Chrystusa nie ma chrześcijaństwa. Ponieważ zaś ta wiara pierwszych wyznawców Jezusowych nierozzerwalnie wiąże się z wiarą w nieskończoną wartość męki Zbawiciela i z faktem Zmartwychwstania — należy się zastanowić, jakie od początku znaczenie miały te dwa ściśle związane z sobą fakta, t. j. śmierć zbawcza Jezusa Chrystusa i jego Zmartwychwstanie.

Sam Chrystus jest świadom zbawczego znaczenia męki swej na krzyżu: „albowiem i Syn człowieczy nie przyszedł, aby mu służyło, ale aby służył i dał duszę swą okupem za wielu”: kiedy zaś ustanawiał pamiątkę krwawego na krzyżu okupu w czasie ostatniej wieczerzy, powiedział: „To jest krew moja Nowego Testamentu, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów“ (Mat. 26, 28).

Wszakże modernizm rozumie te słowa inaczej: „Śmierć Jezusa była dla nas ofiarą — ale nie w znaczeniu zastępczego zadośćuczynienia przed Bogiem — tylko o tyle, o ile pełne poświęcenia czyny oraz cierpienie sprawiedliwego i czystego męża są zawsze zbawienne w dziejach ludzkości, — a pewną i udowodnioną jest rzeczą, że tylko oddanie życia za jakąś ideę rozstrzyga o postępie w historii... wszędzie też, gdzie cierpi sprawiedliwy, tam się dokonuje ekspiacya, pewnego rodzaju ofiara

oczyszczenia... Im delikatniejsze ktoś ma poczucie dobra i piękna, tem pewniej odczuwa wszędzie w historyi, gdzie coś wielkiego się stało - a przez oddanie się dobrowolne zastępczemu cierpieniu, do siebie odniesie. Czyż Luter (!) w klasztorze tylko dla siebie samego się zniagał, czyż nie dla nas wszystkich on walczył z religią, którą mu przekazano (t. j. katolicką) - i czy na wewnątrz krwawym nie oblewał się potem (!?)...<sup>1)</sup> Śmierć Jezusa według Harnacka położyła kres wszelkim krwawym ofiarom w historyi religii; odpowiadały one religijnym potrzebom, ale pociąg do nich znalazł w śmierci Jezusa ostateczne zaspokojenie...

Ale dla czego? — Oto znowu Harnack zatrzymuje się wstydliwie w połowie drogi. Jeśli bowiem Harnack te krwawe ofiary tłumaczy „religijną potrzebą duszy ludzkiej“, to ją można tylko pojmować jako potrzebe odkupienia i zadośćuczynienia; taka też myśl była w wszystkich ofiar krwawych nawet u pogan. A znowu jeżeli śmierć Jezusowa nie ma tego charakteru jako ofiary przebłagalnej, to nie widzimy racyi, dla czego by ze śmiercią Jezusa miał się zamykać i szereg ofiar krwawych. Racya jest tylko jedna możliwa, że śmierć Jezusa położyła kres wszelkim ofiarom krwawym tylko dla tego, że tak w świadomości Jezusa Chrystusa jak i pierwszej gminy chrześcijańskiej śmierć Jezusa była śmiercią więcej

<sup>1)</sup> Harnack: Das Wesen des Christentums, 99, 100 n.

niż sprawiedliwego, była okupem za grzechy o nieskończonej wartości, złożonym przez Tego, co był nie tylko człowiekiem, ale i Bogiem zarazem w jednej osobie.

Jest to wielkie pytanie, czy w rzeczywistości — jak chce Harnack — wszelkie dobro zawsze wyniknęło z cierpień sprawiedliwego i czy tylko oddanie życia rozstrzygało o wielkich momentach w historii. Nie-historyk nawet może napewno twierdzić, że niektóre wielkie i epokowe zdarzenia w historii także bez przelewu krwi, w pokoju się dokonały. Harnack sam zowie rewolucyę kościelną 16 w. „największym i najdonioślejszym, błogim w skutki ruchem w całej historii Europy” od 2 w. aż po dziś dzień, a mimo to przyznaje, że Luter nie oddał życia za reformacyę, bo tylko „na wewnątrz” krwawo się znoił (!) ... Ale pominąwszy i to, pozostawia przedstawienie śmierci Jezusa i jej znaczenia przez Harnacka wiele do życzenia. — Jeżeli mamy odczuć cierpienie szlachetnego męża jako za nas poniesione, to tylko pod tym warunkiem będzie to możliwe, że on za taką sprawę cierpiał, którąbyśmy w duszy także za naszą własną uznali; że poszedł na śmierć za taką ideę, która jest naszym własnym dorobkiem, a dla której on, jako jej najdzielniejszy przedstawiciel i szermierz, uległ przemocy nieuniknionej.

Ta wielka idea, którą Jezus według Harnacka przedstawiał, było poznanie Boga jako Ojca, rdzeniem jego Ewangelii była „pełna

ufości wiara, że się ma Boga łaskawym...“ Ależ nie dla tej idei ponieść miał Jezus śmierć krzyżową, podług ewangelicznego opowiadania, tylko dla tego, że się przed synedrium rzekomo bluźnierczo za Syna Bożego ogłosił; przed Piłatem zaś polityczne przemogły względy. Jeżeli posiadał Jezus rzeczywiście — jak Harnack zapewnia — „jasny i świeży wzrok na otaczające go małe i wielkie życie“, to przecież powinien był należycie pojąć myśl tych podnoszonych przeciwko sobie oskarżeń. Tymczasem odparł wprawdzie zarzuty politycznej natury, — ponieważ królestwo jego nie było z tego świata (Jan 18, 35) — wszakże ani słówkiem nie zaprotestował wobec zarzutu areykapłana i starszych żydowskiego narodu, „że się Synem Bożym czynił“.

Żaden fakt w historyi nie ma tak silnych podstaw, jak Zmartwychwstanie Chrystusa; o fakcie tym świadczy też jak najsilniejsze przekonanie pierwszej chrześcijańskiej gminy.

Ale mimo to, podług krytyki Chrystus rzeczywiście nie zmartwychwstał, tylko siła jego myśli, tylko jego ideał. — Dla uczniów pozostał on tylko duchowym ideałem o niepokalanej mocy i wiecznej trwałości, a zjawienia się jego po Zmartwychwstaniu były rzekomo czysto duchowe fantazje, w które mogli tak uczniowie, jak i pierwsza gmina chrześcijańska wierzyć lub nie wierzyć, były one jakby uzmysłowieniem

niezniszczalności ducha Chrystusowego i jego Ewangelii i t. d. Chrystus zmartwychwstał, znaczy podług Harnacka tyle co: idea Chrystusa (jego duch) nie uległa zniszczeniu, mimo grobu! Ostatecznie treścią tych wywodów jest wniosek, że wiara w Zmartwychwstanie Jezusa a zatem i chrześcijaństwo polega na historycznem złudzeniu, jakiemu uległ świat cały!

Ale cóż na to odpowiedzą krytycy, jeżeli im odczytamy takie miejsca z uznanych przez nich samych Ewangelii synoptycznych, jak n. p. z Ewangelii św. Łukasza (24, 27—43): „A począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków, wykladał im we wszystkich pismach co o nim było. I przybliżyli się ku miasteczku, do którego szli: a on okazywał jakoby dalej miał iść. I przymusili go, mówiąc: zostań z nami, boć się ma ku wieczoru, i dzień się już nachylił. I wszedł z nimi. I stało się, gdy siedział z nimi u stołu, wziął chleb, i błogosławił i łamał, i podawał im. I otworzyły się oczy ich, i poznali go: a on zniknął z oczu ich... A gdy to mówili, stanął Jezus w pośrodku ich i rzekł im: Pokój wam: jam jest, nie bójcie się. A strwożeni i przestraszeni będąc, mniemali, iż ducha widzieli. I rzekł im: Czemuście się zatrwożyli, a myśli wstępują do serc waszych. Oglądajcie ręce moje i nogi: żeciem ja tenże jest: dotykajcie się i przypatrujcie, bo duch nie ma ciała, ani kości, jakcie widzicie, że ja mam. A rzekłszy to, ukazał im ręce i nogi. A gdy oni jeszcze nie wierzyli i dziwowali się od radości, rzekł:



Macie tu co jeść? A oni mu dali sztukę ryby pieczonej i plastr miodu“.

Czy mógł jeszcze wyraźniej ewangelista zaświadczyć rzeczywistość Chrystusowego Zmartwychwstania?

Żeby idee i wielkie myśli, o których tyle mówi „krytyka“ przy Zmartwychwstaniu Pańskim, mogły dać się rękoma dotykać, albo żeby mogły jeść pieczoną rybę, czy plastr miodu — na to chyba sam Harnack i jego szkoła pisać się nie będą!

Ich teorye zbija dalej świadectwo niewiernego Tomasza: „A Tomasz jeden ze dwunastu, którego zowią Didymus, nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę w ręku jego przebicia gwoździ, a nie włożę palca mego na miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej w bok jego, nie uwierzę“ (Jan 20, 22). — Tak też rozumiano słowa innych uczniów: „widzieliśmy Pana“ — jako świadectwa o naocznem oglądaniu zmartwychwstałego Jezusa.

Św. Paweł o Zmartwychwstaniu Jezusowem i jego przyczynowym związku z naszym ciałem zmartwychwstaniem tak się wyraża: „A jeśliż o Chrystusie powiadają, iż zmartwychwstał, jakoż mówią niektórzy między wami, że zmartwychwstania nie masz? Lecz, jeśli zmartwychwstania nie masz, ani Chrystus nie powstał z martwych: A jeśliż Chrystus nie powstał, próżne tedy jest

przepowiadanie nasze, próżna jest i nasza wiara“ (1 Kor. 15, 12—14). Trudno już chyba o wyraźniejsze zaświadczenie rzeczywistego Zmartwychwstania Jezusa. Widzimy tedy, że najstarsze dokumenty literatury chrześcijańskiej wręcz sprzeciwiają się temu, co sobie wymarzyła „krytyka“ o Zmartwychwstaniu Pańskim.

Świadectwo zwłaszcza to, jakie oddaje św. Paweł Zmartwychwstaniu Jezusa w wspomnianym liście, jest prawdziwie opatrzniościowem, bo pierwszy list do Koryntyan uważa ogół krytyków za autentyczny i za jeden z najwcześniejszych listów św. Pawła; stąd musi zawierać najstarszą tradycję Kościoła o cudzie Zmartwychwstania, jako niezbitego i całą rzeszą najwiarogodniejszych świadków potwierdzonego faktu.

Wobec takiego świadectwa krytyka „wyższa“ w prawdziwem znalazła się zakłopotaniu i na różne rzuca się sposoby, aby przecież świadectwa tego powagę osłabić. Między innemi zarzucają, że skoro św. Paweł stawia na równi ukazanie mu się Jezusa pod Damaszkim, a więc prostą wizję (!) ze wspomnianemi (w. 5 n.) objawieniami się Jezusa innym apostołom i 500 braciom, to temsamem i te ostatnie schodzą rzekomo do rzędu bezprzedmiotowych wizyi i halucynacyi.

Aby wszakże z równorzędnego zestawienia widzenia, jakie miał św. Paweł pod Damaszkim, i ukazywania się Jezusa innym apo-

apostołom wynikało, jakoby i te zjawienia się apostołom, o których tu św. Paweł mówi (w. 5 n.), były również czysto podmiotowymi wizjami — na to trzeba dowolnego i nieuzasadnionego przypuszczenia, że św. Paweł nie uważał rzeczonego zjawiska w drodze do Damaszku za rzeczywiste objawienie mu się Jezusa zmartwychwstałego. Tymczasem tak z samego listu św. Pawła do Koryntyan, jak z Dziejów apostoelskich wynika<sup>1)</sup>, że św. Paweł oglądał rzeczywiście Jezusa Chrystusa w zmartwychwstałym ciele — że zatem z zestawienia powyższego wynika raczej wręcz odwrotny wniosek t. j. że tamte objawienia się apostołom i 500 braciom były rzeczywistem w ciele ukazywaniem się zmartwychwstałego Jezusa. Zapomina zresztą „krytyka“, że św. Paweł sam dobrze rozróżnia wizye, jakie miał później, a o których nam w II. liście do Koryntyan opowiada (r. 12), od owego rzeczywistego oglądania zmartwychwstałego Jezusa w drodze do Damaszku; św. Paweł dobrze jest świadom rodzaju każdego z tych objawień<sup>2)</sup>.

Według Harnacka nie ma już znaczenia wieść o Zmartwychwstaniu w dosłownem znaczeniu — natomiast wiara w Zmartwychwstanie

<sup>1)</sup> Por. I. Kor. 9, 1: Czyż nie jestem apostołem? Iżalim Chrystusa Jezusa Pana naszego nie widział? p. Dzieje 9, 1 n.; 22, 4 n.; 26, 9 n.

<sup>2)</sup> Tak samo dobrze był świadom św. Paweł, że widzenie, jakie miał w Troadzie w czasie drugiej podróży misyjnej (por. Dzieje ap. 16, 9) było tylko sensem widzeniem, a nie rzeczywistością na jawie.

ma posiadać swoje doniosłe znaczenie w Ewangelii i to wiara stała i trwała... „Dobry umiera — ale to, co dobrego, żyje; sprawiedliwy ginie — sprawiedliwość tryumfuje; to co jest czasowem, przemija, gdy przyjdzie jego godzina — ale to, co ma być nieograniczony, trwa na zawsze. Słowem, Jezus z Nazaretu jako żyjący człowiek raz umiera, jak każdy inny człowiek — ale Jezus jako życie, żyje i działa tak jak promień światła, co wszystko przenika, a niczem zniweczyć się nie da. — I oto wiara w Zmartwychwstanie bez głoszenia samego Zmartwychwstania<sup>1)</sup>... (!)

Ale jakąż wartość mają te zapewnienia dla badającego rozumu, dla tęskniącego serca? Jeśli Harnack ma słuszność, to jej św. Paweł nie ma. A zatem dla ludzi są podobno rękojmią zabezpieczającą przed śmiercią i zniszczeniem tylko „myśli oderwane“, ale nie „wydarzenia“, — nie podmioty, ale tylko ich orzeczenia są nieśmiertelne — to co nie ogranicza się czasem, co duchowe, boże w człowieku. Tak też rzekomo ma być i z Jezusem przez wzgląd na Jego „nieprzemijające z Bogiem zjednoczenie“. I tak też ma być z wszystkimi ludźmi, przedewszystkiem zaś z tymi, co z pierwotnej i przepotężnej świadomości owego zjednoczenia, jakie się kryło w Jezusie, zaczerpnęli względnie równej jedności i zespolenia z Ojcem wszechświata przez wiarę w Mesyasa, „je-

---

<sup>1)</sup> Harnack, l. c., str. 101 n.

„dyńie przez wiarę w oglądaniu życia i śmierci Jezusa“ . . .

Ależ tego rodzaju nauka o Zmartwychwstaniu nie znajduje się wcale w ewangeljach; kto jej daje posłuch, ten skoro tylko się ocuci z wrażenia tej całej frazeologii, wyznać musi w głębi duszy, że go oszukano w tem, co najdroższe, do czego zmierzają wszystkie jego nadzieje, że ta przez nowoczesną teologię ogłaszana nowa wiara w Zmartwychwstanie jest całkiem ślepą i głuchą, jest czemś niewypowiedzianie bezwartościowem.

Trzeźwy badacz będzie musiał z przerażeniem się dowiedzieć, że swe przekonanie o nieskończonej wartości duszy, swą stałość naprzeciw żądom, zagrażającym tejże wartości, swą moc ducha wobec trudów życia i trwogi śmierci, swe oczekiwanie przyszłej chwały, wszystko to, co dociera do wnętrza jego życia, — na niczem innem się nie opiera, jak tylko na gramatyczno-logiczno-psychologicznym szale . . . Non omnis moriar: słowa te może uczeń tej nowej ewangelii, co nie ogłasza faktu Zmartwychwstania tak sobie tłumaczyć: Twoje całe „ja“ przeminie, a jednak przecież nie przeminie! Twoje „ja“ jako konkretny podmiot ze śmiercią zaginie, ale orzeczenia twego „ja“, w każdym razie te, które są zgodne swego podmiotu, trwać będą wiecznie; zawartość tego, co w tobie jest z ducha, co ma własności niespożyte i co jako takie jest

przez ciebie odczuwane, twój „duch“ jest nieśmiertelnym.

Ciekawa to wiara w Zmartwychwstanie! Cóż za pożytek z niej płynie?

Kopernik i Kepler wypisali prawa prawdziwych ruchów ciał niebieskich, odkryli wieczne prawdy. Albowiem choćby ziemia nasza, czy nawet słońce uległo ostatecznej katastrofie — prawa, co kierują biegiem światów, nie giną. Elipsa, po której bieży ziemia koło słońca, pozostanie na wieki elipsą — wszystko, co matematyka o tej elipsie jako niezbitą prawdę powiedziała, pozostaje na zawsze w swej mocy — choćby ani jedna gwiazda na niebie się nie ostała.

Ale jakąż wartość przedstawiać będą one wszystkie prawdy wypowiedziane o elipsie, hyperboli, paraboli — jeżeliby wszystkie gwiazdy z nieba pospadały? — Czyż będą one jaką większą wartość przedstawiały nad tę, jaka przysługuje urojonym liniom w próżni, czy figurom na tle nicości nakreślonym? I któż nadto będzie te prawdy w przyszłości poznawał i niemi się cieszył? Kto będzie na ich prawach dalej budował i co będzie budował?

Kopernik i Kepler odkryli odwieczne prawdy biegu świata — wyrazili je w niezbitych zdaniach, w formułach o matematycznej pewności i stałości! — Cóż jednak przez to zdobyli dla siebie, jeśli tylko te ich wielkie myśli — stanowić mają o chwalebnej nieśmiertelności ich jestestwa?



Cóż im przyjdzie z owego wzniosłego uczucia, że stwierdzili prawa wieczne i że temi swemi myślami jakiś czas się cieszyć będą, — jeśli o n i s a m i w idealne przez innych przemienieni postaci, nie wymkną się śmierci mimo śmierci? Czemże jest świadomość jakiejś oderwanej, „orzeczeniowej“ nieśmiertelności bez świadomości w podmiocie samym, bez świadomości w sobie samym o tem, co jest nieśmiertelnem, jeśli nie odurzającą iluzją... — Cóż jest wtedy sam duch?...

Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko przyjąć albo całą, historyczną wiadomość o Zmartwychwstaniu Jezusa, którą św. Paweł nie tylko „prawdopodobnie“, ale z całą pewnością znał — a wtedy i całą, nie okrojoną wiarę w Zmartwychwstanie, którą św. Paweł opierał na tej wiadomości o Zmartwychwstaniu; — albo, skoro się nie uznaje wieści o Zmartwychwstaniu (Osterbotschaft), do której według „krytyki“ dostarczyło okazji wewnętrzne i subiektywne oglądanie w duchu zmartwychwstałego Zbawiciela — wyzbyć się tu już trzeba wszelkiej połowiczności i nie mówić o Zmartwychwstaniu ani Jezusa ani Jego wyznawców — które nowoczesna teologia oprzeć chce na jakiejś wiecznie trwałej żywotności bez podmiotowego orzeczenia, na gruncie bardzo grząskim, bo na wytworze czystej fantazyi!...

## IV.

**Wyznawanie Bóstwa Jezusa w pierwszej gminie chrześcijańskiej.**

Wglądnięcie w życie religijne pierwszej gminy chrześcijańskiej, jakoteż analiza jej chrystologicznych pojęć i genezy wiary w swego Założyciela, jej stosunku do Jezusa, będzie zawsze najsilniejszym dowodem i sprawdzianem nauki Kościoła o Bóstwie Jezusa Chrystusa jako zasadniczej i istotnej części Ewangelii.

Z tego wynika, że wiara w Bóstwo Jezusa została już w pierwszym momencie przez najpierwszych swych wyznawców należycie pojęta, tak jak jej dzisiaj Kościół naucza, kiedy mówi: „Wierzę w Boga Ojca . . . i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne . . .“ Jezus w pojęciach pierwszej gminy chrześcijańskiej jest prawdziwym i istotnym Synem Bożym, a nie ideałem moralnej doskonałości, który się przez Jezusa Chrystusa z nieba ku nam skłonił... Od początku dogmat ten Bóstwa Jezusa Chrystusa był główną treścią katechez i nauczania apostolskich, ogniskiem całego życia chrześcijańskiego — był środowiskiem całego chrześcijańskiego kultu, zasadą wszystkich chrześcijańskich nadziei, fundamentem, na którym wyrósł Kościół. Dogmat ten Bóstwa Jezusowego był zasadą chwalebного żywota Kościoła — był też racją najgłębszą wszystkich jego

prześladowań... Jak Chrystus został ukrzyżowanym, „iż się czynił Synem Bożym”<sup>1)</sup>), tak i Kościół od pierwszej chwili był prześladowanym, iż swego Mistrza Synem Bożym wyznawał i za takiego świata głosił. Ale też dogmat ten wśród tylu walk i cierpień Kościoła był dlań od początku źródłem pociech i sił nadludzkich; stąd Jezusowi wyznawcy zawsze się cieszyli, ilekroć „stali się godnymi dla Imienia Jezusowego zelżywość cierpieć...”<sup>2)</sup> Przez tą wiarę w Bóstwo Jezusa, który siedząc po prawicy Bożej otwierał swoim wyznawcom w chwili męki niebios a i do chwały swej zapraszał niebieskiej<sup>3)</sup> — „zgasili jedni gwałt ognia, uszli ostrza miecza, wzmogli się z niemocy... drudzy znów doznali pośmiewisk i bicia... byli kamienowani, wyśmiani, doświadczani, których... nie był godzien świat”<sup>4)</sup> — nietylko pośród Żydów samych, ale i pośród pogan; każdy z nich mógł sobie powiedzieć: „Wiem komu uwierzyłem i pewien jestem”. — Ta wiara w Bóstwo Jezusa Chrystusa była istotną częścią i duszą religii pierwszej gminy chrześcijańskiej; wyróżniała ją od samego początku tak od synagogi, jak wszystkich innych religii. Bez tej wiary w Bóstwo Jezusa Chrystusa nie byłaby się nawet

---

<sup>1)</sup> Jan 19, 7.

<sup>2)</sup> Dzieje 5, 41.

<sup>3)</sup> Dzieje 7, 55.

<sup>4)</sup> Żyd. 11, 34 n.

zorganizowała pierwsza gmina chrześcijańska w jedną silną społeczność, składającą się z różnych, a tak wrogich sobie elementów, jakimi byli żydzi i poganie. Ta też silna wiara w Bóstwo Jezusa Chrystusa nie na wywnioskowanym — jak chce Harnack — obrazie Jezusa Chrystusa, ale na rzeczywistem objawieniu się Boga-człowieka oparta, może być dostateczną racją, dlaczego gmina ta nie rozpadła się w chwilach zewnętrznego ucisku i wewnętrznych pokus; że zdołała znieść najokrutniejsze prześladowania; że właśnie wśród nich — jak mówi Tertulian — tężała i wzmacniała się, „bo krew męczenników stawała się nasieniem nowych chrześcijan“;... że mimo ubożuchnego kultu swego zdołała z imperium rzymskiego wyprzeć wszystkie jego bogi z kultem pełnym przepychu i porywającym zmysły — mocą tej wiary w Bóstwo swego Mistrza i Króla i siłą swych cierpień dla Niego wyniść z katakomb, z pośród ciemnych grobów na światło dnia do promiennego życia i zatknąć zwycięski sztandar na forum światem władającej Romy.

Dzieje pierwszej gminy chrześcijańskiej, trudności w jakich powstała i z jakimi walczyła — zwycięstwo, jakie odniosła, nie da się wytłómaczyć bez tego zasadniczego faktu, że wiara w Bóstwo Jezusa Chrystusa była od początku istotną częścią duszy chrześcijańskiej, że nie dopiero św. Paweł na pierwszy plan ją

wysunął, że przeciwnie była przez najdawniejszych uczniów Pana Jezusa wyznawana; że nie mogła ona płynąć ze subiektywnego jakiegoś „odczucia Boga“, lub sztucznego urobienia się pojęć pierwszej gminy wśród walki z Gnostykami, czy z jakiegokolwiek innej duchownej potrzeby — ale jedynie z rzeczywistego objawienia się Syna Bożego. Przyjmować utworzenie się chrystologii pierwszej gminy chrześcijańskiej i tejże wzrost na gruncie „odczucia“ zdenerwowanych i podnieconych religijnie jednostek, to już chyba śmiesznością, to przypuszczeniem cudu żadną miarą nie wytłómaczonego, cudu większego niż są te cuda, dla których racjonalizm ewangelii naszym szerego odmawia wykładu.

Mimo to wszystko „krytyka“ powiada o wierze pierwszej gminy chrześcijańskiej -- jakoby ta gmina tj. pierwsi uczniowie Jezusa, nawet w ostatniem stadyum z Nim obcowania, niezbyt jasne mieli pojęcia o charakterze Jezusa Chrystusa jako Boga i Mesyasza w znaczeniu prawdziwym, bo podobno ta wiara w Bóstwo Jego dopiero później została pierwszej tej gminie chrześcijańskiej narzuconą jako sformułowane „e x p o s t“ wyznanie (?), jako owoc teologicznych rozważań św. Pawła i św. Jana. Wynikałoby zatem, że najstarsi uczniowie Jezusa, nawet sam Piotr, nie przykładali zasadniczej wagi do wiary w Bóstwo Jezusa lub nie wyznawali Go Bogiem w prawdziwym znaczeniu, że zatem Jezus Chrystus, jako Bóg,

nie należał pierwotnie do Ewangelii, jako jej część istotna i t. d.<sup>1)</sup>).

Niestety każdy z „krytyków“ przynosi z sobą gotowy już obraz Chrystusa, tj. takiego, któryby przystawał do jego własnego wewnętrzznego świata myśli, chce go *per fas et nefas* z Ewangelii wyczytać<sup>2)</sup>) a genezę wiary pierwszej gminy chrześcijańskiej w Bóstwo Jezusa po swojemu przedstawia lub jej całkiem wraz z Bóstwem Jezusowem nie uwzględnia. Wobec tego trzeba z nieuprzedzonym okiem i sercem zbliżyć się do grona pierwszych uczniów i wyznawców Jezusa — i kiedy się ich Chrystus spyta: „za kogo wy mnie uważacie?“, pilnie się przysłuchiwać ich odpowiedzi i dobrze ją zapisać i rozważyć, t. j. taką, jaką oni rzeczywiście dali — a nie jakoby niejedni chcieli podsunąć. Słowem przypatrzeć się trzeba wierze pierwszych uczniów i apostołów Jezusa co do Jego osoby, a wiary tej należytą ocenę i analizę przeprowadzić... Przekonamy się, że Jezus od początku w chrześcijaństwie cześć boską od swoich wyznawców odbierał — i że w tej adoracyi nie widzimy żadnego — jak chcą niektórzy — rozwoju ani stopniowania w tem znaczeniu, iżby cześć człowieka, pobożnego Jezusa z Nazaretu i jakoby proroka,

---

<sup>1)</sup> Por. O. Pfeleiderer, *Die Entstehung d. Christentums* 185 n.; Ed. v. Hartmann, *Das Christentum des N. T.* 280 n.; por. Harnack l. c. odczyt 11; por. Pfannmüller l. c. str. 15 n.

<sup>2)</sup> Por. Hartmann l. c. 13.



ustąpiła miejsca późniejszemu uwielbianiu Go (w 3. czy 4. wieku!) jako Boga. Historycznie tego w żaden sposób udowodnić nie można — Chrystus był od początku jako Syn Boży w znaczeniu prawdziwym uwielbiany, bo takim się On już pierwszym swoim wyznawcom objawił.

Zanim jednak usłyszemy wyznania własnych uczniów Jezusa o Jego boskim charakterze i posłannictwie, dochodzi do nas tymczasem z nad Jordanu „głos wołającego na puszczy” — Jana Chrzciciela. Przyszedł on, aby zgotować do serc ludu żydowskiego drogę Zbawicielowi<sup>1)</sup> i ukazał Go Mesyaszem w myśl starozakonnych proroctw jako tego „który gładzi grzechy świata”...

Świadeństwo, jakie oddaje Jan Chrzciciel Jezusowi na wstępie Jego mesyańskiej działalności tak wobec ludu jak i hierarchii żydowskiej — jest nader ważnem; pominąć go i dla tego nie możemy, bo zeń poznajemy, czem był Jezus już w oczach tego największego w Izraelu proroka i tej największej w narodzie powagi — t. j. Jana Chrzciciela, a tem samem w oczach tych, którzy byli tego proroka uczniami, a później częściowo zostali Jezusowymi apostołami, i w oczach wszystkich tych, którzy Janowi uwierzyli; poznajemy, czy słusznem jest twierdzenie „krytyków”, że idea boskości Jezusa była dla Jego uczniów początkowo

---

<sup>1)</sup> Mar. I, 3 n.

czemś nowem, aż dopiero później została im i całej pierwszej gminie chrześcijańskiej przez Pawła czy Jana formalnie narzuconą?...

a) Świade<sup>1</sup>ctwo Jana Chrzci<sup>2</sup>ciela.

O św. Janie Chrzci<sup>3</sup>cielu, wyraził się Zbawiciel iż „nie powstał między narodzonymi z niewiast większy nad Jana Chrzci<sup>4</sup>ciela“<sup>1</sup>). Ale było wyjątkowy święty i prorok, który u wszystkich<sup>2</sup>) doznawał jak największej powagi, tak u przyjaciół Jezusowych, jak i Jego wrogów — czciło go nawet synedrium, liczył się z nim sam Herod... Jak wielkie znaczenie posiadał Jan wśród żydów, dowodem tego choćby ta uwaga ewangelisty<sup>3</sup>), iż „wychodziło do niego (nad Jordan, kędy chrzcił) Jeruzalem i wszystka żydowska ziemia i wszystek kraj około Jordanu i byli chrzceni w Jordanie od niego, spowiadając się grzechów swoich“<sup>4</sup>. — Ale co dziwniejsza! Wśród tych, co przybyli do Jana słów pokuty słuchać — znaleźli się nawet ci, którzy się uważali za pierwszych w narodzie, którzy nikogo nie słuchali tj. Faryzeusze i Saduceusze — przyszli, aby usłyszeć te gorzkie słowa z ust Jana Chrzci<sup>5</sup>ciela: „Rodzaju jaszczurczy, któż wam pokazał, abyście uciekali od przyszłego gniewu?“<sup>6</sup>). Mimo tych gromkich słów — i mimo świadectwa, jakie

---

<sup>1</sup>) Mat. 11, 11 por. n. 7—10; Łuk. 7, 28.

<sup>2</sup>) Mat. 21, 26; Mk. 11, 32.

<sup>3</sup>) Mat. 3, 5 n.

<sup>4</sup>) Mat. 3, 7.

oddął św. Jan Jezusowi jako „większemu od siebie“ i Mesyaszowi<sup>1)</sup>, nie czytamy nigdzie, aby nieprzyjaciele Jezusowi starali się wystąpić przeciwko powadze Jana wobec ludu lub zaprzeczać mu charakteru proroka ani za jego życia ani po jego śmierci.

Do tej powagi Jana Chrzciciela, jaką olśniewał nawet samych Faryzeuszów i wszystkich książąt izraelskich, sam Chrystus się odwoływał, kiedy świadectwo Jana przytaczał ku obronie swej najwyższej władzy wobec starozakonnego prawa i na dowód swego mesyańskiego posłannictwa<sup>2)</sup>.

Do tej świętej trwogi i czci przed Janem Chrzcicielem zmuszało żydów zapewne już samo jego narodzenie, poprzedzone cudownymi wydarzeniami, jakimi było objawienie się anioła Zacharyaszowi, żydowskiemu kapłanowi i ojcu jego w świątyni, utrata u tegoż mowy, trwająca aż do nadania imienia nowonarodzonemu — i wreszcie proroczy hymn Zacharyasza. „I padł strach — pisze św. Łukasz (1, 65) — na wszystkie sąsiady ich (tj. Zacharyasza i żony jego Elżbiety) i po wszystkich górach żydowskiej ziemi rozsławione są wszystkie te słowa“ ... Do świadectwa Nieba dołą-

---

<sup>1)</sup> Por. Jan 1, 15 n.

<sup>2)</sup> Por. Mat. 21, 25 n.; por. Łuk. 20, 4. Faryzeusze choć w duszy mogli byli oburzać się na Jana, jednak liczyli się z jego powszechną powagą jako proroka (Mat. 21, 26) i aby nie utracić miru w oczach całego ludu, nie odważyli się wystąpić przeciwko Janowi (Łuk. 20, 6).

czała się świętość samego Jana Chrzciciela, który życiem pokutniczem i czystem pociągnął ku sobie wszystkich, a nawet Faryzeuszów; w prawdziwym znaleźli się oni kłopotcie, gdy usłyszeli świadectwo Jana o Jezusie jako Mesyaszu — nie znaleźli innego wyjścia, aby osłabić jego świadectwo, jak zarzut, który samemu Jezusowi uczynili, „iż czarta ma“<sup>1)</sup> — ale i zarzut ten, tak bezsilny, jest dowodem potężnego wrażenia, jakie wywierało na ludzie żydowskim kazanie św. Jana i świadectwo jego oddawane Jezusowi. Do tego też świadectwa Janowego odnosił się św. Paweł w kazaniu swem mesyańskim wygłoszonem do żydów w Antyochii Pizydyjskiej<sup>2)</sup>, a skutek był ten, iż „poszło wiele z żydów i z nabożnych nowonawróconych za Pawłem“ (l. c.) pomimo, że Jezus został przez prawowitą w oczach wszystkich Żydów władzę (synedrium) potępiony.

Przed powagą Jana Chrzciciela, jako proroka, ustąpić musiała powaga najwyższej Rady żydowskiej...

Jakież tedy świadectwo oddaje Jan Chrzciciel Jezusowi, którego był poprzednikiem?

Św. Jan ewangelista powtarza je w tych słowach: „A jam widział i dałem świadectwo, że ten jest Syn Boży“<sup>3)</sup>. Czy Jan Chrzciciel był rzeczywiście przekonany

---

<sup>1)</sup> Mat. 11, 18.

<sup>2)</sup> Dzieje r. 13.

<sup>3)</sup> Jan 1, 34. Por. Jan 1, 24 n.; Mat. 3, 3.

o istotnem synostwie Bożem Jezusa, czy się tylko przystosował do popularnego i przenośnego znaczenia „synów Bożych“ wśród żydów?

Wobec oficjalnych wysłańców faryzeuszów z Jeruzalem, zapytujących Jana, czyli jest Mesyaszem lub jakim innym Bożym posłannikiem — oddaje on świadectwo „Temu, który za nim przyjdzie, który się przed nim stał i któremu nie jest godzien rozwiązać rzemyka u trzewika“, a którego jest tylko poprzednikiem podług wyroczni Izajasza<sup>1)</sup>: „Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską proste czyńcie na puszczy ścieżki Boga naszego... Rzec miastom Judzkim: Oto Bóg wasz, oto Pan w mocy przyjdzie“ itd. Odpowiedź zatem ta dana przez Jana uczonym w Piśmie, kapłanom i lewitom, którzy dobrze rozumieli znaczenie słów Izajaszowych, jest też najlepszą odpowiedzią na powyższe pytanie, w jakim znaczeniu synostwo Boże przypisywał Jan Jezusowi.

„Nazajutrz — (tj. po odpowiedzi danej faryzeuszom) ujrzał Jan Jezusa idącego do siebie i rzekł: „Tenci jest, o którymem powiedział: Idzie za mną mąż, który się stał przede mną iż pierwszej był, niż ja“<sup>2)</sup>.

Jako człowiek narodził się Jezus po Janie — pierwszej od Jana być nie mógł inaczej, jak

<sup>1)</sup> 40, 3, 9, 10. Mar. 1, 3.

<sup>2)</sup> Jan 1, 29, 30.

tylko w swej boskiej naturze i istocie, w ten sam sposób, w jaki ogłosił się był wcześniejszym od Abrahama<sup>1)</sup>. Boski ten charakter Mesyasza zaświadczył był w ogólności św. Jan Chrzciciel jeszcze przed spotkaniem się z Jezusem, a to naprzeciw błędnym pojęciom mesyańskim ówczesnych teologów żydowskich: zaś przy osobistym zetknięciu się z Jezusem nad Jordanem dał wyraz wypełnieniu się tej prawdziwej mesyańskiej idei w osobie Jezusa Chrystusa. Świadcstwo zatem Jana Chrzciciela zawiera w sobie dwa momenty proroczego natchnienia. Po pierwsze, wyższe i głębsze poznanie Mesyasza jako boskiej istoty w duchu staro-zakonnych proroctw w ogólności — po drugie uznanie rzeczywistego ukazania się tego prawdziwego Mesyasza w osobie Jezusa z Nazaretu, w szczególności.

Przed spotkaniem się z Jezusem poprzednik Jego zaświadczył w ogólności boską osobistość Mesyasza przewyższającą wszelką ludzką istotę i boski jej urząd tj. chrzest ogniem i Duchem świętym w Jezusie przemieszkującym. Po spotkaniu, ogłasza Go Jan boskim Odkupicielem, który dla swej boskiej istoty z ludzką zjednoczonej może ludzkiem przynieść zupełne od grzechów wybawienie:

„Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”, woła on wskazując na zbliżającego się Zbawcę<sup>2)</sup>, tak wobec

<sup>1)</sup> Por. Jan 8. 58.

<sup>2)</sup> Jan 1. 29. 36.



ludu żydowskiego, jak i wobec swoich uczniów. Dziwnie tu odbija to Jana należyte, może jedyne w narodzie zrozumienie<sup>1)</sup> posłannictwa Jezusa — od wyobrażeń mesyańskich wśród żydów; tajemnica cierpień Mesyasza, mało dostępna dla reszty narodu żydowskiego — odsłoniła się przed oczami duszy tego Jezusowego poprzednika. I ten właśnie sam fakt, że Jan Chrzciciel tak wysoko wznosi się w pojęciach swych soteriologicznych o Mesyaszu ponad poziom współczesnych mesyańskich pojęć u Żydów, którzy tak dalece odstąpili od treści starozakonnych prorocत्व mesyańskich, iż Meszasz cierpiący stał się dla nich nawet zgorszeniem<sup>2)</sup> — dowodzi, że w nadprzyrodzony sposób został pouczony, że nadprzyrodzoną jest prawda słów: „A jam go nie znał, ale który mię posłał chrzcić wodą, ten mi powiedział”...

Widzimy tu również bardzo ważny moment, który zapoznaje Harnack, kiedy twierdzi, że „Chrystus żadnej nie podawał nauki o sobie” i że „nie Syn”, ale tylko „Ojciec” należy do Ewangelii, ten moment, że jak Chrystus siebie za Syna Bożego i Meszasza ogłaszał, tak również i Jan Chrzciciel za fundamentalną, istotną prawdę swego kazania na puszczy wybrał był godność osoby

---

<sup>1)</sup> Widzimy zatem, że pojęcie Meszasza u Jana Chrzciciela dosięga już tej wysokości, którą sam Harnack (p. *Wesen des Christentums* 85) odnosi do ostatniego stadium mesyańskiego czasu.

<sup>2)</sup> 1 Kor. I, 23.

Jezusa Chrystusa, jako Mesyasza i wcielonego Syna Bożego a na przyjęcie tej prawdy gotował lud pokutą, oczyszczając tem samem i podnosząc umysły Żydów o zmateryalizowanych pojęciach mesyańskich — do zrozumienia godności i posłannictwa Tego Baranka Bożego, co „w pośrodku nich stanął, a oni Go mimoto nie poznali“<sup>1)</sup>).

Stąd też boleść jego serca, stąd i główny powód oburzenia u tego proroka zwłaszcza przeciwko tym, co jak faryzeusze i saduceusze dla swej przewrotnej duszy, choć pozornej świętości — uwodzili byli lud i stali się główną przyczyną, że nie poznał on swego Zbawcy. W tym również duchu należy tłómaczyć owe poselstwo, jakie był Jan z więzienia swego wyprawił do Jezusa z zapytaniem: „Tyś jest, który ma przyjść (Mesyasz)“<sup>2)</sup> — tj. ową troską o swoich uczniów, których chciał tą drogą utwierdzić w wierze w Jezusa, jako prawdziwego Mesyasza i Syna Bożego.

b) Wyznawanie Bóstwa Jezusa przez Jego uczniów.

Ponieważ sam Harnack twierdzi, że obraz Chrystusa podług św. Piotra łączy się z obrazem Jezusowym pierwszej gminy chrześcijańskiej, to jeszcze tem bardziej zasługuje na uwagę owo słynne wyznanie Piotra, jakie tenże książę apostołów złożył w imieniu swoim i całego apostołskiego kolegium Jezusowi

---

<sup>1)</sup> Jan 1, 26.

<sup>2)</sup> Mat. 11, 3.

w Cezarei Filipowej. Synoptycy, przez samego Harnacka uznawani, tak o tem doniosłem w dziejach wiary pierwszych uczniów Jezusowych zdarzeniu piszą: „A przyszedł Jezus w strony Cezarei Filipowej i pytał uczniów swoich, mówiąc: Czem mienią być ludzie syna człowieczego? A oni rzekli: Jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eliaszem, a insi Jeremiaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: A wy kim mię być powiadacie? Odpowiadając Szymon Piotr rzekł: „Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego”.

Pełne znaczenia wyznanie Piotrowe (Mt. 16, 13 n.; Mk. 8, 27 n.; Łk. 9, 18), nabiera jasności i wyrazistości na ciemnem tle otoczenia reszty Żydów. Podczas gdy żydowska niewiara bierze zgorszenie z zewnętrznych znamion Jezusa czy to odnośnie do Jego galijskiego pochodzenia i całego życia -- czy to jak w przełomowej chwili (Jan r. VI) z powodu zapowiedzenia się Jezusa jako eucharystycznego pokarmu dusz -- wiara uczniów oficjalnie przez Piotra wyznana i przez Chrystusa przyjęta i pochwalona widzi ukryty majestat nadludzkiego charakteru Jezusa jako Boga-człowieka. Różni się to wyznanie Piotra i od połowicznej wiary rzeszy chwiejnej w przekonaniach swych o Jezusie -- która ledwo że dostrzega w Jezusie charakter co najwyżej Bożego posłańca, coś na kształt proroka, Jana Chrzciciela, czy na kształt tych proroczych,

mocnych mężów, co mają być posłani na ocalenie Izraela od zguby w pełniłości czasów — czy to będzie z przeszłości wydobyty Eliasza lub Jeremiasz — czy w przyszłości występujący prorok, do Mojżesza podobny i przezeń zapowiadany (Dt. 18, 15).

Podczas gdy więc ani lud żydowski, nie wtajemniczony w królestwo Boże Mesjasza, a z początku ani nawet uczniowie Jezusa nie zdołali się wznieść do należytego zrozumienia prawdziwego Mesjasza ponad sferę czysto ludzką — poufne rozmowy Jezusa z uczniami zaznaczone nawet przez synoptyków wraz z towarzyszącymi im czynami Ojca niebieskiego (Jan 10, 37) przezeń zdziałanymi, zwolna ale pewnie naprowadzały ich na należyłą ocenę charakteru Mesjasza w Jezusie, jako Syna Bożego. W wyznaniu Piotra słyszymy już oficjalne wypowiedzenie ich niewzruszonego w tej mierze przekonania.

Wyznanie Piotra jest zatem wyrazem pewnej już i określonej wiary w Jezusa Chrystusa jako Mesjasza w przeciwieństwie do czysto naturalnego i ziemskiego pojmowania Go przez rzeszę bałamuconą teologią faryzejską. Jest ono zarazem wiernym oddźwiękiem mesyańskiego objawienia albo „czystej Ewangelii“ Jezusa, Ewangelii nie tylko o „Ojcu“ ale i o „Synie“ z Jego Boską prawdą — o całe niebo wyższe nie tylko nad polityczno-ziemskie, ale i ponad religijne w pewnym stopniu, lecz

nie dosięgające wyżyn Boskiego objawienia — współczesne żydowskie pojęcia....

Jezus nazywa Piotra „błogosławionym“ i odznacza go prymatem w Kościele dla tego pełnego treści wyznania i wnikięcia głębokiego w tajemnicę mesyańską, którego źródłem ostatecznem, jako „causa efficiens“ jest Ojciec w niebiesiech w przeciwieństwie do „ciała i krwi“ — tj. niewidzialna istota Boga, którą zarazem ten, co się Duchem Bożym powoduje — dostrzega w osobie Jezusa — w przeciwieństwie do czysto ludzkiego i powierzchownego pojmowania osoby Jezusa przez tego, co tylko się zmysłami i duchem świata rządzi: „A odpowiadając Jezus rzekł mu: Błogosławionyś jest Symonie Bar-Jona; bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech“<sup>1)</sup>).

Chociaż ta pochwała Piotra ze strony Jezusa nie wszędzie u synoptyków wyraźnie i szczegółowo jest przytoczoną — ale tylko lekko zaznaczoną w przyjęciu tegoż wyznania przez Zbawiciela -- to w każdym razie ważność i doniosłość tego Piotrowego wyznania daje się ocenić w przeciwstawieniu go do wszelkich żydowskich oczekiwań mesyańskich a nawet i do tych, co zdawały się najwięcej duchowemi i najbardziej zbliżonemi do prawdziwego ideału Mesyasza. Mesyasz Piotra

---

<sup>1)</sup> Por. Mat. 16, 17 i por. I Kor. 2, 14.

przechodzi kategorię wszelkich choćby największych z pośród ludzi Bożych wybrańców, najbardziej ubogaconych darami nieba Boga wysłańców. Św. Piotr nie sformułował swej odpowiedzi podług modernistycznego problemu: Czy Jezus jest istotnym czy tylko teokratycznym Synem Bożym? Ale według popularnego, konkretnego sposobu rozróżniania: Czy Jezusa należy na równi zestawiać z innymi Bożymi posłami, nie przewyższającymi miary ludzkiej — tak, jak oni dotąd byli znani wybranemu ludowi — czy też Jezus wyższym jest ponad wszelki typ człowieka i istotnie od reszty ludzi się wyróżniającym Mesyaszem, Synem Boga?

Otóż św. Piotr uznał wyraźnie w Jezusie Boga z całą najgłębszą świadomością Jego nadprzyrodzonego charakteru i takim go istotnie wyznał — choć może nie był użył tu jeszcze tak dosadnego wyrażenia, jak później św. Tomasz: „Pan mój i Bóg mój“. Zasadniczo możemy tedy uważać wyznanie Piotra za świadectwo oddane przezeń i przez resztę uczniów Jezusowi jako Synowi Bożemu w prawdziwym chrystologicznem znaczeniu.

Ale jeszcze jedno słowo. Słaba strona pojmowania Jezusa przez Piotra jako Mesyasa odnośnie do jego zbawczego posłannictwa polegała na tem, że św. Piotr, jak wspomnieliśmy powyżej, nie rozumiał jeszcze należycie ludzkiej strony Jezusa Chrystusa tj. Jego cier-



pienia i śmierci — gdyż on sam, jak i inni jego towarzysze, dzielili do pewnego stopnia zapatrywania swego narodu o doczesnem królowaniu Mesyasza. . . . Wiemy też, że nikt może z apostołów nie był i nie czuł się tak Żydem, jak właśnie św. Piotr; był on prawdziwym dzieckiem swego ludu i swego czasu.

— Jego osobiste przywiązania do tradycyi starozakonných spotkały się nawet z dość ostrą krytyką św. Pawła.

Chrystus upokorzony i cierpiący, zawodził jego iście żydowskie myśli o potężnym Mesyaszu i jego doczesnem królestwie — nawet u końca działalności Jezusa jak i w samej Jego Męce nie zdołał być wyzbyć się jeszcze tych żydowsko-mesyańskich nadziei — a jednak mimo tych naleciałości żydowsko-nacyonalistycznych wyznanie Jego jest dyametralnie różne od wszelkich całego żydowskiego narodu pojęć o charakterze Mesyasza; albowiem mimo tej tak dotkliwej dla siebie sprzeczności między ubóstwem Jezusa — a między swemi wielkoświatowemi mesyańskimi nadziejami — uważał on Jezusa za Mesyasza — za prawdziwego, a nie za teokratycznego Syna Boga żywego! . . . To zatem, co przemawiało na korzyść tego boskiego charakteru Jezusa, musiało być silniejszym i potężniejszym niż wszystko inne, niż wszelkie aspiracye jego żydowskiego ducha, niż wszystkie najdroższe mu dotąd myśli, w których wzrósł, w których się utwierdził — słowem większem

i silniej przemawiającem niż „ciało i krew“... Bóstwo Jezusa Chrystusa musiało się przed nim tak silnie zaświadczyć — tak niezbitymi wryć w duszę jego dowodami, iż wiary tej jego w Jezusa jako Syna Bożego nie zdołało nic zaćmić, nic z niego wyrwać — nawet własna i najgłębiej zakorzeniona słabość jego żydowskich o Mesyaszu uprzedzeń... Nie wystarczyłyby tu były żadne racje przytaczane przez „krytyków“ dzisiejszych — nie wystarczyłaby tu sama tylko ludzka wdzięczna i jasna postać Jezusa o żywiołowym choćby wrażeniu, jakie na uczniach wywierała — nie wystarczyłaby za życia Zbawiciela — a tem mniej po Jego tak sromotnej mecie... gdyby nie objawienie Ojca niebieskiego i gdyby się ten Jezus Piotrowi i innym apostołom nie był jako Ten, co „słowa żywota wiecznego ma“ (Jan 6, 69) jako „Syn Boga żywego“ w tem najprawdziwszem znaczeniu, zalecił tysiącnymi dowodami i świętością swego życia, wyższą nad Jana Chrzciciela — i mocą swą i mądrością swej nauki wyższej niż faryzeuszów i doktorów Zakonu i wszystkich świata mędrców — i tymi niezliczonymi cudami, jakie w oczach jego działał, czy kiedy mu świekrę jego uzdrowił, czy kiedy paralityka odesłał z łóżem do domu zdrowego... czy młodzieńca z Naim z martwych wskrzesił, czy lud tysięczny kilkoma chlebami nakarmił, czy kiedy się mu cudownie na górze Tabor i dwom innym uczniom objawił w blasku chwały niebieskiej

przemieniony — mając świadectwo samego Ojca niebieskiego itd. itd. . . .

Sama tedy geneza wiary św. Piotra jest jednym z najsilniejszych dowodów Bóstwa Jezusa Chrystusa, wśród tylu tak wewnętrznych jak i zewnętrznych trudności przez Piotra za Syna Boga uznanego — i tylko tą drogą się ona nam tłumaczy tj. niezbitymi jakie św. Piotr posiadał o Bóstwie Jezusa Chrystusa dowodami, którym się oprzeć nie zdołał — tą tylko drogą da się przeprowadzić rozumna i pewna analiza tego wyznania Piotra, a temsamem i innych uczniów — inaczej pozostanie ono — jak wiele innych momentów dla „krytyki“ — niedocieczoną tajemnicą! . . .

A to samo, co o Piotrze, trzeba powiedzieć o wszystkich innych uczniach i przyjaciółach Jezusa, którzy uznawali w Nim prawdziwego, przez proroków zapowiedzianego Mesyasza jako istotnego i prawdziwego Syna Bożego.

Nie mogli też uczniowie Jezusa wyznawać w Nim Syna Bożego tylko w przerośnem znaczeniu (w znaczeniu teokratycznym): Jezus za bluźnierstwo przeciw Bogu nie mógłby być osądzonym, gdyby się Synem Bożym nazwał, tak jak każdy Żyd mógł się nim nazywać wobec Jehowy (tj. w znaczeniu przerośnem); podobnie i uczniowie Jego nie mogliby byli być prześladowanymi przez hierarchię żydowską za ogłaszanie Jezusa Chrystusa Synem Bożym. Zachowanie się

tymczasem synedryum wobec uczniów Jezusowych jako bluźnierców, jako też wobec św. Szczepana, ukamienowanego również za bluźnierstwo — potwierdza ten fakt, że wierzyli oni i ogłaszali nie tylko nieśmiertelność (naprzeciw saduceuszom) i wyrzucali Żydom nie tylko niesprawiedliwość ich względem Ukrzyżowanego — ale że ogłaszali oni w Jezusie prawdziwego i istotnego Syna Bożego „sprawcę żywota“<sup>1)</sup>, który w własnem imieniu daje „Izraelowi odpuszczenie grzechów“<sup>2)</sup> i który jest postanowiony od Boga sędzią żywych i umarłych<sup>3)</sup> i t. d. Wysoka Rada zakazuje apostołom nie tylko ogłaszania żydowskiego Mesyasza czy bogobójstwa dokonanego na Jezusie lub Jego Zmartwychwstania — ale w ogólności „aby koniecznie nie mówili i nie uczyli w imię Jezusowe“<sup>4)</sup>.

Odnosi się zatem zakaz ten do ogłaszania zbawienia w związku z tem Imieniem Jezus i w tem Imieniu działania cudów, poświadczających boskość tego, co to Imię nosi. — Ponieważ „Imię“ według biblijnego sposobu mówienia oznacza tyle co „istotę“ — to nic innego nie mają na myśli apostołowie, jak tylko boską istotę Jezusa Chrystusa, która jest źródłem i zasadą wszelkiej cudotwórczej w Nim mocy.

<sup>1)</sup> Dzieje 3, 13—15.

<sup>2)</sup> Dzieje 5, 31; 10, 43 por. w. 33. Łuk. 24, 47; 5, 21.

<sup>3)</sup> Dz. 10, 42; 17, 31.

<sup>4)</sup> Dz. 4, 18.

Przed Radą pełną oburzenia te słowa wypowiadają: „I nie masz w żadnem innem (imieniu) zbawienia. Albowiem nie jest pod niebem inne imię dane ludziom, w którembyśmy mieli być zbawieni“<sup>1)</sup>). Istota stworzona nie może być sama z siebie źródłem zbawienia, może być tylko jego pośrednim organem z woli Bożej. . . . „W Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa Nazareńskiego, któregoście wy ukrzyżowali, którego Bóg wzbudził od umarłych, stoi ten (kuławy) zdrowy przed wami“ — nie w „Imię Boga“ (wogóle) — powiadają apostołowie — ale wyraźnie: w Imię Jezusa, człowieka (ukrzyżowanego i zmartwychwstałego), wszakże o boskiej zarazem istocie i wszechmocy. . . .

W czasie już Zielonych Świątek odważa się Piotr „wszystkiemu domowi izraelskiemu“<sup>2)</sup>) w odwołaniu się do psalmu 109 przywieść na pamięć tę oczywistą prawdę, „że go i Panem i Chrystusem uczynił Bóg, któregoście wy ukrzyżowali. . . .“ Ponieważ zaś wyraz ten „Pan“ bezpośrednio w tymże kontekście wiąże się z Panem Dawida tj. Mesyaszem i Bogiem zarazem (Jahwe) — to i tutaj należy go brać w tem samem znaczeniu na określenie boskiej osoby Jezusa z ludzką naturą zjednoczonej<sup>3)</sup>).

<sup>1)</sup> Dzieje 4, 10—12; por. 17 n., 29 n.; 8, 16; 11, 17; 13, 38 n.; 20, 21.

<sup>2)</sup> Por. Dz. 2, 34—36; por. Mat. 16, 16.

<sup>3)</sup> Por. Dz. 4, 27.

Św. Szczepan został przed Wielką Radą oskarżony nie tylko o bluźnierstwo przeciwko Mojżeszowi, jak mylnie twierdzi modernizm — ale także przeciw Bogu<sup>1)</sup> w tem samym znaczeniu, jak Jezus przed Kaifaszem. Albowiem przedmiotem jego wizyi w obliczu śmierci męczeńskiej — jest „Syn człowieczy stojący po prawicy Boga“ — i poleca ducha swego nie Ojcu niebieskiemu, ale „Panu Jezusowi“<sup>2)</sup>: „I kamienowali Szczepana“ wzywającego, a mówiącego: Panie Jezu, przyjmij ducha mego“.... Tu zatem jest zrównany „Syn człowieczy“ z Synem Bożym w prawdziwym znaczeniu; albowiem Panem życia może być tylko sam Bóg.

Przyczyna kamienowania tego pierwszego męczennika Jezusowego jest ta sama, co i zasądzenia jego Mistrza tj. wskazanie na Jezusa jako „Syna człowieczego“ z boską mocą i majestatem przychodzącego na sąd Boży przeciwko zaślepionym i niesprawiedliwości pełnym ludzkim sędziom.

Od tego wszystkiego, cośmy tu powiedzieli o wyznawaniu Jezusa Bogiem przez Jego uczniów i przyjaciół, jakże dziwnie odbija zdanie niektórych „krytyków“, że miarą naszej całej historycznej wiedzy odnośnie do życia Jezusa — a zatem i Jego stosunku do pierwszej chrześcijańskiej gminy jako boskiego jej zało-

---

<sup>1)</sup> Dzieje 6, 11.

<sup>2)</sup> Dz. 7, 55 n.

życiela i całej chrystologii pierwszych Jezusowych wyznawców — jest św. Paweł i jego spekulatywna teologia; że wpływ odbił się na naszych trzech pierwszych ewangeljach tak, że na karb teologii św. Pawła trzeba położyć wszystko to, co ewangelie mówią o osobie Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego, pojmowanego przez pierwszych Jego uczniów (apostołów) o wiele(!) niejaśniej niż przez św. Pawła i że ostatecznie cała chrystologia naszych ewangelistów jest to chrystologia św. Pawła... itd.

Dziwna byłaby to i naprawdę nie wytłumaczona rzecz!

Apostołowie i ewangelisci, którzy Mistrza swego znali, byli Jego stałymi towarzyszami aż pod krzyż, nauce się Jego przysłuchiwali i szczególnie byli w nią wtajemniczeni i wreszcie dla tej nauki tj. Ewangelii o Synu Bożym wcielonym życie oddali w męczarniach, a za nimi poszli wszyscy po dziś dzień męczennicy — ci apostołowie według poprawki „krytyków” żyli i umierali *de facto* nie dla Chrystusa, jaki się ich oczom i sercom przedstawił — ale dla jakiejś teologii jednego jakiegoś tam wizyонера (!), choćby nim był nawrócony faryzeusz tak pełen słowa i poświęcenia, jak był nim Paweł z Tarsu. — Dla chrystyologii, jaką im Paweł podał rzekomo pod wpływem nowoplatońskich spekulacyi, odstąpić mieli od zasadniczej treści nauki swego boskiego Mistrza i już nie dla niej, ale dla nauki Pawłowej — już nie za Jezusa, jakiego na własne oczy oglądali, z jakim



rozmawiali i jedli i jakiego wśród osobistego z nim obcowania poznali, poświęcali się i umierali — ale za Chrystusa, jakiego w teologii dogmatycznej św. Pawła wizyonera wyczitali, aż tą „nową“ wiarą świat „zdobyli“ — tak, że na prawdę już nie Chrystusa, ale Pawła należy uważać za założyciela dzisiejszego chrześcijaństwa!?

Nie ulega wątpliwości, że apostołowie, a w pierwszym rzędzie św. Piotr, uznawali i wyznawali całą naukę św. Pawła — ale też powodem tego nie mogło być co innego, jak tylko ten jedyny wzgląd, że ewangelia Pawłowa przystawała co do joty do Ewangelii, jaką byli wzięli wprost od Mistrza swego i do ich najgłębszego o Jezusie jako prawdziwym Synu Bożym za grzechy ludzkie ukrzyżowanym i zmartwychwstałym przekonania niczem niewzruszonego, bo zagwarantowanego najsilniejszymi ze strony Jezusa dowodami i łaską Ojca niebieskiego. . . .

Trzeba się istotnie zdumiewać nad śmiałością tych, co historię biorą na świadectwo tego, czego przed nimi wcale ta historia nie знаła!

Nie było stulecia, ani lat dziesiątka takiego, w którymby c z ł o w i e k o w i jako Mesjaszowi cześć boską oddawano — jeśliby go tylko za zwyczajnego, choć pod względem religijnym za jedyne go w swoim rodzaju Żyda uważano.

Jeżeli jednak zapytamy się historii, komu to ludzkość przyznała prawo nazywania się

Mesjaszem — to z wszystkich stuleci dolatuje nas przenikający umysł i serce wraz z odpowiedzią, którą przed ośmnastu wiekami dali ubodzy chrześcijanie Pliniuszowi namiestnikowi Bitynii, iż się schodzą w dniu oznaczonym, aby „Chrystusowi jako Bogu śpiewać hymn uwielbienia”. Jeżeli kiedykolwiek odezwał się głos, coby o Chrystusie inniemiał tak, jak o Nim odzywają się dzisiejsi moderniści — to z pewnością został on już w pierwszym stuleciu zagłuszony hymnem tysiącznych serc, z których żywiołowo wydobywała się na cześć Chrystusa ta sama pieśń, o której pisze ów pogański urzędnik.

Jeżeli tedy historia sama przemawia przeciwko modernistycznemu obrazowi Chrystusa, to znowu i filozoficzno - teologiczna spekulacja nam go nie tłumaczy. Jeżeliby „ubóstwienie” Jezusa było wynikiem tejże spekulacji — to musiałoby się dokonać w duchu współczesnych wyobrażeń, a rezultatem byłby albo żydowsko-apokaliptyczny Mesjasz, który wprawdzie posiadał tron Boga, ale Mu się nie stał równym<sup>1)</sup> — albo jakiś pogański bóg

<sup>1)</sup> W religiach świata nie ma śladu tego, co jest istotą chrześcijaństwa. Żadnemu założycielowi religii nie przyszło na myśl poczuwać się i nazywać Synem Boga, albo samym Bogiem. Buddha jest wśród swoich zwolenników indyjskich tylko przedostatnim stopniem ostatecznej inkarnacji indyjskiego Logosu, wszakże samo to pojęcie Logosu nie wznosi się do wyżyny osobowego bóstwa, jeno się w panteistycznym ukazuje zabarwieniu. — Brahma nie jest wogóle żadną osobistością, ale tylko abstrakcyjnym tworem fantazyi, jest wszech-

zdrowia czy światła, coś na kształt Eskulapa czy Apollina, czy staroperskiego Mithry, boga słońca i pośrednika — albo jakiś heros, jak Herakles, oswobodziciel praojca ludzkości Prometeusza, albo wreszcie jakiś nowopłatoński czy aryański Logos lub nestoryański Bóg-człowiek — w każdym wypadku byłby to jakiś bożo-ludzki pośrednik — przeciwko któremu faktycznie od pierwszej chwili chrześcijaństwo się zastrzegło — ale nigdy nie przyłączyłoby się doń tak sprzeczne z ludzkim sposobem pojmowania i historyczno-filozoficznym tegoż rozwojem pojęcie „Słowa“ (Λόγος) Trójcy, które „stając się ciałem“, uniża się zupełnie aż do osobowego zjednoczenia się z ludzką naturą, zachowuje jej całą integralność i wcale w boską nie przemienia. Nawet Paweł czy Jan Apostoł przy całym zasobie uczeności nie zdołaliby sami z siebie nic więcej osiągnąć nad to, coby mędrzec helleński czy nowopłatończyk mógł wymyśleć.

bytem panteistycznej spekulacji. — Kongtse i Laotse u Chińczyków są tylko religijnymi filozofami i moralizatorami. — Zarathustra u Persów jest tylko ludzkim religijnym prawodawcą. Wszyscy trzej ostatni posiadają świadomość Mojżesza — ale nie Chrystusa. — I Mahomet wyznaje: Allah jest wielki i Mahomet jego prorok... Ci zatem, którzy Jezusa za Syna Bożego uznali — jak uczniowie Jego i pierwsza chrześcijańska gmina — nie posiadali byli dlań żadnego pierwowzoru w religiach świata. — Chrystus wbrew wszystkim założycielom religii żywi pretensye idące w dal nieskończoną — głosi się sam Bogiem, a pretensye te z punktu ewolucjonistyczno-religijnego są raczej utrudnieniem w przyjęciu się i rozszerzeniu chrześcijaństwa.

Kto odmawia Bóstwa Chrystusowi, ten posądza Ewangelie napisane w tak prostym i szczerym tonie opowiadania — o wyrafinowane przybranie się w szatę cudowności i przesadną jakąś spekulacyę, te ewangelie, które tak szybko stały się wspólnem dobrem całej pierwszej chrześcijańskiej gminy i jak największą powagę uzyskały także w oczach żyjących jeszcze świadków „czystego człowieczeństwa“ Jezusa.

Przypuszcza Harnack jakiś gorączkowy entuzjazm nawet wśród pierwszych uczniów Jezusowych, który tak miał ovladnąć ich zmysłami i pamięcią, iż zapomnieli o ludzkich właściwościach i o poniżeniu swego Mistrza; chociaż zawiedzeni w swoich dotychczasowych doczesnych mesyańskich nadziejach, oddali mimo to życie swe Ukrzyżowanemu i nagle się wznieśli do zrozumienia tak wysokich idei, do których jako ludzie prości i dzielający wszystkie błędne zapatrywania swego czasu i narodu odnośnie do mesyańskiego królestwa (p. Łuk. 9, 44), nie posiadali żadnego przygotowania — owszem często byli, jak to sami wyznają, przez swego Mistrza strofowani, iż tak trudno pojmowali sprawy Jego mesyańskiego królestwa (p. Łuk. 24, 25).

Trzeba jednak przypuszczać, że właśnie ci najdawniejsi uczniowie Jezusa, mianowicie ci najpojętniejsi, musieli sobie zdawać dobrze sprawę z rożumnego celu swej misyi tak pełnej wyrzeczenia się siebie; z pewnością nie byliby

tak nierozsądni, iżby siebie samych i drugich mieli wydawać na najcięższe ofiary za jakieś tam wymarzone w podnieceniu ducha ideały, przechodzące wszelkie ludzkie pojęcia i wszelkie ludzkie siły i sposoby do ich zrealizowania w życiu choćby najidealniejszych ludzi.

Tyle rozsądku chyba już musimy przypuszczać u Apostołów Jezusowych.

Teolog, który za punkt wyjścia dla swoich zapatrywań o Bóstwie Chrystusa i Jego nadprzyrodzonym posłannictwie bierze takie kategoryczne zdanie, że nauka „o synostwie Bożem Chrystusa — w ogóle nauka o Chrystusie zagraża majestatowi i prostocie Ewangelii”<sup>1)</sup> — teolog, co pozbawia chrześcijaństwo właściwego ogniska, którem jest Bóstwo Jezusa Chrystusa — podobny jest do człowieka, co dla tego, że oko jego nie może wpatrywać się w tarczę słońca, chciałby zaprzeczyć istnieniu samego słońca.

Człowiek normalny wprawdzie nie spogląda wprost w słońce, ale z padających i koncentrujących się na jeden punkt promieni wnioskuje o niebieskim ciele, co te promienie w sobie skupia albo też wprost patrzy na słońce, osłabiwszy wprzód wrażenie jego blasku — nie zapoznając przytem rzeczywistej pełni jego światła...

Że Bóstwo Jezusa, jakoby nadprzyrodzone słońce w rzeczy samej jaśniej w Ewangelii

---

<sup>1)</sup> Harnack, Das Wesen des Christentums 143, 115.

Jezusa --- że gwałtowne przekręcanie Ewangelii, aby z niej usunąć dogmat chrystologiczny, jest dziełem pod względem nadprzyrodzonym zbyt drażliwego na światło i skutkiem dowolnej racjonalistycznej krytyki zepsutego oka, wynika to już z tego, co same pisma Nowego Testamentu, jak Ewangelia i listy św. Pawła, choć w części przez „krytyków” uznawane poświadczają, kiedy najwyraźniej mówią o Jezusie Chrystusie jako Synu Bożym prawdziwym i o wierze w to Synostwo Boże wśród pierwszych Jego uczniów i wyznawców.

## V.

### **Znaczenie chrystologii św. Pawła.<sup>1)</sup>**

Przytaczaliśmy dotąd świadectwa najbliższych uczniów Jezusa o Bóstwie Jego, a zaznaczone w Ewangeliach; obok nich i na równi z nimi należy podnieść świadectwo, jakie oddaje Chrystusowi i Jego Ewangelii św. Paweł, wprawdzie nie osobisty świadek życia Jezusa doczesnego i Jego działania — ale Apostół przezeń powołany i bezpośrednio pouczony. Świadectwo, jakie w listach swych, przez „krytykę” nawet uznawanych, oddaje św. Paweł Bóstwu Jezusa za grzechy cierpiącego i zmartwychwstałego jako istotnej i fundamentalnej ewangelicznej prawdzie, którą na-

<sup>1)</sup> Przez chrystologię św. Pawła rozumiemy naukę św. Pawła o Chrystusie jako Bogu.

leży wyznawać<sup>1)</sup> — jest tak wyraźne i tak silnie podkreślone, że musieli sobie z niego zdawać sprawę ci wszyscy nowoczesni krytycy, którzy jak n. p. Harnack zaprzeczają Bóstwa Chrystusowi i rugują je z Ewangelii.

Jakże może wobec Pawłowego Chrystusa, „Syna Bożego w mocy”<sup>2)</sup> ostać się Chrystus ograbiony z Bóstwa przez liberałów nowoczesnych i do godności zwykłego „Rabbi” zdegradowany? — Otóż tutaj trzeba było według metody t. zw. „historyczno-krytycznej” możliwości i niemożliwości, załatwić się z chrystologią św. Pawła, t. j. oddzielić ją od tego, co mówią o Jezusie Ewangelie synoptyczne (rozumie się znowu po swojemu oczyszczone z paulinizmu) — trzeba było podkopać historyczny fundament całej tej chrystologii Pawłowej, — oderwać Pawła od Chrystusa, t. j. zaprzeczyć bezpośrednio-osobistego jego do Chrystusa stosunku i tym sposobem wysunawszy go poza szereg naocznych świadków i uczniów Chrystusowych, obniżyć wartość rzeczową świadectwa, jakie ten Apostół w listach swoich oddaje Jezusowi i Jego Ewangelii...

A zatem trzeba było powiedzieć, że Chrystus Pawłowy jest płodem czysto subiektywnych „wizyi”, albo zlepkiem starożydowskich

---

<sup>1)</sup> „Jeśli byś wyznał usty twemi Pana Jezusa i uwierzył byś, że go Bóg z martwych wzbudził, zbawion będziesz” Rzym. 10 9, 10; por. I. Kor. 15, 14 n.

<sup>2)</sup> Rzym. 1, 4.



apokaliptycznych <sup>1)</sup> oczekiwań mesyańskich i obrazu Chrystusa „wizją” Pawłową objętego. A kiedy to wszystko gotowe — cóż wreszcie szkodziło powiedzieć, że ta cała teologia Pawła osnuta na legendzie (!) o zmartwychwstaniu Jezusa, za grzechy ludzkie ukrzyżowanego, oddziaływała na pojęcia chrystologiczne pierwszej gminy chrześcijańskiej<sup>2)</sup> tak dalece, że „historyczny” Jezus musiał ustąpić miejsca „dogmatycznemu” Pawła Chrystusowi, który odtąd staje się Chrystusem kościelnym...<sup>3)</sup>)

Chodzi nam zatem o to, aby zadokumentować wartość i doniosłość świadectw oddanych przez św. Pawła Jezusowi i Jego Ewangelii, a to przez samo zbadanie genezy nawrócenia się tego Apostoła i wiary jego w Chrystusa, oraz stosunku św. Pawła do jego boskiego Mistrza.

Czy objawienia, które otrzymał św. Paweł, były prawdziwe i rzeczywiste i czy zatem stosunek jego do Chrystusa opiera się na obiektywnej prawdzie — czy też jego obcowanie z Chrystusem było czysto subiektywnej natury i tylko halucynacją podnieconej jego wyobra-

<sup>1)</sup> Przez „apokaliptykę” rozumieć trzeba ten prąd myśli u Żydów, poczynający się mniej więcej od 200 lat przed Chrystusem, który za punkt wyjścia wziął starozakonne proroctwa, a za cel odsłonięcie i rozwinięcie przed narodem żydowskim zapowiedzianego i oczekiwanego przyjścia i dokończenia „Królestwa Bożego”.

<sup>2)</sup> Por. Harnack, *Das Wesen des Christentums*, str. 97, 114—116.

<sup>3)</sup> Por. Pfannmüller, *Jesus im Urteil der Jahrhunderte*, Berlin u. Leipzig 1908, str. 17.

żni? Paweł chrześcijanin, czy to jest tylko naturalny przetwór Pawła-faryzeusza i zagorzałego Żyda — czy też dziecko łaski nadprzyrodzonej?

Od rozstrzygnięcia tego zasadniczego pytania, zależy wartość i znaczenie świadectw oddanych przez św. Pawła Chrystusowi i całej tego Apostoła teologii, a temsamem po myśli „krytyków” — konsekwentnie i wartość całej religii chrześcijańskiej...

Cóż nam Dzieje apostołskie opowiadają o nawróceniu się św. Pawła?

Opowiadają one nieuprzedzonemu czytelnikowi, że w Pawle przed bramami Damaszku zaszła gwałtowna i całkiem niespodziana przemiana.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom powziął był Paweł nagle jak najgłębsze przekonanie o Zmartwychwstaniu i mesyańskiej godności Jezusa. W dniu tym łaski nie tylko odmienił Paweł swoje dotychczasowe przekonania — ale cała jego wola i cała istota uległa gruntownemu przeobrażeniu. Apostoł odczuł to swoje nawrócenie jako moment nowego stworzenia i opisuje je w silnych obrazach: Tak jako w zaraniu stworzenia światłość z ciemności zaświeciła — tak i Paweł stał się przez to nawrócenie nowem stworzeniem (II. Kor. 4, 6; 5, 17; Gal. 6, 15). W dniu tym zamarło w Pawle stare życie (Gal. 2, 19), a nowe się poczęło. — Czuje on odtąd, że mu świat jest ukrzyżowany, a on światu (Gal. 6, 14). Niebieskie zjawienie prze-

nikło także umysł i serce Pawła (II. Kor. 4, 6) i objawiło mu Syna Bożego i Jego Boską prawdę (Gal. 1, 16). Już ogląda Apostół spełnienie się tego, za czem serce jego tęskniło: uczuł się on dzieckiem i obywatelem mesyańskiego Królestwa...

Żaden jednak pomost tu nie łączy jego dawnego światopoglądu z nowym na wskroś sposobem myślenia...

A jakkolwiek nie jest nam dokładnie znana cała treść tej chrystofanii przed Damaszkiem, to jednak w objawieniu się tem Chrystusa Pawłowi zawiera się jakby w ziarnie cała Ewangelia Pawłowa. I tak n. p. w dniu tym utwierdzonym został Paweł w przekonaniu o mesyańskości i Synostwie Bożem zmartwychwstałego Jezusa z Nazaretu, w wierze w odkupienie i usprawiedliwienie dokonane śmiercią krzyżową Jezusa aż na tron Boży wywyższonego...

Za rzeczywistym objawieniem się Chrystusa Pawłowi przemawia najprzód świadectwo własne Apostoła, który słowem i czynem przez całe życie stwierdzał, że przez owe objawienie się mu Jezusa zmartwychwstałego cała jego istota uległa gruntownemu i stanowczemu przeobrażeniu wprost przeciwnemu dawnemu trybowi życia i sposobowi myślenia. Także towarzysze Pawła musieli by się tu łudzić...

Cały szereg nadprzyrodzonych faktów, jak oświecenie Pawła, podwójne objawienie się Chrystusa tak Pawłowi jak Ananiaszowi, odwiedziny u Ananiasza, nagłe potem wyzdro-

wienie Pawła i wreszcie szczególna, daleka działalność Apostoła narodów stwierdza prawdziwe i rzeczywiste objawienie się mu zmarłychwstałego Chrystusa.

Apostół sam używa (I. Kor. 9, i I. Kor. 15) na oznaczenie tego objawienia takich wyrażań jak n. p. był „widzian” i t. p., które w związku nie mogą mieć inne, jak tylko najwłaściwsze sobie znaczenie. Już zestawienie ukazania się Chrystusa Pawłowi z cielesnem ukazywaniem się Jezusa zmarłychwstałego innym Apostołom (I. Kor. 15, 5 n.) wskazuje na rzeczywistość objawienia doznanego przed Damaszkiem. Jakżeby mógł zresztą Apostół prawdę cielesnego zmarłychwstania wiernych uzasadniać nieprawdziwem, złudnem ukazaniem się jemu samemu Chrystusa, jako też innym Apostołom?

Św. Paweł nadto sam jak najwyraźniej, jak już wspomnieliśmy, odróżnia objawienie się to Chrystusa jemu jako ostatniemu z Apostołów, od innego rodzaju wizyi duchowych, jakich później doświadczał, o których jednak nie chętnie mówił (II. Kor. 12, 1 n.)<sup>1)</sup>; natomiast znów zjawieniem się mu Jezusa przed Damaszkiem otwarcie się zawsze chlubił. A zatem, skoro Paweł ujrzał Chrystusa przed Damaszk-

---

<sup>1)</sup> I tak np. zupełnie inaczej opowiada św. Paweł owe wzniesienie się do trzeciego nieba, które umieszcza między wizjami 2 Kor. (12, 1; p. Gal. 2, 2) albo zachwyt w modlitwie w świątyni (Dz. 22, 17), albo sen twój w Troadzie (Dz. 16, 9).

kiem, musiał być przekonany, że ten wywyższony Chrystus jest zarazem ziemskim Chrystusem, t. j. tym, co się narodził, nauczał i na krzyżu umarł. Do tego porównania ziemskiego Jezusa z uwielbionym Chrystusem skłaniała już Apostoła poprzednia znajomość Jezusa, której demysłać się możemy ze słów jego własnych (II. Kor. 5, 16): „A jeśliśmy znali Chrystusa wedle ciała...” Ci nawet z „krytyków”, którzy bronią hipotezy wizyi, muszą zgodzić się na tę znajomość Chrystusa u Pawła, jako na podkład naturalny powstawania podobnego rodzaju wizyi, jakie oni przyjmują.<sup>1)</sup>

Biorąc rzecz z punktu widzenia psychologicznego, nie da się bez osobistego spotkania się Pawła z Jezusem uwielbionym, duszę i zmysły olśniewającym, wytłomaczyć owa nagła o tak cudownych skutkach w tym Apostole przemiana — ani naturalną ducha jego ewolucją, ani jakąś subiektywną wizją... Jeśli się rozchodzi o wizję (naturalną), to musiałaby ona być taka, jakie do niej było przygotowanie w nastroju ducha. Nie ona nagłego przynieść nie mogła ani żadnej istotnej zmiany spowodować.

Z żydowską apokaliptyką o zstąpieniu Mesyasza i heleńską filozofią o ukazaniu się bożo-ludzkiego pośrednika już dawno był zaznajomiony uczony wychowanek faryzeuszów i z pewnością oba te kierunki nie mogły w nim żadnej

<sup>1)</sup> Por. J. Weiss, Paulus und Jesus, str. 22.

decydującej zmiany, żadnego tak gwałtownego przewrotu umysłu i serca wywołać; a zresztą dla uduchownienia materialnej powłoki ciała zmartwychwstałego Jezusa<sup>1)</sup> nie dostarczała podkładu ani faryzejska szkoła, ani helleńska mądrość, ani praktyczny rozum, ani doświadczenie codzienne.

Jakiegokolwiekbyśmy przyjęli u Pawła możliwe zmiany w usposobieniu jego wewnętrznem odnośnie do sprawy Jezusa — to kontrast ten tak jaskrawy między dawnem a nowem jego przekonaniem, a tak nagle się w nim pojawiający, pozostanie znowu dla „krytyki“ mimo najrozmaitszych hipotez niedocieczoną tajemnicą bez cudownego działania bożego, a mogła tylko polegać na rzeczywistem w ciele objawieniu się Jezusa porywającego zmysły i serce św. Pawła.

Takie gwałtowne a istotne zmiany w ludziach, zwłaszcza jeśli ich nie uprzedziły żadne przygotowania, zawsze są bardzo dziwne i trudne do wytłomaczenia, — a cóż dopiero powiedzieć o Pawle, tak zagorzałym Żydzie i faryzeuszu, który o sobie sam powiada, że „aż nazbyt przeciwko nim (t. j. chrześcijanom) szalejąc prześladował aż i do postronnych miast“ i to „nad miarę prześladował Kościół Boży i postępował w żydostwie nad wielu rówieśników swoich w narodzie, będąc więk-

<sup>1)</sup> Por. I. Kor. 15, 35 n.; p. Mat. 28, 7 n.; Marek 16, 7 n.; Łuk. 24, 15 n.; Jan 20, 14 n.

szym miłośnikiem ustaw ojczystych“...<sup>1)</sup> I tym też duchem nienawiści i gniewu przeciwko Kościołowi Chrystusowemu przejęty pędził do Damaszku...

Wtem dokonuje się w nim nagła i gwałtowna odmiana... Jakby piorunem rażony pada na ziemię... Obecni słyszą głos: „Panie, co chcesz, abym czynił?“ Chrystus, do tej chwili prześladowany rozkazuje, a Paweł słucha w pokorze i rychło wypełnia Pańskie rozkazy...

Faryzeusz - prześladowca przemienia się w apostoła i miłośnika Jezusa; dla niego teraz już wszystko poświęci i dumę faryzeusza i opinię świata — cały dotychczasowy sposób myślenia i żądze serca własnego, którego gniew dotychczasowy przeciwko samemu sobie obróci i powtarzać sobie będzie: „Poczytam wszystko za szkodę dla wysokiego poznania Jezusa Chrystusa Pana mego: dla którego wszystko postradał i mam sobie za gnój, abym Chrystusa zyskał...“<sup>2)</sup>

Nieraz zapewne przed nawróceniem budziła się w nim wątpliwość co do dotychczasowego jego sposobu życia i poczynania sobie z gminą chrześcijańską...

Czuł zapewne nieraz budzące się w nim wyrzuty sumienia - ale przytłumiała wszelki rozsądek i wszelkie działanie łaski namię-

<sup>1)</sup> Dzieje 26, 11. Gał. 1, 13, 14.

<sup>2)</sup> Filip. 3, 8.



tna Imienia Jezusowego nienawiść, a to sprzeciwianie się łasce Bożej, która go jak ościę kłuła (Dz. Ap. 26, 14), nie tylko nie osłabiło w nim tej żądy prześladowczej, ale ją jeszcze spotęgowało. Nie było u niego miejsca ni czasu na żadne refleksye, na żadne postanowienia, którym się nigdy nie poddawał, albowiem do ostatka był przekonany, iż — jak sam wyznaje, — „powinien był wiele czynić przeciw imieniu Jezusa Nazarejskiego...“ I wtedy właśnie, kiedy najwięcej „czynił“ — kiedy, jak się wyrażają Dzieje apostołskie „parskając groźbami i mordem przeciw uczniom Pańskim“, spieszył do Damaszku, aby „jeśliby które znalazł tej drogi męża i niewiasty... związane przywiódł do Jeruzalem“ wtedy — w chwili jak najmniej pomyślnej i spodziewanej, nagle przetwarza się w innego człowieka — nienawiść zamienia w miłość...

Tu już ustaje wszelkie czysto ludzkie tłumaczenie, tu nie wystarcza ani żadna choćby najintensywniejsza w podmiocie wizya, żadna z racyi podawanych przez Hartmanna czy innych krytyków, — tu tylko jedna jedyna jest odpowiedź, którą św. Paweł sam daje: „Z łaski Bożej jestem tem, czem jestem“ (I. Kor. 15, 10).

Bo jeżeliby się miała w Pawle dokonać ta zmiana jakkolwiek naturalną drogą — to zostałoby w nim choć trochę dawnego faryzeusza i zaznaczyłoby się to w jego sposobie życia czy nauczania! — A tu widzimy wprost przeciwne, nicoczekiwane zjawisko i to prawie

nie do uwierzenia . . . Ten, co był zwolennikiem ojczystych podań, jak zresztą każdy faryzeusz, gardzący wszystkimi poganami, — teraz nagle, ni stąd ni zowąd staje się przyjacielem i bratem narodów pogańskich i odważa się głosić tak pełną zgorszenia dla każdego Żyda zasadę, że „nie masz różności Żyda i Greczyna bo tenże Pan wszystkich” (Rzym. 10, 12), — owszem ze wszystkich innych Apostołów najmniej jest żydowskim, najwyraźniej głosi uniwersalizm religii Chrystusowej, bo przyjmuje pogan wprost na łono Kościoła, i stąd wycierpieć musi wiele przykrości od Żydów, zamkniętych ciasnem kołem nacyonalizmu i partykularyzmu . . .

Św. Paweł był faryzeuszem, t. j. jednym z tych, którzy ciągle ludowi żydowskiemu ukazywali Mesyasza w chwale i potędze króla i wodza, co silnem swem ramieniem miał „Żydów wyprowadzić z niewoli rzymskiej — i oto ten, dla którego Mesyasz cierpiący nie miał dotąd żadnej wartości i był jak innym podobnie myślącym Żydom kamieniem obrazy — ten Paweł, jak sam Harnack przyznaje — wysuwa na pierwszy plan swoich katechez cierpienia i śmierć krzyżową Mesyasza: „A my przepowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego, Żydom wprawdzie zgorszeniem, a Grekom głupstwem . . .”<sup>1)</sup> i co dawniej jako Żyd, a w dodatku faryzeusz uważał za głupstwo i zgorsze-

<sup>1)</sup> I. Kor. 1, 23

nie — teraz poczytuje to za moc Bożą i mądrość Bożą!<sup>1)</sup>

Jak się to stać mogło — co za przyczyna tak nagłego u Pawła zwrotu? — Nie ma tu innej i nie może być innej odpowiedzi jak ta, którąśmy już z ust jego własnych słyszeli i którą jeszcze w liście do Galatów powtarza: „Podobało się temu, który mię odłączył z żywota matki mojej i wezwał przez łaskę swoją“;<sup>2)</sup> ilekroć mówi o swoim nawróceniu, zawsze je poczytuje za dzieło miłosierdzia i łaski, której mu Bóg udzielił<sup>3)</sup> — nie tylko bez jego zasług, ale wbrew zasługom.

Łaska to była Jezusowa, która Pawła nie tylko uczyniła z faryzeusza wyznawcą i Apostołem Jezusowym — ale która zapaliła w nim najżarliwszą miłość ku Jezusowi: „Miłość Chrystusa przyciska nas...“, woła on (II. Kor. 5, 15).

A od tej ku Jezusowi miłości — nic go nie zdoła odłączyć...<sup>4)</sup> Żar tej miłości wypalił do reszty całą własną miłość Pawła — wypalił go jak żertwę, jak całopalną Chrystusowi ofiarę wśród niepojętych wewnętrznych i zewnętrznych walk, trudów i mąk... „mnie żyć jest Chrystus — a umrzeć zysk...“ (Filip. 1, 21).

Podobną bezinteresowną płonie miłością i ku wszystkim braciom w Chrystusie: „Albo-

<sup>1)</sup> I. Kor. 1, 24.

<sup>2)</sup> Gal. 1, 15.

<sup>3)</sup> Por. Efez. 1, 19; 3, 7.

<sup>4)</sup> Por. Rzym. 8, 35.

wiem ja sam żądałem odrzuconym być od Chrystusa za bracią moją . . ." (Rzym. 9, 3).

A ta miłość Pawła to żywioł ognia wszystko dokola pochłaniającego. — Prawie trudno uwierzyć, ile świata Apostoł ten przeorał swoimi myślaniami — ile go dla Chrystusa zdobywał... Taka miłość Pawła ku Imieniu Jezusowemu — a miłość ta z dnia na dzień potężniała mimo przelicznych mak i pokus — to zjawisko nie pozwoli się żadną naturalną ducha jego ewolucją, żadnym „żarem południowego słońca . . ." i t. p. wytłumaczyć — krom jednej przyczyny, a jest nią odwieczna Boża mądrość i miłość, co ludziom się objawia, a wywołuje w duszy wiernej takie same jak u św. Pawła słowa zachwytu i podziwu: „O głębokości bogactw, mądrości i wiadomości Bożej! jako są nieogarnione sądy jego i niedościgłe drogi jego? . . . Albowiem z niego i przezeń i w nim jest wszystko . . ." (Rzym. 11, 33 n.).

## VI.

### Wzywianie i uwielbianie Jezusa w pierwszej chrześcijańskiej gminie.

Chrześcijaństwo z pośród wszystkich innych religii świata tem się wyodrębnia, że od początku chrześcijańskie gminy uwielbiały swego założyciela Jezusa Chrystusa jako Boga. W Starym Testamencie ani do Abrahama, ani

do Mojżesza, jeřliby juŹ kto chciał ich uważać za załoŹycieli Źydowskiej religii, Źydzi się nigdy nie modlili. WyraŹna była przestroga: „Słuchaj Izraelu, Pan Bóg wasz jest jedynym Panem“. Zdanie to zawierało teŹ zasadniczą prawdę wiary w religii Źydowskiej. Kiedy się przeto część narodu Źydowskiego nawróciła do Jezusa ukrzyŹowanego, było to jednym z najcięższych zarzutów przeciwko chrześcijanom jako kacerzom, Źe kłaniając się Chrystusowi, wyznawali „dwie“ w niebie panujące potęgi<sup>1)</sup>. Jeden z najzagorzalszych ich przeciwników Rabbi Akiba miał zakończyć Źycie słowem: „Jeden“ — co było wyznaniem wiary w jednoosobowego Boga. TakŹe Islam czci jednego osobowego Boga, którego Mahomet jest tylko prorokiem; stąd ostro potępia „niewiernych“ dla ich wiary w Bóstwo Jezusa Chrystusa. W ostatnim stuleciu buddyzm zaprząłnął ogół nowych myślicieli; obcy ten przybysz z Indyi nagle zaczął w Europie cieszyć się wielką sympatią w bardzo szerokich kołach, których filozoficzne pojęcia są pokrewne z buddystycznym światopoglądem. Usiłowano teŹ w znacznej części nasze Ewangelie wytłomaczyć legendą o Buddzie. Mimo wszelkich podobieństw i analogii, jakie poplecznicy Buddy zaznaczają między Chrystusem a Buddą, chrześcijaństwo różni się dyametralnie od buddyzmu, nie mówiąc juŹ o innych sprzecznościach, tak

---

<sup>1)</sup> Por. Weber: „System der altsynagogalen Theologie“, str. 148; święty Justyn, Dial. c. Tryph. c. 63 n.

że buddystyczna religia mogłaby w całej swej rozciągłości pozostać tem, czem jest w rzeczywistości, nawet gdybyśmy pojęcie Buddy całkiem z niej wyrugowali.

Tymczasem co by się stało z chrześcijaństwem bez Chrystusa? „Budda poszedł do nirwany; mogą jego wyznawcy doń wołać, on ich słyszeć nie będzie; dla tego buddyzm jest religią bez modlitwy!“<sup>1)</sup> Chrześcijanie zaś od początku modlili się do Chrystusa jako do swego Boga.

W roku 112 naszej ery, pisze Pliniusz, prokonsul Bitynii, list do cesarza Trajana, z którego dowiadujemy się, iż znajdowali się w tej rzymskiej prowincyi i tacy chrześcijanie, co od pewnego czasu odstąpili od wiary i kultu chrześcijan. Ci wyznali między innemi, jako całą swą winę — że kiedy jeszcze należeli do chrześcijańskiej gminy — w oznaczonym dniu (niedzielę) zwykli byli wczas rano się zgromadzać i Chrystusowi jako Bogu śpiewać hymn uwielbienia... Tak opiewało to sprawozdanie o zachowaniu się i wierze pierwszych chrześcijan nie w ustach wiernych, ale w ustach renegatów; z tego też pokazuje się, jakie miejsce zajmował Chrystus w publicznej służbie Bożej i modlitwach pierwszych chrześcijan...

To co z sobą najstarsze gminy chrześcijańskie wiązało — było wzywanie Imienia Jezusa.

<sup>1)</sup> H. Oldenburg, Buddha 1881, 329 nast., 377 nast.

Nie potrzeba przypominać, że nie należy tak rozumieć, jakoby w ówczesnem chrześcijaństwie ustało już wzywanie Boga-Ojca niebieskiego, albo ustąpiło przed wzywaniem Imienia Jezusa Chrystusa. Wszystkie pisma Nowego Testamentu poświadczają to wzywanie pierwszej Osoby Trójcy Przenajśw. — Modlitwa „Ojcie nasz“ nie wyszła z pamięci i wcale nie była mniej cenioną dla tego, że ją nawet Żyd mógł odmawiać. Zwłaszcza dopóki istniała jeszcze świątynia jerozolimska, Apostołowie stosowali się do starozakonnego Prawa, brali nawet udział w służbie Bożej o starozakonnym rytuale i o przepisanych godzinach zbierali się w świątyni na modlitwę, aby z ludem i za lud do Boga swego Ojca się modlić<sup>1)</sup>. Przy wszystkim tem jednak, co w ogólności łączyło chrześcijan z narodem żydowskim, musiał w kulcie chrześcijan zaraz z początku uwydatnić się charakterystyczny moment, a było nim wzywanie i uwielbianie Jezusa jako Boga. — Ten kult Jezusa odrazu ich odgraniczył nieprzebytą od reszty czcicieli jednego Boga przepaścią, a między sobą zjednoczył. — Mimo różnic tu i owdzie powstających w niektórych gminach lub między samemi gminami — jednomyślność wszystkich w tym punkcie kultu Jezusa była niewątpliwie tak uderzającym faktem, że określenie „wzywający

<sup>1)</sup> Por. opowiadanie Hegezypa o nieustającej modlitwie Jakóba apostoła. Euz. H. E. II. 23, 6.



Imienia Jezusowego“ w tej chwili pojęcie chrześcijan nasuwało.<sup>1)</sup> Wzywanie to Imienia Jezusowego było tak istotnem w kulcie chrześcijańskim, że bez niego nie można sobie ani pomyśleć religijnego życia pierwszej chrześcijańskiej gminy. Największą z trudności — którejby jedność ówczesnego chrześcijaństwa osłabić mogły, było to przeciwieństwo, jakie zachodziło pomiędzy Żydami-chrześcijanami, którzy Palestynę gęsto zamieszkiwali i życie chrześcijańskie na sposób żydowskiego rytuału i przepisów prawa Mojżeszowego prowadzili — a gminami przeważnie z pogan-chrześcijan złożonemi, które był św. Paweł założył i za niezależne od Prawa staro-zakonnego uznał. Mimo to św. Paweł zaznacza jednomyślność wśród wszystkich gmin chrześcijańskich, która znajdowała swój wyraz w wzywaniu Imienia Jezusowego. Do Rzymian pisze: „Albowiem nie masz różności Żyda i Greczyna, bo tenże Pan wszystkich, bogaty na wszystkich, którzy go wzywają“ (10, 12).

I tu właśnie pokazuje się także, jak ważne znaczenie miało to wzywanie Jezusa, skoro zaraz bezpośrednio do powyższych słów dołącza św. Paweł słowa Joela proroka: „Albowiem wszelki którybykolwiek wzywał Imienia

<sup>1)</sup> Por. *Martyr. Polyc. c. 17, 2*; *Luc. de morte Peregrini 11, 13*. Origen. c. *Celsum VIII 12—14*. por. *Kraus, Roma soterranea II. str. 257*. Już Hadryan jak i Alex. Severus mieli zamiar Chrystusowi jako Bogu wzniesć świątynię (*Lampridius, Alex. 33*); por. *Lightfoot, Ignatius — Polycarp. I. 441*.

Pańskiego zbawion będzie“ (2, 32). Św. Paweł wiedział, że prorok nie mówił tu o Jezusie, Panu chrześcijaństwa, ale tylko o Bogu Izraela, którego imię „Jahwe“ w greckiem tłumaczeniu wyraża się przez nazwę „Pan“ = „Wieczny“. Ale mimo to widzi on wypełniające się proroctwo w wzywaniu Imienia Jezusa przez Jego wyznawców; jest ono tak dzielnem i skutecznem, jak owo prawem Starego Zakonu wymagane wzywanie Jehowy — owszem jest ono z tamtem identyczne.

Św. Paweł jako wierzący Żyd wie, że kiedy wzywa się z wiarą Jezusa, to tem samem w duchu i prawdzie dopełnia się jednego z warunków zbawienia, a mianowicie tego, który Bóg w Starym Zakonie postawił wszystkim, co pragnęli się zbawić. W całej tedy swej rozciągłości i mocy przeszło wzywanie starozakonnego Jehowy na wzywanie Jezusa Chrystusa. Celem też prac apostolskich jest, jak to wynika z dalszych słów św. Pawła, rozszerzanie czci tego Imienia Jezusa przez pobożne i z wiarą Jego wzywanie — tak wśród Żydów wzywających jednego Boga, jak i wśród pogan, nie znających Boga.<sup>1)</sup>

Dokądkolwiek Ewangelia Chrystusa dotarła i posłuch w sercach znalazła — tam nie tylko uznawano zmartwychwstałego Jezusa

<sup>1)</sup> Rzym. 1, 14, 15: Jakoż tedy wzywać będą, w którego nie uwierzyli? Albo jako uwierzą temu, którego nie słyszeli? A jako usłyszą, oprócz przepowiadającego? A jako będą przepowiadali, jeśliby nie byli posłani. . . .

za Pana, ale Go także wzywano. W tym względzie nie było nigdy najmniejszej różnicy wśród chrześcijan owego czasu prócz tej, która zawsze będzie, t. j. że jedni wzywają Jezusa z „czystego“ i szczerego serca, a drudzy czczą Go tylko wargami, ale serce ich dalekiem jest od Niego.<sup>1)</sup> — Ale tak daleko krytyka historyczna nie sięga. — Jest tedy niewątpliwem, że nie upłynęło jeszcze trzydzieści lat od śmierci Jezusa, kiedy starsi Apostołowie i krewni Jezusowi tak samo i Paweł Apostół, setki też żydowskich chrześcijan, którzy Jezusa przed i po Zmartwychwstaniu oczyma oglądali i tysiące z Izraela, którzy weń uwierzyli,<sup>2)</sup> dalej chrześcijanie nawróceni z pogan w Efezie, czy w Koryncie lub gdzieindziej, wzywali Jezusa i cześć Mu boską oddawali, jak przedtem starozakonnemu Jehowie czy staropogańskim bogom.

To jednakże, co było tak wspólnem całemu chrześcijaństwu i co nie wywoływało nigdy żadnej najmniejszej wątpliwości między najróżnorodniejszymi i najodleglejszymi gminami chrześcijańskimi, to nie mogło tak nagle i w tak krótkim czasie samo z siebie się wyłonić, — to sięga do korzenia tego rozgałęzionego już drzewa chrześcijaństwa.

Nie możemy sobie wyobrazić w ciągu 20–30 lat od narodzin Kościoła żadnego epoko-

---

1) Por. 14. Tym. 2, 22.

2) I Kor. 15, 6; Rom. 11, 4. Orig. t. I. 2 in Joan.

wego wydarzenia, któreby tak na całość chrześcijaństwa było oddziaływało, iżby stąd dopiero wynikło to powszechne wzywanie i uwielbianie Jezusa. Paweł nie mógłby tak się odzywać, jakeśmy go już słyszeli mówiącego, gdyby już wówczas, kiedy z prześladowcy Jezusa stał się Jego wyznawcą — nie był poznał uczniów Pańskich w Damaszku i Apostołów w Jerozolimie jako czcicieli Jezusowego Imienia.

Nie ma zatem najmniejszej podstawy zdanie, jakoby Dzieje apostolskie zapatrywania późniejsze przeniosły w pierwotne czasy Kościoła, skoro już w czasie nawrócenia się Pawła chrześcijanie w Damaszku według słów Ananiasza i Żydów tamtejszych noszą miano „wzywających Imienia Jezusowego“<sup>1)</sup>, albo kiedy według tychże Dziejów apostolskich słyszymy świętego Szczepana modlącego się za swych morderców do Jezusa: „Panie Jezu przyjmij ducha mego, Panie nie poczytuj im tego grzechu“<sup>2)</sup>. Już nawet w dzień zesłania Ducha św. użył Piotr wspomnianych słów Joela proroka w tem samem znaczeniu, co i Paweł; albowiem w mowie do tego proroczego tekstu nawiązanej usiłuje wykazać, że Jezus z Nazaretu, „mąż od Boga pochwalony cudami, którego Żydzi umęczyli — przez Zmartwychwstanie i wywyższenie stał się „Panem i Chrystusem“. Jezus zatem jest „Panem“ czyli Bogiem, a w Jego

<sup>1)</sup> Por. Dz. 9, 14, 21; 22, 16.

<sup>2)</sup> Dz. 7, 59, 60; por. Łuk. 23, 34, 46, Jan 19, 30; por. Dz. 1, 24.

wzywaniu z wiarą i miłością, według słów proroka Joela — leży zbawienie ciężką winą okrytego Izraela.

Inwokacya „Kyrie elejson“ (Panie zmiłuj się) jest tak dawna, jak sam Kościół. Cześć, jaką oddawano Jezusowi przez to wzywanie Jego miłosierdzia, nie da się w żaden sposób porównać z czcią Świętych Pańskich w Kościele wyrażaną w modłach i prośbach, zwracanych do nich o pośrednictwo przed Bogiem.

Wzywanie miłosierdzia u Jezusa zawiera w sobie prośbę o dobra, których dawcą może być tylko sam Bóg. Już nie na łono Abrahama zanoszą Aniołowie duszę pobożnego, lecz Jezus żyjący w niebie jest Tym, który ją przyjmuje i wprowadza do domu Ojca swego. Jak tu na ziemi przebaczał ludziom, tak może tego dokonać i z nieba,<sup>1)</sup> ale nie jako „sługa Boży“, lecz jako „Pan“ mocą swej dobroci i łaski.

Nie jesteście On zwiastunem i pośrednikiem łaski Bożej, ale Jego to własna łaska jest, której życzą Apostołowie na początku i końcu swoich listów wiernym. Doznać Jego litości znaczy tyle, co osiąść stan łaski;<sup>2)</sup> Jego zmiłowanie jest warunkiem koniecznym doczesnej i wiecznej szczęśliwości wiernych.<sup>3)</sup> Jeśli list do Żydów przedstawia Jezusa jako najwyż-

<sup>1)</sup> Por. Dz. 7, 59.

<sup>2)</sup> Por. I. Kor. 7, 25 gdzie wyraz *χρῆτος* tak na pierwszym jak i na drugim miejscu oznacza Chrystusa; I Tym. 1, 12—16.

<sup>3)</sup> Por. Tymot. 1, 16, 18; 4, 17, 18.

sze go kapłana, który umie współczuć i litować się słabości wiernych swoich, albowiem był On „kuszonym we wszystkim na podobieństwo“<sup>1)</sup> — to wyrażone tem samem pośrednictwo Jezusowe, o jakim wszędzie mówią pisma Nowego Testamentu; wiara ta znalazła swój oddźwięk w modłach Kościoła, iż wszelka łaska Boga dostaje się nam w udziale przez Jezusa zarówno z Bogiem Ojcem i Duchem św. królującym w niebie.

Jeżeli autor listu do Żydów żąda, abyśmy do tronu Bożego, jako tronu łaski z ufnością przystępywali, a trzeba to rozumieć o modlitwie, — to modlitwa ta jest nie tylko wzywaniem Boga światem władającego, ale też i pierwszym apelem do miłosiernego Serca Jezusa, tego<sup>2)</sup> najwyższego kapłana i Bożego tronu uczestnika.

Jezus pozostaje nie tylko w jakimś ogólnym stosunku do całości gminy chrześcijańskiej, ale i do każdego z osobna chrześcijanina, który Go wzywa; — i jakiekolwiek byłyby potrzeby Jego wyznawców, chociażby najdalej po świecie rozproszonych — umie On wszystkim tym potrzebom zapobiegać skutecznie swoją łaską; nie są tu wykluczone nawet doczesne potrzeby i niemoce. Przykładem tu jest sam św. Paweł. Jakkolwiek będziemy sobie tłumaczyli ów „bodziec ciała“, na który

---

<sup>1)</sup> Żyd. 4, 15, 16.

<sup>2)</sup> Por. Żyd. 4, 15 n. p. 10, 19—22; 2, 17 n.

skarży się Apostół w 2 liście do Koryntyan<sup>1)</sup> — to w każdym razie tak tutaj, jak i w innych analogicznych miejscach listów jego, jest mowa o dolegliwościach w obrębie ludzkiej natury doczesnej, o „krewkościach“ i różnych „pokusach w ciele“<sup>2)</sup>, które z pomocą łaski Chrystusowej słabną, opanowane siłą duszy łaską tą wspartej. Sam to św. Paweł poświadcza, kiedy się zwierza tak z tych swoich dolegliwości, jako też i z modlitwy zanoszonej wśród nich do „Pana“, t. j. do Jezusa i odpowiedzi otrzymanej: „Dosyć masz na łasce mojej...“

Jeżeli tak się modlił do Chrystusa św. Paweł, to o ileż naturalniejszym i ściślejsem było tego rodzaju obcowanie z Chrystusem w modlitwie u tych wszystkich uczniów Jezusa Chrystusa, którzy przez obcowanie z Nim za żywota Jego doczesnego nabyli zwyczaju zwracania się doń we wszystkich okolicznościach życia i potrzebach.

Gdyby Go nie uważali za rzeczywiście zmartwychwstałego i każdemu z osobna się uprzytamniającego, byłoby to dla nich niepojętem i niezwykłym osobiście z Chrystusem nadal przestawać.

Ale oni byli o tem przeświadczeni, że Chrystus żyje — i w owych dniach po Zmartwychwstaniu, kiedy się utwierdzili w tem przeświadczeniu, przekonali się zarazem, że Jezus teraz

<sup>1)</sup> II Kor. 12, 7—9; 10, 10 por. Gal. 4, 13 n.

<sup>2)</sup> Gal. 1, c.



po swoim Przemienieniu chwalebnem nie mniej jak za swego ziemskiego żywota o każdego potrzebach pamięta; jednemu tej, drugiemu znów innej łaski udziela. Zjawienia się Zmartwychwstałego ustały, ale nie ustała wiara w ten stan rzeczy nadal, owszem wzmacniała się wśród coraz to żywszego duchowego obcowania wiernych z Chrystusem. Wierzyli i odczuwali pierwsi uczniowie Jezusowi to osobiste przedstawianie z Jezusem, ilekroć doń się modlili. Można by się zapytać, czy to wzywanie Jezusa posiadało ten sam charakter obcowania i u tych, co przedtem z Jezusem osobiście nie przedstawiali?

Ale tu już i sam przykład św. Pawła wykazuje, że rzeczywiście tak było. Jak według Dziejów apostoelskich dla nawrócenia się Pawła rozstrzygającym momentem była wzajemna wymiana słów między Jezusem a Pawłem, tak i w dalszym biegu życia pozostawał ten Apostół w ustawicznym z Jezusem obcowaniu na jawie czy we śnie wśród wzajemnej z Nim rozmowy; stąd mimo tylu wyznań swej słabości, nie możemy dopatrzeć się śladu, aby się kiedykolwiek łudził co do obiektywnej wartości tego stosunku do Zbawiciela.

Wyraźnie zapewniają także pierwsi świadkowie, przyjaciele Jezusa — jak on ich sam nazwał — iż co do tej łączności ścisłej z Jezusem niema różnicy między nimi a resztą chrześcijan, którzy Pana nie widzieli, a przecież Go miłują.

Takim samym Jezus pozostał dla modlącej się doń pierwszej rzeszy chrześcijan, jakim był dla najbliższych swych uczniów. Ci mieli Go nie tylko za głosiciela Ewangelii, Zbawiciela dusz, przebaczącego grzechy — ale także za lekarza tak duchowo, jak cieleśnie chorych — za władzcę całej stworzonej przyrody.

Zwłaszcza uzdrawianie chorych było Jego często powtarzającym się zatrudnieniem. Tu się bowiem uwydatniał charakterystyczny moment Jego posłannictwa jako Zbawcy i przyjaciela nieszczęśliwej ludzkości. Widziały Go rzesze ludu oddanego przez cały dzień temu zatrudnieniu aż do zmęczenia. Według tego musiała się też rozwinąć wiara, z jaką modliła się pierwsza gmina do swego uwielbionego, choć już nieobecnego Boskiego założyciela.

A nie wolno nam myśleć, jakoby ta wiara w zbawczą moc Jezusa u pierwszych chrześcijan zacieśniała się tylko w obrębie duchowych jej potrzeb. Nie, odkąd Jezus, dokonawszy dzieła Odkupienia, wstąpił do nieba, nie tylko nie zmniejszyła moc Jego i litość serca, ale się jeszcze bardziej pierwszej chrześcijańskiej gminie uprzytomniła, mianowicie co do zajmowania się i zapobiegania wszystkim ludzkim potrzebom. Kiedy za życia swego ziemskiego Jezus tylko niektórym wybranym dał tę możność osobistego z Nim zetknięcia się i usłyszenia tych słów: „Chcę, bądź oczyszczony“, „wstań, weźmij łoże swe“, „niech ci się tak stanie“ i t. p. — to obecnie z nieba

zostaje On udziałem każdego chrześcijanina; każdy może wśród różnych boleści nie tylko duszy ale i ciała z tej ziemi do Niego skutecznie wołać: „Panie, zmiłuj się nademną“.

Wiara zaś ta potwierdzała się jeszcze bardziej doznawanemi mocą Imienia Jezus uzdrowieniami z różnych cielesnych niemocy. Wiemy z listu św. Jakóba, że należało to do częstych i zwykłych wypadków, że przez modlitwę z wiary i przez sakramentalne namażenie chory odzyskiwał zdrowie nie tylko duszy ale i ciała. Tak samo i Dzieje apostołskie opisują różne cielesne uzdrowienia dokonywane przez Apostołów, mocą Jezusowego Imienia.

Nawet nieprzyjazna chrześcijanom żydowska literatura oddaje w tym względzie niepodważane świadectwo starochrześcijańskiej gminie.

Do Jezusa zatem uwielbionego w niebie zanoszono modły o uzdrowienie z cielesnych cierpień tak, jak to czynili różni chorzy za życia Jego doczesnego. Praktyka ta stwierdza z góry wiarę, a raczej zawiera ją w sobie, że wywyższony Pan posiada Boską wszechwiedzę i moc; że nie masz żadnej w ludzkim życiu potrzeby i nędzy, w którejby nie zdołał czy nie chciał okazać się nam miłosiernym Samarytaninem z całym zasobem swojej wszechmocy i litości; że nawet Aniołowie, co Mu za życia Jego ziemskiego „służyli“ — teraz jeszcze w pełniejszym znaczeniu stali się Jego poddanymi, jako służy

i narzędzia Jego wszechpotężnej woli. I to właśnie przekonanie o współudziale Jezusa w Boskich rządach świata znalazło swój wyraz w określeniu: „siedzący po prawicy Bożej“.

W pośród wielu imion i tytułów, w jakich wyrażała pierwsza gmina swoją cześć i wiarę w Jezusa, kiedy Go w modłach wzywała codziennych — górowało imię: „Pan“ lub „Pan Jezus“; najchętniej też niem swego Boskiego Mistrza nazywała.

Dla Apostołów i pierwszych uczniów Jezusowych była ta tak wdzięczna nazwa „Pan“ wystarczającą do określenia Tego, którego uważali za najwyższego i najdosłojniejszego, Boskiego Mistrza i Zbawcę. Tak do niego się co dzień odzywali („Nauczycielu, Panie“ — Jan 13, 13), zarówno na ziemi z nimi przebywającego, jak też i później „po prawicy Bożej siedzącego“.

Wiedzieli oni dobrze, że jest wielu, którzy się „panami“ zowią i w pewnym względzie są nimi; jeśli jednak mimo to Jezusa jako Pana i „swego Pana“ uznawali, to brali oni tę nazwę w tem pełnem jej znaczeniu, jakie miała ona wtedy, ilekroć Żydzi o Bogu jako swym „Panu“ się wyrażali.<sup>1)</sup>

Takiemu zaś Panu należy się Boskie uwielbienie, a Temu, do którego wołano:

<sup>1)</sup> Nazwa ta „Pan“ w pojęciu najstarszej chrześcijańskiej gminy i w świadomości własnej Jezusa „przenosi Jezusa w sferę Boga“.

„Kyrie elejson“ („Panie, zmiłuj się“), należy się wyznanie, że jest On „jedynym Panem“, poza którym żadnego innego gmina chrześcijańska nie posiada (I. Kor. 8, 6).

A przecież ci, co tak o Nim i do Niego mówili, widzieli, jak znużony drogą, głodny i spragniony przy studni Jakóba odpoczywał i jedli z Nim i pili — widzieli jak się do Ojca modlił w życiu swem i w Ogrójcu, kiedy się w krwawym pocie zmagał... Mimo tych niezliczonych cudów, jakie zdziałał, rysy Jego ziemskiego żywota wraz z wszystkimi doczesnemi tegoż potrzebami nie zatarły się w ich pamięci. Narzuca się tedy pytanie: Czy Jezus był tylko człowiekiem, którego przyjaciele w kilka tygodni po Jego śmierci za Boga ogłosili?

Tak dla Żydów jak i pogan było to niesłychanem zgorszeniem, by ukrzyżowanego człowieka za Boga uważać i wzywać.<sup>1)</sup>

U pogan było to zwykłą rzeczą wynieść człowieka do godności bóstwa i czcić go jako takie.

Ale już wiele czasu upłynęło, odkąd grecki myśliciel uważał wszystkie postaci bogów olimpijskich za urodzonych i zmarłych ludzi, dla zasług około kultury ubóstwionych.

Wprawdzie jeszcze cesarz zmarły wchodził w szereg bogów, ale i to pewnem, że żaden z ludzi na całym imperyum rzymskiem nie modlił się do cesarza jako boga w swoich potrze-

---

<sup>1)</sup> Cicero chciał, by słowo krzyż nawet wspomni-  
nem nie było w mieście wolnem: (Pro Rabirio, V).

bach. Nawet styl oficjalny nie wykazuje śladu jakiegoś poważnego traktowania tego rodzaju modlitwy; nie może tu być mowy o jakiejś wierze, jakoby ci świeżo kreowani bogowie mogli zsyłać gminie czy jej poszczególnym członkom jakieś rzeczywiste błogosławieństwo.

Posiadamy panegiryk na cześć cesarza Trajana, wygłoszony przez konsula Pliniusza w obecności cesarza i zebranego senatu. Można by go porównać z kazaniem wygłoszonym przez nadwornego kaznodzieję w dzień urodzin monarchy. Mówca zwraca się raz w przemowie do Nerwy wyniesionego pod gwiazdy, poprzednika zasiadającego przed nim cesarza. Ale tylko tyle umie powiedzieć bogu-cezarowi w niebie, że to będzie dlań wielka radość, skoro jego następca na ziemi jest jeszcze lepszym od niego.

W rzeczywistości cesarz na ziemi, który był jeszcze tylko człowiekiem, był więcej wart od ubóstwianego ex-cezara w niebie. Modlitwa za zdrowie cesarza i dobro państwa, którą konsul na końcu w poważnych słowach wygłasza, nie zwraca się do nowoobranego quasi boga — ale do starych dobrych bogów, a przede wszystkim do Jowisza pana i opiekuna wiecznej Romy.

Jeżeli powrócimy od tego obrazu pogańskiego ubóstwiania ludzi do uwielbiania żywego Boga wśród żydowskiego ludu czy powstającego Kościoła, — to spotkamy się tutaj z je-

dnym głosem potępienia wszystkiego, co ma jakiś związek z tego rodzaju czcią czy żywych czy zmarłych ludzi. Choć tego rodzaju uwielbienie cezara, nie na seryo traktowane, było tylko ceremonią, w której symbolizował się majestat państwa rzymskiego i jego światowładnej potęgi — mimo to w oczach tak Żydów jak i pierwszych chrześcijan owa adoracya nie miała żadnego usprawiedliwienia; za uwłaczanie czci Boga prawdziwego i bluźnierstwo zawsze uchodzić musiała.

Kiedy w roku 38 i 39 wystawiono ołtarz w Palestynie krótko panującemu cesarzowi Kaliguli i kiedy nawet w żydowskich synagogach posągi jego poumieszczano, krzyk oburzenia wydał cały naród żydowski. I kiedy potem Kaligula na przekór Żydom z bronią w rękę kazał w świątyni jerozolimskiej swój posąg postawić, o mało już wtedy krwawe nie wybuchły zamieszki, co miały po 30 latach ostatecznie zakończyć się zburzeniem Jerozolimy. Nie chodziło Żydom bynajmniej o osobę takiego cezara jak Kaligula, ale o to głównie, że wogóle człowiek żądał czci Boskiej dla siebie od tych, którzy „wiedzą co czczą“.<sup>1)</sup> A tak samo jak Żydzi, byli w tym względzie usposobieni i chrześcijanie palestyńscy i wszyscy ci misjonarze, którzy z Palestyny nieśli wiarę poganom; ich to mamy na myśli, gdy jest mowa o uwielbianiu i wzywaniu Jezusa. Zachowali oni to dobrze w pamięci, że Jezus sam podnosił

---

<sup>1)</sup> Jan 4, 22.



znaczenie zasadniczego artykułu wiary żydowskiej o jednym Bogu godnym uwielbienia. Oni tę prawdę o czci jednego Boga przepowiadali wszystkim, którzy jej jeszcze nie znali — a ta właśnie ciągła styczność z poganami i z wstrętnym ich kultem jeszcze bardziej przyczyniła się do utrwalenia prawdy, że każde oddawanie Boskiej czci stworzeniu jest zuchwalstwem wyzywającym Boga i czemś nieślychanie potwornem dla wierzących.

I znowu pytanie: Jak to się stało, że wierzący po chrześcijańsku Żydzi, którzy wzdrygali się przed oddawaniem czci Boskiej stworzeniu, ... uwielbiali i wzywali Jezusa jako Boga, na którego życie ziemskie i poniżającą śmierć patrzeli?

Nie będzie to zadowalniającą odpowiedzią, gdy się powie, że byli oni dalecy od tej pogańskiej myśli, aby z swej strony człowieka, choćby najświętszego, do godności Boga wynosić; że byli raczej przekonani, iż Bóg tylko podniósł Jezusa z niskości ziemskiego żywota i Panem nieba uczynił. Albowiem, pominąwszy tę okoliczność, że ostatecznie i poganie w to wierzyć mogli — o ile jeszcze brali na seryo cześć swych herosów, pozostanie faktem w swoim rodzaju jedynym, że nigdzieindziej, jak tylko w wierze i umysłach uczniów Jezusowych, nie spotykamy się z rzeczywistym wyniesieniem na tron Boży człowieka Jezusa o równej z Bogiem istocie i chwale.

W jaki jednak sposób taka cześć Jezusa przedostała się w ich umysły?

Dla pogan była ona głupstwem, dla Żydów strasznem bluźnierstwem, nie masz innej na to (zapewne znowu „tajemnicze“ dla Harnacka zjawisko) odpowiedzi nad tę, że dla chrześcijan-Żydów przypuszczenie takie nawet nie byłoby możliwem, aby kogoś jako Boga w modlitwie uwielbiali, który takim stał się dopiero z biegiem czasu. Pojęcie Boga-nowicyusza, co dopiero stał się Bogiem, było dla nich czemś sprzecznem samem w sobie (*contradictio in adiecto*). Bóg się nie staje (*non efficitur*), ale Bóg jest, Bóg będzie.

Wyznawali to o Chrystusie, co Kościół o Nim śpiewa w prefacyi: *Id quod fuit perman-sit et quod non erat assumpsit...*<sup>1)</sup> To też o Jezusie wyznawano, ilekroć się doń modlono; to wyznają już pierwsze chrześcijańskie pokolenia.

Jeśli by już wypadło mówić o rozwoju pojęć religijnych pierwszej chrześcijańskiej gminy na tle jej stosunku do Jezusa, to możnaby przyjąć pewną ewolucję i powolne udoskonalenie i wykształcenie się chrystologicznych pojęć uczniów Jezusowych; nie jednak takie, o jakim prawi „krytyka“, tj. czysto naturalne, którego źródłem i ostatecznem wykończeniem miała być teologia Pawła czy Jana, — ale którego źródłem był sam Chrystus,

---

<sup>1)</sup> Tem czem był pozostał, a to, czem nie był — przyjął.

t. j. Jego nauka i życie i wreszcie łaska Ducha św. w dzień Zielonych Świąt im zesłanego i dokonywującego stanowczego zwrotu w ich dotychczasowem religijnem myśleniu oraz ostatecznego wyszkolenia umysłów i serc w wierze i miłości ku Chrystusowi Panu.

Możnaby powiedzieć, że ten sam Duch, który sprawiał, że z serca uczniów Jezusowych wyrывało się niepowstrzymane wołanie: „Abba, Ojcze!” jakoby głos natury — ten sam Duch był, przez którego również wołali: „Panie Jezu, wspieraj!”

Oprócz modlitwy Pańskiej („Ojcze nasz”) posiadali pierwsi chrześcijanie inny jeszcze rodzaj modlitwy, modlitwy na wskroś chrześcijańskiej, do której sam Chrystus Pan szczególniejsze łaski przywiązał. Była to modlitwa w Imię Jezusa.

To też w Imię Jezusa modliła się zawsze gmina chrześcijańska, o czem świadczą tak Dzieje apostołskie jak i najstarsze chrześcijańskie pisma.

Modlić się w Imię Jezusa oznacza przede wszystkim wzywać Boga z powoływaniem się na Jezusa i z świadomością o przynależności do Niego.

Ci, co się w modlitwie do Boga w Jego łączą Imię, wiedzą z Jego własnych słów, czem się istotnie różni ich stosunek do Niego od wzajemnego obcowania wszystkich innych zmarłych i żyjących ludzi. Wiedzą najprzód, że Jezus od swego Zmartwychwstania i Wnie-

bowstąpienia jeszcze pełniejszym żyje życiem i pełnym jest działania; że bierze udział z Bogiem w rządach świata i że za swymi uczniami Ojca ciągle prosi. — Powtórę wiedzą także, że się im teraz, gdy jest wywyższonym, uprzytomniać może i chce; że chce być ich sprzymierzeńcem w pracach, a przede wszystkim, że niewidzialnie z nimi obcuje w modlitwach w Imię Jego podejmowanych.<sup>1)</sup>

Modlitwa zatem w Imię Jezusowe jest to wzywanie nie kogoś zmarłego, ale żywego, — nie kogoś nieobecnego, ale obecnego. Z tego też samo przez się wypływa, że ci, co się w Imię Jezusa modlą do Boga, równocześnie tem samem modlą się i do Jezusa. Byłoby to niepojętą abstrakcją, wyobrażać sobie Jezusa u Boga jako współrządzającego światem i przychyńcę za wiernymi i znowu przytomnego wspólnej wiernych modlitwie, — a jednak mniemać, że to, co równocześnie w Jego przytomności do Boga się mówi, nie dociera do Jego serca jako wzywania i prośby Jego własnych wyznawców i miłośników. Że modlitwa w Imię Jezusa równocześnie i do Niego samego się odnosi, sam Jezus to poświadczył w chwili, kiedy rzekł: „O cokolwiek prosić będziecie Ojca w Imię moje, to uczynię, aby był uwielbion Ojciec w Synie“<sup>2)</sup>). A więc mówi, że modlitwę zanoszoną do Ojca w Imię Jego sam

---

<sup>1)</sup> Mat. 18, 20; 28, 18, 20; Jan 12, 32; 14, 16; 15, 4 n.; 16, 6.

<sup>2)</sup> Jan 14, 13.

przyjmie jakby do siebie skierowaną, albowiem już nie o Ojcu, ale o sobie mówi na mocy jedności natury i działania z Ojcem, że te prośby spełni. Co tu wypowiedział, to jeszcze dobitniej wyraża w następującym wierszu: „Jeśli mnie o co będziecie prosić w Imię moje, to uczynię“.

Widzimy zatem z tego sposobu modlitwy w „Imię Jezus“ polecanej przez Jezusa i praktykowanej od początku przez pierwszych już wyznawców Chrystusa, że i Jezus wyznawał się tu Bogiem i że Go za takiego pierwsza chrześcijańska gmina uważała, ilekroć się w ten sposób modliła.

Czy może dać wyjaśnienie „krytyka“, jakim sposobem w tej całej społeczności wierzących i w „Imię Jezusa“, t. j. z wiarą w Jego Boską władzę modlących się Żydów zaznaczone powyżej uprzedzenia do uwielbiania człowieka jako Boga tak nagle ucichły, że najlżejszego śladu w tym względzie nie spotykamy w pomnikach starochrześcijańskich? — Jeśli nie chcemy brnąć w „tajemnicach“, to przyznać musimy, że uprzedzenia te mogły być usunięte tylko własnem Jezusa świadectwem i wielostronnie umotywowanem o Jego stosunku do Boga; ten właśnie stosunek tłumaczył uwielbianie Jezusa nie jako religijne zboczenie, ale jako najżywszy sposób uczczenia samego Boga. To zaś wynika nie tylko z samego rozważania nad uwielbianiem Jezusa i nad przyczynami odnośnymi, ale także zostało nam przekazane. Bo jak

już wyżej wykazaliśmy, tak Jezus sam, jak i Jego uczniowie i wogóle pierwsi wyznawcy i naoczni świadkowie Jego życia i cudów, uznawali od początku w Jezusie istotę wyższą, istotę Boską, prawdziwego Mesyasza i „Syna Boga żywego“.

Ta też była istotna podstawa tej czci Boskiej, jaką Jezus za życia i po swej śmierci odbierał bez przerwy; a czci tej ani pamięć na ludzkie potrzeby i słabości, które jako swoje za życia ziemskiego był nosił, w niczem nie ujęła, ani żadne prześladowanie ze strony tych, którym krzyż wydawał się „zgorszeniem“ czy „głupstwem“ — w niczem nie osłabiło.

\*

\*

\*

Faktem jest, że chrześcijaństwo wyrosło na gruncie najmniej sobie podatnym, wśród najgorszych warunków i przeciwności. Ciasne zapatrywania polityczne żydowskie, pojęcia religijne, zwłaszcza mesyańskie, wypaczone ciasnotą nacyonalizmu i materyalnem pojmowaniem charakteru Mesyasza — kult pogański o przepychu olśniewającym zmysły — ogólne zepsucie moralne tak wśród narodu wybranego, jak i wśród pogan — rozszerzenie się przeróżnych sekt nowych, — wszystko to zdawało się w zarodku zduszać budzący się do życia, a tak na oko słaby organizm chrześcijańskiego Kościoła. A jednak Kościół ten, lubo pozbawiony wszelkiej ludzkiej pomocy, mimo tych najpotężniejszych wrogów, którzy

czyhali na jego młode życie, mocą cierpień swych i wiary w Chrystusa jako Boga przebijają bojowe szranki pogańskich bogów i bożków, aż te wreszcie zawołały przez swego popelniciela Juliana odstępcę: „Vicisti Galilae...!”

Fakt taki wymaga dostatecznej i proporcjonalnej przyczyny.

Wiara w Jezusa ubóstwionego tylko sztucznie przez pierwsze pokolenie chrześcijan, nie tłumaczy nam tego faktu. - Ewangelia bez Chrystusa — bez Bóstwa Chrystusa — nie byłaby się ostała wśród tylu przeciwności ani w pierwszej gminie chrześcijańskiej, ani poprzez wieki aż do nas.

Ludzkie dzieła ludzkie burzą — i takiby los był dawno spotkał Kościół Chrystusa i Ewangelię, którą głosi.

Idea Chrystusowa jest według Harnacka niedoścignioną, z żadną inną ludzką nauką nie do porównania. Ale dla czegoż?

Jeżeli Chrystus jest tylko człowiekiem, to inny człowiek, Chrystus drugi i trzeci i dalszy jest możliwy, niemożliwym jest dopiero wtedy, jeśli pierwszy jest niedościgniony, a takim może być tylko Chrystus-Bóg... bo tylko „Prawda Boża trwa na wieki...”

Chrystus-człowiek nie tłumaczy niczego, ani siebie ani dzieła swojego ponad wszelkie ludzkie siły wyrosłego... Ale Chrystus-człowiek, a mimo to Bóg — to rozwiązanie wszystkich tajemnic, to prawda pełna pociechy, to jedyne wyjaśnienie tak samej świadomości



mesyańskiej Jezusa, jak i wiary Kościoła, to należyta ocena wartości i wielkości Ewangelii, która jest najdoskonalszą formą mądrości życia i wieczną, jak najdoskonalszym i wiecznym jest Ten, który ją światu obwieścił...

Wiara w Chrystusa jako Boga była zawsze pierwszym i najważniejszym artykułem wiary chrześcijańskiej. Na tej wierze ufundował Chrystus Kościół swój; oddał klucze św. Piotrowi dopiero wtedy, kiedy ten wyznał Jego Bóstwo...

Wiara ta była, jak powiedzieliśmy, wewnętrzna siła wszystkich wznawców Pańskich — na niej wyrosło wszystko, co tylko wielkiego stało się w Kościele, a przez Kościół w ludziach — wszelka też cywilizacya chrześcijańska rozeszła się nie z Ewangelii bez Chrystusa, ale z Ewangelii zawierającej dogmat Jezusowego Bóstwa...

Nowoczesny liberalizm teologiczny uwielbia Jezusa pozbawionego Bóstwa i pozwala wierzyć w Jego Ewangelię, jako najszczytniejszą naukę... Uwielbia też Chrystusa jako cierpiącego męża za ideę...

Ale czemuż jest wtedy ten Chrystus cierpiący, a nie Bóg? Co najwyżej, to człowiek wielki i święty — bohater tragiczny, godny podziwu — ale bądź co bądź godny zarazem i litości, że tak mało przez swoich zrozumiany; a Ewangelia jego (jak ją pojmuje Harnack), jest jakąś sztukaterią, czemś niewytłomaczonym — czemś nawet dla ludzkiej rozumnej

natury ubliżającym... bo tu trzeba dopiero sugestyi, wrażeń, „odczucia“ i t. p., aby wmówić w siebie, że Ewangelia Jezusa-człowieka to najwspanialszy płód ducha ludzkiego w absolutnem słowa znaczeniu, że Chrystus to prawdziwy Mesjasz i Zbawca.

Zupełnie czem innem przedstawia nam się Chrystus cierpiący a Bóg zarazem. — Nie rodzi On w duszy tylko ludzkiego współczucia i polutowania... Męka i śmierć Jezusa-Boga, to już nie tragizm, ale od wieków przygotowany przez Boga sposób objawienia ludziom swojej miłości i miłosierdzia...

Chrystus-Bóg, a przytem mąż boleści -- to tajemnica, która budzi w umyśle podziw a serce całkowicie porywa ku sobie — to nieprzepatrzone zwierciadło Boskiej mądrości i Boskiej odwiecznej ku nam ludziom miłości... to cud nad cudami, który nie tylko przepaściami swej tajemnicy zdumiewa i wstrząsa -- ale nadto miłości pełne wydobywa z głębi duszy wyznanie: „Im bardziej dla mnie stał się uniożonym — tem mi jest droższym...“<sup>1)</sup>)

---

<sup>1)</sup> Św. Bernard, (Serm. I. in Epiph. n. 2).





## Spis rzeczy.

|   |    |
|---|----|
| I. Chrześcijaństwo a Bóstwo Jezusa Chrystusa  | 5  |
| II. Wyznanie się Jezusa Bogiem . . . . .  | 14 |
| III. Zbawcze znaczenie śmierci Jezusa i jego Zmartwychwstania w pierwszej chrześcijańskiej gminie . . . . . | 27 |
| IV. Wyznawanie Bóstwa Jezusa w pierwszej gminie chrześcijańskiej . . . . .                                  | 40 |
| V. Znaczenie chrystologii św. Pawła . . . . .   | 60 |
| VI. Wzywianie i uwielbianie Jezusa w pierwszej chrześcijańskiej gminie . . . . .                            | 81 |



Nakładem  
Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu  
ukazało się świeżo:

Dr. Max. Helenius

# Kwestya alkoholizmu.

## Badanie socyologiczno-statystyczne

łómaczyli za zezwoleniem autora  
Józef Kostrzewski i Władysław Marcinkowski  
w 8<sup>o</sup> str. 358. — Cena mk. 4,80.

Książka pod powyższym tytułem ma na celu rzucić snop światła na ciemną sprawę alkoholizmu i nie już za pomocą dyalektyki mniej lub więcej przekonywającej, ale siłą nieubłaganą cyfr, dostarczonych przez statystykę, chce przekonać najbardziej zaślepionych o strasznych spustoszeniach, jakie wyrządza ludzkości alkohol.

Autorowi nie chodzi o wykazanie smutnych następstw, płynących z nadużycia alkoholu — gdyż to dla wszystkich jest widoczne — całą swą pracę poświęca on na zwalczanie przesądu i wykazanie, że właśnie **umiarkowane** używanie alkoholu jest szkodliwe, a nie tylko szkodliwe ale i zgubne — owszem jest przyczyną nędzy i zwyrodnienia coraz większych zastępów ludzkich.

Książka Heleniusa, nadzwyczaj bogata co do treści, daje olbrzymi materiał dla odczytów, pokazów antyalkoholicznych, zalecić ją można każdemu, a przede wszystkim księżom, którzy dzięki częstemu obcowaniu z ludem, z wielkim pożytkiem mogliby popularyzować wiadomości w niej zawarte i choć w części paraliżować zło płynące z alkoholizmu.

---

Do nabycia za pośrednictwem każdej księgarni.

---

E. Ernst.

# Obowiązek rodzicielski.

## Przyczynek do kwestyi wychowania młodzieży w czystości obyczajów.

8<sup>o</sup> str. 176. Cena mk. 2.

Starając się o przetłómaczenie i wydanie w kwestyi dziś tak szeroko omawianej dzieła napisanego przez kobietę, sądzimy, że samej sprawie wyświadczamy przysługę. Sprawa uświadomienia dzieci o początkach życia ludzkiego nie zawsze bowiem szczęśliwych znalazła rzeczników w pismach i książkach wydawanych przez zwolenników.

Żądania zbyt krewkich popleczników potrzeby uświadamiania dzieci, wymagających od matki, aby niemal kurs anatomi i dziecięciu swemu wykładała, zrażały szorstkością i nieuwzględnieniem zrozumiałej przecież i u matki powściągliwości. Z drugiej zaś strony zbyt często traktowano kwestyę uświadomienia dzieci jako sprawę wyodrębnioną, oderwaną, gdy tymczasem ona jest tylko częścią opartego na zasadach chrześcijaństwa, wychowania ku czystości obyczajów.

Stąd głos kobiety, która zdaniem naszym umiała znaleźć drogę właściwą, pośrednią między zbyt daleko sięgającymi postulatami a strusią polityką przesadzonej, nierozumnej a najniewłaściwiej w obec dzieci stosowanej pruderyi — która w tej trudnej sprawie nie powie dziecku ani za wiele ani za mało, kobiety taktownej, umiejącej zrozumieć i odczuć położenie matki, zniewolonej poważnym obowiązkiem macierzyńskim do wypowiedzenia w obec dziecka słów, które, zależnie od indywidualności może dużo wymagają przewyżczenia — zbyt doniosłym jest objawem, aby go można pominąć milczeniem.

W umysłach wielu matek i wychowawców książka ta zdoła zapewne zburzyć uprzedzenia do ważnego „obowiązku rodzicielskiego“, uprzedzenia powstałe pod wpływem fałszywie pojętej skromności i niedoceny dzisiejszych wpływów demoralizujących, a tem samem przyczyni się do wychowania zdrowszego, odporniejszego pokolenia. W tem też leży wyjaśnienie, dlaczegośmy się zajęli wydaniem tej książki.

X. DR. FR. HITZE.

## **KWESTYA ROBOTNICZA**

**i dążności do jej rozwiązania**

z dodatkiem:

**Kwestya robotnicza w świetle statystyki**  
przełożył

**WALERY ZIELIŃSKI.**

Cena mk. 3,20.

---

X. BIEDERLACK T. J.

## **KWESTYA SPOŁECZNA.**

**Przyczynek do zrozumienia jej istoty**  
**i rozwiązania jej.**

Z siódmego wydania niemieckiego  
przełożył

**DR. T. RZYMSKI.**

Cena mk. 3,20.

---

**DR. JÓZEF MAUSBACH.**

**Starochrześcijańskie i współczesne**  
**pojęcia o powołaniu kobiety.**

**Trzy rozprawy.**

Cena mk. 2.

Treść: Św. Ambroży z Medyolanu o powołaniu i godności kobiety. — Małżeństwo. — Papienstwo. — Stanowisko i godność kobiety. — Ellen Key o miłości i małżeństwie. — Obowiązek i wolny wybór powołania w życiu kobiet.



„WOLNA MYŚL“ I „WOLNA SZKOŁA“.

*Łódź. Pabstowy Drukarnia  
o. m. c.*



MAURYCY MICHAŁ PACIORKIEWICZ.

---

„WOLNA MYŚL“

I

„WOLNA SZKOŁA“.



POZNAŃ.

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha  
1912.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

Do najpopularniejszych dziś haseł, zwanych się postępowemi, należą „Wolna Myśl” i „Wolna Szkoła”. Cóż to jest „Wolna Myśl”? — Hasło to może mieć dwa znaczenia. Pierwsze, pozytywne, wyraża wolność myślenia, co się komu podoba. W tem rozumieniu wartość tego hasła jest oczywiście względna.

Bo czyż wolno myśleć, że  $2 + 2 = 5$ ? albo że Napoleon odkrył Amerykę? Czy przeciwnie myśl nasza z każdą nową zdobyczą naukową nie doznaje stanowczego ograniczenia? N. p. do wieku XV wolno było myśleć, że ziemia stoi, a od Kopernika ta wolność myśli się skończyła. Dziś wolno myśleć, że na biegunie południowym jest ląd stały, a wolno i myśleć, że jest morze<sup>1)</sup>; ale z chwilą, gdy jaki nowy badacz tam dotrze i faktyczny stan rzeczy skonstatuje, nasza wolność myśli w tej kwestyi się skończy, a ten ostatni stan „nie-

<sup>1)</sup> I ta wolność myśli jednakże jest ograniczona, bo nie wolno i tu myśleć n. p., że na biegunie południowym kwitną pomarańcze. Zresztą odkryto tymczasem biegun południowy, przez co myśl o nim, jeszcze większemu ulega ograniczeniu.

woli“ myśli będzie oczywiście szczyblem wyższym od poprzedniego. A więc tak pojmowana wolność myśli w pewnej kwestyi jest dowodem, że ta kwestya jest niepewna<sup>1)</sup>).

Cały wysiłek intelektualny ludzkości, zwany nauką, skierowany jest właśnie ku temu, by rejon tej wolności myśli zacieśnić; a gdybyśmy sobie wyobrazić mogli najwyższy punkt, kulminacyjny, tego rozwoju nauki, wiedzy ludzkiej, kiedy wszystko, absolutnie wszystko, byłoby nam wiadome, to w takiej chwili dziejowej powiedzielibyśmy, że stoimy u szczytu kultury umysłowej; ale wtedy dla wolnej myśli w tem rozumieniu nie byłoby ani kącika.

Rzecz jasna, że póki tego ideału nie osiągnęliśmy, wolność myśli jest jednym ze środków dojścia do prawdy a więc środkiem, nie celem — ale tak, jak wartość tego hasła jest względna, tak używanie go musi być ograni-

<sup>1)</sup> Mimochodem tylko zaznaczę, że chcieć zatem taką wolność myśli rozszerzyć do zasadniczych prawd religijnych znaczyłoby uczynić te prawdy niepewnymi — innymi słowy, religia z taką wolną myślą to wogóle nie religia, bo przecież człowiek całej swojej filozofii życia, jaką jest właśnie religia, nie może opierać na hipotezie, na czemś niepewnem, co każdy na swój sposób może rozumieć; w tem pojmowaniu rzeczy też całe *liberum arbitrium* protestantów jest właściwie obaleniem religii jako takiej i do tego też koniecznością logiczną doprowadzić musiało. Czem prawdy niewzruszone w nauce, tem dogmaty, oparte na Objawieniu, w religii; całą istotną, rzetelną wartość nauki stanowią nie hipotezy, nie domysły, ale prawdy pewne, niewzruszone — byłoby śmiesznem dziwić się temu samemu w religii.

czene linią, zakreśloną przez prawdy już zdobyte.

Drugie znaczenie hasła „Wolnej Myśli“ może być negatywne, tj., że myśl ma być wolna od wpływów obcych, a więc uczuć, namiętności. Miłość, a jeszcze bardziej nienawiść utrudnia bezstronny sąd o osobach, a także o rzeczach i ideach abstrakcyjnych; niemalą też rolę gra tutaj ciekawa namiętność, którą jest przywiązanie do swego zdania, a która sprawia, że o katharsis Arystotelesa lub o sielanki Zimorowicza uczeni potrafią się spierać z równym zapalem, jakby tu chodziło o autentyczność Ewangelii lub Sejm czteroletni. Ileż to kwestyi naukowych dawno mogłoby być rozjaśnionych, ile energii twórczej uczonych mogłoby było się zwrócić już dawno na inne pole, ku nowym zdobyczom i dziełom, gdyby nie ta nieszczęsna, a bardzo ludzka niestety namiętność w przywiązaniu do swego zdania!<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Mimowoli nasuwa się uwaga, że lekarstwo na to uparte przywiązanie do swego zdania znajduje się w książeczce, do której niestety uczeni niechętnie zaglądają — a szkoda! bo w tej książeczce, zwanej katechizmem znaleźliby naukę o pokorze tj. cnocie, która nie prostaczkom jedynie potrzebna, ale jest ozdobą charakteru, na jakimkolwiek byśmy byli stanowisku. I uczony nie straciłby ale zyskał z pewnością, gdyby zamiast sofistycznymi kruczkami bronił swego zdania, zbitego argumentacją przeciwnika, przyznał mu słuszność i poszedł dalej ku zdobyczom nowych prawd. Toż ta wiecznie ludzka omylność — *errare humanum* — nie ominęła największych myślicieli ludzkości, więc zawstydząć, ani nawet dziwić nie powinna nikogo. Niestety, ta tak piękna cnota pokory jest rzadka w świecie naukowym; miłość własna, jak w tylu innych okolicznościach życiowych, tak panuje aż nadto często i w królestwie myśli ludzkiej.



Że tak pojęta „wolna myśl“ — tj. wolna od owych namiętności — jest ideałem bezwzględnym i obowiązuje każdego, to rzecz jasna, jak i to, że nie jest ona zjawiskiem powszedniem w życiu codziennem ani w nauce — choć oczywiście i człowiek bardzo owładnięty uczuciem może przecież odosobnić niejako myśl swoją od uczucia i logicznie, bezstronnie myśleć — i byłoby niedorzecznem żądać od człowieka myśli wyzbycia się uczuć; tylko od wpływu tych uczuć ma być wolna jego myśl i wtedy będzie ona prawdziwie Wolną Myślą.

Tak rozumieli rzecz zawsze wielcy myśliciele ludzkości, którzy z jednej strony opierali się na zdobyczach poprzedników, a więc ograniczali tę Wolność Myśli już zdobytymi prawdami, a z drugiej strony wyzwalali tę myśl od wpływów postronnych uczuć i namiętności.

Otóż rzecz charakterystyczna, że ci, których istotnie za wielkich myślicieli lub uczonych świat uważa, oni właśnie ani tego hasła „Wolnej Myśli“ nie wywieszali, ani „wolnomyślnymi“ się nie nazywali. Ani Arystoteles ani św. Augustyn, ani twórca nowoczesnej filozofii Descartes, ani Spinoza, ani Kant, ani Pascal, ani nasz Cieszkowski — żaden z tych bardzo rozmaicie, co prawda, ale poważnie myślących myślicieli wolnomyślnym się nie zwał.

Natomiast sztandar „Wolnej Myśli“ wywieszają i wolnomyślicielami się głoszą

ludzie<sup>1)</sup>), którzy zdolnością, umysłem, nauką są karłami wobec swych wielkich poprzedników; bo czemu Voltaire, Diderot wobec Newtona, Descartes'a? „Słońce XVIII wieku“ (jak zwano Woltera), przyćmione bardzo krytyką nowoczesną, zeszło do szeregu skromnych gwiazdek trzeciej czy czwartej wielkości, a „Wielka Encyklopedia“ pozostała bardzo ciekawym zabytkiem literackim, ale jej wartości naukowej nikt dziś już na seryo nie bierze. A co najciekawsze, ludzie ci, mieniący się wolnomyślnymi, już w samym tonie swej

---

<sup>1)</sup> Ściśle biorąc za „wolnomyślicieli“ można uważać już niektórych pisarzy francuskich w. XVII t. zw. libertynów (libertins). Już oni posługiwali się przeciw religii bronią dzisiejszych wolnomyślicieli tj. lekkimi drwinami albo pośredniem o ile nie bezpośredniem kłamstwem. Taki Fontenelle z uśmiechem wykwinętego sceptyka opowiada, jak to starożytni Grecy wierzyli w wyrocznie, które były machinacją zręcznych kapłanów, ale wraz z wyższą kulturą umysłową wiara w takie bajki musiała sama z siebie zniknąć. A już wprost mistrzem Woltera był Piotr Bayle, który szyderstwem, bluźnierstwem a także szczególnem zamiłowaniem pornografii zjednał sobie więcej niż uznanie ludzi w. XVIII; jego Dykcyonarz (1697) był ulubioną lekturą Fryderyka II, i niewyczerpanem źródłem dla Encyklopedystów, którzy (zwłaszcza Wolter) czerpali tam niemal całą swą wiedzę filozoficzną i teologiczną, a także dla angielskich „free-thinkers“ (Toland, Collins etc.), którzy w ten sposób stanowią drugi etap „Wolnej Myśli“. Ale dopiero Encyklopedyści w w. XVIII nadali rzeczy rozgłos europejski i co najważniejsze, spopularyzowali ją, oddając kwestye teologiczne na łup laików, nie mających nie tylko z teologią, ale wogóle z poważną nauką nic wspólnego. Nie bez tragizmu jest fakt, że zapoczątkował tę nieszczęsną popularyzację Pascal w swoich „Provinciales“, choć oczywiście byłoby obelgą uważać wielkiego matematyka i myśliciela za „wolnomyśliciela“ w rodzaju Woltera.

mowy zdradzają na każdym kroku, że ich „Wolna Myśl“ jest samą antytezą wolności, w tem rozumieniu mianowicie, że żadne chyba stronnictwo polityczne, religijne — nie mówiąc o nauce — nie jest tak owładnięte zacięłą stronnictwością, a więc namiętnością, jak właśnie ci „mężowie rozumu“, jak się zowią sami, „racyonaliści“.

Miotają oni jeden na drugiego (bo i między sobą w zgodzie nie byli), a cóż dopiero na przeciwników, obelgi nie do powtórzenia: wystarczy wymienić napaści Woltera na Russa. A z drugiej strony „myśl“ tych „wolnomyślicieli“ pozwalała sobie na tak szeroką wolność, że przekręcała, a raczej paczyła rozmyślnie najoczywistsze niewzruszone prawdy naukowe. Tenże Wolter np. chcąc wykazać, że tylko pod opieką i protekcją oświeconych władców może się rozwinąć talent, literatura, wogóle kultura, bez skrupułu Fidyaszów, Periklesów umieszcza w wieku Filipa i Aleksandra macedońskiego, a pomija zupełnie wiek V rozkwitu kultury ateńskiej<sup>1)</sup>, bo świetność republiki ateńskiej obaliłaby tezę racyonalistycznego historyka. A takich przekręcań, wprost fałszów rozmyślnych, pełno w dziełach Woltera, co mu zgodnie wytykają wszyscy najpoważniejsi krytycy i co zresztą spostrzeże każdy, kto weźmie do ręki jego dzieła. Brać w obronę i „rehabilitować“ Neronów, Deoklecyanów

---

<sup>1)</sup> Siècle de Louis XIV. Chap. I.

i ich prześladowanie chrześcijan; zachwycać się kulturą muzułmańską, chińską, hinduską z oczywistym pogwałceniem prawdy historycznej — a wszystko to dla poniżenia chrześcijaństwa (*Essai sur les moeurs*): toż to parodia „wolnej” myśli. O listach zaś Woltera do przyjaciół w sprawach religijnych wyraża się wielki mistrz krytyki francuskiej, a bynajmniej nie wierzący katolik, Sainte-Beuve, w ten sposób: „Cała ta korespondencya jest brzydka: czuć w niej sekciarstwo i spisek; z jakiegokolwiek punktu na nią spojrzeć, nie przynosi ona wcale zaszczytu ludziom, którzy kłamstwo stawiają jako zasadę i których punktem wyjścia jest pogarda dla swych bliźnich jako pierwszy warunek ich oświecenia”. (*Causeries du Lundi*, t. VII, str. 108.)

A czyż mam przypominać, że ten sam człowiek, który piorunował na niesprawiedliwość, na ucisk u siebie, gdy mu tego było potrzeba, potrafił się płaszczyć — znowu, gdy własny tego wymagał interes — potrafił winszować rozbioru Polski Fryderykowi, zachwycać się Katarzyną II, zachęcać ją wprost do uciskania Polaków (nazywał ją przecież „Semiramidą Północy”).

Jeżeli więc ideałem „Wolnej Myśli” jest wyzwolenie się od stronniczej namiętności, od subiektywizmu, aprioryzmu, słowem od tych przeszkód, które stoją na drodze normalnemu funkcyonowaniu zdrowej tj. logicznej myśli, to Wolter jest klasycznym przykładem, jaką

ta „Wolna Myśl“ być nie powinna. Tymczasem taką ona odtąd zawsze była, ilekroć „wolną“ się zwała. A oczywiście przede wszystkim w tem szła za Wolterem<sup>1)</sup>, iż za cel swojej niczem niehamowanej nienawiści obrała religię Chrystusową, i to jest zasadniczy rys charakterystyczny tego hasła, rys negatywny zatem i burzący w samej podstawie prawdziwą „Wolność Myśli“.

Od Woltera też do dni naszych ciągnie się nieprzerwany szereg „wolnomyślicieli“, którzy. urągając po prostu najelementarniejszym zasadom prawdziwej nauki, wojują z religią, nie mówię już tonem niekulturalnym, ale fałszami tak rzucającymi się w oczy, że człowiek nie wie, co więcej podziwiać, czy śmiałość autora, czy naiwność biorących to na seryo czytelników.

---

<sup>1)</sup> Zdumiewa zaiste, że dziś jeszcze znachodzą się obrońcy Woltera w tej kwestyi — wystarczy przecież otworzyć jego dzieła, zwłaszcza pisane po r. 1750, a nadewszystko listy niektóre, by przekonać się, ile niechęci do chrześcijaństwa, ile nieraz nienawiści jakby osobistej do samego Chrystusa było w duszy tego człowieka. W jednym z listów (dnia 29 października 1763) czytamy słowa: „Brat Protagoras poprzestaje na wyśmiewaniu nędznika; on go nie zgniecie, trzeba go zgnieść“; d. 1 grudnia 1763 pisze znowu: „Nasza wielka sprawa to zgnieść nędznika“ — czyż potrzeba dodawać, że tym „nędznikiem“ ma być sam Chrystus? („Ecr. l'inf.“ albo „Christinoque“ tak znaczy Wolter listy najohydniejsze do markiza d'Argence de Dirac n. p. d. 2 marca 1763). Cynizm i grubiański ton dzieł wymierzanych wprost przeciw chrześcijaństwu podnosi i cytatami popiera Brunetière w swem studyum o Wolterze (*Etudes critiques...* IV-ème série, 1904, str. 322).

Oto próbka stylu „Wolnej Myśli”: „Chrześcijaństwo przez 15 wieków zatruwało świat! Nie potrzeba oględności, by się pozbyć tego trądu.... Ksiądz przez hańbę swego stanowiska, hańbiącą szkaradę swego stroju żyje po za prawem wspólnem solidarności. Przeciw niemu wszystko jest dozwolone.... To pies wściekły, którego każdy przechodzień ma prawo zabić.... Kara śmierci, choćby najwstrętniejsza, nie jest za surowa dla tego truciela.... Szacunek dla życia ludzkiego ustępuje wobec tych, którzy się dobrowolnie postawili po za ludzkością”. Słowa te pisze poeta Tailhade, współpracownik organu „Wolnej Myśli” francuskiej: „La Raison” (21 grudnia 1902). „Wolna Myśl” francuska, a za nią i polska lubi chwalić się Berthelotem, honorowym prezesem licznych kongresów „Wolnej Myśli” (jedynym naprawdę wielkim uczonym należącym do sekty) — ale ci panowie zapominają dodać, że ta prezesura jest tylko nominalna, bo de facto cała taktyka „Wolnej Myśli” jest antytezą rad, udzielanych jej przez wielkiego chemika, który właśnie na owych kongresach powtarzał z naciskiem, że „dla sprowadzenia tryumfu prawdy trzeba zwracać się jedynie do przekonań wolnych i odrzucać wszelki przymus. Zachowajmy zawsze życzliwą pogodę, która przystoi naszej miłości szczerzej ku sprawiedliwości i prawdzie. Głos wiedzy, to nie głos gwałtowników ani głos absolutnych doktrynerów. Jakiegokolwiekby były zbrodnie teokracji, nie

powinniśmy zapoznawać dobrodziejstw, jakie kultura chrześcijańska niegdyś rozlała na świat“ (cyt. Seippel: *Les Deux Frances*, str. 266 i 246).

Klasycznym przykładem taktyki „Wolnej Myśli“ są te liczne „Katechizmy Wolnej Myśli“, które, w krociach egzemplarzy rozrzucane wśród mas, zatruwają dziś nie tylko wiarę ludu francuskiego, ale i jego zdrowy rozum.

Oto przykład jeden z wielu, wyjęty z najpopularniejszego z onych katechizmów<sup>1)</sup>:

Pytanie: Czy mamy przyjąć wszystko, co nam odsłania wiedza?

Odpowiedź: Tak, ponieważ to, co ludzie uczeni obserwują i odkrywają, jest matematycznie udowodnione. . . .

Pytanie: Ludzie uczeni więc nie odkryli wcale Boga?

Odpowiedź: Nie i wszyscy zgodnie przeczą jego istnieniu.

A więc według „Wolnej Myśli“ wyniki wiedzy, około których tyle codzień sporów, tyle nowych teorii, grzebiących stare, to wszystko prawdy „matematycznie udowodnione“ — a więc według „Wolnej Myśli“ wszyscy uczeni „zgodnie przeczą istnieniu Boga! — Czy może i wielki fizyk Volta, przyjmujący całą naukę Kościoła z prostotą dziecka i drugi, Ampère, budujący swoją pobożnością, i Pasteur,

---

<sup>1)</sup> Edgar Monteil: *Catéchisme du Libre-Penseur*. Paris. Marpon et Flammarion.



twórca bakteryologii, który zapytany przez przyjaciela, w jaki sposób przy takiej nauce może być wierzącym, odpowiedział: „Wszystkie me prace zaprowadziły mię do wiary wieśniaka bretońskiego; gdybym był pracował jeszcze więcej, posiadałbym wiarę bretońskiej wieśniaczki“. To tytany myśli i wiedzy, i to w wieku XIX, a takich więcej niż wielu --- ale „Wolna Myśl“ stoi ponad faktami, jak i ponad logiką. Ulubionym jej konikiem to właśnie ta mniemana kolizya między wiarą i wiedzą — oczywiście nie zastanawia się nad tem, że gdyby taka kolizya istniała, to ludzie uczeni nie mogliby wierzyć; tymczasem dziwna rzecz: właśnie ci uczeni, którzy odkryli owe, zdaniem wolnomyślicieli, niezgodne z wiarą prawdy naukowe, byli ludźmi wierzącymi i czy to nie trochę zabawnie brzmi, że religii dzisiejszego filistra na przeszkodzie ma stawać odkrycie naukowe, które nie naruszyło wiary tych, którzy go dokonali, badaczy takich, jak Kopernik i Newton? Albo czy komizmem nie traci rozumowanie wolnomyśliciela w rodzaju redaktora „Myśli Niepodległej“, gdy twierdzi, że człowiek myślący wierzyć nie może, gdy tymczasem tylu myślicieli, uznanych przez cały świat naukowy, myślicieli wieku XIX i wśród nas żyjących, faktycznie wierzy, otwarcie się do tej wiary przyznaje i jej broni?

I to nie z przyzwyczajenia — dlatego, że ich tak wychowano — ale z głębi przekonania. Toż mamy coraz liczniejsze wypadki, że ludzie

niewierzący, wychowani nieraz w uprzedzeniu do religii, szukając prawdy, wielkim wysiłkiem rozumu doszli do wiary. Gdy wybitny pisarz duński Joergensen, który do niedawna wiarę atakował i tej walce z wiarą poświęcał swój talent, gdy ten człowiek po długich i gruntownych studyach przyjmuje wiarę katolicką, w której się nie urodził nawet ani nie był wychowany — to przecie niepodobna twierdzić, że rozumem nie można dojść do wiary. Jużci, że można, skoro są tacy, co dochodzą! A takich jest legion. Wymienię jeszcze tylko najznakomitszego krytyka doby nowoczesnej we Francyi Ferdynanda Brunetière'a, który z pozytywisty stał się obrońcą katolicyzmu — a z myślicieli angielskich takie wybitne indywidualności, jak Manning i Newman, którzy wychowani w anglikaniźmie i już dostojnikami będąc w swem wyznaniu, woleli się zrzec tych dostojności, gdy doszli do przekonania, (oczywiście rozumowo), że są w błędzie i śmiało przeszli na katolicyzm — a jeden z nich, Newman, zubożył literaturę katolicką dziełami pierwszorzędnej wartości. A takich przykładów mnóstwo — i dowodzą one właśnie, że nie tylko rozum nie musi przeszkadzać wierze, ale może do niej zaprowadzić.

Pomijam tu jednak kwestyę wiary samej w sobie i jej stosunku do wiedzy — zastanawia mnie na razie to kolosalne powodzenie dzieł w rodzaju onych „Katechizmów Wolnej Myśli” najeżonych fałszami tak oczywistymi, że —

zdawałoby się — człowiek choć trochę myślący ze wstrętem je od siebie odrzuci — tymczasem te, jak i inne dzieła, pisane z bezkrytycznością nie do uwierzenia, cieszą się ogromnem powodzeniem i niszczą wiarę w zastraszający sposób. Czem wytłumaczyć ten fakt dobrowolnego, owszem chętnego poddania swego umysłu takim oczywistym fałszom?

Nie bez znaczenia jest tu widoczne w czasach nowożytnych obniżenie poziomu myśli i czytelników. Dawniej czytających było bez porównania mniej, to prawda, zwłaszcza czytających rzeczy poważne, naukowe — ale to byli niemal zawsze ludzie, znający przedmiot, inni wogóle do książki naukowej nie zaglądali; stąd i pisarz musiał się z tymi czytelnikami liczyć. Dziś, przeciwnie, obok garstki uczonych mamy tysiące dyletantów, którzy, nie mając gruntownego wykształcenia, a więc i fachowej znajomości przedmiotu, chciwie czytają i bezkrytycznie przyjmują rzeczy, na które uczoney ledwie ramionami wzruszy. Ten dyletantyzm jest istotną plagą kultury nowoczesnej, bo liczyć się z nim niestety muszą prawdziwi uczeni i czas i zdolności tracić na zbijanie fałszów Haeckla i nonsensów Niemcewskiego, którego celem wykazać, że Chrystus nigdy nie istniał jako człowiek, że jest to zdegradowane bóstwo słońca i księżyca — i ta śmiesznie niedorzeczna teza (nie nowa zresztą — głupstwo jest wieczne) zmusiła kilku dzielnych uczonych i pisarzy do rzeczowej odpo-

wiedzi, wymagającej oczywiście sporego nakładu pracy, którego nie warta przecież książka Niemojewskiego. Wolnomyśliciele zatem i ich dzieła to niby one „dziczki“ u pnia prawdziwej nauki, które, ciągnąc zeń soki, nie wytwarzają z nich jednak owoców i tylko utrudniają normalny rozwój drzewa.

Oprócz tej racyi jest oczywiście jeszcze wiele innych i studyum nad tą psychologią niewiary mogłoby być niezmiernie ciekawe — wykazałoby ono z pewnością, że wiarę tracą przedewszystkiem ci, co ją stracić chcą, że nieraz obalenie wiary w duszy to niby owo trącenie palcem ściany, która i tak ledwie stała i bez tego trącenia musiała się wywrócić, co tak plastycznie i wstrząsająco przedstawia w swej „Spowiedzi“ Tolstoj; kiedy człowiek, urodzony w wierze, następnie w życiu swem o tę wiarę zgoła nie dba, żyje, nie oglądając się na nią, na jej zobowiązania moralne, to oczywiście dojdzie do stanu obojętności, z którego już tylko krok jeden do zupełnej negacyi — a wtedy marny „Katechizm Wolnej Myśli“ z równym rezultatem dzieła dokona, jak poważne dzieło filozoficzne.

Ale bywa też inaczej. Zasady moralne, wszczepione dziecku wraz z wiarą, nie więdną tak prędko, owszem żyją w duszy — człowiek słyszy niejako ten głos sumienia chrześcijańskiego w sobie — ale równocześnie słyszy i inne głosy, które z każdym dniem donośniej rozbrzmiewają w kulturalnej Europie, bo na-

woływania do użycia rozkoszy, do zaspokojenia każdej — już nie potrzeby, ale zachcianki natury; — z teatru Szekspira zaczyna człowiek dzisiejszy uciekać do teatrzyku operetki, a i to za mało, kabaret staje się najbardziej ulubioną rozrywką, na co z niepokojem wskazują poważnie myślący ludzie Anglii, Francyi, Niemiec, pełni obawy o przyszłość prawdziwej sztuki i przyszłość moralną Europy. Otóż to używanie najniższego typu w zbyt wielkiej stoi dysharmonii z głosem sumienia chrześcijańskiego, by jedno i drugie obok siebie ostać się mogło. A że chęć użycia wielka — a to użycie, niepokojone wyrzutem sumienia, nie może być pełnem, więc oczywiście więcej niż mile widziany oswobodziciel, który owe wyrzuty obali — wyrwie z korzeniem t. j. z wiarą; a wtedy umysł, usidlony namiętnością, nie bada, kto to zacz ten zbawca, ale bezkrytycznie przyjmuje bodaj „Katechizm Wolnej Myśli“ lub przestarzałą, przez naukę dawno wzgardzoną i zaponnianą broszurę Woltera czy Diderota.

Że taka najczęściej bywa geneza rzeczy, dowodzą same dzieje „Wolnej Myśli“. Zrodziła się ona bowiem, choć jeszcze nie pod tą firmą, w czasie Odrodzenia i to tak, że nie ona wyprzedziła upadek moralny, ale przeciwnie, najpierw dokonało się sławne w dziejach rozluźnienie obyczajów, widoczne w literaturze od Dekameronu do Valli: *De cero bono*, a dopiero potem, najwyraźniej więc jako konsekwencya tego faktu, przyszły próby obalenia

zasad wiary. Kiedy zaś ten sam objaw powtórzył się w wieku XVIII już pod firmą „Wolnej Myśli“ we Francyi, a za nią w całej zachodniej Europie, zespolenie niewiary z niemoralnością było tak ściśle, że niema prawie pisarza, któryby obalając wiarę, nie obalał równocześnie, i to z całą świadomością i intencją złą, moralności. Najpoważniejszy z nich, sam Montesquieu tyle rozsiał w swych dziełach rzeczy ślizkich, tak miejscami (i to wśród najpoważniejszych rozpraw) lubuje się wprost w obrzydliwościach nie do powtórzenia tutaj, że nawet u tak naprawdę uczonego autora człowiek się waha, czy ta myśl jest wolna, czy i tu ona nie jest przedewszystkiem usidlona najniższemi namiętnościami i im oddana w niewolę. A cóż dopiero mówić o innych, którzy umysłem są karłami wobec tamtego — ma się wrażenie, jakby wszyscy oni — oczywiście z Wolterem na czele — natchnienie czerpali wprost z kanałów, tyle tam wyuzdanej sprośności, tyle brudu moralnego! Tak, że widząc ten entuzjazm, z jakim witano ów „wiek rozumu“, człowiek się pyta, czy to był naprawdę entuzjazm rozumu ludzkiego, duszy ludzkiej, czy też nie przeciwnie namiętności ludzkiej — swawola tego zwierzęcia, długo trzymanego na wodzy pętami Ewangelii, a teraz nagle puszczanego na wolność?

I dziś zdaje się nie być inaczej. Toż wolnomyśliciele dzisiejsi aż nadto często bywają pionierami nie tylko tego pseudo-rozumu,

ale i kultu niemoralności, bo, rzecz znamienne, idea „Wolnej Myśli” ma za nieodłączną towarzyszkę ideę „Wolnej Miłości”, ideę pogańskiej etyki: *naturam sequi*, t. j. każącą iść za popędami natury, słowem, wolno myśleć, co ci się podoba, wolno czynić, co ci się podoba. Widzimy to najwyraźniej we Francyi, gdzie wogóle panowanie „Wolnej Myśli” okazuje się już bez obsłonek, jakim jest w rzeczywistości, tam przecie „Wolna Myśl” jest u steru rządu, tryumfuje. I cóż tam widzimy? Oto, że wolno tam wieść życie mało co różne od zwierzęcia, wolno uprawiać wolną miłość i zmieniac co roku lub częściej żonę — rozwód tam, to formalność biurowa tak jak ślub — wolno być materyalistą i wychowywać tak dzieci swoje, wolno głośno szerzyć anarchizm z zasadą: „precz z Bogiem, precz z ojczyzną, precz z rodziną!” ale nie wolno, będąc n. p. urzędnikiem, być praktykującym katolikiem, nie wolno dzieci wychowywać po katolicku w szkole katolickiej; wyraźnie reskrypt ministerjalny przestrzega, by urzędu prefekta nie poruczać człowiekowi, któryby dzieci nie posyłał do szkoły rządowej, t. j. szkoły bez religii. Uprawia się tam formalną naganek na ludzi wyznających się katolikami — a w szkołach zohydza się wprost religię i celowo zmierza do wyrwania jej z duszy narodu. Fakt ten zacieńczenia antyreligijnego, parodiowania idei wolności zaczyna niepokoić nawet ludzi niewierzących, ale myślących poważnie i dba-



łych o godność narodu i coraz częściej pojawiają się dzieła całe, wymierzone przeciw temu poniewieraniu ideału wolności i sprawiedliwości<sup>1)</sup>).

Emil Faguet (niekatolik zresztą) w swem znakomitem dziele o „Liberalizmie“ (le Liberalisme, 1902) wprost rzuca republice tę prawdę w oczy, że „wolność nauczania we Francyi nie istnieje“ (str. 302). „Idzie się dość daleko w tym duchu i rzecz stałaby się zabawną, gdyby nie była smutna“. Rząd bowiem obawiając się, by księża czy katolicy wogóle nie kryli nauki katolickiej pod inną firmą, pracuje nad ustawą przeciw „podstawionym“ osobom t. j. takim, które uczyłyby w zakładach do niedawna zakonnych i kontynuowały naukę tę samą, tylko pod inną nazwą. I oto ustawa

---

<sup>1)</sup> Paul Seippel: „Les deux Frances“. Paris, Alcan 1905. — Emile Faguet: „L'Anticléricalisme“. Paris, Lecène 1906. — W. Monod: „Libres-Penseurs et Penseurs libres“ i w. i. W dziełach tych znajdujemy rzeczy nie do uwierzenia w wieku XX: Kiedy „wolnomyśliciele“ brutalnie napadli na procesję Bożego Ciała, a policya dla utrzymania porządku ich wstrzymała (dziś i te procesye już zakazane), wtedy „obywatele zebrani we Wielkim Wschodzie (główniej loży masonskiej), oklaskują „Wolną Myśl“ międzynarodową i ludzką, protestują przeciw urzędnikom zdrajcom, którzy w imię rzekomej równości uderzają na wolnomyślicieli, chcącym przeszkodzić owym religijnym maskaradom i wzywają rząd do odwołania wszystkich urzędników, mających pojęcia zacofane albo klerykalne“. (Cyt. Seippel, b. c. str. 267). Rząd też to czyni z konsekwencyą godną lepszej sprawy, jak to wykazują fakta przytaczane obficie przez prasę codzienną, a i autorów powyższych. Katolik, piastujący jakikolwiek urząd, musi się poprostu kryć ze swemi przekonaniami, inaczej urząd stracić może albo będzie pomi-  
jany w awansie.

ta określa, że takich „podstawionych” nauczycieli „pozna się po charakterze i naturze udzielanej nauki”. Innemi słowy, nauczyciel katolik tem samem, że jest katolikiem, uważany będzie za „podstawionego” i podciągnięty pod literę danej ustawy. Fagniet kończy temi słowy: „Wolność nauczania, uznana Deklaracyami Praw człowieka, formalnie i uroczystie ogłoszona w konstytucyi z r. 1793, 1830 i 1848 została z gruntu obalona we Francyi przez Republikę francuską z początkiem XX wieku” (str. 303).

Wolnomyśliciele francusecy (a za ich przykładem poszliby i inni, gdyby doszli do władzy), to despoci najdespotyczniejsi z despotów. Przypominają ich rządy sławny paradoks Robespiera, który na zarzut okrucieństw przezeń popełnianych odpowiedział: „To despotyzm wolności”, czem, mimo wiedzy pewnie, świetnie scharakteryzował „Wolną Myśl” swojego wieku i naszego.

Podobnie najwięksi wolnomyśliciele Francyi (a podobno i nie Francyi także) są zarazem obrońcami i reprezentantami pornografii w literaturze i sztuce — wszyscy oni — od osławionego Zoli poczynając — są obrońcami Wolnej Miłości, słowem, zezwierzęcenia człowieka.

Fakt ten, jakkolwiek bardzo naturalny, zastanawia przecież. Bo ostatecznie nie potrzeba być aż filozofem, by zrozumieć, że człowiek o tyle wart, o ile ma więcej cech, różniących go od zwierzęcia, o ile ta wyższa,

szlachetniejsza cząstka jego istoty panuje nad tą drugą, niższą częścią zwierzęcą. Można powiedzieć, że cały postęp ludzkości, pochód jej ku temu, co zwiemy kulturą, to właśnie to ujarzmianie natury wkoło siebie, a i w sobie samym. To pierwsze: ujarzmianie natury wkoło siebie (zużytkowanie pary, elektryczności) samo absolutnie nie wystarczy jako czynnik postępu

trzeba koniecznie i tego drugiego t. j. ujarzmienia natury w sobie i żeby było na świecie, gdyby na tem polu nic nie zrobiono, gdyby np. ludzkość zachowała surowość instynktów dawnych wieków, gdy za łada sporem sięgano do noża, gdyby człowiek szedł za każdym popędem natury, która chyba tylko naiwnym marzycielom może się wydawać dobrą; każdy z nas czuje w sobie, że bywa przeciwnie. Żeby było, gdyby dziecku lub starszemu pozwolono robić, co mu się podoba, słowem, gdyby zapanowała zupełna wolność i myśli i postępowania. Toż teby była poprostu anarchia!

Czy do tego dążą wolnomyśliciele? Nie wszyscy do tego rozmyślnie dążą, ale wszyscy nad tem — acz nieraz bezwiednie — pracują. Bo i dekadźce ten tak zachwalany przez wolnomyślicieli, apoteozowany w prozie i poezyi indywidualizm zaprowadzi ludzkość, jeżeli nie do anarchii? Popatrzmy na Francję, tam ten indywidualizm wybijały zaczyna rozsadzać całość tego wielkiego narodu, idea socjalistyczna zaczyna już nie wystarczać; przeciw

wszelkiemu krępowaniu indywidualności ludzkiej występuje coraz śmielej anarchizm — anarchizm czysty, a więc bez Boga, ojczyzny, rodziny — bez jakichkolwiek form społecznych. To też patryoci francuscy z lękiem patrzą w przyszłość. A nam Polakom może warto posłuchać upomnień, jakie daje Francuzom jeden z najlepszych umysłów i serc dzisiejszej Francyi, niedawno zmarły Ferdynand Brunetière: „Niechże przynajmniej wielki przykład nas pouczy — woła we wspaniałej mowie „o nieprzyjaciolach duszy francuskiej“<sup>1)</sup>). Istniał niedawno — a dziś ledwie go sobie przypominamy — w samym środku Europy wielki naród, naród bohaterów, naród równie sławny świętością swych obyczajów, wdziękiem swych kobiet, jak odwagą swych mężów. Był to naród dumny i naród zdolny. Cywilizacya zachodnia i całe chrześcijaństwo winne mu były wieczną wdzięczność za to, że przez całe wieki służył za przedmurze przeciw Turkom. I gdyby przynioły osobiste jednostek, które go składają, mogły uratować wielki naród z upadku, to który kiedykolwiek naród lepiejby był na to zasłużył, jeżeli nie szlachetna i nieszczęśliwa ojczyzna Sobieskiego i Kościuszki? A jednak ona umarła i wiecie z jakiej choroby! To indywidualizm ją zabił; to *liberum veto*... czyż chcemy stać się Polską? Wiedzmy przynajmniej, że dotąd zmierzamy!“

<sup>1)</sup> Discours de Combat.

Smutno pomyśleć, że gdy doświadczenie własne na własnych dziejach i na losie coraz groźniejszym Francyi tak jasno stawia nam przed oczy zgubne skutki tego indywidualizmu, my przecież i po szkodzie swojej i cudzej zmańdrzeć nie chcemy i ten indywidualizm wychwalamy w życiu i literaturze. Aż przerażenie ogarnia, gdy się czyta takie monstrualne zdanie o literaturze naszej, że ona, dawniej oddana na usługi utylitaryzmu, teraz zaczyna nareszcie spełniać potrzeby indywidualności jednostki — to tak, jakby powiedzieć komu: służyłeś dotąd społeczeństwu, dobrze, że nareszcie zaczynasz myśleć o sobie — *primus amor ab ego* — po co ci społeczeństwo? — twoje indywidualne potrzeby ważniejsze! A przecież jeśli czem nasza literatura przewyższa inne, to właśnie tem sumieniem społecznem naszych pisarzy, dla których pisanie nie było rozrywką dyletantów, ale wielkiem, szczytnem kapłaństwem idei. Pięknie i głęboko powiedział jeden z nich (którego nie tak dawno nazwano „płytkim, dzieciinniałym umysłem”), wielki Sienkiewicz, że „każda książka to czyn dobry albo zły”<sup>1)</sup>. Jakże daleko odbiega wielu z naszych najmłodszych od tego ideału! Ileż to „czynów złych” popełnia się codziennie! U niektórych autorów to formalnie, co książka, to „czyn zły” — czyn gorszy od tylu innych, że się tak wyrażę, jednostkowych czynów, szkodzących jednej osobie; toż to czyn zbior-

---

<sup>1)</sup> Listy o Zoli.

rowy, straszny w swych następstwach, bo jego skutek rozlewa się na całe pokolenia czytelników. Ślicznie powiedział Krasiński o Mickiewiczu: „On nam był mlekiem i miodem, my z niego wszyscy“. O niejednym z dzisiejszych powiedzą kiedyś: „On nam był zepsuciem i trucizną“. Niechże Bóg uchowa, by mogli dodać: „My z niego wszyscy!“

W całej Europie widać coraz wyraźniejszy zwrot ku idealizmowi. Ludzie o myśli prawdziwie „wolnej“ tj. wolnej od namiętności zaczynają ze wstrętem odwracać się od tego pornograficznego naturalizmu, który pod płaszczykiem sztuki chciałby duszę ludzką z wyżyn ideałów ściągnąć w bagno zwierzęcości. I czyż my Polacy, których idealizm podziwiała do niedawna Europa, mielibyśmy się dać zawstydić innym narodom, i kiedy tam z obrzydzeniem otrząsają się z brudów Zoli — którego właśnie dla tych brudów nie dopuszczono do Akademii — czyżbyśmy mieli zachwycać się tem, co inne narody uznają za truciznę ducha i serca?

A pamiętajmy, że ów indywidualizm i u nas także zachwalają, apoteozują właśnie ci, co są zwolennikami „Wolnej Myśli“. Zajrzyjmy do czasopism tego kierunku, a zobaczymy tam obok artykułów wymierzonych przeciw religii, inne, jeżeli nie głoszące wprost niemoralność jako zasadę, to usprawiedliwiające zło moralne, a w dziale recenzyjnym najbardziej wychwalane są właśnie powieści śliskie, brudne, z któ-

rych lektury czytelnik nie może nie wyjść „mniejszym człowiekiem“, bliższym zwierzęcia. I tak i u nas bez trudności skonstatować możemy tę dziwną zgodność „Wolnej Myśli“ z „wolną moralnością“. I gdyby nie co innego, to to jedno już winno nas odstraszyć od takiej „Wolnej Myśli“, to jedno winno nam starczyć na rację, by w tej „Wolnej Myśli“ widzieć wroga ojczyzny, bo wroga prawdziwej kultury, prawdziwego postępu!

Idea „Wolnej Myśli“ wydała drugą, logicznie z niej wypływającą ideę „Wolnej Szkoły“. Przedewszystkiem nim powstała formuła „Wolnej Szkoły“, rzecz już istniała, wyłożona wcale dokładnie w „Emiliu“ Russa; a w czyn bywała wprowadzana, gdzie się dało, w rządowych szkołach francuskich — toż „Wolna Myśl“ stanęła tam u steru rządu, więc i zasadnicze swe cechy wprowadza do podległych sobie szkół, które z pewnemi różnicami są właściwie już „Szkołami Wolnemi“ w duchu Ferrera. Ferrer zresztą w Paryżu lata całe przebywał i jak kiedyś Wolter z Anglii, tak on z Francyi wziął wszystkie swoje pojęcia socyalne i pedagogiczne.

Słówko o człowieku. Nie był to żaden głębszy umysł; to, co napisał (bardzo zresztą niewiele), nie posiada żadnej wartości pod względem formy czy treści; był to zresztą samouk bez gruntownego wykształcenia. Istotą indywidualności Ferrera to czyn, działalność, propaganda. Sam powiada o sobie w swej



krótkiej autobiografii: „Nie pojmuję życia bez propagandy; gdziekolwiekbym był, na ulicach, w zakładach, w tramwajach, w pociągu, przed kimkolwiek się znajdę, mam zawsze coś do propagowania“<sup>1)</sup>). Istotnie agitacją wypełniła całe jego życie. Czy to jednak był ideolog szlachetny, charakter piękny, rycerski, jak go przedstawiają jego zwolennicy, a raczej wielbiciele? Są dokumenty, które temu przeczą. Że Ferrer ślubną żonę porzucił dla innej kobiety, to z punktu jego zasad dziwić nie może; gorzej jednak, że ten rozwód dokonał się wśród okoliczności, o których (jak wogóle o jego żonie) milczą dyskretnie jego wielbiciele.. Oto dnia 12 czerwca 1894 roku pani Ferrer strzelała kilkakrotnie z rewolweru do swego męża, a uwięziona z tego powodu i stawiona przed sąd (w X okręgu w Paryżu), broniła się listem, wręczonym władzom sądowym, w którym czytamy między innemi: „Jeżeli popełniłam szaleństwo, iż strzelałam do mego męża, to tego żałuję; ale uczynił on mię tak nieszczęśliwą, tak mię dręczył, że serce me, wyczerpane dręczeniem, kazało mi zapomnieć na chwilę, że był to ojciec moich córek. Życie moje z tym człowiekiem było ciąglem męczeństwem; on mi wszystkiego odmawiał aż do posiadania mych córek. Mam córkę, która liczy dziś trzy lata, a jeszcze jej nie znam. Ledwie się urodziła, mąż mój ją

<sup>1)</sup> Te i następne szczegóły i dokumenty podaje Modesto H. Villacensat: „La Revolución de Julio en Barcelona“. Barcelona (Gill) 1909, str. 74 i n.

kazał zabrać do departamentu Loire-et-Chez... Mam drugą córkę 11-letnią, którą posłał do Australii, gdy miała zaledwie dziewięć lat, i bez mego zezwolenia. Ile się go nabłagałam, wszystko było daremne.... Najstarsza ma 12 lat... mąż mój umieścił ją w jednym pensjonacie, gdzie mi ledwie pozwolono ją widzieć cztery razy. Potem zabroniono mi wstępu do pensjonatu... udałam się do konsula hiszpańskiego... wszystko nadarmo“... Wreszcie nieszczęśliwa matka dowiedziała się, że dziecko z tego pensjonatu zabrano. Chciała sobie z rozpaczyny życie odebrać. Ale biedna chciała przecież jeszcze spróbować zmiekczyć prośbami męża. „Z sercem rozdartem boleścią — opowiada dalej — prosiłam go, by mi powiedział, gdzie są moje córki i dwa razy, gardząc memi łzami, odepchnął mnie. Wtedy w oczach mi pociemniało, straciłam przytomność i szalona z bólu, strzeliłam do nikczemnego ojca mych córek. Panowie — kończy się to wzruszające wyznanie — cierpiałam tyle z tym człowiekiem, że, ufam, będziecie mieli litość nademną“.

Dokument mówi sam za siebie<sup>1)</sup>). A oto

---

<sup>1)</sup> Łatwo się domyślić, że Ferrer nie był też czułym ojcem; wykazuje to zresztą dowodnie testament jego, w którym zapisuje swój majątek niejkiej Soledad Villafranca i pewnemu anarchiście w Liverpoolu; natomiast nie zgoła nie pozostawia dzieciom, owszem pomijając milczeniem jedną córkę, poleca, by dwom najmłodszym Paz i Sol nie dano ze spadku. O jednej z nich (najstarszej) dowiaduje się paryski dziennik „Le Matin“, że pracuje na kawałek chleba w fabryce (cyt. Villaescusa).

drugi odnoszący się do panny Meunier, która się zakochała w Ferrerze i zapisała mu swój olbrzymi majątek. Zwolennicy Ferrera opowiadają całą historię, jak to ta panna, pobożna katoliczka, pod czarem tego „bohatera idei“ zapisała mu majątek, aby mógł za pomocą jego tem skuteczniej uprawiać propagandę. Tymczasem autentyczne brzmienie tego testamentu p. Meunier rzuca fatalny cień na heroiczną kartkę z życia twórcy „Wolnej Szkoły“; testament ten bowiem kończy się temi słowy: „Pragnę umrzeć na łonie świętej Matki Kościoła. Mój pogrzeb będzie skromny i religijny, a z sumy . . . poświęci się kwotę 3000 franków na odprawianie Mszy za duszę moją i mojej ukochanej matki. Ciało moje ma spocząć na cmentarzu Montmartre“. A dodajmy, że wykonawcą testamentu jest sam Ferrer. Czy to nie ciekawe, żeby wierząca kobieta zapisywała 3000 franków na Msze za swoją duszę i równocześnie ogromny majątek na szkołę bez Boga? A może i to prawda, co powiadają przeciwnicy Ferrera, że widząc niemożliwość nawrócenia swej wielbicielki czy ofiary, wołał sam udawać nawróconego przez nią i ta biedna, wierząca istota zapisała majątek człowiekowi, o którym była przekonana, że jest gorliwym katolikiem? Co bądź, to pewne, że wobec tych dwóch dokumentów charakter Ferrera jest dalekim do doskonałości, choćby w tem zwykłym, bardzo światowem rozumieniu tego słowa.

Co do humanitarnych uczuć Ferrera, o których mówią jego wielbicieli, to budzą one conajmniej pewne wątpliwości wobec faktu, że owa Escuela moderna tj. szkoła anarchistyczna przeznaczona przedewszystkiem dla dzieci warstw robotniczych, ubogich zatem, nie była bynajmniej bezpłatna (jak szkoły rządowe), a nadto podręczniki, drukowane na bardzo lichym papierze, są wprost niezmiernie kosztowne jak na książki szkolne dla ubogich uczniów bo po 2 pesety (około 1.60 mk.).

Matka przyjaciółki Ferrera Soledad Villafrańca tak się o nim wyraża: „Jest to człowiek nieprzystępny i tak poważny, że nigdy nie widziałam śmiejącego się. Prócz tego jest bardzo skąpy i niegodziwy; nie wiem, na co pragnie swego bogactwa, które ja obliczam na kilka milionów pesetów. Mówią teraz, i ja w to nie wątpię, że z okazji wypadków barcelońskich w ostatnim tygodniu lipca (1909) uprawiał grę na giełdzie, która mu przyniosła miliony durów (1 duro = 5 pesetom (4 mk.) . . . a i bez tego Franciszek Ferrer jest bardzo bogaty“.

Co do udziału Ferrera w rewolucyi barcelońskiej, to stwierdzili go liczni świadkowie (około 60), między nimi towarzysze anarchisty, którzy np. podali do wiadomości takie słowa Ferrera podczas znanych wypadków: „Doskonale! Trzeba zburzyć wszystko!“ A gdy ktoś, mając go za republikanina, zauważył, że przecież paląc i plądrując wszystko, nie zbu-

duje się republiki, Ferrer odpowiedział: „Co mnie obchodzi republika? Mnie tu zajmuje jedynie rewolucya!“

Odwróćmy się jednak od człowieka, a przyjrzyjmy się dziełu. Pragnie on — jak mówią jego wielbiciele — „wykuć posąg nowego człowieka“. Ponieważ religia, ustrój społeczny, rodzina wyciskają na jednostce pewne właściwe tym czynnikom piętno, nadają jej pewne z góry zamierzone cechy, przeto człowiek nie jest właściwie sobą, ale raczej wytworem tych wpływających nań, kształcących go czynników. Trzeba więc człowieka usunąć z pod tych wpływów, uczynić sobą. Nie jest to nic innego, jak bezpośrednia konkluzya z „kontraktu socyalnego“, z tej jego zasadniczej idei, że człowiek z natury jest dobry, a tylko społeczne urządzenia go popsują. A więc usunięcie tych społecznych urządzeń jest głównym — acz na razie dalszym — celem Ferrera. Znowu nic nowego, bo te wnioski z dzieła Russa wysnuł już Bakunin i jego następcy, których zwiemy anarchistami. A Ferrer jest anarchistą, potępia on każdy rząd, wszelkie ograniczenie wolności jednostki: czy to będzie rząd monarchiczny, czy komunizm socyalistyczny — obala on ustrój społeczny w jakiegokolwiek formie — obala też i przedewszystkiem religię, a także rodzinę. Jest to więc najczystszy anarchizm, jakiego hasła już dawno

przed nim rozbrzmiewały i dziś rozbrzmiewają, zwłaszcza we Francyi i w podziemnej Rosji.

Ferrer jednakże nie głosi — jak inni anarchiści (zresztą nie wszyscy) — obalenia ustroju społecznego za pomocą środków gwałtownych, bomb i dynamitu; on chce społeczeństwo do tego nowego stanu bezrządu, anarchii przygotować za pomocą „Wolnej Szkoły”; w niej ma się wychować ów „nowy człowiek”, który będzie się obywatel bez rządu, religii, rodziny — człowiek „wolny”. „Wolna Szkoła” Ferrera nie chce więc dziecku narzucać gotowych pojęć, ale chce jego myśl uczynić zdolną do wytworzenia sobie własnych pojęć, by dziecko niejako samo się uczyło, nie zaś, by je uczył nauczyciel; tenże nauczyciel zatem winien ukryć swoje własne subiektywne poglądy, a podać dziecku jedynie nagie fakta, aby dziecko samo doszło do wytworzenia sobie sądu niezależnego, obiektywnego o rzeczy.

Jeżeli dobrze zrozumiałem i tu streściłem idee „Wolnej Szkoły”, to jest to jedna z licznych utopii, na pozór ponętnych może, ale w istocie nie wytrzymujących krytyki zdrowego rozsądku i wysoce szkodliwych. Przedewszystkiem uderza tu błędne wyobrażenie o zdolności samoistnego myślenia u dziecka, a także zdolności wyzucia się ze swego osobistego sądu u nauczyciela. Doświadczenie uczy, że dziecko, zwłaszcza poniżej lat dziesięciu, patrzy oczyma nauczyciela i myśli myślą nauczyciela, a raczej dziecko nie tyle rozumuje, co

przejmuje gotowe lub podsunięte (nieraz mimowoli) rozumowanie nauczyciela.

Przyznam się, że ze zdziwieniem wyczytałem następujące słowa P. Bujwidowej w jej wstępie do dzieła o Ferrerze, napisane pod wpływem jego idei, które chciałaby znana działaczka i na nasz polski grunt przeszczepić: „Chyba zbyt czynnem jest wykazywanie — czytamy tam — że podawanie dziecku pojęć, których ono rozumem swym ogarnąć jeszcze nie jest zdolne — z nowoczesnem pojmowaniem wychowania stoi w zasadniczej sprzeczności. Kto bowiem chce w dziecku rozwinąć samodzielne myślenie, ten musi starannie unikać narzucania mu gotowych pojęć, formułek, dogmatów . . . słowem tego wszystkiego, do przyswojenia czego koniecznie potrzeba w i a r y”<sup>1)</sup>.

Zdanie to zdumiewa wprost swoją śmiałością. Czyżby nasza zwolenniczka „Wolnej Szkoły” nie wiedziała, że nietylko lwia część

<sup>1)</sup> „Francisco Ferrer, życie i dzieło“. Na język polski przełożył Franciszek Sarnecki. Wstęp K. Bujwidowej. Nakład Tow. etycznego. Kraków 1911, str. 7. O animozji, z jaką książka ta jest napisana, niech świadczy drobny urywek (str. 16): „W tym nieszcześliwym kraju panem jest wciąż jeszcze ksiądz. krzykliwy, bezwstydnym, zapalony miłośnik walki byków (!), sprośny i z nieczem się nie liczący“. Wyzwiskom godnie sekunduje tu zmyślenie tak zresztą obojętnego faktu, jak zapadu do walki byków — w ciągu czterech miesięcy pobytu mego w Hiszpanii nigdy na walce byków żadnego księdza nie widziałem i widzieć nie mogłem po prostu dla tego, że księżom bywanie na walkach byków jest wzbronione przez władzę duchowną, a więc i o „zapalonem miłośnictwie“ tych widowisk u księży hiszpańskich mowy być nie może.



pojęć dziecka, ale i dorosłego człowieka polega na „wierze”? Czyż fakta takie, jak że Napoleon urodził się na Korsyce, że niedźwiedź na zimę zasypia, że planeta Mars posiada powietrze itd. itd., — czy fakta te, których miliony przyswajamy sobie w ciągu całego życia, czy my je sami sprawdzamy, czy nie przyjmujemy ich na wiarę innych, którzy je badali lub udowadniali — nie będąc zresztą pewnymi, czy ten przedmiot wiary pewnego pięknego poranka nie okaże się fałszem, bo czyż to już nie bywało, że jakiś fakt historyczny, przez wszystkich tak przedstawiany, z odnalezieniem nowego dokumentu został obalony lub zmieniony do niepoznania? Nawet ludzie uczeni zazwyczaj tylko część swojej specyalności znają rozumowo, tj. na podstawie własnych badań, a przeważną część wiedzy przyjmują także na wiarę. Przypuśćmy, historyk, znawca wieku XII, zna ten wiek z dokumentów, ale dzieje innych wieków bierze z gotowych dzieł syntetycznych, tj. z drugiej, jeśli nie z dziesiątej ręki, a więc aktem „wiary” poprostu — nie mówiąc już o tem, że i ów wiek XII zna on na podstawie dokumentów, przedrukowanych z manuskryptów — a zatem znowu „wierząc” we wierność tych przedruków, bo przecież i to faktem, że i owe przedruki okazują się czasem w zasadniczych punktach niedokładnymi — a nawet, co gorsza, manuskrypt okazuje się niekiedy fałszyfikatem. Ale oczywiście niepodobieństwem jest, aby uczony cały dorobek swych poprzedników

od początku kontrolował i dowodowo sprawdzał nie znalazłby przecież czasu na dalsze zdobycze wiedzy. A więc akt psychologiczny, zwany „wiarą“ jest nieodzownym czynnikiem postępu.

A „Wolna Szkoła“ chciałaby tę „wiarę“ usunąć z nauki szkolnej u dzieci!

Byłoby to naiwnością, gdyby było szczere; ale naprawdę są dokumenta, które mówią wyraźnie, że „Wolna Szkoła“ Ferrera narzuca tak samo swoje pojęcia dzieciom, które one przyjmują chyba tylko na wiarę, bo przecież rozumowo, źródłowo nie sprawdzają chyba, że chrześcijaństwo to „sztandar znienawidzony, w którego cieniu popełniano wszystkie zbrodnie, to wampir zawsze łaknący krwi, któremu poświęcono miliony ofiar“. Są to słowa wyjęte z podręcznika<sup>1)</sup> „Wolnej Szkoły“ Ferrera, gdzie znajdziemy i taki kwiatek historycznej prawdy, jak, że „można wierzyć (a więc przecież wiara!), że Jezus Chrystus był mnichem buddyjskim, pochodzącym z góry Karmelu, który się poświęcił nauczaniu religii Buddy wśród Żydów“<sup>2)</sup>; albo w tymże samym podręczniku taki okrzyk: „O, bóg chrześcijan jest bogiem złym, którego każde uczciwe sumienie musi odepchnąć“<sup>3)</sup>). Czyż to się nazywa

<sup>1)</sup> Compendio de Historia Universal, 3 tomos por Clemencia Jecquinet, str. 46.

<sup>2)</sup> O. c. str. 37.

<sup>3)</sup> O. c. str. 40. Jak skuteczną jest taka nauka, okazuje się to na popisach dorocznych szkoły Ferrera, gdzie dzieci odczytują swoje osobiste refleksje z otrzymanych nauk: ogłasza się je w czasopiśmie p. t. „Boletín

bezstronnem przedstawieniem rzeczy i nie narzucaniem gotowych pojęć dzieciom? Wszystko to jednak są zdania, na które i P. Bujwidowa i P. Niemojewski chętnie się piszą, sami je przecie głoszą w imię „Wolnej Myśli“. Za to z dyskrecją bardzo podejrzaną przemilczają drugą obok ateizmu zasadę „Wolnej Szkoły“, — którą jest potępienie miłości ojczyzny.

Wydana jest osobna czytanka dla „Wolnej Szkoły“ pod tyt. „Patriotismo y Colonizacion“, gdzie wprost wzywa się przyszłego żołnierza hiszpańskiego, by w razie wojny rzucił broń: „Nie dotykajcie się broni! — czytamy tam (str. 12) — jeżeli wam pokażą nieprzyjaciela nachodzącego ojczyznę; niech ją nachodzi! Jeżeli wam pokażą zwalających tron lub fotel prezydenta, co was obchodzą te graty?!“ A także na str. 15: „Nie trudźcie się dla sztandaru, który nie jest niczem więcej jak trzema metrami sukna umieszczonymi na końcu kija“, i dalej na str. 84: „Kiedy pomyślę o wszystkich nieszczęściach, na które patrzałem, które cier-

---

de la Escuela Moderna“. W roczniku IV czytamy takie zdania dziecka: „Religie prowadziły po wszystkie czasy ludzkość na złą drogę. Zamiast dzieci uczyć zastanawiać się i kochać swych bliźnich, uczy się je modlić i podziwiać tych, co zabijają; każe im się wierzyć w cuda, kiedy jest udowodnionem, że wszystko na świecie się tłumaczy przyczynami naturalnemi. Religia była zawsze nieszczęściem ludzkości“ itd. Nie brak i rzeczy humorystycznie głupich, np. „Mikroskop jest wynalazkiem ludzi wolnych; fanatycy są niezdolni do wynalezienia czegokolwiek...“ (Cyt. Villaesensa, str. 190.)

piałem... rozpoznaję, że wszystko to opiera się na grubym kłamstwie tj. miłości ojczyzny!" Jakiem prawem autor artykułu o Ferrerze w „Myśli Niepodległej“ twierdzi, że Ferrer był „republikaninem“ i że „nie był nigdy anarchistą w ścisłym tego słowa znaczeniu“<sup>1)</sup>, tego nie wiem; ale rozumiem dobrze, że chcąc Ferrera uczynić sympatycznym bodaj wolnomyślicielem polskim, trzeba było zataić jego pogardę dla miłości ojczyzny -- ten towar u nas w Polsce ma jeszcze za mało pokupu. Ale przy usilnej pracy „Wolnej Myśli“ i „Wolnej Szkoły“ może i do tego dojdziemy....

Jak zresztą idea „Wolności“ Szkoły Ferrera się przedstawia, to nieźle ilustruje fakt, że na czele Towarzystwa „Wolnej Szkoły“, jakie się zawiązało na całą Europę, stanęli między innymi Anatol France, znany ze swej ślepej nienawiści do katolicyzmu<sup>2)</sup> i Haeckel, nie

<sup>1)</sup> „Myśl Niepodległa“. Listopad 1909.

<sup>2)</sup> Anatol France swoje świetne pióro poświęca dziś już wyłącznie walce zacięłej z katolicyzmem. Aż żal widzieć człowieka tak uzdolnionego, poniżającego się do ulotnych broszur agitacyjnych (*Opinions sociales*, wydaw. *Bibliothèque socialiste*) — albo piszącego entuzjastyczną przedmowę do wydania mów Combes'a, tego Combes'a, o którym Émile Faguet powiada, że jest to „człowiek najbardziej ograniczony z mężów politycznych“. (*L'Anticléricalisme*, str. 206). Oczywiście takie rzeczy są zaraźliwe i nie dziwnego, że lata całe „kultury“ antyklerykalnej wydają wreszcie takie monstrualne paradoksy, jak projekt niejakiego Salomona Reinach'a („Membre de l'Institut!“), który na kongresie w Liège (w sierpniu w 1905 roku) „żąda stanowczo“, aby w szkołach z nauki literatury francuskiej usunięto autorów wieku XVII, którzy „są tak zafocani, że niczego dobrego z nich nie nauczą się

ustępujący mu w tem ani na krok, a w dodatku skompromitowany fałszerstwami naukowemi, jedynemi może w dziejach wiedzy<sup>1)</sup>). Tacy ludzie stanęli na czele, a więc reprezentują „Wolną Szkołę“ w Europie zachodniej. Idea nie odpowiada za swoich, że tak powiem, szeregowców, zwykłych wyznawców; w tem rozumieniu np. zbrodniarz chrześcijanin nie kompromituje chrześcijaństwa; ale co innego zwykły wyznawca, a co innego św. Augustyn, Tomasz z Akwinu, których Kościół uważa za swoją chlubę: otóż właśnie Anatol France,

generacye wieku XX!“ (cyt.. Faguet o. c. str. 361). A więc usunięci mają zostać z nauki ni mniej ni więcej tylko Bossuet, Pascal, Racine itd. itd. słowem pisarze, którym szczyci się do dziś Francya przed Europą! Oczywiście nawet „wolnomysłny“ rząd francuski za taką „Salomonową“ radą nie poszedł — choć nie w zupełności, bo np. z dzieł Pascala usunięto (jako obojętną lekturę w szkołach średnich) głębokie, a bardzo chrześcijańskie „Pensées“, a na to miejsce dano wymierzone przeciw Jezuitom „Provinciales“.

<sup>1)</sup> Aby wykazać podobieństwo zarodka psa, kurczęcia i żółwia, Haeckel trzykrotnie reprodukuje tę samą kliszę, dając pod każdą z nich inny podpis i wywołuje oczywiście wrażenie nie tylko podobieństwa, ale tożsamości; to samo fałszerstwo naukowe popełnia, przedstawiając komórki jajowe człowieka, małpy i psa (w dziele p. t. „Natürliche Schöpfungsgeschichte“ 1868). W innem znowu dziele (Menschenproblem 1908) przedłuża na rycinie kręgosłup zarodka ludzkiego o 11 kręgów, a kręgosłup zarodka małpy skraca o 15 kręgów, by w ten sposób otrzymać zarodek małpy bezogoniastej. Bliższe szczegóły o tych bezprzykładnych oszustwach Haeckla znajdzie czytelnik w licznych rozprawach na ten temat np. V. Hensen: „Die Plankton-Expedition und Haeckels Darwinismus“. — Brass: „Affenproben. Prof. Haeckels neueste gefälschte Embryonenbilder“ — u nas gruntowny artykuł F. Chmury T. J. p. t. „Falsyfikacye i prawo biogenetyczne Haeckla“ („Przegląd Powszechny“, sierpień 1911).

Haeckel, to nie szeregowcy, ale sami przywódcy ruchu, którymi szczyci się „Wolna Szkoła“, a więc za nich odpowiada; a zatem sam fakt, że tacy ludzie, nie mający nic wspólnego z prawdziwą „Wolnością Myśli“ bo zaciekli fanatycy stanęli na czele „Wolnej Szkoły“, jest dowodem, że ta „Wolna Szkoła“ nie tylko w Hiszpanii, ale i w reszcie Europy nie spełnia, nie ma nawet zamiaru spełniać swego programu, że ma to być przede wszystkim szkoła antychrześcijańska, mająca za cel obalenie chrześcijaństwa, zabicie religii Chrystusowej w samym zarodku, w sercach dziecięcych, że zamiast dawać pozytywne zasady moralne, będzie przede wszystkim szerzyła wiedzę negatywną tj. nienawiść i to nie do religii tylko – ale i do wszelkiego ustroju społecznego, do wszelkiej władzy. — Na razie ten punkt programu trzyma szanowne prezydium „Wolnej Szkoły“ w szufladzie, pod kluczem, by nie zrazić naiwnych, ale to nieładne zresztą wypieranie się ojcowstwa Ferrera i jego anarchistycznej Szkoły nie zmienia bynajmniej istotnego stanu rzeczy, że mianowicie „Wolna Szkoła“, czy to ta „Macierz“ barcelońska, czy jej istotne imitacje w Paryżu, czy zamierzone imitacje w Wiedniu, Pradze, Krakowie, czy Warszawie, to nie co innego tylko Szkoła anarchizmu, obalająca religię, ojczyznę i rodzinę. Wolno PP. Haecklom, Pernersdorferom<sup>1)</sup>)

<sup>1)</sup> Dnia 19 marca 1905 ukonstytuowało się w Wiedniu stowarzyszenie „Wolnej Szkoły“. Dąży ono do



i naszym Niemojewskim widzieć w anarchizmie zbawienie ludzkości, ale pewna zasada uczciwości nakazywałaby może być szczerym, nie oszukiwać społeczeństwa, nie podawać mu pod niewinną nazwą tego, przed czym się to społeczeństwo wzdryga! Bo przecież ci panowie o tem dobrze wiedzą, że z wszystkich systematów religijnych, społecznych, filozoficznych najmniej dziś popularnym, najmniej upragnionym w życiu jest anarchizm. Ale zdaje się, że to robota dobrze uplanowana. Jak kiedyś naiwnych katolików francuskich skuszono antyklerykalizmem, by przez ten etap zawieść do antykatolicyzmu i zdechrystyanizować kraj cały — tak teraz oświecone społeczeństwo Europy kusi się ponęttem hasłem „Wolnej Szkoły“, by tą drogą przygotować tryumf anarchizmu.

I cóż to będzie za tryumf? Czyż to pojęcie, że wszystko, co krępuje wolność człowieka, jest złem, że i religia i ojczyzna i rodzina,

---

usunięcia religijnego pierwiastka w wychowaniu szkolnem; szkoła ma być „wolna od wszelkiej wyznaniowej tendencji“ — wprawdzie zastrzega się to stowarzyszenie przed „wrogiem usposobieniem względem religii albo antychrześcijaństwem“ — ale to maska, mogąca ludzi chyba naiwnych — nałożona do czasu wobec panujących ustaw austriackich — pokrewieństwo „Wolnej Szkoły“ z nieoficyalnie, ale faktycznie istniejącą masoneryą austriacką oraz z ruchem „Los von Rom“ jest najlepszym dowodem, że ta „Wolna Szkoła“ jest nieodrodną córą „macierzy“ barcelońskiej i że z chwilą zmiany ustawy szkolnej w Austrii hasła „Wolnej Szkoły“ będą te same co w Barcelonie: „Precz z Bogiem, z ojczyzną, z rodziną! (Por. Fr. Stauracz: Freimauschelei. Wien, Eichinger, 1906).



czy państwo, czy jaka bądź, choćby na tle międzynarodowem, organizacya — to wszystko niepotrzebne — człowiek winien się bez tego obyć: czy takie pojęcie to nie utopia, najutopijniejsza w świecie, nie licząca się zgoła z naturą ludzką?

Toż ludzie musieliby być nie ludźmi ale aniołami, aby żyć w anarchii, głoszonej przez Bakuninów czy Ferrerów — a na takich aniołów przecież nie wychowywa „Wolna Szkoła“, oparta właśnie na negacyi, na nienawiści — a więc na uczuciu przeciwnem temu uczuciu, które jest pierwszym warunkiem możliwego pożycia ludzi obok siebie tj. uczuciu miłości.

A zresztą - i to nie mniej ważne, czy wychowankowie „Wolnej Szkoły“ Ferrera i jego zwolennicy nie postąpią sobie tak z doktryną mistrza, jak postąpili rewolucyoniści rosyjscy z nauką Tolstoja tj., że poprostu pominą, odrzuca stronę pozytywną rzeczy, a za to całą duszą przejmą się radykalną negacyą anarchizmu i nie czekając, aż wychowa się owo wymarzone pokolenie pokojowych anarchistów, zabiorą się do urzeczywistnienia ideału mistrza za pomocą środków gwałtownych, bomb i dynamiitu — i czy anarchiści ze szkoły Ferrera nie pójda ręką w rękę z anarchistami ze szkoły Bakunina?<sup>1)</sup> Dodaj-

---

<sup>1)</sup> Zresztą jak „Wolna Myśl“ jest przedewszystkiem świadomym fałszem, tak samo „Wolna Szkoła“, co jasno wynika nie tylko z podręczników, ale

my, że w anarchizmie — jak zresztą w socyalizmie — tak uderzająco idea antyklerykalna, antyreligijna góruje, jeżeli nie w programie, to *de facto* w czynach — nad innemi ideami, tak wybija się na pierwszy plan, że czasem aż zdumiewa i niemal bawi zarazem. I w świeżej rewolucyi barcelońskiej powtórzyło się to, co było w komunie paryskiej. Wyprawa wojsk hiszpańskich do Maroka miała być spowodowana przyczynami wyłącznie finansowej natury; chodziło mianowicie o kopalnie marokańskie, których akcyonaryusze swoimi wpływami dla ratowania swoich interesów wywołali ową wyprawę. Z okazji powołania rezerwistów powstały znane zaburzenia. Sam rozum wskazywałby, że rozruchy te wymierzone będą przede wszystkim przeciw tym, którzy z temi akcjami kopalnianemi mają najwięcej wspólnego, bo niemi handlują tj. przeciw bankom

---

i z jednego z listów samego Ferrera w tej kwestyi: „Nie możemy zajmować się niczem więcej (w „Wolnej Szkole“) jak tem, by kazać dzieciom czynić refleksyę nad instytucjami, nad kłamstwami religijnemi, rządowemi, patryotycznemi, sądu, polityki i militaryzmu, a by przygotować mózgi zdolne do rewolucyi socyalnej. Nie to nas obchodzi, by wyrabiać dobrych robotników, dobrych urzędników, dobrych kupców: chcemy zburzyć społeczeństwo od jego fundamentów... Dziś poprzestajemy na wprowadzaniu idei „rewolucyjnych do mózgów. Później zobaczymy“ (cyt. Villaescusa, str. 94). Nawiasem dodam narzucającą się tu kwestyę: czy możliwe, aby człowiek, będący na miejscu rewolucyi, widząc więc poniekąd spełnienie swego ideału, aby człowiek ten nie brał czynnego udziału w tem, co się działo? (List powyższy z dnia 13 maja 1905 figuruje w aktach procesu Ferrera).

i kapitalistom, których w Barcelonie pełno; tymczasem — o dziwo! — ani jednego banku nie zburzono; za to zabrano się odrazu do klasztorów, których czternaście podpalamo, między nimi takie, które wychowywały sieroty, tak, że kilka tysięcy sierot znalazło się nagle bez dachu.

Dowodzi to oczywiście bardzo wielu rzeczy; a więc, że w takich rozruchach są ukryci agitatorzy, którzy mają sprawną komendę, bo odruchowo przecież tłum nie omijałby panów bankierów (w komunie paryskiej zresztą było identycznie to samo) — dalej, że ci bankierzy to sprytny naród, który nawet na ruchu wybitnie wrogim kapitalizmowi, robi niezłe interesa i potrafi pozyskać względy, o mało, że nie życzliwość proletaryatu, który za największego wroga swego uważa przecie kapitał — tak jest, ten respekt robotników socjalistycznych i anarchistycznych dla banków w Barcelonie, to prawdziwe arcydzieło taktyki bankierskiej! Dowodzi to wreszcie, że i ten socjalizm i ten anarchizm więcej niż socjalizmem i więcej niż anarchizmem jest antyklerykalizm, jest walka z chrześcijaństwem, z Kościołem katolickim. Za to, że kapitaliści powołują wyprawę do Maroka, lud burzy klasztory — to tak, jakby za to, że piekarze podnoszą cenę chleba, burzono składy obuwia! To paradoks, który nie znajduje gdzieindziej swego wytłumaczenia, jak tylko w tej wielkiej nienawiści do religii, do Kościoła, jaką się szerzy w imię socjalizmu

i anarchizmu — i „Wolna Szkoła“, czy to Ferrera czy Anatola France’a i Haeckla nie co innego ma na celu. Na wolność myśli w szlachetnem tego słowa znaczeniu tam niema miejsca — to firma tylko, słodka trutka, na którą się łapią naiwni.

I my nie dajmy się na nią złapać. I u nas zresztą reprezentanci „Wolnej Myśli“ i „Wolnej Szkoły“ — bo te dwie rzeczy idą zgodnie obok siebie — i to nie pionki ruchu ale reprezentujący go jako prowodyrzy, inicjatorowie — toż to ludzie znani przede wszystkim ze swej niechęci a raczej nienawiści do chrześcijaństwa. Wystarczy wymienić Niemojewskiego, który uszczęśliwił nas tłumaczeniem „Życia Jezusa“ Renana, które to tłumaczenie — dodajmy — oparł na jednym z pierwszych wydań francuskich tego dzieła, jakkolwiek Renan sam w następnych wydaniach pod wpływem krytyki niejako cofnął lub zmienił. Ale p. Niemojewski nie na to tłumaczy, by przyswoić literaturze polskiej dzieło i myśl Renana — on chce zwalczać chrystyanizm; a że pierwsze wydania „Życia Jezusa“ są bardziej bezwzględne, więcej obniżają Osobę Zbawiciela, więc nasz wolnomyśliciel na nich właśnie opiera swe tłumaczenie wbrew kardynalnym zasadom uczciwości naukowej czy literackiej; o nią zresztą zdaje się całkiem niedbać, — czego dowodzi choćby jego czasopismo p. t. „Myśl Niepodległa“, gdzie — pomijając już ton pisma nieraz wprost karczemny — będący chyba

parodyą hasła „Wolnej Myśli” — znajdujemy — mówiąc delikatnie — mijania się z prawdą takie, że nawet po podręcznikach dla „Wolnej Szkoły” Ferrera zdumiewają. Oto przykład jeden z wielu: Artykuł „O człowieku religijnym” (Lipiec 1909 Nr. 103) zaczyna się temi słowy: „Jaką wyznając religię, pyta Szyller sam siebie i natychmiast odpowiada sobie: żadną. Dlaczego? Właśnie ze względów religijnych. Gdy rozejrzemy się po literaturze pięknej, ale pięknej istotnie, przekonamy się, że Szyller wyraził jakąś myśl inieniem całego rodu geniuszów etycznych. Na tem stanowisku stał nieśmiertelny Dante”. Powiedzieć, że Dantego religia jest „żadną” — to znaczy powiedzieć, że Kraków leży w Australii; na to zdobyć się może tylko „Myśl Niepodległa” tj. niepodlegająca ani prawom logiki ani oczywistym dokumentom historycznym, choćby to była „Boska Komedya”, rozgrywająca się w Piekło, Czyśćcu i Niebie, a więc cała oparta na dogmacie — o mało, że nie na dogmatyce Kościoła katolickiego. Prawda, że P. Niemojewski kształcił się w szkole Woltera, a ten to samo potrafił!).

<sup>1)</sup> Pocieszna się nieraz rozgrywa scena, gdy wolnomysliciel spotka w swych studyach wielkiego człowieka, który wierzył — jest to bowiem zjawisko, obalające jeden z podstawnych argumentów „Wolnej Myśli”, wedle którego wielki człowiek, zwłaszcza myśliciel, wierzącym być nie może. Ale od tego metoda „krytyczna” właściwa „Wolnej Myśli”, by trudność usunąć — poprostu albo onemu myślicielowi odmawia się talentu, a więc wielkości, albo robi go się niewierzącym.

Z tysiąca innych przykładów jeszcze choć jeden, wyjęty z wspomnianego wyżej dzieła o Ferrerze, opatrzonego pochwalną przedmową P. Bujwidowej: „Religie prowadziły ludzkość zawsze na złe drogi. . . . Religia jest nieszczęściem ludzkości“<sup>1)</sup>). Takie zdania może wypowiadać lub na nie się pisać człowiek, nie mający wyobrażenia o historyi lub też agitator niesumienny, który z całą świadomością operuje fałszem. I nie dziw, że są tacy i w Polsce — tylko niechże tacy właśnie nie mówią o „Wolnej Myśli“ i o „wolnej“ szkole!

A raczej my przekonajmy się na tych jak i tysiącnych innych przykładach u nas i za granicą, że „Wolna Myśl“ i „Wolna Szkoła“ to przedewszystkiem dwa fałsze oczywiste i świadome, a prawdziwy postęp, prawdziwa kultura nie mogą przecież opierać się na fałszach!

Ten kierunek zaś nie tylko sam w sobie opiera się na fałszu, ale jeszcze, że się tak wyrażę, fałszuje, paczy myśl ludzką, samo myślenie. Wyrabia on bowiem i to niestety z powodzeniem — to najjaśniejsze z pojęć, jakoby sąd bezstronny o sprawach religii i religii

Co do Dantego to niestety P. Niemojewski nie porozumiał się z Wolterem i w ten sposób Wolter odmówił Dantemu talentu, a nasz redaktor „Myśli Niepodległej“ — religii. Co to za szczęście, że wielkość i religia Dantego nie zależą od „Wolnej Myśli“!

<sup>1)</sup> Szkoda, że „wolnomyślny“ autor nie zapoznał się ze zdaniem „wolnomyślnego“ Berthelota o zasługach religii chrześcijańskiej około kultury (por. wyżej).

samej mogli wydawać jedynie wrogowie religii. I dzieje się rzecz prawie zabawna, gdyby nie była smutna w swych skutkach, że katolik czerpie wiadomości o swojej religii, o Kościele z dzieł wrogów tej religii, tego Kościoła i ma przy tem to monstrualne w swej logice wyobrażenie, że Wolter, Renan, Świętochowski lub Niemojewski są kompetentnymi, ba, jedynie kompetentnymi sędziami w tych kwestyach — bo ten, co czyta Niemojewskiego, nie zajrzy przecie do „Wieczorów nad Lemaniem“ lub innego dzieła apologetycznego uczonego katolika — zupełnie tak, jakby kto wiadomości o Filaretach wileńskich czerpał jedynie z raportów Nowosilcowa, lub jakby chcący poznać stosunki dzisiejsze w Poznańskim udał się po informacye do pruskiej komisji kolonizacyjnej. Aż wstyd tłumaczyć rzecz tak jasną jak słońce, że czerpać wiadomości o rzeczy czy osobie od wrogów, to znaczy narażać się na sąd niechybnie i wprost fałszywy — to nonsens! a taki nonsens właśnie szerzą szermierze „Wolnej Myśli“ i „Wolnej Szkoły“.

\*

\*

\*

Zdaje mi się, że tu wykazałem dowodnie, iż „Wolna Myśl“ i „Wolna Szkoła“ nie ostoją się przedewszystkiem przed krytyką rozumu i gdyby nam o nie więcej nie chodziło tylko o zdrowe, logiczne funkcyonowanie myśli naszej, to już z tego jednego względu te dwa



hasła musimy odrzucić jako czynniki szkodliwe rozwojowi tejże myśli.

Są one jednak szkodliwe także pod względem moralnym — nie tylko dla wspomnianej już a dziwnej na prawdę pobłażliwości dla pornografii, „Wolnej miłości“ itd., ale nade wszystko, iż usuwają z życia ludzkiego czynnik kulturalny tej miary, co religia. A moralność bez religii to arcyryzykowne przedsięwzięcie — to utopia może utopijniejsza jeszcze od owego społeczeństwa anarchistycznego bez władzy, sądów itd. Lubi się temu zapatrywaniu przeciwstawiać tu i ówdzie znachodzące się wypadki, że ludzie bez religii bywają przecież moralnymi, miewają nawet ideały wyższe, które i w czyn wprowadzają. Trzeba się jednak zapytać, czy oni zawsze byli bez religii, czy przeciwnie w młodości może otrzymali wychowanie religijne razem z moralnymi zasadami tej religii, jej ideałami, a dopiero później odrzucili dogmaty, ale zachowali owe zasady moralne, które w ten sposób nie z onej późniejszej niereligijności wypłynęły, ale z religii samej — jest to więc niejako laicyzacya etyki religijnej, którą zresztą obserwować możemy na każdym kroku w życiu dzisiejszem. — toż ile razy coś naprawdę dobrego, szczytnego widzimy poza religią, to nietrudno skonstatować, że to nic innego tylko skrawek etyki chrześcijańskiej, oderwany od całości, kwiat wyrwany ze swego gruntu rodzimego i pod inną nazwą podany jako rzekoma zdobycz nowoczesnej kultury.

Ale tego niechcąc niestety przyznać szermierze etyki bez Boga; lubią oni za autorem „Emila“ twierdzić, że pojęcia moralne są wrodzone człowiekowi. W jednej z najnowszych powieści czytamy te słowa: „Marna mrówka ma już w sobie wrodzone uczucie braterstwa i jedności z gromadą, umie pracować nie dla siebie i życie swoje oddać w ofierze, gdy trzeba. . . . Bociany i żorawie mają swe prawa i swoją moralność. A człowiek by jej nie miał! . . . Nie groźba piekła i nie wiara w niebo powstrzymuje nas od mordów i kradzieży. Lecz owo tkwiące w nas, w najlichszym z nas dążenie do doskonałości, do postępu, do ideału, owa tkwiąca w nas z przyrodzenia — Miłość“ (Sfinks, grudzień 1911, str. 424). Autor nie liczy się tu zgoła z ciekawym faktem, że „owe tkwiące w nas dążenie do doskonałości“ jakoś dziwnie mało dostrzegalnem jest u przelicznych jeszcze dziś ludów środkowej Afryki i Polinezyi, a jeżeli ono wyraźniejszem jest w Europie to właśnie dla tego, że Europa oddaliła się więcej niż tamte ludy od onego „przyrodzenia“ tj. natury<sup>1)</sup>, a do czego przyczyniła się w pierw-

---

<sup>1)</sup> Mimoходом zauważę, że nieco bliższe przyznanie się naturze doprowadza do ujemnego o niej sądu raczej, zbliżonego więcej do przesadnego coprawda twierdzenia Brunetière'a, że „natura jest niemoralną, z gruntu niemoralną . . . do tego stopnia, że każda moralność nie jest w swym pierwszym zaczątku czem innem jak reakcją przeciw naukom i radom, które nam daje natura . . . staliśmy się ludźmi i możemy się nim stawiać coraz bardziej, jedynie, uwalniając się od natury i starając się stanąć wśród niej jak „państwo

szym rzędzie religia chrześcijańska. I podobnych rozumowań jak powyższe i wzywań do „ideału“, do „Miłości“ nie czytalibyśmy dziś w „Sfinksie“, gdyby gleba kultury naszej nie była użyźniana przez tyle wieków nauką Ewangelii! Pomijam tu fałszywe twierdzenie, jakoby czynnikiem moralnym w chrześcijaństwie była tylko obawa kary i nadzieja nagrody — a gdzież „Miłość“ Boga i bliźniego? Czyż by autor rzeczywiście przypuszczał, iż sam to pojęcie odkrywa, czyżby nie wiedział, że starożytność mniej niż mgliste miała o niem wyobrażenie, i że ta „Miłość“ (przez duże M, jak autor słusznie pisze) to najpiękniejszy kwiat nauki Chrystusowej? — A zresztą czy ta moralność bez religii naprawdę i stale może istnieć i chować pokolenia po pokoleniach — na to najlepszą odpowiedź mogą dać tylko fakta, a więc zastosowania tego systemu tam, gdzie szkoła jest istotnie bez Boga — otóż tak jest we Francyi, gdzie szkoła rządowa pod tym negatywnym względem jest „Wolną Szkołą“, bo nie tylko tam niema nauki religii, ale nacisk z góry i ton podręczników wprost skierowany jest ku zupełnemu zniszczeniu wiary w sercach młodzieży,

---

w państwie... Jeżeli nie jesteśmy jako ludzie wyjątkiem w naturze, to jednak ludźmi jesteśmy o tyle tylko, o ile różnimy się od reszty natury“. Podobnie o życiu społecznem Brunetière zauważa całkiem słusznie, że idee rewolucyi są także przeciwieństwem tego, co widzimy w naturze, gdzie niepodzielnie panuje prawo mocniejszego lub sprytniejszego, ale nigdy nie równość, a cóż dopiero braterstwo. (Discours de combat. 1903 i 1904.)

a z drugiej strony osobne lekcye moralności świeckiej, nie opartej na religii, wpływają na ukształtowanie moralne tych serc. I jakiż rezultat tej nowej pedagogii? Otóż w samych sferach rządowych stan moralny Francyi w ostatnich latach budzi przerażenie<sup>1)</sup>. Od roku 1895 cyfra morderstw w tym kraju w dwójnasób podskoczyła, tak że rząd republiki ujrzał się zmuszonym w ostatnich latach powrócić do kary śmierci, która od wielu lat nie była stosowana. Napadów ulicznych bandytów w samym Paryżu i okolicy liczą na sto tysięcy, sprawcami są przeważnie małoletni przestępcy. Dodajmy skandaliczne wypadki niemoralności po kolegiach, gdzie nieraz i nauczyciele bywają w sprawę wmieszani, tak, że niejeden skończony radykał, autor wprost ustaw antychrześcijańskich, boi się dziecko swe do tej „Wolnej Szkoły“ posyłać i potajemnie je kształci w szkołach zakon-

<sup>1)</sup> Oto co pisze obrońca dzisiejszej szkoły świeckiej (bez religii) w czasopiśmie niekatolickiem „La Revue“ (1 janvier 1911, str. 23): „Ach! bezwątpiennie, najgorętsi przyjaciele tej szkoły są zmuszeni przyznać, że ona nie spełniła jeszcze wszystkiego, czego od niej się oczekuje... W zbyt wielu umysłach ciemnych światło sumienia nie zabłysło jeszcze. Złe instynkty nie zostały dostatecznie przytłumione, ponieważ nieestetyczna jest prawda, że widzi się wzrastającą w rozmiarach niepokojących zbrodniczość u nieletnich, którą zapewne trzeba przypisać różnorodnym przyczynom, ale która pochodzi także ze złego wychowania moralnego, za które po części odpowiedzialna jest szkoła...“ Autorem artykułu jest nie mniej ni więcej tylko „inspektor generalny wychowania publicznego“ Gabriel Compayré.

nych w kraju lub za granicą, które to fakta w parlamencie sobie na złość wzajemnie panowie posłowie wypominają, ku powszechnej wesołości słuchaczy. Dalej idzie propaganda antypatryotyczna — wytrysła także z „Wolnej Myśli“ — której bardzo późno, bo w ostatnich dopiero latach rząd stara się przeciwdziałać, sam będąc zresztą pierwszym winowajcą — rzecz doszła do tego, że podczas gdy przed 20 laty było 4000 dezertarów, to w r. 1908 doszła ich cyfra do 16 000! Czyż potrzeba przypominać znaną depopulację Francyi i fakt, że tylko te nieliczne prowincye, które pozostały szczerze wierzącami i przeciwdziałają szkole bez Boga wychowaniem religijnem, tylko te mają liczniejsze rodziny i ratują naród od wyludnienia? Niechby te fakta, stwierdzone cyframi przez sam rząd francuski, pouczyły tych z pośród nas, którzy jeszcze się łudzą, że szkoła bez Boga, oświata bez Boga to nietylko zguba jednostki, upadek rodziny, ale to początek zguby narodu<sup>1)</sup>. Zwłaszcza nasi t. zw. liberalni patryoci możeby ze chęcieli przyjrzeć się faktom i przekonać, że „Wolna Myśl“ i „Wolna Szkoła“ to droga prosta do zniszczenia uczuć

<sup>1)</sup> Zresztą ta zdechrystyanizowana szkoła francuska nawet pod względem kulturalnym nie bardzo zdaje się służyć narodowi. Oto, bowiem podczas gdy w Niemczech (przy szkole wyznaniowej) w ostatnich 10 latach procent analfabetów spadł z 0 096 na 0 015, to we Francyi skonstatowano fakt przeciwny: liczba rekrutów nie umiejących czytać ni pisać w ostatnich trzech latach podniosła się o 3000! (Cyt. Bonifatius-Korrespondenz. Prag. I. Nov. 1911.)

patryotycznych. U nas oczywiście tego hasła jeszcze się nie wywiesza, ale Francya przykładem, że i antypatryotyzm jest jednym z zasadniczych punktów programu i nie wątpmy na chwilę: niech „Wolna Myśl“ u nas zdemoralizuje jednostki, pozbawi ideałów etycznych i religijnych, a hasła antypatryotyczne jak grzyby trujące wyrosną niebawem na tej zgnilizną moralną przesiąkniętej glebie serc polskich. I stąd już dla samej miłości ojczyzny, dla dobra narodu i tak już sponiewieranego, i tak uciskanego ze wszech stron od wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, odepchnijmy precz od siebie hasła „Wolnej Myśli“ i „Wolnej Szkoły“! To wróg najniebezpieczniejszy, który dokona tego, o co na darmo kuszą się od stu lat wrogowie zewnętrzni. Panowanie „Wolnej Myśli“ i „Wolnej Szkoły“ to początek, zapowiedź pewna tego, coby tak chętnie zakrakało nad nami: *Finis Poloniae!*

Ale wśród nas Polaków dzięki Bogu nie brak jeszcze takich, dla których religia to nie tylko ostoja narodowości, ale to dusza duszy naszej; a jeżeli przodkowie nasi pod Wiedniem i Chocimem piersią swoją i życiem tej wiary bronili, jeżeli dla niej ci siermiężni bohaterowie podlascy tyle łez i krwi przelali, to my, którzyśmy może nie dorośli do bohaterstwa tamtych, jednakże nie damy się im na tyle zawstydić, byśmy obojętnie patrzyli na świadome zabijanie tej Wiary w sercach narodu — będziemy protestowali przeciw bezczeszczeniu

tego, co nam święte - przypomniemy wrogom naszym słowa Wyspiańskiego: „Ale świętości nie szargać!“ — A nadewszystko będziemy tę tak sponiewieraną Prawdę tem serdeczniej kochali — i będziemy pracowali nad tem, aby młodzieży naszej ci najmniej powołani jej opiekunowie nie wydzierali tej świętości ze serca, aby ta kochana młodzież polska z całym narodem wytrwała wiernie pod tym znakiem, od którego dziś, jak przed wiekami, idzie głos do jednostki, narodu i całej ludzkości: *In hoc signo vinces!* Pod tym znakiem zwyciężysz!





DUCHOWIEŃSTWO ZAKONNE W CERKWI  
ROSYJSKIEJ.

*Lhs. Portnyj Tjerselki  
o. m. c.*

*Russ. u. Tjerselki  
o. m. c.*



Ks. Aleksander Mohl. T. J.

# DUCHOWIEŃSTWO ZAKONNE W CERKWI ROSYJSKIEJ.



POZNAŃ.

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni  
św. Wojciecha.

1912.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

## Przedmowa.

„Mam nadzieję, — pisze O. Palmieri we wstępie do swego dzieła o prawosławnej cerkwi, (*La Chiesa Russa*) — że każdy interesujący się sprawami kościołów wschodnich z pracy mojej będzie mógł wyciągnąć pożytek. Teologia katolicka nie może spuszczać z oka religijnego stanu, w jakim się znajduje przeszło sto milionów dyzunitów . . . .“ (XIII).

I nadzieja O. Palmieriego nie zawiodła. Dzieło jego bowiem wprawdzie wywołało polemikę ostrą ze względu na stanowisko, jakie w niem O. Palmieri zajął wobec polskiego duchowieństwa, ale zresztą przyjęte zostało przychylnie i przez prasę zarówno zagraniczną jak i naszą polską uznane za pierwszorzędne.

„Dotychczas, kto z nas Polaków, — pisaliśmy w „Przeglądzie Powszechnym“ zaraz po jego wyjściu<sup>1)</sup> — chciał poznać cerkiew prawosławną, musiał wiele czasu zmarnować, zanim do jakich takich i to jeszcze nieraz bardzo niejasnych i niepewnych dojść mógł rezultatów. Dziś przestudyowanie O. Palmieriego daje wszystko albo prawie wszystko, daje klucz do niej. A że posiadanie takiego

<sup>1)</sup> „Przegląd Powszechny“. Maj. P. 1908, str. 393.

klucza jest skarbem prawdziwym: więc kto nam go daje do rąk, wyświadcza nam prawdziwą przysługę. Wielu z nas z konieczności swego położenia i obowiązku swego stanu, wielu innych dla samej orientacyi w wielkiej dziejowej zawierusze, jaką przeżywamy, powinni Cerkiew znać i to znać dokładnie. Otóż O. Palmieri przychodzi nam tu z pomocą. W tem wartość jego pracy, jego wielka wobec Kościoła i narodu polskiego zasługa, . . . dlatego sądzimy, że przysłuży się także polskiemu społeczeństwu, kto ją na polskie przełoży i szerszym warstwom naszej inteligencyi uczyni przystępną“.

Dzieło O. Palmieriego własnych jego myśli zawiera stosunkowo nie wiele. On sam to stwierdza, kiedy przed zarzutem zbytniej obiektywności się broni.

„Niejednemu zdawać się będzie, że przyjęta przez nas metoda może zejść na tory niebezpieczne. Czy doprawdy zachodzi potrzeba rozkładać przed czytelnikiem zasady fałszywe, zaprawione radykalizmem rewolucyjnego prądu, jaki nurtuje w społeczeństwie rosyjskiem, — opowiadać mu, jak reformatorzy chcą przerobić całkowicie ustrój prawosławnej Cerkwi, ześwieczczając duchowieństwo i wojnę wydając ascezie? Czyż to roztropne, szczególnie, gdy się jednocześnie nie zbija błędów, nie wykazuje w świetle logiki, gdzie się ukrywa zjadliwy jad? Przecież to może się stać dla maluczkich zgorszeniem.“ (XI.)

Jakkolwiekby, faktem jest, że O. Palmieri, w ogóle biorąc, zadawała się tylko obiektywnem fotografowaniem swego przedmiotu. Przeważna część jego dzieła — to same cytaty Rosyan o Cerkwi prawosławnej. „Dziwić się trzeba, kiedy się pomyśli, ile pism, ile książek, pism peryodycznych, gazet musiał O. Palmieri przewertować, przeczytać, — ile bibliotek przerzucić, do ilu dokumentów zaglądnąć, aby nagromadzić ten ogrom cytatów, stanowiących pewnie trzy czwarte całości jego dzieła<sup>1)</sup>.“

Kto tedy chciałby z dzieła O. Palmieriego zrobić tylko wyciąg, znalazłby się w wielkim kłopotcie, bo onoż samo jest takim wielkim, uporządkowanym, ułożonym wyciągiem współczesnej literatury rosyjskiej, odzwierciedlającej stan obecny prawosławia. To też trzeba za O. Palmierim przytoczyć albo wszystko albo prawie wszystko, jeżeli się chce cel jego osiągnąć.

Przytem dzieło to jest całością organiczną więcej co do planu i krytycznej metody przedstawienia, niż wewnętrznego związku, — raczej zbiorem pojedynczych monografii niż systematycznie przeprowadzoną syntezą, — raczej uczoną komplikacją szczegółów, odnoszących się do tematów zresztą różnorodnych, niż przetrawieniem ich w jedno. Otóż względ ostatni ułatwia nam przeprowadzenie choć

---

<sup>1)</sup> Ib., str. 391.



w części zamiaru, jaki mieliśmy od początku, zapoznania publiczności naszej z treścią dzieła O. Palmieriego.

Na spolszczenie całości nie mamy na razie czasu, więc postanowiliśmy wyjąć z niej kilka takich monografii, bardziej zajmujących polską publiczność, a trzymając się wiernie O. Palmieriego, przytoczyć w nich wszystkie mniej więcej cytaty, które na dany nagromadził temat.

Na początek obieramy sobie rozdział trzeci, gdzie mowa o duchowieństwie czarnem czyli zakonnem a tem samem i o duchowieństwie wyższem, bo, jak wiadomo, w rękach mnichów św. Bazylego skoncentrował się na Rusi prawosławnej monopol wszystkich cerkiewnych godności.

Pozwoliliśmy sobie przytem na niektóre zmiany. Oto najpierw tu i owdzie staraliśmy się więcej systemu wprowadzić w przytaczanie cytatów, działając w tem w myśl autora, który sam przyznaje, że w tym kierunku nie wszystko zrobił, co było potrzeba. „Nieraz — pisze on — powinienbym był bardziej systematycznie ułożyć zebrany przezemnie materyał“ (XIII).

Potem w ustępach, od O. Palmieriego pochodzących wprost, — takich, gdzie się starał popuścić cugle fantazyi włoskiej, aby „zaspokoić amatorów frazesów gładkich i peryodów szumnych“ (XIII), — uważaliśmy tylko na to, aby główną jego myśl uchwycić, i, odpowiednio

rozwinąwszy, wyciągnąć różne naturalnie wypływające z niej wnioski.

Wreszcie co do formy zewnętrznej, zaprowadziliśmy nowy podział na rozdziały z odpowiednim krótkim streszczeniem na początku każdego z nich i numeracyę, idącą przez całą monografię dla łatwiejszej orientacyi czytelnika przy późniejszym cytowaniu.

A. M.



**I. Pogląd historyczny na rozwój życia zakonnego w Rosyi. — Monastery w dawnej Cerkwi. — Upadek ich w XVIII wieku. — Rozkwit w XIX wieku. — Obecna ich statystyka.**

---

1. W dziejach chrześcijaństwa na Rusi pierwsze miejsce należy się słusznie pełnym poświęcenia i gorliwości mnichom wschodnim, którzy, w ślad za św. Cyrylem i Metodym, wiarę św. do niej przynieśli a potem słowem i przykładem ją podtrzymywali i rozszerzali. Klasztory ich były to środowiska, skąd, jak z klasztorów Benedyktynskich na Zachodzie Europy, promieniało światło nauk duchownych i świeckich, wychodziły pokolenia dygnitarzy kościelnych, wyrabiali i cnotami jaśnieli święci. Przodował w tym względzie Kijów, — kolebka ruskiego narodu, prawdziwy Rzym ruski, miasto klasztorów i mnichów. Jego Pieczerska Ławra, założona przez Antoniego i Teodozego, dwóch świętych mnichów, była przez długie lata twierdzą ortodoksji. W niej się koncentrowały siły religijne kościoła ruskiego. Dość powiedzieć, że z jej murów wyszło przeszło

50 wybitnych władyków i ascetów i że w niej napisany został najstarszy zabytek literatury ruskiej — kronika Nestora, protoplasty dziejopisarstwa nie tylko ruskiego, ale w ogóle całej Słowiańszczyzny<sup>1)</sup>).

Obok Ławry Pieczerskiej posiadał Kijów jeszcze 17 innych klasztorów, ustępując w tym względzie jedynie Nowogrodowi, który miał ich 20. Za przykładem tych wielkich metropolii każde wybitniejsze miasto ruskie miało swój klasztor albo nawet więcej klasztorów. I tak na pewno wiemy, że takie monastery istniały w Rostowie, Suzdalu, Perejasławiu, Czernihowie, Smoleńsku, Włodzimierzu, Kostromie, Połocku itd. W owych czasach zakładanie i wyposażanie klasztorów uchodziło na Rusi za objaw szczególnej pobożności: to też książęta wielcy i mali a za nimi bojarowie współzawodniczyli ze sobą w hojności względem klasztorów i ich mieszkańców. Po najściu Tatarów na Rusi wiele się zmieniło, ale, mimo scentralizowania władzy w rękach wielkich książąt moskiewskich, nie zmieniło się stanowisko zakonnego duchowieństwa. Dopiero za Piotra W. i w tym kierunku nastąpił przewrót radykalny.

2. Ten energiczny monarcha, któremu tak

---

<sup>1)</sup> Porfirjew. Istorja russkoj słowesnosti. Kazań 1897 VI. wyd. 373—379. Götz: Das Kiever Höhlenkloster als Kulturzentrum des vormongolischen Russland. Passau 1904. Znamenskij. Uczebnoje Rukowodstwo po istorii cerkwi, 66, 67.

spieszno było wznieść Rosyę na wysokość kultury zachodnio-europejskiej, w gorączce swej reformacyjnej nie mógł oczywiście ominąć potężnych i wpływowych monasterów; przy czem ukazy jego ich się dotyczące, były tak radykalne, tak głęboko podkopywały wszelkie życie zakonne, że stały się powodem szybkiego upadku całego stanu zakonnego w Rosyi. W oczach Piotra W. mnisi przedstawiali kastę zawodowych próżniaków i darmozjadów, przeszkadzających przeprowadzeniu jego reformatorskich planów. On byłby chętnie skasował ich od razu zupełnie, ale że tego nie mógł: więc starał się przynajmniej, redukując ich liczbę, zużytkować ich dla swej państwowej idei.

Posypały się tedy ukazy jeden za drugim. Dla zmniejszenia ich liczby wydał Piotr W. rozporządzenie, żeby przyjmowano do nowicyatu tylko o tyle, o ile się miejsce opróżni przez śmierć, i to kandydatów, nie poniżej lat 30 a co do mniszek — lat 50; przy czem wydał różne przepisy, dotyczące się ich obłóczyn, kandydatury, nowicyatu. Co się zaś tyczy zużytkowania monasterów wedle swych pojęć, postanowił, że będą one odtąd udzielały dożywotniego przytułku żołnierzom rannym albo niezdolnym do pracy, oraz ubogim, albo przynajmniej utrzymywały szpitale<sup>1)</sup>.

Wobec tego nie można się dziwić, że mnisi się bronili, podając Piotra W. za anty-

---

<sup>1)</sup> Filaret. Istorja russkoj cerkwi, 806.

chrysta, za drugiego Nerona; on im się odpłacał, zabraniając mieć po celach atrament, pióro i papier do pisania<sup>1)</sup>. W dodatku przez t. zw. Regulamin Kościelny zakazał zakładania nowych monasterów bez poprzedniego zezwolenia synodu i władz rządowych; mniejsze monastery pokasował a ich cerkwie klerowi parafialnemu oddał do użytku<sup>2)</sup>.

Anna Joanowna poszła dalej. Za niej wolno było przyjmować do nowicyatu tylko popów wdowców i dymisyonowanych żołnierzy. Ponieważ przy tem się okazało, że przepisy Piotra W., tyżące się nowicyatu, w wielu wypadkach nie były zachowywane; więc energiczna caryca kazała wszystkim, którzy je obeszli, jako prostych żołnierzy wziąć do wojska.

3. W ten sposób wojna z mnichami, którą prowadził rząd cesarski pod wpływem protestancko - niemieckiej kamaryli dworskiej, skończyła się zdziesiątkowaniem i poniżeniem czarnego duchowieństwa. W pierwszych latach XVIII wieku było mnichów i mniszek razem 25 000 (14 534 mnichów i 10 673 mniszek) a przy śmierci Anny Joanowny zaledwie 14 282 (7 829 mnichów i 6 453 mniszek).

Upadek monasterów w tym czasie począł przyjmować rozmiary tak wielkie, że nawet Synod petersburski odważył się najpokorniej prosić cesarzową, aby raczyła zła-

<sup>1)</sup> Znamenskij o. c. p. 468—469.

<sup>2)</sup> Pavlov. Kurs cerkownawo prawa, 224.

godzić przepisy dotyczące nowicyatu; doszło bowiem do tego, że w niektórych, licznych do niedawna monasterach, żyło już tylko po kilku i to dogorywających staruszków<sup>1)</sup>). Prośbę tę uwzględniła carowa, pozwalając przyjmować nowicyuszów bez żadnych ograniczeń i skracając im czas nowicyatu, który za Piotra W. trwał całe trzy lata<sup>2)</sup>). Mimo to, dzięki innym ograniczeniom i nieprzyjaznemu usposobieniu rządu względem stanu zakonnego, monastery wyludniały się z każdym rokiem coraz więcej, W 1762 ogólna liczba mnichów wynosiła 7 659 a mniszek 4 784<sup>3)</sup>). Skutkiem tego skasowano powtórnie wiele monasterów wielkoruskich i zamknięto jednocześnie 40 innych na Małej i Białej Rusi<sup>4)</sup>). W tym samym roku s e k u l a r y z o w a n o dobra klasztorne i wyznaczono pensye mnichom i mniszkom. Odtąd liczba mieszkańców w pojedynczych klasztorach była ściśle określona, przekraczać jej pod żadnym warunkiem nie było wolno.

Według urzędowego spisu z 1764 r. liczba mnichów, mających prawo do pensyi rządowej wynosiła 5105. — Z 953 monasterów wielkoziemskich pozostała tylko połowa.

4. W 1810 w całej Rosyi było monasterów 452. — Mimo to stan zakonny począł się wtedy p o d n o s i ć, a to szczególnie dzięki

---

<sup>1)</sup> Dobroklonskij. Rukowodstwo i istorja russkoj cerkwi, IV. str. 422.

<sup>2)</sup> Znamenskij, 469.

<sup>3)</sup> Dobroklonskij, 424.

<sup>4)</sup> Znamenskij, 470.



życzliwości, jaką go otaczał Paweł I i synowie jego Aleksander I i Mikołaj I. Wtedy to otworzono na nowo wiele słynnych dawniej monasterów, które zamknięto w wieku XVIII i pozakładano wiele nowych z ofiarności już to rodziny cesarskiej już to osób prywatnych.

Za panowania Mikołaja I-go założono nowych monasterów 15, a za jego następcy Aleksandra II-go między 1855 i 1869 rokiem — 31.

5. W 1889 r. liczono monasterów 631, w 1893 już 742 (507 męskich a 235 żeńskich) z 43 000 osobami zakonnymi, wliczając w to nowicyuszów i nowicyuszki. W jednym tedy wieku założono monasterów około 300, z czego 106 w przeciągu lat dziesięciu.

6. Obecnie na początku XX-go wieku liczy cerkiew prawosławna 500 monasterów męskich, z których 68 stanowi jednocześnie rezydencję miejscowego biskupa i 333 monasterów żeńskich; mnichów wraz z nowicyuszami (pokłonniki) jest 15 000 a mniszek i nowicyuszek — 38 000. Rozwój monasterów żeńskich pochodzi stąd, że przy każdym znajduje się szkoła albo szpital.

Tytuł honorowy Ł a w r y przysługuje wyłącznie czterem monasterom: mianowicie monasterowi Aleksandra Newskiego w Petersburgu,

— św. Teodozego czyli Pieczerskiemu w Kijowie, — św. Trójcy w Siergiejewie i — Wniebowzięcia w Poczajowie. Siedm innych nosi (zresztą bez żadnej kanonicznej podstawy) tytuł monasterów S t a u r o p i g i a l n y c h,

co dawniej oznaczało, że taki monaster był wyjęty z pod jurydykcyi miejscowego archiereja i poddany bezpośredniej władzy patryarchy. Do nich należy monaster Nowospaski w Moskwie i Sołowiecki nad Morzem Białem; wszystkie zaś są zależne od Synodu petersburskiego.

---

## II. Stanowisko społeczne i wpływ moralny monasterów prawosławnych.

---

*Bogactwa monasterów. — Monopol godności cerkiewnych. — Praktyka greckiego kościoła. — Reakcja w Rosyi.*

7. Monastery w Rosyi są obecnie nie tyle twierdzami prawosławia, ile raczej potęgą finansową znaczenia pierwszorzędnego. Po sekularyzacyi dóbr klasztornych w XVIII wieku i szykanach ze strony rządu doczekały się one lepszych czasów za Aleksandra I i jego brata Mikołaja. Podstawą ich dobrobytu był ukaz ostatniego, którym wyznaczył on od 50 do 150 dziesięcin (1 dziesięcina = 1.092 hektara) ziemi skarbowej na każdy monaster.

Posiadłość ta zaokrągląła się z czasem coraz bardziej przez zakupno nowych gruntów tak, że w 1863, kiedy nastąpiło uwłaszczenie chłopów i wykupienie przez rząd ziemi dla nich przeznaczonej, sumy t. zw.

„wykupne”, wypłacone monasterom były ogromne. Dołączywszy do tego inne dochody i ofiary, nieraz bardzo wysokie (księżna Orłowa leguje w 1848 r. 340 monasterom po 5 000 rs. każdemu i procenta), nie będziemy się dziwić, że dziś majątek klasztorny w Rosyi szacuje się na kilka miliardów rubli. Sam monaster Siergiejewski posiada na swój rachunek kilka milionów.... Doszło przecież do tego, że synod petersburski, czując się zmuszonym zapobiedz niezmiernemu wzrostowi dóbr monasterskich, wydał 25 kwietnia 1865 i 22 stycznia 1870 r. osobne dekrety, przez które nałożył na monastery obok obowiązku życia wspólnego obowiązek utrzymywania zakładów dobroczynnych, jak szkół, szpitali i t. p.

8. Znaczenie stanu zakonnego w Rosyi potęguje się jeszcze tem, że mają one wpływ decydujący na wewnętrzne życie cerkwi prawosławnej, w której stanowiska przewodnie zajmowane są wyłącznie przez mnichów św. Bazylego. Ci mnisi stanowią tedy duchowną inteligencyę prawosławia, tak że kościołem nauczającym w cerkwi rosyjskiej ich nazwać trzeba, t. j. wyłącznie prawie sam stan zakonny.

9. Według Piotra W. mnisi prawosławni dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy się pracom ręcznym oddają, i tych, którzy się zajmują naukami, teologią, sposobiąc się w ten

sposób do objęcia wyższych godności cerkiewnych.

Utrwalił się bowiem i stał się prawem obowiązującym na Rusi zwyczaj od dawna gdzieś na wschodzie przyjęty, że na biskupstwo może być powołany tylko mnich, Bazylijanin. To też pod tym względem różni się cerkiew prawosławna nie tylko od Kościoła katolickiego, ale i od cerkwi greckiej. U Greków bowiem schizmatyckich teraz jak i dawniej wolno było księżom świeckim ubiegać się o godność biskupią. Dzisiejsi kanoniści greccy to wyraźnie podkreślają, twierdząc, że godność biskupia nie jest wyłącznym *p r z y w i l e j e m* *m n i c h ó w*. Przecież był czas, gdzie ich jeszcze nie było a byli już biskupi, którzy się rekrutowali z pomiędzy duchownych świeckich, a nawet ze stanu świeckiego. Dopiero gdy zwycięstwo odniosła ortodoksja nad obrazoburcami, głównie dzięki odwadze i poświęceniu mnichów prawowiernych, ustaliła się praktyka późniejsza, że na wakujące stolice poczęto ich tylko powoływać. Było to po części nagrodą za bohaterstwo, okazane w przeszłości, a po części zabezpieczeniem się na przyszłość, że oni wiary nie zdradzą. Nie da się też zaprzeczyć, że do uprzywilejowania mnichów w tym kierunku przyczyniły się kanony Synodu zw. *q u i n i s e x t u m* z 692. roku. Postanowiono tam bowiem pomiędzy innemi, że biskupem nie może być kapłan żonaty, a gdyby miał żonę, ma się z nią rozstać, umieszczając ją w kla-

sztorze, odległym od miejsca, w którym z nią przedtem przebywał<sup>1)</sup>).

W ten sposób przystęp do godności biskupiej stawał się dla przeważnej części kleru świeckiego wprost niemożliwym, a za to ułatwionym dla mnichów, którzy z natury powołania swego żyli w celibacie; to też z biegiem czasu coraz rzadszymi były wypadki, że kapłan świecki zostawał biskupem; co znowu dawało okazję do niezadowolenia, szemrania, nawet otwartych protestów ze strony kleru świeckiego, tak to n. p. za czasów patryarchatu Jana XII-go (1294 r.) jego przedstawiciele w urzędowym akcie skarżyli się na wyrządzaną sobie w ten sposób krzywdę.

10. P r a w o k a n o n i c z n e kościoła greckiego uznaje zarząd biskupstwa za niezgodny ze stanem zakonnym; stąd archirej, który chce zostać mnichem, musi uprzednio zrzec się nie tylko rządów dyecezyi, ale i wszelkich zewnętrznych oznak swej godności i zamknąć się w klasztorze<sup>2)</sup>).

Za to kanony greckie żadnej nie widzą przeszkody, aby mnich został biskupem; owszem, wychodzą z założenia, że stan zakonnny w szczególny sposób przygotowuje ludzi do piastowania godności kościelnych, bo wyra-

<sup>1)</sup> Hefele. *Konciliengeschichte*, t. III. Freiburg 1858, 303, 307.

<sup>2)</sup> Apostolos Christodulos *Δοξίμων ἐκκλησιαστικὸς διατάγμα*. Konstantynopol 1896, 279.

bia cnoty, których potrzeba do ich godnego sprawowania<sup>1)</sup>.

11. Zwyczaj monopolizowania godności kościelnych w rękach mnichów zachowuje się dziś tylko w Rosyi i królestwie Greckiem<sup>2)</sup>. W samym zaś patryarchacie konstantynopolitańskim na stolicie biskupie powołuje się zazwyczaj kapłanów t. zw. *ἱερομόνους*, którzy wprowadzie przez niektórych kanonistów są zaliczani do stanu zakonnego<sup>3)</sup>, w gruncie jednak rzeczy, prócz stroju, nic z nim nie mają wspólnego<sup>4)</sup>. Dzisiejszy patryarcha konstantynopolitański Joachim III trzyma się zasady, że obu stanom duchownym przysługuje jednakie prawo ubiegania się o godności kościelne; mimo to jednak większa część dygnitarzy cerkiewnych jemu podległych, należy do stanu zakonnego<sup>5)</sup>.

12. Duchowieństwo zakonne prawosławne przechodzi dziś w Rosyi chwilę krytyczną. Ze wszystkich stron podnoszą się przeciw niemu głosy, żądające przedewszystkiem ograniczenia jego wpływu na życie wewnętrzne cerkwi. Szczególnie zaś prasa postępową klerykałną i prasa liberalna nie przestają nawoływać do reformy w tym kierunku, utrzy-

---

<sup>1)</sup> Tamże 280.

<sup>2)</sup> Pawłow, 215.

<sup>3)</sup> Christodulos, 313.

<sup>4)</sup> Pawłow, 215.

<sup>5)</sup> Kapterew: K woprosu o cerkownoj reformie. Bogosł. Wiestnik Pisolrad, 1905, str. 513, 514.

mując, że dzisiejsi zakonnicy nie dorośli do zadania, do którego się ich używa.

Przecież znalazł się pop, co w „Słowie“ petersburskiem pisał otwarcie, że „zanim się zacznie myśleć o dalszej reformie cerkwi i prawosławia, trzeba wprzód wyrzucić mniichów z miejsca, które w niem zajmują i wygnać na pustynię, daleko od ludzi, bo tylko w ten sposób będzie można cerkiew wyrwać z pod ich zgubnego wpływu“. „Oni się sprzeniewierzyli swemu powołaniu, woła inny --- wprowadzając do klasztoru chciwość i próżność: namiętności rządzące światem, z którymi walkę poprzednicy ich uważali za cel swego życia“.

„Dzisiejsi mnisi rosyjscy stroją się w jedwabne suknie, zapełniają akademie duchowne, stają na czele seminaryów, wszędzie i zawsze kierując wyłącznie chęcią wzbicia się w górę i utworzenia sobie drogi do zaszczytów i godności. Ich ideał nie sięga po za ziemię; ani ich zasady --- ponad zasady tego świata“.

Oczywiście, z takich przesłanek musi każdy wyprowadzić wniosek, że trzeba raz przestać powołania zakonne uważać za konieczny warunek do osiągnięcia godności duchownych w cerkwi; istotnie wielu go też wyprowadza.

Przytem ci przeciwnicy uprzywilejowanego stanowiska kleru czarnego coraz głośniej podnoszą, że to stanowisko nie jest uzasadnione żadnym wyraźnym przepisem kościelnym, ani praktyką starożytności chrześcijańskiej. Wiadomo bowiem, że dopiero po ciężkich chwilach,



które Kościół przeszedł w IV wieku, podczas walki z arianizmem, wśród mnichów na pustyni poczęto szukać kandydatów do obsadzenia wakujących katedr biskupich. Atanazy Wielki, patriarcha aleksandryjski, był pierwszy, który mnichów, na pokucie i modlitwie zaprawionych, powołał do swej pomocy dla pracy nad winnicą Pańską, sądząc, że staną się narzędziem odpowiednim do zwalczania rozpanoszonej wszędzie jeszcze herezyi. Mimo to dopiero obowiązkowe zaprowadzenie celibatu dla biskupów na soborze powszechnym IV-tym praktykę tego wielkiego Ojca Kościoła rozpowszechniło po całym wschodzie, choć, jak widzieliśmy, ani Wielka Cerkiew wschodnia konstantynopolitańska, ani Kościół rzymski, ani nawet Cerkiew ruska żadnego formalnego przywileju w tym względzie nie uznała, bo i na Rusi bywały, prawda, rzadkie wypadki, w których na katedry biskupie powoływano kapłanów świeckich, bez wymagania od nich, aby poprzednio wstępowali do klasztoru.

---

### III. Zdanie prasy rosyjskiej o mnichach prawosławnych.

---

*Krytyka życia prawosławnych mnichów. — Krytyka ich wpływu na wychowanie młodzieży duchownej. — Radykalne głosy reformy. — Nieudane próby obrony.*

13. „Goniąc za mitrą biskupią, sprzeniewierzają się mnisi swemu powołaniu. Po monaste-

rach ich prawie nie widać. Trawieni gorączką wywyższenia, spieszą oni opuścić czempredzej celę, aby dostać się do akademii, a stamtąd do seminaryum; wszędzie zaś o tem tylko myślą, jakby co rychlej zrobić karierę. Biały kruk pomiędzy nimi ten, co się stara przyswoić sobie ducha Pańskiego<sup>1)</sup>. „Reguła zakonna obowiązuje mnichów do milczenia, przebywania w murach klasztornych, zachowywania ubóstwa, wyrzeczenia się prawa do sporządzania testamentu<sup>2)</sup>), bo na tem polega istota zakonnego życia. Otóż mnich, który wszystkie swe siły wytęży, aby zostać czempredzej biskupem, o te reguły dbać nie może; a potem, skoro nim zostanie, tem mniej może je zachowywać. Gdzież tu może być mowa o milczeniu, życiu w ubóstwie i nierozporządzaniu swem mieniem?

„Stąd wielu bogobojnych i świątobliwych władyków składało dobrowolnie piastowaną przez siebie godność, aby w samotności oddać się uczynom pokutnym i modlitwie. Takimi byli biskup Tychon Zadoński, Teofan Tambowski, Jeremi Niżno-Nowogrodzki i t. d.

14. „Żądza wyniesienia podkopała kredyt moralny mnichów. Monastera nasze to — można powiedzieć — rozsa-  
dniki, w których pielęgnuje się pokolenia w łó-  
czących i pijaków. Przyjmuje się kan-

<sup>1)</sup> Ob odnoszeniu między Cerkwią i Gosudarstwem.  
Cerk. Wiestnik, 1906, n. 17, kol. 527.

<sup>2)</sup> Christodulos 316—317.

dydatów bez żadnego wyboru. Każdy, kto się nawinie, jest mile widziany, byleby zwiększył szereg mieszkańców klasztornych<sup>1)</sup>).

„Mnisi nadużywają swych bogactw ogromnych. Dość powiedzieć, że igumeni niektórych większych klasztorów pobierają 3, 4, nawet 10 tysięcy rs. rocznej pensyi, gdy tuż obok popi wiejscy z całą rodziną utrzymać się muszą za 400 lub 500 rs., które im rząd wypłaca, albo i tego nie mają.

„Zgorszeniem jest patrzeć, z jakim przepychem występują ci krezusi duchowni! — w jakich karocach się rozjeżdżają, jaki stół wykwintny prowadzą! A nie trzeba myśleć, że zwykłym mnichom dzieje się gorzej. Oprócz stołu wspólnego, zastawionego hojnie, dostają oni po 300, 400 rs. rocznie<sup>2)</sup> na drobne wydatki. Cóż dziwnego, że, całe życie nic nie robiąc, a mając pełne kieszenie, popadają w występki, których wstydzą się nawet ludzie świeccy<sup>3)</sup>). To też widzimy, jak „jedni z nich

<sup>1)</sup> Cerk. Wiestn. 1905, n. 49, kol. 1539.

<sup>2)</sup> Czasami 1000 rubli. Iliński, O przyczynach nrawennawo upadka monaszeztwa. Cerk. Ob. żiżń, n. 44, str. 1451. Tenże autor powiada, że nędza w niektórych klasztorach żeńskich dochodzi do tego, że mniszki literalnie przymierają z głodu, czego dowodem, że 10% z nich umiera na suchoty. „Pomyśleć, że (jak pisze Popow), taki biedny paroch wiejski musi nieraz spieszyć o wiorst 70, aby zaopatrzyć umierającego, a wróciwszy do domu, znajduje ledwie garść kartofli, aby nią zaspokoić swój głód i głód swej rodziny, — że seminaryści mrą z głodu, mając wyżyć za 100 rs. rocznie — a tuż obok mnisi, próżniacy, rozkoszują. — Bogosł. Wiestn. Dekabr 1905, 801—802.

<sup>3)</sup> Birzewyja Wiedomosti, Cerkow i Mirjane, 1905, n. 8735, 23 marta.

oddają się pijaństwu a drudzy oddają inni pod sąd za przestępstwa przeciwko obyczajom<sup>1)</sup>). „Życie mnichów jest co do obyczajności niższe od życia ludzi świeckich. Monastery są ubogie tylko z imienia, bo w rzeczywistości opływają w bogactwa. Wszystkie razem mają w Rosyi posiadłości ziemskich 500,000 dziesięcin ziemi (543,250 hektarów); w tem niektóre z nich po kilka tysięcy na własny rachunek. Do tego dodać trzeba inne nieruchomości, jak po miastach domy, przynoszące nieraz dochody olbrzymie. Przytem o zakładach dobroczynnych, utrzymywanych za pieniądze klasztorne, ledwie co słyhać.

„Prawda, mówi się wiele o nakładach na utrzymanie klasztornych budynków, cerkwi i urządzanie nabożeństw. Wydatki te są; ale na pierwszym miejscu robi je próżność. Mnisi wydają tysiące na upiększenie cerkwi, sprowadzanie ogromnych dzwonów, budowanie wysokich dzwonnice: ale wszystko to bez potrzeby, bo im o to tylko chodzi, aby zwrócić na siebie uwagę pospólstwa.

„Po za tymi wydatkami reszta pieniędzy tonie w głębokich ich kieszeniach na ich utrzymanie i pensye większe lub mniejsze, stosownie do urzędu, jaki ktoś piastuje, albo do stopnia zakonnego, na którym jest postawiony. Często się przytrafia, że pensya ta zostaje loko-

---

<sup>1)</sup> Popow, Ob odnoszeniu pastyrja cerkwi k so-wremennym obszczestwennym dwiženjam, Bogost. Wiestn. Dekabr 1905, str. 801—802.

wana w pożyczkach, i to nieraz za procent prawdziwie lichwiarski. Dochodzi nawet do tego, że niektóre monasterzy przekształcają się w zgromadzenia bankierów, którzy, zdaniem taurydzkiego archiereja Aleksego, zapominając o zbawieniu swej duszy, pamiętają tylko o wygodach grzesznego swego ciała.

15. „Oczywiście z bogactwem monasterów idzie w parze ich rozluźnienie i upadek moralny. Zamiast miłości bratniej panuje w nich zawiść, wzajemna niechęć i brak subordynacyi. Bywały wypadki, że mnisi podwładni swych przełożonych oskarżali przed rządem o defraudacyę klasztornego majątku<sup>1)</sup>. „Wielkie dochody monasterów służą tylko do odkarmiania grzesznego ciała mieszkających tam mnichów<sup>2)</sup>. O zachowaniu ślubu czystości nikt z mnichów, albo prawie nikt, nie myśli. W okolicach każdego monasteru roi się od t. zw. czernic, które do metryk chrestnych stale dostarczają procent pokaźny dzieci nieprawych.

„Smutny zaiste obraz! O powołaniu do życia zakonnego i mowy niema. Do klasztoru wstępuje się tylko dla tego, aby zapewnić sobie egzystencyę i wolnym będąc od trosk wieść życie bezczynne<sup>3)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Ilińskij, Nasze monaszestwo, Cerk. Obsz. zizń 1906, n. 42, kol. 1381—1386.

<sup>2)</sup> Kazanskaja Cerk. Ob. Z. Swietłyje ideały, mracz-naja djeistwitelnost. Tamże n. 44, kol. 1556—1557.

<sup>3)</sup> Cerk. Obsz. Zizń, 1906, n. 44, col. 1447.

Cóż dziwnego, że episkopat, rekrutowany z takiego środowiska, nie wzbudza zaufania u tych, którzy je znają. Zapewne są i wśród biskupów prawosławnych chwalebne wyjątki, ale większość ich zostaje zawsze na tym samym poziomie, na jakim znajdują się monasterzy. To też wszyscy zdrowo myślący prawosławni żądają, aby reforma cerkwi rozpoczęła się przede wszystkim od zniesienia faktycznego monopolu mnichów do obsadzania katedr biskupich<sup>1)</sup>.

16. Oprócz obsadzania biskupstw kler czarny w cerkwi ruskiej zmonopolizował w swym ręku także zarząd seminariów. I przeciw temu monopolowi podnoszą

---

<sup>1)</sup> „Utrzymanie igumena w ermitażu Siergiejewskim (Siergiejewskaja pustynj) kosztuje rocznie 30.000 rs. Do czego dochodzi niemoralność w tym klasztorze, świadczą fakta ogłoszone w piśmie zresztą klerykałnem, bo w Kazańskiej Cerk. Ob. Z. (nr. 31, kol. 1040—1041). Są one tak drastyczne, że powtórzyć ich tu nie możemy. Dość powiedzieć, że cała okolica tego monasteru pełna jest kobiet wolnego stanu, mających liczne potomstwo. Rzecz jest tam notoryczna; a zło przybrało takie rozmiary, że i lud miejscowy do niego się przyzwyczaił i nie gorszy się postępowaniem swoich rzekomych ascetów, którzy żyją w pijactwie i rozpuście.

„Są i po monasterach prawosławnych szanowane wyjątki. W podróżach naszych po Rosyi spotykaliśmy mnichów, prowadzących życie surowe i wstrzemięźliwe, — prawdziwych ascetów, ale było ich stosunkowo mało. Jakże się wyróżniali od ogółu!“ (O. Palmieri.)

To też co tylko jest lepszego w cerkwi prawosławnej odwraca się od mnichów ze wstrętem. Powszechnie im się zarzuca ślepy religijny fanatyzm, niemoralność, chciwość, nieokrzesanie, egoizm kastowy; niestety! nie bez podstawy.

się głosy energicznego protestu. „Sami zdegenerowani moralnie, nie mogą być mnisi zdolni do wychowywania duchownej młodzieży. Nie wiadomo, z jakiej przyczyny rząd im wyłącznie powierza kierownictwo konsystorzy, seminariów i urzędów synodalnych, pomijając setki popów świeckich, którym nie brak ani wykształcenia odpowiedniego, ani ruchliwości“<sup>1)</sup>). To też „trzebaby niezwłocznie zacząć od tego, żeby im odebrać kierownictwo zakładów duchownych wychowawczych“<sup>2)</sup>).

„Zanim się zabiorą do wychowywania innych, niech młodzi mnisi najpierw wychowują siebie“<sup>3)</sup>). „Miejsce ich po seminariach zająćby mogli kapłani świeccy i to z daleko większym pożytkiem, bo jako ojcowie rodziny mają dla prowadzenia młodzieży potrzebne doświadczenie i odpowiednią powagę. Przecież nawet sam metropolita moskiewski, Innocenty, w swej relacji do Synodu wyznaje, że kler biały byłby mógł lepiej wychowywać młodzież seminaryjną, bo ma poczucie ojcostwa, którego mnisi nie mają“<sup>4)</sup>.

„Na czele niektórych seminariów stoją, co prawda, kapłani świeccy, ale jest ich coraz mniej, bo mnisi, bojąc się utraty swego wpływu, wszelkich starań dokładają, aby z zakładów wychowawczych jak najwięcej przyciągnąć

---

<sup>1)</sup> Birz. Wiedom. n. 8735.

<sup>2)</sup> Słowo 29 marca 1905, n. 109.

<sup>3)</sup> Preobrażeńskij, Cerkownaja reforma 302.

<sup>4)</sup> Cerk. Wiest. 1905 r. n. 49, kol. 1542.



młodzieży do siebie, a do zarządu jak najmniej dopuścić obcych, t. j. kapłanów świeckich<sup>1)</sup>.

17. „Mnisi prawosławni są największą przeszkodą w odrodzeniu społeczeństwa ruskiego. Mnich — to trup żyjący... bez woli, bez przyjaciół<sup>2)</sup> — „to element obcy wśród ludzi, pomiędzy którymi żyje. Duch, który go ożywia, stoi w sprzeczności z duchem narodu. Mnich ideałów narodowych nie znając, a przesiąknięty duchem serwilizmu, energię społeczeństwa tylko paraliżuje w obronie jego praw przeciw zachłanności władzy państwowej<sup>3)</sup>.

„Kler nasz, woła jedno z pism klerykalnych, pozbawiony jest poczucia swej godności<sup>4)</sup>. „Mamy archierejów bez dyecezyi, — archimandrytów bez podwładnych; — mnichów bez monasterów i w monasterach: a wszyscy troszczą się nie o przepisy Ewangelii, ale o to, czego chce biurokracya. Pasożyty te tuczą się kosztem państwa i żyją wygodnie, nie znają za życia, czem jest niedostatek<sup>5)</sup>. Stąd „trzeba by pozbawić ich dóbr, których nadużywają, a obdzielić niemi biednych muzyków, którzy umierają z głodu<sup>6)</sup>; stąd „godne pochwały są szlachetne zamiary dumy (pierwszej), która

<sup>1)</sup> Preobrażeńskij, 474. Wwedenski, Nasze uczenie monaszeństwo i sówremennoe cerkownoe dwiżenje, Moskwa 1906.

<sup>2)</sup> Bogosł. Wiest., czerw. 1905, str. 231—232.

<sup>3)</sup> Preobrażeńskij, str. 355.

<sup>4)</sup> Bogosł. Wiest. Dekabr 1905, str. 803.

<sup>5)</sup> Cerk. Gazeta 1906 n. 5, str. 7.

<sup>6)</sup> Cerk. Wiest. 1906 n. 23, kol. 751—752.

chce zarządzić konfiskatę ziemskich posiadłości klasztorów prawosławnych<sup>1)</sup>).

Inni idą jeszcze dalej. „Kler czarny, stojący na czele cerkwi, pisze „Słowo“ petersburskie, jest wrzodem na jej zdrowem ciele i jej nieszczęściem; przedstawiciele jego bowiem nie są zdolni współpracować nad jej odrodzeniem. Lud do nich niema zaufania, a dla potęgi swej i wpływu są oni tak znienawidzeni przez duchowieństwo świeckie, że zanoszą się na nowy rozkół. Kler czarny -- to objaw chorobyliwy, — to pozostałość wieków średnich, — to ciemna chmura, zasłaniająca, zdaniem pewnego prawosławnego teologa, horyzont cerkwi ruskiej. Jedynie kler świecki, wyrwany z objęć monachizmu, tego ducha złego, który go opętał, — będzie mógł przywrócić cerkwi złote czasy pierwszych wieków chrześcijaństwa<sup>2)</sup>).

Czy te nadzieje, pokładane w klerze świeckim, tak łatwo się ziszczą — to inna kwestya, w każdym razie faktem jest, że zadaniu temu nie dorósł kler zakonny, bo „episkopat, który się z niego rekrutuje, zamiast paść swe owieczki, budować swym przykładem i gromadzić je koło siebie, gubi je i rozpędza. Jego posłannictwo nie jest duchowe,

---

<sup>1)</sup> K woprosu ob otciiudenii monastyrskich zemel Cerk. Wiest. 1906, n. 21, kol. 665—668.

<sup>2)</sup> Biliawskij, Monaszestwo i wsecerkownyj sobor (Słowo 28 maja 1905 n. 162); Monaszestwo i włast (Peterbur. Gazeta, 18 czerwca 1905, n. 189); Wwedenskij, Episkopstwo i Monaszestwo (Cerk. Wiestn. 1905, n. 28).

ale świeckie; to nie stan pasterski, ale biurokracya; to narzędzie nie Chrystusa, ale władzy świeckiej — państwa<sup>1)</sup>).

18. I dziwna rzecz, pomiędzy wrogami kleru czarnego, znajdują się także i . . . biskupi; ale ci tylko, którzy, zanim przeszli przez klasztor i zasiedli na tronie biskupim, w początkach swego powołania dzielili troski i upośledzenie świeckiego kleru, aż śmierć żony otworzyła im drogę do klasztoru i godności biskupiej. Stąd niema się czemu dziwić, że, zachowując w głębi serca niechęć wrodzoną do czarnego duchowieństwa, skorzystali z nadarzającej się sposobności, aby ją objawić.

Wobec tych napaści próbowali, co prawda, mnisi się bronić, ale kiedy Sergiusz, arcybiskup finlandzki, podjął się tego niewdzięcznego zadania i gorzko użalał na wrogie względem nich usposobienie zwolenników reformy, wystąpił świecki pop Kaławajew w „Słowie“, a w „Rusi“ jakiś anonim, aby punkt po punkcie zbić jego twierdzenia, wyłączenie na podstawie kanonów cerkiewnych. Anonim podnosił między innemi, „że mnisi gwałcą systematycznie i otwarcie uczynione Panu Bogu obietnice — gwałcą ślub posłuszeństwa, bo zamiast przełożonych braci, a nawet samego Chrystusa Pana, słuchają jedynie powagi, która z Chrystusem nie wspólnego nie ma“.

<sup>1)</sup> Ob odnoszenii meždu Cerkowju i Gosudarstwom. Cerk. Wiestn. n. 17, 1906, kol. 527.

19. Napaści na kler czarny stały się ostatnimi laty chlebem powszednim dziennikarstwa, prawdziwą modą w Rosyi. Wobec tego mało kto mógł zdobyć się na tyle odwagi, aby mimo wszystko, zamknawszy oczy na rażące nadużycia, mówić o mnichach jako „o najpiękniejszym kwiecie, wyrosłym na gruncie Ewangelii лучший цвѣтъ христіанства, jako o wciele-  
leniu nauki Chrystusowej i podwalinach Kościoła Chrystusowego<sup>1)</sup>).

Znamienny jest przytem fakt, że z najcięższymi zarzutami przeciwko nim występują nie liberalne albo socyalistyczne pisma, ale pisma klerykałne, redagowane przez duchownych, między innemi najpoważniejszy z nich wszystkich „Przegląd Teologiczny“ (Богословскій Вѣстникъ) — że tę zajadłą i energiczną kampanię przeciw klasztorom ze strony świeckiego kleru, prowadzą przedewszystkiem przedstawiciele jego partyi demokratycznej, która z dniem każdym wzrasta na liczbie i znaczeniu. Niestety, nie chodzi im o interesy religijne cerkwi, tylko o bogactwa i stanowisko uprzywilejowane duchowieństwa czarnego. Kler biały ubogi i upośledzony zazdrości mu jednego i drugiego, i stąd wojna.

20. Oczywiście, że nie wszystko jest po monasterach prawosławnych tak złem, jak to niektórzy widzą. Niechęć, zazdrość i uprze-

---

<sup>1)</sup> O monaszestwie. K sozywu pamiestnawo sobora russkoj cerkwi (Moskowskija Wied. 1906. n. 84).

dzenie patrzy na wszystko czarno; ale mimo to człowiek najbardziej bezstronny musi przyznać, że, wszystko razem wzięwszy, stan duchowieństwa zakonnego w Rosyi jest więcej niż opłakany. „Kościelna Prawda“, organ oficjalny Wielkiej Cerkwi w Konstantynopolu, urzędowo to stwierdza, uskarżając się na zgorznie, które swem zachowaniem dają ruscy mnisi na górze Athos<sup>1)</sup>).

Jeszcze raz powtarzamy, że nie da się zaprzeczyć, iż pomiędzy tysiącami mnichów prawosławnych są dziś jeszcze tacy, którzy życie zakonne biorą na seryo, na sposób dawnych surowych ascetów wschodnich; — są tacy, którzy, jak świeżo przez synod za świętego ogłoszony Serafin Sarowski, przez całe pięć lat ust nie otworzyli, albo jak Symeon Słupnik, 1000 dni nie opuszczali miejsca, na którem raz stanęli<sup>2)</sup>).

Naturalnie nie można wszystkiemu wierzyć, co o tych świętych opowiada łatwo-wierny lud prosty prawosławny, ale nie można także zaprzeczyć, że i w monasterach prawosławnych dla osiągnięcia doskonałości ewangelicznej tu i owdzie coś się robi.

W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że k l e r z a k o n n y d a w n e m i c z a s y o d d a ł c e r k w i r u s k i e j n i e-

<sup>1)</sup> Dmitriewskij, Russkie kelejoty na Afonie (Soobsz. Imper. Towar. dla Palest. 1907, t. 18, str. 71—98).

<sup>2)</sup> Znamenskij p. 481, Dobroklonskij, t. 4, p. 437.

z m i e r n e z a s ł u g i. O tem powinni pamiętać jego przeciwnicy, którzy dokładają wszelkich starań, aby go podkopać.

---

#### IV. Kler wyższy czyli episkopat w prawosławnej cerkwi ruskiej.

---

*Ogólna jego charakterystyka. - Episkopat jest wrogiem postępu — podporą despotyzmu — obcym dla swych owieczek — obcym dla kleru niższego. - Przenoszenie biskupów z miejsca na miejsce.*

21. W cerkwi ruskiej istnieje dziś stronnictwo reformy, którego odłamem jest wspomniana wyżej partya klerykalno-demokratyczna; otóż to stronnictwo stawia sobie za cel przeprowadzenie c a ł k o w i t e j reorganizacyi cerkwi a za pracę przygotowawczą do niej uważa usunięcie duchowieństwa czarnego z jego dotychczasowego stanowiska. Dlatego też niema tematu, któryby dziś tak często poruszany był na szpaltach pism cerkiewnych postępowych, jak skargi na niski poziom umysłowy i moralny prawosławnych mnichów.

Warunki, w których się obecnie znajduje episkopat ruski, są rzeczywiście opłakane. Tak przynajmniej utrzymuje jednomyślnie cała niemal prasa klerykalna prawosławna. „Prawosławie ginie — wołają organy duchowieństwa na wszystkie tony — z powodu biskupów i z winy biskupów”. „Trupia bezwładność i śle-

py formalizm: dwie charakterystyczne cechy każdego biurokratyzmu, widnieją w całym organizmie prawosławnej cerkwi, we wszystkich jej członkach. Prawosławie, jakim rzeczywistość je okazuje (nie teoria, bo ta mówi co innego) -- nie posiada żadnej siły moralnej, jest bowiem frazesem martwym (mjortwaja doktrina). Cerkiew -- to nie strażniczka ewangelicznej prawdy, ale skład antykwarski chrześcijańskich starożytności, dla badacza dziejów ludzkich nie pozbawiony pewnej wartości, ale dla człowieka, który chce żyć, nie mający żadnego znaczenia<sup>1)</sup>.

Zaiste smutny stan. I nie może być inaczej. Jaki pasterz taka trzoda. Bo kto kieruje cerkwią? kto nią rządzi? Oto biskupi, archiereje... A biskupi ci czymże są? „Oto niczem innym, odpowiada Sołokow, jak na pierwszym miejscu -- ludźmi w pewnych oznaczonych czasach spełniającymi pewne zewnętrzne obowiązki (świąszczenno-służiteli) a na drugim -- rządowymi urzędnikami<sup>2)</sup> -- „duchownymi gubernatorami swych dycezji<sup>3)</sup>”, -- „nie wolnikami Prokuratora św. Synodu<sup>4)</sup>).

„Przeniknięci na wskroś duchem światła, stali się oni świeckimi panami, przyjęli

<sup>1)</sup> Bog. Wiest., czerw. 1905, str. 805.

<sup>2)</sup> Predstajaszczyj sobor, jewo sostaw i zadaczi, (Bog. Wiest. Maj 1906, str. 39.)

<sup>3)</sup> Cerk. Gaz. 1906, n. 17, p. 1.

<sup>4)</sup> Zabytyj fundament cerkownoj reformy. (Nowoje Wremja n. 10, 451, april 1905.)



nazwę władyków, i poczęli uganiać się za przywilejami i honorami świeckimi, szukać oparcia w władzy świeckiej, — sile fizycznej a gardzić pokorą chrześcijańską<sup>1)</sup>: dlatego „stali się trupami, złożonymi na katafalku. Temu nawet najznakomitsi ich przedstawiciele zaprzeczyć nie mogą, jak wykazał uczony rektor Moskiewskiej Akademii duchownej, biskup Eudokiusz, na podstawie ich własnych słów<sup>2)</sup>).

„Rosya, pisze Szarapow, posiada wielu pasterzy-czynowników<sup>3)</sup>), którzy w teorii znają cerkiewne kanony, decyzye Soborów powszechnych i wogóle prawo kościelne, — wiedzą, na czem niezależność kapłaństwa polega, ale w praktyce zupełnie o tem zapominają. — W tem tkwi przyczyna, że nie umieją ani mówić ani działać z tą siłą przekonania, jakiej ich godność wysoka się domaga”. „Naszym biskupem, woła książę Meńszikow, zboleła widokiem marazmu, na którą choruje Cerkiew ruska — jakby przez myśl nie przechodziło, że prawdziwy apostoł chrystusowy, powinien być gotów na męczeństwo. Duchowieństwo nasze zeświezczało, doczesne troski zabiły w nim ducha, sprowadzając zarazem śmierć na lud, który ich pieczy powierzonym został. Biskupi nasi prześladowania się bali, dbając tylko o honory i dostatki, to też

<sup>1)</sup> Bog. Wiestn., Grudzień 1905, p. 797.

<sup>2)</sup> Tamże, Maj 1905, p. 179—185.

<sup>3)</sup> Preobrażeńskij, o. c. p. 40.

ostatecznie utracili, co otrzymali w spuściźnie po swych poprzednikach t. j. tradycje niebieskiego dziedzictwa<sup>1)</sup>).

22. „Wychowani w fałszywej ascezie, są biskupi prawosławni wrogami światła i postępu, — a podporą biurokracyi i narzędziem despotyzmu“: to są zarzuty, z którymi na szpaltach pism dalekich od wolnomysłności można spotkać co chwila. „Nasi władcy (woła n. p. Bogosłowski Wiestnik) nienawidzą światła, wolności, — wszystkiego, czem się nadmiar siły życiowej objawia. Ich kazanie — to filipiki zjadliwe, skierowane przeciwko nauce i szlachetnej niezależności ducha. W ich oczach poczucie sprawiedliwości, które coraz goręcej ożywiać powinna serce narodu — to pokrywka niskich instynktów; a ludzie wzdychający za równością wobec prawa — to marzyciele szkodliwi i niebezpieczni<sup>2)</sup>. „Oni wszystkich i wszystko mierzą wąską miarą swych ascetycznych kryterjów, a żyjąc murem chińskim oddzieleni od społeczeństwa, zrozumieć nie mogą jego dążeń ani jego potrzeb<sup>3)</sup>).

Czem w oczach archirejów jest tolerancja, ta zwykła, kulturalna cudzego zdania, — mówi nam najlepiej zaciekle prześladowanie, jakiego z ich strony doznaje prawosławny kler libe-

<sup>1)</sup> Nowoje Wremja, 12 marca 1904.

<sup>2)</sup> Duchownoje obnowlenje naroda i nasze duchowienstwo. (Bog. Wiestn., Kwiecień 1905, p. 841.)

<sup>3)</sup> Biskup Eudokim. Na zarje nowoj duchownoj żizni. (Bog. Wiest., Luty 1905, p. 231.)

ralny. Przecież popów, którzy z podziwienia godną odwagą występowali za reformą dotychczasowych stosunków cerkiewnych, z rozporządzenia władzy dyecezalnej więziono, sądzono i surowo karano. Samo dążenie nawet do reformy nazwano bez ogródki „ruchem kapłańskim niebezpiecznym“ (apasnoje preswiter-skaje dwiżenje), szerzącym wśród białego duchowieństwa zepsucie“. Archirej Antoni Wołyński wolałby na przyszłym soborze „widzieć katorżników, niż kapłanów świeckich i profesorów akademii duchownych“.

Stąd w sferach cerkiewnych jest to tajemnicą publiczną, że pomiędzy duchowieństwem niższem i wyższem otwarła się p r z e p a ś ć (mieжду епископами и клиром происходит разделение)<sup>1)</sup>.

23. Episkopat ruski stał się rzecznikiem ucisku i niewoli. Taki n. p. archirej taurydzki Aleksy oświadcza w swem orędziu, że „kapłanów, którzy ośmielają się występować przeciwko władzy (cesarza) absolutnej, uważać trzeba za anarchistów“<sup>2)</sup>. Inni archireje idą dalej, a teorię tę w czyn wprowadzając, z arcybiskupem Charkowskim rozkazują suspendować, aresztować i stawić przed sąd podwładnych sobie popów za to, że ośmielili się protestować przeciwko wyrokowi śmierci wydawanym samowolnie<sup>3)</sup>. —

<sup>1)</sup> Raskoł w duchowieństwie (Cerk. Wiest. 1906, n. 21, col. 690).

<sup>2)</sup> Cerk. Wiestn. 1906, n. 9, col. 269—270.

<sup>3)</sup> C. W., n. 4, col. 107.

albo z archirejami: Kijowskim, Czernihowskim, Omskim, Irkuckim, Podolskim, Ryskim, Twerskim, Tyfliskim, Saratowskim, Jarosławskim i Moskiewskim suspendują wszystkich popów, którzy wzięli udział w kongresach duchowieństwa, gdzie się zajmowano sprawą odnowienia Cerkwi, — albo ich pozbawiają urzędu i skazują na więzienie<sup>1)</sup>. Oni powiadają, że z dawnego systemu biurokratycznego w zarządzie Cerkwi są całkiem zadowoleni; — oni nie kryją się z tem, że go chcą utrzymać, bez względu na ofiary, któreby to za sobą pociągnąć mogło; a ponieważ duchowieństwo białe, od nich całkowicie zależne i ze związanymi rękami na ich łaskę i niełaskę wydane, w swej części znacznej i najlepszej jest zdania wprost przeciwnego: więc musi cierpieć z ich strony wszelkiego rodzaju prześladowania, nieraz nędzę, wygnanie i to bez apelacyi, jako zgraja niewolników<sup>2)</sup>.

24. Jeżeli pomiędzy niższem a wyższem duchowieństwem wznosi się mur chiński - co tu mówić o stosunkach ludu prawosławnego do swych władcyków! Ci ostatni owieczek swych ani znają, ani ich rozumieją, ani o duchowe ich potrzeby się troszczą. Zresztą żyją oni w warunkach takich, że choćby chcieli,

<sup>1)</sup> C. W., 1906, n. 11, col. 335, 336.

<sup>2)</sup> C. W., 1906, n. 21, col. 690—692.

nie mają sposobności zetknąć się bezpośrednio z ludem, poznać jego potrzeby, zrozumieć jego cierpienia, odczuć jego aspiracye; a nie mają sposobności, bo nie mają „czasu. Tak! nie mają czasu. Zakres ich władzy jest tak szeroki, tyle spraw kancelaryjnych najróżnorodniejszego rodzaju czeka na ich decyzję, że na co innego poprostu czasu nie mają“<sup>1)</sup>).

„Nie znają oni swej trzody, skądżeby tedy, jak należy, rządzić nią mogli? Pomiędzy nimi a ich ludem piętrzy się stos dokumentów, który im nawzajem widzieć się nie pozwala“<sup>2)</sup>. „Okolo 8 000 aktów urzędowych wyjść musi rok rocznie z ich kancelaryi, — aktów zaopatrzonych ich własnoręcznym podpisem, nie mówiąc o 20 000 innych, które załatwia sam konsystorz, o których jednak zdawać im musi sprawę; do jurysdykcyi bowiem biskupiej należą seminarya, szkoły parafialne męskie i żeńskie, — fabryki wosku, monastery i inne liczne instytucye, podlegające kompetencyi biurokracyi duchownej. Skutek jest oczywiście ten, że działalność ich pasterska jest żadna albo prawie żadna, bo jest sparaliżowana. Gdzież bowiem znaleźć oni mają czas, choćby tylko dla zwiedzenia powierzzonej sobie dyecezyi, równającej się nieraz co do obszaru całemu królestwu na Zachodzie, albo kilku patriarchatom razem wziętym na Wschodzie?

---

<sup>1)</sup> Preobrażeńskij p. 301.

<sup>2)</sup> Bog. W., Listopad 1905, p. 554—556.

Przecież trafia się, że nie znają oni nawet dokładnie miasta, gdzie rezydują<sup>1)</sup>).

„Taki pop wiejski, biedny sługa Boży, tylko w ostateczności przekroczyć się ośmiela próg biskupiego pałacu, bo wie, że nie mile tam jest widziany, a za to swe sprawy załatwia sam na własną rękę, dbając przedewszystkiem o utrzymanie stosunków urzędowych; przyczem posuwa swój serwilizm nieraz tak daleko, że po rękach całuje żony wpływowych urzędników państwowych, aby zapewnić sobie awans, karierę, order<sup>2)</sup>”. Stąd pochodzi, że „w stosunkach niższego duchowieństwa i ludu z jednej, a biskupów z drugiej strony, brak szczerości. Biskup prawosławny nie wierzy swemu duchowieństwu, podejrzywa go, otacza szpiegami, a to duchowieństwo ze swej strony znowu nie dowierza jemu. Stosunki prawdziwie bizantyjskie! Przecież metropolita, tak powszechnie szanowany, a uchodzący za pierwszorzędną powagę, jak Filaret, mawiał, że bez szpiegów i donosicieli nie możnaby zarządzać dyccezyą, bo bez nich biskup o tem, co się w niej dzieje, nie wiedziałby nic<sup>3)</sup>).

25. Stąd ostatecznie kończy się na tem, że archirej ruski staje się *ma ch i n ą*, a u t o m a t e m do p o d p i s y w a n i a u r z ę d o w y c h p a p i e r ó w; bo po za tem działalność jego

<sup>1)</sup> Cerkow. Sobor i biełoje duchowienstwo (Słowo, 3 maja 1905, n. 140).

<sup>2)</sup> B. W., grudzień, p. 799.

<sup>3)</sup> Tamże 797—801.

zazwyczaj redukuje się do zera. Bywały przecie wypadki, że taki archirej, mimo najlepszej chęci, nie mógł znaleźć pięciu minut, aby wysłuchać proboszcza, który sto wiorst zrobił dla zasięgnięcia jego rady w sprawie ważnej. Inny wyznaje we cztery oczy, że natrafia na niezliczone przeszkody, ile razy chodzi mu o pełnienie obowiązków, wynikających z nadprzyrodzonego posłannictwa, które od Pana Boga otrzymał, a jednak nie ma odwagi wyznać tego publicznie<sup>1)</sup>.

„Pomiędzy arcypasterzem a pasterzami niższego rzędu nie ma organicznego związku. Czysto urzędowy stosunek, a po zatem nic! — Duchowieństwo niższe jest najgłębiej przekonane, że u biskupów swoich serca ojcowskiego nigdy nie znajdzie; bo oni od wieków są przyzwyczajeni do wykonywania swej władzy surowo i bezwzględnie, nie ukrywając wzgardy swej dla podwładnych. Skądżeby tedy zniżyć się chcieli do poziomu duchowieństwa niższego, i zostać pasterzami dusz? Serce ich mnisze, trawione gorączką ambicyi, pozbawione miłości i gorliwości — skamieniało“<sup>2)</sup>). Duchowieństwo niższe chciałoby miłować swych pasterzy, chętnieby zapomniało doznanych od nich zniewag, rozumie bowiem, że nie oni tylko są odpowiedzialni za stan smutny, w którym Cerkiew ruska się znajduje. Ale cóż, kiedy naj-

<sup>1)</sup> O Wzaimsobsczenii duchowienstwa. (C. W., 1909, n. 47, col. 1475—77; tamże 1906, n. 4, col. 107.

<sup>2)</sup> C. O. Ż., 1906, n. 41, p. 1353—1354.



lepsze jego chęci rozbijają się jak o skałę, o fakt, że archiereje są urzędnikami i tylko urzędnikami, t. j. rządzcami Cerkwi z ramienia i posłannictwa rządu. Zresztą gdyby ci ostatni zdobyć się chcieli na jakąś gorliwość apostołską, i starali zbliżyć do niższej braci, nie mogliby tego dokonać dlatego, że całą ich energię pochłaniają rozmaite urzędowe czynności, a czas zajmują stosy aktów, które trzeba przejrzeć, zbadać, podpisać i wyeksperymentować<sup>1)</sup>).

26. Inną przyczyną tych smutnych stosunków w łonie hierarchii cerkiewnej jest ustawiczne przenoszenie biskupów z jednej eparchii do drugiej. Przenoszenie to pochodzi z dwóch przyczyn: mianowicie stąd, że 1) rząd chce jednego przez gorsze beneficjum ukarać, 2) innego przez lepsze nagrodzić: jednym słowem dlatego, że rząd carski względem swych urzędników duchownych stosuje te same zasady, co względem urzędników świeckich.

„Pomiędzy archierejami starszymi niema obecnie ani jednego, któryby przynajmniej dwa, trzy, cztery albo nawet więcej razy nie zmienił dyecezyi. — I tak Jakób, archierej Jarosławski i Rostowski po wyświęceniu w 1891 r. został biskupem Bałakaskim, następnego roku przemieszczonym został do Czygirynu, w roku 1898 do Kiszyniowa, w r. 1904 do Jarosławia; więc pięć translokacyi w przeciągu lat

<sup>1)</sup> Tamże, n. 23, p. 786.

piętnastu! Anastazy, obecnie archirej Ołoniecki, rządził z kolei eparchią Ufimską, Wołokołamską, Kowieńską, Ekaterinenburską i Podolską. Nikon, archirej Włodzimirski, był z początku w r. 1898 biskupem w Wolsku, potem od 1899 biskupem w Narwie, od r. 1901 w Wiatce aż wreszcie w 1904 r. trafia do eparchii, w której się znajduje obecnie (1908).

Bierzemy 64 archirejów działających, nie wliczając w to trzech metropolitów, i arcybiskupa Japońskiego. Otóż tylko 16 przebywało w jednej eparchii dłużej niż lat pięć, 22 — dłużej niż lat dwa; 13 pozostawało tylko rok jeden na miejscu a 13 mniej, bo po kilka miesięcy<sup>1)</sup>. Dwóch archirejów tylko swej dyecezyi nie zmieniło: mianowicie biskup Tomski, Makary i Mikołaj Kazatkin, arcybiskup Japoński, ale tylko tych dwóch. Wszystkich innych nazwać by można prawdziwymi duchownymi podróżnymi. W samej Kazańskiej eparchii w przeciągu 25 lat rządziło 7 archirejów: Sergiusz, Paladyusz, Paweł, Włodzimierz, Arseniusz, Demetryusz 1-szy, Demetryusz II-gi i Ireneusz. Niedawno zmarły archirej Orłowski, w przeciągu lat 16 rządził po kolei Eparchią Humańską, Czygiryńską, Mohilewską, Tulską, Kamieniecką, Ekaterynenburską i Orłowską<sup>1)</sup>. Nikanor, poprzednik obecnego archireja Warszawskiego, objechał nie-

---

<sup>1)</sup> Niemnożko cerkownoj statistiki (S. Petersburg. Wied., n. 87, 8 kwietnia 1905).

mał wszystkie eparchie europejskiej Rosyi od Archangelska począwszy do Orła i Smoleńska, i od Kazania do Ekaterinenburga i Warszawy<sup>1)</sup>.

27. Przenoszenie archirejów z miejsca na miejsce — to reguła, której każdy z nich mniej lub więcej poddać się musi. Przecież dochodziło do tego, że nominacya nowego archireja p o w o d o w a ł a przeniesienie d z i e s i ę c i u i n n y c h<sup>2)</sup>.

Translokacya biskupów — to dla cerkwi kłeska prawdziwa. Niższe duchowieństwo na to nieraz się uskarżało, wyrażając życzenie, aby biskupi raz na zawsze związani byli ze swą owczarnią, przyczem się powoływało na kościelne kanony, przedewszystkiem na Kanon 11 synodu Sardyjskiego, który „biskupem zakazuje opuszczać dyecezyę gorszą dla szukania sobie lepszej“<sup>3)</sup>.

Doprawdy biskupi nie są na to, aby, jak powiada pewien autor, byli wiecznymi podróżnymi (wiecznymi strannik), których zadaniem jest geografję cesarstwa rosyjskiego badać wszędzie na miejscu<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Cerk. Gaz. 1906, n. 22, col. 770.

<sup>2)</sup> O cerkownem soborze. (Dzień, n. 82, 25 marca 1905.)

<sup>3)</sup> Hefele, Concilien-Geschichte, t. I, 185, str. 570, 778.

<sup>4)</sup> Cer. O. Ż. — Uważamy za stosowne podać tu dane statystyczne co do episkopatu ruskiego w 1906 r. — Obecna hierachia prawosławna liczy czynnych 115 biskupów, do czego trzeba dodać 28, w tem 4 arcybiskupów, emerytów; a więc razem wzięwszy 133 archirejów. Przeważna część posiada stopień akademicki;

### III. W łonie Cerkwi ruskiej kryje się schizma.

*Stan krytyczny. — Niezadowolenie z episkopatu.*

*Napaści na duchowieństwo czarne. — Partya ludowa domaga się reform: — 1) Ze względu na oswobodzenie hierarchii z pod wpływu władzy świeckiej; — 2) na wybór biskupów przez kler biały i lud; — 3) na rozszerzenie biernego prawa wyboru na całe duchowieństwo; — 4) na sposób w jaki ten wybór ma się wykonywać; — 5) na nowy podział eparchii i zaprowadzenie biskupów powiatowych. — Głosy tym reformom przeciwne.*

28. Dopóki silna ręka despotycznych rządów starego systemu w samym zarodku dusiła wszelką myśl wolną, przepaść, istniejąca pomiędzy hierarchią cerkiewną a klerem niższym i ludem, nie wychodziła tak bardzo na jaw. Ludzi, których nie łączyła ze sobą żadna nić wewnętrzna a tysiączne, sprzeczne rozdzielały

---

32 wychowywało się w Akademii Petersburskiej; 28 w Kijowskiej; 19 w Moskiewskiej; 15 w Kazańskiej a dwóch skończyło uniwersytet. Metropolita Petersburski Antoniusz, Arcybiskup Kazański Demetriusz i archirej Pskowski Arseniusz — są doktorami historii kościelnej; Nikanor Warszawski i Silwester Kaniowski — doktorami teologii. Ze względu na swój wiek 16 liczy od 35 do 40 lat; 32 — od 41 do 50; 28 — od 51 do 60; 25 — od 61 do 70; a reszta więcej niż 70. Przeciętny czas pobytu pojedynczych władcyków w hierarchiach wynosi od 3 do 4 lat. (Cer. Ob. Ż. 1906, n. 22, col. 770.) Z tej liczby 60 jest wdowców, którzy przed wstąpieniem do zakonu św. Bazylego żyli w małżeństwie. Wszyscy prawie wyszli z pomiędzy ludu. Szlachcicem jest Dymitr Mingrełski (ks. Dawid Abosedu) i Antoniusz Wołyński (Chrapowiecki, pochodz. polskiego). (Łopuchon VI, str. 726.)

dażności, tylko żelazna ręka wspólnego a bezwzględnego pana drogą zewnętrznego przymusu ścisła w jedno. Tym panem - było państwo, rządzone autokratycznie. Ale, kiedy ten przymus, wskutek parcia z wewnątrz, ze strony ludu, domagającego się coraz natarczywiej swobody ruchów, - począł powoli popuszczać, przepaść, dzieląca hierarchię prawosławną od reszty Cerkwi, poczęła także uwydatniać się wzrastającym z dniem każdym antagonizmem. Dziś doszło już do tego, że w łonie cerkwi gotuje się nowa schizma.

29. „Rady, których ludowi udzielają biskupi, - to głos wołającego na puszczy<sup>1)</sup>”. Lud żadnego do nich nie ma zaufania i od nich ucieka. Mało tego. Wśród samego kleru powstał rozłam, którego skutki mogą stać się dla Cerkwi fatalne.

„W Cerkwi naszej — mówił Antoniusz Wołyński na jednym z posiedzeń komisji, zajmującej się przygotowaniem przyszłego synodu narodowego — istnieją dwa przeciwne sobie prądy: kościelno biurokratyczny, i kościelno ludowy. Pierwszy, pozbawiony religijnych ideałów, opiera się na swem prawie posiadania i tradycyi, płynącej z latynizmu (!?) i wieków średnich; racjonalistyczny w swych poglądach etycznych, gotowy on jest tylko na popieranie reform, tyjących się form zewnętrznych kościelnego życia. Drugi zaś prąd, który wy-

<sup>1)</sup> Bog. Wiest. 1905, Maj, str. 158.

pływa ze źródła prawdy i życia — z wiary prawosławnej, jaka mu serce rozgrzewa i napełnia energią życia — jest wyrazem uczuć wiernego a pobożnego ludu, — uczuć, których ideałem jest zachowywanie przepisanych w typikanie obrzędów, świąt i postów kościelnych”.

Komentując te słowa wołyńskiego władzyki, znanego zresztą obrońcy duchowieństwa zakonnego i jego przywilejów, *Gazeta Cerkiewna* jeszcze jaśniej charakteryzuje te dwa przeciwne sobie obozy, na jakie się Cerkiew prawosławna rozpada. „Jeden z nich znajduje się u góry (wyzszeje) a drugi u dołu (nizszeje) Cerkwi — powiada autor artykułu: — jeden składa się z duchowieństwa niższego i ludzi świeckich: a więc z elementów demokratycznych — drugi z archirejów i mnichów. W jednym przewodzą laicy i kler niższy, który się oddzielił od kleru wyższego i mnichów, aby trzymać z ludem, w drugim — archireje i profesorowie duchownych akademii, jako oficjalni obrońcy kanonicznej władzy biskupiej i utrzymania status quo”<sup>1)</sup>. Antagonizm tych dwóch obozów jest tak wielki, że *Przegląd Cerkiewny* mógł otwarcie mówić o możliwości formalnej schizmy na wzór Raskołu XVI wieku. To samo nieszczęście przewiduje *Przegląd Teologiczny*, zapowiadając, że duchowieństwo niższe zwycięży<sup>2)</sup>. „Ci pasterze policyanci (policcejskije pastyri) — czytamy tam

<sup>1)</sup> Cer. Gaz. 1906, str. 18—19, 1, 2.

<sup>2)</sup> Bogos. Wiest., listop. 1905, str. 578.

— ze swoim despotyzmem gotują drogę nowemu ruskiemu Lutrowi, przygotowując pole pod zasiew nauki, opartej na zasadach presbiteryanizmu protestanckiego<sup>(1)</sup>).

„Wielkie niebezpieczeństwo grozi Cerkwi ruskiej, jeżeli pomiędzy episkopatem a niższym duchowieństwem nie zapanuje jedność. — jeżeli biskupi nie wyrzekną się samowoli: a jedni i drudzy nie wyznają swej winy, łącząc w duchu pokuty i żału za złe, które spowodowali<sup>(2)</sup>).

30. Zapowiada się tedy walka. Oczywiście stroną atakowaną jest duchowieństwo wyższe, czarne, a atakującą duchowieństwo niższe, białe, (o ile wobec zależności od władzy biskupiej może się na to zdobyć), a przytem ludzie świeccy. Ci ostatni całemu ruchowi nadają cechę wybitnie demokratyczna i protestancką.

Walka już się rozpoczęła i to przez nieustający, energiczny, gwałtowny atak na duchowieństwo czarne, jego przywileje i omawianie reform, dotyczących się głowy Cerkwi t. j. episkopatu.

Co do mnichów dwóch zdań niema. Cała dzisiejsza, dobrze myśląca a dobro Cerkwi gorliwa część prawosławnego społeczeństwa ma pod tym względem pogląd zupełnie wyrobiony. „Precz z mnichami! słyhać ze wszystkich stron”. - Trzeba raz przecież Cerkiew

<sup>1)</sup> Tamże, str. 556.

<sup>2)</sup> Tamże, 1906, n. 18—19, str. 3.



uwolnić z pod jarzma mnichów i czynowników. Nieobchodimo oswobodit' russkiju cerkow ot czynowniczestwa i monaszeskawo gnicta<sup>1)</sup>. „Mnisi, jako pepiniera biskupów, — to coś, co człowieka przygniata” (weśma udruczajuszcz<sup>2)</sup>). „Kto nie wierzy, niech się przypatrzy naszym monasterom, i niech zobaczy, co się tam dzieje. Toż przecież ci przyszli nasi biskupi są wszystkim tylko nie mnichami; często nawet i chrześcijanami nie są. — Czy może taki hieromonach Demetryusz, inspektor Tambowskiego seminarium, pijak i rozpustnik — to mnich, jak być powinien? Albo taki hieromonach Hieronim, kierownik tego samego seminarium, otwarcie przyznający się do ateizmu — to chrześcijanin? — Aby zapełnić monastery, przyjmuje się do nowicyatu ludzi o przeszłości nieraz bardzo podejrzanej a zawsze takich, których jedynem marzeniem jest jak najprędzse zrobienie kariery i to bez względu na środki, jakich do tego użyć będzie potrzeba. Wiadomo, jak się archireje i mnisi starają o zjednanie d'a klasztoru jak największej liczby duchownych. W tym celu robią wszystko. Studentów, którzy z podobnymi zamiarami się oświadczą, otaczają opieką wyjątkową, ułatwiają egzamina, spełniają wszystkie ich zachcianki,

---

<sup>1)</sup> Suromiatikow Zamjetki pisatelja. Słowo, 29 Maja 1905, n. 163.

<sup>2)</sup> Piewnickij, O charakterystikie monaszestwa wo wtorej paławinie XIX wieka, B. W. 1905, Listopad, p. 569.

obsypują przywilejami. Kiedy o nich chodzi, przepisy akademickie jakby nie istniały. Cóż dziwnego, że niejeden daje się namówić, wstępuje do klasztoru... i zostaje biskupem. Niedarmo mu rektor w seminarium lub akademii, godność biskupią przedstawiał jako uwięźczenie zakonnego powołania i... ideał życia wygodnego a wolnego od trosk<sup>1)</sup>).

„Nie! — woła inny — precz z mnichami w zarządu naszych eparchii! precz, bo ci mnisi — to zaprzedańcy czynownictwa, — to zgraja ludzi, otoczonych faryzeuszami i szpiegami, a wietrzących błędy heretyckie wszędzie, nawet w traktatach fizyki i matematyki<sup>2)</sup>).

„Precz z nimi, wtóruje mu Rozanów — jedynie duchowieństwo białe może uwolnić Cerkiew od paraliżującego ją bizantyjskiego ascetyzmu, — on tylko jeden może ją otoczyć wstęgą form poetycznych, nadać jej życie i pogodzić z współczesną kulturą<sup>3)</sup>).

<sup>1)</sup> Cerk. W., 1906, n. 25, c. 819. Preobr., str. 474.

<sup>2)</sup> Bog. W., 1905, Listopad, p. 572.

<sup>3)</sup> Ob awtonomii cerkwi i gosudárstwa, Bog. W., 1905, Maj, p. 203). Książę Trubeckoj, przewidując, że „antagonizm białego i czarnego kleru musi prędzej czy później zakończyć się schizmą, powiada, że Duma(!) będzie musiała sprawę rozstrzygnąć, przechylając na jedną lub drugą stronę, czyli innemi słowami, będzie musiała rozstrzygnąć, czy przywileje związane z władzą cerkiewną tyczyć się mają partyi biskupiej lub też i kleru białego“ (Cerkownaja wopros w dumie. Mosk. Eżenedielnik, 1907, n. 5, p. 11—12.) Ale w takim razie, niech sobie mówi oświecony książę, co chce, zebranie ludzi czysto świeckich decydować będzie o prawdziwości lub fałszywości prawd religijnych, a więc o rzeczach, przechodzących całkiem ich sferę działania. A jeżeli postanowienia Synodu Narodowego

31. Cerkiew, uwolniona z pod jarzma monachizmu — to tylko początek reform. W dalszym ciągu trzeba ją uwolnić z pod jarzma władzy świeckiej. Dlatego biskupi powinni być wybierani przez lud a nie przez państwo. „Cerkiew — piszą teologowie Nowego Wremieni — powinna mieć ustrój synodalny, ludowy. (Cerkow dolżna byt sobornoju, narodnoju<sup>1)</sup>).

„Dotychczas wszyscy nasi biskupi, nie wyłączając najznakomitszych, jak metropolici Filaret i Płaton, mianowani byli przez świecką biurokracyę, — wszyscy, bez względu na swe cnoty i wiadomości, przyjmowali najwyższą godność Cerkwi z rąk, które do tego żadnego nie miały prawa, — wszyscy bez wahania porzucali modlitwę i zaciśnięte klasztorne, aby zasiąść na tronie, wzniesionym przez ludzi, których Pan Bóg do tego nie powoływał. Wybór naszych biskupów dokonuje się tak samo, jak wybór urzędników świeckich. Wszystko idzie po kolei, zwyczajem biurokratycznym ze stopnia na stopień: najpierw kapłaństwo, potem urząd hieromonacha w akademii, dalej inspektorat w seminarium, następnie stanowisko jenerałnego wikarego przy biskupie, potem biskupstwo, arcybiskupstwo, metropolia. Drogą hierarchiczną, utartą i skamieniałą w swej formalistycie zimnej, idzie

---

spotkają się z oporem stanowczym jednej części Cerkwi, któż będzie się łudzić, że decyzjom Dumy wszyscy się poddadzą?

<sup>1)</sup> Nowoje Wremja, n. 10, 432, 21 Marca 1905.

się coraz wyżej naprzód, a w tem parciu do góry nie widzi się około siebie nic, nie poznaje nic, „pozostaje się dla społeczeństwa czemś obcem — nieprzystępnem“<sup>1)</sup>).

To też „wybór biskupów nie powinien zależeć od władzy świeckiej. Kościół i państwo — to dwa pojęcia, nawzajem się wykluczające“<sup>2)</sup>). „Ustrój pierwotnego Kościoła był synodalny, oparty na obieralności biskupów: więc był właściwie ustrojem republikańskim. Kościół starożytny — to była demokratyczna rzeczpospolita (drewna cerkiew była duchownością demokratyczną), w której wierni swobodnie (??) się zajmowali rozstrzyganiem spraw kościelnych, z pośród ludzi pobożnych obierali sobie kapłanów, a z pośród tych kapłanów wybierali sobie biskupów; biskupi zaś razem z nimi obierali sobie patriarchę“<sup>3)</sup>. Tak Menszyków w Nowem Wremeni.

Faktem jest, że kanon 7-my synodu Laodycejskiego pod grozą klątwy zakazuje przyjmować godności kościelne z rąk władzy świeckiej<sup>4)</sup>). „Pod tym względem — powiada Sołowjew — jeżeli się bierze rzeczy ściśle, cała hierarchia ruska znajduje się pod klątwą“<sup>5)</sup>).

32. A więc biskupi mają być wybierani. Ale przez kogo? Jeden z najwybitniejszych

---

<sup>1)</sup> Birż. Wied., n. 8735, 23 Marca 1905.

<sup>2)</sup> Cerk. W., 1906, n. 4 c, 105.

<sup>3)</sup> Ten zakaz znajduje się już w kanonie XXXIII t. zw. Apostolskim. Hefe I, p. 783.

<sup>4)</sup> Welicjawyje pareżitki, Now. Wrem., 17—30 Kwietnia 1905.

współpracowników Przeglądu Cerkiewnego (Bog. Wiestn.) tak na to odpowiada: „Stosunek hierarchii do ludu jest oparty na wzajemności. Stąd jeżeli hierarchowie mają obowiązek dostarczania strawy duchowej ludowi, w zamian on dostarczać jej (!!!) ma hierarchom, którzy obowiązani są karmić się siłami duchowymi ludu (sic) (cerkownaja hierarchia dołżna ne tolko pitat no i sama pitat' się duchownuju żiżniu mirjan). Oczywiście kto raz postawił taką zasadę, ten musi stąd wyprowadzić konieczny wniosek, że, jeżeli biskupi mają być wogóle obierani, to obierani być powinni jedynie przez duchowieństwo niższe wraz z ludem miejscowym<sup>1)</sup>. Mało tego, ten lud ma prawo (?) i obowiązek do „czynnego udziału w zebraniach dyecezalnego duchowieństwa i w samych nawet konsystorzach. To mu się bowiem należy“<sup>2)</sup>.

Zasada ta — tak bardzo radykalna — to nie tylko teoretyczna zachcianka garstki marzycieli, bo praktyczny wyraz znalazła ona w znanej petycji Moskiewskiego Ziemstwa do Synodu Petersburskiego, w której żądano wyraźnie, aby element świecki był przypuszczony do wewnętrznego zarządu moskiewskiej eparchii. Oczywiście życzeniu temu zadość się nie stało<sup>3)</sup>.

Ale fakt jest znamieny. Najbardziej

---

<sup>1)</sup> Preobrażeńskij p. 4—5.

<sup>2)</sup> Bog. Wiest., Kwiecień 1905, p. 848—849.

<sup>3)</sup> Birż. Wied., 23 Marca 1905.

w tem wszystkim zadziwia to, że duchowieństwo niższe na swoich zebraniach raz po raz oświadczało się za przywróceniem ludowi prawa wyboru swych pasterzy<sup>1)</sup>.

33. Jak ma być to obieranie wykonywane, nie wszyscy co prawda się zgadzają. Niektórzy sądzą, że wystarczyłoby, aby w swych rocznych sprawozdaniach podawali archiereje spis podwładnych sobie kapłanów świeckich i zakonnych, którychby uważali za zdolnych do rządzenia Cerkwią. Te sprawozdania badałby patriarcha ze swym synodem, i dopiero, kiedyby się pokazało, że wszystko jest w porządku, jednego z podanych kandydatów przedstawiłby rządowi do zatwierdzenia. Byłby to oczywiście wybór, ale dokonany przez człowieka obcego i zaleźnego od rządu, stąd nie wieleby się zmieniło.

Większa część zwolenników reformy cerkiewnej idzie dalej i domaga się wyboru biskupa przez delegatów parafialnych, i to całkiem niezależnie<sup>2)</sup>. „Trzeba wrócić — powiadają — do praktyk pierwotnego Kościoła, kiedy biskupi prowincyi kościelnej, do której należał zmarły, zbierali się w mieście jego

---

<sup>1)</sup> Libawskij Wiestnik, 20 Maja 1905, n. III, Wopros ob uczastii prichożan w izbranii pastyrej z toczki zrenija duchowjenstwa (Strannik 1905, Lipiec 104—105). — Lebedew, Ob izbranii episkopow w drownej wseleńskiej i russkoj cerkwi (Cerk. Gazeta 1906 n. I. p. 3—4; n. 2, p. 2—5.)

<sup>2)</sup> Projekt cerkownoj reformy (Birż. Wied., n. 8739, 25 Marca 1905 r.).

katedralnem i tam za zgodą miejscowego duchowieństwa albo sami mianowali jego następcę, albo, z przedstawionych sobie przez nie kandydatów, jednego zatwierdzali i wyświęcali na biskupa. W początkach Cerkwi ruskiej przy mianowaniu biskupów trzymano się sposobu ostatniego<sup>1)</sup>).

34. Widzieliśmy wyżej, że prawo biernego wyboru na godność biskupią przysługuje obecnie wyłącznie duchowieństwu czarnemu czyli zakonnemu. Jestto faktycznie monopol, który zwolennicy reformy chcą obalić. Co do tego nie ma dwóch zdań. Na kogo jednak ma się ten przywilej rozszerzyć — zdania są podzielone.

I tak członkowie Związku popów postępowych, znanego pod nazwą „Sojuz Cerkownawo Obnowlenija”, chcieliby go nie tylko rozciągnąć na duchowieństwo białe, ale odebrać go równocześnie mnichom, których, jak mówią, „mur chiński oddziela od społeczeństwa”<sup>2)</sup>. Rozumie się samo przez się, że żądanie takie spotkało się z ostrą krytyką ze strony zwolenników starego systemu i na związek ściągnęło szykany i prześladowania<sup>3)</sup>.

35. Inni tak daleko znowu nie idą, ale

---

<sup>1)</sup> Dobronrawow; Wybornoe naczalo w primienienii k russkoj cerkownoj administracii. (Bog. Wiestn. 1906, Luty, p. 323.)

<sup>2)</sup> Cerk., Ob. Ż. 1906, n. 18, c. 641—642.

<sup>3)</sup> Ib. n. 5, 1906, p. 185—186; Cerk. Wiest., 1906, n. 17, p. 539.



z wielkim naciskiem domagają się, aby do rządów Cerkwi przypuszczono obok mnichów św. Bazylego, także zwykłych popów, zarówno żyjących w celibacie jak i wdowców, a nawet bezżennych ludzi świeckich. Tak n. p. chce Bog. Wiestnik<sup>1)</sup>. Trochę dalej idą ci, coby przyznać to prawo chcieli nawet popom żonatym. Wprawdzie byłaby to innowacya, w krzyczący sposób nie zgodna z dotychczasowymi przepisami wschodniego, prawosławnego Kościoła; ale przecież „przepisy kanoniczne — to nie dogmaty wiary, tylko rozporządzenia dyscyplinarne, które stosownie do zmienionych potrzeb i warunków, w jakich się Cerkiew znajduje, można także odmienić”<sup>2)</sup>. „Co prawda, dziwnieby wyglądał archirej, objeżdżający eparchię z archirejszą? — Na ten widok lud prawosławny by się dziwował, zrażał, gorszył, byłoby wiele trudności”<sup>3)</sup>, ale p. Popow sądzi, że „jeżeliby taki archirej skądinąd dorósł swego zadania, ludby do tego się przyzwyczaił i przestał gorszyć. Oczywiście sudarynia archirejsza musiałaby mieć przytem zawsze na tyle taktu, żeby się nawet pośrednio nie mieszała do zarządu Cerkwią, a archirej musiałby postępować zawsze roztropnie i oględnie, pamiętając, że w razie przeciwnym, będzie narażony na donos do pro-

<sup>1)</sup> Listopad 1905, p. 574.

<sup>2)</sup> Zadaczy Cerkownoj reformy (Cerk. Gaz. 1906, n. 4, p. 2).

<sup>3)</sup> Bog. Wied., Czerwiec 1905, p. 236.

winecyonalnego synodu patriarchy i na wiele nieprzyjemności<sup>41)</sup>).

36. Organ urzędowy Akademii Kazańskiej proponuje, aby przy obsadzeniu wakujących biskupstw postępowano jak następuje: „Po śmierci biskupa, jego sąsiedzi w liczbie przynajmniej trzech, zjeżdżają do jego rezydencji i zwołują tam zebranie wyborcze, składające się z uprawnionych do tego duchownych i świeckich. Uprawnieniby byli wszyscy popi miejscowi, dalej delegaci parafialni, przełożeni znajdujących się w eparchii monasterów — potem wszyscy jercmonachowie, mieszkający w mieście rezydencyalnym, jakoteż po jednym delegacie z innych dyeceza'nych monasterów, wreszcie przedstawiciele wychowawczych zakładów duchownych. Każdy z tych wyborców miałby prawo przedstawić kandydata, podnosić jego zasługi, zachowanie i cnoty. W ten sposób większością głosów wybrani kandydaci przedstawieniby byli biskupom, którzy ostatecznego dokonaliby wyboru. Nominat zostałby uroczyście ogłoszonym na pełnem zebraniu wyborców. Prawomocnym jednak wybór jego stawałby się dopiero po zatwierdzeniu przez patriarchę i synod, co nie prędzej mogłoby nastąpić, ażby się okazało, że władza świecka nie przeciw niemu nie ma. Gdyby jednak patriarcha odmówił swego zatwierdzenia, tą samą drogą przeprowadziłoby się wybór

---

<sup>41)</sup> Ib. Grudzień 1905, p. 811.

drugiego *neminata*, a gdyby i co do niego zachodziły trudności, biskupa zamianowałby patriarcha sam w porozumieniu z synodem i rządem. Według tych zasad obrani archiereje, mieliby wyższość nad swymi poprzednikami, nazywanymi z góry, boby i oni swe owieczki znali lepiej a podwładne im duchowieństwo wraz z ludem miałoby do nich więcej zaufania<sup>1)</sup>).

37. W związku z wyborem biskupa pozostaje kwestya nowego podziału terytorialnego Cerkwi prawosławnej. Eparchie, wogóle biorąc, w Rosyi są tak wielkie, że rządzić nimi, jak należy, jest prawie niepodobieństwem. W tym względzie wiele zawiniło samo duchowieństwo, bo gdyby nie jego opozycja już w wieku XVII, rządby przeprowadził nowy podział eparchii<sup>2)</sup>.

38. Kiedy Piotr W. zaprowadził w Petersburgu rządy synodalne, Cerkiew ruska liczyła eparchii 18 i wikaryatów 2; za to w 1764 r. było eparchii już 29 a na początku XIX w. 36<sup>3)</sup>. „W tymże czasie do Cerkwi prawosławnej przyłączono nieszczęśliwą Georgię z jej 13 diecezjami, z których zaraz dziesięć skaso-

<sup>1)</sup> Berdnikow, K. wosprosu o preobrazawanii eparchialnawo uprawlenija (Prawosł. Sobesied. 1906, p. 24—26).

<sup>2)</sup> Popytki k wywedeniu greckeskoj centralizacznoj sistemy cerkownawo uprawlenija w drownej Rusi (Wiera i Razum 1906, n. 5, p. 211.)

<sup>3)</sup> Znamenski, p. 350.

wano, a cztery pozostałe jako *exarchat gruziński*, poddano pod rząd św. Synodu<sup>1)</sup>.

W 1890 r. Cerkiew ruska liczyła już eparchii 62<sup>2)</sup> a z początkiem XX-go wieku — 65, wliczając w to eparchię amerykańską. Tem wszystkim zarządzało 65 biskupów ordynaryuszów, 40 sufraganów, 14 biskupów tytularnych i 3 metropolitów.

39. Na obszar takiego państwa, jak Rosya i jej 100 milionów prawosławnych, liczba to stanowczo nie wystarczająca: stąd stworzyć nowe dyecezye trzeba koniecznie i „to tak, żeby, wogóle biorąc, w każdym powiecie rezydował archirej. Reformę w tym kierunku przeprowadzać naturalnie trzeba powoli, czekając aż sami wierni danego powiatu wyrażą życzenia, aby takiego rezydenta mieć pomiędzy sobą. Doczekawszy się tego, trzeba by ze sposobności korzystać i bez zwłoki a wielkich formalności życzeniu takiemu zadośćuczynić.

„Także powiatowym archirejom przysługiwałyby te same prawa i przywileje, co archirejom gubernialnym. Nie mieliby tylko konsystorza i innych skomplikowanych instytucji administracyjnych, złączonych z rezydencją dzisiejszych biskupów; mieszkaliby zaś po monasterach, oddając się wyłącznie pracy nad powierzoną sobie owczarnią<sup>3)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Jossilijan, *Kratkaja istorija gruzinskoj cerkwi*, S. Peterburg 1843, p. 153—154.

<sup>2)</sup> Dobroklonskij IV, p. 101.

<sup>3)</sup> Prawosł. Sobiesied. 1905. Kwiecień p. 727—728.

Praktyka dotychczasowa okazuje, że zmusić ich do tego nie byłoby łatwo, bo oni czem innem zajęci. — „Łatwem to nie jest, ale z samych nudów się zmusi, jeśli im się zabroni przyjmować od rządu dekoracyi i innych remuneracyi nadzwyczajnych, — wogóle wszystkiego, coby ich mogło stawić na równi z urzędnikami świeckimi (czynownikami)“<sup>1)</sup>.

Oczywiście każda stolica gubernialna stałaby się tem samem siedzibą arcybiskupa. Miałby on prawo zwoływać synody prowincjonalne, ale nad biskupami swego okręgu metropolitalnego nie posiadałby żadnej władzy<sup>2)</sup>. Wszelkie kwestye sporne pomiędzy archierejami, albo nimi a zależnem od nich duchowieństwem świeckiem lub samym metropolitą, rozstrzyganoby na synodach dyecezalnych, z prawem apelacyi do synodu patriarchalnego<sup>3)</sup>.

40. Za to „raz na zawsze ustaćby powinno przenoszenie archierejów z jednej dyecezyi do drugiej. Szkodzi to w wysokim stopniu Cerkwi i jest niezgodnem z duchem karności kościelnej“<sup>4)</sup>. „W razie nadzwyczajnych okoliczności możnaby zrobić wyjątek, ale nie więcej jak raz jeden“<sup>4)</sup>.

Przeprowadzając nowy podział eparchialny, trzeba by obmyśleć zabezpieczenie środków utrzymania dla wszystkich hierar-

<sup>1)</sup> Ib. Styczeń 1906, p. 20—21.

<sup>2)</sup> Ib. p. 22.

<sup>3)</sup> Preobrażeńskij, p. 5.

<sup>4)</sup> Praw. Sob. Styczeń 1906, p. 22.

chów. Dziś metropolici mają od 50 do 75 000 rubli dochodu. U zwykłych biskupów różnice są daleko większe. I tak n. p. archirej Odeski ma 20 000 rb. dochodu, a orłowski tylko 1 500<sup>1)</sup>. Stąd jedni opływają w dostatki i zbytkuują, a inni żyją prawie w nędzy. Taka różnica pomiędzy sługami tegoż samego Kościoła, musi być usunięta“.

41. Przeciw tym wszystkim projektowanym reformom w samej hierarchii cerkiewnej mało kto ma odwagę wystąpić i bronić starego systemu otwarcie. Są jednak śmiałkowie, którzy płyną przeciw prądowi. Do nich należy n. p. pop Demetryusz Silin, który wszelkie projekta zdemokratyzowania wyborów biskupich nazywa „mrzenką i wymysłem chorej wyobraźni“<sup>2)</sup> i archimandryta Jerzy, rektor tilskiego seminarium, który, idąc dalej, stara się naukowo udowodnić, że takie zdemokratyzowanie wyborów biskupich jest niezgodne z Ewangelią, bo w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wyboru tego dokonywali sami tylko biskupi, nie pytając ludu nawet o zdanie lub jego życzenia, a wszelką interwencję ze strony świeckiej uważali za zbyteczną itd. „Prawda, powiada on, tu i owdzie widzimy, że lud bierze udział przy wyborze swego pasterza, ale czyni to w dobrej wierze, sądząc bezpodstawnie, że ma do tego prawo. W rze-

<sup>1)</sup> Praw. Sob. Styczeń 1906, p. 22.

<sup>2)</sup> K woprosy ob oziwlenii cerkownoo bszczestwennoj djejatelnosti. Bog. Wiest. 1905, Październik, p. 326.

czywistości jednak przepisy kanoniczne o tem nie wiedzą nic<sup>1)</sup>). „Dla każdego, kto sumiennie bada źródła starożytności kościelnej — powiada on gdzieindziej — jest jasnem, że lud takiego prawa nie miał, a jeśli czasami do wyboru się miewał, to bez żadnej podstawy prawnej<sup>2)</sup>). W smutnej epoce bizantynizmu, pisze w tym samym duchu Briancew, w zasadach (teoryi) i praktyce Kościoła zmieniło się wiele z wielką szkodą karności kościelnej; dlatego też Cerkiew ruska robi najleniej, gdy czempredzej wróci do jaknajwierniejszego zachowania przepisów pierwotnego Kościoła<sup>3)</sup>).

#### IV. Duchowieństwo wyższe o reformie Cerkwi.

*Decentralizacya zarządu. — Pomnożenie stopni hierarchicznych. — Nowy podział eparchii. — Biskupi chórowi. — Głosy postępowe. — Głosy za utrzymaniem centralizacyi.*

42. Że hierarchia Cerkwi prawosławnej potrzebuje reformy, o tem wszyscy są przekonani. Jak ją pojmują postępowi przedstawiciele kleru niższego i ogół świeckich, widzieliśmy wyżej. Posłuchajmy teraz co o niej sami biskupi sądzą. Komisya, mająca się zająć

<sup>1)</sup> Izbranie episkopow w drewnej cerkwi (Wiera i Razum, Charkow 1906, n. 6, p. 274).

<sup>2)</sup> Ib. p. 271.

<sup>3)</sup> Brijanczew, Izbranie episkopow w wizantisboj cerkwi (Wiera i Razum, 1906, n. 10, p. 487—488).



przygotowaniem Soboru Narodowego, wystosowała do wszystkich przedstawicieli wyższego kleru okólnik, prosząc o sformułowanie swych dezyderatów co do zmian, jakieby uważali za potrzebne wogóle w całej Cerkwi a w szczególności w jej hierarchii. Była to tedy ankieta urzędowa. Wynik jej jest bardzo ciekawy.

Czytając odpowiedzi kierowników Cerkwi prawosławnej, jesteśmy zdumieni ich powierzchownością. To też bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby kto zażądał od nas sądu o nich stanowczego. W tych odpowiedziach mówi się bardzo dużo o reformie administracyi cerkiewnej, ale z małymi wyjątkami unika jaknajstaranniej wszystkiego, coby szło dalej i usuwało głębiej tkwiące przyczyny smutnego stanu, w jakim się Cerkiew znajduje.

A przecież kto tylko ma oczy do patrzenia, ten widzi, że Cerkiew przechodzi dziś przez stadyum krytyczne, które musi się skończyć jej rozpadnięciem (schizmą — nowym rozkołem), jeśli się zawczasu do gruntownej reformy ręki nie przyłoży. Dopóki w zarządzie powierzonych sobie wiernych trzymać się będzie episkopat dotychczasowych zasad i praktyk, nic nie pomoże ani wskrzeszenie patriarchy, ani pomnożenie stolic metropolitalnych ani powiększenie siedzib biskupich. Projekty zaś reformy ze strony archierejów, z małymi wyjątkami do tych trzech punktów dadzą się zredukować.

43. Nie da się zaprzeczyć, że cały episkopat, prawie jednogłośnie domaga się reformy administracyjnej w kierunku decentralizacyi. Przecie byłoby im wygodniej być choć w części rzeczywistymi władzami, panami, książętami Cerkwi, zamiast jak teraz być tylko urzędnikami św. Synodu, zajętymi ślepem wykonywaniem wychodzących z góry rozporządzeń. Metropolita, choćby w największą wyposażony władzę, to zawsze zwierzchnik mniej krępujący, niż św. Synod ze swym prokuratorem; a tenże metropolita oparty na swych sufraganach, to dygnitarz kościelny, mogący stawić czoło samowoli i kaprysom choćby patriarchy albo nawet i samego św. patriarchalnego Synodu. Tego się nie mówi wyrażnie, ale to czuć z powodów, którymi decentralizacyę się uzasadnia, a jeszcze bardziej z motywów, które przeciwko niej podnoszą zwolennicy dotychczasowego systemu.

44. Najobszerniej plan swój wypracował Anteniusz Petersburski. Według niego trzeba Rosyę podzielić na 8 metropolii z 8 metropolitami:

1. Petersburski miałby siedzibę w Petersburgu i rozciągałby swą władzę na eparchie: Finlandzką, Archangielską, Ołoniecką, Wołogodzką, Nowogorodzką, Pskowską, Ryską, Twerską i Smoleńską. 2. Wielkoruski z siedzibą w Moskwie, miałby pod sobą eparchie: Jarosławską, Kostromską, Włodzimierską, Niżnio-Nowogorodzką, Kałuską, Tulską, Riazańską, Peńzenską, Orłoską i Tambowską. 3. Białorusko-Litewski z siedzibą w Wilnie. Jego prowincya obejmowałaby

eparchie: Wołyńską, Warszawską, Mińską, Mohilewską i Połocką. 4. Halicko-Małopolski z siedzibą w Kijowie. Do niego by należały eparchie: Podolska, Kiszyniowska, Czernigowska, Połtawska, Ekaterinosławska, Chersońska, Charkowska, Kurska, Woroneska i Taurydka. 5. Metropolita Rosyi Wschodniej z siedzibą w Kazaniu. Pod nim byłyby eparchie: Wiacka, Permska, Symbirska, Samarska, Saratowska, Orenburska, Ufimska, Ekaterinburska i Turkestańska. 6. Syberyjski z siedzibą w Irkucku, z eparchiami po niej rozrzuconymi. 7. Georgijski ze swemi dyecezyami i wreszcie 8. Woroneski z eparchiami: Dońską, Stawropolską, Astrachańską i prowincją Twerską. Do niego należałyby Kaukaz z mieszkającymi tam prawosławnymi Rosyanami.

Władza zaś każdego z tych metropolitów polegałaby najpierw 1. na obsadzaniu razem ze sufraganami stolic wakujących, a potem 2. na dozorowaniu każdego z nich<sup>1)</sup>.

Wskrzeszenie władzy metropolitalnej i powiększenia jej przedstawicieli domagają się także Arseniusz Charkowski, którego memoriał odznacza się wyraźną przymieszką tendencyi czysto politycznych. Między innymi żąda on, „aby przy nowym podziale Cerkwi na metropolie nie uwzględniano różnic narodowych i etnograficznych, bo przez to mogłaby ucierpieć jedność państwowa; autonomia bowiem kościelna to pierwszy krok do autonomii politycznej“<sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Cerk. Wied., n. 36, str. 2566.

<sup>2)</sup> Cerk. Wied., 1906, n. 2, str. 59. Trudno pojąć, dlaczego zarówno Antoniusz Petersburski, jak i Arseniusz Kazański do nowych metropolii chcą koniecznie zaliczyć wileńską, jak gdyby nie wiedzieli, że w tych

45. Arseniusz Włogodzki przemawia za przywróceniem całkowitem metropolii dawniejszych z władzą dozoru, przenoszenia, mianowania podległych sufraganów<sup>1)</sup>.

W tym samym duchu przemawiają Antoniusz Czernigowski<sup>2)</sup>, Antoniusz Wołyński<sup>3)</sup>, Serafin Połocki<sup>4)</sup>, który jednak nie podziela obaw Arseniusza z Charkowa, bo „autonomia metropolitalna będzie zawsze autonomią względną a nie całkowitą<sup>5)</sup>, a metropolici — zależnymi zawsze od patryarchalnego synodu, a nie zwierzchnikami kościołów narodowych na wzór kościołów małych państw bałkańskich (autokefale)“. Wtórują mu: Włodzimierz Kiszyniowski<sup>6)</sup>; Nikon Włodzimirski, jako zwolennik systemu „synodalnego“, którego zapoczątkowanie widzi we władzy metropolitalnej; — Pitirim Kurdski, aby „raz przecie oczyścić Cerkiew z jej obecnej szpecącej ją antykanonicznej organi-

---

stronach Cerkiew prawosławna zawdzięcza wszystko gwałtom. Tam niema prawie jednego budynku cerkiewnego, któryby nie był poprzednio kościołem katolickim albo unicką cerkwią. Przytem prawosławie w tych stronach nie postępuje, ale się cofa, nie mogąc się oprzec sile moralnej katolicyzmu. Broni się wprawdzie miejscowe duchowieństwo prawosławne sposobem praktykowanym dotychczas: potwarzają i nahażkają, ale to długo nie potrwa. Darma woła „Gazeta Kościelna“ na alarm, że ks. biskup Ropp miał rzekomo w orędziu swem biskupiem powiedzieć: „Tak długo, choć jedna cerkiew schizmatycka istnieć będzie w Wilnie, żaden kapłan wileński nie będzie mógł być spokojny“ (n. 18, 1906, str. 6). To wszystko postępu prawdy katolickiej nie wstrzyma, a tem mniej tytuł metropolity, miejscowego archireja. (Ks. Palmieri.)

<sup>1)</sup> Ib., str. 171—172, Sakellaropulos.

<sup>2)</sup> Cerk. Wied., p. 1906, str. 222.

<sup>3)</sup> Ib. n. 6, str. 260—270.

<sup>4)</sup> Ib. 7, str. 319.

<sup>5)</sup> Ib. n. 7, str. 327—328.

<sup>6)</sup> Ib. n. 9, str. 425.

zacyi<sup>(1)</sup>); — Szymon Ekaterinosławski, „aby zbadać i zaspokajać różne potrzeby pojedynczych prowincyi ruskich<sup>(2)</sup>”; — dalej Guriusz Symbirski<sup>3)</sup>; Krzysztof Ufimski, uspokajający rząd, że „z tej inowacyi niema potrzeby obawiać się o całość państwa, bo Cerkiew polityką się nie zajmuje<sup>(4)</sup>”; — Flawian Kijowski, jako przeciwnik pierwiastku biurokratycznego; — Arseniusz Pskowski dla tej samej przyczyny co Nikon Włodzimierski<sup>5)</sup>; — Tichon Irkucki, który chciałby widzieć Cerkiew podzieloną na 22 metropolii, z metropolitami wybieranymi przez sufraganów<sup>6)</sup>); — Agatodor Stawropolski chciałby tylko, żeby podział na metropolie był jaknajściślej związany z podziałem politycznym dla lepszego zaakcentowania jedności cerkiewnej wobec jedności państwa<sup>7)</sup>; — Tychon Kostromski podziela jego zdanie, radząc „aby za postawę podziału wzięto 15 okręgów naukowych<sup>(8)</sup>”; — Jan Połtawski<sup>9)</sup>; Michał Miński, którego zdaniem „jest to jedyne wyjście, aby ulżyć nawałowi zajęć, jakimi obarczeni są archiereje<sup>(10)</sup>”; Stefan Mohilewski tak samo, tylko co do Kaukazu chce on, „by zrobiono wyjątek, bo to terytoryum o wyraźnych tendencyach separatystycznych<sup>(11)</sup>”; — Konstanty Samarski<sup>12)</sup>, Aleksy Taurydzki, domagają się, „aby obok patryarchy ustanowiono w Cerkwi metropolitów, wybieranych przez sufraganów a potwierdzanych przez patryarchę, którzyby dwa razy do roku zbierali się u niego dla omawiania spraw, tyczących całej cerkwi“.

<sup>1)</sup> Ib. n. 10, str. 497.

<sup>2)</sup> Ib. n. 10, str. 506.

<sup>3)</sup> Ib. n. 13—14, str. 695.

<sup>4)</sup> Ib. str. 704.

<sup>5)</sup> Ib. n. 15, str. 820.

<sup>6)</sup> Ib. n. 16, str. 903—904.

<sup>7)</sup> Ib. n. str. 911.

<sup>8)</sup> Ib. n. 33, str. 2441—2442.

<sup>9)</sup> Ib. n. 18, str. 1073—1074.

<sup>10)</sup> Cerk. Wied. 1906, n. 2, str. 115.

<sup>11)</sup> Ib. n. 5, str. 217—218.

<sup>12)</sup> Ib. n. 35, str. 2505.

46. Najdalej w kierunku autonomicznym idzie Benjamin Kałuski. Zdaniem jego Cerkiew powinna nie tylko być podzieloną na metropolie, ale metropolici wyposażeni w obrębie swej prowincyi władzą, któraby nie wiele się różniła od władzy patryarchalnej. Dlatego chciałby on mieć tylko 8 metropolii: Rosyi Północnej, Wielkiej, Południowej, Zachodniej, Wschodniej, Syberyi Wschodniej, Odessy i Kaukazu. Metropolici jego mieliby prawo przenoszenia podległych sobie eparchów z miejsca na miejsce i tworzenia nowych dyecezyi<sup>1)</sup>.

47. Z tego wszystkiego widać, że episkopat prawosławny jest prawie jednomyślnie za przywróceniem dawnych tytułów hierarchicznych i dawnych podziałów terytoryalnych: to kwestyi przywrócenia wewnętrznego pokoju i zażegnania szyskany ani na krok nie posuwa naprzód. W dzisiejszych czasach kwestye religijne nie dają się rozwiązywać zmianą form i tytułów. Tu zamiast występować pod nową nazwą i przywdziewać nowe szaty, trzeba zabrać się do zreformowania treści.

Oryginalnem jest zdanie Włodzimierza Ekateryneńskiego. Chce on mieć nie tylko metropolitów, ale pomiędzy nimi a patryarchą, jako ogniwo hierarchiczne pośrednie także i arcybiskupów. Cerkiew cała rozpadłaby się według niego na 7 arcybiskupstw: w Moskwie,

<sup>1)</sup> Ib. n. 3, str. 112

Petersburgu, Kijowie, Kazaniu, Woroneżu, Georgii i Kaukazie. Każdy arcybiskup miałby prawo zwoływania metropolitów i ich sufragatów w obrębie swej archidiecezyi na synody prowincjonalne; zresztą byłby on zależnym od patriarchy i jego synodu<sup>1)</sup>.

48. Z podobnym naciskiem i jednomyślnością, jak przywrócenia władzy metropolitalnej, domaga się episkopat prawosławny także podziału nowego eparchii. Zdania co do wielkości pojedynczych dyecezyi są różne, ale niemal wszyscy się na to zgadzają, że powinny być one przeciętnie znacznie mniejsze niż dzisiaj.

Tychon Irkucki za podstawę tego podziału stawia zasadę, że w eparchii nie powinno być więcej niż 250 parafii i 250 000 do 500 000 wiernych<sup>2)</sup>. Jego imiennik Tychon Penzeński sądzi, że 200 000 wiernych płci obojga wystarczy zupełnie na jednego archireja i nawet w takim wypadku radzi dodać mu do pomocy koadjutora<sup>3)</sup>. Za powiększeniem liczby eparchii wogółności przemawiają Pitirim Kurski, Flawian Kijowski, Tychon Kostromski, który chciałby widzieć 50 nowych biskupstw<sup>4)</sup> itd.

49. W Związku z przywróceniem dawnej hierarchii jest także kwestya Biskupów-koadjutarów t. zw. biskupów-wikarych dyeceza-

---

<sup>1)</sup> Cerk. Wied., 33, str. 2441—442, n. 34, str. 2470.

<sup>2)</sup> Ib. n. 16, str. 903—904.

<sup>3)</sup> Ib. n. 39, str. 2647.

<sup>4)</sup> Ib. n. 33, str. 2441—2442.



nych. W swych odpowiedziach dla komisji synodalnej wielu władyków porusza tę sprawę.

W pierwszych wiekach kościoła znano instytucję biskupów chórowych, a raczej wiejskich, którzy zależąc od miejscowego ordynariusza, udzielali święceń wiejskim proboszczom i mieli nad nimi dozór<sup>1)</sup>). Po synodzie Laodycejskim, którego kanon LVII zakazywał zakładania rezydencji biskupich po wsiach i mniejszych miastach, spotykamy ich coraz rzadziej; a po jakimś czasie nie widzimy ich zupełnie<sup>2)</sup>).

50. W Cerkwi ruskiej nie znano instytucji t. zw. biskupów - wikarych aż do XVII w. Wtedy to poraz pierwszy na dworze patriarchy, a wkrótce potem i u innych biskupów zaczynają się oni pojawiać. I tak widzimy takiego koadjutora przy metropolicie Nowogrodzkim (1685) z tytułem biskupa Korelskiego i Ładowskiego, — przy Kijowskim, jako biskupa Perejasławskiego (1700) i przy archiereju Irkuckim, jako biskupa Tobolskiego (1707)<sup>3)</sup>).

Za panowania Alexandra II. prawie we wszystkich większych eparchiach zaprowa-  
dzano biskupów - wikarych. Wielu z nich

---

<sup>1)</sup> Pawłow, str. 250. Kanon XIII synodu w An-cyrze z 315 r. postanowia, że biskupi chórowi mogą udzielać święceń proboszczom wiejskim jedynie za po-zwoleniem i zależnie od miejscowego ordynariusza (Hore. — Eighteen centuries of the orthodox greek Church 1899 London, p. 105.)

<sup>2)</sup> Hefele I, str. 747.

<sup>3)</sup> Dobrokróński IV, str. 114.

wkrótce potem odłączono zupełnie od metropolii i obdarzono prawami ordynaryuszów niezależnych<sup>1)</sup>).

Biskupi-wikarzy są bezpośrednio zależni od biskupa miejscowego, wobec którego, zdaniem kanonistów ruskich, zajmują to samo stanowisko, co koadjutorzy w Kościele katolickim, z tą różnicą, że ci ostatni są biskupami tytularnymi z tytułem dyecezyi już nie istniejącej, gdy biskupi-wikarzy prawosławni noszą nazwę miasta, zawartego w obrębie eparchii, w której urzędują, co im jednak nie daje żadnego prawa do wykonywania w niem i jego okolicy jakiegokolwiek władzy<sup>2)</sup>).

To podobieństwo do instytucyi biskupów koadjutorów nie podoba się Ryskiemu Agadapogelowi, który dlatego jest za usunięciem biskupów-wikarych<sup>3)</sup> a podziałem nowym dyecezyi, mających za wielkie terytoryum<sup>4)</sup>).

51. Chcąc oddać sprawiedliwość episkopatowi prawosławnemu, trzeba przyznać, że nie brak pomiędzy jego członkami ludzi patrzących dalej, którzyby chcieli widzieć reformę Cerkwi i przeprowadzić w tymże samym mniej więcej duchu, jak tego żąda duchowieństwo postępowe niższe.

---

<sup>1)</sup> Ib. str. 115. Łopuchin, *Prasłownaja bogosławskaja encyklopedija*, Petersburg 1902, t. III, col. 445.

<sup>2)</sup> Suworow, *Uczebnik cerkownawo prawa*, Jarosław 1898, str. 287.

<sup>3)</sup> *Cerk. Wied.*, 1906, n. 17, str. 1009—1010.

<sup>4)</sup> Ib. n. 15, str. 787.

Na pierwszym miejscu wymienić tu trzeba Piotra Smoleńskiego.

Powiada on całkiem otwarcie, że „warunki obecne biskupów prawosławnych, przeszkadzają im w spełnianiu wzniosłego ich posłannictwa. Mimo najlepszej chęci, tych przeszkód oni sami usunąć nie mogą. Dlatego trzeba powiększyć ilość djecezyi, wybierać biskupów bez różnicy zarówno z pomiędzy czarnego jak białego kleru, o ile żyją w celibacie albo przynajmniej są wdowcami; -- dalej znieść raz na zawsze przenoszenie, przynajmniej tak częste, biskupów z jednego miejsca na drugie, usunąć różnice prawne między stolicami biskupiej ze względu na honorowe tytuły i odznaczenia“<sup>1)</sup>).

Jeszcze bardziej stanowczo występuje Paisiusz Turkiestański.

On znieść nie może zbytku i przepychu i rzeczy nazywa po imieniu. Jego zdaniem podział na metropolie nie wieleby się przydał, bo w gruncie rzeczy pozostałoby wszystko po dawnemu z tą tylko różnicą, że zreorganizowana w ten sposób hierarchia, byłaby nieudaląm naśladownictwem świeckiej, państwowej organizacyi. Skutkiem tytułu metropolity byłoby tylko większe uganie się za karierą, próżność i ambicja, już i tak wielka wśród kleru prawosławnego wyższego. Zresztą instytucja ta jest zupełnie zbędna, bo dzięki kolejom i telegrafom każdy biskup, choćby najdalej od Petersburga mieszkający, może każdej chwili znieść się bezpośrednio ze sw. Synodem i najprostszą drogą załatwić najzawikłańsze kwestye. Po co tu pośrednictwo metropolity?

Za to żąda, aby wybór biskupów odbywał się, jak

<sup>1)</sup> Ib. n. 35, str. 2505.

w pierwszych wiekach Kościoła, tj. aby pomiędzy kandydatami rzucono losy. Tą drogą Kościół otrzymał, zdaniem jego, cały szereg świętych i gorliwych pasterzy, czemużby ich i dziś nie miał otrzymać?<sup>1)</sup>

Za zasadą naznaczania biskupów drogą wyboru przez duchowieństwo i lud przemawia Stefan Mohilewski. Rozumie on to tak, że metropolitę wybierają biskupi jego podwładni na synodzie prowincjonalnym, a potwierdza patriarcha<sup>2)</sup>.

Tego samego zdania jest Konstanty Samarski<sup>3)</sup>, Tychon Irkucki<sup>4)</sup> i konsystorz Ołoniecki, który proponuje, aby prawo biernego wyboru na wakujące biskupstwo rozciągnąć nie tylko na kler biały, ale nawet na ludzi świeckich. Konsystorz ten twierdzi śmiało, że u księży świeckich jest więcej danych, co należy do tego spełnienia obowiązków pasterskich niż u zakonników.

52. Zwolennicy obecnego systemu zwalczają także przywrócenie dawnej hierarchii, ale dla całkiem innych przyczyn. Oni nie tają swych obaw, że proponowana instytucja metropolitalna, raz ściśle przeprowadzona, mogłaby zmienić istotnie warunki życia Cerkwi ruskiej w kierunku decentralizacji i większej swobody. I tak Wawrzyniec Tulski powiada otwarcie, że „podział Cerkwi na metropolie może się stać groźnem niebezpieczeństwem dla jedności państwa, a zamiast jednego środowiska centralnego stworzy i cały szereg

---

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 4, str. 170—171.

<sup>2)</sup> Ib. 1906, n. 5, str. 217—218.

<sup>3)</sup> Ib. n. 11, str. 580—581.

<sup>4)</sup> Ib. n. 16, str. 903—904.

innych<sup>1)</sup>). Leonidas Emerytyński z Georgii sądzi tak samo, powołując się na to, że „sobory powszechne w swych kanonach nie przyznają metropolitom żadnej władzy nad sufraganami, prócz honorowego pierwszeństwa“. Dlatego jest on za utrzymaniem dotychczasowej niezależności pojedynczych eparchii i wszelkie usiłowania zaprowadzenia jakiejkolwiek zmiany w tym kierunku, uważa za zbliżenie do szkodliwego papizmu (sic!), do biurokracyi kościelnej<sup>2)</sup>, (jak gdyby jej w Rosyi przy obecnym systemie nie było!!).

Euzebiusz Władywostocki nie chce słyszeć o metropolitach, bo „to pachnie rewolucją — duchem świeckiej niezgody. Wprowadzenie tej zasady nowej byłoby wodą na młyn marzycieli o Rosyi skonfederowanej“<sup>3)</sup>. On wprawdzie uznaje, że Cerkiew prawosławna nie posiada jedności, jakiejby życzyć można. „Prawda, pojęcie jedności utrzymało się i wzmocniło w Kościele rzymskim z konsekwencyą niczem niepohamowaną, ale ono zostało tam spaczne i zachowane jedynie dzięki środkom, niezgodnym z Ewangelią (sic!) więc Cerkiew niema co jej tej jedności zazdrościć. Stąd, gdyby projekt zaprowadzenia projektowanych stopni hierarchicznych przyszedł do skutku, Cerkiew wieleby na tem ucierpiała, czego dowodem oczywistym są Unici

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 40, str. 2684.

<sup>2)</sup> Ib. n. 43, str. 2840.

<sup>3)</sup> Ib. n. 44, str. 2895.

galicyjscy(?), o których w zapale patryotycznym pisze: „Oby prędzej przyszły czasy i biedny nasz kraj halicki, zajęty przez innowierców, powrócił na łono swej matki Rosyi i przyłączył się do Cerkwi prawosławnej, stając się ruskim zarówno ze względu na wiarę, którą wyznaje, jak i na państwo, do którego należy!“<sup>1)</sup>). Przy tej sposobności przypomina on nieudane próby zaprowadzenia w Rosyi systemu metropolitalnego. „Raz po raz w wieku XI-ym, XIV-ym, XVIII-ym, chciano ze względów politycznych go u nas zaprowadzić, ale za każdym razem próba się nie udała“. Stąd i dziś, zdaniem jego, podział Cerkwi prawosławnej na metropolie nie odpowiada jego życzeniom<sup>2)</sup>.

---

## VII. W łonie komisji synodalnej.

---

*Kwestya metropolitalnych kościołów. — Kano-  
niści. Berdnikow, Suworow, Zaozerski, Sokołow,  
Głubokowski, ProtoPOP Budkiewicz. — Kwestya  
Koadjutorów i wogóle biskupów.*

53. Ankieta, rozpisana przez komisję, mającą na celu przygotowanie przyszłego narodowego soboru, musiała z natury rzeczy wywołać wśród jej członków ożywioną dyskusję, która oczywiście obracała się głównie

---

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 44, str. 2895.

<sup>2)</sup> Ib. str. 2896.

około przywrócenia władzy metropolitalnej, biskupów-wikarych i procedury przy mianowaniu hierarchów cerkiewnych. Zdania były podzielone tak, że, wogóle biorąc, świeccy członkowie komisji popierali wnioski bardziej postępowe, a duchowni przeciwnie usiłowali nadać im formę jaknajbardziej konserwatywną.

54. Za przywróceniem władzy metropolitalnej oświadczyli się najwybitniejsi k a n o n i ś c i prawosławni, jak Berdnikow, Suworow, Zaozierski, „jako środkiem skutecznym, dla połączenia końca absolutyzmowi biurokratycznemu św. Synodu i przywrócenia w zarządzie cerkiewnym zarzuconego systemu synodalnego“<sup>1)</sup>. Prof. Berdnikow, jako referent sekcji II-ej przyszłego synodu przedstawił swój projekt nowej organizacyi cerkiewnej. Oparł on ją na wzorach dawnego ruskiego kościoła: więc przede wszystkim na zasadzie obieralności dygnitarzy cerkiewnych i władzy metropolitalnej. Archireja miejscowego „powinniby wedle niego wybierać członkowie synodu metropolitalnego z udziałem niższego duchowieństwa i świeckich przedstawicieli ludu“<sup>2)</sup>. W obrębie swej prowincyi miałby metropolita władzę taką, jak dawniej, tj. jaką im przyznają kanony<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 17, str. 788—791.

<sup>2)</sup> Ib., str. 976.

<sup>3)</sup> A więc metropolity nie tylko mieliby pierwszeństwo przed zwykłymi archirejami, ale mieliby prawo zwoływać na czas i miejsce przez siebie oznaczone synody prowincjonalne, doglądać wykonania powzię-



Prof. Głobukowski z erudycją sobie właściwą ten wniosek poparł, wykazując że, jeśli się chce praktycznie przywrócić system synodalny, trzeba zacząć od przywrócenia metropolitów nie tylko tytularnych, ale mających władzę nad swymi sufraganami. W tej myśli radzi wszystkie dzisiejsze eparchie ryczałtem przemienić na metropolie, a jednocześnie utworzyć w każdej z nich tyle nowych stolic biskupich, ile jest powiatów. W ten sposób Cerkiew prawosławna miałaby od razu zamiast 65, 500 do 600 eparchii i episkopat złożony z 700 członków<sup>1)</sup>).

Prof. Sokołow kładł nacisk na przywrócenie zasady synodalnej, nie przypisując jednak wielkiego znaczenia przywróceniu metropolitów.

55. Protopop Budkiewicz nie chce słyszeć o metropolitach, widząc w przywróceniu dawnej ich władzy wielkie niebezpieczeństwo dla Cerkwi i państwa.

Przywrócenie ich — powiada — 1. sprawi, że biskupi nie będą, jak obecnie utrzymywać tak częstych i serdecznych(!) stosunków ze św. Synodem w Petersburgu; 2. przedłuży procedurę w sądach i administracji cerkiewnej; 3. zbliży wprowadzić do siebie biskupów jednej prowincyi, ale tem samem oddali ich od reszty prawosławnego episkopatu; 4. spowoduje różnice w cer-

---

tych na nich postanowien, — badać przymioty kandydatów na opróżnione stolice biskupie, — pośredniczyć pomiędzy swymi sufraganami i władzą centralną, — stać na czele ruchu religijnego w swej prowincyi. (Budnikow, Cerk. Wied. n. 25, str. 1966.)

<sup>1)</sup> Ib. n. 20, str. 1183—1184.

kiewnych obrządkach, a może i w samej nauce kościelnej; 5. w wielu razach zrazi lud prawosławny do swych pasterzy(?); 6. może stać się przyczyną postanowień stronnicych w sprawach młodszego duchowieństwa; 7. może przedłużyć niepotrzebnie sprawy, należące do kompetencji synodów prowincjonalnych, ponieważ zmuszać będzie strony zainteresowane do wyczekiwania ich najbliższej kadencji; 8. nie będzie się dostatecznie opierać na dogmatycznej podstawie, bo przepisy kościelne w zarządzie cerkiewnym wymagają tylko ustroju synodalnego; 9. nie da się nawet usprawiedliwić prawodawstwem kościelnem, bo ono zna wprawdzie stopniowanie w hierarchii, ale nie zna władzy metropolitalnej, jako obowiązkowej; 10. istnienie metropolitów jest w Cerkwi bizantyjskiej stwierdzone historycznie, to jednak nie dowodzi, że wprowadzenie ich w Rosyi byłoby pożytecznem. Co dobrem było dla Greków, nie zawsze jest dobrem dla Rosyan; 11. jeżeli chodzi o decentralizacyę całkowitą lub częściową na niekorzyść Synodu — osiągnąć to można i bez metropolitów; 12. przedewszystkiem jest ono zbędnem, bo sprawiedliwość wyroków św. Synodu jest tak znana, że niema najmniejszej potrzeby zabezpieczania się przed nimi jakimiś tam synodami prowincjonalnymi(!); 13. i bez tego nikt nie broni archierejom ze sobą sąsiadującym wzajemnie się porozumiewać i urządzać kongresów (sic!) dla omawiania spraw duchownych; 14. zawsze pozostanie pewnem, że nikt nie jest tak bardzo w możności poznania potrzeb prawosławnej Cerkwi, jak św. Synod Petersburski(!); 15. taka powaga, jak metropolita Filaret sądził, że w Rosyi niema najmniejszej potrzeby przywracania patryarchatu. Wystarczy powiększyć liczbę członków Synodu św., podnosząc ją z 10 do 12(!); 16. trzeba pamiętać, że aż trzy razy zabierano się w Rosyi do zreorganizowania cerkiewnej administracyi i trzy razy skończyło się na niczem<sup>(1)</sup>).

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 15, str. 788—791.

56. Wobec zdań tak sprzecznych, komisya nie sformułowała żadnego konkretnego wniosku, zostawiając to członkom przyszłego soboru. Z dyskusyi jednak wynikało, że Gołubiński jest za przywróceniem metropolitalnej władzy na wzór dawnej bizantyńskiej; protopopi Titow i Kojalowicz, wraz z profesorami Zaozierskim, Zawiniewiczem i Brillantowem, za uwzględnieniem poprawek, wskazanych przez Synod i życzenia biskupów; a reszta, choć w zasadzie pisząc się na to, czego żąda Gołubiński, jednak ze względów praktycznych była na razie za zamienieniem wszystkich eparchii na metropolie, zostawiając przyszłości zakładanie ich sufraganii i organizowanie cerkiewnej administracyi na nowych podstawach<sup>1)</sup>.

56. Protopop Budkiewicz był także stanowczo przeciwnym instytucyi biskupów-wikarych, dlatego, że episkopat prawosławny prawie jednomyślnie oświadczył się za ich zniesieniem, że kanony kościelne nic o nich nie wiedzą. Jeden jedyny archirej Kazański wystąpił w ich obronie.

Co się tyczy biskupów-wikarych istniejących, sądziła komisya, że należałoby ich wyjąć z pod zależności dotychczasowych zwierzchników i stworzyć dla nich eparchie samodzielne.

57. Ciekawe są racye, jakimi w dyskusyi na ten temat starano się uzasadnić ich zniesienie. Podnoszono mianowicie pogwałcenie

---

<sup>1)</sup> Ib. n. 25, str. 1965.

podstawowej zasady zarządu kościoła, tak ściśle w starożytności chrześcijańskiej przestrzeganej, że w jednym i tem samym miejscu nie może rezydować dwóch biskupów, przytem kładzono nacisk na brak precedensu w praktyce pierwszych wieków i w początkach Cerkwi ruskiej. Przecie ci biskupi pojawiają się w Rosyi dopiero dwa wieki temu i to wyłącznie przy stolicach metropolitalnych: Petersburskiej, Moskiewskiej i Kijowskiej, ze względu na ich znaczenie i obszar eparchii. Pozwolenie św. Synodu dane w tym kierunku wszystkim hierarchom datuje od lat 40, bo od 1865 r.; a wreszcie według protopopa Budkiewicza jest w tej instytucyi coś heretyckiego, bo podobnego do instytucyi biskupów - koadjutorów w Kościele katolickim, o czem świadczy sama ich nazwa łacińska.

Szczęściem, że zasadniczy ten przeciwnik wszystkiego, co trąci Kościołem katolickim, trafił tym razem na krytyka kompetentnego w osobie prof. Głubokowskiego historyka, który na podstawie dat historycznych wykazał mu, że w tej sprawie niema ani herezyi żadnej, ani winy ze strony łacinników, bo instytucya biskupów chórowych była w najpierwszych czasach chrześcijaństwa znaną doskonale i w kościele wschodnim, stąd nie może być także mowy o jakimkolwiek pogwałceniu kanonów cerkiewnych<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Cerk. Wied. n. 21, str. 1423—1427.

58. Co się tyczy władzy biskupiej, jeden tylko członek komisji mianowicie prof. Budkiewicz śmiało zażądał, aby zapewniono im niezależność od władzy świeckiej. Zdaniem jego, biskupi powinni być obieralni z swobodą bezwzględną, bez potwierdzenia ze strony rządu, inaczej Cerkiew prawosławna będzie jak dotąd stała niżej od Kościoła katolickiego.

Ta zasada natrafiła oczywiście na jednogłośny protest reszty członków komisji. W imieniu wszystkich przemówił prof. Gołubiński, podnosząc, że Cerkiew prawosławna jest kościołem narodowym, a więc kościołem państwowym, że wskutek tego otrzymuje zapomogę od rządu i nie może się zrzec jego opieki. Potwierdzenie ze strony władzy świeckiej dygnitarzy cerkiewnych jest tedy rzeczą niezbędną, bo „car jest jej urzędowym projektorem“.

59. Zresztą komisja godziła się na zasadę obieralności biskupów przez synody prowincjonalne, pod przewodnictwem miejscowego metropolity, przy udziale jego sufraganów i przedstawicieli zarówno kleru białego, czarnego, szkół duchownych męskich i żeńskich, konsystorzy i innych cerkiewnych instytucji, jak też delegatów parafialnych.

60. Oprócz tego uważa komisja za odpowiednie przyszłemu soborowi zaproponować  
1. pomnożenie dyecezyi dla ulżenia obarczonych nawałem pracy archierejów wielkich epar-

chii, 2. postawienie zasady, że ma być przenoszenie biskupów z jednej dyecezyi do drugiej wyjątkiem, 3. przeprowadzenie pewnych reform w konsystorzach i tym podobnych instytucjach eparchialnych, 4. rozszerzenie władzy biskupiej o tyle, żeby do ich dyecezyi należało tworzenie nowych parafii, zakładanie nowych monasterów, naznaczanie igumenów i archimandrytów, rozdawanie nagród cerkiewnych, suspendowanie kapłanów a divinis, jednym słowem, utrzymanie karności wśród kleru swej eparchii, świeckiego i zakonnego, tak, żeby nie potrzebowali, jak dotąd, co chwilę zwracać się do Petersburskiego Synodu i oczekiwać na jego decyzję<sup>1)</sup>.

61. Czy te wszystkie wnioski komisji przyjmie synod narodowy? Okaże przyszłość. To jednak pewno, że, nie przesadzając przyszłości, Cerkiew prawosławna nie wiele sobie obiecywać po nim powinna. Stąd też prasa postępową z góry ubolewa, sądząc po wnioskach komisji, że i po soborze wszystko zostanie po dawnemu. Zaprowadzą na synodzie pewne zmiany w zarządzie zewnętrznym Cerkwi, ale życia jej nie przywrócą. Co wtedy? „Wtedy nic innego nie pozostanie prawosławiu ruskiemu — sądził nowy organ kazańskiego duchowieństwa — jak uczynić na wschodzie to, co na zachodzie uczynił Luter i Melancton: tj. odwrócić się od swych pa-

<sup>1)</sup> Cerk. Wied., str. 1966—1968.

sterzy czyli innymi słowy, ogłosić schizmę kościelną — nowy kościół<sup>1)</sup>.

---

### VIII. Co gotuje przyszłość?

---

62. Z przytoczonych zdań episkopatu prawosławnego, każdy może się łatwo przekonać, że ten episkopat, — to kasta, a kasta biurokratyczna, nie znająca, co to serce, co gorliwość o dobro powierzonych sobie dusz, — to ludzie zimni, sztywni, nie umiejący samodzielnie myśleć, wszyscy na ten sam sposób ukształtowani, jak ten papier kancelaryjny, przez który oni stylem stereotypowym sprawują rządy Cerkwi.

Kwestye piekące, poruszające do głębi miliony ich podwładnych, dla nich nie istnieją; oni jednym słowem ich poruszyć się boją.

Cóż dziwnego? Przecież ci wszyscy dygnitarze — to nie książęta Kościoła, ale ludzie zależni od pierwszego lepszego czynownika wyższej rangi, drżący przed najmniejszym posądzeniem, że myślą, czują inaczej, jak przedstawiciele władzy. — Apostołowie troszczyli się najpierw o to, czego wymagał od nich Bóg, a potem o to, czego dopominali się od nich ludzie, lecz archiereje prawosławni przeciwnie: u nich wola władzcy świeckiego i jego

---

<sup>1)</sup> Predsobornaja djeistwitelnost i predstojaszczij sobor (Cerk. Obszczest. Żizn. 1906, n. 23, col. 774—776).



przedstawicielei idzie przed woła Pana Boga. Jeżeli się uda obie pogodzić — to dobrze, a jeżeli nie — to woła monarchy otrzymuje pierwszeństwo . . . . . więc milczą, bo milczy rząd.

62. Życie komplikuje się coraz więcej. Ze wszech stron powstają kwestye, które czemprędzej trzeba rozwiązać. Tyczą się one potrzeb duchownych milionów prawosławnych. Władza cerkiewna wobec nich powinna by zając stanowisko jasne, zgodne i stanowcze; . . . a jednak przedstawiciele jej milczą.

Powinniby oni w świetle prawd objawionych rozświecić kwestyę socyalną, — powinni by забраć się do gruntownej reformy czar nego i białego duchowieństwa, o czem całe społeczeństwo ruskie jest najsilniej przekonane, ale oni milczą, bo, jeśliby coś powiedzieli, a to nie przypadłoby do gustu jakiejś exceleneyi — to byłoby źle, możnaby się oprzeć w Sołowieckim albo Zyrowickim monastyrze albo zaawansować na godność hierarchicznie wyższą, ale . . . na pograniczu Persyi lub Chin.

Więc milczą. A tymczasem burzące się wody społecznej i religijnej rewolucyi podnoszą się coraz wyżej; za chwilę ich zaleją, a oni, jak kiedyś ich bizantyńscy poprzednicy wobec nawały tureckiej, — rozprawiają szeroko i uczenie na temat dystynktoryów, rang, tytułów itp. sprawach wszelką biurokracyę tak żywo obchodzących. Episkopat prawosławny z dawien dawna przestał działać samodzielnie i na

własnych polegać siłach; to też, jeżeli widzi niebezpieczeństwo, zagrażające Cerkwi, już innego ratunku nie zna, nie rozumie, jak ten, który dać może państwo, — na inną reformę zdobyć się nie może, jak biurokratyczną, administracyjną.

Przecież pomiędzy archierejami są ludzie do tego stopnia dziecinnie naiwni, że wierzą na seryo w odrodzenie Cerkwi przez powołanie spowiednika carskiego do św. Synodu<sup>1)</sup>, albo wyniesienie każdego archiereja do rangi metropolity. W rozprawach, które pomiędzy duchowieństwem wyższem miały miejsce przy sposobności prac przygotowawczych do przyszłego narodowego synodu, nikt jednym słowem nie poruszył kwestyi agrarnej, albo kwestyi wewnętrznego rozkładu, jaki toczy organizm ogromnego rosyjskiego państwa, kwestyi przewrotów społecznych, które masy ciemnego i biednego ludu ruskiego pędzą w objęcia politycznego i religijnego nihilizmu.

64. Możemy tedy powiedzieć stanowczo, bez obawy, aby nam kto mógł kłamać, że w ciężkiej, przełomowej chwili, przez którą obecnie Rosya przechodzi, kler biały tj. kler niższy wprawdzie się podnosi, wyrabia, zaprawia do wolności i życia, ale mimo tych wszystkich, jak najlepszych, chęci i żywotnych sił, łatwo zejść może na bezdroża, bo brak mu ludzi nauki, brak teologów i kanonistów wy-

---

<sup>1)</sup> Konstanty Samarski (Cerk. Wied., 1906, n. 11, str. 580—581).

trawnych ... brak mu głowy. Na czele jego nie mogą stanąć biskupi, bo skutkiem nieuniknionym serwilizmu, do którego z podziwienia godną wytrwałością i konsekwencyą Synod Petersburski ich doprowadził — było powolne ich zamarcie, skamienienie tak, że dziś hierarchia rуска, to ciało bez duszy, to trup.

Przez to bynajmniej nie chcemy powiedzieć, że żaden z archirejów prawosławnych nie zasługuje na szacunek, albo uznanie, ale to tylko, że pomiędzy nimi będziemy daremnie szukać ludzi poświęcenia, ofiary, odwagi, którzyby za zasady przez się reprezentowane, gotowi byli poświęcić wszystko. Takich ludzi pomiędzy nimi niema.

65. Owczarnia prawosławna i jej pasterze, to dwie rzeczy różne, obce sobie, owszem poczęści sobie wrogie. Stąd, jeżeli prędzej czy później rewolucya weźmie w Rosyi górę (co mimo pesymistycznych relacji dziennikarskich nie wydaje się nam ani tak łatwem, ani tak blizkiem), to z Cerkwią prawosławną będzie źle, bardzo źle. Dla zażegnania katastrofy, trzebaby było przedewszystkiem usunąć antagonizm istniejący między jednym i drugim duchowieństwem, zaspokoić pretensye kleru niższego, oczywiście o ile są uzasadnione.

Ale czy ono się tem zadowoli? Czy zgodzą się na to laicy, którzy, zachęcani przykładem kościołów protestanckich, mają także swoje pretensye? Zapewnie nie. A, jeżeliby dla wyratowania Cerkwi z najbliższego niebez-

pieczeństwa, chciano wszystkie te pretensye zaspokoić, to lekarstwo byłoby gorszem od choroby.

66. Smutny stan! Żeby przynajmniej ludzie dobrej woli, których w Cerkwi nie brak, wiedzieli na pewno, dokąd się zwrócić, koło jakiego sztandaru się gromadzić? — to po burzy odrodzićby się mogło wszystko, ale właśnie tego im najwięcej brak. Cerkiew nie zna człowieka, któryby potrafił głos swój wznieść ponad rozpętane żywioły ludzkich namiętności, i w Imię Boże wskazać drogę do ojczyzny nadprzyrodzonej, — któryby silną a wprawną ręką, stosując się do potrzeb chwili, łodzią chrześcijańskiego Kościoła potrafił sterować pomiędzy piętrzącemi się zewsząd niebezpieczeństwami i bronić praw najświętszych zarówno jednostek jak i całych społeczeństw.

Takiego my katolicy mamy; takiego Cerkiew niezna. Kieruje nią, ale nie jeden — kieruje nią wielu, a każdy na swój sposób, każdy według formuły przez się wymyślonej. Okręt biedny już tonie, a oni się spierają o order i tytuły.

67. Oby Cerkiew prawosławna czempredzej zrozumiała, czego jej biednej niedostaje! Oby czempredzej otrząsała się z upakarzającego jarzma, w którym ją trzyma p a t r y a r c h a ś w i e c k i, jak powiada Meńszykow, mając na myśli smutnej pamięci Oberprokuratora Synodu Pobiedonoszcwa! Oby czempredzej dał jej Pan Bóg pasterzy według Serca Swojego,

k którzyby umieli goić jej rany, napełniać życiem, prowadzić do wiecznych przeznaczeń! Oby czemprowadzej zrozumiał naród ruski, że zbawienie dać im nie mogą kościoły, ale Kościół Chrystusowy, którego fundamentem jest święty Piotr i Papież jego następcą. W tym Kościele jednym, powszechnym, apostołskim znaleźć może Cerkiew lekarstwa na wszystkie swe choroby. W nim pewność zwycięstwa, w nim tryumf nad przedstawicielami kultury *sui generis*, — kultury bez Boga, mającej zająć miejsce tej, jaką światu dał Chrystus, — w nim tryumf nad ciemnością, nad siłą brutalną, nad ludźmi, którzy, mogąc wznieść się i stać podobnymi do Aniołów, stali się z własnej woli i własnego wyboru, podobnymi do ... zwierząt nierozumnych, jako jedno z nich, im równe, owszem od nich gorsze i nieszczęśliwsze<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Wybornyje episkopy (Cerk. ob. ż. 1906, n. 48, str. 1573—1575). O motywach peremjeszczeniu russkich episkopow z katedry na katedry (ibid. n. 51, str. 1677—1681). Preswiterjamstwo i episkopy (ibid. 1907, n. 3, p. 74—76). O pastyrstwie (Wiek 1907, n. 2, p. 13), gdzie autor artykułu nazywa biskupów „czynownikami tresowanymi“. Dobronrawów, „Izbranie episkopow“ Petersburg 1907.





# TREŚĆ.

|  |    |
|--|----|
| Przedmowa . . . . .  | 6  |
| I. Pogląd historyczny na rozwój życia zakonnego w Rosyi. — Monastery w dawnej Cerkwi. — Upadek ich w XVIII wieku. — Rozkwit w XIX wieku. — Obecna ich statystyka . . . . .                       | 10 |
| II. Stanowisko społeczne i wpływ moralny monasterów prawosławnych . . . . .  | 16 |
| Bogactwa monasterów. — Monopol godności cerkiewnych. — Praktyka greckiego kościoła. — Reakcja w Rosyi . . . . .  | 16 |
| III. Zdanie prasy rosyjskiej o mnichach prawosławnych . . . . .  | 22 |
| Krytyka życia prawosławnych mnichów. — Krytyka ich wpływu na wychowanie młodzieży duchownej. — Radykalne głosy reformy. — Nieudane próby obrony . . . . .  | 22 |
| IV. Kler wyższy czyli episkopat w prawosławnej cerkwi ruskiej . . . . .  | 34 |
| Ogólna jego charakterystyka. — Episkopat jest wrogiem postępu — podporą despotyzmu — obcym dla swych owieczek — obcym dla kleru niższego. — Przenoszenie biskupów z miejsca na miejsce . . . . . | 34 |
| V. W łonie Cerkwi ruskiej kryje się schizma . . . . .  | 46 |
| Stan krytyczny. — Niezadowolenie z episkopatu. — Napaści na duchowieństwo  |    |



|   |     |
|---|-----|
| czarne. — Partya ludowa domaga się reform: — 1. Ze względu na oswobodzenie hierarchii z pod wpływu władzy świeckiej; 2. na wybór biskupów przez kler biały i lud; — 3. na rozszerzenie biernego prawa wyboru na całe duchowieństwo; — 4. na sposób, w jaki ten wybór ma się wykonywać; 5. na nowy podział eparchii i zaprowadzenie biskupów powiatowych. — Głosy tym reformom przeciwne . . . . . | 46. |
| VI. Duchowieństwo wyższe o reformie Cerkwi Decentralizacya zarządu. — Pomnożenie stopni hierarchicznych. — Nowy podział eparchii. — Biskupi chórowi. — Głosy postępowe. — Głosy za utrzymaniem centralizacyi . . . . .  | 63  |
| VII. W łonie komisji synodalnej . . . . .   | 76. |
| Kwestya metropolitalnych kościołów. — Kanoniści: Berdnikow, Suworow, Zaozerski, Sokołow, Głubokowski, Protopop Budkiewicz. — Kwestya Koadjutorów i wogóle biskupów . . . . .  | 76  |
| VIII. Co gotuje przyszłość? . . . . .   | 84  |



Powaga i zadanie  
rodziny chrześcijańskiej.

*Ko. Karolyn Dąbrowski  
a. m. C.*



KS. ANTONI ZAREMBA.

---

# POWAGA I ZADANIE

## RODZINY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.



POZNAŃ.

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

1912.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

„Rodzina, to kolebka społeczeństwa. Przy ognisku domowym przygotowują się losy państw“.

(Encykl. Sapientiae christianae, 10. I. 7890.)

## **I. Z dziejów rodziny w świecie niechrześcijańskim.**

Rodzina nie jest wynalazkiem ludzkim, ale dziełem Bożem. Bóg sam był jej twórcą, świadkiem, kapłanem wśród raju rozkoszy. Bóg stworzył ród ludzki z różnicą płci; bezpośrednim aktem swej woli stworzył też podstawinę rodziny — małżeństwo. I postanowił Adamowi dać pomoc jemu podobną, z kości jego utworzył niewiastę i przywiódł ją do Adama, a ten uznał ją jako „kość z kości swoich i ciało z ciała swego“. Tej pierwszej parze pobłogosławił Bóg, mówiąc: Roście i mnożcie się i zaludniajcie ziemię (Gen. I, 27, II, 18). W tem ustanowieniu małżeństwa są zarazem wytknięte główne jego cechy: jedność — bo jedną niewiastę połączył Bóg z jednym mężczyzną, nierozzerwalność — bo czytamy: „Przeto opuści człowiek ojca swego i matkę a przyłączy się do żony swej i będą dwoje

w jednym ciele“ (Gen. II, 23), wreszcie świętość — bo temu związkowi dał Bóg swe błogosławieństwo.

Lecz w miarę, jak w sumieniach ludzkich zacierały się prawdy pierwotnego objawienia, jak znikła wiara w jednego Boga i obyczaje się rozluźniały i małżeństwo ulegało skażeniu. A skoro istota i powaga małżeństwa szła w poniewierkę, upadało i upadło wreszcie życie rodzinne.

Według Ksiąg rodzaju pierwszy Lamech, idący z rodu Kaina, pojął dwie żony, Adę i Sellę. Zmysłowość wzmagająca się zżymała się na zapory, jakie jej stawiała jedność i nierozdzielność małżeństwa, aż wreszcie je przełamała.

Przyjęły się wielożeństwo i rozwód.

Religia pogańska uprawniała to spaczenie myśli pierwotnej o istocie rodziny, a zwyczaje i prawa udzielały mu swojej sankcyi; nie dziw więc, że przed Chrystusem spotykamy wielożeństwo na całym Wschodzie, w Europie u wielu, a rozwody u wszystkich ludów. W starym Rzymie co prawda była poligamia zabroniona. Caius: Inst. I. pisze: „Neque eadem duobus nupta esse potest, neque idem duas uxores habere“ (ani żonie nie wolno mieć dwóch mężów, ani mężowi dwóch żon); za przekroczenie tego zakazu karano mężczyznę infamią i wygnaniem, a kobietę śmiercią. Za to rozwody były dozwolone i tak dalece się rozpowszechniły, że je brano za przedmiot satyry.



Naród żydowski, jako stróż objawienia, winien był zachować nieskazitelnie pierwotną ideę małżeństwa. Tymczasem i tu obyczaje się szybko psuły. Wprawdzie jednożeństwo przeważało u izraelitów, atoli obok niego widzimy wielożeństwo, jeżeli nie wyraźnie prawnie dozwolone, to przynajmniej cierpiane. (Abraham jedną tylko miał żonę Sarę, obok niej nałożnicę Hagar; lecz Jakób już dwie żony [Lię i Rachel] oprócz dwóch nałożnic.) Tylko dla arcykapłana było jednożeństwo obowiązkiem. Atoli Mojżesz przez wzgląd na zatwardziałość serc ludu swego pozwolił dawać listy rozwodne (*libellus repudii*), ale wtenczas tylko, jeżeli żona nie znajdzie łaski w oczach męża dla jakiegoś *pluğa stwa*“ (Deutr. XXIV).

Idea małżeństwa została zatem nie tylko w całym świecie pogańskim, ale i w żydowskim zeszpecona. Skoro podwalainę rodziny tak podminowano, jakże musiało wyglądać życie rodzinne! Prawdziwa miłość w rodzinie była rzadkością. W końcu uważano małżeństwo — kobietę — jako *malum necessarium*, zło konieczne. (Forbiger: *Hellas und Rom*. IV. 14, 33). Rzekłbym, że nie było ni ojców, ni dzieci, ni małżonków! Rodzina, życie rodzinne — oto jedna z najśłabszych stron czasów przed Chrystusem, a później tam zawsze i wszędzie, gdzie nauka Zbawiciela swój wpływ na serce i czyny ludzkie utraciła. Przypatrzmy się jeno położeniu, stanowisku

poszczególnych członków rodziny niechrześcijańskiej, pogańskiej.

Ojciec rodziny panuje jako król, a panuje absolutnie. Król i sędzia w swym domu, nie zna granic swej władzy, chyba pewne sympatyje do tego lub owego członka rodziny, lub obawę przed opinią publiczną. A prawo było tak strasznie jednostronne, że mężczyźnie pozwalało żonę niewierną bez wyroku sądowego zabić, podczas gdy kobieta wobec wiaromnego męża — była bezbronna. Mąż miał zupełną wolność. „Mógł, pisze św. Hieronim, w publicznych domach i u niewolnic przebywać, jakoby wysokość zewnętrznego stanowiska grzech uniewinniała, grzech, który u każdego człowieka polega na spaceniu woli“ (Opera, tom I. str. 455). Dzieci i żona były niejako niewolnikami, zwłaszcza u Rzymian, gdzie niewolnicy także należeli do rodziny, i gdzie właśnie ta władza nad niewolnikami wpływała zgubnie na stanowisko kobiety i dzieci. Życie ich należało do ojca. Czy zaś ojciec swe dzieci wychowywał i jak je wychowywał, mało się oto troszczono. Mąż był do tego stopnia panem pracy i małżeńskich przysług żony, że ją nawet mógł wynajmować. Działo się to nietylko w Rzymie, ale i w Sparcie, gdzie mąż stary, napłodziwszy dzieci z żoną, oddawał ją, młodą jeszcze, przyjacielowi, aby i ten je z nią płodził. W Rzymie młodszy Katon drugą swą żonę Marcyę — pierwszą Atylię wygnał był dla jej rozwioz-

łości — przez formalny kontrakt wynajął retorowi Hortenzyuszowi.

Podług prawa rzymskiego ojcu wobec dziecka swego wszystko uchodziło. Skoro pan niewolnika raz sprzedał, stracił wszelkie doń prawo. Dziecko swoje natomiast mógł ojciec, skoro po pierwszej i drugiej sprzedaży doń wolne wróciło, sprzedać po raz trzeci; dopiero wtenczas stracił doń prawo na zawsze. — Ojciec często też nie znał granic w karaniu dzieci. Aby ocalić honor rodziny, zabijał córę, synów, nawet i żonę, skoro się zniesławili, oddawali wyuzdaniu lub pijaństwu. Oto próbka czułości rodzicielskiej przed przyjściem Chrystusa Pana: Przyprawiają do Manliusza, konsula i głównodowodzącego wojskami rzymskimi, jego syna. „Syn twój, mówią do ojca, nie trzymał się porządku w szeregach wojska na polu bitwy, uniesiony porywczością młodzieńczą rzucił się na nieprzyjaciela, nie bacząc na niebezpieczeństwo i śmierć“. A ojciec odpowiada zimno, bez łzy w oku: I licitor, i ad palum. „Idź liktorze, na pal z nim“.

Oto odpowiedź, na jaką się zdobyło czułe serce rodzica — rodzica, któremu dziecko podlega aż do swej pełnoletności, jeśli się ojcu spodoba, syna nią obdarzyć! A jeżeli ojciec nie zechce tego uczynić, jakim będzie los dziecka? Będzie ono małoletniem, pod twarłą opieką aż do lat trzydziestu, czterdziestu, a może i dłużej — może przez całe życie swoje. Ale nie w tem dziwnego: toć dziecko nie ma

prawa do życia, dopóty ojciec mu go nie przyzna. Zaledwie się dziecię urodzi, ojciec ogląda je, czy silne; może jest słabowite, może kaleka. — W tym razie dziecię musi umierać. Zabijanie, podrzucanie dzieci, gorsze jeszcze zbrodnie Arystoteles nawet uważa za uczynki słuszne.

Lecz przed jakim trybunałem, mogą się takie dzieci nieszczęśliwe upominać o prawa swe i o prawa natury? Trybunały syna zawsze potępia, bo prawo oddało ojcu zupełną nad nim władzę! Może się uda pod opiekę religii, tej zwykłej pocieszycielki w nieszczęściu i niedoli? Ale ta religia jeszcze surowsza! Oto wróżbita babiloński przychodzi, wyrzywa dziecię z rąk matki i rzuca je w paszczę molocha — na spalenie! Prócz Egipcyan, Słowian i Germanów, tylko żydzi życie dziecka cenią. U żydów dziecko to prawdziwa przez Boga bezpośrednio stworzona i rodzicom w pieczę dana świętość, nasienie Boże, z którego ojciec i matka w wiernem spełnianiu obowiązku swego, Bogu szlachetną roślinę, drzewo rajske wychować mieli (Mal. 2, 15).

A w jakim położeniu znajdowały się kobiety?

Porwanie było w małżeństwie prawem powszechnem, legalnem, idealnem, boskiem. W epoce bohaterskiej Grecyi Herkulesy i Tezeusze porywali kobiety przez się wybrane za żony. W Sparcie upoważniało prawo młodzież do wykradania, w nocy, na chybił-trafił,

dziewcząt, zgromadzonych w ciemnem miejscu. Często rywale walczą o małżonkę niby o zdobywcę jaką, przyrównywani przez poetów do byków. Nikt kobiety o zdanie nie pyta, nie rządzi ona sercem i losem swoim, nikt nie zdobywa jej miłości poświęceniem, szacunkiem, czcią, ani ona tego żąda. Córkę wydaje ojciec za męża jak mu się podoba. Oddana, sprzedana albo porwana przyjmuje haniebną niewolę, ulega jej, bo niższość moralna nie pozwala jej nawet odczuć wstydu.

Zostawszy żoną, kobieta nie przestaje być niewolnicą. Pożyczają jej sobie, dozorują i zamieniają jakoby sprzęt jaki lub bydło. W Egipcie, gdzie cywilizacya stała na najwyższym w owe czasy poziomie, kobieta była mniej poniewierana, ale i tam dźwigała obowiązki małżeńskie, nie odbierając należnego szacunku. Prawda, w Atenach Aspazye obcują z poetami, filozofami i najznakomitszymi obywatelami swego czasu, biorąc udział w życiu umysłowem, politycznem i społecznem, ale to nie żony, to zalotnice, hetery; ich pozorna świetność — sromota, a w parze z odznaczeniem idzie i pogarda. Kobieta rzymska jest skazana na wieczną małoletność. Krępowana pod względem rozporządzania własnym majątkiem, jest także ograniczona w swej działalności, w stanowisku cywilnem i społecznem. Wszędzie i zawsze jest niewolnicą mężczyzny, igraszką jego zachceń, ofiarą jego przymusu, narzędziem rozkoszy. Schańbiona kazirodz-

twem, rozwodem, prostytutką religijną i prawną, sprzedażą, kobieta pogańska poniża się dalej zamiłowaniem zbytku i zmysłowością. Rozpustą zdwoiła ciężar swych kajdan! Rozpasanie jej dostarczyło Arystofanesowi wątku do komedyi, wzbudziło nawet mniemanie, że albo kobieta nie ma duszy, albo że jej zapożyczyła od najszkodliwszych zwierząt. Czyż to nie szczyt poniżenia? Pomiędzy ranami toczącymi jak trąd istotę kobiety, najbrzydszemi poligamia i rozwód.

Nawet poligamia patryarchalna, najłagodniejsza ze wszystkich, unieszczęśliwia kobietę. Agara opuszcza namiot Abrahama, uchodząc przed zazdrością Sary. Pokorą i uległością zaledwie zdołała uzyskać opiekę dla dziecka, mającego przyjść na świat. Później ponownie budzi się zazdrość Sary, i Abraham wypędza Agarę z jej synem Ismaelem. I Agara odchodzi z synem, tuła się na pustyni bez kropli wody dla spragnionego dziecka, płacze układając je pod drzewem i odwraca oczy, aby nie widzieć jego pasowania się z śmiercią. Agar samotna, pochylona nad wyschłym dzbanem, opłakująca wraz z synem niesprawiedliwość Sary, oto obraz kobiety, żyjącej w poligamii, ale obraz to mniej przerażający od innych. Czemże on jest w porównaniu z krwawemi dramatami, ponuremi scenami haremów wschodnich, w których zemsta i nienawiść panuje, trucizną lub stryczkiem się posługując?

Ten stan niewolniczy panował nietylko



pod gorącym niebem południa, ale i wśród lodów północy, nawet i w lasach germańskich. Choć Tacyt wychwala czystość i wstydlivość Germanów, to i oni znali poligamię i nałożnictwo. Po bitwie przyprowadzono wodzowi zdobyte na podbitym narodzie branki, mówiąc doń: Te kobiety należą do ciebie, możesz ich używać i nadużywać, sprzedać, zniszczyć, kazać spalić na twym pogrzebie. — Do poligamii równocześnie przyłączyła się plaga niemniej szkaradna, poligamia kolejna, to jest rozwód, i to z krzywdą dla kobiety. Państwo sankcyonowało rozwody. Otworem stało pole używania bez miary rozkoszy zmysłowych tam, gdzie poligamia równoczesna była zakazaną prawnie. Rozwody były na porządku dziennym. U Rzymian około r. 220 po Chr. zastał pewien konsul w Rzymie samym 3000 procesów o przeniewierstwo małżeńskie. Satyryk Juvenalis tak pisze: „Zaledwie twarz Bibuli poczęła tracić swą czerć i świeżość, zęby białość, oczy ogień żywość, aliści mąż staje przed nią i mówi: Idź sobie, bo zbyt często nos ucierasz!“

Nawet u żydów Mojżesz pozwolił na rozwód, ale wtenczas tylko, jeżeli „żona nie znajdzie łaski w oczach męża dla jakiego plugastwa“, co późniejsi prawnicy, zwłaszcza Rabbi Hillel, tak wykładali, że do porzucenia żony lada powód wystarcza n. p., gdy nie jest biegłą w sztuce kucharskiej!

Jakaż pogarda i rozczarowanie, jakież



okrucieństwo wobec wrażliwego serca kobiety! Dokąd pójdzie, gdy mąż zmienny i płochy przerzuca się w coraz to inne miłości, jak podróźny z kraju w kraj, gdy jej zabiera godność i honor? Dokąd się uda, opuszczając rodzinę utworzoną przez siebie, gdy wiek już jej nie pozwala na stworzenie nowej rodziny? A dzieci jej gdzież się podzieją, co się z niemi stanie? Czyż ją zmuszą, aby jej dziatki, jej własna krew, niewdzięcznie zapomniaty poświęceń matczynych, gdy je w bólach rodziła, gdy jeszcze były w kolebce, albo by z przykładu ojcowskiego czerpały nienawiść i pogardę dla niej, dla swej matki? Czy ją zniewolą do patrzenia, jak jej tron inna sobie przywłaszczy, jak jej ognisko w poniewierkę pójdzie?

Nie dziw, że przy takiej niepewności kobiety się rozpasaly w lubieżności, że przeżyły w końcu mężczyzn, zatraciły wszelkie poczucie wstydu, a u Rzymian uwolniwszy się z pod wpływu męża, same się narzucały mężczyznom. Skarży się filozof Seneka na to rozpasanie: „Jak mogłaby się kobieta zarumienić z powodu rozwodu, odkąd damy wysokie lat nie liczą podług liczby konsulów, lecz podług liczby mężów, odkąd bierze się rozwód, aby wychodzić za mąż, a za mąż wychodzi, aby się rozwieść“.

## II. Zasługi chrześcijaństwa wobec rodziny.

### § 1. Równouprawnienie kobiety.

Zepsucie było ogólne, dobrze myślący pragnęli naprawy, lecz daremnie spodziewali się zbawienia od ludzi, aż w końcu uwierzyli, że chyba bóstwo jakieś ludzkość zbawić może! I oto przychodzi Zbawiciel — Bóg, cudotwórca z Nazaretu. I słuchają Go wszyscy zasmuceni i cierpiący, a On głosi szczęście wszystkim, bogaczom i ubogim, wolnym i niewolnikom. Głoszą, On i Jego Kościół, równość wszystkich. I ten Zbawca, który przyszedł naprawić, co się było popsowało, skierował swe Boskie oko ku rodzinie, tej kołysce społeczeństwa, i wrócił kobiecie, żonie i matce stanowisko przez Stwórcę jej naznaczone. Chrystus i Jego Kościół uczynił i rodzaj żeński wolnym, szlachetnym i szczęśliwym. Kobieta odtąd już nie uchodzi za stworzenie podrzędne, niższe od mężczyzny. Mężczyzna i kobieta są sobie równi. Z tej samej gliny stworzeni są oboje na obraz i podobieństwo Boże, dla obojga Chrystus się narodził i umarł, oboje staną na sądzie, aby się przed Bogiem usprawiedliwić, każde z uczynków swoich. Na zarzut, że przez kobietę grzech przyszedł na świat, odpowiada Kościół: ale z jej nasieniem przyszło na świat zbawienie. Najpiękniejsza z dziewic doznała łaski zostania matką Zbawiciela. Na zarzut słabości kobiety, odpowiada Kościół, że słabość jej tylko istnieje co do ciała, ale dusza jej tę

samą ma tężyznę co dusza mężczyzny. Oto św. Paweł przebiega świat znany naówczas i w Areopagu ateńskim i w Rzymie głosi: W Chrystusie nie ma kobiety ani mężczyzny, jest tylko równość chrześcijańska. Myśmy wszyscy dziećmi Boga. Przez tę ideę „dzieci Boga“ podpieczętowano godność osobistą ludzi — w szczególności równość kobiety: Wszyscy jesteście dziećmi Boga przez wiarę w Jezusa Chrystusa; nie ma tam już ani żyda ani poga-nina, niewolnika ani wolnego, mężczyzny ni kobiety. Wy wszyscy jesteście jedno w Chry-stusie (Św. Paweł do Galatów 3, 26, 28).

Odtąd ogólnem powołaniem, najszczytniej-szem kobiety jako i mężczyzny — stać się człowiekiem doskonałym, doskonałym chrze-ścijaninem. „Kobieta“, mówi Klemens Aleksandryjski, „ma tę samą co mężczyzna naturę, tę samą cnotę“ (Stromata II, 8, 63). A Maksym z Turynu powiada: „Przed Bogiem, w osią-gnięciu zbawienia, nie ma różnicy między męż-czyzną i kobietą“ (Hom. 15). Biskup Spalding twierdzi dlatego słusznie w swej pracy „Die Frau“: „Najpierwszym celem naszego wy-chowania nie jest wychować szlachetną żonę, dobrą matkę, również nie polega ten cel na tem, aby wychować szlachetnych małżonków i troskliwych ojców. Nie, ideał wychowania polega w ludzkiej doskonałości; starać się trzeba o zupełną i doskonałą męskość i o zu-pełną i doskonałą kobiecość“.

Skoro kobieta zasadniczo równoupraw-

niona z mężczyzną, natenczas jest panią swej woli, i wybiera męża wedle swej woli. Nie można jej zmuszać, aby przeciw skłonności serca za mąż wychodziła. Żaden wzgląd zewnętrzny, tylko miłość prawdziwa ma odtąd wedle myśli Kościoła małżeństwa chrześcijan kojarzyć. Małżeństwo nie jest już handlem albo sprawą zmysłowości, lecz jest przez Kościół pobłogosławionym związkiem dusz i ciał, na chwałę Bożą i na zbawienie dusz. Atoli obok równouprawnienia kobiety, pozostaje jej obowiązek podporządkowania się mężowi. Kobieta jest mężowi poddana, ale nie jego niewolnicą. Dziś może żona, choćby mąż jej kochać nie miał, od niego żądać uznania tych samych praw, które wobec niej posiada. To zrównanie obowiązku z prawem sięga tak daleko, że w poszczególnych wypadkach trudno orzec, co jest prawem, a co obowiązkiem. Prawda, mąż jest głową rodziny, głową kobiety, żony; a ona jest wedle Pisma św. „ciało z ciała jego, kość z kości jego“. Dla tego ma być jemu poddana i posłuszną, ale nie jako niewolnica, lecz jako „pomoc jemu podobna“, jako towarzyszką. Nadto posłuszeństwo kobiety nie ma być bez godności. Kobieta służy mężczyźnie kochając go, jest jego uzupełnieniem. „Jest ona“, pisze biskup Asteryusz z Amazyi w 4. wieku „częścią twego jestestwa, twoją pomocnicą, twoją pociechą w trudach tego życia; ona cię pielęgnuje w chorobie, ona cię pociesza w boleści; ona

jest aniołem stróżem twego ogniska, zastępczynią twych praw; ona dzieli z tobą cierpienia i wesele.

Ona podtrzymuje twoje bogactwo, skoro je posiadasz, jesteś ubogim, ona umie ciągnąć korzyści z najdrobniejszej rzeczy, ona opiera się odważnie i z umiejętnością wszelkiemu złemu. Przez węzeł, który z tobą zadzierzga, ponosi ciężar wychowania dzieci; skoro twoje szczęście niknie, usuwasz się przygnębiony od ludzi, źli przyjaciele opuszczają cię, odbiegają cię nawet niewolnicy, żona tylko twoja pozostaje przy tobie jakoby członek chorego ciała twego, jako służebnica męża, przy twych boleściach i otacza cię pieczołowitością, jakiej potrzebujesz. Ona osusza twe łzy, opatruje rany twoje, ona towarzyszy ci do niewoli“.

Kościół przekształcił tę niewolnicę w królową. Ukazał w Piśmie św., poczynawszy od księgi rodzaju aż do listów św. Pawła, miejsca, zalecające dzieciom uszanowanie dla matki: „Czcij ojca twego i matkę swoją, abyś był długowiecznym na ziemi“. Księga rodzaju nie robi różnicy między uszanowaniem dla ojca i matki, temu podwójnemu uszanowaniu obiecuje równą nagrodę, a dzieciom, któreby były rodziców lub im złorzeczył, równą grozi karą. „Oko, które urąga matce swojej, niech wyklują krucy od potoków; niech je wyjedzą orlęta“ (Prov. 30, 17). „Przekleństwo macierzyńskie wywraca fundamenty“ (Eccl. 3, 11). Pewnego

razu św. Augustyn tłumaczył te przerażające słowa, pokazując dwoje dzieci, dotkniętych wstrząśnieniami nerwowymi i strasznymi konwulsjami od czasu przeklęcia przez własną matkę. „Dzieci“, woła Kościół przez usta swych nauczycieli, „niech matka wasza ma zawsze miejsce osobne, honorowe, przy ognisku domowem, przy stole, wszędzie. Niech nikt się tak dalece nie wywyższa, aby śmiał zająć miejsce tej królowy, która dlatego tylko nazywa się waszą matką, aby ta nazwa dodawała uroku jej władzy i powadze“.

Kościół nie ograniczył się na tych naukach. Stworzył trwałe instytucje, będące żywym kazaniem, przypominającym szacunek, należny władzy macierzyńskiej. Pierwszą z tych instytucji jest stan dziewiczy. Dziewictwo, toć to stan, powie ktoś, przeciwny macierzyństwu; jak on je mógł podnieść? — Podniósł je, wzbuđając więcej szacunku dla kobiety. Jest namiętność straszna, pożerająca, niezwyęczona, podobna do dzikiego konia, unoszącego jeźdźca przez skały i przepaście i niesłuchającego głosu, który woła: „Zatrzymaj się!“ Ta namiętność istnieje w każdym stworzeniu, ale w naturach inteligentnych podnieca się przez uszlachetnienie wyobraźni, przez udelikatnienie uczuć, przez tysiączne wrażenia umysłowe.

Namiętność ta unosi swe ofiary od pierwszych nieomal dni młodości, a nawet i w późnej starości, nieraz na zastygłej w objęciach śmierci twarzy swe ślady okropne pozostawia.

stawia, świadcząca o życiu przez ogień nieczysty strawionem. W starożytności nawet kapłaństwo nie miało odwagi oprzeć się tej gorączce, temu szałowi; i żydzi nie żądali celibatu od pokolenia Aaronowego. Lecz „czego przez 4000 lat nie mogli dokazać najsilniejsi, najświętsi, bohaterowie i bogowie, ja to uczynię! Przysięgam, będę dziewicą“. Te słowa zuchwałe wprawiły w podziw świat cały. Wobec tej nowej westalki, nie nagradzanej, nie znaglonej, ale wolnej, wobec dziewicy czystej myślą i zmysłami, świat cały pochylił swe głowy! A ten szacunek dla chrześcijańskiej dziewicy spadł na całą jej pleć, a przedewszystkiem wzmocnił powagę macierzyńską; czystość dziewicza wpłynęła na czystość macierzyńską i podnosząc poziom obyczajów, podniosła poziom szacunku.

O, jakież głębokie zrobiła ta nowa nauka na kobiecie, na jej sercu wrażenie! Uczucia, tysiące lat gnębione, tłumione, nagle odżywają i wytryskują. Kobieta zrehabilitowana przez Kościół błyszczy godnością, jakiej jej chrześcijaństwo udzieliło. Dziś nie ma cnoty, którąby kobieta nie błyszczała, heroizmu, do któregoby się nie wzniosła.

A już św. Jan Chryzostom przyznaje, „że kobiety przewyższają mężczyzn w miłości ku Zbawicielowi, w czystości, w współczuciu nad nieszczęśliwymi. Tą samą odznaczają się gorliwością w przysparzaniu nowych wyznawców nauki Jezusa, co w wyznawaniu jej odważnie



w prześladowaniach, one pocieszają więźniów, opatrują rany męczenników, modlą się za nimi, same z odwagą idą na męczarnie z okiem w niebo zwróconem". Bohaterki: Justyna, Eufemia, Agata, Fabiola, Agnieszka, one uczą nas podziwiać wielkość kobiety.

Nieraz, gdy mężczyźni już znowu się skłaniali ku pogaństwu, żona im wiarę ocaliła, a jej zapal, jej zaparcie się siebie samej, jej działalność miłosierna zwracała wzrok mężczyzn znowu ku niebu.

Odtąd kobieta czynną razem z mężczyzną w równej mierze na najrozmaitszych polach pracy ku podźwignięciu ludzkości.

Ileż to dobrego zdziałały zakony żeńskie na polu wychowania dzieci, ratowania zaniedbanych i upadłych, pielęgnowania chorych. Rossbach w dziele: „Die bürgerliche Gesellschaft" słusznie dla tego powiada: „Kto nam odsłoni te tysiączne trudności i walki, biedy i nędze, łzy i sromotę, wzgardę i naigrania, które trzeba było przezwyciężyć, nim te zakłady powstały? Kto nam ukaże te wewnętrzne walki, które toczyły się dla wzniosłej idei boleści, te przykrości, które trzeba było znosić, aby te zakłady podtrzymać? Kto nam pokaże boleść skutkiem nieudanych prób, łzy za przegraną w ubieganiu się o zbawienie nieszczęśliwych i podupadłych; kto zdoła godnie opiewać te niewiast tysiące, które dla świętej idei życie narażały, przedwcześnie do grobu

stały? I teraz przeciwstawmy im upadłe niewiasty, prostytutki: Kto nie uzna tu potęgi chrześcijaństwa? Czy inny obraz nam bardziej może uprzytomnić różnicę wielkiej zbawiennej siły cywilizacji chrześcijańskiej a pogańskiej, rozkładowej i niszczącej? Czy tu nie tryumfuje duch świata, szukający szczęścia w rozpasaniu zmysłowem, a tam duch Boży, który w śmierci za cierpiących współbraci szczęścia szuka?“

## § 2. Nierozzerwalność węzła małżeńskiego.

Nie wystarczało jednakowoż podnieść tylko kobietę z jej upadku. Skoro miał Kościół dla niej stać się aniołem-zbawcą, potrzeba było ustalić jej stanowisko, tak, że nikt już jej z tych wyżyn stracić nie zdoła. Widzieliśmy, jak zgubnie oddziaływała poligamia i rozwód na serce, na charakter kobiety, i dla tego Kościół, chcąc kobiecie zapewnić stanowisko jej od Stwórcy naznaczone, musiał przedewszystkiem podkreślić połączenie jednego mężczyzny z jedną kobietą i to na zawsze. Konieczna była cecha małżeństwa: jedność i nierozzerwalność. Skoro bowiem kobieta nie była w naturalny sposób podwyższoną i bronioną — nie można jej było dźwignąć moralnie! I to miało wartość niesłychaną. Bez tego warunku, byłoby równouprawnienie kobiety z mężczyzną — czczą gadaniną!

Chrystus Pan, jako reformator ludzkości, musiał koniecznie i tę sprawę załatwić. I oto: Kiedy Go faryzeusze pytali, czy godzi się mężowi żonę opuścić, odwołując się na Mojżesza, który pozwalał rozwodu, odpowiada Jezus, że Mojżesz zezwolił na listy rozwodne dla zatwardziałości serca ludu izraelskiego, aby w ten sposób raczej powstrzymać niż ułatwić rozwody, lecz że od początku tak nie było i odtąd tak nie będzie, czyli że w nowym Zakonie tak dla wielożeństwa jak dla rozwodu miejsca już nie będzie. Małżeństwo chrześcijańskie nosi na sobie cechy godności i nierozzerwalności. Bóg wymagał jedności małżeństwa, stwarzając jednego mężczyznę i jedną niewiastę. I Chrystus Pan na to wskazuje, że pierwotne małżeństwo było jednością (Mat. 19, 4). Małżeństwo, któremu brak tej cechy, nie może być żadną miarą prawdziwą wspólnością życia, boć w takim małżeństwie wojny domowe nieomal nieuniknione. Nadto jest małżeństwo nierozzerwalne, to znaczy, że małżonkowie mogą nowe zawrzeć małżeństwo tylko w razie śmierci jednej strony. Chrystus zakazał surowo małżonkom za życia jednej części w nowe wchodzić związki. „A ja wam powiadam, że wszelki, który opuści żonę swoją, czyni, że cudzołoży, i ktoby opuszczoną pojął, cudzołoży” (Mat. 5, 32). „Ktobykolwiek opuścił żonę swą, a pojąłby inną, cudzołóstwa się dopuszcza przeciwko niej. A jeśliby żona opuściła męża swego, a szłaby za drugiego, cudzołoży” (Marek 10,

11 i 12). Bo, powiada dalej Zbawiciel: „Opuści człowiek ojca i matkę, i złączy się ze żoną swoją, i będą dwoje w jednym ciele. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co Bóg tedy złączył, człowiek niechaj nie rozłącza“ (Mat. 19, 5 i 6). „A tym, którzy są w małżeństwie rozkazuję nie ja, ale Pan: iżby żona od męża nie odchodziła“ (I. Kor. 7, 10).

I tej jedności i nierozzerwalności małżeństwa bronił Kościół i broni po dziś dzień z nieubłaganą stanowczością. I dla tego też papieże, jako następcy Jezusa, nie pozwalali nigdy małżonkom na zawieranie nowego małżeństwa za życia jednej strony; woleli znosić najcięższe straty, niż zezwolić na rozwód w znaczeniu niechrześcijańskim. Oto Filip I, król francuski, obrzydza sobie Bertę, aby zaślubić Bertradę — Kościół staje nieustraszony w obronie pokrzywdzonej Berty. Filip August oddała Ingebergę, aby się połączyć z Agnieszką z Meranu. Moźni, żądni rozkoszy cesarze, miecz nawet na szalę rzucają, aby ją pochylić ku stronie swojej, lecz Kościół nie ustępuje. Henryk VIII, król angielski, chce się rozejść z Katarzyną Kastyliąską, aby poślubić damę dworu Annę Boleyn. Prosi Klemensa VII o zezwolenie na ten krok. Ale papież nieubłagany, mimo że król wiele zasług położył około Kościoła. Nawet gdy król jął katolików w Anglii prześladować zaciekle i naukę Lutra krzewić, papież pozostał nieugięty, i nie mógł inaczej uczynić, gdyż nie wolno mu poświęcać prawa Boskiego. Bo

„małżeństwo to pierścień żelazny“, wedle słów św. Augustyna. „Dom można znowu sprzedać, skoro się nie podoba, ale kobiety, którą mężczyzna raz zaślubił, nie można zwrócić“ (św. Jan Chryzostom). Prędzej może dusza od ciała się odłączyć, niż mąż od żony lub żona od męża. Aż do skończenia świata Kościół Boży co do małżeństwa głosić będzie: jeden z jedną, na wieki!

I dla czegoż to Kościół katolicki tak broni nierozzerwalności małżeństwa?

Bo nierozzerwalności małżeństwa chrześcijańskiego domaga się cel jego. A cel ten polega na tem, aby trwały zadzierzgnąć stosunek w interesie małżonków i w interesie dzieci. Gdyby małżeństwo nie miało tej cechy nierozzerwalności, nie sprawdzałyby się nigdy piękne słowa Tertuliana o małżeństwie chrześcijańskim: „Kto zdoła, mówi on, przedstawić szczęście małżeństwa, zawartego w obliczu Kościoła, wzmocnionego ofiarą i podpieczętowanego błogosławieństwem, oznajmionego przez Aniołów, zatwierdzonego przez Ojca niebieskiego? Jak słodkie jarzmo łączy dwoje wiernych w jednej nadziei, jednej przysiędze wierności, jednolitym sposobie życia, jednym nabożeństwem! Oboje są braćmi, oboje w jednej służbie; nie ma rozdziału ani co do duszy, ani co do ciała, natomiast dwoje są w jednym ciele. A gdzie jedno ciało, tam też jeden duch. Razem modlą się, razem klękają, razem poszczą, jedno naucza drugie, upomina, znosi cierpliwie. Ra-

zem są w kościele, razem u stołu Pańskiego, razem w trwodze, prześladowaniu, rozrywce. Żadno nie oszukuje drugiego, nie unikają się. Swobodnie może żona chorych nawiedzać, ubogich wspomagać. Jałmużna u nich bez obciążania, ofiary bez zabobonnej obawy, codzienne spełnianie obowiązków bez przeszkody, nie ma u nich tajemnic, skrycie uczynionego znaku krzyża św., nie ma lękliwej modlitwy dziękczynnej, błogosławieństwa niemego. Głośno we dwoje śpiewają psalmy i hymny i współzawodniczą w tem, kto najlepiej śpiewa swemu Panu. Chrystus patrzy i słyszy ich i chętnie mówi: Pokój wam" (Ad uxorem 2, 8).

Tylko nierozzerwalność małżeństwa zapewnia uporządkowane pożycie małżonkom. Musi się człowiek cały, duszą i ciałem, oddać drugiej stronie, bo inaczej nie będzie szczęścia, szczęścia prawdziwego, niezamąconego podejrzeniem, bo inaczej małżonkowie nie dojdą do celu. A cel najbliższy, to wzajemne pomaganie sobie do osiągnięcia celu moralnego, Boga najwyższego, pośrednio i celu doczesnego.

Nierozzerwalność małżeństwa leży także w szczególnym interesie kobiety. Toć kobieta w małżeństwo wnosi w ofierze — wszystko co ma, dziewiczość, zdrowie, piękność, siłę życiową. Prawda że i mężczyzna wnosi wiele ofiar, ale fizycznie, materyalnie i duchowo — jest życie kobiety ofiarniejsze. Posłuchajmy,

co mówi o tem panna Kamila Theiner, którą odznaczył Ojciec św. audyencyą i z którą rozmawiał o kwestyi kobiecej. „Sądzę, że nie zbłądzę, twierdząc, że skoro Kościół katolicki zasadę nierozzerwalności małżeństwa chrześcijańskiego wyniósł do wysokości artykułu wiary, to nasamprzód się to stało w interesie kobiety. Można myśleć o różnicy płci, jak się komu podoba, ale tyle pewna, że w ostatnich lat dziesiątkach kobieta przerwała zapory, które zdawały się być wzniesione na wieki, że bezwątpienia na tej drodze dalej się posunie; czy to atoli szczęściem będzie dla kobiety i ludzkości, o tem niech inni rozstrzygają. Trzeba liczyć się z faktami; mimo to pozostaje różnica między mężczyzną a kobietą. I żona oswobodzona pozostaje kobietą i to dla tego, że już przez przyrodę inaczej wyposażona, aniżeli mężczyzna. Nie zapominajmy, że w miłości kobieta jest tą stroną, która ponosi skutki miłości. Dla mężczyzny w ogólności kończy się cała sprawa właściwie aktem płciowym; kobieta ponosi skutki; dla tego w pierwszej linii małżeństwo -- nierozzerwalne — jest silną tarczą płci słabszej przed możliwemi nadużyciami silniejszej, męskiej. Skoro przyjmniemy rozwód cywilny, który jest zależnym od woli jednostek, jestem przekonana, że kobieta będzie tą stroną, na której się skrupi (Zeche zahlen). Mamy na to przykład w Ameryce. Liczba kobiet opuszczonych jest tam zastraszająco wielką. Nędza, zwłaszcza między dziećmi,



potworna, oto skutek panujących tam stosunków“.

Wreszcie miał Kościół, walczący przeciw rozwodowi, nie tylko dobro kobiety na myśli, ale także i dobro dzieci. On wie, że młodzieńkiemu umysłowi potrzeba i serca całej miłości i poświęcenia się ojca, przedewszystkiem zaś wie, że dziecka nie wychowa dobrze surowość i wzdarda macochy, lecz serce i powaga matki! Kościół dołożył właśnie największych starań i gorliwości, aby ukształtować serce matki i zapewnić jej powagę królewską.

Matka! Ta nazwa jest jakby pierwszym oddechem serca i w miarę jak się starzejemy, jej urok odnawia i pomnaża się z dniem każdym. Chrześcijanin może zapomnieć wszystko, może i Boga, być głuchym na Jego słowa, obojętnym na wszystko, lecz jest nazwa, której nigdy nie zapomni, która zawsze go wzruszy, a to nazwa jego matki. Nawet złoczyńcy, skazani na ciężkie roboty, nawet ludzie spodleni występkami, pozbawieni honoru, skamieniali na wszelkie szlachetniejsze uczucia, oddani najwstrętniejszym nałogom, nawet tacy uczuwają żywsze serca uderzenia, nawet oko tych nieszczęśliwych zwilży się łzami na wspomnienie matki. To wspomnienie przetrwa wszystko.

Dlaczego to do nazwy matki przywiązana u ludów chrześcijańskich taka siła, taki wdzięk niewysłowiony? Dla tego, że ona tu jest wyrazem najtkliwszego uczucia i uosobnienia miłości. Od dnia, w którym bicie macierzyń-

skiego serca przesyła do serca dziecka wraz z pierwszą kroplą krwi pierwsze drgnienie życiowe, poczyną ono bić dla niej i kochać ją. I ta miłość się wzmacnia, łączy dziecko z matką; a miłość ta jest wierna, nawet śmiercią nieprzerwana, przychodząca łązy żalu wylewać nad grobem dziecka, tak jak niegdyś jego kolebkę otaczała staraniem i pieśczętą. Miłość to bezinteresowna, nie miłująca dziecka za wdzięki ciała, ani za wdzięk rozumu, gotowa oddać wszystko, oddać siebie samą i poświęcić dla najniedołężniejszego zarówno jak i najgenialniejszego dziecka. Patrząc na to arcydzieło poświęcenia i miłości, będące pośrednikiem między ojcem rozkazującym a dzieckiem słuchającym, patrząc na tego anioła domowego ogniska, dodającego do siły rozkazującej słodyczy i uroku, przez co ułatwia trudności posłuszeństwa, patrząc na to cudo, noszące miano matki chrześcijańskiej, serce nasze odnajduje tu tak doskonale naturę z całym jej urokiem i z jej prawami! Tylko w rodzinie, której nie grozi rozbicie, gdzie zapewniona trwałość małżeńskiego węzła, może mieć miejsce jedynie naturalne i w ogólności jedynie do celu prowadzące wychowanie. Toć wychowanie dzieci wymaga dłuższego czasu, zupełnego oddania się, ofiar i jednolitej powagi ojca, złączonej z miłością matki, dobrego przykładu.

Mamki, opiekunowie, wychowawcy, ochronki, szkoły freblowskie, pensjonaty — toć to wszystko tylko niedostateczne surogaty, które

coprawda lepsze są od zupełnego opuszczenia dzieci, atoli nigdy rodziny nie zastępują. Zmiana wychowawców nigdy niedobra dla dzieci, a więc i zamiana ojców i matek na ojczyńców i macochy, zwłaszcza wtenczas, gdy ci przybranym dzieciom nie okazują tyle i takiej miłości jak własnym.

Nawet prawie wszyscy nieprzychylnie dla Kościoła usposobieni uczeni uznają małżeństwo w naszym pojmowaniu za najodpowiedniejsze dla dobrego dziatek wychowania.

I tak pisze prof. Dr. Benedict:

„Dziecko potrzebuje bez porównania dłuższego czasu, niż młode każdego innego zwierzęcia, zanim może stanąć do walki o byt. Ku temu potrzebuje przede wszystkim pieczołowitości matki i ojca, a więc pieczy rodzinnej. Uporządkowane życie rodzinne jest zatem najpewniejszą podwaliną pomyślności społeczeństwa i prawie tylko małżeństwo (my mówimy: tylko małżeństwo, i to w każdym razie najpewniej) daje rękojmię takiego życia rodzinnego. Kto n. p. ma sposobność widzieć u prostego ludu, jak matki z niewymownem poświęceniem się o chore, nienormalne troszczą dzieci, ten powie: bez tej pieczy byłoby podtrzymanie społeczeństwa ludzkiego niemożliwem“.

### § 3. Uświęcenie pożycia wspólnego.

Aby małżeństwu oddać wydartą godność, nie wystarcza według naszej nauki, bronić go

jako naturalnego związku dozwolonego. Wie Chrystus Pan dobrze, że naturalny porządek rzeczy wszędzie w niebezpieczeństwie tam, gdzie namiętności ludzkie mają wolne pole, i że to najczęściej się zdarza w dziedzinie, w której najniebezpieczniejsze ze wszystkich popędów tak łatwo się rozbudzają i szaleją. Historya dostarcza na to pod dostatkiem dowodów. Konieczny był środek, któryby małżeństwo w życiu i praktyce na stopie naturalnej czystości utrzymał. Małżeństwo ma z prawa natury charakter religijny. Poczęcie dziecka taka tajemnica otacza, że bezpośrednie współdziałanie Boga przypuszczać musimy.

A skoro poważnie nad tem człowiek się zastanowi, takie uczucie ogarnąć nim musi, jak Mojżesza na widok krzaku gorejącego, jak Eliasza, kiedy uczuł przejście Boga mimo siebie. I słusznie, bo w żadnej okoliczności życia ludzkiego, słabość nasza więcej się nie uwydatnia, jak tu, w żadnej prawie czynności człowieka rozum i przytomność ludzka tak łatwo się nie zagłusza jak tu; a jednak w tej chwili właśnie Bóg bliżej stawia człowieka, swoją mocą go otacza i współdziała w tworzeniu. Tylko z drżeniem, z modlitwą powinni małżonkowie się spotykać, jak Tobiasz i Sara. A jednak Pliniusz młodszy ma wiele słuszności, skoro twierdzi, że w tej sprawie człowiek rozwioźlejszy, dzikszy, nienasyceńszy jest od zwierza. Jeżeli kiedykolwiek to tu on potrzebuje pomocy i opieki Boga, aby nie uleść po-

tędze własnej słabości. Bez wyższego wpływu religii, małżeństwo stałoby się areną najdzikszych namiętności, w najlepszym razie czynnością może zewnętrzną, o której nie możnaby powiedzieć, w czym leży różnica pomiędzy nią a dowolnym, bezprawnym związkiem. Nadto jest małżeństwo nie tylko związkiem ciał, ale i związkiem dusz i jako takie potrzebuje Boskiego błogosławieństwa. Różność płci i usposobień, ważne zadanie moralne, które małżonkowie wobec siebie i dzieci na siebie przyjmują, ciężar życia z tysiącznymi doświadczeniami i krzyżami, które wspólnie dźwigać muszą, nie tylko czynią wyższą pomoc dla siebie pożądaną, ale konieczną, skoro mają swe zadanie wypełnić wedle woli Boga.

I Zbawiciel nasz zajął się rzeczywiście sprawą uświęcenia małżeństwa. Swą bytnością na godach w Kanie Galilejskiej uświęcił Jezus małżeństwo, uświęcił, czyniąc pierwszy swój cud, przemieniając wodę we wino. Od onego dnia poczęły małżeństwa mieć większą cechę świętości. Lecz nie dosyć na tem, Zbawiciel nadał małżeństwu godność i moc, jakiej nawet nigdy nie miało, bo je wyniósł do godności Sakramentu, zlał na małżonków obfite potoki łaski uświęcającej, posilkującej i sakramentalnej, łaski, która wedle Soboru trydenckiego (sesya 24), naturalną miłość udoskonala, nierozdzielną jedność utwierdza, małżonków zaś uświęca i umacnia. Nadając małżeństwu godność Sakramentu, nie zmie-

nił jednak Jezus natury umowy małżeńskiej, stanowiącej podstawę społeczności nierozdzielnej, ale zmienił tylko porządek rzeczy przez to, że podniósł małżeństwo do porządku nadprzyrodzonego. Że małżeństwo chrześcijan Sakramentem, wypowiada jasno św. Paweł: „Małżeństwo Sakrament to wielki, a ja wam mówię w Chrystusie i w Kościele“ (Efez. 5, 32).

Małżeństwo jest symbolem połączenia Chrystusa Pana z Kościołem. Obszerniej rozwodzi się nad tem św. Paweł w tym samym liście: „Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako Panu. Albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła. On zbawicielem ciała jego. Ale jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkim. Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół, i samego siebie wydał zań. Mężowie mają miłować żony swoje jako swoje ciało. Kto miłuje żonę swoją, samego siebie miłuje“.

A więc mąż jest głową żony, jako Chrystus Pan głową Kościoła (Efez. 5, 23—28). A jako Jezusowi Kościół poddany, któremu On nigdy nieustającej miłości dochowuje, tak mają też żony być podane mężom, i mężowie mają żony swe kochać miłością czystą, a nigdy nieustającą.

To też od samego początku Kościoła głoszą Ojcowie Kościoła, że małżeństwo chrześcijan jest Sakramentem. Św. Augustyn powiada: „Wyższość małżeństwa u ludu Bożego



polega na świętości Sakramentu“. „Jako Sakrament Chrztu św. pozostaje i w odszczepien-  
cach, tak pozostaje Sakrament małżeństwa  
i w tych małżonkach, którzy się rozejdą lub  
nowe zawierają związki“. — Już Tertulian  
(† 240) wylicza małżeństwo w liczbie Sakra-  
mentów św., obok Sakramentu Chrztu, Bierz-  
mowania i Najśw. Sakramentu. Nadto wypo-  
wiadają to jasno sobory, mianowicie florencki,  
w dekrete „Pro Armenis“, a trydencki wprost  
mówi: „Si quis dixerit matrimonium non esse  
vere et proprie unum ex septem legis evange-  
licae sacramentis a Christo domino institutum,  
sed ab hominibus in ecclesia inventum, neque  
gratiam conferre: anathema sit. Sess. 24.  
Can. I. (Jeżeliby ktoś twierdził, że małżeństwo  
nie jest rzeczywiście i prawdziwie jednym ze  
siedmiu Sakramentów Nowego Zakonu przez  
Chrystusa Pana ustanowionych, lecz przez  
ludzi w Kościele wynalezioną tylko rzeczą,  
albo że Sakrament małżeństwa nie udziela  
łaski: niech będzie potępion.) Tak też wierzył  
przez dziewiętnaście wieków i wierzy dotąd  
świat chrześcijański, wyjąwszy niektóre sekty,  
z których jedne potępiały wręcz małżeństwo  
(Gnostycy, Manichejczycy), a inne jak prote-  
stantyzm, zeń cechę sakramentalną zdarły.  
A przecież Leon XIII, stawając w obronie mał-  
żeństwa chrześcijańskiego, tak powiada w swej  
bulli: Arcanum divinae sapientiae z 10. I. 1890:  
„Ponieważ małżeństwo od Boga pochodzi i od  
początku cień pewien i obraz połączenia Chry-



stusa z Kościołem, a więc wcielenia Słowa przedwiecznego, miało, dla tego przynależy się małżeństwu święty, religijny charakter i to nie z powodów zewnętrznych, lecz dla pochodzenia i istoty jego. Nie ma go małżeństwo od ludzi, lecz ma go z natury swej“.

„Dla tego mogli nasi poprzednicy, papieże Inocenty III i Honoryusz III słusznie twierdzić, że u wiernych i niewiernych uważa się małżeństwo jako Sakrament, tj. jako coś świętego“.

Powiedzieliśmy wyżej, że Chrystus Pan małżeństwo, przez poligamię i rozwód zszpeczone, oczyścił, umocnił i do godności Sakramentu wyniósł, czyniąc je źródłem łaski dla wiernych, którzy działaniu tejże łaski żadnej nie stawiają zapory. Stąd wypływa, że jeżeli chrześcijanie ważnie zawierają małżeństwo, to jest zgodnie z prawem przyrodzonym, Boskiem i kościelnem, stają się tem samem uczestnikami Sakramentu. W zasadzie odróżniamy wprawdzie Sakrament od umowy małżeńskiej, ale w praktyce nie jest on czemś oddzielnem, czemś dodatkowem; owszem, w tej samej chwili, w której dokonywa się umowa małżeńska, spełnia się również Sakrament, a umowa sama jest zarazem Sakramentem, tak, że bez umowy małżeńskiej nie ma Sakramentu, i przeciwnie bez Sakramentu nie ma między chrześcijanami małżeństwa. Podług orzeczenia soboru trydenckiego u małżonków chrześcijańskich pojawia się łaska uświęcająca, a nadto otrzymują

osobne łaski, potrzebne do wypełniania obowiązków swego stanu. A te szczególne łaski są:

1) Wzajemna miłość małżonków się uświeca.

2. Małżonkowie otrzymują siłę do dotrzymywania sobie wzajemnie niezachwianej wierności i do znoszenia cierpliwie wielu utrapień stanu małżeńskiego.

3. Otrzymują konieczną łaskę, aby swe dzieci dobrze wychowali na pocziwych chrześcijan.

Co za wzniosła, niebotyczna zmiana, co za potężna różnica pomiędzy małżeństwem bez Kościoła, a małżeństwem chrześcijańskim. Czemże jest małżeństwo bez Kościoła? Pospolitą umową, postawioną w jednym rzędzie z umowami handlowemi, których przedmiotem jest pole lub trzoda. Kwestya przecież posagów, spadków, testamentów, narodzin lub śmierci, ugoda doczesna, oto treść kontraktów cywilnych, zawieranych zwykle wobec przedstawiciela państwa.

Czemże jest małżeństwo po za Kościołem? To małżonek poniżony, zbezczeszczony lub pospolity! — Czem przeciwnie jest małżeństwo zawarte na łonie Kościoła? To małżonek szanowany, podwyższony, błogosławiony, to małżonek król, kapłan. Podobno, gdy Kłodoweusz pochylił swą dumną głowę Sygambra i uczcił to, co palił przedtem, cudowny gołąb przyniósł olej poświęcony, którym biskup z Rheims namaścił czoło monarchy, jak niegdyś Samuel

czoło Saula. Po Kłodoweuszu wszyscy jego następcy odbierali w świątyni Rheims — wraz z świętem pomazaniem — błogosławieństwo na królewską godność: to była ceremonia koronacyi. Przez nią panujący występował wobec ludu jako posłannik nieba, z aureolą wyższą, przed którą wszystkie czoła powinny się były schylić. — Król był poświęcony!

Kościół uczynił dla małżonka to, co uczynił dla królów. Ma dla niego więcej niż poświęcenie, ma Sakrament. Zanim go wyśle do ogniska domowego w charakterze głowy i króla rodziny, przyprowadza go do stopni ołtarza i błogosławi w ślubnej obrączce jego berło i koronę, tam łącząc ręce małżonków, mówi do nowej Sary: Niech powaga tego Tobiasza będzie dla ciebie świętszą, niż była powaga starożytnych patryarchów Abrahama, Izaaka i Jakóba. — Dla starożytności ugoda małżeńska miała bez wątpienia znaczenie szlachetne i wielkie, było to oddanie się wzajemne dwóch osób wolnych i rozumnych, było to oznajmienie, że nowe ognisko roznieci się w narodzie. O ileż wyżej dziś stoi ugoda męża i oblubienicy; to już nie czysta przyrodzona umowa, to Sakrament. Kościół jest tylko świadkiem. A kapłanem kto? To małżonkowie! Kapłanka - - to żona!

### III. Zabiegi o rozbięcie rodziny.

W obecnej chwili, w wieku zaciętej walki o byt, w wieku życia przyspieszonego, gorączkowego, pod wpływem zgubnych teoryj eko-

onomiczno-społecznych, ciągłego włączenia się ludzi po świecie — za chlebem i używaniem, rozdziera się rodzina. A duch przewrotu, duch tego świata, nowoczesny poganizm przyłożył już siekiere do podwalin życia rodzinnego; dziś żąda się coraz to głośniejszemu i natarczywiejszemu, bez upamiętania, zupełnego równouprawnienia kobiety z mężczyzną, wyzwolenia jej z pod tegoż wpływu — emancypacyi i — wolnej miłości! Warto się nad temi prądami zastanowić, je zgłębić i ocenić, aby z nimi mózdz korzystną staczać walkę, tem bardziej, że te idee przewrotu dziś już zakorzeniły się w ludzkich głowach i sercach i nieraz usłyszymy choć nieudolną obronę tych idei nawet z ust młodzieńszaków.

### § 1. E m a n c y p a c y a   k o b i e t.

Skąd się wzięła? Kobiecie obecnie źle się dzieje, i niezdrowe panują stosunki; objawia się to w tem, że kobiety publicznie się zgromadzają, na zebraniach występują, aby obradować nad usunięciem niedomagań i polepszeniem swej doli.

W jakich ruch objawia się formach i dążeniach? Z zamętu wyłania się kwestya emancypacyi kobiety.

Na pierwszym miejscu stawiamy tu emancypację kobiet proletaryacką, bo najdalej idące stawia postulaty. Ruch ten zupełnie chce zmienić dotychczasowe położenie kobiety społeczne i ekonomiczne. Żąda on zu-

pełnego równouprawnienia i zrównania kobiety z mężczyzną w życiu prywatnem i publicznem, w rodzinie jak i w ustroju państwowym, jak na każdym innem polu tak w szczególności na polu ekonomicznem. Ten prąd przedstawia socjalna demokracja. Ponieważ zaś socjaliści chętnie proletaryuszami się mienią — choć nieraz ta nazwa wcale nie licuje z rzeczywistością — dla tego nazwano ten prąd — emancypacją kobiety proletaryacką.

Żądania tego kierunku są następujące:

1. Zupełne równouprawnienie polityczne kobiety z mężczyzną, to znaczy, kobiety mają mieć przystęp do wszystkich urzędów państwowych, wyższych i niższych, dalej czynne i bierne prawo wyborcze przy wszelkiego rodzaju wyborach, to samo prawo koalicji i zebrań co mężczyźni. Ponieważ zaś wykorzystanie tych praw wymaga wykształcenia szczególnego, w przyszłości ma państwo tak samo starać się o wykształcenie kobiet jak i mężczyzn. Dla tego żąda się dopuszczenia kobiety do szkół wszelkiego rodzaju i do nauczania w tychże szkołach.

2. Na polu zarobkowania ma się usunąć dotychczasową różnicę pomiędzy płcią żeńską a męską, tak że kobieta będzie mogła brać udział we wszystkich pracach i przedsiębiorstwach, które dotąd tylko mężczyznom były przystępne.

3. Dla tego ma być kobieta w pożyciu domowem i małżeńskiem prawnie i ekonomicz-

nie zupełnie niezależną od mężczyzny, ma ona odtąd nie być mężowi podporządkowaną, lecz ma zupełnie być swobodną. Wskutek tego odpada też obowiązek męża dbania o utrzymanie kobiety.

4. Małżeństwo swobodnie się zawiera i tak samo się zrywa.

Od tego kierunku znacznie odmiennym jest kierunek t. zw. emancypantek obywatelskich (Bürgerliche Frauenrechtlerinnen), które stawiają także postulat równouprawnienia politycznego dla kobiet (przypuszczanie do urzędów, prawo głosowania), ale stawiają ten postulat tylko dla kobiet „z wykształceniem i zasobnych“, podobnie jak liberalizm w czasie swego powstawania żądał politycznej i ekonomicznej wolności, ale tylko dla posiadających i wykształconych z burżuazji.

Żądają one również równouprawnienia na polu zarobkowym — dla tego równego wykształcenia kobiet i mężczyzn, a także emancypacji żony z pod powagi męża t. j. zniesienia wszystkich przywilejów męża w pożyciu domowym i małżeńskim. Ale nie zgadzają się z demokracją socjalną pod względem usunięcia państwa, także nie chcą oswobodzić ani zawarcia ani też rozwiązania małżeństwa z pod wpływu państwa.

Bardzo różnym od tych dwóch kierunków, które się zazwyczaj nazywa pod wspólną firmą: Emancypacją kobiet — jest kierunek, który większej zmiany w położeniu kobiety



żąda pod względem zarobkowym. Pragnie ten kierunek większej samodzielności dla kobiety na polu gospodarczem, produkcyi i handlu i tak zwanych zawodów wolnych, uczciwych. Samo się przez się rozumie, że i te prądy żądać muszą zmiany w wykształceniu kobiety.

Skoro przypatrzymy się żądaniom tych trzech kierunków choćby tylko pobieżnie, rozpoznamy, że w trzecim kierunku dla rodziny nie ma niebezpieczeństwa. Tem więcej mieści się w pierwszym i drugim, gdzie kobieta chce przełamać szranki przez Boga jej naznaczone.

Zastanówmy się nad tem, jakie jest właściwe powołanie kobiety.

Powiedzieliśmy już wyżej, mówiąc o godności kobiety i o najwyższem jej powołaniu, że ono polega na tem, aby osiągnęła cel najwyższy — moralny, to jest Boga. Jest to cel, który wszystkie kobiety osiągnąć mogą i powinny. W drugim rzędzie zaś naturalne zadanie kobiety polega na działalności w rodzinie, jako żony, matki. Z tego powodu już żydzi i wiele narodów pogańskich te dziewice szczęśliwemi nazywali, które wychodziły za mąż, i z których małżeństwa dzieci wyrastały. Że kobieta do macierzyństwa powołana, pokazuje już jej ustrój ciała. Nie dziw więc, że gdy kobiety w czasie rewolucyi francuskiej wtargnęły na zebranie przedstawicieli ludu i tu zupełnego równouprawnienia z mężczyznami żądały, jeden z przedstawicieli ludu tak do nich przemówił: „Nie nam mężczyznom, ale wam



dała przyroda piersi, abyście dzieci karmiły i wychowywały. Jak możecie żądać, żeby mężczyźni te same mieli obowiązki co wy?“ Kobieta z urodzenia przeznaczona na matkę. Prócz tego ma osobne dary duszy i serca ku temu; jest więcej uczuciowa niż mężczyzna, więcej miłościwa, dobrotliwa, łagodna i pobożna.

Kobieta dąży do tego, żeby działać w właściwej sobie atmosferze, a światem kobiety jest dom rodzinny. Jest cierpliwszą i wyrozumialszą od mężczyzny, znosi daleko łatwiej dolegliwości. Wszystkie te zdolności usposabiają kobietę bardzo dodatnio do wychowywania dzieci. Już w młodości, gdy chłopcy bawią się wspólnie i publicznie, dziewczynka przebywa najchętniej w domu z lalką, jakby się do powołania macierzyńskiego gotowała. Skoro dziewczę dorasta, myśli o małżeństwie. „Ku małżeństwu idą jej pragnienia“.

Naturalne powołanie kobiety, to działalność jej jako żony i matki. Ponieważ zaś dziś wskutek stosunków niekorzystnych kobieta nie zawsze może dojść do wykonywania swego naturalnego powołania i do zabezpieczenia sobie w ten sposób przyszłości, ma prawo szukania sobie innego odpowiedniego zajęcia. Zasługuje też na uwzględnienie, że wielu mężczyzn się nie żeni, ponieważ w obecnych czasach nie mogą utrzymać rodziny. Dziś więc musi się kobieta starać o utrzymanie o własnych siłach, bo znajduje się na stanowisku obrony koniecz-

nej. Żądanie zatem słuszne, aby jej otworzono nowe zawody, aby sobie mogła na chleb zapracować.

Atoli kobieta powinna się takim tylko poświęcać zawodom, do których ma uzdolnienie i które bez uszczerbku dla siebie i społeczeństwa wykonywać może. Uzdolnioną jest kobieta do każdego zawodu, który pokrewnym jest powołaniu jej naturalnemu jako matki. A więc może ona:

1. Wychowywać małe dzieci, tak chłopców jak i dziewczęta, boć kobieta musiałaby dzieci własne wychowywać do czasu, aż nie zaczną do szkoły uczęszczać.

2. Wychowywać starsze dziewczęta, ale z równoczesnem współdziałaniem mężczyzn, boć inaczej wychowanie dziewcząt będzie jednostronne.

3. Może być lekarką dla kobiet i dzieci, gdzie może znakomicie się zasłużyć.

4. Można ją zatrudniać przy wykonywaniu prac domowych. Zdatną jest kobieta dalej jako sprzedawczka, boć ma więcej uprzejmości niezbędnej, jako kasyerka i ksiązkowa, boć jest sumienną, i wreszcie jako telefonistka i telegrafistka.

Niezdolną jest kobieta:

1. Nieraz jako wychowawczyni starszych chłopców, wedle doświadczenia.

2. Jako kierowniczką względnie przełożoną przy urzędach, lub szkołach, gdzie głównie pracują mężczyźni. Boć dla mężczyzn jest

rzeczą niewłaściwą, słuchać kobiety, z drugiej zaś strony kobieta sama — ponieważ z natury jest niesamodzielną — podpory i prowadzenia potrzebuje. Skoro na siebie samą wskazana, okazuje się często w trudnem położeniu — w pełni całej swej słabości. Wprawdzie historia uczy, że niektóre kobiety, jak Marya Teresa, całemi krajami wzorowo rządziły, inne znowu, jak Judyta, pogromicielka Holofernesa, albo Dziewica orleańska, mężczyznę co do odwagi nawet przewyższały; ale takie kobiety z męskim charakterem stanowią wyjątki.

3. Niezdolną jest dalej kobieta do wszystkich zajęć wymagających wielkiego natężenia, jako z natury słabsza i szybko się męcząca. Ponieważ kobieta nie tak silna jak mężczyzna, dostaje po fabrykach płacę mniejszą.

4. Także polityczne urzędy, jak n. p. posłowanie, nie są dla kobiety. Najstarsza forma powagi politycznej leży w urzędach wodza i sędziego; z nich rozwinęła się władza administracyjna i prawodawcza. Jak mężczyźnie obrona ogniska domowego przynależy jako silniejszemu, dalej przedstawicielstwo rodziny pod względem prawnym, troska o byt materialny rodziny, rozstrzyganie w sprawach spornych, tak samo powierzono mu kierownictwo państwa. „Miecz ku obronie zamienia się na miecz sprawiedliwości urzędowej, z ojca rodziny staje się król“ (Gnauck-Kühne). „Władza wojskowa i władza sądownicza, są to dwie kolumny, na których spoczywa władza urzę-

dowa, dziś tak samo jak przed tysiącem lat. Skoro nie można powiedzieć, że rzemiosło wojenne kobietom zarówno jak mężczyznom przystoi, to nie można także twierdzić, że zawody urzędowe tylko samowolnie i samowładnie mężczyznom przyznano i obecnie się przyznaje. Wszelka władza urzędowa w końcu na tem polega, że rozkazuje uzbrojonym, a więc mężczyznom. Skoro zatem nie można kobiet powoływać na stanowiska urzędników i sędziów, natenczas nie można ich także czynić prawodawczyniami i posłami, a już najmniej w państwie parlamentarnem. (Paulsen, Ethik 2, 290.) Władza prawna i siła fizyczna muszą w ostatecznym razie iść w parze, jeżeli prawo nie ma być bezsilnem a siła nie ma się stać wybujałą i rozwiozłą. Także różnice duchowe płci stanowczo przeciw politycznemu rządzeniu kobiet przemawiają.

Nigdzie kobieta nie objawia tak mało zdolności, jak na polu prawodawstwa, sądownictwa i w sprawach administracyjnych; nie zdolna też ujarzmić i opanować mas siłą swego umysłu. Siły uniezależnienia się od wpływów płci i temperamentu, bezstronności, konsekwencji w dążeniu do celu, zimnej krwi i rozwagi trzeźwej w razie niepowodzenia, tych przymiotów potrzebnych właśnie koniecznie do panowania, zwykle nie posiada kobieta. Dla tego dążność jej do wykonywania funkcji sędziego, prawodawcy i administratora nie zasługuje na poparcie!

## § 2. Wolna miłość.

„Pomiędzy zadaniami kobiety na ziemi, pomiędzy celami, które, co prawda nie jako najwyższe dobro o wartości osoby i o zbawieniu duszy rozstrzygają, ale jako wielkie dobra kultury pełność stanowią i płodność życia tu na ziemi, małżeństwo i macierzyństwo stoją bezsprzecznie na pierwszym miejscu. Błąd służy prawdzie, apoteoza „małżeństwa i miłości“ ze strony bardzo wielu kobiet, potwierdza tradycyjne przekonanie ludzkości o tem, że naturalnem powołaniem kobiety, to zadanie płciowe“. (Mausbach. Stellung der Frau im Menschheitsleben. S. 39.)

Sama różnica płci wskazuje kobiecie tę drogę. Małżeństwo to naturalna forma do rozwinięcia w kobiecie organicznych, duchowych i sercowych zdolności, najprostszy, a jednak najdoskonalszy sposób jej współpracowania nad kulturą i uszlachetnieniem ludzkości. Jest ono już dla tego naturalnem, że jest jedynym sposobem utrzymania rodzaju ludzkiego. Lecz małżeństwo i macierzyństwo nie jest najwyższym celem kobiety, celem koniecznym. Inaczej jednakowoż zapatrują się dziś na to koła wrogie istniejącemu porządkowi społecznemu. Stawiają tezę: kobieta ma prawo i musi zaznać miłości — płciowej; dla tego żąda się — wolnej miłości.

I tak pisze Ellen Key w książce swej „O miłości i małżeństwie“: „Miłość, która z żarem zmysłowym wzrost siły duchowej

powoduje, jest samowładna, niezależna od form; przez spotęgowanie zasobów sił życiowych pary, przynosi ona korzyści i dziecku i społeczeństwu“. „I dla tego jest rzeczą niemożliwą naprzód rozstrzygnąć, czy wolna lub też uprawniona miłość, potargane czy stałe małżeństwo, dobrowolna bezdzietność, czy też obfitość dzieci moralnem jest czy też niemoralnem. Nie formy związku, ale skutki roztrzygają. Żądanie od małżonków, żeby po uznaniu wzajemnego rozdźwięku — pozostali razem, jest przymusem zabójczym; opiewana przez poetów, przez nowocześnie kobietę wymagana „wielka miłość“, jest tylko możliwą, gdzie zupełna panuje jedność pomiędzy zmysłami a duszą, rozkoszą i obowiązkiem“.

Kochający się, tak rozumują zwolennicy wolnej miłości, którzy się czują przeznaczonymi dla siebie a są dostatecznie dojrzałi, mogą się połączyć i bez formy małżeńskiej, skoro zawarciu małżeństwa napotyka na przeszkody, albo gdy oni sami sobie tej formy nie życzą. Co prawda powinna ich woła być skierowaną na dłuższe wspólne pożycie, ale ponieważ jedynie uprawnioną podstawą małżeństwa jest miłość osobista, dla tego musi jednostce przysługiwać prawo zerwania „małżeństwa“, skoro „miłość ogromna“, potęgująca życie, życiodajna, zniknęła. A cóż to za „miłość ogromna?“ Czy to miłość poświęcająca się dla umiłowanej osoby, miłość cierpliwa, cicha, to „uczucie erotyczne“, które może niezależnie



od woli człowieka przestać istnieć i ku innej zwrócić się osobie? Nie ma zatem człowiek obowiązku pozostania w małżeństwie, w którym czuje, że ginie, jak nie ma obowiązku, pozabawiania się życia dla bliźniego. Oto teorye — głoszone dziś po gazetach, w broszurach, na scenie — wszędzie. A zatem stoimy w przededniu małżeństw zawieranych na próbę!

Posłuchajmy co mówi Bebel o wolnej miłości, w swem dziele: *Die Frau*. „Kobieta socjalistyczna jest zupełnie niezależną społecznie i ekonomicznie, nie podlega uciskowi ani wyzyskowi, równouprawniona z mężczyzną, jest panią swego losu. W miłości jest tak wolną i nieskrępowaną jak mężczyzna. Oświadcza się lub pozwala, aby się o nią starano; wychodzi za mąż jedynie z miłości. Związek małżeński jest jedynie układem prywatnym bez wmięszania się urzędnika lub księdza, jak to było dawniej. Człowiek sam ma decydować o swych popędach, oczywiście jeżeli przez zaspokojenie ich nie wyrządzi nikomu krzywdy. A to zaspokojenie popędu płciowego jest tak samo rzeczą prywatną, osobistą, jak zaspokojenie każdego innego popędu przyrodzonego. Nikt nie potrzebuje z tego drugim zdawać sprawy i nikt nie ma prawa mieższania się. Jak jem, piję, śpię i ubieram się, to mnie tylko obchodzi, podobnież jest sprawą czysto osobistą mój stosunek z osobą płci odmienniej. Z chwilą, gdy między dwojgiem ludzi, którzy zawarli związek „małżeński“, następuje nie-



porozumienie, rozczarowanie lub nawet wstręt — „moralność“ nakazuje zerwanie takiego związku — który się stał nienaturalnym, a zatem niemoralnym. Że dzisiejsza forma małżeństwa coraz mniej odpowiada swemu przeznaczeniu, nie zaprzeczy żaden człowiek myślący, to też żądają swobody w miłości, o ile można swobody w zrywaniu zawartego związku bez zewnętrznej przeszkody nawet ludzie, którzy niezbyt są pochopni do żądania zmiany naszych stosunków społecznych“. Tu powołuje się Bebel na Bachofena, który w swem „Prawie macierzystem“ tak pisze: „Koniec rozwoju państwowego podobny jest do początku ludzkiego bytu. Pierwotna równość w końcu znowu powraca. Byt macierzysto-materyalny otwiera i zamyka bieg rzeczy ludzkich“. Socjalizm przytacza szczególnie Goethego, na którego „pływającej zmysłowości“ można podobno się najlepiej nauczyć, jak doskonałość ducha i płomień geniuszu zmysłowemi libacyami zasilać, odżywiać trzeba. (Stern. „Religion der Zukunft“.) Skoro się te zabiegi wszystkie widzi, które ludzkość mają rzucić w objęcia ognia „wielkiej miłości“, godzi się zawołać za O. Feliksem: „Dotąd widzieliśmy rehabilitację wszelkich podłości, rehabilitację ciała i kłamstwa, rehabilitację kradzieży i morderstwa, próbowano nawet rehabilitować szatana, brakło nam tylko rehabilitacji — wolnego związku i prostytutcy!“

Co powoduje tych szermierzy „wolnej mi-

łości“ do takiej wytrwałej walki, czy pragnienie szczęścia trwałego? Ale jakże może być w ich „małżeństwie“ szczęście, przecież szczęście stanowi niczem niezamącona pewność posiadania, a serca ich będą dręczone wątpliwościami, które po jednej stronie wzbudzą chwiejność i niezadowolenie, a po drugiej obawę i podejrzenie.

Skoro każdy związek będzie próbą, wykluczone zupełne oddanie się osoby; w próbie bowiem tkwi — możliwość rozejścia się. Ileż zawodów! Kobieta pragnęła prawdziwej miłości — a on zaspokojenia zmysłowego, „wielkiej miłości“! Taka miłość musi koniecznie poniżyć kobietę i jej stanowisko. Kobieta stanie się służebnicą, niewolnicą. Toć skutki połączenia płciowego w swej istocie są dla kobiety inne, aniżeli dla mężczyzny, są o wiele głębsze. Ona niesie piękność i czerstwość ciała w ofierze; wszystko, co w słowie „dziewiczość“ się mieści, postradała w mniejszej lub większej mierze przez małżeństwo i macierzyństwo. Mężczyzna zaś pozostaje w sile swej; urok, który wywiera na kobietę w niczem nie osłabiony. A przypuśćmy teraz wolny rozwód, czyż on nie rozbudzi u mężczyzny więcej chęci rozejścia się, skoro się żona podstarzeje i wdzięki jej przygasną? Znieśmy zapisy, pozwólmy na rozwód — a kobieta stanie się prostytutką! I sprawdzą się słowa Bebla, że „wtenczas zniknie owa głupia wstydlivość i śmieszne otaczanie się tajemnicą,

które zabrania mówić o sprawach płciowych otwarcie“. Prawda, zniknie wstydlivość, zniknie wstyd, a kobieta jak spartanka — oduczy się szybko rumienić, skoro się „ukształtują zupełnie inaczej i „naturalniej“ stosunki obojga płci“.

Wolna miłość stoi w skrajnem przeciwieństwie do celu małżeństwa. Bóg stworzył dwie płcie, posiadające zdolności płodzenia, ażeby ród ludzki się rozmnażał. Już stąd wynika, że zaspakajanie popędów płciowych, poza połączeniem obu płci moralnie jest naganne. Celem bowiem zdolności płodzenia jest rozmnażanie rodzaju ludzkiego. O ile więc ta zdolność przeciwko swej działa naturze, jest oczywistem nadużyciem. Stosunek obu płci nie może być zupełnie bezładny i dowolności ludzkiej pozostawiony. Jest owszem wymaganiem prawa przyrodzonego, aby rozmnażanie rodzaju ludzkiego ograniczało się na obręb małżeństwa, to jest trwałego połączenia mężczyzny z kobietą. To samo, że u wszystkich ludów spotykamy małżeństwo pod tą lub ową formą, stosunek płci na mocy pewnych określonych praw uregulowany, jest dowodem, że zachodzi zjawisko wprost w naturze ludzkiej ugruntowane, że zatem wolna miłość pozostaje z tą naturą w przeciwieństwie.

Dalej, sama godność człowieka wymaga, by związek płciowy posiadał trwałość. Człowiek we wszystkich sprawach powinien się kierować rozumem, nie ślepymi popędami. Na

to potrzeba, aby wszelkie czynności dokonywały się w pewnych obiektywnych, przez naturę wskazanych i łatwo rozpoznać dających się granicach. U człowieka popędy zmysłowe nie są tak jak u zwierząt regulowane instynktem. Zwierzę w instynktach swych ma naznaczoną przez przyrodę właściwą miarę w użyciu tego, co mu pożyteczne lub szkodliwe. U człowieka ślepy instynkt zastąpiony jest przez światło rozumu. Arystoteles wypowiada tylko prawdę czerpaną z doświadczenia, gdy mówi, że człowiek bez cnoty jest najdzikszym zwierzem, szczególnie pod względem nadużyć podniebienia i rozkoszy płciowej; najbardziej zwierzęcem ze wszystkich zwierząt (Polit. 1, 2).

Jeśli człowiek w życiu płciowym ma się kierować rozumem, musi uznawać pewne obiektywne prawa i granice, szczególnie dla tego, że popęd płciowy tak potężny w człowieku. Jedynie obiektywnie oznaczone granice mogą go ustrzedz od wszelkich w tym względzie zboczeń. A jakież to są granice? Pierwszą i najważniejszą z nich jest trwałość raz zawiązanego stosunku płciowego. Skoro brak w nim tej trwałości, ograniczenie popędu płciowego jest wprost niemożliwe.

Drugim zasadniczym powodem, przemawiającym za związkiem stałym małżeńskim, jest wzgląd na wychowanie dzieci. Jakże bowiem można dzieci dobrze wychować przy wolnej miłości? Kto je ma wychować?

Pod względem płci byłaby wolna miłość strasznie zgubną. Mężczyzna nie tyle by stracił co kobieta. Przypatrzmy się upadłym dziewczynom, prostytutkom. Czy one zaraz zaczęły frymarzyć swem ciałem? O, nie. One oddały się pierwszy raz, można prawie w każdym przypadku twierdzić, dla miłości. Oszukano biedaczkę. Rozchodzą się. Przychodzi pocieszyciel i ona spragniona szczęścia mu się oddaje. Lecz i ten po niedługim czasie ją opuszcza. I teraz zaczyna się cały szereg upadków, występków. Już przestała się rumienić, i dziś należy do wszystkich. Gdy „wolna miłość“ stanie się prawem powszechnem, czy będzie inaczej? Czy nie nastaną wtenczas czasy spartańskie, gdzie kobieta zatraci wszelką godność swoją i stanie się najohydniejszą niewolnicą? Nie, kobieta nowoczesna przy wolnej miłości stanie się występniejszą, bo gdy Spartanki chlubą było przynajmniej rodzenie wielu dzieci dla państwa, nowoczesna kobieta czuje wstręt do dzieci. „Skoro już dziś“, mówi Bebel, „inteligentne i energiczne kobiety nie mają zwykle ochoty do dawania życia znacznej ilości dzieci i spędzania najpiękniejszych lat w stanie błogosławionym, albo z dziećmi u piersi, to wstręt ten do licznych dzieci, który już dziś spotykamy u wielkiej części kobiet, prawdopodobnie raczej się wzmoże niż osłabnie!“

### § 3. Upaństwowienie wspólnego pożycia.

Czy istnieje program jaki na wspólne życie w przyszłej erze wolnej miłości? Ot demokracja socjalna go ustaliła. Już samo stanowisko ateistyczno-materyalistyczne socjalizmu nie daje się pogodzić z jednością i nierozzerwalnością małżeństwa. Jeżeli człowiek jedyny cel życia upatruje w używaniu doczesnem, jakże ma natenczas ulegać zasadzie jedności i nierozzerwalności małżeństwa, jakże ma się wiązać i krępować zobowiązaniem trudnem i przykrem do zniesienia? Wraz z epikurejskiem pojmowaniem życia upada małżeństwo, pojęte jako wyższy obowiązek moralny. Główną podstawą tego związku i jego nierozzerwalności — to wzgląd na wychowanie dzieci. Skoro ten wzgląd w społeczeństwie socjalistycznym upada, boć państwo przejmuje wychowywanie dzieci na siebie, to tem samem małżeństwo traci rację bytu. W programie gotajskim już napotykamy tezę socjalistyczną o poruczeniu wyłącznie państwu w y c h o w a n i a dzieci. Program erfurcki stawia za zasadę obowiązkowe uczęszczanie do szkół ludowych, bezpłatność nauki, środków naukowych i opieki w szkołach niższych, a także i wyższych zakładach. Posłuchajmy wreszcie alfy i omegi na polu demokracji socjalnej Bebla: „Każde dziecko jest pożądanym nabytkiem dla społeczeństwa jako przyczyniające się do utrwalenia jego bytu. Społeczeństwo ma zatem



obowiązek troszczenia się o tę nową istotę żyjącą. Naprzód rodząca i karmiąca matka jest przedmiotem jego troski. Wygodne pomieszkowanie, otoczenie przyjemne, wszelkie wogóle okoliczności towarzyszące macierzyństwu powinny być uwzględnione — i to przez państwo.

Zachowanie dziecka macierzystej piersi jak najdłużej, oto pierwsze zadanie społeczne. W dalszem wychowaniu powinny być dziecku dostarczane wszelkie środki umożliwiające duchowy i cielesny jego rozwój. W ten sposób wychowa się zdrowe, zahartowane i wytrwałe pokolenie. Odpowiednio do wysokiego stanu kultury społecznej szkoły i inne zakłady wychowawcze mają być zaopatrzone we wszelkie środki pomocnicze, które zarówno jak odzież i utrzymanie wszystkim wychowankom mają być dostępne bezpłatnie. Wychowanie i nauka dzieci obu płci będą jednakowe i wspólne. Rozdział wtedy dopiero nastąpi, gdy to przy odpowiednim stopniu fizycznego rozwoju wychowanków stanie się rzeczą konieczną. Taki system wychowawczy odpowiednio uregulowany ma znajdować zastosowanie aż do wieku, w którym społeczeństwo uzna wychowanków za dojrzałych. Obie płcie w ten sposób będą mogły i z wszelkich korzystać praw i wszelkim sprostają obowiązkowi społecznemu. Społeczeństwo może mieć pewność, że na tej drodze wychowa sobie dzielnych i użytecznych członków“.



Jest to jedno z tych marzeń, w które książka Bebla tak obfituje. Jak bardzo są one niemoralne, zbyteczna chyba dowodzić. Ale konsekwentne jest niewątpliwie to owładnięcie wychowania przez państwo. Jeśli socjalizm naprawdę chce stworzyć dla wszystkich równość warunków bytu, musi znieść główną nierówności przyczynę, tkwiącą w wychowaniu dzieci, a to jest tylko możliwe przez upaństwowienie wychowania. Oczywiście nie przeszkadzałoby to matkom troszczyć się o dzieci w pierwszych latach ich życia, ale zarówno matki jak i dzieci pozostawałyby pod bezpośrednią opieką państwa. Gdyby troska o dzieci rodzicom wyłącznie była pozostawiona, wynikłyby stąd nieodzownie różne nierówności: małżeństwo bezdzietne nie znajdowałoby żadnych przeszkód w wykonywaniu obowiązkowej pracy społecznej, małżeństwo licznem obarczone potomstwem znalazłoby się w nader trudnem położeniu. A zatem państwo musiałoby dostarczać środków dodatkowych na utrzymanie dzieci, odpowiednio do ich liczby. Wobec ustania wszelkiej o nie troski ze strony rodziców, traci znaczenie małżeństwo jako związek nierozzerwalny. Socjalizm zadaje w ten sposób cios śmiertelny rodzinie, której podstawą jest właśnie ścisła łączność i wzajemna zależność jej członków na gruncie tak moralnym jak ekonomicznym. Świadomość zawdzięczenia rodzicom nie tylko życia, lecz także jego warunków tem silniej wiąże dzieci

z rodzicami. Cóżby się stało z powagą rodzicielską, gdyby dzieci wiedziały, że państwu jedynie zawdzięczają swój byt materialny i moralny? Czyż przy takim systemie nie namnożyłoby się związków lekkomyślnych bez liku, pociągających za sobą ogromny zamęt we wszelkich stosunkach społecznych?

Już Marx na to zwraca uwagę, że nowoczesny wielki przemysł z znaczeniem, jakie wyznacza kobietom, młodzieży i dzieciom obojga płci po za sferą domowego życia, w zorganizowanej produkcji nową szerzy podwalinę ekonomiczną dla wyższej formy rodziny i stosunku obu płci. „Nierozsądkiem jest uważanie chrześcijańskiej formy rodziny albo pierwszej lepszej innej za absolutną“ (Kapitał I., 455).

Jak będzie wyglądała ta „wyższa forma“ rodziny socjalistycznej? Program erfurcki żąda zniesienia wszelkich ustaw, podporządkowujących kobietę w życiu publicznem i prywatnem mężczyźnie. Tem zabija się przynajmniej jedność w rodzinie, która wymaga jednej koniecznie głowy. A Bebel znosi wogóle małżeństwo.

„Małżeństwo“ socjalistyczne przedstawia się mniej więcej tak:

a) Kontrakt małżeński, umowa, pozostanie. Ale jako nie będzie już żadnej władzy duchownej ani też politycznej, lecz tylko gospodarcza, ekonomiczna, tak też ludzie małżeństwa zawierać będą nietylko w zupełnej niezależno-

ści od wszelkiej władzy religijnej i politycznej, lecz będą je mogli także zrywać.

b) Małżeństwo, jak każdy inny kontrakt oparty na wzajemnej umowie, można będzie każdego czasu rozwiązać. Małżeństwo, w którym wzajemna miłość z pewnej przyczyny zamarła, jest nienaturalne, a zatem niemoralne, naganne i powinno jako takie być zerwane.

c) Wedle Bebla nawet jednostronnie można zrywać małżeństwa, skoro po jednej stronie nie ma już przywiązania.

d) Podczas trwania małżeństwa mąż i żona są zupełnie równouprawnieni; mąż nie ma więcej praw od żony, ani też na odwrót. Jaki będzie ostateczny wynik? Obraz przyszłego szczęścia socjalistycznego, jakim ono rzeczywiście być musi, przedstawia nam Doellinger w swem dziele: „Heidentum und Judentum“ S. 681, gdzie mówi tak: „Z jednej strony doprowadziło podporządkowanie małżeństwa państwu i celom państwowym do takiego rozluźnienia i zniweczenia najświętszych związków, że tak samo mało można mówić w Sparcie o wierności małżeńskiej, jak o niewierności. Bezwątpienia Platon proponując wspólność kobiet i wychowanie państwowe żadnemu ojcu nie przynależnych już dzieci — od Sparty to przejął. Z drugiej strony musiało bezsensowe hartowanie dziewcząt, publiczne ich ćwiczenia gimnastyczne doprowadzić koniecznie do zupełnego zaniku poczucia kobiecości. Grecy pod tym względem nie mieli zbyt

surowych zapatrywań, a jednak wyuzdanie i nieprzyzwoitość spartańskich dziewcząt i kobiet nawet w nich wstręt wzbudzały.

#### IV. Zadanie rodziny.

##### § 1. Obowiązki wzajemne rodziców.

Jak powinno wyglądać życie rodzinne chrześcijańskie? Przypatrzmy się najpierw stosunkowi wzajemnemu męża do żony i ich obowiązkowi zobopólnym.

Małżonkowie stanowią odrębną wspólność, gdyż z mocy prawa przyrodzonego w związku swym trwały społeczny wiodą żywot. Z tak pojętego ich stosunku wysnuwają się same przez się wszystkie wzajemne ich obowiązki.

Mąż i żona są sobie nawzajem winni miłość, wierność i pomoc w wszystkich okolicznościach życia. To ich pierwszym obowiązkiem. Taki ścisły związek, jaki w małżeństwie zachodzi, jedynie na gruncie tych uczuć wyższych, opartych na szacunku, normalnie tylko pomiędzy istotami rozumnymi może się rozwijać. Tam gdzie miłość jest skłonnością zmysłową, od przypadkowych znamion i przedmiotów cielesnych zależną, panować musi w małżeństwie egoizm, który wyklucza wszelką trwałość uczuć i czyni je zależnymi od najrozmaitszych zmian humoru, wybryków kaprysu, chwilowego usposobienia. Mężowie mają kochać swe żony, jak Chrystus Kościół

ukochał, jako swoje ciało, jako siebie samych (Efez. 5, 25). „Małżonkowie nie mają się tylko kochać miłością naturalną, boć to czynią i zwierzęta. Nie mają się dalej kochać tylko miłością ludzką, bo to i poganie czynią. Mężowie mają żony swe miłować jak Chrystus Pan Kościół swój, a żony mają kochać mężów jak Kościół kocha Chrystusa“ (św. Franciszek Salezy). Miłość małżonków ma być świętą. Lecz mąż nie powinien kochać i czcić żony jako bożyszczę, boć kobieta tak ułomną jak i mężczyzna jest istotą. Że jednak małżonkowie miłować się mają, więc muszą swe słabości i usterki znosić cierpliwie i z pobłażliwością. Zwłaszcza kobieta powinna mężczyznę raczej dobrocią, miłowaniem, cierpliwością i modlitwą starać się naprawiać, aniżeli wyrzutami i kłótnią zatwardziałość w nim zbudzać.

Ze względu na główny cel swego związku winni sobie małżonkowie dochować niezłomną wierność. Przez umowę małżeńską oddają jedno drugiemu pełną władzę nad sobą, tak że naruszanie wierności nietylko czystość, ale i sprawiedliwość obraża. Nawet w tym razie, gdyby jedno z małżonków stosunek związało z obcą osobą, z zezwoleniem drugiego, grzech wiarołomstwa zachodzić będzie. Praw małżeńskich odstąpić nie wolno, ponieważ związek, z którego one wynikają, jako mający na celu dobro rodzaju ludzkiego, ani co do swych praw ani co do obowiązków dowolnie przez ludzi ograniczony być nie może. Jeśli wiaro-

łomstwo jest występkiem, to oczywiście i świadoma żądza popełnienia go, albo dobrowolne narażanie się na pokusy do tego wiodące jako grzeszne na potępienie zasługują.

Należy unikać nawet pozorów niewierności, boć to początek zazdrości, która całęszczęście małżeńskie niweczy. Małżonków, którzy się sprzeniewierzyli, u żydów kamienowano, ponieważ uważano tę zbrodnię za równą zabójstwu rozmyślnemu. „Jeśliby kto cudzołożył z żoną drugiego, a cudzołóstwa się dopuścił z żoną bliźniego swego, śmiercią niechaj umrze i cudzołożnik i cudzołożnica“ (Mojż. III. 20, 10). Św. Paweł takim zapowiada potępienie wieczne (Efez. 5, 5). Sobie nawzajem zaś małżonkowie niczego nie mogą odmówić (I. Kor. 7, 1—5), ale powinni unikać wszelkiego wyuzdania (Tobiasz 6, 17) i ten tylko cel mieć na oku, który Archanioł Rafael poddał Tobiaszowi: „Weźmiesz pannę z bojaźnią Pańską, więcej chęcią dziatki, niżli lubością wzięty, żebyś na nasieniu Abrahamowem błogosławieństwa w syniech dostał“, bo inaczej czart nad nimi weźmie górę: „Posłuchaj mię, a pokazęć, którzy to są, nad którymi czart przemódz może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie i od serca swego wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają: nad tymi czart ma moc“ (Tobiasz 6, 16 i 22). Prócz tych obowiązków, zachodzi jeszcze obowiązek wzajemnej pomocy i współdziałania,



a dla tego dalej obowiązek wspólnego zamieszkania, co już ze względu na węzły ścisłej przyjaźni i miłości, jakie małżonków łączyć powinny, jest nieodzowne.

Mężczyzna i kobieta mają w rodzinie osobne swoje zadanie do spełnienia. Że ten podział pracy naturalny i niezmienny, przyznają nawet emancypantki z małymi wyjątkami. Różnica okazuje się nasamprzód w powstaniu i bycie rodziny. Mężczyzna stara się o kobietę, on zakłada ognisko domowe, daje żonie swe nazwisko. On jest stroną czynną w domowym ognisku. Ta czynność pozostawia mu zupełną wolność zewnętrzną. Przy tej swej wolności i sile, on też broni żony i dzieci przeciw zewnętrznym zaczepkom. „Stoi on, obrazowo mówiąc, z mieczem w ręku przed drzwiami swego domu, jak to zapewne czynił w zamierzchłej przeszłości rzeczywiście”. (E. Gnauck-Kühne Köln. Volkszeitung 01, nr. 186.)

Inaczej kobieta. Jej czynność jest bierna, wewnętrzna.

W utrzymywaniu i żywieniu rodziny pokazuje się podobne przeciwstawienie. Mąż kieruje produkcją, żona zaś — krępowana macierzyństwem — kieruje konsumpcją, a nie jest to ta konsumpcya bezpłodna, niszcząca, lecz ogłędna, przewidująca i celowa. Trzecia różnica leży w kierowaniu wychowaniem dzieci. Matka nietylko cielesną jest opiekunką dziecka, lecz jest nadto pierwszą, przez Boga



samego powołaną nauczycielką i rzeźbiarką duszy dziecka.

Jak delikatnemu organizmowi matka w mleku swej piersi odpowiedni przygotowuje pokarm, tak też budzącej się duszy dziecięcej umie podać odpowiedni posiłek. Miękki wosk duszy dziecięcej ręka matki pierwsza kształtuje. (Przysłowie rzymskie: Filii matrisant — dzieci układają się podług matki.) Podczas gdy matka wewnętrzną stronę w dziecku urabia, ojciec ducha synowskiego do rozpoznania, zrozumienia i opanowania świata zewnętrznego przygotowuje.

Druga rzecz, która jako fakt stoi niewzruszenie tak samo jak różnorodność jakościowa stanowiska domowego — jest stanowisko prawne męża i żony. Jakkolwiek w małżeństwie mężczyzna i kobieta powinni żyć w wzajemnych uczuciach przyjaźni i szacunku, to jednak ze względu na niedoskonałość natury ludzkiej uczucia te nie mogą wystarczyć jako czynnik regulujący wszelkie stosunki obustronne. Musi istnieć powaga i władza, która w nich ostatecznie rozstrzyga. Kto ma mieć tę powagę — mężczyzna czy kobieta? Wedle zwyczajów i prawa prawie wszystkich narodów, mężczyzna jest urodzonym zwierzchnikiem kobiety, a zatem całej rodziny. Wiemy, że zupełna równość istnieje praw i obowiązków między mężem a żoną, o tyle o ile są małżonkami i jako tacy złączyli się ku wyłącznej wspólności życia i pożycia małżeńskiego.

Ale ten sam Apostół Paweł św., który mężom nakazuje: miłujcie wiernie żony wasze, jak Chrystus Pan Kościół swój, mówi żonom: kobiety mają być poddane mężom, jako panom; bo mąż jest głową kobiety, jak Chrystus głową Kościoła (Efez. 5, 22 i 25).

Żona winna zatem mężowi szacunek i posłuszeństwo, ponieważ mąż jest zastępcą Boga w rodzinie. Że mężczyzna wyżej stoi, dowód i stąd, że Bóg mężczyznę stworzył wpierw, a dopiero z mężczyzny kobietę; dalej i z tego wypływa wyższość mężczyzny, „niewiasta dana mężczyźnie na pomoc“ (I. Kor. 11, 9). „Mąż to głowa rodziny, kobieta jej ciałem niejako. Jak ciało słucha głowy, tak też ma żona słuchać mężczyzny“ (św. Augustyn). „Dla tego też mają kobiety z okrytą głową pojawiać się w kościele; ma to znaczyć, że stoi ona pod panowaniem męża. Mąż zaś zdejmuje czapkę, ponieważ prócz Boga nikogo nie ma nad sobą“ (I. Kor. 11, 10). Mąż może zatem żonie rozkazywać, ale tylko w sposób uprzejmy, łagodny i wyrozumiały, zważając, że kobieta mężczyźnie równa zupełnie co do pochodzenia i celu ostatecznego. Mówią, że Bóg nie uczynił kobiety ani z głowy mężczyzny, jako jego panią, ani też nie z stopy, jako jego niewolnicę, lecz uczynił ją ze środka, jako jemu równą.

Dla tego woła św. Ambroży do męża: „Tyś nie pan, ale małżonek; nie masz służebnicy, ale żonę. Bóg żąda, abys jej nie dawał odczuć swej władzy“. „Jak przyroda najslab-

sze członki najbardziej ochrania, tak też ma kobieta, jako strona słabsza w małżeństwie wszelkie prawo do uprzejmego się z nią obchodzenia“ (Lud. de Léon). „Wielką hańbą nie dla niewiasty, lecz dla mężczyzny, jeżeli chwytą za kij. Taki mężczyzna podobien zwierzowi dzikiemu“ (św. Chryzostom). Ale tak samo sromotną jest rzeczą dla kobiety, jeżeli pragnie panowania, albo jest kłótniawą, jeżeli posłuszeństwa żąda od męża, albo ostatnie chce mieć słowo. W tym razie działa ona wręcz przeciw woli Stwórcy. Skoro zaś kobieta nie ma prawa rozkazywania, powinna żądaniom swym zawsze nadawać formę prośby lub życzenia.

Wreszcie żona powinna się starać o uprzejmienie życia mężowi.

Kobieta od Boga na to stworzona, aby mężowi pomagała. „Nie jest dobrze człowiekowi samemu, uczynimy mu pomoc jemu podobną“ (I. Mojżesz 2, 18). Skoro więc mąż po znoјnej pracy dnia zmęczony i może zmęczony do domu powraca, ma go przyjąć nie mrukliwie, lecz uprzejmie, z weselem, dbając o wypoczynek dla niego i rozweselenie. Ma ona być tem dla męża, czem balsam dla rany, nie powinna być skałą, o którą się mąż rozbija, lecz powinna być przystanią, gdzie mąż znajduje spokój po uciążliwych trudach walki o byt. „Jakże bardzo trzeba oplakiwać los męża, który nędznie marnieje w przystani własnego ogniska, ponieważ ta, która miała z przeznaczenia swego

ciężar trosk jego umniejszać, jeszcze go zwiększa" (Lud. de Léon). W niejednym przypadku żona winna, że mąż dom omija, od niego ucieka, a najchętniej w knajpie przebywa, gdzie się oddaje pijaństwu i karciarstwu. Szczęśliwy ten mąż, którego żona miłościwie przyjmuje. Boć taki bardziej ukocha zacisze domowe nad gwar karczemny, a i wśród życia z większem błogosławieństwem działać on będzie. Zaiste dobra żona to prawdziwy dar nieba! A Bóg sam przypisuje dobrej niewieście więcej wartości niż najdroższym klejnotom (Przyp. 31, 10). „Drogocenne kamienie służą ku ozdobie; ich właściciel ma w chwilach powodzenia drogocenną ozdobę, a w biedzie one mu pomoc przyniosą. Tak też dobra małżonka stanowi sama w sobie źródło bogactwa; jest ona perłą drogocenną, która ma we wszystkich chwilach życia wielką wartość" (Lud. de Leon).

## § 2. O b o w i ą z k i r o d z i c ó w w o b e c d z i e c i.

Z miłości małżeńskiej wyrasta kwiat, dziecię. Może kwiat, a może i cierni. W każdym razie przedmiot najszlachetniejszej dumy i najczystszej miłości — ale zarówno i przedmiot największej troski dla ojca i dla matki. Ta mała istota rozrywa nie tylko łono matki, ale wywołuje zmarszczki na czole ojca, który się poczyną uginać pod jedną z największych odpowiedzialności. Nie rozchodzi się jeno o utrzymanie dziecka przy życiu, któremu grozi

tylę niebezpieczeństw; nie, to dziecię ma duszę i ją trzeba wychować. Trzeba wlać w nią godność, czystość, delikatność uczuć, podniosłość myśli i — wiarę! Trzeba ją otoczyć czcią i napelnić miłością Boga i ludzi. A wychowanie na tem zależy, by rodzice sami tacy byli, jakimi dzieci chcą mieć; „aby karność była, a rozkoszy i rozpusty nie było; aby się uczyły z młodu chodzić w zakonie, i w domowej karności, a nie po swej woli; aby nie rosły jako dęby w lesie, w samo tylko ciało, ale i w cnotę. Aby się bojaźń Boża w sercu ich szczepiła i inne się około tego przestrogi zachowały” (ks. Skarga). Rodzice muszą koniecznie być żywym przykładem. Toć dziecko skoro rozpoznawać poczyną, z rodzicami przeważnie tylko przebywa. Ono podrasta, umysł wrażliwy robi spostrzeżenia i kształtuje się na tych, których widzi, na ojcu, matce. Jeżeli rodzice źli, gorszące wiodą życie, nie dziw, że i dzieci za wczesnie się poznają i oswoją z życiem występniem. A skoro spostrzegą, że inni ludzie lepsi od ich rodziców, czyż może nie wkradnie się oziębłość dla rodziców w młode te serca? Przeciwnie, jeżeli rodzice przykładni, świętobliwie wiodący życie natenczas cała atmosfera rodzinna przesiąknięta blaskiem nadziemskim, jakimś dziwnym urokiem, a te serca dziecięce, one ukochają swych rodziców i cnotę.

Jakże często rodzice zapominają się pod względem wychowania dzieci, nie pominąc, „że dzieci nie są własnością rodziców, lecz

raczej darem Bożym“ (Ps. 126, 3), są stworzeniami Boga, przeznaczonemi do wyższej szczęśliwości!

Pierwszym obowiązkiem rodziców względem dzieci jest miłość dla nich i serdeczna o nich troskliwość. Sama natura zaszczerpiła im te uczucia. Nie powinny one wszakże tylko w sercach być zamknięte, mają się też ujawniać w staraniach i zachodach około wychowania dzieci, t. j. w trosce o wszystko, co dotyczy cielesnego, umysłowego i moralnego ich rozwoju.

Nasamprzód powinni rodzice unikać przedewszystkiem wszystkiego, co zdrowiu dziecka mogłoby być szkodliwem. Muszą się więc wystrzegać namiętności i wyuzdania, bo łatwobłędy i choroby rodziców na dzieci przechodzą. Skoro Bóg rodziców obdarzył dziećmi, nie wolno im lekkomyślnie tychże pozostawiać samych, aby gonić za przyjemnościami.

Jak Józef i Marya o Jezusa, tak rodzice o swe dzieci dbać winni. Powiada Pismo św. o rodzicach Jezusa: „A nie znalazłszy Go (między innemi dziećmi), wrócili się do Jeruzalem, szukając Go. A ujrzawszy, zdziwili się. I rzekła do Niego matka jego: Synu, cóżeś nam tak uczynił? Oto ojciec twój i ja żałośni szukaliśmy cię“ (Łuk. 2, 45 i 48). „A z jaką troskliwością starają się ptaki o swe pisklęta! Taki słaby ptak nie opuszcza gniazda, żeby nie zaziębić zarodu, a skoro młode się wylęgą, znosi w dziobie swym ze wszech stron poży-

wienie. Uczcie się rodzice od ptaków dbać o dziatki swoje" (Lud. de Leon). Skoro zaś nawet dzikie zwierzęta starają się o żywność dla swych młodych, o ileż bardziej muszą rodzice dbać o stosowne odżywianie swych dzieci! Pracą rąk swoich muszą i powinni zdobywać i dla dziatki swoich chleb powszedni i wszystko co do utrzymania życia konieczne. Rodzice grzeszą wręcz, skoro wcale dzieci zmuszają przedwcześnie do pracy ciężkiej. Toć nie dzieci rodzicom, ale rodzice dzieciom majątek zbierać mają. Dalej winni rodzice starać się o zapewnienie bytu swym dzieciom (II. Kor. 12, 14). Znowu wzorem ptaki. Jakże gorliwie starają się one o to, aby młode swe nauczyć latać, aby w przyszłości same o sobie radziły i pożywienia sobie szukały.

Na rodzicach ciąży obowiązek wykształcenia swych dziatki, i to wedle stanu, i dania im zawodu, aby na chleb sobie kiedyś zapracować mogły. Przy wyborze zawodu jednakowoż rodzicom nie przysługuje prawo zmuszania dzieci do niego. Lecz najważniejsza, aby rodzice dzieci wychowywali w bojaźni Bożej, bo tylko w ten sposób przyczyniają się najlepiej do ich szczęścia. „Byłem młody i postarzałem się, lecz nigdy nie widziałem, aby sprawiedliwy był opuszczony, a jego dzieci żebrakami" (Ps. 36, 25).

Nie zawadzi wyłuszczyć, do kogo należy wychowanie dzieci, zwłaszcza wobec uroszczeń państwa.



Że rodzice najbliższe i bezpośrednie mają prawa do wychowania dzieci, dowodzić nie potrzeba. Toć oni są głównymi opiekunami dziecka, im Bóg Najwyższy oddał to dziecię w pieczę, i oni, a nikt inny, Bogu z tego włodarstwa sprawę zdadzą kiedyś. Rodzice mają też nie tylko główne, ale nawet wyłączne prawo bezpośrednio kierować wychowaniem dzieci. Ta wyłączność uwarunkowana jest przez konieczną jednolitość w systemie wychowawczym, od którego zależy dobry jego skutek; byłaby ona niemożliwą, gdyby jakaśkolwiek obca władza miała być równouprawnioną z naturalnymi wychowawcami dziecka. Kto tego wyłącznego prawa wychowawczego rodzicom zaprzecza, burzy rodzinę, jako samodzielne, od państwa co do istoty różne społeczeństwo.

Głównem zadaniem rodziny jest wychowanie dzieci. Jeśli ono ma być poruczone państwu, lub jeśli temu państwu przyznamy bezpośredni, na równi z rodziną, wpływ na wychowanie dzieci, to byt rodziny podkopujemy i państwo jej miejsce zajmie. Jednakowoż państwo powstaje z połączenia rodzin i w nich zawsze ma swą podstawę. Skoro one tworzą państwo, nie pozbywają się przez to swych praw i zadań zasadniczych. Stosuje się to przedewszystkiem do zadania wychowawczego; tu państwo powinno rodzinę popierać tylko, nie chceć jej zastąpić i usunąć. „Wrogowie chrześcijaństwa“, powiada papież Leon XIII,

w swej encyklice *Sapientiae christianae* z 10-go stycznia 1890, „którzyby pragnęli je wytępić i z świata usunąć, starają się wszelkimi sposobami ten korzeń i fundament ludzkiej społeczności zaczepić i zawczasu w jej latoroślach zatruć i zgubić. Nie odstrasza ich od tego niecnego zamiaru nawet świadomość, że nie dojdą do celu, nie obrzuciwszy wpierw błotem rodziców. Boć rodzice mają poważny i ciężki obowiązek i to na mocy prawa natury, dobrego wychowania dzieci, którym dali życie. Muszą oni odpowiednio ukształtować wychowanie do celu, który Bóg im wytknął, darząc ich potomstwem. Zatem muszą rodzice dołożyć wszelkich starań, aby skutecznie zachować powagę swą przy wychowaniu dzieci“.

Powiada św. Karol Boromeusz, że „dzieci wychować, znaczy prowadzić je do Chrystusa“. Ma się rozumieć, że pierwszym obowiązkiem chrześcijańskich rodziców wobec dziecka --- to poświęcenie niemowlęcia Panu Bogu, przez Sakrament Chrztu św. Rodzice, którzy bez powodu z tem nad dziesięć dni zwlekają, popełniają wedle św. Alfonsa grzech śmiertelny. Od pierwszych zaraz chwil przyjścia na świat dziecka, zamienia się dom rodzicielski na kościół, na kazalnicę. „Kapłani mają obowiązek nauczania ludu w kościele; ten sam obowiązek mają rodzice po domach swoich“ (św. Augustyn). A św. Chryzostom tak woła do rodziców: „Rodzice, wyście apostołami dzieci waszych; wasze domy to kościoły

wasze“. Na rodzicach ciąży obowiązek obznaniania dzieci z pierwszemi prawdami wiary świętej. A tu nie można czekać aż dziecko wyrośnie, nie, od chwili, w której w dziecku zaczyna się budzić duch, zaczyna się dla rodziców praca apostolska, praca trudna i znojna, choć wdzięczna i wzniosła. „A gdy to dziecię zachwieje się później i złemu ulegnie, jak słaba trzcina, to musi je rodzic napominać, uczyć i podnosić. A gdy ono opór ci stawi, a i popadnie w występki i shańbi się, to musisz, ojcze, matko, płakać, wzdychać i sercem krzyczeć i wołać póty, póki nie wydobędziesz ze serca drogiego ci ale zbłąkanego dziecka łzy, która je uleczy“. (Ks. A. Kopyciński: „Dokąd dążymy“.)

Przy wychowaniu dzieci musi iść miłość i karność w parze. „Jak się rany czyści winem, a goi oliwą, tak też trzeba przy wychowaniu łagodność z surowością łączyć“ (św. Grzegorz Wielki). Za wielką surowość jest błędną. „Lew, to dzikie zwierzę; gdy ryczy, przejmuje trwoga wszystkie stworzenia; lecz gdy przyjdzie do jamy, gdzie jego młode się znajdują, nie ma w nim złości i wściekłości, jest zupełnie spokojny. A rodziców czyżby to zwierzę miało zawstydzić?“ (św. Augustyn). Rodzice powinni zatem karać rzadko tylko i łagodnie. „Bo kara jest lekarstwem. A skoro się lekarstwa zażywa za często i w wielkich dawkach, natenczas szkodzi ono organizmowi i go niweczy“ (Hunolt). „Czy chcecie“, woła

do rodziców św. Ansgar, „dzieci wasze bezustannie je strofując i żaląc się na nie, na moralnych wychować ludzi? To droga nie właściwa. Nawet i złotnik nie zawsze używa młota, lecz stara się przez łagodne wciskanie albo ostrożne wyginanie kruszec w piękny kształt uformować“. Rodzice, którzy dzieci stale batożą, podobni do nieroztropnego ogrodnika, krępującego młode drzewko tak, że nie może się rozrastać. Lepiej jest dobre skłonności u dzieci pielęgnować i hodować, niż tylko jedynie wyszukiwać i karać złe. Lecz jak zbytnia srogość tak i nierozumna pobłażliwość, ślepa miłość rodziców ku dziecku jest naganną. Nie dobrze, gdy rodzice żadnego błędu dziecka nie karzą, bo dziecko, wypieszczone, wyniańczone, będzie jako dziecię tyranem rodziców, jako młodzieniec lub dziewczica nieszczęściem, a wreszcie hańbą i niewymowną boleścią. „Będą twe dzieci palcami wytykać a innych uczyć, czego trzeba unikać, ażeby takim jak ty nie być nieszczęśliwym. Jako na brzegu morskim układają znaki, by żeglarze unikali mierzliwych lub podwodnych skał, tak i ty będziesz znakiem, jak nie wolno dzieci wychowywać!“ (Kopyciński: *Dokąd dążymy*. S. 131.) Lecz najlepsze przemowy i napominania nie działają tyle co dobry przykład; bo oczy szybciej przekonywują niż uszy. Com słyszał, często zapominam, ale com raz miał przed oczyma, widzę zawsze. Toć dzieci więcej uważają na to, co rodzice czynią, aniżeli na to, co mówią. Czynny

rodziców, to książki, z których dzieci się uczą. I dlatego rodzicom nie wolno nic złego czynić w obliczu swych dzieci, bo dzieci uważają to za dozwolone, co widzą w domu rodzicielskim, a mając nadto silny popęd naśladowczy, czynią to samo. Ich serce jest poniekąd zwierciadłem cudzych postępków. Dlatego powinni rodzice zawsze mieć w pamięci groźbę Zbawiciela: „Kto jedno z tych maluczkich by zgorszył, które we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej” (Mateusz 18, 6). Jeżeli dusza dziecka zginie z winy rodziców, natenczas „krwi jego zażądam z waszej ręki“, woła Bóg w Piśmie św.

Od wychowania dzieci zależy i wieczne szczęście rodziców. Zazwyczaj karze Bóg już tu na ziemi rodziców, którzy swe dzieci źle wychowywali, i to — ręką dzieci. Przykładów mamy niestety wiele. Oto król Dawid miłuje swego syna Absaloma nierozumną miłością, nie karci błędów jego, a Absalom wyrasta na buntowczyka — przeciw własnemu rodzicowi. Wielki kapłan Heli grzeszy pobłażliwością zbytnią dla swych dwóch synów. I dlatego Bóg oznajmia mu usta Samuela, że go ukarze. I oto: obaj synowie w jednej padają bitwie, a ojciec na wieść o tem nieszczęściu martwy spada z krzesła. Rodziców, wychowujących dzieci źle, i po śmierci spotyka zasłużona kara; na równi stoją oni z bezbożnymi. „A jeśli kto o swoich, zwłaszcza o domowych, pieczy nie

ma, zaprzął się wiary i jest gorszy niżli niewierny“ (I. Tymot. 5, 8). Natomiast rodzice, wychowujący dzieci dobrze, po Bożemu, otrzymają wielką nagrodę, nawet po za grobem. „Ojciec dobrego syna przy śmierci się nie za-smuci i przed nieprzyjaciołmi nie będzie zawstydzon“ (Sirach 30, 5). Dobrzy rodzice będą mogli kiedyś, gdy staną na sądzie Pańskim, powiedzieć: „Któreś mi dał, strzegłem; i żaden z nich nie zginął“ (Jan 17, 12).

### § 3. O b o w i ą z k i d z i e c i w o b e c r o d z i c ó w.

Rodzicom jako tym, którzy nam życie dali, jako zastępcom Pana Boga, należy się cześć od dzieci. Św. Tomasz przytacza jako fundament tej czci to, że rodzice są początkiem życia i rozwoju życiowego swych dzieci, a tem samem pierwszą niemi kierującą instancją i władzą, jako nią Bóg jest w najdoskonalszem i absolutnem zrozumieniu tego wyrazu. Wskutek tego — ze względu na dobrodziejstwa otrzymane — jest dziecko z natury dłużnikiem swych rodziców; a ze względu na najwyższy cel dług ten jest ściśle moralnym obowiązkiem. „Ile cierpiała, powiada św. Ambroży, matka twa dla ciebie, ile bezsennych nocy spędziła dla ciebie, ileż razy musiała odejść od stołu, jaki strach miotał jej duszą, gdyś ty był chory. Ile mokołu i zachodu miał ojciec twój w zara-



bianiu na chleb i odzież dla ciebie. Skoro twoi rodzice tyle dla ciebie uczynili i wycierpieli, jakżebyś mógł być niewdzięcznym!”

Toć Syn Boży sam czczył Matkę swą i przybranego ojca swego, i był im poddanym; „kochał i czczył matkę, której ojcem, Bogiem będąc, sam był; kochał i czczył swego opiekuna, którego sam karmił; przypominał sobie, że na łonie swej Matki spoczywał, a ramiona opiekuna go nosiły” (św. Hieronim). „Wyższemu niższemu był poddanym, aby dać przykład dzieciom” (Orygenes). Skoro Pan Bóg nakazuje dzieciom czczyć rodziców, nakazuje tem samem uszanowanie, miłość i posłuszeństwo dla rodziców.

Obowiązek uszanowania i miłości dla rodziców trwa przez całe życie dziecka, nie zaś obowiązek posłuszeństwa. A to stąd pochodzi, że powody, dla których mamy rodziców szanować i kochać, nigdy nie ustają, bo uszanowanie przynależy rodzicom, jako dawcom żywota i kierownikom wychowania, miłość wynika z samej już określonej natury stosunków rodzinnych. Trzeci obowiązek, posłuszeństwo, polega na powadze władzy rodzicielskiej. Jak już powiedzieliśmy, dotyczy ona spraw wychowania i porządku domowego, nie rozciąga się jednak na wybór zawodu przez dzieci. W tym ostatnim względzie powinny one tylko przez miłość, a także rozwagę baczyć na rady rodziców i słusznym ich życzeniom czynić zadość. Niknie ten obowiązek posłu-



szeństwa dla rodziców po odłączeniu się od wspólnego życia rodzinnego i założeniu własnej rodziny. Wszelako obowiązki czci i miłości trwają bez zmiany, ponieważ te nie są złączone z celami wychowania, od których zależy obowiązków posłuszeństwa, bo wynikają z najistotniejszej natury stosunku dzieci do rodziców.

Cześć i szacunek dla rodziców polega na tem, że ich nie tylko cenimy w sercu jako zastępców Boga, lecz zewnątrz słowem i czynem ten szacunek ujawniamy.

Szacunek ten musi wypływać z serca, boć inaczej byłby faryzeuszestwem. „Chrystus Pan uczcił Matkę swoją na godach w Kanie Galilejskiej; bo, pomimo oświadczenia, że czas jego jeszcze nie nadszedł, zadosyćuczynił jej prośbie, aby Jej nie zawstydzić przed weselnikami” (św. Chryzostom). Zagniewany na Rzym Koriolan nie ustąpił ani przed senatorami, ani przed kapłanami, ani też cenne podarki nie zdołały zrobić na nim wrażenia — zagrażał miastu rodzinnemu nieustraszony i nieugięty; ale gdy matka jego Veturia nadeszła, uszanował ją i rzekł: „Matko, ocaliłaś Rzym, ale utraciłaś syna”. Cofnął się z wojskiem z pod Rzymu; a Wolskowie, wrogowie Rzymu, zabili go około r. 491 przed Chrystusem. I wtenczas musimy rodziców szanować i czcić, gdy są w biedzie i niedostatku. Król Salomon n. p. powstawał z tronu przed swoją matką, oddawał jej ukłon uniżony i sadzał obok siebie, mimo że niskiego była pochodzenia (III. Ks. Król. 11, 19). Papież

Benedykt XI (1303) nie pozwolił swej matce, ubogiej praczce, przywdziać drogich szat; i odesłał ją raz, aby znów oblokła strój ubogi i dopiero wtenczas ją z całem przyjął uszanowaniem. Nawet, gdy rodzice nie zbyt cnotliwe, a może występne wiodą życie, nie wolno rzucać na nich kamienia potępienia, bo rodzic pozostaje rodzicem na zawsze. „Słowem i uczynkiem i z całą cierpliwością czcij ojca twego“ (Sir. 3, 9).

Miłość dzieci ku rodzicom polega na życzeniu i czynieniu im dobrze. Miłość należy rodzicom już jako bliźnim, lecz nie dosyć na tem, stosunek między dziećmi a rodzicami jest najściślejszy, odrębny od innych stosunków, i dlatego należy im się szczególna miłość, miłość głęboka i szczerą.

A skoro dzieci taką żywią miłość dla swych rodziców, prawdziwą i głęboką, natenczas nie tylko będą im dobrze życzyły, ale i dobrze czyniły. Chętnie w biedzie im dopomogą; a skoro rodzice nie potrzebują pomocy od dzieci, to niech one zanoszą modły gorące do Boga za rodzicami.

Piękny przykład czynnej miłości rodzicielskiej dał młodzieniec dalmatyński Vukasović, wychowanek wiedeńskiej akademii wojskowej. Dostał on w nagrodę za pilność od cesarzowej Teresy 12 dukatów, które zaraz odesłał swemu ubogiemu ojcu. Skoro cesarzowa po niejakiś czasie znowu zwiedzała zakład i się o tym

uczynku młodzieńca dowiedziała, wynagrodziła go, dając mu 24 dukaty, a ojcu stałe wsparcie. — Oto inny przykład: Tomasza Morusa, kanclerza Anglii, kazał król Henryk VIII, stracić dlatego, że wiernie stał przy Kościele katolickim. Nikt z bojaźni przed tyranem nie śmiał pogrzebać ciała straconego. Miłość córki dokazała tego, a król nie odważył się targnąć na życie tego dobrego dziecka. I nie dziw, że miłość dzieci ku rodzicom tak potężna, boć to prawo natury. Przecież lwy młode wedle Plutarcha dzielą się zdobyczą ze starymi, a bociany młode własnem ciałem ogrzewają stare, gdy te w starości pierze tracą.

Posłuszeństwo wreszcie względem rodziców polega na tem, że dzieci słuchają ich w sprawach godziwych, dopóty stoją pod władzą rodzicielską. Jako rodzice mają obowiązek wychowywania swych dzieci, tak znów dzieci rodzicom muszą być posłuszne. Bo jeżeli w państwie muszą być panujący i podwładni, rozkazujący i słuchający, to w rodzinie tak samo dźiać się powinno; inaczej nie będzie porządku domowego, a zatem i szczęścia. Atoli, gdyby rodzice rozkazywali rzeczy grzeszne, natenczas „trzeba więcej Boga słuchać niż ludzi“ (św. Paweł). Oto św. Hermenegilda, syna hiszpańskiego króla Westrogotów Leovigilda, wtrąca własny ojciec do więzienia za to, że został katolikiem, i obiecuje mu przez usta posła zwrot godności i łaski, byle by się wyrzekł katolicyzmu. Lecz młodzieniec odpo-

wiada, że woli wyrzec się miłości swego ojca, korony, nawet życia, miasto stać się zaprzającym.

## **V. Rodzina jako ostoją chrześcijańskiego ustroju społecznego.**

Rodzina to cegła w podwalinie gmachu społeczeństwa. Od rodziny zaczyna się społeczność ludzka i na rodzinie się kończy, i niepodobna nawet sobie wyobrazić społeczności bez rodziny. Bo społeczeństwo urabiało się na modłę rodziny — a religia dawała jej wzory, gdy pierwszym ludziom bez ojca i bez matki, wskazywała ojca w Bogu. A że religia dała wzór rodzinie, a społeczność ten wzór od rodziny przejęła — że jedna i druga swoją przyszłość w rodzinie widzi, więc też obie na nią baczną zwróciły uwagę, w niej się utrwalić pragną i o rzady w tem królestwie się kuszą. Do drzwi domu rodzinnego kołącą nowe teorye, nowe hasła i poglądy, które walczą o wpływy w społeczeństwie, dobre zarówno jak i najgorsze, wywrotne. Jak pod drzewem wiadomości złego i dobrego spotkało się prawo Boże z nagabywaniem szatana — tak i w rodzinie zjawia się religia, a obok niej hasła przewrotnej wolności na polu religijnem i społecznem. „Lecz im głębiej w rodzinie zakorzenia się cnoty, z im większą gorliwością rodzice starają się o religijne wychowanie dzieci, tem obfitsze owoce wyda rodzina dla społeczeństwa. I dla tego jest rzeczą największej donio-

słości, żeby życie rodzinne było uregulowane świętymi prawami i żeby w niem panował duch religijny i zasady chrześcijańskie“ (Brewe o rodzinie chrześc. Leona XIII, z 14. 7. 1892). Rodzina jedynie może położyć tamę socyalizmowi, tu przy ognisku domowem ważą się losy państwa. „Rodzina zawiera w sobie i podtrzymuje zasady i najlepsze czynniki życia społecznego“ (Quoad multum. 22. 8. 1886). „Zacność i wzniosłość życia rodzinnego, z którego zdrowie płynie do żył społeczeństwa, polega w pierwszym rzędzie na świętości małżeństwa, zawartego wedle praw Boskich i kościelnych“ (Brewe do polskich biskupów).

Istnienie rodziny opiera się tylko na prawie Boskiem, Bóg sam był jej twórcą, świadkiem, kapłanem wśród rozkoszy raju. Rodzina nie jest stworzoną dla społeczeństwa. Rodzina może istnieć bez stanu społecznego, jak w epoce patryarchów, lecz społeczeństwa bez niej być nie może.

Jeżeli w narodzie większość rodzin jest zarażona przewrotnemi ideami i zwyrodniała, na nic się nie przydadzą ulepszone prawa i instytucye. Przeciwnie, niech większość rodzin posiada hart i charakter niewzruszenie hołdujący zdrowym i prawym przekonaniom, z pewnością społeczeństwo mieć będzie siłę, zdolną podnieść świat cały. Czem jest źródło dla rzeki, tem jest życie rodzinne, domowe dla życia społecznego, rodzina dla narodu. Nie dziw przeto, że rodzina, ognisko domowe wraz

z ołtarzem bóstwa było hasłem, na odgłos którego już starożytne narody poświęcały chętnie swe bogactwa, swój czas, swą siłę, życie, wszystkie swe dobra; „pro aris et focis — za ołtarze i ogniska“, taką była i taką będzie po wszystkie czasy i pokolenia formuła ludzi miłujących swój zakątek rodzinny, formuła wypisana krwią na polach walki, formuła wszystkich narodów, które nie wyzwały się z resztek choćby kultury. W szczególny sposób pielęgowali tę ideę Rzymianie starzy. Dom ich, to świątynia; środowiskiem był ołtarz bóstwa domowego, połączonego z ogniskiem. Ojciec był zarazem urodzonym kapłanem rodziny, który poczytywał sobie za najwyższe zadanie i za zaszczyt, kierować obrzędami w swym domu. Tak postępując, nie mieli Rzymianie jedynie na oku zadosyćuczynienia własnej pobożności nie, mieli oni podwójny wyższy cel. Z jednej strony byli przekonani, że szczęścia, tyle ofiar żądającej instytucji jaką jest rodzina, nie można ochronić bez puklerza religii, z drugiej zaś strony byli zbyt mądrymi mężami stanu, aby nie mieli wiedzieć, że skoro państwo bez religii nie może istnieć i się rozwijać, to trzeba się starać, aby religia przenikła, a nie stała tylko na uboczu, wszystkie poszczególne składniki państwa, t. j. rodziny. Tej idei, temu przekonaniu Rzym zawdzięczał w znacznej mierze swą wielkość i siłę. W rodzinie spoczywają wszystkie warunki błogosławionego i szczęśliwego życia społecznego. Tu musi



religia swe najgłębsze nie ulegające zniszczeniu zapuścić korzenie, bo inaczej nigdy nie będzie siłą. Tu, w rodzinie założone są pierwsze i najsilniejsze podwaliny wiary, posłuszeństwa, poszanowania dla zwierzchności. Na rodzinie opierają się filary ustroju społecznego. W rodzinie znajduje się ognisko idei zachowawczej, podpora zwyczaju, szkoła tradycji, tarcza dla właściwości stanów, szczepów i ludów. Tu zadzierżgają się zawsze świeże węzły między ludźmi, węzły najsilniejsze, węzły krwi. Tu ludzie się godzą, tu przyjaźni zawierują. Gdzie rodzina jest silna i żyje w stosunkach uporządkowanych, tam można mówić o trwałości pokoju socyalnego. Tu wreszcie stawia się słuszną zaporę uroszczeniom, żądaniom władzy publicznej, która pragnie uszczerbku praw prywatnych. W walce przeciw naturze nie wiele dokaże ani przemoc ani teoria wywrotu, i dla tego tu się, o ognisko domowe, ostatecznie rozbijają wszystkie nadużycia absolutyzmu pod względem prawa prywatnego i prawa sumienia. Państwo samo najwyższy winno mieć interes w utrzymaniu rodziny, jako najlepszej obrońicielki praw.

Ludzkość jednakże nie żyje tylko prawem, ale i obyczajami, dla których rodzina równie najlepszą szkołą.

W rodzinie musi człowiek poznać obowiązki swe względem Boga i ludzi, i musi się przedewszystkiem nauczyć poszanowania dla nich. Za późno, gdy się odkłada tę rzecz na



czas, gdy człowiek do szkoły albo do kościoła poczyną uczęszczać. Rodzice to nauczyciele i wychowawcy dzieci z woli Bożej. Od matki zależy w szczególności moralność. Filii matri-sant! Niech tylko nasze matki wypełnią zadanie to, nałożone im przez Boga i prawo natury, a w znacznej części przyczyniły się do rozwiązania kwestyi kobiecej. Jednakowoż niedocennialibyśmy znaczenia rodziny, gdybyśmy chcieli jej władzę wychowawczą ograniczyć — na wychowanie dzieci tylko. O wiele głębiej ona sięga na łonie rodziny, wpływając na charakter także i dorosłych. Stałe ofiary, konieczność zaparcia się siebie, przymus, różność usposobień, zapatrywań i dążeń — skoro na nie będziemy patrzeli przez ducha cnót chrześcijańskich, staną się szkołą doskonałości, która nie ustępuje zakonnej. I dla tego, tak tu jak i tam, nikt nie pozostaje takim, jakim przychodzi: musi się stać albo lepszym, albo gorszym.

I tak staje się rodzina najdoskonalszą szkołą religii, moralności, prawa publicznego i prywatnego. Na prawie, moralności i religii zaś spoczywa społeczność. I dla tego rodzina jest ochroną społeczeństwa przez Boga jemu nadaną.

Skoro zachwiana rodzina, społeczeństwo do przewrotu gotowe. Jednakowoż nie potrzebujemy się lękać, dopóki rodzina świętą nam będzie.



## TREŚĆ.

|  |    |
|--|----|
| I. Z dziejów rodziny w świecie niechrześcijańskim. . . . .             | 5  |
| II. Zasługi chrześcijaństwa wobec rodziny . . . . .                    | 15 |
| § 1. Równouprawnienie kobiety . . . . .                                | 15 |
| § 2. Nerozerwalność węzła małżeńskiego . . . . .                       | 22 |
| § 3. Uświęcenie pożycia wspólnego . . . . .                            | 30 |
| III. Zabiegi o rozbitcie rodziny . . . . .                             | 37 |
| § 1. Emancypacja kobiet . . . . .                                      | 38 |
| § 2. Wolna miłość . . . . .  | 46 |
| § 3. Upaństwowienie wspólnego pożycia . . . . .                        | 54 |
| IV. Zadanie rodziny . . . . .  | 59 |
| § 1. Obowiązki wzajemne rodziców . . . . .                             | 59 |
| § 2. Obowiązki rodziców wobec dzieci . . . . .                         | 66 |
| § 3. Obowiązki dzieci wobec rodziców . . . . .                         | 75 |
| V. Rodzina jako ostoja chrześcijańskiego ustroju społecznego . . . . . | 80 |

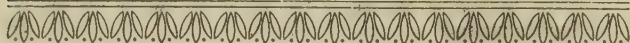


*Rev. P. Topolski*  
C. M. C.



Autór czerpał materyał z następujących dzieł:

1. Weiss, Apologetyka.
2. Cathrein, Filozofia moralności.
3. Biederlack, Kwestya socyalna.
4. Dr. Jos. Mausbach, Altchristliche und moderne Gedanken über den Frauenberuf.
5. Dr. Jos. Mausbach, Die Stellung der Frau im Menschheitsleben.
6. Dr. Kopyciński, Dokąd dążymy?







SZKICE  
O CELOWOŚCI W PRZYRODZIE.

*Rev. Q. Tappan*  
*O. M. C.*





BOHDAN RUTKIEWICZ.

---

# SZKICE O CELOWOŚCI W PRZYRODZIE

Z SZCZEGÓLNEM UWZGLĘDNIENIEM  
ŚWIATA ORGANICZNEGO.



POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

913.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

## WSTEP.

---

Zagadnienie o celowości i porządku kosmicznych należy do najważniejszych i zawsze aktualnych zagadnień filozoficzno - przyrodniczych. Dziś zwłaszcza, gdy walka o światopogląd jest tak bardzo zaostrzoną, zasługuje ono na szczególną uwagę właśnie ze względu na swą doniosłość dla przedmiotowego światopoglądu. W rozprawie mej główny nacisk położę na zagadnienie o celowości w biologii, albowiem w biologii właśnie osiągnęło owo zagadnienie o celowości najwyższe znaczenie i stało się jednym z głównych spornych punktów, o które walczą ze sobą przedstawiciele rozmaitych pogądów. Światem nieorganicznym zajmę się bardzo pobieżnie, jedynie w celu stworzenia ogólnego tła dla biologicznej części mej pracy.

Atoli, zanim przystąpię do filozoficznego dociekania oraz badania zagadnienia o celowości i porządku, postaram się przedłożyć krótki zarys przejawów porządku i celowości we wszechświecie i rozpatrzeć zarazem, ażali wszystko, co spotykamy we wszechświecie,

można uważać jako przejaw porządku i celowości. Takie chociażby pobieżne zapoznanie się z faktami jest niezbędne, aby mózgi sobie wyrobić sąd o zagadnieniu celowości i porządku kosmicznych i jego znaczeniu filozoficznym.

---

## ROZDZIAŁ I.

### **Przejawy porządku w wszechświecie.**

---

Wszechświat przedstawia się nam jako jedna wielka całość, odznaczająca się panującym w niej porządkiem.

W wszechświecie należy rozróżnić porządek statyczny, czyli porządek, przejawiający się we wzajemnem rozłożeniu i budowie części wszechświata, i porządek dynamiczny, przejawiający się w procesach, odbywających się w wszechświecie.

W wszechświecie spotykamy się na każdym kroku z porządkiem statycznym, przejawiającym się w sposób tak charakterystyczny w swych „typowych układach“, tworzonych przez części składowe wszechświata. Układy takie spotykamy przede wszystkim w świecie ciał niebieskich. Układ słoneczny jest właśnie takim typowym, porządkiem nacechowanym układem, a inne gwiazdy to takie same słońca

jak i nasze, centra innych układów słonecznych, a zaś same te oddzielne układy słoneczne stanowią tylko części jeszcze obszerniejszych układów ciał niebieskich; takim wielkim układem ciał niebieskich jest tak zwana mleczna droga, i gdy jedni uczeni zaliczają do tego układu mlecznej drogi wszystkie gwiazdy i mgławice, które oko lub teleskop odkrywają w przestrzeni, drudzy upatrują w niektórych mgławicach nowe mleczne drogi. Takimi typowymi układami są również drobiny i atomy; a mianowicie: drobiny są układami atomów, które formując drobiny układają się, jak nas uczy chemia teoretyczna, nie w byle jaki dowolny sposób, lecz zawsze w pewnym określonym porządku; atomy zaś ze swej strony, które można nazwać układami słonecznymi w miniaturze, są same typowymi układami elektronów. Co się zaś jeszcze tyczy drobin, to one, gdy warunki ku temu sprzyjają, mogą łączyć się jedne z drugimi w sposób nadzwyczaj prawidłowy i formować kryształy, te kryształy, które nas tak bardzo uderzają prawidłowością swej formy. Typowymi układami są nareszcie i organizmy, które począwszy od najprostszych — jednokomórkowców, a skończywszy na człowieku, są nacechowane nieskończonej misterną budową.

Dla uzupełnienia obrazu owego porządku statycznego należy teraz zwrócić uwagę na to, że oddzielne typy układów nie pojawiają się tu i owdzie, niby wynik jakiegoś przelotnego ka-

prysu przyrody. Przeciwnie, powtarzają się one we wszechświecie ze zdumiewającą wprost stałością. W rzeczy samej, nie istnieje jakichś kilka atomów wodoru lub jakiego innego pierwiastku, lecz istnieją ich miliardy i miliardy i nie tylko tu na ziemi, ale i na innych ciałach niebieskich; i również ze zdumiewającą stałością powtarzają się te same typy drobin, kryształów, organizmów; nie istnieje nareszcie nasz jeden system słoneczny, lecz istnieją we wszechświecie nieprzebrane ilości takich systemów słonecznych.

Ów porządek statyczny atoli nie jest czemś wiecznem i niezmiennem. Spokój absolutny nie istnieje we wszechświecie i wszystko podlega w nim nieustannemu ruchowi; podlegają mu również i owe oddzielne układy typowe, które podziwiamy jako wyraz porządku we wszechświecie; nie są one czemś skamieniałem w nieruchomości, lecz to się kształtują, to znowu rozpadają się, a na ich miejsce występują nowe układy. Jedną z cech charakterystycznych porządku we wszechświecie jest właśnie ciągle wyłanianie się nowych układów typowych z łona nieustannego stawania się kosmicznego, okoliczność, na którą należy zwrócić szczególną uwagę, gdyż wskazuje ona jasno, jak głęboko tkwi we wszechświecie porządek statyczny, jak ściśle jest on z nimi związany.

Należy dodać, iż raz urzeczywistniony porządek statyczny, jakkolwiek może podlegać

zniszczeniu i w rzeczy samej jemu podlega, odznacza się szczególnie w niektórych swych przejawach zdumiewającą wprost trwałością; przejawach zdumiewającą wprost trwałością; systemów ciał niebieskich, trwałość naszego systemu słonecznego w szczególności, trwałość atomów i całych szeregów drobin; na szczególną uwagę zasługuje również względna trwałość organizmów, a to ze względu na okoliczność, iż wre w nich ciągła przemiana materii, że protoplazma tak wielką odznacza się delikatnością.

Na jeden jeszcze objaw porządku statycznego należy zwrócić tu uwagę: oto wśród różnorodności typów oddzielnych układów danej kategorii, co się szczególnie rzuca w oczy w organizmach i kryształach, zauważyć się daje dążność do ciągłości i unikanie przeskoków, zauważyć się daje pewna jedność. Przypatrzmy się przedewszystkiem tej jedności w świecie organicznym. „Rzeczywiście, harmonijnie“, jak słusznie mówi profesor Pohle, „długim łańcuchem stykają się gatunek z gatunkiem, rodzaj z rodzajem, nie pozostawiając zawadzających luk lub niezapełnionego miejsca. Niby dla uratowania pozoru ciągłości królestwa tak różnorodne jak rośliny i zwierzęta przedstawiają się jako połączone mocną klamrą w formie „zwierzokrzewów“, żyjących w głębiach morskich, a jeszcze więcej w formie tak zwanych „protystów“. Tak też, gdy się spogląda nie na same tylko oddzielne osobniki, lecz gdy się



jednocześnie całość obejmuje, ukazuje się zamknięty całokształt typów, które wpraszają się jako część do całości, szukają na lewo i na prawo punktów do zahaczenia się, zdradzają i na dole i na górze tajemnicze pokrewieństwo<sup>1)</sup>). Przedstawiają się nam zatem istoty żywe, jakkolwiek zdają się je rozłączać ich specyficzne cechy typowe, jako organiczne części jednolitej całości, połączone między sobą węzłem idealnej ciągłości. Tę samą ciągłość i jedność, co w organizmach, spotykamy również i w kryształach, które, jak słusznie mówi wyżej zacytowany prof. Pohle: „choć uparcie zachowują swój typowy specyficzny charakter..., stosują się do ogólnego prawidła, a stosownie do niego oddzielne formy jakby wybiegały w rozmaitych kierunkach, aby wejść w kontakt z sąsiadami i przez harmonijne zespolenie się w całość urzeczywistnić właśnie tę idealną jedność, którą podziwiamy jako bez luk istniejący zamknięty system kryształów<sup>2)</sup>).

Wypada dodać jeszcze kilka słów o wzajemnym stosunku pierwiastów chemicznych, a mianowicie należy zauważyć, iż jakkolwiek układ peryodyczny Mendelejewa posiada niektóre braki, niemniej jednak pierwiastki chemiczne zdają się w rzeczywistości formować prawidłowy szereg, w którym występują od-

---

<sup>1)</sup> Pohle: „Allgemeine Einleitung in die Naturwissenschaft“, str. 30 w dziele „Himmel und Erde“, t. I.

<sup>2)</sup> Pohle: „Allgemeine Einleitung in die Naturwissenschaft“, str. 30—31 — w „Himmel u. Erde“, t. I.

dzielne grupy pierwiastków, dające się porównać do oddzielnych grup systematycznych istot żywych.

\*

\*

\*

Zwróćmy teraz uwagę na samo stawianie się we wszechświecie, na te procesy, z których bezustannie wyłania się porządek statyczny; i w nich przejawia się też porządek i początek dynamiczny. Czyż nie są pełnymi porządku procesy życiowe, krystalizacja, lub to łączenie się atomów, które nie odbywa się w sposób kapryśny, lecz stosownie do pewnych ogólnych norm, stosownie do specyficznego powinowactwa między atomami? Czyż nie musimy przyjąć panowania porządku w tych tajemniczych procesach, które doprowadzały i doprowadzają do formowania się atomów, tych światów mikroskopijnych, zarówno jak w tej wielkiej ewolucji kosmicznej, która kształtowała i kształtuje światy ciał niebieskich; jednym słowem, czyż cały ten proces kosmiczny nie jest „tak doskonały jak mechanizm, tak piękny, jak arcydzieło sztuki“, jak mówi Huxley<sup>1)</sup>. Czyżby w rzeczy samej ten bezmiar porządku statycznego we wszechświecie mógł być wynikiem chaotycznego stawiania się; czyż ten „kierunek w stronę porządku statycznego“, o ile można się tak wyrazić, który na każdym kroku zostaje właśnie

<sup>1)</sup> Huxley: „Ewolucja, etyka“, w tłumaczeniu rosyjskiem Tiniorazjewa, str. 88 książki Tiniorazjewa: „Nasuszcnyje woprosy sowsemiennego jestestwoznania“. 1908.

nadany stawaniu się we wszechświecie, nie jest już sam najlepszym dowodem istnienia porządku dynamicznego?

Mówiąc o porządku dynamicznym należy dodać, iż procesy kosmiczne, i to nie koniecznie procesy, prowadzące do wytwarzania układów typowych, są poddane pewnym normom ogólnym, pewnym prawom; a ta jedność wśród różnorodności procesów kosmicznych wskazuje nam ze swej strony na istnienie w nich porządku: „Porządek i harmonia“, jak dobrze mówi Lapparent, „które panują w rzeczach stworzonych (création) objawiają się przez prawa, naogół bardzo proste, którym poddane są zjawiska“<sup>1)</sup>. A jako przykład takich norm ogólnych możemy zacytować prawo stałości energii, prawo Boyle-Mariotté’a, wedle którego gazy doskonałe<sup>2)</sup> niezależne od swej natury, zmieniają objętość w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do ciśnienia, które działa na nie, prawo chemiczne stosunków stałych i stosunków wielokrotnych; prawo stosunków stałych głosi, „iż dwa ciała, aby utworzyć ten sam związek, łączą się zawsze w tym samym stosunku“; prawo stosunków wielokrotnych głosi, iż „gdy dwa ciała łączą się w rozmaitych proporcjach, aby utworzyć kilka rozmaitych

---

<sup>1)</sup> Lapparent: „Science et apologetique“, str. III (wyd. r. 1908).

<sup>2)</sup> Gazy doskonałe są gazy znajdujące się w warunkach dostatecznie oddalonych od tych, przy których przeszłyby w płyn.

związków, to zawsze zachodzi prosty stosunek między rozmaitemi ilościami jednego z nich, które się łączą z tą samą ilością wagi drugiego“.

(L. Troost et Ed. Péchard: „Traité élémentaire de chimie“, 1905.)

---

## ROZDZIAŁ II.

### Kilka uwag wstępnych o celowości we wszechświecie.

---

Wszystko to, co jest pożyteczne w świetle istnienia, utrzymania, powstania i rozwoju przejawów porządku kosmicznego, możemy nazwać celowem. I otóż, jeśli w podziw wprowadza nas pełnia, bogactwo i żywotność porządku kosmicznego, podziw ten znacznie się jeszcze zwiększy, gdy się zastanowimy nad rozmaitymi przejawami celowości kosmicznej jako takiej, gdy będziemy badać zjawiska, procesy i konstelacje elementów we wszechświecie z punktu widzenia ich pożyteczności dla porządku kosmicznego. Wprowadzając tu obok pojęcia porządku kosmicznego pojęcia celowości kosmicznej, należy zaraz dodać, iż przejaw celowości może sam być jednocześnie prze-

jawem porządku kosmicznego<sup>1)</sup>); to samo zjawisko, ten sam proces, ta sama konstelacya elementów może być jednocześnie przejawem celowości zarówno jak i przejawem porządku kosmicznego; lecz gdy, nazywając coś porządkiem kosmicznym, ma się na myśli jego prawidłowość, jego podporządkowanie pod pewien specyficzny prawidłowy typ, nazywając to coś celowością, będzie się miało na myśli jego charakter utylitarny z punktu widzenia dobra przejawów porządku kosmicznego, jeśli można się tak wyrazić.

Z drugiej strony atoli zaznaczyć tu należy, że przejaw porządku kosmicznego może nie mieć żadnego specjalnego znaczenia z punktu widzenia utrzymania i rozwoju porządku kosmicznego, może nie być równocześnie przejawem celowości kosmicznej. Jako przykład posłużyć nam mogą cechy czysto organizacyjne spotykane u istot żywych, obojętne same przez się dla dobra życia, a które mogą być li tylko uważane jako przejawy porządku kosmicznego w organizmach. Jako przykład takiej czysto organizacyjnej cechy może nam posłużyć liczba nóg, ramion i t. p. narządów u zwierząt: „Nie można oznaczyć jako celowe — słusznie mówi prof. Jensen — iż owady (Alexapoda) posiadają właśnie 3 pary nóg, Dekapoda 5 par, inne 8 par, Myriapoda dowolne znowu liczby, że

---

<sup>1)</sup> Atoli nie zawsze: deszcz np. może być zjawiskiem celowym, ale nie można go uważać jako przejaw porządku kosmicznego.

dalej gwiazdy morskie posiadają właśnie 5 ramien i t. p. Czyż owady z 4 parami nóg, inne z 6 parami, gwiazdy morskie z 4 albo 6 ramionami byłyby mniej celowo zbudowane?<sup>1)</sup>

Atoli, choć nieprzebranem jest bogactwo przejawów porządku i celowości we wszechświecie, nie wszystko co spotykamy we wszechświecie podpada pod kategorię przejawów porządku lub celowości; i we wszechświecie spotykamy również to, cobyśmy nazwać mogli „irracyonalizmami kosmicznymi“, które najbardziej stosunkowo rzucają się w oczy w świecie organicznym; jako przykład takiego irracyonalizmu posłużyć nam może okoliczność, iż u pewnych skorupiaków po odcięciu oka wraz z szypułką, na której ono spoczywa, nie regeneruje się częstokroć oko, lecz wytwarza się w jego miejsce narząd o typowej budowie czułka<sup>2)</sup>. Jest wprost niemożliwem wskazać podobnemu faktowi jakąkolwiek rację bytu z punktu widzenia i utrzymania i rozwoju porządku kosmicznego (w danym razie życia), uważać go jako przejaw celowości lub porządku.

Istnienie tego rodzaju irracyonalizmów jest atoli jakby kroplą w morzu w stosunku do bogactwa przejawów porządku i celowości we wszechświecie, posiada ono charakter zjawiska

---

<sup>1)</sup> Jensen: „Organische Zweckmässigkeit...“ (1907) str. 9.

<sup>2)</sup> Por. Nusbaum: „Szlakami wiedzy“, 1909 r., str. 418.

przypadkowego we wszechświecie, gdy tymczasem przejawy porządku i celowości są właściwie tem, co wyciska piętno charakterystyczne na wszechświecie. Do wprowadzenia jednej atoli modyfikacyi w naszym zapatrywaniu na porządek i celowość kosmiczne zmusza nas istnienie tych irracyonalizmów, a mianowicie zmusza ono nas do stwierdzenia, że istnienie i powstawanie celowości i porządku kosmicznych nie są jakimś bezwzględnem prawem przyrody, które nie znosi wyjątków, ale raczej szeroko obserwowanem prawidłem, iż we wszechświecie nie istnieje bezwzględne, lecz tylko względne panowanie porządku i celowości.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### **Celowość w świecie organicznym.**

---

Przystąpmy teraz do bliższego zaznajomienia się z owemi celowościami kosmicznemi; zatrzymajmy się przedewszystkiem na tem, co w poszczególnych organizmach jako takich jest pożyteczne t. j. celowe z punktu widzenia rozwoju i utrzymania życia osobnikowego zarówno jak i gatunkowego, czyli z punktu widzenia utrzymania i rozwoju porządku kosmicznego, przejawiającego się pod postacią życia.



W poszczególnych organizmach spotykamy cały zastęp takich celowości życiowych.

Nim atoli przystąpię do wyliczenia ważniejszych przejawów celowości w organizmach, chciałbym zaznaczyć, iż w pewnych poszczególnych okolicznościach dany przejaw „celowości organicznej“ może stać się źródłem zjawisk szkodliwych dla dobra życia: n. p. dziedziczność może być źródłem odziedziczenia zboczeń patologicznych. Tem niemniej tak poszczególny szkodliwy skutek danej własności, danego urządzenia organicznego, skądinąd uważanego jako coś pożytecznego, nie zmienia faktu, iż z punktu widzenia ogólniejszego dane urządzenie, dana własność są zjawiskiem celowym, dzięki któremu „życie“ osiąga wiele korzyści sownie wynagradzających szkody, jakie w poszczególnych wypadkach dana własność lub dane urządzenie wyrządzić mogą, zjawiskiem, które dlatego zasługuje w zupełności na miano celowości organicznej; odziedziczenie n. p. zboczeń patologicznych w poszczególnym wypadku nie zmienia faktu, iż uważana jako zjawisko ogólne dziedziczność, gwarantuje przekazanie dzieciom cech pożytecznych rodziców, gwarantuje przez to możliwość istnienia i rozwoju życia i jest dlatego zjawiskiem wysoce pożytecznym, celowym, z punktu widzenia dobro życia i sownie wynagradzającym światowi organicznemu szkody wyrządzone przez odziedziczenie w poszczególnych wypadkach zboczeń patologicznych. Dodać tylko

musimy, iż występowanie w poszczególnych wypadkach takich szkodliwych skutków danej własności lub urządzenia organicznego, które skądinąd uważać musimy jako celowe, zmusza nas do uważania danej własności lub urządzenia jako przejawu celowości względnej, a nie bezwzględnej, doskonałej; musimy tu dla pojedynczych wypadków uczynić podobne zastrzeżenie jak te, które ze względu na ogólny fakt istnienia „irracyonalizmów kosmicznych“ uczynić musieliśmy w stosunku do celowości i porządku kosmicznych, pojętych jako zjawisko ogólne, kiedy mówiliśmy że panowanie porządku i celowości we wszechświecie nie jest bezwzględne, lecz tylko względne.

Mając do czynienia z takimi w poszczególnych wypadkach wydarzającymi się szkodliwymi dla życia skutkami tego, co skądinąd uważać musimy jako celowość organiczną, nie należy nam przeceniać tych poszczególnych faktów w stosunku do ogólnego znaczenia danego zjawiska, lecz należy przede wszystkim mieć na oku to ogólne znaczenie zjawiska i z tego ogólniejszego punktu widzenia, ogarniającego całość zjawiska, osądzać wartość tego ostatniego. Słusznie też mówi w danej kwestyi botanik niemiecki A. Wagner: „W kwestyach tego rodzaju nie trzeba zbytnio zagłębiać się w szczegóły. Kwestye tego rodzaju mogą być rozpatrywane li tylko, aby się tak wyrazić, z punktu widzenia perspektywy ptaka. Kto w szczególności w naukach przyrodniczych

zbyt wiele wagi kładzie na specjalne fakty pojedyncze, ten w ogólnych swych wnioskach wkracza często na fałszywe drogi. Nie należy mianowicie pozwalać sobie szablonowania i bezmyślnego uogólniania. Fakt pojedynczy może mieć nieobliczalne znaczenie; ale równie dobrze może on być bez wszelkiego znaczenia, gdy zostanie włączony w ramy ogólnego stawiania się i tam będzie rozpatrywany. A to jest decydującem. Przyroda jest czemś bardzo skomplikowanym i maszyneryi jej z jednego punktu ogarnąć nie można. Tylko gdy spoglądamy z wysokości, z wysokości, która nam czyni dostępny rzut oka na kręgi wiedzy, nie graniczące bezpośrednio z ciaśniejszym kręgiem własnej pracy, możemy mieć nadzieję, iż w sądach naszych sprostamy do pewnego stopnia przyrodzie. A przecież do tego dążymy jako badacze przyrody! O ile niezbędnem i zasadniczo ważnem jest badanie poszczególnych faktów z ściśle surowym podziałem pracy — biegun przeciwny do niego stanowi pedanteryjna drobiazgowość, która po większej części wpada w podwójny zgubny błąd, a mianowicie uważa każdy fakt poszczególny jako jednakowo ważny i chce zająć się wyświeetleniem zagadnień ogólnych, biorąc za punkt wyjścia ograniczony krąg faktów<sup>1)</sup>.

Przystąpmy teraz po tej ogólnej uwadze

<sup>1)</sup> A. Wagner: „Streifzüge durch das Forschungsgebiet der modernen Pflanzenkunde“, 1907, str. 69.

do poszczególnych przejawów celowości w poszczególnych organizmach<sup>1)</sup>).

Jako na przykład celowości w organizmie wskazać możemy przede wszystkim na zasadnicze własności materji żywej, jak assymilacya, rozmnażanie się w połączeniu z dziedzicznością, zdolność do korzystnego dla życia reagowania na rozmaite podniety zewnętrzne, o ile te ostatnie nie przekraczają pewnych granic i t. p. inne własności, bez których życie wogóle istnieć i rozwijać by się nie mogło, zarówno jak i na zasadnicze zjawiska psychiczne spotkane u istot żywych, z których życie tak wielkie ciągnie korzyści, jak np. spostrzeganie podmiotów zewnętrznych, chcenie, wnioskowanie, rozmaite uczucia i t. d.; co się tyczy tych ostatnich to n. p. głód i pragnienie uprzedzają o potrzebie wzięcia pożywienia, uczucie zmęczenia ostrzega przed przemęczeniem, uczucie zadowolenia uprzedza o odpowiednich warunkach istnienia, uczucie zaś strachu n. p. i ból, w najrozmaitszych swych odcieniach, ostrzegają przed szkodliwymi warunkami istnienia.

---

<sup>1)</sup> W zestawieniu przykładów w niniejszym rozdziale posługiwałem się przeważnie następującymi dziełami:

„Z teki biologa“, „Szlakami wiedzy“.

„Rozwój świata zwierzęcego“, t. I.

„Wiadomości początkowe z historii“ prof. J. Nusbauuma, Hilarowicza; „Selektionsprinzip“ (1908), prof. Platego.

„The Science and Philosophy of the Organism“ 1907, T. I. H. Driescha.

Dla uzupełnienia powyższych uwag o uczuciach chciałbym tu jeszcze przytoczyć zdanie o celowości bólu, ogłoszone przez jednego z wybitniejszych fizyologów współczesnych, prof. Richet. Prof. Richet pisze: „Pozostać zatem uporczywie przy mniemaniu, narażając się bodaj na zarzut, iż uprawiam fizyologię przedhistoryczną, iż ból ma rację bytu, ma przyczynę celową.

Iżby wszystkie cierpienia były pożyteczne dla tego lub innego osobnika, tego nie utrzymywałem nigdy. Wystarcza przejść przez ból zębów, aby dojść do przekonania, iż są cierpienia straszliwie niepotrzebne. Nie chodzi atoli o bóle, chodzi o ból, innemi słowy o wrażliwość (*sensibilité*).

Pozbawione wrażliwości istoty nie mogłyby opierać się uszkodzeniom ze strony świata zewnętrznego, gdyby nie miały dla ostrzegania ich tej warty życia, która je opieką otacza. Gdy się przecięło zwierzęciu nerw piątej pory, który warunkuje wrażliwość oka, kontakt oka z przedmiotami zewnętrznymi nie wywołuje już żadnej reakcyi wrażliwości; ale zwierzę wtedy już się nie broni; po upływie 3 lub 4 dni zraniona rogówka jątrzy się i oko jest stracone.

Gdyby jedynie rozum nasz mógł nas chronić od skaleczeń, zmęczeń, zatruc, niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju, nie byłoby już prawdopodobnie ludzi po upływie  $\frac{1}{2}$  tygodnia. Umysł dziesięć razy potężniejszy od naszego

nie mógłby dostarczyć dość roztropności i ostrożności, aby uniknąć oblegających nas niebezpieczeństw. Wrażliwość naszej skóry, tak subtelna i zawsze czujna, dorównywa swą wartością wszystkim najuczeńszym wnioskom i nie istnieje dla uniknięcia niebezpieczeństwa sylogizmu wymowniejszego od bólu oparzenia, ukąszenia lub stłuczenia.

A istoty pozbawione rozumu czyż mogłyby uniknąć niebezpieczeństwu inaczej, jak dzięki temu, iż posiadają jakieś nieokreślone poczucie bólu, które jest o wiele skuteczniejsze dla uniknięcia złego od dokładnego zrozumienia rzeczy?

Niepodobna zatem zaprzeczyć czterem następującym założeniom, zawierającym całą teorię celowości bólu:

1. Ból jest wywołany silną podniętą.
2. Każda silna podnieta jest zgubna dla życia istot i niszczy ich tkanki.
3. Ból działa na świadomość w taki sposób, iż usiłujemy uniknąć go.
4. A zatem, usiłujemy uniknąć podniet silnych, które przynoszą szkodę naszym organom i naszym tkankom<sup>1)</sup>.

Celowość przejawia się jeszcze w organizmie w tem, iż składa się on z rozmaitych poszczególnych części, biorących współdział w utrzymaniu życia, bądź przez sam fakt swej obecności, bądź przez spełnianie specjalnych

---

<sup>1)</sup> „Le problème des causes finales“ par Sully Prudhomme et Richet (1902), str. 16—17.



czynności, zarówno jak i w tem, iż te poszczególne części są zespolone fizyologicznie i morfologicznie w jedną harmonijną całość.

Dobre scharakteryzowanie tego harmonijnego zespolenia znajdujemy w następującej uwadze, zaczerpniętej z dzieła prof. Plate, „Selektionsprinzip“: „Wszystkie organa są wzajemnie dostosowane; między nimi istnieje celowa morfologiczna i fizyologiczna korelacja, dzięki której wzrost odbywa się harmonijnie, i każda normalnie ukonstytuowana część czerpie ze krwi te tylko substancje i w takiej ilości, jak to jest dla niej wyznaczone. Nerka, np. czerpie związki zawierające azot, które zostały wydalone przez inne organy i przyczynia się do wydalenia ich na zewnątrz. Krew zdrowego człowieka powinna mieć pewną określoną zawartość cukru, a mianowicie podług Bungego do 10 gr. Ilość ta pozostaje taką samą, nawet gdy w krótszym czasie kilka set gramów dostaje się z jelit do krwi, albowiem nadmiar pozostaje złożonym w wątrobie i w mięśniach, w części jako glikogen i w części jako tłuszcz. Gdy te organa są przesycone, to nerki wydają nadmiar cukru. Gdy zbyt mało cukru znajduje się we krwi, to na odwrót glikogen wątroby i mięśni zostaje przemieniony w cukier i wreszcie to samo może mieć miejsce z tłuszczem. Wątroba zatem kontroluje i utrzymuje odpowiednią zawartość cukru we krwi i, jak się zdaje, niezależnie od wpływu systemu nerwowego.



Zwierzęta o ciepłej krwi utrzymują temperaturę ciała na tej samej wysokości pomimo zmian w cieple zewnętrznym. U najwyższych zwierząt, u kręgowców, korelacja osiąga najwyższego stopnia; wszystkie organa są tam zależne w swych najważniejszych czynnościach od centralnego systemu nerwowego i ten ostatni łączy je w jedną całość i rządzi niemi. Również i w stosunku do formy i położenia sąsiednie organa wywierają tego rodzaju wpływ jedne na drugie, iż sobie wzajemnie nie przeszkadzają i że każdy może wykonać swą funkcję; płuca owcy pomimo dużego morfologicznego podobieństwa nie nadawałyby do klatki piersiowej kozy. Jeżeli w pewnej części ciała kości osiągają specjalną długość, to na ogół powiększają się w odpowiedni sposób mięśnie, naczynia krwionośne i nerwy<sup>1)</sup>).

Dalej jako na przejaw celowości w organizmie wskazać możemy na przystosowanie poszczególnych jego części do wymagań ich specjalnej funkcji i tak n. p. w kościach beleczki istoty gąbczastej są ułożone w kierunku największego ciśnienia lub ciągnięcia, dzięki czemu kość przy możliwie małej wadze otrzymać może możliwie wielką wytrzymałość. Innego ciekawego przykładu tego rodzaju dostarczyć nam mogą między innymi pióra ptasie, w których chorągiewka, zbudowana z osi głównej, promieni, promyków i haczyków włó-

---

<sup>1)</sup> Plate: „Selektionsprinzip“, str. 14, (1908)

sistych, osiąga dzięki takiej budowie wielką lekkość i jednocześnie stawia należyty opór powietrzu podczas lotu ptaka, co wszystko ułatwia latanie<sup>1)</sup>); a dodać tu jeszcze można, iż kości ptaka dzięki temu, iż są powietrzem wypełnione, są daleko lżejsze od kości ssaków i są zatem doskonale do lotu przystosowane.

Bardzo ciekawych przykładów urządzeń celowych dostarcza nam cały zastęp refleksów, czyli odruchów, t. j. ruchów, które powstają automatycznie bez woli istoty żywej pod wpływem podniet zewnętrznych. Jako przykłady celowych refleksów posłużyć nam mogą: odruchowe zamykanie się powiek pod wpływem podrażnienia oka, kurczenia się źrenicy przy zbyt silnem świetle, wstrząsanie się odruchowe u wielu ssących pod wpływem podrażnienia skóry przez owady na niej siadające, dzięki czemu napastnicy zostają odpędzani, wreszcie odruchy takie, jak kichanie, kaszlenie i wymioty, dzięki którym organizm pozbywać się może szkodliwych substancji.

Nadzwyczaj charakterystycznych przykładów przejawów celowości w organizmach dostarczyć nam mogą instynkty, które służą albo do utrzymania życia danego osobnika, u jakiego się przejawiają, albo do utrzymania życia gatunku; wystarczy tu wspomnieć o instynktach ptaków wędrownych, o budowie gniazd i rozmaitych instynktach dotyczących pieczy o po-

<sup>1)</sup> Por. Nusbaum: „Z teki biologa“, III.

tomstwo, o przygotowywaniu pajęczyn przez pająki, o rozmaitych instynktach, zapewniających wyżywienie danego organizmu, u którego te instynkty się przejawiają.

Tutaj też wspomnieć należy o poszczególnych celowych czynnościach istoty żywej psychicznie uwarunkowanych, ale uskutecznionych bez zamierzenia przez istotę żywą osiągnięcia tego, co z punktu widzenia teleologicznego uważać należy jako rzeczywisty cel danej czynności, a mianowicie obiektywnego dobra życia; stąd to czynności te można uważać jako instynktowne tylko w szerszem tego słowa znaczeniu; należą do tej kategorii rozmaite czynności celowe, odbywające się na podstawie asocjacji.

Należy wspomnieć jeszcze o przejawach celowości leczniczej w organizmach, polegającej na zdolności organizmu do samouzdraviania się, do pokonywania szkodliwych wpływów czynników zewnętrznych, o ile te ostatnie nie przekraczają pewnej normy. W organizmach znajdujemy bardzo liczne takie urządzenia samoochronne lecznicze. Tak np. drobnoustroje chorobotwórcze, dostające się do organizmu, zostają niszczone, zjadane przez komórki wędrujące, tak zwane fagocyty (leukocyty) lub przez ciała chemiczne, zwane antytoksynami. Jako przejaw celowości leczniczej wymienić dalej można kompensacyjne zastępowanie chorego albo usuniętego organu jednej połowy ciała w spełnianiu jego czyn-

ności przez zdrowy organ drugiej połowy ciała, (jako przykład wymienić tu można kompensacyjny wzrost nerki jednej połowy ciała i zastępowanie przez nią w znacznej mierze funkcji drugiej brakującej nerki), albo także zastępowanie chorej lub usuniętej części organu przez zdrową jego część, tak np. u człowieka po usunięciu żołądka jelita mogą wziąć całkowicie na siebie trawienie, przyczem zauważono przybytek wagi aż do 20 funtów. Na tem miejscu też wymienić możemy stopniowe przyzwyczajanie się do szkodliwych wpływów jak mróz, gorąco, trucizny i t. d.; tak np., gdy będziemy działać na świnki morskie słabym jadem dyfterytowym, to później będą one mogły znieść daleko silniejsze dozy; tego rodzaju zdobyte odpornienia spotykamy również u człowieka w stosunku do chorób zakaźnych, jak np. szkarlatyna, ospa i t. d. Nareszcie wskazać możemy jeszcze jako na przejaw celowości leczniczej w organizmach na restytucję utraconych części ciała lub normalnej budowy po jej uszkodzeniu; tak np. traszkom odrastają doskonale odcięte nóżki i ogon, u jaszczórek ogon odradza się bardzo łatwo, młodym rybkom można odciąć tylną połowę ciała aż po odbyt i nawet z częścią jelita odbytowego, a młodziutka rybka po kilku tygodniach odtworzy całość<sup>1)</sup>; najciekawszych

<sup>1)</sup> Taką restytucję u młodych rybek wykazano w pracowni prof. J. Nusbauma na młodych postaciach pstrągów.

starczą nam zwierzęta niższe, tak np. dowolny, tylko nie zbyt mały kawałek górnej części ciała żachwy (*Ascidia*) *Clavelliny*, (części ciała, zawierającej narząd oddechowy i otwór do wprowadzania i wycieku wody) może odtworzyć małą lecz całkowitą *Clavellinę* i *Stentora*, jednego z największych wymoczków; przy podziale na dwie lub kilka części, każda taka część, o ile oprócz zarodki zawiera część jądra, odtworzy całość; dżdżownicze (*Lumbriculus*) można sztucznie rozciąć ciało w poprzek na kilkanaście części, z których każda odtworzy całość. Dodać tu należy, iż zdolność do restytucji ma nie tylko doniosłe lecznicze znaczenie dla poszczególnych osobników, ale w pewnych wypadkach może ona mieć i bezpośrednie znaczenie dla zachowania gatunku, mianowicie wtedy, kiedy w razie podzielenia organizmu na części, każda taka część wytworzy nowy całkowity organizm.

Na uwagę zasługuje tu jeszcze, jako zjawisko blisko związane z celowością leczniczą celowe regulowanie się organizmów w zużywaniu własnych materiałów w razie poszczenia, to jest w razie zupełnej nieobecności wszelkich pokarmowych materiałów, regulowanie się, polegające na tem, iż, po zużyciu rezerw, tkanki najmniej ważne dla życia, podlegają naprzód zniszczeniu, a najbardziej ważne, podlegają mu ostatnie; u kręgowców np. komórki nerwowe i serce pozostają zachowane możli-

wie długo, a u wymoczków to samo ma miejsce z jądrem.

Jako zjawisko celowe należy również uważać zdolność znacznej ilości aktywnie czynnych organów, a mianowicie mięśni i gruczołów, do wzmacniania się i do zwiększania dzięki temu swej zdolności do pracy pod wpływem podniety, którą stanowi dla nich ich specyficzna funkcyja, występująca pod wpływem użycia, zarówno jak i zdolność tychże organów do zaniku pod wpływem braku takiej funkcyjonalnej podniety czyli pod wpływem braku użycia. Zdolność powyższa ma wielkie znaczenie z punktu widzenia przystosowywania się organizmów do warunków życia, co też czyni z niej zdolność pożyteczną, celową.

Celowość w organizmie przejawia się jeszcze w szczególności w procesach rozwojowych do ogólnego zadania t. j. do wytworzenia kompletnego organizmu i w harmonijnem, wzajemnem skoordynowaniu tych procesów. Z punktu widzenia wzajemnego skoordynowania procesów morfogenetycznych jest ciekawem do zaznaczenia, iż często części składane organizmu, które później razem funkcjonują, rozwijają się zupełnie niezależnie, lecz harmonijnie.

Co się jeszcze tyczy autogenezy, to na szczególną uwagę z punktu widzenia celowości zasługuje również spotykane w pewnych wypadkach specjalne wzajemne przystosowanie dwóch oddzielnych części A i B rozwijającego



się organizmu; na tej zasadzie B odpowiada w ten sposób na działanie nań A, iż jako wynik reakcyi ma miejsce pojawienie się nowej części organizmu; tego rodzaju celowe przystosowanie istnieje np. u kręgowców między rosnącym pęcherzem ocznym i zewnętrznym listkiem zarodkowym (ektoderma), który pod wpływem działania pęcherza wytwarza soczewkę oczną.

Dodać tu należy, że sama morfogeneza jako taka jest zjawiskiem celowym, albowiem przed postacią autogenezy normalnej służy do wytwarzania nowych skomplikowanych postaci organicznych, a w procesach restytucyi służy ona do utrzymania przy życiu już istniejących organizmów.

Bardzo ciekawą grupą urządzeń celowych stanowią urządzenia, mające na celu utrzymanie życia gatunku; do tej kategorii należą organy rozsadcze, instynkt płciowy, rozmaite instynkty macierzyńskie, zmierzające do zabezpieczenia życia potomkom, rozmaite urządzenia gwarantujące wytwarzanie dość licznych i w odpowiednie odżywcze substancje zaopatrzonych komórek rozrodczych, rozmaite urządzenia ułatwiające kopulację (organy kopulacyjne, kolory, zapachy, dźwięki do przyciągania drugiej płci i t. p.).

Dla bliższego zaznajomienia czytelnika choć z niektórymi przejawami tych tak niezmiernie ważnych celowości reprodukcyjnych, zatrzymam się tu nieco dłużej na celowościach,



dotyczących składania i pielęgnowania jaj i pielęgnowania młodych<sup>1)</sup>. Zatrzymajmy się przede wszystkim na przykładach, w których matka zabezpiecza wyżywienie swego potomstwa. Galasówki np. umieszczają swe jaja w tkance roślinnej, nakłótej przez nie; ona to dzięki temu ulega patologicznemu rozrostowi w postaci narośli, orzeszków i t. p. a młode rozwijające się z jaj znajdują właśnie pożywienie w tkance galasów. Motyle, jak wiadomo, znoszą jaja na te tylko rośliny, których liśćmi żywią się gąsienice wylęgłe z ich jaj. Muchy plujki i inne gatunki (*Sarcophaga carnaria*, *Lucilia Ceasar* i inne) znoszą jaja na mięsie trupów lub do otwartych ran zwierzęcych, dzięki czemu gąsienice (czerwie) mają zaraz pokarm stosowny. Grabarze (*Necrophorus*) składają jaja na trupach mniejszych zwierząt, zakopanych wspólnymi siłami i tym sposobem zabezpieczają gąsienicom pożywienie. Zbliżone do os gąsieniczniki (*Ichneumonidae*) składają jaja przez nakłucie do ciała innych owadów, najczęściej w gąsienice motyli, przyczem wewnątrz ciała ofiary służy jako pokarm wylęgającym się z tych jaj małym gąsieniczkom. Inne znów, do tejże grupy należące owady, grzebacze (*Fossoria*) mają zdolność nakłuwania pewnych gąsienic, pajaków lub innych owadów w jeden ze zwojów nerwowych; ukłuta w ten sposób ofiara zachowuje życie,

---

<sup>1)</sup> Przykłady tu przytoczone czerpię z dzieła prof. Nusbauma: „Rozwój świata zwierzęcego“, t. I, str. 178.

lecz traci możność poruszania się, zostaje niejako porażona; i rabuś zanosi ją do swego gniazda podziemnego, gdzie składa jaja, poczem opuszcza gniazdo i zamurowuje jego otwór; gąsieniczki, które się wylęgną z jaj, znajdują zatem świeży, żywy pokarm a zarazem też i bezpieczeństwo ich jest zapewnione przez unieruchomienie pożeranych żywicieli.

Pieczołowitość rodziców dla jaj i młodych osiąga wyższy jeszcze stopień rozwoju, gdy potomstwo zostaje pomieszczane w specjalnych gniazdach, niekiedy nadzwyczaj kunsztownych; należą tu gniazda os, goremszkowate gniazda ziemne trzmieli, plastry woskowe pszczół a przede wszystkim gniazda ptaków.

A oto jeszcze kilka innych ciekawych przykładów pieczołowitości zwierząt o jaja i młode, zapewniającej jajom lub młodym odpowiednie pomieszczenie. Pijawka nasza, *Clepsine*, składa jaja pod swe ciało i siedzi na nich, przyczem brzuszna jej strona ciała jest przytwierdzona do liścia lub do łodygi rośliny wodnej; po wylęgnięciu młode przez długi czas pozostają przyczepione u brzusznej ściany ciała matki, która wypukła się dzwonkowato ku górze, dzięki czemu pod jej brzuchem tworzy się obszerna jama w której mieszczą się młode. U niektórych skorupiaków wytwarza się z blaszkowatych przysadek odnoży tułowiowych szczególna jama lęgowa wypełniona jajami. Rzadkie ale ciekawe są przejawy pielęgnowania jaj u ryb. U ryby zrosłoskrzelnej *Soleni-*

stoma pletwy brzuszne, zrastają się, tworzą rodzaj kieszeni leżącej dla jaj; samica ryby sumowatej *Aspredon laevis* z Surynamu, posiada na większej części brzusznej powierzchni swego ciała rodzaj gąbczastej tkanki, służącej do przytwierdzenia jaj; po złożeniu jaj ryba ta kładzie się na nie brzusznią powierzchnią ciała i dzięki temu jaja przytwierdzają się do skóry matki, do brzucha i pletw a nawet i do skóry w okolicy paszczy; ciekawymi są również wypadki, spotykane u niektórych gatunków ryb, gdzie nie samica lecz samiec pielęgnuje jaja, tak np. samiec niektórych gatunków ryb kostnoszkieletowych, np. cierniki budują gniazda, zapędzają do niego samice i strzegą złożonych przez nią jaj a nawet przez jakiś czas ochraniają młode; u niektórych ryb sumowatych znowu np. w rodzaju *Chromis* samiec bierze jaja do paszczy i ukrywa je tam aż do wylęgu w bardzo obszernej jamie gardzielowej. Różne ciekawe przykłady pielęgnowania jaj i młodych znajdujemy również u płazów, przyczem niekiedy pielęgnowanie dokonuje się przez samca; aby poprzestać na jednym przykładzie, powiem, iż samiec ropuchy południowo amerykańskiej *Rhinoderma Darwini* ukrywa przez pewien czas jaja oraz młode w specjalnym worku, tworzącym wypuklinę na brzusznej stronie gardzieli.

Co się jeszcze tyczy pomieszczenia u zwierząt żyworodnych, rozwijających się jaj i zarodków w przewodach narządów płciowych

żeńskich, to wzmiankować należy, iż w tych narządach wytwarzają się zwykle w tym celu specjalne rozszerzenia najczęściej zwane macicą.

Zasługuje również na uwagę okoliczność, iż u pewnych żarłaczy (ryby) ściana t. zw. pęcherza żółtkowego jaje tworzy, wchodząc w ścisły związek ze ścianą macicy, t. zw. łożysko pęcherzowo-żółtkowe umożliwiające lepsze odżywianie płodu; na uwagę zasługuje jeszcze tak bardzo rozpowszechniony u ssaków specjalny przyrząd, właściwe łożysko (placenta) pośrednicząca w połączeniu płodu ze ścianą macicy i w jego odżywianiu.

Powyższe przykłady świadczą wymownie o wielkiej pomysłowości i różnaitości narzędzi, za pomocą których życie gatunku zostaje zabezpieczone.

Dodać tu musimy jeszcze, iż samą reprodukcję uważać należy jako zjawisko celowe, jest ona bowiem czynnikiem umożliwiającym życie zarówno jak i rozwój gatunków. Słusznie też mówi profesor Jensen: „Jest jasnem jak na dłoni, iż zdolność do rozmnażania się jest nadzwyczaj celową własnością organizmów. Przez rozłożenie systemu organicznego na większą ilość takich systemów powiększają się na ogół widoki utrzymania tego gatunku systemów<sup>1)</sup>).

Pominęliśmy dotychczas milczeniem jedno zjawisko niezmiernie wielką rolę w świecie

---

<sup>1)</sup> Jensen: Organische Zweckmässigkeit, str. 165.

organicznym odgrywające — śmierć osobników. Otóż i ta śmierć osobników, jak na to słuszenie zwraca uwagę prof. J. Nusbaum — „jest również tylko cudownem urządzeniem biologicznem, umożliwiającem bytowanie i rozwój rodowy gatunków“<sup>1)</sup>). Dzięki śmierci osobników bowiem liczba istot pojawiających się na danem ciele niebieskiem może się wciąż powiększać, a dzięki temu rozwój gatunkowy może mieć do swojej dyspozycji nieokreślenie daleko większą ilość materiału do urzeczywistnienia nowych form organicznych, niż byłby miał bez istnienia śmierci; z drugiej zaś strony śmierć, wytępiając przedewszystkiem osobniki upośledzone i usuwając ich przez to w części przynajmniej od współudziału w rozmnażaniu się gatunku, współdziała do chronienia tegoż od zwyrodnienia.

Należy wreszcie wspomnieć jako o jednym z ciekawych przejawów celowości w organizmie, o przystosowaniach do środowiska spotykanych w organizmach, przystosowaniach, które mogą przejawiać się w występowaniu specjalnych celowych urządzeń, albo też w specjalnem ukształtowaniu (modyfikacji) rozmaitych urządzeń, jakiebysmy zaliczyć mogli do rozmaitych z wyżej przytoczonych kategorii celowości organicznych.

Aby się nieco bliżej zaznajomić z przystosowaniami do warunków świata zewnętrznego, spotykanymi w organizmach, weźmiemy jako

<sup>1)</sup> Nusbaum: „Szlakami wiedzy“, 1909, str. 393.

przykład takie przystosowanie do życia w głębi morskiej, przystosowanie nader charakterystyczne i ciekawe<sup>1)</sup>). Nim zaznajomimy czytelnika z owymi przystosowaniami, musimy naprzód powiedzieć kilka słów o warunkach, panujących w tych otchłaniach. Przeciętna głębokość oceanów wynosi 3440 metrów, ale w pewnych miejscach głębia ta jest znacznie większą i może więcej niż dwa razy przewyższać ową liczbę przeciętną. Otóż, zważywszy, jak ogromnym jest ciężar słupa wody mającego kilka tysięcy metrów, pojmemy, jak olbrzymie ciśnienie panuje w otchłaniach morskich. Oprócz tego należy zauważyć, iż w wielkich głębokościach nie ma ani prądów, ani też działania fal i woda znajduje się tam w stanie nadzwyczajnego spokoju. Co się zaś tyczy światła, to w znacznych bardzo głębokościach, zupełna panuje ciemność, do mniejszych zaś głębokości przenikają tylko zielone promienie słońca i światło jest tam zielonawe. Otóż u istot, żyjących w głębiach morskich znajdujemy liczne przystosowania do wyżej wymienionych i innych jeszcze warunków życia, o których nie wspominaliśmy tutaj. I tak w związku z ogromnem ciśnieniem zewnętrznem, rozmaite ciecze i gazy w ciele ryb otchłani morskich wywierają od wnętrza ciśnienie równoważące ciśnienie zewnętrzne;

---

<sup>1)</sup> Przykłady tych przystosowań czerpię z książki prof. Nusbauma: „Wiadomości początkowe z biologii“.



dlatego też, gdy rybę przystosowaną do wielkiego ciśnienia w otchłaniach, wydobędziemy na powierzchnię morza, gdzie ciśnienie jest o wiele mniejsze, wówczas rozprężające się gazy spowodują pęknięcie ciała; u ryb takich pęcherz pławny i część przewodu pokarmowego zostają zazwyczaj wyrzucane na zewnątrz przez usta, pęcherz zazwyczaj pęka, oczy wychodzą prawie z oczodołów — zjawiska, z których każde z osobna wskazuje, jak doskonale ryba jest przystosowaną do wielkiego ciśnienia w otchłaniach. Jako przejaw tego przystosowania również należy uważać okoliczność, iż u ryb głębinowych mięśnie są bardzo miękkie, galaretowate i zawierają wiele wodnistych substancji; podlegając ogromnemu uciskowi ze wszystkich stron, mięśnie te w głębinach morza są o tyle zbite i spoiste, że mogą należycie wykonywać swe czynności; gdy zaś ryba zostaje wydobyta na powierzchnię morza, mięśnie te prawie że się rozplývają. Charakterystyczne przystosowanie do nadzwyczajnego spokoju wody, panującego w otchłaniach, przejawia się w odnóżach i różkach skorupiaków głębinowych, nader długich i cienkich. Takie odnoża byłyby wprost szkodliwe skorupiakowi w wodzie, gdzie panują prądy lub fale; w głębiach zaś służą mu one doskonale; stąpa on nimi po grubej warstwie mułu, znajdującej się na dnie morskiem, jakby na wysokich szczudłach. Oprócz tego może skorupiak macać dokoła swemi długimi od-



nożami i różkami, które w ten sposób w części odgrywają dla skorupiaka rolę narządów dotykowych, co jest bardzo ważne ze względu na częściowy lub zupełny brak światła na dnie morskiem i na zanik oczu, albo bardzo słaby ich rozwój u skorupiaka. W związku z tem, iż w głębiach morskich panuje zmrok lub półzmrok wieczny lub też przenikają tylko zielonawe promienie światła, zwierzęta głębinowe są ciemne, szare, lub też czerwone albo pomarańczowe, a te czerwone lub pomarańczowe zwierzęta wydają się tam zupełnie ciemne, albowiem czerwone i pomarańczowe promienie nie przenikają do wielkich otchłani; takiego rodzaju ubarwienie stanowi doskonale przystosowanie do warunków świetlnych, panujących w głębi morza. Jako przejaw przystosowania do warunków świetlnych, istniejących w głębi morza, należy również uważać zupełną albo częściową utratę oczu u licznych skorupiaków, które się przystosowały do życia w otchłaniach morskich, zarówno jak i ślepotę pewnych ryb i okoliczność, iż inne ryby, żyjące w półmroku, mają oczy bardzo wielkie, o ogromnych stosunkowo źrenicach, ażeby możliwie dużo promieni świetlnych mogło dostać się do wnętrza gałek ocznych; za pomocą tak wielkich oczu ryby te mogą widzieć w półmroku; małe zaś oczy byłyby dla nich zupełnie bezużyteczne. A oto jeszcze jedno bardzo ciekawe przystosowanie do braku światła na dnie morskiem; pewne skorupiaki,

a szczególnie ryby, które posiadają niewielkie oczy, są obdarzone własnością wydawania własnego światła, dzięki czemu same sobie drogę oświetlają; u jednych ryb n. p. znajdujemy z boków ciała szeregi samoświecących guziczków; inne ryby znowu posiadają na głowie szczególne nitkowate wyrostki, wydające światło, a istnieją również gatunki, które posiadają u dolnej szczęki zwieszającą się długą nić zakończoną świecącym zgrubieniem, które nadto usiane jest jakby świecącymi szpileczkami.

W powyższym rozdziale ograniczyliśmy się prawie wyłącznie do samych tylko przykładów, dotyczących świata zwierzęcego; atoli zaznaczyć należy, iż nie mniej wielkie bogactwo przejawów celowości znajdujemy i w świecie roślinnym.

Kończąc ten rozdział zastrzegamy się, iż po pierwsze nie zawiera on żadnej dokładnej klasyfikacji przejawów celowości w organizmie a tylko wyliczenie ciekawszych takich przejawów, a po drugie, że między rozmaitemi kategoriami celowości, na które wskazywaliśmy, niema często żadnej absolutnej granicy, że celowość, należąca do jednej kategorii, może równie dobrze należeć równocześnie jeszcze i do jakiej innej kategorii.

---

## R o z d z i a ł IV.

**Celowość w świecie organicznym.**

(Ciąg dalszy)

Dotychczas braliśmy pod uwagę li tylko celowość przejawiającą się w poszczególnych organizmach; teraz zaś należy zwrócić uwagę na stosunek celowy, zachodzący między rozmaitymi gatunkami istot żywych, ewentualnie między poszczególnymi organizmami, i na specjalne znaczenie istnienia poszczególnych form życiowych w ogólnej ekonomii życia. Należy tu przede wszystkim zatrzymać się na zjawisku symbjozy czyli spółki życiowej, polegającej na tem, iż bardzo często istoty żywe przystosowują się wzajemnie do siebie w ten sposób, iż żyją niejako razem i jedne okazują usługi drugim.

Tego rodzaju symbjozę spotykamy u roślin, u zwierząt, zarówno jak i między roślinami i zwierzętami<sup>1)</sup>.

Przykładu symbjozy u roślin dostarczyć nam mogą porosty, pospolite na korze drzew, skałach, murach, parkanach. Ciało porostów, tak zwana plecha, składa się z włókien grzybów, pośród których zawsze znajdują się kuliste lub nitkowate wodorosty zwłaszcza z rodzaju pierwotku, oponki i innych. Wodorosty te są umieszczone w różnych miejscach

---

<sup>1)</sup> Przykłady symbjozy czerpię z książki prof. Nusbauma: „Wiadomości początkowe z biologii“.

plechy i żyją z grzybami w szczególnej spółce życiowej, polegającej na tem, iż grzyby dostarczają wodorostom wody, którą pobierają z podłoża wraz z rozpuszczonemi w niej solami mineralnemi, i że ze swej strony wodorosty, które zawierają zieleni i przyswajają sobie węgiel z powietrza, oddają nadmiar węgla grzybom. W porostach zatem mamy spółkę życiową dwóch różnych rodzajów roślin, z których jedne należą do grzybów a drugie do porostów, spółkę, w której przejawia się stosunek celowy, łączący ze sobą dwie formy roślinne. Spółce tej oba organizmy zawdzięczają znakiemite środki do życia. Grzyb sam nie może rosnąć na nagiej skale; będąc bowiem pozbawionym chlorofilu, nie pobiera węgla z powietrza i karmi się gotowym pokarmem organicznym; dlatego też sam rosnąć może tylko na rozkładających się lub żywych ciałach organizmów, albo w gruncie, obfitującym w gnijące ciała organiczne. Atoli w spółce z wodorostami grzyb żyć może także na skałach i kamieniach. Wodorosty zaś ze swej strony, które wymagają wilgoci, mogą żyć na twardych skałach lub na suchej korze drzew, dzięki spółce życiowej z grzybami, które im dostarczają niezbędnej wilgoci. Ta dziwna spółka życiowa spotykana w porostach pozwala tym ostatnim żyć i rozmnażać się tam, gdzie inne organizmy roślinne żyć nie mogą: na szczytach gór, na skrajnej północy, na nagich suchych skałach; w miejscach tych

są one niejako pierwszymi pionierami życia i przygotowują tam grunt dla innych roślin.

Co się teraz tyczy spółki życiowej między różnymi gatunkami zwierząt, to jednego z ciekawszych przykładów dostarczy nam spółka życiowa między ukwiałem morskim a pustelnikiem skorupiakiem. U pustelnika, który jest podobny nieco do naszego zwykłego raka rzecznego, głowa, tułów i cdnoża tułowiowe łącznie z kleszczami są twarde, zaopatrzone w grubą warstwę chityny, skóra zaś na odwłoku jest bardzo miękka. Ten odwłok miękki łatwo na szwank mógłby być narażony, wszakże u pustelnika wytworzył się szczególny zwyczaj: mianowicie chowa on swój odwłok do pustej przez ślimaka opuszczonej muszli. Muszlę tę pustelnik dźwiga ze sobą wszędzie, a w razie większego niebezpieczeństwa, cały się wsuwa do wnętrza muszli, która jest dlań jakby obronnem schroniskiem. Gdy pustelnik jest młody, wynajduje on sobie na pomieszczenie małą muszlę, później zaś w miarę tego jak rośnie, opuszcza muszlę, która stała się za ciasną i wynajduje sobie obszerniejszą na mieszkanie. W spółce z pustelnikiem żyje ukwiał czyli mięsisty koral morski z rodzaju Adamsia, opatrzone otworem ust u góry oraz licznymi kurczliwymi czułkami dokoła tegoż; ukwiał ten przytwierdza się rozszerzoną podstawą ciała do brzegu otworu muszli. Spółka ta jest pożyteczną, celową, dla pustelnika zarówno jak i dla ukwiału. Ukwiał,

sam niezdolny do pełzania, jest przenoszony przez pustelnika na daleką odległość, a oprócz tego chwyta on drobne zwierzątka, które się dostają do wiru wody wywołanego przez pustelnika, gdy ten szukając pokarmu, rozrzuca nogami muł na dnie morskiem. Pustelnik zaś innego rodzaju korzyść ciągnie ze spółki. Ukwiął mianowicie opatrzony jest tak zwanymi parzydełkami skórnymi, czyli narządami torebkowatymi, zawierającymi ostrą ciecz jadowitą; są one narządami obronnymi. Gdy się jaki nieprzyjaciel zbliży do pustelnika, ukwiął broni się, posługując się swemi parzydełkami skórnymi, a przez to samo broni i pustelnika. Ukwiął zatem i pustelnik przynoszą sobie wzajemnie korzyść, między nimi istnieje związek celowy, to też prawie nigdy nie można spotkać samego pustelnika lub samą Adamsię. Dodać należy, iż zwykle różne gatunki ukwiąłów żyją w spółce z rozmaitymi gatunkami pustelników.

Przejdźmy teraz do symbjozy między roślinami i zwierzętami. Symbjozę tego rodzaju spotykamy np. między wieloma pierwotniakami, jamochłonami i robakami a żyjącymi w ich ciałach pewnymi gatunkami wodorostów jednokomórkowych, zawierających zielen (chlorofil). Na tej spółce korzystają zwierzęta zarówno jak i wodorosty; te ostatnie znajdują bezpieczne ukrycie w ciele zwierzęcia a oprócz tego mają podostatkim dwutlenku węgla, wydychanego przez zwierzę; zwierzę zaś korzysta z tlenu wydzielanego przez wodo-

rosty skutkiem asymilacyi. Oprócz tego, jeśli wodorosty obficie przyswajają sobie węgiel, to wytwarzają wiele substancyi organicznych, których nadmiar przechodzi do ciała zwierzęcego, dzięki czemu zwierzę zyskuje pokarm. Chciałbym zatrzymać się jeszcze na jednym bardzo ciekawym przykładzie takiej spółki życiowej, takiego stosunku celowego między roślinami i zwierzętami; mam tu na myśli tak zwaną myrmekofilię, którą odznacza się znaczna ilość roślin.

Przykładu takiej myrmekofilii dostarczyć nam mogą liczne rośliny zwrotnikowe np. róża Banksa, lub drzewa *Acacia Spadici-gera* i *Cecropia peltata*, które bywają bardzo objadane z liści przez żarłoczne gąsienice, ślimaki, chrząszczyki, oraz przez pewne mrówki zwane krawczyniami. Otóż rośliny te żyją w symbjozie z pewnymi gatunkami bardzo złych, boleśnie kásających, drapieżnych mrówek, które tępią Nielitościwie objadających liście wrogów owych roślin. W zamian za to żarłoczne te mrówki znajdują na przylistkach niektórych z tych roślin obfity zapas słodkiego miodu wydzielanego ze specjalnych gruczołów, a który stanowi dla nich wielki przysmak, a oprócz tego znajdują one doskonały przytułek, doskonałe pomieszczenie na czasowe mrowisko w obszernych jamach i korytarzach, powstających w pniach i łodygach niektórych z tych roślin.

Zajmując się tu rozmaitymi stosunkami



symbjotycznymi między istotami żywymi, chciałbym zatrzymać się jeszcze nad jednym nadzwyczaj doniosłym zjawiskiem, które też uważać można jako zjawisko symbjotyczne w szerszym tego słowa znaczeniu. Wiadomą jest rzeczą, iż rośliny i zwierzęta oddychając zabierają tlen z powietrza, a wydzielają natomiast dwutlenek węgla, z drugiej zaś strony rośliny zielone, posiadające chlorofil, pochłaniają z powietrza dwutlenek węgla, który zużytkowują do budowania związków organicznych, i wydzielają w zamian za to tlen. Jasnym jest, iż istnienie jednego z tych zjawisk przeciwdziała zakłóceniu przez drugie równowagi części składowych powietrza, a zarazem umożliwia istnienie tego drugiego zjawiska. Innymi słowy: współistnienie obu tych zjawisk umożliwia istnienie każdego z nich i utrzymuje równowagę części składowych powietrza, utrzymuje przeto istnienie jednego z zewnętrznych warunków sprzyjających życiu, którym jest właśnie ta równowaga części składowych powietrza a w szczególności pewien określony procent w powietrzu tlenu i dwutlenku węgla. To współistnienie tych dwóch zjawisk jest zatem zjawiskiem celowym, a współistnienie istot mogących tylko zabierać tlen z powietrza i wydalać dwutlenek węgla z istotami, które oprócz tego mogą jeszcze pochłaniać dwutlenek węgla i wydelać tlen, można uważać jako symbiozę w szerszym tego słowa znaczeniu, jako istnienie celowościowego

stosunku między rozlicznymi grupami istot żywych<sup>1)</sup>).

Nie zawsze atoli istnieje związek symbiotyczny pomiędzy rozmaitymi formami organicznymi; więcej jeszcze od symbiozy jest rozpowszechnione zjawisko wprost przeciwne, a mianowicie bytowanie jednych istot kosztem drugich, zjawisko, którebyśmy mogli oznaczyć ogólnym mianem porazytyzmu, rozszerzając znaczenie tego ostatniego; tak np. zwierzęta mięsożerne bytują kosztem innych zwierząt, zwierzęta roślinożerne bytują kosztem roślin, pasożyty w ciśniejszym tego słowa znaczeniu (np. mikroby pasożytnicze) bytują kosztem organizmów, na których wiodą życie pasożytnicze. A dodać należy, iż o ile przy stosunku symbiotycznym między dwiema istotami A i B, istnienie A jest pożytecznym, celem dla B, zarówno jak istnienie B jest pożytecznym, celem dla A, to przeciwnie, przy stosunku pasożytniczym między dwiema istotami C i D, istnienie np. C jest pożytecznym i celem dla D, natomiast istnienie D jest szkodliwe dla C. Innymi słowy: gdy związek symbiotyczny między dwiema istotami A i B jest wzajemnie celowy, jest celowy w obydwu kierunkach,

---

<sup>1)</sup> Dodać tu należy, iż pewne mikroby, jakkolwiek nie posiadają chlorofilu (np. *Nitrosomonas*, *Nitrobacter*), pochłaniają również z powietrza dwutlenek węgla, który zużytkowują do budowania związków organicznych, a pewne badania zdają się wskazywać, iż gąsienice i poczwarki rozmaitych istot z grupy *Lepidoptera* mogą pod wpływem światła zużytkować węgiel z dwutlenku węgla, zawartego w powietrzu.

związek pasożytniczy między dwiema istotami C i D jest tylko celowy w jednym kierunku, w drugim zaś kierunku jest szkodliwy.

Racya bytu stosunku symbiotycznego w ogólnej ekonomii świata organicznego jest sama przez się widoczna. Zjawia się teraz pytanie, czy istnienie stosunku pasożytniczego ma rację bytu dla ogólnego dobra życia.

Na powyższe pytania należy odpowiedzieć twierdząco, albowiem 1) dzięki istnieniu stosunku pasożytniczego może istnieć daleko większa różnorodność form życiowych. 2) System parazytyzmu przy współistnieniu hyperprodukcji istot żywych, przeciwdziałającej skutecznie wytępieniu poszczególnych gatunków istot żywych przez inne wiodące w stosunku do nich żywot pasożytniczy, stanowi w wielkiej ilości swych przejawów a mianowicie w tych przejawach, gdzie w sposób pośredni lub bezpośredni wywołuje śmierć ofiar, jedno z ważniejszych źródeł walki o byt w najszerszym tego słowa znaczeniu i doboru naturalnego; ta zaś walka o byt jakkolwiek czasami może faworyzować istoty żywe niezależnie od ich zalet, tem niemniej na ogół faworyzuje istoty, posiadające pewne zalety, kosztem istot mniej faworyzowanych lub upośledzonych; przez to chroni gatunki i życie od zwyrodnienia, i faworyzuje utrzymanie postępu i przystosowań, skądinąd osiągniętych przez życie, i jest sama zjawiskiem pożytecznym dla ogólnego dobra życia, zjawiskiem

celowem. Oprócz tego dodać należy, iż współistnienie parazytyzmu w jego przejawach, wywołujących pośrednio lub bezpośrednio śmierć ofiar, z hyperprodukcją istot żywych czyni ze świata organicznego całość automatycznie utrzymującą się w równowadze; nadto przy utrzymaniu tej ogólnej równowagi wielką rolę odgrywa okoliczność, iż istoty żywe nie dzielą się na dwie jasno rozgraniczone od siebie kategorie, tępiciele i tępionych, parazytów i ofiar parazytyzmu, lecz że tępiciele jednych istot, które oznaczymy literami A. B. C. bywają same znowu tępione przez inne organizmy, dzięki czemu same nie mogą się zbyt rozmnożyć i wzmódz i wytępić do reszty istoty A B C. Z tego punktu widzenia przy naszym pasożytniczo-hyperprodukcyjnym ustroju tępienie tępicielei jest zjawiskiem celowem dla utrzymania ogólnej równowagi życia, celowem dla ogólnego dobra życia, zarówno jak dodać można, iż jest wogóle celowem dla utrzymania ogólnej równowagi życia istnienie tępicielei istot, które nawet w sposób pośredni, n. p. odbierając im pożywienie, są szkodliwe dla innych istot<sup>1)</sup>).

Istnienie parazytyzmu będziemy zatem uważali jako zjawisko celowe, 1) jest ono atoli zjawiskiem celowem, zarówno jak i dobór naturalny i walka o byt, li tylko z punktu widzenia dobra ogólnego życia, ogólnego roz-

---

<sup>1)</sup>. Porówn. również Morawski: „Celowość w naturze“, 1911, str. 65 i następne.

woju form życiowych, ogólnego bogactwa życia, z punktu widzenia ponadindywidualnego, zaś z punktu widzenia poszczególnych osobników, ofiar parazytyzmu pozostaje się ono zjawiskiem szkodliwym. Pod wpływem tej ostatniej okoliczności zostaje nieraz wygłaszane zdanie, iż samo zjawisko parazytyzmu jako takie jest dysteleologia. Tego rodzaju zapatrywanie atoli jest błędne i nieuzasadnione, albowiem ogranicza się ono do osądzania zjawisk przyrody z punktu widzenia czysto osobnikowego. Wszakże taki punkt widzenia jest zbyt ciasnym, zbyt jednostronnym dla osądzenia wartości zjawisk przyrody, przyrody organicznej w naszym wypadku. Dobru i rozkwitowi poszczególnych osobników trzeba i można przeciwstawić dobro i rozkwit gatunków, dobro i rozkwit życia na ogół; osądzając wartość danego zjawiska dla życia, trzeba koniecznie wziąć pod uwagę oprócz punktu widzenia czysto osobnikowego i ten ponadindywidualny punkt widzenia. Ten szerszy punkt widzenia może być dopiero wyjściem do celowego pojmowania objawów w przyrodzie organicznej, albowiem oprócz osobników istnieją i rozwijają się gatunki, istnieje i rozwija się życie, jako jedno wielkie zjawisko kosmiczne. Gdy staniemy na tym szerszym punkcie widzenia, powtórzyć będziemy musieli to, cośmy dopiero co powiedzieli: aczkolwiek istnienie parazytyzmu jest szkodliwym dla poszczególnych osobników, tem niemniej uważać je musimy jako zjawisko

celowe; ma ono bowiem swą rację bytu z punktu widzenia ponadindywidualnego dobra życia, któremu podporządkowanem być musi dobro indywidualne poszczególnych osobników.

Wypada tu jeszcze powiedzieć kilka słów o szczególnej pożyteczności, którą ma dla ogólnego dobra świata organicznego istnienie pewnych istot, żywiących się trupami. Bez tych istot powierzchnia ziemi i dno mórz byłyby pokryte niezliczonymi trupami roślin i zwierząt, które uczyniłyby niemożliwem życie innych zwierząt i roślin. Z tego punktu widzenia szczególnie zasługują na uwagę pewne mikroby, które główną rolę odgrywają w tym procesie oczyszczania naszego planety od trupów. Co się jeszcze tyczy roli poszczególnych form życiowych dla ogólnej ekonomii życia, to należy również zwrócić uwagę na rolę, jaką odgrywają dla utrzymania czystości wód morskich, która tak ważne ma znaczenie dla możliwości bytowania organizmów w morzu, organizmy zużytkowujące sole wapnia i pozbawiające dzięki temu wodę morską jednego z ważniejszych zanieczyszczających ją składników<sup>1)</sup>.

Zwróciliśmy uwagę na pewne specyalne znaczenie pewnych mikrobów dla ogólnego dobra świata organicznego. Ukazał się nam tutaj świat mikrobów w postaci pewnych swych przedstawicieli w innej roli niż w roli

---

<sup>1)</sup> Por. Tucimei: „Cause efficienti e cause finali“, 1904, str. 56.



pasożytów. Dla bliższego zaznajomienia czytelnika z całokształtem tej nie pasożytniczej roli rozmaitych mikrobów w ekonomii świata organicznego, roli, która jest nadzwyczaj pożyteczną i doniosłą a stosunkowo mniej znaną przez ogół, przytoczę tu jeden dłuższy cytat z książki zoologa niemieckiego Dra Brassa, w której rola ta jest w kilku słowach doskonale scharakteryzowana: „W olbrzymim organizmie, jaki przedstawiają w zespole niu istoty żywe naszej ziemi“, mówi Dr. Brass, „tworzą mikroby organ, który w terażniejszości warunkuje poprostu istnienie wszystkich innych organizmów. Obecność i działalność tego organu pokazuje też jasno i dobitnie, iż cały olbrzymi organizm od nieobliczalnie dawnych czasów jako taki musiał istnieć, bez niego byłoby znowuż niepojętem istnienie organu mikrobów. W wodzie rozkładają one przedewszystkiem wszystkie trupy organizmów i gromadzą znowu ich budowlany materiał w formie żywej we własnem niezwykle szybko rozmnażającym się ciele. Służą one następnie znowu jako odpowiednie pożywienie niezliczenym niższym zwierzętom jak Amebom, wymoczkom, robakom, rakom i t. d. Ciała zwierzęce i roślinne więc dzięki ich przedwstępnej pracy podlegają gniciu i rozkładowi, mogą zaś z łatwością być zużytkowane przez wszystkie istoty żywe. Zarówno rośliny jak liczne zwierzęta zużytkowują wytwory gnicia jako najcenniejszy pokarm.



Na kontynencie odgrywają mikroby nie mniej ważną rolę. W wilgotnej ziemi mogą się one prawie bez przeszkody swobodnie rozwijać, jeżeli tylko jakiekolwiek organiczne odpadki się do niej dostaną. Wszystko co chore lub umarłe padło na ziemię, podlega ich działalności. Mikroby rozkładają na części składowe ciała organizmów i mieszają produkty tego rozszczepienia z produktami rozszczepienia ciał mineralnych. W dziewiczym lesie, w błotach i bagnach, w stepach i na polach rolnika przygotowują one ten grunt, który nazywamy bogatym w próchnicę; na nim świat roślinny najbujniej się rozwija, aby światu zwierzęcemu umożliwić istnienie.

Nowsze badania, które bynajmniej jeszcze nie są ukończone, pozwalają przypuszczać, iż działalność zwierzęcego i naszego narządu trawienia jest istotnie podtrzymywana przez działalność odpowiednich mikrobów. Zupełnie regularnie znajdują się w naszych jelitach już wkrótce po urodzeniu pewne mikroby, które pomagają do rozkładania pokarmów na części składowe i sprawiają, że gruzy pokarmów łatwiej nadają się do wchłonięcia przez ścianę jelit.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, iż przy pomocy mikrobów są łatwiejsze do strawienia razowy chleb, mleko, ser, kapusta i inne roślinne pokarmy<sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> A. Brass: „An der Grenze des Lebens“, 1908, str. 38—39.

## ROZDZIAŁ V.

### **Celowość w świecie nieorganicznym.**

---

Przejdźmy teraz do przejawów celowości w świecie nieorganicznym. Przedewszystkiem zajmijmy się tem, co w świecie nieorganicznym jest celowe pod względem istnienia, trwałości i urzeczywistnienia przejawów samego porządku nieorganicznego. Ta kategoria celowości nieorganicznych przejawia się np. we własnościach zasadniczych materji (ew. praatomów, elektronów), warunkujących powstawanie atomów; we własnościach atomów, warunkujących powstawanie drobin; we własnościach drobin, warunkujących powstawanie kryształów, zarówno jak we własnościach atomów, gwarantujących tak zdumiewającą tychże trwałość i umożliwiającą ich istnienie; we własnościach poszczególnych drobin umożliwiającą istnienie tych ostatnich i gwarantujących wielką trwałość całej seryi drobin; we własnościach kryształów umożliwiającą istnienie tych ostatnich i gwarantujących ich trwałość. Co się szczególnie tyczy kryształów, to dodać należy, co znakomity geolog i mineralog francuski A. de Lapparent mógł wykazać dla rozmaitych postaci krysztaличnych: struktura ich jest tego rodzaju, że zabezpiecza ich trwałość i nadaje im odporność przeciwko działaniu czynników zewnętrznych. Do powyższej kategorii zjawisk celowych za-

liczyć również należy zasadnicze własności materji i budowę mgławic, które już same musiały być jakimś nacechowanem porządkiem aby się z nich mogły rozwinąć układy ciał niebieskich z właściwym sobie porządkiem<sup>1)</sup>; własności, które warunkują powstawanie układów ciał niebieskich, zarówno jak i własności tych układów, zabezpieczające ich trwałość, którą jako nadzwyczajną uważać musimy; czyż bowiem w przeciwnym razie, t. j. gdyby ciągle następowały kosmiczne katastrofy, tyle gwiazd mogło się ukształtować i dojść do posuniętego stanu rozwoju? Zatrzymajmy się z punktu widzenia celowej budowy w naszym układzie słonecznym, a stwierdzić będziemy musieli, iż podstawę jego trwałości, tem więcej zadziwiającej, iż wszystko w nim ciągłym ożywione jest ruchem, stanowi istnienie wielkiej, zadziwiającej swą celowością, swem dostosowaniem do wymagań trwałości układu słonecznego, misterności w mechanice niebieskiej i we wzajemnem ułożeniu ciał wchodzących w skład naszego układu słonecznego. Dla dokładniejszego rozwinięcia powyższej myśli przytoczymy słowa Dra Dennerta o trwałości naszego systemu słonecznego i o celowości w jego pierwiastkach układowych: „Jest on trwało zbudowany“, mówi Dr. Dennert,

---

<sup>1)</sup> A. de Lapparent: „Science et apologétique“, 1908, str. 150.

t. j. przebywa w równowadze, po pierwsze ze względu na wielką przewagę ciężkości słońca w stosunku do wszystkich planet; po drugie, ponieważ czasy obiegu planet są liczbami niewspółmiernymi, t. j. nie mają się do siebie jak całe liczby; albowiem, gdyby to ostatnie miało miejsce, wzajemne ich oddziaływanie stałoby się z czasem tak wielkie, iż cały system uległby zniszczeniu; jest on zaś w rzeczywistości tak zbudowany, iż zakłócenia zostają zawsze wyrównane. Oprócz tego formy dróg planet tak nieznaczny tylko ulegają zmianom, iż ta okoliczność nie doprowadza do żadnych zaburzeń. Opierając się na tych faktach i na innych jeszcze, powiedział jeden współczesny astronom: „Układ słoneczny jest układem nader misternie obmyślnym i urzeczywistnionym za pomocą najprostszych środków, jest on pod każdym względem celowo ukonstytuowany i trwały na niewyobrażalnie długi czas<sup>1)</sup>). Mówiąc o trwałości porządku statycznego we świecie ciał niebieskich, należy szczególnie zwrócić uwagę na niezmierne wprost znaczenie, które ma dla niego prawo ciężkości. To wzajemne przyciąganie się ciał — to podstawa całej misternej mechaniki niebieskiej, to siła tajemnicza, która przykuwa jedne do drugich ciała niebieskie i układy tychże; ona to tem samem umożliwia

---

<sup>1)</sup> Dennert: „Ist Gott tot?“ 1908, str. 73—74.

istnienie porządku, objawiającego się w tych układach ciał niebieskich.

Zajmując się przejawami celowości w świecie nieorganicznym, pragnąłbym jeszcze zwrócić uwagę jako na przejaw celowości nieorganicznej, na przystosowanie naszej ziemi do wymagań życia organicznego. Życie organiczne wymaga pewnych zewnętrznych warunków, dających się zamknąć w mniej lub więcej szerokich granicach; wszakże urzeczywistnione być muszą, aby życie istnieć i rozwijać się mogło i aby osiągnąć mogło zupełny swój rozkwit. Świat zewnętrzny, w którym istnieć ma życie, musi być dostosowany do pewnych określonych warunków, dotyczących składu chemicznego środowiska, ciepłoty, ilości światła i t. p. I otóż na ziemi naszej znajdujemy urzeczywistniony ten kompleks zewnętrznych warunków życia a do urzeczywistnienia jego przyczynia się odpowiedni skład chemiczny ziemi, wody i powietrza, odpowiednie położenie ziemi w stosunku do słońca, głównego źródła światła i ciepłoty, odpowiednia budowa atmosfery, odgrywająca niezmiernie ważną rolę przy oświetlaniu i ogrzewaniu ziemi przez słońce, odpowiednie ukształtowanie powierzchni ziemi i t. p. inne warunki zewnętrzne, tak ważne dla życia.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### **Źródło ostateczne przejawów celowości i porządku we wszechświecie, teizm i irracjonalizmy kosmiczne.**

---

Oto jak się przedstawia w głównych zarysach ów porządek kosmiczny i owa celowość, których słaby obraz usiłowaliśmy nasyzkicować.

Dotychczas zadowalnialiśmy się opisywaniem przejawów porządku i celowości kosmicznych; samo ich istnienie atoli jest zagadnieniem, domagającym się wyjaśnienia.

Przedewszystkiem zjawia się tu pytanie, czy jako punkt wyjścia do wytworzenia się porządku i celowości kosmicznych możemy przyjąć pierwotny chaos, złożony z poszczególnych elementów, obojętnych z punktu widzenia ich własności na powstanie porządku i celowości; uważać więc porządek i celowość kosmiczne jako urzeczywistnione dzięki temu, iż zmiany zachodzące we wszechświecie doprowadziły „przypadkowo” do spotkania się z sobą pewnych elementów i procesów; że dalej właśnie ze spotkania tego powstały przejawy porządku i celowości. Na pytanie to stanowczo musimy odpowiedzieć przecząco. W wyżej wzmiankowany sposób bowiem mogłyby w najlepszym razie powstać li tylko sporadyczne przejawy porządku i celowości, i to porządku i celowości nie skomplikowa-

nych; niemożliwem zaś jest do przypuszczenia, iżby w ten sposób mogły powstać porządek i celowość kosmiczne. Jest bowiem wprost niemożliwem do przypuszczenia, iżby takie szczęśliwe a przypadkowe spotkanie, których wynikiem byłoby powstawanie przejawów porządku i celowości, mogły się powtarzać niezliczoną ilość razy, powtarzać się na każdym kroku; iżby wyniki tych spotkań wiele, bardzo wiele razy były wzajemnie dostosowane i mogły się harmonijnie sumować; iżby w wielu bardzo wielu razach wyniki tych przypadkowych szczęśliwych spotkań mogły uniknąć szybkiego zniszczenia przez inne mniej szczęśliwe nowe spotkania; iżby jednakowe lub analogiczne przypadkowe szczęśliwe spotkania mogły się powtarzać niezmiernie wielką ilość razy. Stąd więc niemożliwe przypuszczenie byłoby nasze, aby za pomocą przypadkowych spotkań w łonie pierwotnego chaosu wytłomaczyć porządek i celowość kosmiczne.

Musimy przeto odrzucić jako nienaukowe monistyczno-mechanistyczne tłumaczenie porządku i celowości kosmicznych za pomocą przypadku.

Dla wyratowania monistyczno-mechanistycznego tłumaczenia porządku i celowości kosmicznych nie wystarcza z drugiej strony uciekać się do jakiejś mechanicznej konieczności, tkwiącej w istotnych własnościach wszechświata, któreby nadawały koniecznie i stale



procesom kosmicznym kierunek pewien co do urzeczywistnienia porządku i celowości kosmicznych. Tego rodzaju tłumaczenie musi bowiem przyjąć za punkt wyjścia pewną ostateczną specjalną podstawę kosmiczną urzeczywistniania się porządku i celowości kosmicznych; istnienia takiej to podstawy wytłumaczyć nam monizm mechanistyczny nie może, bo innego prawdziwego domaga się wytłumaczenia; czyż bowiem możemy przyjąć jako coś samo przez się zrozumiałe istnienie takiej podstawy ostatecznej, która w zarodku zawiera w sobie niby w jakiejś tajemniczej zawarte formule wszystkie przejawy porządku i celowości kosmicznych?

Dla wytłumaczenia porządku i celowości kosmicznych nie wystarczyłoby również zerwać do połowy tylko z monizmem mechanistycznym i uciec się do jakiegoś nieświadomego instynktowego pędu dla urzeczywistnienia porządku i celowości, pędu, któryby tkwić miał we wszechświecie; samo bowiem istnienie takiego pędu byłoby dla nas problematem, musiałoby być wytłumaczonem.

Ani przypadek w czasie, ani często mechaniczna konieczność, która zresztą pozornie tylko zrzucić może przypadek z piedestału siły twórczej, albowiem zastępuje ona przypadkowe spotkania przypadkowo istniejącymi istotnymi własnościami i ukonstytuowaniem zasadniczych elementów składowych wszechświata; ani przypadkowa pierwotna specjalna

konstelacya takich elementów zasadniczych, ani ślepy instynktowny nieświadomy jakiś pęd ku porządkowi i celowości, nie są zdolne odpowiedzieć na wielkie zagadnienie o ostatecznem źródle porządku i celowości we wszechświecie; bezsilne są te tłumaczenia wobec tego bezmiaru porządku i celowości, gdzie wszystko zdaje się być wyrachowaniem, wzajemnie przystosowaniem, zatem zbyt wyraźne, zbyt głębokie piętno myśli nosi na sobie, iżby nie widzieć w nim urzeczywistnienia z góry powziętego planu, iżby nie widzieć w nim zjawiska zamierzonego, nie poznać w nim dzieła rozumu; iżby więc przy istnieniu w samym wszechświecie podstaw do urzeczywistnienia się porządku i celowości, nie widzieć w tych samych podstawach zjawiska zamierzonego i dzieła rozumu.

Zastanówmy się jeszcze nad tem, że wszechświat przedstawia się nam jako jedna wielka harmonijna całość, w której zadziwiająca przejawia się jedność; jedność materiału z którego wszechświat jest zbudowany. jedność idealna wśród różnaitości typów oddzielnych kategorii układów typowych i rozmaitych poszczególnych przejawów celowości<sup>1)</sup>, jedność w ogólnym planie budowy wszechświata,

---

<sup>1)</sup> Jako przykład mogą tu posłużyć „analogiczne“ organa jak skrzydła u ptaków, nietoperzy i owadów; w każdej seryi zwierzęcej powstały niezależnie; podobieństwa ich nie można tłumaczyć za pomocą pokrewieństwa.

a powiedzieć będziemy musieli, iż przejawy porządku i celowości we wszechświecie to — ucieleśnienie jednolitej idei, dzieło istoty nieskończenie rozumnej, wznoszącej się ponad poszczególnymi osobnikami i zjawiskami kosmicznymi, która swym rozumem mogła objąć cały plan wszechświata, a nie dzieło jakichś poszczególnych rozumów, tkwiących w poszczególnych osobnikach kosmicznych. A dodać należy, że w szczególności jeszcze urządzenia celowe, które mogą być zrozumiane li tylko z punktu widzenia celowości ponadindywidualnej, jak rozmnażanie się istot żywych, śmierć osobników, specjalne znaczenie poszczególnych form organicznych dla ogólnej ekonomii życia i t. d. wskazują jasno jako na swe źródło ostateczne na istotę nieskończenie rozumną, wznoszącą się ponad poszczególnymi osobnikami kosmicznymi.

Istotę tę, nieskończenie rozumną, źródło ostateczne porządku i celowości kosmicznych uważać musimy ze względu na dualizm istotny między światem fizycznym i światem duchowym jako stojącą poza światem fizycznym.

A więc musimy przyjąć dla wytłomaczenia porządku i celowości kosmicznych dualistyczno - teistyczny światopogląd; zarazem atoli możemy przyznać, iż źródło bezpośrednie porządku i celowości kosmicznych tkwi we wszechświecie samym, we własnościach poszczególnych, zasadniczych elementów wchodzących w skład wszechświata, w budowie

mgławicy, ew. mgławic pierwotnych, we własnościach praorganizmów i zasadniczych własnościach istot żywych. Przyjąć możemy zatem na równi z monizmem mechanistycznym pewną kosmiczną podstawę porządku i celowości kosmicznych, lecz gdy taka podstawa pozostaje z punktu widzenia monistyczno-mechanistycznego czemś niezrozumiałem, punkt widzenia teistyczny daje nam wytłomaczenie jej istnienia, uważając ją jako dzieło Boga, istoty nieskończenie rozumnej, wznoszącej się ponad poszczególnymi osobnikami i zjawiskami kosmicznymi, stojącej poza światem fizycznym, która w podstawie tej stworzyła narzędzie do urzeczywistnienia swego z góry powziętego planu.

Dla wytłomaczenia istnienia przejawów porządku i celowości kosmicznych musimy się zatem ucieść do teistycznego światopoglądu i w szczególności musimy uważać jako zjawisko zamierzone istnienie i pojawianie się poszczególnych typowych układów harmonijnych jak atomy, drobiny, organizmy, systemy ciał niebieskich.... układów, które się znajdują w samym centrum systemu celowości i porządku kosmicznych.

Atoli te układy typowe harmonijne nie są bynajmniej bezwzględnie trwałe, przeciwnie są one w sposób naturalny zniszczalne i na każdym kroku podlegają zniszczeniu. Zachodzi zatem pytanie, czy można pogodzić z teizmem zniszczalność i niszczenie owych poszcze-

gólnych układów harmonijnych. Otóż, możemy śmiało powiedzieć, iż ta zniszczalność i to niszczenie owych układów dają się znakomicie pogodzić z punktem widzenia teistycznym. I w rzeczy samej niszczenie owych układów bynajmniej nie musi być uważane jako zjawisko, któreby miało niweczyć to, co z punktu widzenia teistycznego uważać byśmy musieli jako urzeczywistnienie planu Boskiego dotyczącego systemu przejawów celowości i porządku kosmicznych. Przeciwnie, niszczenie to śmiało uważać możemy jako zjawisko wchodzące w zakres planu Boskiego, dotyczącego systemu przejawów porządku i celowości we wszechświecie, jako jeden z czynników, umożliwiających urzeczywistnienie tego planu Bożego we wszechświecie. Śmiało bowiem przyjąć możemy, iż plan Boski polega właśnie nie tylko na istnieniu porządku i celowości we wszechświecie, nie tylko na istnieniu poszczególnych układów harmonijnych, ale i na ustawicznym odnawianiu się tych przejawów porządku i celowości, na ciągłym występowaniu nowych przejawów porządku i celowości, nowych układów typowych, na wprowadzaniu ciągłego urozmaicania, ciągłej zmiany do wszechświata, na tem wprowadzaniu „życia” do „świata porządku i celowości kosmicznych”, które innemi słowy widzimy urzeczywistnione w tak cudowny sposób we wszechświecie. Oczywiście, iż w takim razie plan Boży nie tylko że nie zostaje niweczony przez niszcze-

nie poszczególnych układów, ale przeciwnie niszczenie to staje się warunkiem, umożliwiającym urzeczywistnienie planu Bożego, albowiem tylko niszczenie już istniejących układów umożliwia ustawiczne wyłanianie się nowych układów z łona stawania się we wszechświecie. Temu to systemowi porządku i celowości, urzeczywistnionemu we wszechświecie, którego główna cecha polega na istnieniu i ciąglem powstawaniu typowych układów harmonijnych, współistniejących i następujących jedne po drugich w ilości, jaka może być nieokreślenie wielką; temu systemowi porządku powiadam, którego rys główny wymaga zniszczalności i zniszczenia poszczególnych układów, możeby kto przeciwstawił jako godziwy, inny system porządku i celowości kosmicznych, którego rys charakterystyczny polegałby właśnie na nienaruszalności poszczególnych układów harmonijnych, twierdząc, iż ten drugi typ jest jedyny, którego urzeczywistnienie we wszechświecie pogodzićby się dało z teizmem. Postępowanie tego rodzaju byłoby atoli zupełnie nieuzasadnione. W rzeczy samej, system porządku i celowości ze zniszczalnymi układami, urzeczywistniony we wszechświecie jest równie dobrze jak ten drugi idealny system o poszczególnych niezniszczalnych układach specjalnym typem systemu porządku i celowości kosmicznych; i gdy ten drugi imponuje niezniszczalnością poszczególnych układów, system urzeczywistniony we wszechświecie posiada swe



specyalne zalety, które dostatecznie tłumaczą, że wybór Boga padł na niego. Posiada on swój powab szczególny w wiekuistym odmładzaniu się porządku kosmicznego, w wytwarzaniu się coraz to nowych harmonii, piękności i życia, w powstawaniu coraz to nowych typowych układów harmonijnych, które to rzeczy z punktu widzenia ponadindywidualnego sownie wynagradzają podleganie w sposób naturalny psuciu się i ograniczone trwanie poszczególnych przejawów porządku, poszczególnych, typowych harmonijnych układów, bo pozwalają na bogatsze jeszcze przejawy myśli niżby pozwolił ten drugi typ porządku z nieskończeniem trwałymi poszczególnymi układami harmonijnymi<sup>1)</sup>.

O wiele trudniejsze do zrozumienia z punktu widzenia teistycznego są „irracjonalizmy kosmiczne“, ale i one również dają się pogodzić z teizmem, jeżeli przyjmujemy, — do czego mamy zupełne prawo, — iż nie są niczem innem jak tylko „zjawiskiem koniecznie towarzyszającym“ pewnym urządzeniom kosmi-

---

<sup>1)</sup> Jest np. oczywiste, iż przejawy życia organicznego na danym ciele niebieskim mogą być bardziej urozmaicone dzięki śmierci poszczególnych osobników, albowiem dzięki śmierci liczba osobników a przez to i form organicznych urzeczywistnionych na danym ciele niebieskim może się wciąż powiększać; z drugiej zaś strony zniszczalność poszczególnych osobników organicznych umożliwia zjawisko parazytyzmu, w ogólnem tego słowa znaczeniu, zjawisko, które umożliwia powiększenie różności form życiowych.



cznym<sup>1)</sup>), urządzeniom, które służą do urzeczywistnienia planu twórczego i umożliwiają istnienie i powstanie przejawów porządku i celowości kosmicznych lub ubezpieczających celowe z punktu widzenia ogólnego planu wszechświata zniszczenie; „zjawiskiem towarzyszącem“, powiadam, dopuszczonem przez Boga we wszechświecie, albowiem nie przeszkadza ono w urzeczywistnieniu planu twórczego. Dla wyjaśnienia powyższej myśli dodam, iż np. tak zupełnie irracjonalistyczny przejaw bólu, jak np. niezmierna siła bólu zębów, może być uważany jako „zjawisko koniecznie towarzyszące“ wrażliwości istot żywych, możliwości, która jako taka jest urządzeniem celowym z punktu widzenia i utrzymania życia.

Być może, powie kto, że trudno pogodzić z mądrością i wszechpotęgą Boga twierdzenie, iż Bóg, stwarzając urządzenia, mające urzeczywistnić Jego plan twórczy we wszechświecie, obrał urządzenia tak niedoskonałe, gdyż pociągnęły one za sobą jako konieczne zjawisko towarzyszące owe „irracjonalizmy kosmiczne“. Na powyższy zarzut będziemy mogli odpowiedzieć przedewszystkiem, iż z punktu widzenia teistycznego<sup>2)</sup> nic nie zmusza nas do przyjęcia, iżby rzeczy stworzone musiały być konieczne

---

<sup>1)</sup> Biorę to słowo w możliwie szerokiem znaczeniu, ogarniającem między innemi zasadnicze własności poszczególnych substancji kosmicznych.

<sup>2)</sup> Por. Beysens: „Dualistische Teleologie, als wijsgeerige theorie“, 1910, str. 25.

bezwzględnie doskonałe<sup>1)</sup>); a z drugiej strony nie możemy wiedzieć, czy wogóle ten plan wszechświata, który Bóg powziął, dałby się urzeczywistnić, bez wspierającej pomocy urządzeń zasadniczych, które właśnie pociągają za sobą jako „zjawisko towarzyszące” konieczne istnienie onych irracjonalizmów.

Dodać tu można, iż istnienie irracjonalizmów sprzeciwiałoby się tylko naiwnemu teizmowi, któryby chciał przypuścić, iż procesy kosmiczne są li tylko grą marionetek w ręku Boga, że Bóg kieruje w sposób bezpośredni tymi procesami<sup>2)</sup>.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### **Monizm mechanistyczny i monizm psychologiczny wobec celowości morfologiczno-fizjologicznych.**

Do ogólnej krytyki monistyczno-mechanistycznego tłumaczenia przejawów porządku i celowości we wszechświecie, dołączę teraz krytykę monistyczno-mechanistycznego i monistyczno-psychobiologicznego tłumaczenia powstawania celowości morfologiczno-fizjologicznych, t. j. celowości przejawiających się

---

<sup>1)</sup> To jest, iżby zawsze miały li tylko wyniki i własności „racyjne” z punktu widzenia urzeczywistnienia ogólnego planu wszechświata; dodam, że z punktu widzenia teistycznego wystarcza przyjąć, iż rzeczy stworzone zostały stworzone do ście doskonałymi dla urzeczywistnienia planu twórczego.

<sup>2)</sup> Porówn. Beysens: „Dualistische Teleologie als wijsgeerige theorie“, 1910, str. 25.

w poszczególnych urządzeniach morfologicznych i w procesach albo we własnościach fizyologicznych organizmów; a uczynię to, ponieważ owe celowości morfologiczno-fizyologiczne stanowią właśnie grunt, na którym najważniejsze i najmocniejsze swe twierdze wzniosły monizm mechanistyczny i monizm psychobiologiczny, te dwa najważniejsze ateistyczne współczesne przyrodniczo-filozoficzne systematy.

Zacznijmy od monizmu mechanistycznego. W drugiej połowie wieku XIXgo, gdy mechanistyczny pogląd na życie zawładnął umysłami uczonych, zyskało sobie ogólne uznanie zapatrywanie, iż urządzenia morfologiczne i procesy lub własności fizyologiczne spotykane u poszczególnych organizmów a oznaczane mianem celowych, innemi słowy celowości morfologiczno-fizyologiczne, nie są żadnemi zjawiskami zamierzonemi, lecz są wynikiem ślepo działających czynników, nie przekraczających granic monistyczno-mechanistycznego tłumaczenia zjawisk przyrody. Aczkolwiek w ostatnich latach dwudziestu bezwzględna hegemonia tego monistyczno-mechanistycznego<sup>1)</sup> poglądu na istotę życia i celowości mor-

---

<sup>1)</sup> Używając terminu „monizm mechanistyczny“, mam na myśli pogląd, który w sposób bezwzględny wyklucza pośredni lub bezpośredni współudział w powstawaniu celowości morfologiczno-fizyologicznych wszelkich czynników nie fizyko-chemicznych, bądź obecnych w samych istotach żywych, bądź znajdujących się po za niemi; odróżniam ten pogląd od „umiarkowanego mechanistycznego poglądu“, który ogranicza się do twierdzenia, iż celowości morfolo-

fologiczno-fizyologicznych zachwianą została, nie mniej przecież i dzisiaj jeszcze pogładowi temu hołduje znaczna część biologów.

W celu czysto mechanistycznego wytłomaczenia powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych, biologowie, zwolennicy monistyczno-mechanistycznego poglądu, uciekają się przede wszystkim do teorii ewolucyi i wskazują na to, iż te celowości morfologiczno-fizyologiczne (a przynajmniej znaczna ich część<sup>1)</sup>) zostały stopniowo przez organizmy nabyte w czasie rozwoju rodowego za pośrednictwem czynników odpowiadających wszelkim wymaganiom monizmu mechanistycznego. Nie zawsze tylko biologowie ci zgadzają się ze sobą co do tego, jakie to były czynniki lub jaką rolę przypisywać należy temu lub innemu z nich, i gdy jedni są zwolennikami wyłącznych teorii, zapatrywania innych są więcej eklektyczne.

Z pośród takich czynników, do których uciekają się zwolennicy monizmu mechanistycznego, zasługuje najbardziej i przede wszystkim na naszą uwagę walka o byt i dobór naturalny między poszczególnymi osobnikami.

---

giczno-fizyologiczne powstają bez współudziału specjalnych automnicznych czynników obecnych w organizmach, ale nie zaprzecza istnieniu po za organizmami ostatecznego niefizyko-chemicznego źródła celowości morfologiczno-fizyologicznych, nie zaprzecza innemu słowy istnieniu Boga jako źródła ostatecznego celowości morfologiczno-fizyologicznych.

<sup>1)</sup> P. rozdział o celowościach pierwotnych w artykule moim „O celowości w morfologii i fizyologii“ w „Miesięczniku Kościelnym“, tom IX, str. 180 i „Rivista di Fil. Neo-Scolastica“ 1913.

Oto punkty zasadnicze, na których polega tłumaczenie powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych za pomocą walki o byt i doboru naturalnego; tłumaczenie to otrzymało miano teorii doboru naturalnego a z niem jest związane imię Karla Darwina<sup>1)</sup>). Tłumaczenie to przyjmuje jako punkt wyjścia istnienie u organizmów zboczeń indywidualnych, pojawiających się bez żadnego określonego kierunku, które mogą równie dobrze być pożyteczne jak obojętne lub szkodliwe dla organizmu; z drugiej zaś strony przyjmuje, iż ze względu na walkę, którą organizmy toczyć muszą jedne z drugimi i przeciwko warunkom zewnętrznym, ze względu na „walkę o byt“, pozostają przy życiu i będą mogły mieć potomstwo właśnie te osobniki, które zostały obdarzone najbardziej pożytecznymi tj. celowymi zboczeniami, bo są najlepiej do życia przystosowane. Ten dobór naturalny, to faworyzowanie lepiej uposażonych osobników, ma, według teorii doboru naturalnego, wielką doniosłość dla następnych generacji; gdy bowiem te najlepiej do wymagań życia przystosowane osobniki kojarzą się, potomkowie ich, dzięki dziedziczności, zatrzymują owe korzystne cechy rodziców; lecz między tymi potomkami znowu zjawiają się osobniki z nowymi zboczeniami mniej lub więcej korzystnymi;

---

<sup>1)</sup> Należy dodać, iż Darwin przyznawał zależność rozwoju rodowego istot żywych od innych jeszcze czynników.

korzystniej wyposażone osobniki wychodzą znów zwycięzko z walki o byt, kojarzą się i rodzą potomstwo łączące w sobie zalety dwóch pokoleń; i tak dzieje się dalej. Dzięki tej walce o byt i doborowi naturalnemu pożyteczne a przypadkowe zboczenia pojawiają się ciągle, łączą się jedne z drugimi, i dzięki takiemu dołączaniu mogą powstać skomplikowane celowości morfologiczno-fizyologiczne<sup>1</sup>). W taki to sposób walka o byt i dobór naturalny między osobnikami ma nam wyświełcić powstanie celowości morfologiczno-fizyologicznych bez współdziału specjalnych autonomicznych „celowych“ czynników<sup>2</sup>). Zachodzi teraz pytanie, jaka jest wartość takiego selekcyonistycznego tłumaczenia celowości morfologiczno-fizyologicznych.

Co się przedewszystkiem tyczy samego doboru naturalnego między osobnikami, to przesadą byłoby odmawiać temu czynnikowi wszelkiego współdziału w rozwoju świata organicznego. W rzeczy samej przyznać należy, iż dobór naturalny jest czynnikiem usu-

---

<sup>1</sup>) Musimy tu jeszcze zaznaczyć, iż teoria doboru naturalnego uznaje wpływ podniet zewnętrznych na powstawanie nowych zboczeń, ale nie uznaje związku bezpośredniego między podnietami i celowościami morfologiczno-fizyologicznymi.

<sup>2</sup>) Streszczenie dokładniejszej teorii doboru naturalnego można znaleźć w języku polskim między innymi w książkach: prof. Nusbauma, „Z teki biologii“ i O. Klimkego 57, „Darwin i jego dzieło“, z których tutaj korzystałem; por. również rozdziały I—V dzieła Darwina o „The origin of species“, 6-te wyd.



wającym to, co w świecie organicznym jest niecelowe lub źle dostosowane do wymagań życia, a współdziałającym przy utrzymaniu tego, co jest celowe; z drugiej atoli strony zastrzedz należy, iż dobór naturalny, jak się słuszenie wyraża znakomity botanik holenderski Hugo de Vries „jest li tylko durszlakiem, a nie żadną siłą przyrody, nie żadną siłą, pchającą bezpośrednio do ulepszenia“<sup>1)</sup>). Dobrze określa rzeczywiste znaczenie doboru naturalnego dla powstania celowości organicznych profesor J. Reinke, gdy mówi: „Dobór naturalny nie może w znaczeniu pozytywnem stworzyć żadnych pożytecznych urządzeń, ale przyjmuje on jako punkt wyjścia istnienie takich urządzeń. Dlatego też może zapewne utrzymywać już istniejące formy, może przez wytepienie tego, co jest mniej dobrze przygotowane, faworyzować istnienie tego, co jest dobrze przygotowane, a przez to może pośrednio, ażeby nie powiedzieć pozornie, współdziałać przy istnieniu przystosowań. Dobór naturalny może jednym słowem dla pożytecznych zmian, które już istnieją jako takie, polepszać warunki istnienia, dzięki temu, iż wyzwala on je od zalania przez konkurentów, posiadających mniej korzystne cechy. W tem znaczeniu jest dobór naturalny celowo działającym pierwiastkiem“<sup>2)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Hugo de Vries, „Soorten en varieteten“, tłumaczenie holenderskie, r. 1906, str. 4.

<sup>2)</sup> J. Reinke: „Philosophie der Botanik“, 1905, str. 179—180.



Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na te ostatnie słowa Reinkego i zaznaczyć, iż dobór naturalny, jakkolwiek z jednej strony jest czynnikiem czysto automatycznym, stąd daje się nagiąć do wymagań monizmu mechanistycznego, z drugiej strony może być uważany jako czynnik celowo działający i znaleźć swe miejsce w systemacie antymonistycznym.

Wiemy już zatem, jaką rolę przypisać można i należy walce o byt i doborowi naturalnemu między osobnikami w powstaniu celowości morfologiczno - fizyologicznych. Pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, czy ten dobór naturalny w połączeniu z przypadkowymi w nieokreślonym kierunku pojawiającymi się zboczeniami może być uznany jako możliwe wytłomaczenie wytwarzania się celowości morfologiczno-fizyologicznych.

Na powyższe pytanie musimy dać odpowiedź przeczącą<sup>1)</sup>, a jako jedną z ważniejszych przyczyn, zmuszających nas do takiej odpowiedzi, podać możemy tę okoliczność, iż, pomimo wszelkiej eliminującej, ew. konserwatywnej działalności walki o byt i doboru naturalnego między osobnikami, musielibyśmy, o ile chcielibyśmy wytłomaczyć powstanie celowości morfologiczno - fizyologicznych, biorąc za punkt wyjścia przypadkowe, w nieokreślonym kierunku występujące zboczenia, musielibyśmy

---

<sup>1)</sup> O ile wyłączymy ewentualnie wypadki wyjątkowe, w których chodzi o jakieś bardzo proste przejawy celowości.

— powtarzam, uciec się do rozmaitych nadzwyczaj nieprawdopodobnych wprost niemożliwych do przyjęcia przypuszczeń, a to niezależnie od tego, czy przyjmiemy z Darwinem<sup>1)</sup> iż zboczenia te są drobne, czy też przyjmiemy, że zboczenia te mogą być znaczne i nagłe, jak to czynią niektórzy obrońcy teoryi doboru naturalnego pod wpływem teoryi mutacyi de Vriesa<sup>2)</sup>. Oto ważniejsze tego rodzaju przypuszczenia, które mamy tu na myśli:

1. Przypadkowe spotykane się rozmaitych przypadkowych wzajemnie dostosowanych pożytecznych zboczeń, niezbędne dla wytłomaczenia istnienia skomplikowanych organów, których rozmaite części doskonale i misternie są do siebie dostosowane, lub dla wytłomaczenia harmonii i wzajemnego przystosowania między rozmaitemi częściami organizmu;

2. przypadkowe występowanie równoległych, pożytecznych zboczeń w symetrycznych organach (jak np. oczy);

3. przypadkowe występowanie wzajemnie dostosowanych i odpowiednich pożytecznych zboczeń u dwóch seryi istot żywych, pozostających ze sobą w stosunkach symbiotycznych,

---

<sup>1)</sup> Darwin przypisywał z początku pewne znaczenie w powstaniu gatunków znacznym i nagłym zboczeniom, później atoli uważał je jako wyjątki bez znaczenia.

<sup>2)</sup> Podług tej teoryi właśnie znaczne i nagłe zboczenia doprowadzają do wytwarzania nowych stałych form organicznych.

t. j. w spółce życiowej (jako przykład posłużyć nam mogą kwiaty i owady; występowanie miodników w głębi koron kwiatowych oraz wydłużanie się u owadów trąbek pyszczkowych w celu dosięgnięcia miodników; równoczesne formowanie się przyrządów do ssania).

4. Równoległe występowanie i sumowanie się przypadkowych a pożytecznych zboczeń analogicznych u dwóch lub więcej niezależnych linii ewolucyjnych, jak to trzeba przyjąć dla wytłomaczenia zjawisk konwergencji (np. istnienie skrzydeł u nietoperzy, ptaków i owadów).

Musimy zatem uważać przypadkowo bez określonego kierunku pojawiające się zboczenia indywidualne jako podstawę niewystarczającą dla wytłomaczenia powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych, i to nawet przy współdziałaniu doboru naturalnego między osobnikami.

Atoli to tłumaczenie powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych za pomocą przypadkowych zboczeń i doboru naturalnego między osobnikami nie jest jedyną próbą wytłomaczenia tych celowości, którą uczynili zwolennicy monistyczno - mechanistycznego poglądu; ta walka o byt i dobór naturalny między osobnikami nie są jedynym czynnikiem, do którego się oni uciekają, a mianowicie uciekają się oni jeszcze do rozmaitych innych czynników, które mają być albo czynnikami pomocniczymi

w stosunku do doboru naturalnego między osobnikami, albo też same mają być głównymi czynnikami rozwoju świata organicznego; te czynniki to np. walka o byt i dobór wśród części organizmu, wśród organów, tkanek, komórek, części komórek (Roux i Weissmann), to wpływ kształtujący i wzmacniający czynności na organ i wpływ bezpośredni okoliczności zewnętrznych na organizmy w połączeniu z dziedzicznością cech nabytych (tak zwane czynniki lamarckistyczne), to występowanie zboczeń w określonym kierunku, mające swą podstawę we własnościach organizmów.

Nie możemy zajmować się tutaj badaniem wartości i rzeczywistego znaczenia dla rozwoju istot żywych rozmaitych tych poszczególnych czynników; zaznaczymy tylko, iż wszystkie te czynniki albo działają z przypadkowo w stosunku do potrzeb życia pojawiającymi się zboczeniami albo mają za punkt wyjścia pewne specjalne własności organizmów<sup>1)</sup>, własności, któreby stosownie do wymagań monizmu mechanistycznego w ostatecznej analizie musiały być uwarunkowane przez pewne warunki strukturalne; obecności zaś (ew. powstania) tych tak szczególnych własności, warunków strukturalnych — te ostatnie musiałyby być bardzo skomplikowane, — obecności,

---

<sup>1)</sup> Tak rzecz się ma np. z wpływem kształtującym czynności na organ, z występowaniem zboczeń w określonym kierunku i występowaniem mającem swą podstawę we własnościach organizmów.

która wymagałaby wyjaśnienia, monizm mechanistyczny albo zupełnie wytłomaczyć nie może, albo, gdyby koniecznie chciał ją wytłomaczyć, to nie mógłby uczynić tego inaczej, jak uciekając się do przypadku albo do sumowania się przypadków.

Jednem słowem monistyczno-mechanistyczne tłumaczenie celowości morfologiczno-fizjologicznych albo musi przyjąć pewien punkt wyjścia, którego zupełnie nie tłumaczy, ale który domaga się wytłomaczenia, albo też uciec się musi do przypadku w czasie. W tym ostatnim wypadku musi przyjąć albo jednorazowe przypadkowe z punktu widzenia potrzeb życia powstanie skomplikowanych pożytecznych zboczeń, ewentualnie skomplikowanych warunków strukturalnych, tego nadzwyczajnego źródła powstania gotowych celowości, albo też częstokrotne przypadkowe spotykanie się takich do siebie dostosowanych przypadkowych z punktu widzenia potrzeb życia (ew. mniej skomplikowanych) zboczeń i warunków strukturalnych, albo jedno i drugie razem. Tego rodzaju rzeczy atoli są wprost niemożliwe do przyjęcia. Jest oczywiste, iż w podobnych warunkach trzeba odrzucić jako niewystarczające monistyczno-mechanistyczne tłumaczenie celowości morfologiczno-fizjologicznych.

Przejdźmy teraz do monistyczno-psychologicznego tłumaczenia celowości morfologiczno-fizjologicznych.

To monistyczno-psychologiczne tłumaczenie powstania celowości morfologiczno-fizjologicznych znalazło zwolenników szczególnie wśród biologów niemieckich, między którymi przedewszystkiem wymienić musimy A. Paulęgo, A. Wagnera i R. H. Francé'go. Ponieważ monizm psychologiczny, albo innemi słowy psychomonizm lub psycholamarckizm, jest szerszemu ogółowi mniej znany i ponieważ dla dokładniejszego zrozumienia psychomonistycznego tłumaczenia powstania celowości morfologiczno-fizjologicznej jest pożytecznem poznanie ogólnych zasad monizmu psychologicznego, podam przedewszystkiem ogólną charakterystykę tego systematu, aby później zająć się nim specjalnie z punktu widzenia celowości morfologiczno-fizjologicznych.

„Wielka zasada, jak słusznie mówi R. de Sinety, panuje nad całym monizmem psychologicznym, zasada ciągłości“<sup>1)</sup>. Dla psychomonistów, w rzeczy samej, jak słusznie mówi w dalszym ciągu ten sam autor, „świat tworzy rzeczywistość jedną i w tej jednej rzeczywistości wszystkie formy bytowania są ze sobą połączone. Istnieje ciągłość między materją żywą i materją nieorganiczną, między rośliną i zwierzęciem, między zwierzęciem i człowiekiem“<sup>2)</sup>.

Ta zasada ciągłości znajduje swe dopełnie-

---

<sup>1)</sup> R. de Sinety: „Le monisme psychobiologique:: w *Revue des questions scientifiques*“, 1910, str. 12.

<sup>2)</sup> R. de Sinety, op. cit., str. 13.

nie w drugiej zasadzie panującej nad psychomoniizmem, w zasadzie ewolucyi, której psychomoniści zgodnie z wymaganiami monizmu żadnych granic nie stawiają.

W końcu należy dodać, iż wszyscy psychomoniści w wytłomaczeniu faktów stosują się do jednego wielkiego wytycznego prawidła, które można uważać jako duszę ich systematu. A. Wagner, jeden ze zwolenników psychomoniizmu, określa w następujący sposób cwo prawidło: „Zamiast bezpłodnego wysiłku szukania w niedoskonałościach tego, co jest małym, materiału do budowy doskonałości, która się znajduje w tem, co jest wielkie, ono (badanie typowo-nowożytnie) usiłuje znaleźć już w tem, co jest małe, składowe części doskonałości<sup>1)</sup>).

Odpowiednio do wymagań tego wytycznego prawidła, jak i również odpowiednio do zasady ciągłości, psychomoniści z jednej strony przypisują zdolność psychiczną, a w szczególności rozum, nietylko człowiekowi i zwierzętom, lecz również i roślinom, a w szczególności każdej poszczególnej komórce<sup>2)</sup> ciała zwie-

<sup>1)</sup> A. Wagner: „Streifzüge durch das Forschungsgebiet der modernen Pflanzenkunde“, 1907, str. 91.

<sup>2)</sup> Te własności intelektualne, ten rozum organiczny lub „rozum organowy“, jest uważany na ogół przez psychomoniistów jako mniej doskonały, niż rozum osobowy ludzki; wszakże prof. J. G. Voigt, jeden ze zwolenników monizmu psychologicznego nie zawahał się powiedzieć, iż „działalność twórcza rozumu organowego jest nieskończenie doskonalszą i mędrszą od działalności twórczej naszego osobowego rozumu“. Voigt: „Der Organintellekt“, str. 16, w „Zeitschrift für den Ausbau der Entwicklungslehre“, 1909, str. 16.



rzęcego lub roślinnego; a z drugiej strony, nie ograniczają oni życia psychicznego<sup>1)</sup> do świata organicznego, lecz przeciwnie, przypisują pierwiastkowi psychicznemu rozciągłość kosmiczną. Prócz tego element psychiczny, według nich, nie jest istotą różną od świata fizycznego, lecz jest czemś zawartem w świecie fizycznym.

Należy atoli uprzedzić i zaznaczyć, że psychomoniści nie przyznają, aby w organizmach istniał jakiś jeden jednoczący pierwiastek, któryby nadawał kierunek działalności poszczególnych części składowych organizmu; przyczyna jedności w działalności życiowej organizmu tkwić ma według zasad psychomonistów, jak szczególnie jasno mówi nam to Pauly<sup>2)</sup>, w zdolności poszczególnych części organizmu (komórek) do wymiany swoich stanów psychicznych, swoich doświadczeń i do reagowania na potrzeby innych części, tak jak na swoje własne.

Oto są podstawowe zasady psychomonizmu; zgodnie z nimi rozstrzygają psychomoniści wielkie zagadnienie celowości organicznej, które służy za punkt wyjścia dla większej części ich dociekań; niem teraz się zajmujemy:

Oдноśnie do tego ważnego zagadnienia można w następujący sposób streścić zapatry-

---

<sup>1)</sup> W czynności psychicznej, którą przypisują światu nieorganicznemu, nie wahają się psychomoniści widzieć zarodków zdolności sądenia. Patrz Francé „Der heutige Stand . .“, str. 95.

<sup>2)</sup> Pauly: „Darwinismus und Lamarckismus“.

wania zasadnicze, wspólne wszystkim psychomonomistom:

1. Ani akty twórcze Boga, ani dobór naturalny nie stanowią źródła celowości organicznych; niepodobna również przyjąć istnienia dążności do doskonalenia się (Vervollkommnungstrieb), wsobnej organizmom, lub planu ogólnego powodującego postęp organiczny.

2. Działalność teleologiczna organizmów posiada swą rację bytu w zdolnościach psychicznych, w rozumie samych organizmów (zdolność sądzenia w szczególności).

3. Urządzenie teleologiczne już istniejące (jeżeli się wyłączy niektóre wypadki, w których, tak głoszą między innymi Pauly i szczególnie Francé, są one wynikiem tak zwanej „Ausdruckstätigkeit” czyli innemi słowy wynikiem bezpośredniego wpływu podnieć psychicznych na organizm, jak trwoga np.) są wynikiem reakcyi „czynnych” teleologicznych organizmu na potrzeby konkretne, reakcyi psychicznie i intelektualnie uwarunkowanych i polegających na zużytkowaniu środków, którymi może rozporządzać organizm, środków, które należą do sumy jego doświadczeń (Erfahrung); są uważane przez organizm jako wystarczające dla zaspokoienia danej potrzeby, wszakże istnieją przypadkowe z punktu widzenia potrzeby, do której zadość nie tymczasem służyć będą.

4. W kształtowaniu się organów występuje wpływ ich czynności na rozwój samychże organów, bo posługiwanie się poszczególnym „środkiem” prowadzi do jego rozwoju w życiu poszczególnych osobników i w życiu gatunku.

Powyższe wyłuszczenie\* zapatrywań psychomonistycznych na wytwarzanie celowości organicznych pokazuje nam, iż psychomoniści nie wahają się utrzymywać, że wytworzenie samych nawet celowości morfologiczno-fizjologicznych znajduje swe źródło w rozumie samych organizmów; twierdzą, iż procesy fizjologiczne i morfogenetyczne (ew. chemiczno-fizyczne) podlegają wpływowi czynności kierowanej organizmów, intelektualnie uwarunkowanej.

Owa „intelektualizacya”, jeżeli można się tak wyrazić, wytwarzania celowości morfologiczno-fizjologicznych, owa doktryna „rozumu organicznego”, stanowi punkt kulminacyjny biologii psychomonistycznej. Streścimy teraz najważniejsze dowody, na których ona się opiera.

Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, iż w dowodzeniu psychomonistów zajmuje pierwszorzędne miejsce założenie natury kryterjologicznej. Polega ono na tem, iż psychomoniści, — biorąc za punkt wyjścia stwierdzenie faktu, że skoro tylko mamy świadomość dążenia do celu, robimy użytek z naszego rozumu, wydajemy sądy, oceniając zdatność jednego środka i niezdatność drugiego —

nie dopuszczają, aby mogła istnieć tendencya teleologiczna, autonomiczna, „czynna“<sup>1)</sup> inna niż ta, której podlega człowiek, kiedy poweźmie cel i powodowany inteligencyą kieruje i zwraca środki ku osiągnięciu tego celu. Oczywiście, przy podobnem założeniu psychomoniści, stwierdzając niemożność przyjęcia wytłumaczenia mechanistycznego życia, oświadczają, iż organizm może dążyć ku swoim celom „czynnie“, to jest nie jako maszyna, przypisują każdemu organizmowi rozum i upatrują w nim przyczynę faktu, iż organizm dąży „czynnie“ ku swoim celom.

Z drugiej atoli strony należy uprzedzić, iż psychomoniści upatrują podporę dla swego sposobu tłumaczenia wytwarzania celowości morfologiczno-fizyologicznych i w samym sposobie, w jaki się odbywa działalność organizmu. Pod tym względem przedewszystkiem kładą nacisk na to, iż w wytwarzaniu swych celowości morfologiczno-fizyologicznych organizm objawia się nam jako osobnik zużytkowujący środki, któremi może rozporządzać, i posiadający zdolność wybierania między nimi. Owo „zużytkowywanie“ i „wybór“ środków, jak mówią psychomoniści, nie mogą być porównane do żadnej innej czynności, jak tylko do intelektualnie uwarunkowanej czynności człowieka; wymagają interwencji zdolności sądze-

---

<sup>1)</sup> T. j. taka, której podstawą nie jest mechanizm.

nia i rozróżniania, w którą to zdolność muszą być zaopatrzone same organizmy.

Aby usprawiedliwić swą doktrynę „rozumu organicznego“ kładą jeszcze psychomoniści chętnie nacisk na analogię między działalnością teleologiczną w wytwarzaniu celowości, organicznych morfolologiczno - fizyologicznych i tem, co ma miejsce w czynach ludzkich, analogię objawiającą się w podobieństwie reakcyi, w fakcie, że jednakie przyczyny wywołują tu i tam jednakie skutki i t. d.

Nakoniec nie wahają się psychomoniści wyzyskiwać na korzyść swojej doktryny „rozumu organicznego“, samego faktu istnienia irracyonalizmów lub innemi słowy tak zwanych dysteleologii<sup>1)</sup>. Pełnemi znaczenia są tym względem następujące słowa Francégo: „Dla systemu psychomonistycznego są owe dysteleologie pojawiające się w życiu rośliny jednym z najlepszych argumentów, albowiem zdolności mylenia się nie spotykamy w maszynie, a zdolność ta przemawia przeciwko czynnikowi metafizycznemu<sup>2)</sup>, kierującemu życiem rośliny. Pozostawia ona tylko nietkniętą

---

<sup>1)</sup> Jako przykład podobnego irracyonalizmu wymieniają psychomoniści np. fakt, iż w raku znajdują się naczynia krwionośne, że jest on zatem odżywiany, jak każdy inny organ, chociaż jest on szkodliwy dla organizmu. Patrz Francé: „Der heutige Stand“, str. 60.

<sup>2)</sup> Czynniki metafizyczny czyli w danym wypadku Bóg.

trzecią możliwość a mianowicie możliwość rozumu ograniczonego<sup>1)</sup>).

Nie mogąc podać dla braku miejsca ogólnej krytyki monizmu psychologicznego, ograniczymy się do zbadania krótko wartości psychomonistycznego tłumaczenia powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych.

Gdy zważymy, iż podług psychomonistów istnienie „środków“, które organizm znajdzie do swego rozporządzenia dla zadośćuczynienia swym potrzebom i dzięki którym organizm będzie mógł wytworzyć ostateczne swe celowości morfologiczno-fizyologiczne, iż istnienie tych środków, powiadam, jest przypadkowe z punktu widzenia potrzeb i celów, do których zadośćuczynienia one posłużą, jasnym wyda się nam, iż monistyczno-psychobiologiczne tłumaczenie powstania celowości morfologiczno - psychologicznych nie wytrzymuje ostrza krytyki. Trudno w rzeczy samej przyjąć, jak tego wymaga tłumaczenie psychomonistyczne, iżby organizmy dzięki przypadkowemu a szczęśliwemu zbiegowi okoliczności znalazły w czasie swego rozwoju filogenetycznego niezmiernie wielką liczbę razy do swego rozporządzenia te właśnie środki, ten materiał, który im był potrzebny do zadośćuczynienia potrzebom, do osiągnięcia pewnych celów; trudno przyjąć, iżby przypadek tak wielką ilość razy faworyzował organizmy, dostarczając im wła-

<sup>1)</sup> Francé: „Pflanzenpsychologie als Arbeitshypothese“, str. 60.

śnie tego, czego potrzebowały. Monizm psychobiologiczny, przypisując organizmom intelektualnie uwarunkowaną zdolność zużytkowania „materyałów“ i „środków“ znajdujących się do ich dyspozycji, w najlepszym razie wytłumaczyć może dalszy rozwój już istniejących celowych urządzeń; pierwotne pojawienie się tych urządzeń lub ich zarodków pozostaje dla monizmu psychobiologicznego resztą nierozkładalną, o którą rozbić się musi cały gmach jego argumentacji.

Nie będę zatrzymywał się tutaj na poszczególnych przejawach celowości morfologiczno-fizyologicznych, które specjalną nastroczają trudność dla psychomenistycznego tłumaczenia. Na jeden tylko punkt zwrócę uwagę, a mianowicie, iż, jak słusznie mówi R. de Sinéty, „psychobiolodzy nie zdołają wytłumaczyć faktu zasadniczego, a mianowicie samej jedności w działalności organizmu“<sup>1)</sup>. I w rzeczy samej „jakim sposobem mogliby psychobiologowie wytłumaczyć taką jedność“ — można zapytać z powyżej wymienionym autorem, „jeżeli według nich istota żywa składa się wyłącznie z tysiąca komórek, które nie podlegają żadnemu wspólnemu wpływowi kierownicznemu?“<sup>2)</sup> Wprawdzie psychomoniści usiłują wytłumaczyć jedność istoty żywej, utrzymując jak to np. czyni Pauly, że rozmaite komórki wymieniają wzajemnie między sobą swe stany

---

<sup>1)</sup> R. de Sinéty, artykuł cytowany, str. 18.

<sup>2)</sup> R. de Sinéty, artykuł cytowany, str. 18.



psychiczne i że każda poszczególna komórka odczuwa tak jak swe własne, stany psychiczne innych komórek i reaguje na nie jak na swe własne stany psychiczne. Takie przypuszczenie wszakże, iż istnieje podobna „sympatya“ między rozmaitemi komórkami organizmu, jest z punktu widzenia psychomonizmu, przeczącego istnieniu w organizmie „pierwiałka jednoczącego“ wprost niepojętem i arbitralnem. Pozostaje nam jeszcze do powiedzenia kilku słów o ulubionej tezie psychomonistów, która stanowi punkt najważniejszy i najbardziej charakterystyczny biologii psychomonistycznej. Mam tu na myśli doktrynę „rozumu organicznego“; stosownie do niej psychomoniści nie wahają się upatrywać rację bytu wytwarzania celowości morfologiczno-fizyologicznych w działalności intelektualnej samych organizmów. Ta doktryna rozumu organicznego jest niewątpliwie nader pomysłową, lecz nie jest bynajmniej teorią możliwą do przyjęcia. Istotnie, psychomonistom przedewszystkiem można odpowiedzieć: z faktu, iż poznajemy w sposób bezpośredni dążenie „czynne“ teleologiczne jedynie z naszego własnego życia intelektualnego, nie wypływa bynajmniej, aby każde „czynne“ dążenie teleologiczne było koniecznie dążeniem intelektualnie uwarunkowanym; z drugiej zaś strony możemy również z punktu widzenia biologii antymechanistycznej odrzucić doktrynę „rozumu organicznego“ dla następujących powodów:

# 1. W wytwarzaniu celowości morfologiczno-fizyologicznych nie nam nie wskazuje<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Odnośnie do „zużytkowania“ i „wyboru“ środków przez organizm w wytwarzaniu celowości morfologiczno-fizyologicznych, w którym to „zużytkowaniu“ i „wyborze“ psychomoniści upatrują oznaki istnienia „rozumu organicznego“, możemy zauważyć, iż w zawartości obiektywnej faktów, które doprowadziły psychomonistów do mówienia o „zużytkowaniu“ i „wyborze“ środków przy wytwarzaniu celowości morfologiczno-fizyologicznych, nie nie wskazuje nam na istnienie „rozumu organicznego“. W rzeczywistości redukuja się te fakty do następujących:

1. w organizmie wytwarzają się „czynnie“, (nie na podstawie mechanizmu) procesy teleologiczne;

2. w wielu wypadkach istnieje indywidualne dostosowanie teleologiczne między poszczególnymi podmiotami konkretnymi i poszczególnymi reakcjami „czynnymi“ organizmu;

3. reakcja organizmu może polegać na jednym z różnych procesów, które były możliwe na podstawie warunków budowy. Otóż, jeżeli te fakty dowodzą niedostateczności mechanizmu biologicznego, nie dowodzą one wszakże prawdziwości doktryny „rozumu organicznego“; fakty te bowiem nie upoważniają nas do twierdzenia, iż organizm musi koniecznie znać wartość dla urzeczywistnienia swych celów procesów odbywających się w nim i że organizm musi porównywać wartość rozmaitych procesów a także zdawać sobie sprawę ze swych celów, jako takich. Z drugiej strony, ponieważ ten charakter „czynny“, który mogą mieć procesy życiowe teleologiczne, owo dostosowanie teleologiczne, indywidualne poszczególnych podmiotów i poszczególnych reakcji „czynnych“ i ta możliwość, by reakcja się objawiła w jednym z różnych kierunków strukturalnie dopuszczonych, stanowi główny punkt w analogii między działalnością organiczną morfogenetyczną i fizyologiczną a czynami ludzkimi, mamy prawo uważać powoływanie się na powyższą analogię jako niedostateczne dla udowodnienia doktryny „rozumu organicznego“. Nie bardziej zresztą przekonującymi są inne punkty analogii, o których mówią psychomoniści. W końcu należy zaznaczyć, iż dysteleologie o tyle tylko mogłyby służyć jako dowód dla doktryny „rozumu organicznego“,

interwencji działalności intelektualnej organizmów. 2. Prawdliwość tak charakterystyczna dla wytwarzania celowości morfologiczno-fizyologicznych nie daje się pogodzić z przyjęciem zależności bezpośredniej wytwarzana tych celowości od działalności intelektualnej organizmów. 3. Fakt, iż organizmy nie posiadają zdolności oduczania się od wytwarzania poszczególnych swych „irracyonalizmów organicznych”, nie daje się pogodzić z przyjęciem istnienia „rozumu organicznego”, gdyby nawet rozum ten miał być uważany jako mniej doskonały i bardziej ograniczony od „osobowego rozumu” ludzkiego, jak to przyjmują psychomoniści<sup>1)</sup>, właśnie aby wytłomaczyć istnienie irracyonalizmów. 4. W doktrynie rozumu organicznego tkwi nader wielka sprzeczność wewnętrzna. By wytłomaczyć irracyonalizmy, musi ona uznać, iż „rozum organiczny” jest niedoskonały i ograniczony; natomiast, aby wytłomaczyć fakty, jak np. regenerację soczewki w oku zwierzęcia Triton taeniatum (traszka) musiałaby przyznać „rozumowi organicznemu” potęgę i doskonałość nadzwyczajną<sup>2)</sup>; musiałaby ona istotnie przyznać z I. G.

---

o ile by było poprzednio stwierdzone, iż żadne inne tłumaczenie antymechanistyczne dysteleologii nie jest możliwe. Tego udowodnienia atoli psychomoniści nie dali — i dać je, wprost niepodobieństwem.

<sup>1)</sup> Nie wszyscy atoli, i w szczególności nie prof. I. G. Vogt z Londynu. Por. art. cyt.

<sup>2)</sup> Zwróćmy w rzeczy samej uwagę na fakt, iż w tej regeneracji proces morfogenetyczny różni się od tego, który w ontogenezie normalnej prowadzi do

Vogtem, iż działalność twórcza „rozumu organicznego“ jest „nieskończenie doskonalszą i mędrszą od działalności twórczej naszego rozumu osobowego“<sup>1)</sup>). 5. Gdyby organizm mógł posiadać intelektualnie uwarunkowaną zdolność kontrolowania (zdolność nawet bardzo niedoskonałą) swych procesów fizyologicznych i morfogenetycznych, byłoby wprost niepojętem, chyba, żeby się przyjęło obłęd „rozumu organicznego“, jakim sposobem np. w całej seryi skorupiaków, gdy się odetnie oko wraz z szypułką, na której ono spoczywa, organizm nie regeneruje częstokroć oka, lecz w zamian za oko wytwarza narząd o typowej budowie czułka. I tak, w imię bezstronnego badania, musimy odrzucić jako niemożliwą do przyjęcia doktrynę „rozumu organicznego“ i odrzucić monistyczno-psychobiologiczne tłumaczenie powstania celowości morfologiczno - fizyologicznych<sup>2)</sup>).

---

ukształtowania soczewki; zwróćmy uwagę i na to, iż w komórkach, w których bierze początek proces regeneracyjny, wytwarzają się specjalne zmiany teleologiczne (ich barwnik zostaje usunięty przez leukocyty), niezbędne, aby soczewka, którą wytworzą, mogła się stać pożyteczną dla organizmu; zwróćmy wreszcie uwagę na to, iż regeneracja odbywa się sposobem najprostszym; dla największej ilości szczegółów patrz: Wolff: „Beiträge zur Kritik der Darwinischen Lehre“, 1898.

<sup>1)</sup> I. G. Vogt: „Der Organintellekt“ w „Z. f. d. A. d. E.“, 1909, str. 16.

<sup>2)</sup> Dokładniejsze streszczenie zasad i krytykę monizmu psychobiologicznego dałem w pracy mej: „Il psicomonismo o monismo psicobiologico“, Florencya 1912; tutaj z bardzo nieznacznymi dodatkami podałem kilka ustępów z powyższej pracy.

Wykazaliśmy, iż trzeba odrzucić zarówno monistyczno-mechanistyczne jak i monistyczno-psychobiologiczne tłumaczenie powstania celowości morfologiczno-fizyologicznych. W poprzednim rozdziale uzasadniliśmy przyjęcie teistycznej teleologii. Należy dodać teraz, iż ta teistyczna teleologia w stosunku do celowości morfologiczno-fizyologicznych może a priori ukształtować się w mechanistyczno-teistyczną i w witalistyczno-teistyczną teleologię, stosownie do tego, czy przyjmie jako podstawę istnienia i powstawania celowości morfologiczno-fizyologicznych li tylko działalność czynników fizyko-chemicznych obecnych w organizmach, czy też zwróci się do obecności w organizmach specjalnych autonomicznych czynników życiowych. Zjawia się więc pytanie, czy należy przyjąć teistyczno-mechanistyczną czy też teistyczno-witalistyczną teleologię dla wytłumaczenia celowości morfologiczno-fizyologicznych. Pytanie to należy do najtrudniejszych i najzawilszych zagadnień bio-filozoficznych, a rozstrzygnąć je trzeba na korzyść teistyczno-witalistycznego poglądu. Nie możemy na tem miejscu zajmować się specjalnem uzasadnieniem tego witalistycznego poglądu na istotę celowości morfologiczno-fizyologicznych; zaznaczę więc tylko, iż najważniejsza jego podstawę tworzy absolutna niemożliwość, jak wykazał Hans Driesch, aby wytłumaczyć za pomocą samych czynników fizyko-chemicznych pewne poszczególne celowe procesy

życiowe, spotykane w życiu osobnikowem pewne formy organiczne, a mianowicie pewne poszczególne procesy restytucyi organizacyi po tejże uszkodzeniu (np. restytucya kompletnej Clarelliny z dowolnego tylko niezbyt małego kawałka górnej części jej ciała); podstawą dalej konieczność przyjęcia działalności czynnika autonomicznego, nie fizykochemicznego u samej podstawy rozwoju osobnikowego, czyli tego procesu, który doprowadza do wytworzenia w życiu danego osobnika rozmaitych dziedzicznie przekazanych mu celowości, konieczność wykazana przez tegoż H. Driescha<sup>1)</sup>.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Kilka uwag o celowości.

---

W niniejszym rozdziale pragnąłbym rozpatrzyć kilka poszczególnych punktów, dotyczących zagadnienia o celowości.

Jeden z wyników naszego dotychczasowego badania polega na stwierdzeniu, że przejawy celowości we wszechświecie na-

---

<sup>1)</sup> O ileby kto się interesował tymi dowodami witalizmu danymi przez H. Driescha, znajdzie je w streszczeniu w mej pracy: „Neowitalizm“. „Biblioteka Warszawska“. Styczeń 1912 r.

leży uważać jako zjawisko zamierzone. Wynik ten sformułujemy teraz nieco dokładniej, uzupełniając go do pewnego stopnia, a mianowicie powiemy, iż celowości kosmiczne zamierzone mają swój cel obiektywny, a nie tylko przez nas subiektywnie upatrzony, w istnieniu, utrzymaniu i rozwoju porządku kosmicznego; co się w szczególności tyczy procesów celowych, to powiemy, iż są one zmierzającymi do obiektywnego celu procesami.

Wyrażenia, jak „celowy”, „zmierzający do celu”, „mający cel”, braliśmy dotychczas w pewnem ograniczonem znaczeniu; stosowne do tego przyjmowaliśmy, iż „celem” jest istnienie, rozwój i utrzymanie porządku kosmicznego lub jego poszczególnych przejawów. Teraz zaś musimy dodać, iż „celowem” może być coś z punktu widzenia innego niż z punktu widzenia porządku kosmicznego, bo „celem” obiektywnym, do którego zmierza dany proces, może nie być dobro porządku kosmicznego; np. „celem” dla człowieka może być rozłupywanie kamieni.

Z drugiej zaś strony zaznaczymy, iż oprócz celowości kosmicznych, które służą do urzeczywistnienia celów przez Boga zamierzonych, a do ich badania dotąd ograniczyliśmy się, spotykamy we wszechświecie również celowości, które służą do urzeczywistnienia celów przez istotę stworzoną zamierzonych. Własna obserwacja wskazuje przede wszystkim każdemu



człowiekowi, iż on sam często działa, aby osiągnąć z góry przez siebie zamierzony cel. Zauważmy teraz, że kiedy dla mnie istnienie obiektywną wartość mających celów jest czemś bezpośrednio danem, gdy chodzi o moją własną świadomą i intelektualnie uwarunkowaną działalność i jej wyniki, to we wszystkich innych wypadkach jest ono dla mnie czemś wywnioskowaniem; a dodać tu należy, iż chociaż pojęcie celu jest pochodzenia czysto subiektywnego, chociaż więc przyjmując istnienie obiektywnych, nie zależnie od naszego rozumu i woli obiektywną wartość mających celów dla przyrody, rzucam w świat przedmiotowy moje subiektywne pojęcie, tem nie mniej mam prawo to uczynić, albowiem zmusza mnie do tego charakter zjawisk w świecie przedmiotowym.

Jeden punkt jeszcze zasługuje na naszą uwagę — a mianowicie, iż przyjmując istnienie związków celowych we wszechświecie, nie zaprzeczamy przez to istnieniu związków przyczynowych; przeciwnie, przyjmujemy, iż cele zostają urzeczywistnione we wszechświecie za pomocą związków przyczynowych.

Co się tyczy wzajemnego stosunku przyczyn nowego i celowego rozpatrywania zjawisk we wszechświecie, to powiedzieć możemy, iż rozpatrywania te zupełnie się nie wykluczają wzajemnie; przeciwnie wzajemnie się uzupełniają, albowiem, gdy przyczynowe rozpatrywanie danego zjawiska stara się odpowiedzieć na zapytanie, „w jaki sposób“ powstało

dane zjawisko, to celowe rozpatrywanie pyta o rzecz zupełnie inną, a mianowicie o to: „dlaczego“ powstało, „dlaczego“ istnieje dane zjawisko?<sup>1)</sup> Pidając w ten sposób dany proces z zupełnie innego punktu widzenia, celowe rozpatrywanie tylko uzupełnia nasze o nim wiadomości, osiągnięte za pomocą przyczynowego rozpatrywania.

Dobrze charakteryzuje stosunek przyczynowego do celowego rozpatrywania zjawisk prof. I. Reinke, gdy mówi:

„Przyczynowość oznacza początek, celowość oznacza ukończenie stawania się lub rozwoju. W kwitnącej roślinie kształt jest przyczynowo zdeterminowany przez własności nasienia, któremu zawdzięcza ona swój początek a celowo znajduje on ukończenie swego rozwoju w wytworzeniu nowych nasion. Mam zatem do czynienia z kierunkiem mojego rozpatrywania, stosownie do tego, czy chcę zrozumieć tę roślinę przyczynowo, czy też celowo, a przytem przyczynowość i celowość stają się punktami widzenia przy opisywaniu. Stosownie do zmiany punktu widzenia można więc rozpatrywać dany związek zjawisk z punktu widzenia przyczynowego lub celowego. Gdy mówię i kupuję sobie bilet, ażeby pojechać do Hamburga, jestto celowe opisanie tej samej czynności, którą przyczynowo opi-

---

<sup>1)</sup> Por. Dennert: „Der Zweckbegriff in der Natur“, w „Unsere Welt“, 1909, str. 504.

suję, gdy mówię: „ponieważ kupiłem sobie bilet, mogę przeto pojechać do Hamburga. Jak w powyższym przykładzie rośliny, tak też i po większej części przyczynowe i celowe związki są ściśle ze sobą połączone“<sup>1)</sup>).

---

### **Zakończenie.**

Dobiegliśmy już do końca naszych dociekań, ale część tylko wielkiego zagadnienia o celowości i porządku we wszechświecie i to w najogólniejszych zarysach ująć zdołaliśmy; wiele zagadnień pobieżnie tylko poruszyć mogliśmy, o innych nawet nie wspomnieliśmy.

Jaki jest z punktu widzenia celowego stosunek człowieka do reszty rzeczy stworzonych? Jaki jest cel ostateczny porządku i celowości kosmicznych? Albo innemi słowy: dlaczego Bóg stworzył tyle przejawów porządku i celowości? Jakimi były te zasadnicze właściwości rzeczy stworzonych, któremi Bóg w bezpośredniej swej działalności twórczej obdarował te rzeczy stworzone niby źródłem, z którego wytrysnąć miało całe bogactwo przejawów porządku i celowości kosmicznych? — Takie oto i wiele innych jeszcze nasuwa nam się pytań; ich rozstrzygnięciem, albo próbami ich rozstrzygnięcia nie zajmowaliśmy się zu-

---

<sup>1)</sup> Reinke: „Natur und wir“, str. 210.

pełnie; podobnie i w dociekaniach naszych nie uwzględniliśmy człowieka jako jednostki moralnej i nie uwzględniliśmy tego, że cierpienia ludzkie i to co je sprowadza, mogą mieć niezależnie od swej ogólno-kosmologicznej racyi bytu i swą specjalną racją bytu, swój cel specjalny, którym jest dobro i doskonalenie się moralne człowieka. „Ale choć wiele, bardzo wiele zagadnień pozostawiliśmy prawie albo też zupełnie nietknięte, to jednak jeden nadzwyczaj doniosły osiągnęliśmy wynik, który doniosłością swą góruje nad wszystkimi innymi wynikami, jakie osiągnąć można, badając zagadnienie porządku i celowości we wszechświecie; a wynikiem tym jest wykazanie, iż jako przyczynę ostateczną przejawów porządku i celowości we wszechświecie uważać należy istotę nieskończenie mądrą, wznoszącą się ponad poszczególnymi osobnikami i zjawiskami kosmicznymi; a istotę tę, jak na to wskazaliśmy, należy, ze względu na dualizm istotny między światem fizycznym i światem duchowym, uważać jako stojącą po za światem fizycznym.

Przyznając się do tego teistycznego światopoglądu, idziemy wprawdzie przeciwko pewnemu modnemu prądowi, według którego pojęcie „Bóg“ powinno być wyrugowane z gmatchu wiedzy ludzkiej; ale kroczymy śladami znacznej liczby najwybitniejszych przyrodników współczesnych, jak A. Gaudly, A. de Laparent, Bazande, Leverrier, Carnoy, P. van Be-

neden, Lord Kelvin, Hyrtl, Faye i wielu innych;  
kroczymy śladami największych geniuszów  
ludzkości, którzy badali przyrodę: Pasteura,  
Keplera, Newtona, Kopernika.....



## Spis rzeczy.

|   |    |
|---|----|
| Słowo wstępne . . . . .   | 5  |
| Rozdział I.      Przejawy porządku we wszechświecie . . . . .   | 6  |
| Rozdział II.     Kilka uwag wstępnych o celowości we wszechświecie . . . . .  | 13 |
| Rozdział III.   Celowość w świecie organicznym .  | 16 |
| Rozdział IV.    Celowość w świecie organicznym. (Ciąg dalszy.) . . . . .  | 40 |
| Rozdział V.     Celowość w świecie nieorganicznym . . . . .   | 53 |
| Rozdział VI.    Źródło ostateczne przejawów celowości i porządku we wszechświecie. Teizm i irracjonalizmy kosmiczne . . . . . | 57 |
| Rozdział VII.   Monizm mechanistyczny i monizm psychobiologiczny wobec celowości morfologiczno-fizyologicznych .              | 67 |
| Rozdział VIII. Kilka uwag o celowości . . . . .   | 92 |
| Zakończenie . . . . .   | 95 |

---





NOWSZA LITERATURA  
A NASZE STANOWISKO KATOLICKIE.

Biblioteka  
O. M. C.



M. W. PRAWDZIC.

---

# NOWSZA LITERATURA A NASZE STANOWISKO KATOLICKIE.



POZNAŃ.

Nakładem i czcienkami

Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

New-York, The Polish Book Imp. Co. Inc.

1913.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

## I.

### WSTĘP.

Czem jest literatura? Czy ona jest tak ważnym i wpływowym czynnikiem w życiu naszym, że nieodzownem jest dla nas zajęcie stanowiska decydującego w tej kwestyi? Czem jest nowsza literatura, czem się różni od dawniejszej? Dla czego ona właśnie nas zmusza do zajęcia krytycznego stanowiska?

Literatura jest obrazem duchowego życia narodu, skarbnicą, w którą naród złożył dla współczesnych i dla potomności to, co posiadał najlepszego z zakresu władz swej duszy, t. j. rozumu, woli i uczucia. Więc szukać tego najlepszego, odnaleźć je, kształcić się na niem, jest obowiązkiem, od którego nam katolikom uchylać się nie wolno, bo kształcenie rozumu, woli i serca czyli uczuć, odpowiada zamiarom, które miał Bóg wobec istoty naszej, stwarzając ją na podobieństwo swoje. Ten obraz Boży wyryty jest w duszy naszej przez to właśnie, że Pan Bóg nas obdarzył po pierwsze, rozumem, zdolnym kształcić się coraz więcej, ażeby coraz lepiej odbijając

przedwieczną mądrość Boga, g ł o s i ł c h w a ł ę J e g o ; po drugie, stosownie do swej nieograniczonej wolności dał Pan Bóg nam wolną wolę, którą mamy skłaniać ku dobremu, z b l i ż a j ą c s i ę d o d o s k o n a ł o ś c i B o ż y c h ; po trzecie, ze Swej szczęśliwości dał nam Pan Bóg udział, obdarzając nas sercem, zdolnem do odczuwania radości i pragnienia wiecznego szczęścia, a zatem i uczucia nasze powinny oczyszczać się coraz bardziej, ażeby dusza nasza stała się godną swego nadprzyrodzonego przeznaczenia.

Te trzy postulaty wskazują nam wyraźnie, że duch nasz nie może leżeć odłogiem, lecz że raczej powinniśmy korzystać z wszelkich środków, pomagających nam do osiągnięcia wyższego naszego przeznaczenia, a zatem i ze s k a r b ó w p i ś m i e n n i c t w a . Kościół katolicki od czasu założenia swego wciągnął zajęcie się nimi do swej działalności zbawiennej i zakładał cenne i obszerne biblioteki, nieraz z wielkim nakładem trudów i poświęcenia.

Więc nie wolno nam mówić: **nic nie chcę czytać...** lecz z drugiej strony, niemniej stajemy wpoprzek zamiarów Bożych, **jeżeli czytamy bez wyboru**, jeżeli do duszy naszej, tak uprzywilejowanej i do tak wysokiej godności podniesionej, wprowadzamy to, co ją poniża, co ją oddala od celu. Ażeby złe rozsiewać i drugim wszczepiać, na to nie był ludziom dany rozum i zdolność wyrażania swych myśli.

**Czy więc literatura, to piśmiennictwo wyborowe, spełniała zawsze swoje posłannictwo?** Gdy sobie zadamy trud śledzić początki literatury u jakiegokolwiek narodu, dojdziemy do wyniku, że już pierwsze próby przekazania swej myśli potomności, miały podkład idealny i cel wyższy, nawet u ludów pogańskich, u których światło prawdy i dobra było przyćmione. Toć pierwsze najskromniejsze ślady myśli ludzkiej: napisy na kamieniu w postaci runów, hieroglifów, były to wysiłki, aby uwiecznić chwałę bogów, lub wyrazić wdzięczność bohaterom, poświęcającym się dla dobra ogółu; a pierwsze pieśni były to pobudki do waleczności lub innych cnót; hieroglify zdaje się, zostały wręcz dla tego celu zaprowadzone, gdyż nazwa ich oznacza „Pismo boskich słów“. Narod żydowski zaś złożył siłę słowa prawie wyłącznie w tej księdze ksiąg, t. j. biblii, której wzniosłe psalmy, pieśni i t. d. są dla wierzących nietylko Objawieniem Bożem, lecz oraz źródłem natchnienia dla poetów o wyższym polocie ducha.

Chrześcijaństwo, rozumie się, wydawało od samego początku pisarzy, mających cel wysoko wytknięty przez samego Zbawiciela, a na dzieła ich nawet obecny świat, chociaż tak zmateryalizowany, zaczyna spoglądać jak na gwiazdę przewodnią.

Dawny pomnik naszej literatury, pieśń Bogu Rodzica — któż z nas nie wie tego — jest zadokumentowaniem wiary narodu, tej



wiary, która Polskę uczyniła wielką i na wyżyny naród zawsze prowadziła, gdy jej się nie sprzeniewierzała.

Później wszystkie literatury kształca się wprawdzie na wzorach klasycznych, pogańskich; lecz i wtedy starają się prawdziwie chrześcijańscy poeci i pisarze podporządkować piękną formę klasyczną idei chrześcijańskiej, tak że ich dzieła jeszcze po dziś dzień wywierają wpływ błogosławiony, n. p. u nas Kochanowski, we Francyi Corneille, we Włoszech Dante.

Pojawiali się coprawda i później u wszystkich narodów pisarze, nie posiadający wielkiej wartości moralnej, lecz i oni aż do niedawna, świadomi swego obowiązku, w wielkiej części przestrzegali, żeby przez swe dzieła nie gorszyć, lecz raczej umoralniać społeczeństwo.

Skądże jednak powstał ten pęd ku złemu, ku zgorzeniu, w literaturach narodów chrześcijańskich? Jak się stało, że literatura, która przez tyle wieków tak dobrze spełniała swoje zadanie, zmieniła właśnie w ostatnim czasie swój charakter? Jeżeli poznamy **przyczyny** tego zjawiska, będziemy mogli łatwiej osądzić, **jakie stanowisko względem tej najnowszej literatury zająć powinniśmy**. Musimy się tu cofnąć do **Odrodzenia**, któreby się powinno nazywać odrodzeniem poganizmu w obyczajach, literaturze i sztuce, gdyż rzeczywiste odrodzenie się ducha ludzkiego nastąpiło przecież już po-

przednio przez Chrystusa, jak słusznie zauważył Cartier, znany ze swych prac o sztuce.

**Ten zwrot ku pogaństwu** dlatego był tak zgubny, bo nie tylko wprowadził ludzi na drogę zmysłowości, oddzielił świat piękna od prawdy i dobra, lecz wbił umysł ludzki w pychę i wywołał rokosz przeciwko Bogu i Kościołowi. Nieuniknionym rezultatem tej niezależności rozumu ludzkiego musiało być powolne usuwanie się zasad chrześcijańskich z wszelkich płodów ducha ludzkiego. Powolnem było rzeczywiście, bo prawda i piękność wiary chrześcijańskiej zbyt głęboko były zakorzenione w sercach ludzkich, żeby je było można odrazu wykorzenieć. Więc też, chociaż Odrodzenie wydało Reformację, Rewolucję wielką i racjonalizm, to jeszcze do niedawna liczba złych i przewrotnych autorów była szczupłą, społeczeństwa chrześcijańskie nie straciły jeszcze poczucia tego, co złe a dobre, co dozwolone a co niedozwolone. Więc jakiś niezwykle zbieg okoliczności musiał spowodować takie rozpanoszenie się literatury bezbożnej i niemoralnej w ostatnich kilkudziesięciu latach, nawet wśród katolików. Za główny powód ogólnego upadku literatury, należy — rozumie się — uważać **wpływ nowszych filozofów bezbożnych** zeszłego wieku, którzy **w połączeniu z przyrodnikami** starali się zgładzić z świata wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, wykreślając Boga, duszę i wieczność ze swego zbiornika wiedzy i umysłowości;

czego nie mógł dokonać Wolter, ani encyklopedyści, ani wielka rewolucya, to ci nowsi przeprowadzili z łatwością, ponieważ ich słowa padały na glebę podatną. **Materyalizm uczonych** około połowy XIX wieku, przypadł w czasie, gdy dobrobyt ogólny się powiększył przez podniesienie się handlu i przemysłu i wskutek kombinacji politycznych. A bogactwa, na ogół, nie przyczyniają się do wzrostu idealizmu; więc też wszystko, co w literaturze naukowej czy beletrystycznej było miękkiego, zmysłowego, przyziemnego, znalazło łatwy przystęp do ludzi już zmateryalizowanych. Ruskin, znakomity krytyk i estetyk angielski, słusznie mówi, że bogactwo jest korzeniem wszelkiego złego — co zresztą dawno już wiemy z Pisma św. A to oddziaływanie społeczeństwa i literatury na siebie było wzajemne. Powiększony dobrobyt rozszerzał oświatę i do warstw najniższych, to też wiedza się popularyzowała, coraz więcej czytano, pisarzy przybywało, gdyż się opłacało pisać. Trzeba było coraz to nowej przynęty, chociażby i sensacyi niezdrowej, a instynkty niskie raz obudzone, nie zatrzymały się w pół drogi, i doszli ludzie do tego, że już każda strawa duchowa im dobra, przez kogokolwiek i jakkolwiek im podana. U nas stosunki były trochę odmienne — u nas piszą nieraz dla braku innych środków do utrzymania; lecz i u nas upadek literatury miał te same powody, co gdzieindziej, bo żaden naród nie może się odgraniczyć mu-

rem chińskim, tylko wszystkie wzajemnie na siebie oddziałują.

Zbieg ten powyższych okoliczności nie byłby może jeszcze tak zgubnie wpłynął na piśmiennictwo, gdyby się do niego nie był wmięszał jeden czynnik niepowołany, t. j. **żydzi**. Oni największą krzywdę wyrządzili piśmiennictwu, a przez nie społeczeństwom, masoni bowiem nawet tak szkodliwie nie działali, zanim żydzi się do nich wcisnęli. A tę dekadencję spowodowali nietylko przez udział pośredni albo bezpośredni w pracy umysłowej narodów, lecz może bardziej jeszcze przez skrzywienie i sfałszowanie opinii w świecie, pchani do tego nienawiścią do chrześcijan, do krzyża, i oprócz tego pragnieniem korzyści materialnych, stąd dla nich płynących.

O żydach pisał „Dziennik Poznański” w 1906 r. artykuł zatytułowany: „Żydzi panami świata”. Autorowi tego artykułu dostała się do rąk „Książka o Kahale”, pisana w r. 1870 przez żyda przechrzczonego, i z niej to czerpał swe wiadomości. Książka ta przedstawia ukrytą a dla nas tak zgubną pracę żydów na polu społecznem, politycznem, naukowem etc. Na jednym z ich zjazdów powiada mówca żydowski między innemi: „Jesteśmy chytry, zręczni, władamy groszem, trzeba zatem za pomocą wielkich dzienników kształcić i kierować opinią publiczną według naszych wyłącznie interesów; krytykować dzieła, see-

nę, i pozyskać wpływ na publiczność. Takimi drogami postępując krok za krokiem, odeprzemy chrześcijan od wszelkiego wpływu i poddyktujemy światu to wszystko, w co ma wierzyć, co szacować, a czem pogardzać i co przeklinać. Dzierżąc prasę w naszych dłoniach, będziemy mogli zamieniać prawość w nieprawość, bezczeństwo podnosić do części — będziemy mogli wstrząsnąć nietykalną dotąd instytucją rodziny i t. d. Masy same przez się głupie i ślepe, dają się zawsze powodować i prowadzić krzykaczom, a któż lepiej i głośniej od żyda hałasować i blagą omamiać potrafi?“

To są słowa, wyjęte z księgi o Kahale. Czy te zjazdy i sojusze żydów są rzeczywistością, pewnie nie jest dowiedzionem, lecz faktem jest, że od 40 lat się sprawdza, co w tej książce jest zapowiedziane. Żydzi osiągnęli nawet więcej niż się spodziewali, bo zawładnęli podstępnie nie tylko masami, ale i wybrańcami społeczeństwa. Chrześcijanie poszli pod ich komendę na własną swą szkodę. Nasz naród, który zawsze miał słabość do żydów, najgorzej wyszedł na tej ich niepowołanej opiece, gdyż korzystając z obojętności Polaków pod tym względem, z wielką łatwością wcisnęli się do gazet, zwłaszcza warszawskich. Gorzej jeszcze: żydzi weszli poprostu do literatury naszej, nauczyli się po polsku, i pisząc po polsku, nazwali się Polakami. Weźmy jakąbądź próbkę ich pióra: Nowaczyński (Neuwerth) w swoim wierszu „Meandry“ mówi: „Gwiżdżę na waszą

romantyczną trójkę! Gdybym mógł, spaliłbym ją jak kalif Omar. — Poezya, oto grzyb w ojczyzny gniciu“.

Jeske-Choiński napisał cięty artykuł na ten temat p. t. „Literatura polska w niewoli żydowskiej“. Mówi tam między innemi: „Obcy przybysz nie odczuwa zupełnie istoty samej duszy polskiej, bo nietylko, że jej nie odczuwa, ale usposobieniem swoim jest wprost jej wrogiem“. Rozwodzi się dowcipnie i dosadnio o tym pasożycie w naszej literaturze, lecz nie za wiele, bo żydzi na to zasłużyli sobie, wnosząc miazmaty zabójcze do literatury naszej, a tem samem i do życia narodu naszego. Ma nawet Jeske-Choiński chwalebny zamiar ukreścić bicz z powrozów i pędzić żydów na cztery strony świata z świątnicy narodowej. Pędzić, dopóki siły mamy jeszcze, dopóki organizm niezatruty ...

Bardzo to pięknie, tylko że to już trochę późno; teraz trzebaby także wielu innych powypędzać, niestety wiele urodzonych Polaków i Polek.

Jeżeli więc taki był przebieg procesu, przekształcającego nasze piśmiennictwo, jeżeli ono uległo wpływom **niewiary, materjalizmu, wpływom wrogów naszej ojczyzny i Kościoła**, czy można nawet przypuścić, że ono pozostało dobrem, że to najnowsze piśmiennictwo spełnia należycie swe zadanie kształcenia rozumu, woli i serca?

Pożałowania godnem, że naród nasz zaraz z początku nie zachował wszelkich środków ostrożności wobec takich wpływów! że nawet uczciwi ludzie, że dobrzy katolicy głosili: „Wszystko trzeba czytać!“ Lecz co minęło, tego już nie ma co żałować. Niech przeszłość będzie nauką dla przyszłości. Nie zaniedbujmy teraz przynajmniej, kiedy doświadczenie otworzyło nam oczy, obowiązku, zasięgania informacji co do literatury, ażeby wiedzieć, co czytać, a co omijać. Dawniej to było łatwiejszem zadaniem, tak mało było bowiem złej, niemoralnej literatury, że się człowiek nie często z nią spotykał, a świat katolicki rządził się zasadą, że tylko dobre, moralne książki czytać wolno.

---



## II.

### Filozofia.

---

Gdy przejdziemy do pojedynczych działów piśmiennictwa, wypada nam najprzód nazwać filozofię, tę przedstawicielkę rozumu, tego daru, przez który nas Pan Bóg tak bardzo wyniósł ponad wszystkie stworzenia tej ziemi i który jest odbiciem Jego mądrości. Filozofia zawsze nęciła myślących ludzi swoją nazwą, jako „miłośnica mądrości“, oraz swemi obietnicami odsłonięcia tajemnic prawdy i uszczęśliwienia człowieka przez dążenie do dobra.

Czy nowsza filozofia — t. j. filozofia całego wieku 19-go — spełniła swoje zadanie, czy jej cechą jest mądrość? Czy możemy, jako katolicy, być jej wyznawcami i postępować za jej wskazówkami?

Na czem jednak zależy mądrość w pełnem znaczeniu tego słowa? — Zależy ona na poznaniu pierwszego początku i końca wszechrzeczy i na prawem dążeniu do tego celu. Tak twierdzili starożytni mędrcy, nie tylko chrześcijańscy, ale nawet pogańscy. Lecz zupełna mądrość jest człowiekowi niedostępną; jego rozum jest ograniczony, Bóg tylko wszystko

nieomylnie przenika, aż do ostatnich przyczyn i zna doskonale Siebie samego, najwyższą sprawcą przyczynę wszystkiego. Człowiek więc może tylko poznawać i **szukać** źródła tej mądrości, która w Bogu w całej pełni się znajduje. Już Plato nazwał filozofię „**żądzą boskiej mądrości**“.

Taka mądrość nie jest znamieniem filozofii dominującej w zeszłym wieku, bo ona wyrzuciła Boga ze zbiornika swej wiedzy, a zatem, my katolicy, w **opozycji** do niej stanąć musimy.

Zadanie filozofii jest nie tylko teoretyczne, lecz i praktyczne, gdyż w każdej umiejętności jest przyrodzony związek rozumu z wolą, a filozofia jest umiejętnością najwyższą, ogarniającą całą naszą istotę duchową, więc powinna postępkami człowieka kierować, drogę do celu mu właściwego wskazywać. Do tego poczuwała się zawsze filozofia, a za cel swej nauki stawiała cnotę i prawdziwe uszczęśliwienie człowieka. „Treścią filozofii jest“, powiada św. Chryzostom, „iść za prawdą, naśladować Boga“.

I temu zadaniu swemu sprzeniewierzyła się postępową filozofia 19-go wieku kompletnie. Ona odwróciła właśnie ludzkość z drogi cnoty, ona chciałaby wszelki pierwiastek boski z duszy ludzkiej wyrwać, ona wysiliła się na to, by człowieka obrabować z szczęścia mu przeznaczonego tu na ziemi i w wieczności. Drugi to

więc powód, dla którego my katolicy, tę filozofię zwalczać musimy. W każdym razie wykształcony człowiek nie może zająć chwiejnego i niewyraźnego stanowiska względem filozofii, gdyż ona, decydując o najważniejszych zagadnieniach życia, prowadzi ludzkość całą albo na manowce, albo do właściwego jej celu.

W tej nowszej filozofii trudno jednak jednemu z o r y e n t o w a ć się. Raz słyszy się, że ona podkopuje wiarę i moralność, że jej brak zdrowego rozsądku, a innym razem fama rozgłasza, że ten nowoczesny filozof to wielki myśliciel, geniusz, że on świat wprowadził na prawdziwą drogę postępu, wyzwalaając go z obskurantyzmu. — Młodzieniec wyniósł z domu cześć dla Boga, poszanowanie dla religii, a tu słyszy od swego profesora, że ten filozof, który nie uznaje ani Boga, ani duszy nieśmiertelnej, którego etyka jest w zupełnej sprzeczności z moralnością chrześcijańską, jest wielkim mistrzem, jest apostołem mądrości. Więc nie wie ów młodzieniec, po czyjej stronie stanąć, gdzie racya?

Gdyby jednak każdy, zabierający się do studyów filozoficznych, miał s z c z e r ą c h ę ć odszukania prawdy, nie byłoby mu niemożliwem poznać, że filozofia bezbożna jest na fałszywej drodze, że tylko karygodna obojętność i bezgraniczna pycha zaprowadziła ludzi pod jej jarzmo.

M y ś ł a c e g o ,   d o j r z a ł e g o   c z ł o w i e k a , kierującego się rozumem - a do filo-

zofii rozumnie zabierać się trzeba — nie może zadowolnić nowoczesna liberalna filozofia, bo on widzi, że założenie jej z góry jest fałszywe, gdyż wzięwszy sam rozum za przewodnika, doszła do tak smutnych rezultatów, że przestała być filozofią, że upoważniła najgrubszy materializm podszywać się pod jej nazwisko.

Odsądziwszy tedy filozofię bezbożną od prawdziwego rozumu, od rzetelnej intencji poszukiwania prawdy, i potępiwszy ją ryczałtowo, czy może katolik powiedzieć: cóż mię może filozofia obchodzić? Załatwiłem z nią wszelkie rachunki.

Nie, nie wolno mu tak mówić, on od niej odczepić się nie może, cały świat teraz stoi pod jej wpływem, wprost albo pośrednio; więc też każdy powinien się o to starać — o ile to w jego siłach — by wyświecić prawdę dla własnego i bliźnich pożytku.

Pod której filozofii wpływem stoi teraz świat i nasz naród także? Pod wpływem niezależnej filozofii całego 19go wieku, począwszy od Kanta. Nie jest ona więc nową, bo przeszło sto lat temu jak Kant umarł, lecz to światu nie przeszkadza cytować go co chwila, jak gdyby jeszcze wczoraj był wśród nas — pomimo, że teraz przecież świat chciałby codziennie coś nowego — ale do smaku przypada niejednemu Kant, gdyż on to zapo-

czątkował, albo raczej wywołał filozofię, której rezultatem ostatecznym hasło, obecnie tak ulubione:

„Ni Boga, ni Pana!“

System filozoficzny, któremu Kant dał początek, a którego cechą znamionną jest zupełna niezależność od prawd nadprzyrodzonych, wije się jak nić przewodnia przez cały wiek 19-ty, przez wszystkie inne systemy, ich zmiany, rozgałęzienia i poprawki, aż do dni naszych. Nazywa on się i d e a l n y m, gdyż wysnuwa wszystko z jakiejś jedności idealnej, to znaczy, c z y s t e m r o z u m o w a n i e m wyprowadzić chce cały wszechświat myśli i bytu, odrzucając wszystko co wiadome z doświadczenia; skrajny jego kierunek nazwany idealizmem transcendentalem czyli nadzmysłowym. Wielkie zadanie! Lecz czy rozum sam z siebie sprostać mu zdoła?

Niechże ta filozofia sama za siebie odpowie. Przeszedłszy rozmaite fazy, przyznać się musiała: „Wierzę, że nie wierzyć nie możemy“. — „**Ignorabimus**“ jest jednym z ostatnich artykułów wiary filozofii niezależnej. Jakże więc może być naszą mistrzynią ta, która się sama przyznaje do ubóstwa duchowego?

**Błędy**, które popełniła filozofia, niezależna od wiary, z łatwością wykryje zdrowy rozsądek, lub dowiedzieć się może o nich od tych historyków filozofii, którzy nietylko na rozumie, ale i na wierze oparli swe badania. Tych błędów niepodobna tu wszystkich wyli-

czać, omawiane one już były rozmaitemi czasy i w niezliczonych tomach, lecz niektórym przynajmniej przypatrzeć się, przydałoby się niejednemu. Spadłaby tym sposobem aureola z tych mniemanych wielkości i niektórym ludziom nie zdawałoby się nadal, że religia pewnie jest tylko dla prostaczków, kiedy tacy mędrcy jak filozofowie, odrzucili wiarę.

W czem się tak pomylił Kant, ten szermierz racjonalnej, t. j. rozumowej filozofii? Rozum ma podług niego decydować o wszystkim, a jednak twierdzi on, że „rozum odkrywa tylko naturalne prawdy, że nie może dowieść nadzmysłowych bytów — chce stworzyć naukę o duszy jako o przedmiocie, znaczący ludzi siebie“. Więc jeżeli nic nam nie może powiedzieć o duszy, — a w religii nie szuka uzupełnienia swoich tez niedopowiedzianych — to też nie może nam mówić o naszym ostatecznym celu, a jednak... poznanie początku i końca wszechrzeczy jest zadaniem filozofii.

Przewidział sam Kant, że takie tezy podkopują wszelką moralność, i chcąc ją uratować, wymyślił rozum praktyczny, różniący się od czystego. „Czysty rozum powiada: nic nie wiesz o tem, czy Bóg istnieje, czy dusza nieśmiertelna etc., lecz w praktyce miej to za prawdy, bo ci są potrzebne, jeżeli chcesz żyć uczciwie“... Nie jest to przyznaniem się do niemocy swych rozumowań i zu-

pełnym brakiem logiki? Bo jakże można jednocześnie wierzyć i nie wierzyć! Dziecko nawet może powiedzieć, że wpływ takich wierzeń jest złudzeniem, gdyż ani ogółu takie zasady nie przekonają, ani samym filozofom nie starczą.

„Wszecchświat wyłania się prawem koniecznem z absolutu...” Nasamprzód, skąd to wiedzą? powtóre: konieczność tworzenia jest **sprzeczną** z pojęciem absolutu. Czyż nie rozsądniej uczy nas chrześcijańska religia i filozofia, że Pan Bóg z wolnej woli stworzył świat?

„Każdy skutek ma przyczynę konieczną...” Jeśli istnieje taka ostatnia przyczyna, rozum powinienby ją pojąć i uzasadnić. Ileż to razy człowiek staje wobec zagadki w życiu własnem lub w dziejach ludzkości i pyta się: dla czego? Tylko rozum, mianowicie oświecony wiarą, może dać mu zadowalniającą odpowiedź, że tą przyczyną była wolna wola Boża, której na tej ziemi nie zawsze każdy pojąć może. Rozum nasz jednak jest logicznym, gdyż uznaje tę niezbitą prawdę, że wszystkiego pojąć nie może.

Jeżeli Kant swoim „rozumem” twierdził, że przedmiot sam w sobie nie może być poznany, to jego następca Fichte, jeszcze go przesadził; z zasad Kanta wysnuł „że przedmiotu wcale nie ma, tylko jest jaźń, nasze ja, a reszta jest złudzeniem.....”



z czego wynikałoby, że nic nie wiem o innych ludziach, że jestem bodaj sam na świecie.

Pojawia się Schelling, chcący poprawić Fichte'go, a sam wikłający się w swe własne sidła, któremi omotać chce biedny rozum ludzki. Wymyślił „bezwzględną tożsamość ducha i natury i tą tożsamość jest wszechbytem, bóstwem....“ a więc panteizm nowoczesny już gotowy! Mamy tak jak nasi pogańscy przodkowie, bożków wszędzie! w lasach, rzekach, jaskiniach i t. d.

Następny przewodnik: Hegel. U niego „Byt jest tem samem co nicość...“ zaprzecza więc rzeczywistości świata; lecz „państwo, (zbiorowe „ja“) to rzeczywisty Bóg“; ten dogmat wyklądał na uniwersytetach, „Staatsomnipotenzlehre“ nazywając tę naukę.

A dowody na te wszystkie sofizmaty? „Takie jest wymaganie rozumu...“ Więc wierz teraz temu filozofowi na słowo, bo zdrowy twój rozsądek inaczej mówi.

Byłoby to wszystko bardzo piękne, gdyby nie było takie smutne. Ile to razy się czytało o dawniejszych ludziach, że im filozofia Hegla wiarę odebrała. Czyż **takaż** filozofia rzeczywiście nie zdoła obrać katolika z prawd wiary? z prawd tak jasnych i przejrzystych, że je dziecko pojąć może; tak głębokich i wznio-

słych, że mędrzec przed niemi czoło uchylić musi; tak silnych, że pobudziły do heroicznych czynów wybrańców ludzkości, których imię jest legion.

Nam katolikom taka filozofia szczególnie musi być wstrętną. Katolik wie, że rozum jest odbiciem mądrości Bożej, że ma nas do niej zbliżać; więc będzież pozwalał filozofii niedorzecznej podkopywać rozumność? tej filozofii, mieszkającej w mroku nieprzystępnym dla ogółu i samej sobie nie rozumiejącej? tej filozofii, której rozumowanie zasada się na karłowatych sztuczkach myśli i słowa? której logiczne niby myślenie prowadzi do wręcz przeciwnych rezultatów, która przeczyć tylko umie, a dowodów i siły argumentacyi nie posiada. Z dyskredytowaną też została ta filozofia idealna, gdyż ludzkości zadowolnić nie mogła. Jednych zraziła swoją bezbożnością, drudzy naturalnym biegiem rzeczy, rzucili się w odwrotnym kierunku do **empiryi** (d o s w i a d c z e n i a) i wskrzesili materyalizm. **Skrajny materyalizm wziął górę.** Jest on ostatniem wypowiedzeniem się systemu transcendentanego, który materję chciał przemienić w ducha — więc do przetworzenia ducha w materję, już tylko krok jeden! Racyonalizm zamienił się w materyalizm. Tam u źródła „czystego rozumu“ był początek obecnego zmateryalizowania świata.

Nisko zaiste upadła filozofia, która w swej zuchwałości postawiła człowieka w miejsce Boga. Czyż nie zasłużyła sobie na taką karę?

**Błędy**, które popełniła filozofia materyalistyczna, dają się streścić w orzeczeniu: że ona jest jednym błędem od początku do końca. Już podstawowe jej zasady są z gruntu fałszywe, gdyż ona poniża człowieka, chce go pozbawić godności własnej, a przecież filozofia powinna być najszczytniejszą nauką kulturalną. Z tej filozofii nietylko Bóg jest wykluczony, ale jej adepci idą dalej jeszcze: podług nich ducha niema, jest tylko wieczna materya, życie utworzyło się samo, człowiek pochodzi od zwierzęcia, ma ustrój podobny jak atomy, a zatem nie ma wolnej woli, tylko jest jak ten pył na wszystkie strony rozwiewany, który korzenie zapuścił w nicości.

I ta filozofia materyalistyczna bankrutowała wiele razy; rozmaici darwiniści, ewolucyoniści przyznawają się, że wszystkiego przez materję wytłumaczyć nie można i wykrzykują jak Dubois-Reymond: „**Ignorabimus!** na wieki nie pojmniemy, skąd powstaje życie!” Ale to nie przeszkadza innym wymyślać coraz to nowe dogmaty swoje i ewangelie, a chociaż pobici na jednym polu przez takich uczonych jak Redi, Beneden, Pasteur, przypuszczają szturm z innej strony, byleby wykluczyć potęgę twórczą Boga. Z tą robotą szybko się załatwiają: gdy się co nie da wytłumaczyć mechaniką atomów, znosi się to radykalnem zaprzeczeniem, albo uzupełnia kłamstwem, jak n. p. Haeckel, który popełnia bezprzykładne

oszustwa naukowe, podawając fałszywe ry-  
ciny, w celu poparcia teorii Darwina. Mimo  
tych rażących błędów, materjalizm nie prze-  
żył się jeszcze. Właściwie on nie jest już filo-  
zofią, gdyż ujmuje tylko w formę filozoficzną  
argumenty i wynik badań przyrodników nie  
wierzących w Boga. A mimo to, nie przestaje  
ta filozofia, fabrykowana na urząd, wywie-  
rać coraz większy i coraz zgub-  
niejszy wpływ na ludzkość całą,  
demoralizując ją coraz bardziej.

**Etyka, wynikająca z systemu filozoficz-  
nego, jest najlepszym kamieniem probierczym  
jego wartości.** Filozofii bowiem nie można  
odłączyć od moralności; ona musi badać sto-  
sunek idei do woli; to jest jej zadaniem. Po-  
nieważ zaś dwa skrajne prądy filozoficzne  
19-go wieku wytworzyły etykę taką, którą  
każdy prawy człowiek a tem więcej katolik,  
uważać musi za zgubną, wynika z tego, że tę  
całą filozofię świat katolicki potępić musi.  
**Filozofia niezależna stworzyła „etykę nie-  
zależną“.**

Przypatrzmy się niektórym przesłankom  
i pomyłkom tej etyki niezależnej, tej religii  
bez Boga. Ta etyka, nie znając Boga  
rzeczywistego, osobowego, pozbawiła ludzkość  
ideału najwyższego, ku któremu dążyć, dla  
którego żyć powinna. — Jeżeli człowiek  
sam sobie celem, ze swojemi niedosko-  
nałościami, natenczas nie podniesie go  
wyżej. Dla tak małego, znikomego celu nie  
warto pracować!

U panteistów istnieje tylko jedna, wszystko obejmująca substancja — więc jakież ona może cel nadać sama sobie? Ten tylko może mówić o przeznaczeniu i celu człowieka, który u źródeł wszelkiego bytu widzi Istotę myślącą, wolną i wszechmocną.

Agnostycy co mówią? Ponieważ nic pewnego nie wiedzą, więc dają sobie pokój z wielkimi zagadkami życia. — Inne systemy są tylko wariantami pieśni Kanta. Wspominają nieraz o celowości, lecz ich teorye zadawają kłam tym słowom.

Cel materyalistów? lepiejby było pokryć go milczeniem. Bo jakież cel może wskazać system, uczący, że istnieją tylko atomy i pusta przestrzeń, a człowiek jest tylko zlepkiem atomów, które czekają powtórnego rozwania? Gdzież tu może być mowa o jakiej etyce wogóle, o wolnej woli, jeżeli istnieje tylko materya, posiadająca siłę, jeżeli wszystko dzieje się z przyrodzonej konieczności!

Darwinizm i skrajny ewolucjonizm postawił człowieka na równi ze zwierzęciem i zatarł tym sposobem nawet granicę między złem i dobrem, gdyż już wtedy człowieka nic nie krępuje, wolno mu żyć jak zwierzęciu, całe szczęście zasadzać na używaniu i nadużywaniu rzeczy ziemskich i niskości. Epikureizm w poprawionem wydaniu!

Tych wszystkich systemów nie ulepszył

bynajmniej N i e t z s c h e, łączący arogancję i cynizmu z podłością, nie znoszący nikogo nad sobą, a depcący wszystkich pod sobą. Nietzscheańscy „n a d l u d z i e“ nie są lepsi od darwinowskich „podludzi“. Taka etyka — zarówno najgrubszy materyalizm, jak i wyrafinowany idealizm — muszą zgubne za sobą pociągnąć skutki. Wprawdzie czasem znajdzie się dobra myśl także u filozofów bezbożnych, **gdyż oni są jeszcze pod wpływem zasad chrześcijańskich**, lecz ta myśl oderwana od sankcyi religijnej, będzie ziarnem nie wydającym plonu. Kant żądając kategorycznie posłuszeństwa dla głosu obowiązku, nie stanął w opozycji do zasad chrześcijańskich, lecz błąd jednak popełnił wielki, twierdząc, że rozum sam sobie nadaje przykazanie, a zatem jest sam sobie n i e t y l k o p r a w o d a w c ą lecz i s ę d z i ą; jest autonomem! Jakim pobłażliwym sędzią ten autonom ludzki jest dla siebie, pokazują dzieje ostatnich lat kilkudziesięciu. Usunięcie zaś wszelkiego autorytetu uprawnia do wszelkiego anarchizmu; nie ma wtedy obowiązku dla Boga, narodu, rodziny, bliźnich, lub innej prawowitej władzy — bo któż ma prawo mi co rozkazać? Gdyby wszyscy ludzie praktykowali teoryę tej etyki, niezależnej od autorytetu Boskiego, zapanałaby taka anarchia, jakiej świat nigdy nie wyobrażał sobie. Ten rozum, zbuntowany przeciw Bogu, — który Kant tak wyidealizował — sam jeden nie wystarcza do rozbu-

dzenia i wykonania szlachetnych zamiarów, bo jeżeli człowiek sam sobie jest panem, wtedy i sam sobie będzie celem — wynikiem tego: egoizm, zabijający wszelki idealizm.

Niestety nawet na polu **narodowem** egoizm tworzy nowe zasady jakiejś dziwacznej etyki **n a r o d o w e j**, której zasadom poddaje nienaruszone podstawy etyki **p r a w d z i w e j**; oparta li tylko na woli ludzkiej, dąży do hegemonii nad etyką, wypływającą z woli Stwórcy. Wobec względów narodowych — samych w sobie godziwych — przez podkreślenie ich absolutnej rzekomo wartości, ma ustępować etyka chrześcijańska, oparta na bezwzględnej słuszności sprawiedliwości, miłości wobec wszystkich ludzi, społeczeństw i narodów. Mówią fałszywie, że etyka chrześcijańska określa stosunek jednostki do jednostki, nie zaś już stosunek jednostki do narodu lub narodów do siebie, jakoby Bóg nie objawił swej woli dla całej ludzkości we wszystkich jej kształtach i formach; mówią fałszywie, że etyka narodowa, chociażby zmuszała jednostkę do czynów przeciw przykazaniom Bożym, jest miarodajna rzekomo tam, gdzie chodzi o ogólne sprawy narodowe, jakoby nad względami **p r z y r o d z o n y m i** — chociażby dobrymi i szlachetnymi — nie stały względy **n a d p r z y r o d z o n e**, religijne; one domagają się swych praw zawsze i wszędzie, mają pierwszeństwo dla swej wewnętrznej i zewnętrznej wartości, która nie znosi porównania ani wyrównania



z niższymi interesami jakiegokolwiek charakteru.

A w ślad za etyką błędną narodową idzie błędna etyka **ludowa**, normująca stosunek warstw w łonie samegoż społeczeństwa li tylko względami na warstwę ludową; nie chodzi jej ani o uprawnienie stanów, ani o zasady sprawiedliwości i słuszności, ani o grożące przewroty w stosunkach społecznych, ułożonych wedle zasad chrześcijańskich. To samo, że lud ma pewne prawa do zajmowania się sprawami społecznymi, a nawet ma równe prawa ostatecznie co inne stany, byleby był równie dojrzały — ma znaczyć, że posiada *w y ł ą c z n e* prawa, czy to chodzi o pozorny czy chwilowy jego interes. Jest to już rodzaj **demagogii** czy **socjalizmu narodowego**.

Ponieważ więc naród nie ma znosić uprawnień innego narodu obok siebie, ponieważ warstwa ludowa nie ma znosić uprawnień innych warstw społecznych — wbrew zasadom Chrystusowej nauki, przeto teoryje te głoszą poglądy niechrześcijańskie, a w ślad za tem stosunek swój do Kościoła określają w sposób nieprawidłowy, błędny.

Jest to jeden objaw nowoczesnej filozofii społecznej — ale objaw ten znacznie gorszy tam jeszcze, gdzie żadne wyższe nie panują względy.

Stąd nowoczesny liberalizm, modernizm, a właściwie poganizm,

jeżeli się coraz bardziej będzie rozszerzał, gorszym może być w swych skutkach od poganizmu starożytności, bo ten jakiś przecież autorytet uznawał nad sobą i jakieś nakładał obowiązki. Nowożytny poganin zaś nie chce się krępować żadnym przymusem i stanowi sobie prawa, sprzyjające własnym namietnościom i uwidzieniom.

Ta etyka niezależna swoją straszną, nieubłaganą konsekwencyą coraz większe dokoła siebie sieje spustoszenie. **Ona zadaje cios śmiertelny każdej nieomal cnocie,** urąga świętym tradycyom i moralnym obyczajom. **Sprawiedliwość i rzetelność** na kruchych spoczywałyby podstawach, gdyby sankcyę nadawał prawu tylko sędzia ziemski; tego można oszukać. **Miłość** bliźniego znikłaby, gdyby nam odebrano świadomość tego, że jesteśmy wszyscy dziećmi jednego Ojca Niebieskiego i do jednego zdążamy celu wiekuistego. **Obowiązki dla rodziny** skończyłyby się z chwilą, gdyby skłonności męża lub żony się zwróciły w inną stronę. **Któż** ma prawo nakładać mi obowiązki, odpowiedzieliby tym, coby im chcieli z ich niecnoty zarzut robić. **Uszanowanie dla rodziców i starszych** nie dałoby się wytłumaczyć, gdyby pewaga nie była nadaną od Boga. **A stosunek biednych do bogatych** staje się nieznośnym z chwilą, gdy nie chcą wiedzieć o tem, że wszyscy zdążają wspólnie, chociaż różnemi drogami, do jednej mety,

u której czeka ich sprawiedliwa zapłata. Poświęcenie się dla ojczyzny nierozsądnem może się wprost wydawać; bo czyż to warto życie swe dać w ofierze za tych, co po ziemi chodzą jak mrówki, lub szarańcza, innego, wyższego przeznaczenia nie mając? Ten co nie dąży do wiecznej ojczyzny, jest rozbitkiem, który nie zdoła ocenić i pokochać swej ojczyzny doczesnej. Wartość swego własnego życia nie oceni ten, kto uznać nie chce, że jest Bóg osobowy, który mu dał zadanie ważne do wykonania na tej ziemi; on będzie raczej wolał przeciąć nić swego życia, niż przez ciężkie walki dążyć do zwycięstwa.

Możnaby kolejno omawiać wszystkie cnoty i postulaty moralności, i zawsze dochodziłoby się do rezultatu, że **światopogląd niechrześcijański rodzi etykę, której wpływ równa się zeru**, a co więcej, ponieważ nie rodzi dobra, nie może dać szczęścia. Z któregoż z tych różnorodnych systemów neopogańskich tryska tyle siły, pewności, wdzięku, spokoju i zadowolenia, co z etyki chrześcijańskiej? ... Z żadnego. Przeciwnie, wypływa z nich sceptycyzm, pesymizm, bo czyż zwątpienie nie musi ogarnąć ludzi, rzuconych w przestrzeń, bez celu?

Mówią jednak, że i ci, co są wyznawcami światopoglądu niechrześcijańskiego, są bardzo często dobrymi i szczęśliwymi. O tem dałoby się dużo mówić. Nasamprzód w sumienie i serce nie można nikomu zajrzeć. Powtóre,

jeżeli są dobrymi, to głównie zawdzięczają to wpływowi chrystyanizmu, który ich naokoło otacza, bo świat jeszcze jest chrześcijański, — albo też powody utylitarne utrzymują ich na drodze prawej — a inni żyją w środowisku, gdzie nie są narażeni na pokusy, przynajmniej do czasu.

A często, czy to nie jest „parti pris?” Ateusz mówi: „właśnie będę dobrym, aby wam pokazać, że jestem lepszy od was chrześcijan-katolików” — ale i to do czasu. Gdyby ta etyka niezależna tak dodatni wpływ wywierała, jak niektórzy głoszą, musiałoby być wszędzie coraz lepiej, a tu odwrotnie się dzieje. Podług jednostek sądzić nie możemy, lecz podług ogółu. Filozofia bowiem w obecnych czasach nie pozostała abstrakcją, lecz wyszedłszy poza mury uniwersyteckie, ogarnęła masy i **uksztaltowała ich życie praktyczne**. Tam gdzie wpływ filozofii bezbożnej stworzył szkoły bezwyznaniowe, gdzie opanował politykę, gdzie się wcisnął w stosunki społeczne, towarzyskie i rodzinne, **tam rozkład i upadek**. Widzimy to nietylko w ojczyźnie praojca nowoczesnej pogańskiej filozofii — (gdzie o dobrym obyczaju mówią, ale gdzie go już niema) — lecz i we wszystkich krajach, dokąd dotarł wpływ tych przewrotnych myślicieli. Wprawdzie mają różne kraje swoich własnych przedstawicieli; ma Anglia Darwina, Spencera, twórcę etyki niezawisłej Stuarta Milla, Drapera; ma Francya H. Taina, Wiktora Cousin’a,

Renana, lecz i oni byli mniej lub więcej zhypnotyzowani przez niemieckich sofistów, których kult dotarł do wszystkich krajów cywilizowanych, nawet do Japonii. Biedni Japończycy, tak łaknęli kultury europejskiej! doczekali się jej, bodaj czy z korzyścią, nawet niestety, oplakiwać teraz muszą skutki kultury, podanej im pod egidą filozofów niemieckich; młodzież ich wyborowa, studyująca, przywłaszczywszy sobie zasady Schopenhauera, Hartmana, Nietzschego itd. gromadnie sobie życie odbiera, (nie raz podobno po kilkudziesięciu miesięcznie) tylko w nirwanie znajdując szczęście.

**Jakie stanowisko zajął nasz naród wobec nowocześniejszej pogańskiej filozofii 19-go wieku?** nasz naród, ta córka Kościoła, wprawdzie nie najstarsza, lecz niegdyś najwierniejsza? Z bólem serca wyznać trzeba, że z otwartemi ramionami przyjmowali domorośli filozofowie, lub i głębsi myśliciele, wszelkie spaczne kierunki, jak: racjonalizm, pozytywizm, panteizm, ewolucjonizm, naturalizm, wszelkie inne teorye nowszego materyalizmu, doszedłszy aż do ubóstwiania Buddy. Nie było tedy taranu dość silnego, aby odeprzeć zakusy przemienienia katolickiego narodu na pogański. Zasypywano kraj nasz antychrześcijańskimi, bezkrytycznemi broszurami, artykułami, przeróbkami po większej części dzieł zagranicznych sofistów. Wprawdzie z dumą powiedzieć możemy, że i wśród nas wielu było wtedy

katolickich filozofów oryginalnych, a przynajmniej myślicieli; lecz niestety, i z pomiędzy nich wielu zboczyło z drogi prostej, stwarzając mistycyzm, mesyanizm; inni znowu poszli za daleko z uwielbieniem nowych dróg krytyki, i nie tylko metody, lecz i zasady spaczonych filozofii przyjmowali, a chcąc jednak pozostać wiernymi Kościołowi katolickiemu, próbowali przeszcześcić niechrześcijański idealizm transcendentálny na grunt katolicki. Nie udała się próba, bo z prawdą w kompromisy wchodzić nie można. Kremer się pyta gdzieś: „Czy można ochrzcić Hegla?“ — Ale na to jest tylko jedna odpowiedź: i owszem, odrzucając jego zasady. — Prawda musi występować z jasnością i ścisłością, inaczej bowiem rodzi wątpliwości, kończące się całkowitem odstępstwem od prawdy. I tym sposobem, mimo naszych katolickich filozofów, Polska stawała się coraz bardziej niewierzącą, najprzód u szczytów, tak dalece, że katolik inteligentny, podobno począwszy od chłopców 12-letnich, miał być synonimem człowieka niewierzącego. Tak było przed niewielu laty, a teraz wpływ tej filozofii bezbożnej przeszedł do warstw najniższych, i teraz człowiek zaledwie pisać i czytać umiejący, pyta się drugiego: „czy wierzysz jeszcze w życie pozagrobowe?“ Pyta się i żyje odpowiednio do tych wierzeń. Tak się stać musiało. „Sól ziemi — inteligencya — zwie-

trzała", więc nie było komu krzepić, posilać młodszej braci.

**Lecz czy tak i nadal ma być?** Obecnie gdy widzimy to straszne spustoszenie w naszym narodzie wskutek tych zboczeń rozumu ludzkiego, czy jeszcze będziemy mniemać, że odrodzenie ludzkości nastąpiło przez Kanta? czy katolik będzie to twierdził? Czy będziemy jeszcze tolerowali gazety, pisma, czepiające się każdej rzeczy, by tam wsunąć swój światopogląd pogański — w słowach dziwacznych i zdaniach, wprowadzie pogmatwanych, lecz dosyć przejrzystych, by zdradzić swój zamiar podawania w pogardę i wątpliwość najwyższą prawdę chrześcijańsko-katolicką? Czy i nadal olśniewać nas będą potokiem słów ci, którzy podług recepty Nietzschego każą nam tańczyć nad przepaścią? —

To nie Polak prawdziwy — kochający Polskę i pragnący ją widzieć wielką i szczęśliwą — radzić nam tak może, lub w ten sposób pracować nad odrodzeniem naszym. Dla czegoż mamy zapożyczać mądrości u tych, którzy mądrość zaprzepaścili w swym własnym narodzie? Czy naprawdę chcemy być tylko narodem kupczącym, jak Anglicy darwinowscy? czy chcemy pozbawić się miłości Boga, ojczyzny, i utracić ogniska rodzinne jak masońska Francya? czy chcemy apoteozować siłę przed pra-



wem, albo praktykować ucisk i niesprawiedliwość, jak państwa, w których się roi od fałszywych filozofów? lub czy może chcielibyśmy, żeby u nas panowała anarchia? Czy mamy łączyć się z narodami bezbożnymi i wprost dążyć wspólnie z nimi do upadku?

Od tych, co stoją na szczyblach wiedzy, zależy, czy będziemy narodem sofistów i ignorantów, albo też narodem rozumnym, kojarzącym światły umysł z szlachetnością serca, Tę drogę do prawdy filozoficznej jasnej, czystej, nietrudno obecnie znaleźć. **Początek już zrobiony, głębsze umysły uprawiają dziś filozofię katolicką, tak zaniedbaną przez długi czas.**

Nie jeden, nie znający ducha katolicyzmu, powie: jaka to może być filozofia katolicka; przecież „Kościół nie dozwala wolnego badania“... Mylnem jest to mniemanie! Kościół nigdy tego nie zabraniał, a na ostatnim Soborze Watykańskim uroczyście zatwierdził prawa rozumu i objaśnił, jak wielkie przysługi rozum i wiara sobie wzajemnie oddawają. — Stojąc na gruncie katolickim, badacz dowiadyuje się, że dwojaka jest władza poznawania: przyrodzona i nadprzyrodzona.

A zatem, „to jest ślepa wiara, nie filozofia, nie rozumowanie“..... Przeciwnie. Toć rozum właśnie nam powiada: ponieważ dusza, istota myśląca, ma

prawo żądać odpowiedzi na pytania i wątpliwości, dotyczące najważniejszych zagadnień życia, a rozum nie zawsze może dać na nie wystarczających odpowiedzi, więc **musi** być poza rozumem i poza doświadczeniem zmysłów inne źródło prawdy, odpowiednie pierwiastkom tym wszystkim, z których się składa dusza ludzka. Takie wnioski racjonalne zaprowadziły niejednego ateusza na łono Kościoła katolickiego.

Czy możemy jednakże być pewni, „że światopogląd chrześcijański jest **rzeczywiście** prawdziwy? że Objawienie Boże, przekazane nam przez Kościół katolicki, na którym się opiera filozofia katolicka, zawiera absolutną prawdę?” Jakto, czyżby można przypuścić, że dobrotliwy Stwórca wlał w Swe stworzenie pragnienia, nie dające się urzeczywistnić? Czyż prawdzie, niewzruszonej przez tyle wieków, będziemy **mniej** ufali, niż urojeniom różnych fantastyków, niż efemerycznym systemom, ukazującym się i znikającym jak błędne ogniki? tej Prawdzie, której miliony ludzi dało świadectwo, kładąc życie za nią — a to nie jacyś fanatycy, zapaleńcy, lecz ludzie wielcy, mądrzy, światli, prawdziwi bohaterowie, chociaż pokorni duchem. — Wątpi kto o autorytecie Objawienia i dogmatów Kościoła, niech wie, że w naturalnym organizmie świata i ludzi panuje **autorytet**; jest on w rodzinie państwie i Kościele, więc z natury rzeczy i w świecie myśli musi panować.

Czy może filozofia chrześcijańska jest „martwą nauką, nie przynoszącą owoców?” Nie, **nie może być** martwą tą nauką, która wyniosła na przedtem nieznane wyżyny Ojców Kościoła; która stworzyła takich olbrzymów mądrości jak św. Ambrożego, Augustyna, Anzelma, Tomasza z Akwinu, Bonawenturę itd. itd. Ona użyczała uczelniom najwyższych źródeł żywej wody, z której czerpały rzesze mężów, mających być świecznikami narodu. Ona i w obecnej chwili rodzi owoce tylko szlachetne; i byłaby zdolną — gdyby od niej nie stroniono — wnieść ożywcze tchnienie do wszystkich przybytków nauki, sztuki i wszelkiej pracy umysłowej, a z tych wyżyn zniżyłaby się do codziennych spraw życia ludzkiego i oczyściłaby atmosferę, zatrutą przez miazmaty zgangrenowanej filozofii; zdolną byłaby zablakany utorować drogę do chrześcijańskiej moralności i **do religii katolickiej**; bo **etyka filozofii katolickiej nie jest inna od etyki wiary katolickiej**. Napisać apoteozę etyki czyli moralności katolickiej przechodziłoby siły jednego człowieka, gdyż nie tomy, ale biblioteka całaby się utworzyła: znaczyłyby to, wypisać wszystko dobre, co kiedykolwiek spełnionem zostało — jawnie, albo w ukryciu — pod wpływem wiary katolickiej. Więc i filozofia katolicka, która się opiera o tę etykę, może śmiało o sobie powiedzieć: „z owoców moich poznacie mię”.

Cathrein<sup>1)</sup> daje nam wspaniały obraz cnót i czynów bohaterskich, wyrosłych na drzewie etyki katolickiej, począwszy od pierwszych dni chrześcijaństwa, aż do naszych czasów.

Takimi owocami pochwalić się tylko może etyka nacechowana wiarą w dobrotliwego Ojca, nadzieją w zasługi Chrystusa, światłem i obfitością łask płynących z Ducha św., miłością ku Stwórcy wszechrzeczy i ku ludzkości, radosnem dążeniem ku lepszym światom, oraz odwagą w obliczu śmierci.

Dziwić się można zaiste, że od takiej etyki stronią ludzie, którzy się chcą nazywać myśłącymi; że wolą się nazywać monadą, atomem, pyłem, zwierzęciem, aniżeli synami światłości!

Lecz może filozofia dla katolika jest *z b y t e c z n ą*, ponieważ teologia lub katechizm pouczają go o prawdach niewzruszonych, religia daje mu światopogląd realny? Bynajmniej. Gdy wykształcony człowiek uprawia zdrową filozofię obok teologii i katechizmu, lepiej wtedy poznaje głębokość i niewzruszoność prawd nadprzyrodzonych; ona **utwierdza go we wierze**, rozumem stwierdzając podstawy wiary, przekonując go, że rozum i wiara mogą być w zgodzie. Tak oświeconemu katolikowi łatwiej jest zbić rzekome zarzuty przeciwno wierze i Kościołowi, oraz poznać błędy

<sup>1)</sup> Cathrein Vitor, S. J. Religion, und Moral, oder Giebt es eine Moral ohne Gott?

filozofii fałszywej, wiarę podkopującą, i innych przed niemi ostrzegać. Bez filozofii wiara i religia mogą istnieć, lecz ona często im drogę toruje. Następnie, rozum, który jest wiarą oświecony, uwalnia go od wielu błędów; filozof chrześcijański jest prawdziwym mędrce. I nauki świeckie, któremi wtedy się zajmuje, więcej przysparzają mu mądrości; tam gdzie przyrodnik uprzedzony do wiary, opłątany fałszywą teorią filozoficzną, chodzi po omacku, widząc we wszystkim tylko siły fizykalno-chemiczne, filozof katolicki widzi pierwiastek wyższy od tych sił. Wszędzie filozof chrześcijański widzi drogę jasną przed sobą, czyto badając wnętrze ziemi, morza, czy gwiazdy, czy prawa moralności, czy zasady piękna, wszędzie zasłona spada z oczu jego; gdyż tylko prawda rzeczywista, istotna, uczy jasno myśleć.

Oprócz tego filozofia chrześcijańska uszlachetnia wolę, kierując ją w każdej dziedzinie nauki ku Najwyższemu Dobru. Poskramia ona także pychę — ten pierwszy stopień do upadku — wykazując, że rozum ludzki jest ograniczony, skoro o najwyższych zagadnieniach nie wie sam z siebie.

Wreszcie — czy potrzeba jeszcze o tem przekonywać — filozofia zdrowa, rozsądna, zachowuje rozum od płytkości sądu, uczy człowieka zastanawiać się nad sobą, oraz zastosowywać do siebie i swoich doświad-

czeń, ogólne prawdy i wskazówki, zawarte w dziejach ludzkości i życiu pojedynczych osób. Udoskonala więc filozofia chrześcijańska każdego myślącego człowieka, który przystępuje do tej nauki bez uprzedzenia.

Jakim systemem rządzi się nowożytna filozofia katolicka? — **Jest nim system neoscholastyczny**, który zachowuje kierunek pośredni, pomiędzy ideą a doświadczeniem, nazywany dla tego **empiryczno-idealnym**; będąc katolickim, opiera on się oczywiście na **Objawieniu i dogmatach katolickich**. Rozwinęła się Neoscholastyka bardzo pięknie pod wpływem aż do dziś dnia uczuwać się dającej protekcyi wielkiego papieża, Leona XIII. Święci ona swoje tryumfy na uniwersytetach w rozmaitych krajach, w Rzymie jest Apostolska Akademia filozofii, w Neapolu założono akademię medyko-filozoficzną, gdzie lekarze, opierając się na zasadach filozofii chrześcijańskiej, zwalczają materyalizm; głośną jest w Louvain.

Tak ożywiony ruch wydał już bogaty plon literacki. U nas nowsza filozofia chrześcijańska także miała i ma licznych przedstawicieli, pomiędzy innymi: ks. Maryana Morawskiego, Ignacego Skrochowskiego, ks. Franciszka Gabryła, ks. Kazimierza Wajsa, Statecznego, ks. Michała Dębickiego, Jeske-Choińskiego, ks. Stefana Pawlickiego, Fryderyka Klimkego i wielu innych. Ks. Bączek

podaje długi szereg nowożytnych filozofów katolickich. Nietylko najgruntowniejsze czasopisma naukowe, lecz i historia filozofii, ta od niedawna szybko się rozwijająca umiejętność, przyczyniają się do rozpowszechnienia i postępu mądrości chrześcijańskiej.

Kto tedy żądny takiej mądrości, może zaspokoić swoje pragnienia i bynajmniej nie potrzebuje ubolewać, że wiedza katolicka nie idzie z postępem, bo **Neo-scholastykę zastosować można do wymagań i potrzeb czasu, do nowszych zdobyczy naukowych**; nie jest ona więc tylko martwym zabytkiem przeszłości, jakby niektórzy ją nazwać chcieli; a że jest spuścizną dawnej scholastyki, jest to jej największą pochwałą z katolickiego punktu widzenia, gdyż ona była tem, czem filozofia chrześcijańska być powinna i być tylko może, t. j. **syntezą, czyli połączeniem wiary i wiedzy**. Takie też było podstawowe założenie filozofii chrześcijańskiej w ogóle. Gdy w pierwszych wiekach istnienia Kościoła katolickiego, filozofowie pogańscy poczęli zaczepiać wiarę wywodami rozumowymi, uczeni chrześcijańscy jęli dawać im opór na tem samem polu rozumu, wykazując nieracjonalność ich zarzutów, a wyświecając rozumność wiary.

W tym kierunku postępowano dalej i coraz więcej badano stosunek rozumu do wiary i do filozofii od pogan przekazanej, t. j. z dogmatów wiary wyprowadzono wnioski rozumowe



do sprawdzania filozofii, a z pewników filozoficznych czerpano zasoby do głębszego zrozumienia wiary. Z tego wyłoniła się w średnich wiekach filozofia scholastyczna, **której świetny okres w 13 i 14 wieku doszedł do zenitu przez św. Tomasza z Akwinu.** Jeszcze za życia zasłynął ten geniusz w całej Europie, a dziś jego dzieła znane po całym świecie. „Summy“ jego są przedmiotem niewyczerpanych studyów. Jasno wypowiadają jego tezy, że między rozumem i Objawieniem rzeczywistej sprzeczności być nie może, gdyż jedno i drugie ma ostatnią swoją przyczynę w mądrości Bożej, która sama sobie przeczyć nie może.

Dzieła św. Tomasza i innych scholastyków tej epoki są napisane z taką ścisłą dokładnością, i z taką pewnością dowodzenia, że nie tylko zwalczały skutecznie ówczesne błędy filozoficzne, **lecz i po dziś dzień podawają broń dostateczną do zwalczania subiektywizmu, panteizmu i materyalizmu.** Po złotym wieku dawnej scholastyki nastąpiła **reakcja**, lecz nie dlatego, że się przeżyła **prawda jest zawsze jedna**, a w zasadach filozofii scholastycznej jest prawda niespożyta, nikt do tego czasu nie dowiódł ich fałszu — **lecz ten upadek nastąpił dla braku godnych przedstawicieli; nie ci zgotowali jej upadek, którzy się jej zasad trzymali, lecz właśnie ci, co się od nich oddalili; prócz tego różne okoliczności zewnętrzne się na to złożyły.**

T y c h b ł ę d ó w późniejszych scholastyków starają się obecnie filozofowie chrześcijańscy **uniknąć**; wyłamali się też z pod jarzma Arystotelesa, lecz za to tem mocniej lgną do tej Prawdy, której pogwałcenie prowadzi do takiego rozkładu filozofii, jak tego świadkiem były ostatnich kilka wieków, mianowicie wiek dziewiętnasty.

Jaką przyszłość ma przed sobą filozofia katolicka, zależy to od samych katolików, od starań, które czynić będą, aby wydzwignąć filozofię na właściwe stanowisko. Nikomu z nas nie powinno być obojętnem, jakimi drogami filozofia chodzi, ani lekceważyć sobie nie wolno niebezpieczeństwa, zbliżającego się od filozofów z pod ciemnej gwiazdy. Założyli oni niedawno „Związek monistyczny“ agitujący na wszystkie strony i wszelkimi sposoby. Niech każdy z nas uważa sobie za obowiązek przyczyniać się do tego — o ile w jego możliwości — aby świat (zwłaszcza nasz naród) poznał prawdę, a prawda sama poprowadzi do zwycięstwa.

**Lecz jakim sposobem młodzież się obroni przed zgubną filozofią,** której wpływu, po większej części, nie usunie już potem nic, aż do końca najdłuższego życia? Jakżeż często młodzież czerpie wiadomości z uczelni, gdzie śpiewają hymny pochwalne na cześć bezbożnych filozofów, gdzie wszczepiają najzgubniejsze teorye. Czy wtedy najgruntowniejsze zasady katolickie, które młodzież wyniosła z do-

mu, będą jej dostatecznym puklerzem? Rzeczywistość powiada, że tak nie jest; inaczej nie można wytłumaczyć faktu, że tak wielka liczba młodzieży katolickiej, uczęszczająca na uniwersytety akatolickie lub bezwyznaniowe, tam właśnie traci wiarę. Człowiek z natury podlega sugestyi, a dla młodzieży zwłaszcza, która nie może mieć jeszcze własnego wyrobionego zdania ani wiele doświadczenia, lecz za to nieraz ma wiele zarozumiałości wskutek przecenienia siebie, taka właśnie filozofia ma urok, która człowieka czyni autonomem, nieodpowiedzialnym przed żadną powagą.

Więc co pocnie ta młodzież? gdzie się uda młodzież wielkopolska, pragnąca pogłębić swoją wiedzę lub zdobyć wyższe stanowisko? Teraz i n a s z a ż e ń s k a m ł o d z i e ż garnie się do uniwersytetów, a czy pomyśli przynajmniej o tem, na jakie niebezpieczeństwo naraża swe zasady religijne na uniwersytetach niekatolickich. Statystyka uniwersytetów amerykańskich wykazuje, że z pomiędzy kobiet uczęszczających na wyższe studia 50% traci wiarę — nie, żeby tam wstępowały jako niewierzące, lecz pod wpływem stosunków. Cóż się tedy stanie z naszym narodem, jeżeli i nasze studentki stracą wiarę, a w następstwie wychowanie domowe będzie bezreligijne, a wpływ kobiety na rodzinę i na całe społeczeństwo, będzie ujemny! Jakżeż więc młodzież ma sobie radzić, jeżeli nie od niej zależy wybór uniwersytetu? **Jedynym spo-**

**sobem przeciwdziałania złym wpływom jest czytanie pism lub dzieł naukowych katolickich.**

Z czasopism bardzo polecenia godne są: „Przegląd Powszechny“ (redaktorem ks. J. Pawelski T. J. w Krakowie); „Etu-des“ (Paris, Administration: Victor Rétaux, Libraire-éditeur); „Stimmen aus Maria-Laach“. Katholische Blätter (Freiburg); „Jahrbuch der Philosophie“ der Görresgesellschaft itd.

Z dzieł zasługują na uwagę: „Filozofia i jej zadanie“ przez ks. Maryana Morawskiego. „Filozofia moralna“ przez Wiktora Cathrein'a, S. J. przekład W. Gostomskiego, — i wiele innych, o których łatwo się dowiedzieć.

Tym młodym osobom, nie mogącym na żaden sposób uchylić się od wpływów antykatolickiej filozofii, zaleca się zaznajomić się już na przód wedle sił z zasadami katolickiej filozofii, aby miały broń gotową — a z drugiej strony trzeba je ostrzedz przed błędnem mniemaniem, że dobrze jest zapoznać się zawczasu z błędną i bezbożną filozofią i przywyknąć do niej, aby potem nie szkodziła; toby znaczyło wejść w środek epidemii dla zahartowania organizmu, wtedy gdy on jeszcze słaby i mało odporny.

Czy jednak czytanie dobrych dzieł filozoficznych jest dostatecznym środkiem zapobiegaw-

c z y m, na to pewnej odpowiedzi nikt dać nie może. Najniezawodniejszą rzeczą byłoby, gdyby młodzież katolicka uczęszczała tylko na uniwersytety katolickie. Wprawdzie jest to nieraz połączone z większymi trudnościami i kosztem, n. p. u nas, gdy kto mieszka daleko od Monasteru, jedyne katolickiego uniwersytetu w Niemczech, lecz i te trudności dałoby się zwyciężyć przy dobrej woli. Pieniądz przecież nie jest teraz tak rzadki, sądząc z tego, ile go kursuje w świecie i ze zbytkownego życia, jakie dziś ludzie prowadzą; dalekie podróże zaś nie powinny nikogo odstraszyć, jeżeli chodzi o zachowanie tak wielkiego skarbu, jakim jest wiara.

Lecz któż będzie młodzież strzegł od zgubnej filozofii, jeżeli całe nasze społeczeństwo jest mniej lub więcej nią zarażone, jeżeli wskutek okoliczności, nieraz od nas niezależnych, naród nasz — na ogół — nie nauczył się jeszcze zastanawiać i myśleć głęboko i nie umie rozróżnić drogi prostej od manowców? Spodziewać się więc można, że ten ojciec, który sam na uniwersytecie czerpał mądrość z mętnego źródła, nie będzie przed nim strzegł swego syna albo córkę. Lecz ten ojciec mógłby i powinien uznać, że się pomylił w młodości, że wskutek tej pomyłki życie jego wykołejone, t. j. moralnie zwiecznione — boć może sobie spokojnie żyć jako kupiec, urzędnik, ziemianin, a w duszy jego może być za-

mięszanie, pustka i niezaspokojone pragnienie szczęścia. A jednak... czy dla tego ojca już minął czas odwrotu?... Gdy po bankructwie tych systemów, które go olśniewały w młodości, widzi, że filozofia znowu się wspina na szczyty, czemuż nie ma podążyć za nią? Ten, dla kogo poranek życia był ponury, czyż nie zechce sobie sprawić pogodnego południa i wieczora, wierząc razem z Kraszewskim „w to co go podnosi, co wielkie i święte, a nie w to, co go skarła i zezwierzęca“.

Ten ojciec rodziny jednak może powie, że teraz ma swoje obowiązki, że studyum filozoficznym oddawać się nie może. Ależ to jest właśnie częścią niepoślednią obowiązku jego, być drogowskazem dla przyszłego pokolenia.

I matce wykształconej potrzeba teraz nieco ogólnego pojęcia o filozofii, gdyż będzie mogła sprostować fałsze, które zasiewają w duszę jej syna lub córki już nawet w gimnazyum albo na pensyi niekatolickiej. Jak bolesnem nieraz dla niej patrzeć, że fałszywa nauka wydiera z serc jej dzieci wiarę — tę wiarę, która ją samą tak uszczęśliwia. Mogłaby jednak temu zapobiedz, czytając sama lub razem z dorastającym albo i dorosłemi dziećmi swemi jedno lub drugie dziełko apologetyczne lub filozoficzne na katolickich podstawach. Dzieło ks. Maryana Morawskiego „Filozofia i jej zadanie“ daje

jasny pogląd na całą filozofię, zwłaszcza 19-go wieku i na głęboko zrozumiane dzieje scholastyki, oraz na stosunek wiary do filozofii. Wszyscy starajmy się być odpornymi na zakusy filozofii bezbożnej, spaczonej, **wtedy znowu uwidoczni się nasza natura słowiańska, prawa, szlachetna**, będzie lepiej, na naszej ziemi i jaśniej w naszych duszach. Wtedy doświadczymy na sobie, co mówi Piotr św.: „Światło wiary jest pochodnią w miejscu ciemnem i dobrze czyni ten, kto się na nią ogląda, póki nie zaświeci dzień jasnej prawdy i jutrenka wieczności nie rozświeci serc naszych“.



### III.

#### Poezya.

Jeżeli filozofia jest gwiazdą w krainie ducha, to poezya jest kwiatem, wzbudzającym zachwyt, rozdzielającym radość. Filozofia przez mądrość prowadzi nas do dobra i szczęścia, a poezya przez piękno wzbudza w nas idealizm i prowadzi nas do czynów szlachetnych. Czy jednak wolno teraz mówić o poezyi i idealizmie? Czy to nie jest anachronizmem w czasach, gdzie materjalizm zaciemnia świat ducha? ... Parnas wprawdzie jeszcze jest zamieszkały przez ludzi tworzących poezye, lecz prawdziwa poezya teraz rzadko wśród nas gości „uciekła w góry, do ruin przylega“, a chociażby stamtąd chciała „opowiadać dawne dzieje“, nikt jej nie słucha, bo inna pani: „rzeczywistość“ zajęła jej miejsce i głośniej woła. Z idealizmu do realizmu jest duży krok na dół, lecz świat się chlubi tem, że się pozbył idealizmu; nie razi go nawet, że nowoczesna poezya dekadencją jest nazwana. Dekadencją też jest rzeczywistość, bo z upadku zrodziła się i do niego pro-

wadzi. I cóż się stało, że poezya „schyłkowców“ zastąpiła i wyrugowała swoją poprzedniczkę, poezję romantyczną, tę która wypłynęła z miłości, z prawdy i cnoty? Któż najprzód zdyskredytował tę poezję, która była pokrzepieniem, pociechą i siłą narodu naszego przez kilkadziesiąt lat? Po części przyczynił się do tego zawód, który naród spotkał ze strony tej poezyi. Jej ideały, jej bohaterowie ze stali tylko przynieśli klęskę narodowi, więc trzeba było się zwrócić w inną stronę. Lecz czy słusznie? Nie pomyślano, że to naród się pomylił, a nie poezya. Ona stawiała i d e a ł y p r a w d z i w e, lecz d r ó g wskazać nie mogła, gdyż te zależą od rozmaitych okoliczności, codziennie się zmieniających; rzeczą rozsądku jest znaleźć drogi do urzeczywistnienia ideałów.

Więc n o w y c h k i e r u n k ó w zaczął naród szukać, aby nowe życie rozlać, a przytem utracił poezję, jedną z sił znamiennych, utrzymujących jego żywotność. Mówiono: „romantyzm to mrzonka, a naród powinien być trzeźwym, życie rzeczywiste powinno w nim pulsować“. — Wprawdzie w kierunku romantycznym było niejedno zboczenie, lecz to w każdej rzeczy się zdarza; u nas jednak poezya romantyczna nie poszła na manowce jak u innych narodów, ani też nie była marą, lecz właśnie pełnią życia, bo inaczej jakżeżby była mogła rodzić bohaterów i zapalać do cnót i poświęceń istotnie nadludzkich.

Więc chcieli być t r z e ź w y m i; wołali:

praca i nauka ma podnieść naród, poezję idealną trzeba z niej wykluczyć! A ta nowa, niby trzeźwa poezya stała się właśnie uludną marą, gdyż nie posiada ognia ożywiającego. Choć nie trzeźwość umysłu wyjawiała i wysuszyła duszę, zabijając tem samem ideały, — inny był tego powód. „Zgasło słońce i źródło poezyi, t. j. Bóg i Wiera“, mówi biskup Niedziałkowski<sup>1)</sup>). Nowe światła w poezyi chcieli zapalić, lecz są to błędne ogniki, prowadzące na manowce, a często do przepaści.

Nowe drogi w poezyi... czemu nie? nie byłoby w tem nic złego. Nowe myśli, nowe formy są nawet potrzebne, gdy warunki życia się zmieniają; lecz na to trzeba wielkiego ducha, a tego zabrakło. Na Parnas wdarli się niepowołani, którzy zapalili pochodnie namiętności swoich. Wielkich idei im nie potrzeba, tylko zdolności do rymowania, a tego łatwo nauczyć się można. **Ci nowocześni poeci** zapomnieli uwielbienia dla tego co piękne i dobre, ale zato nauczyli się wzajemnej adoracyi. A naród? Przyklaskiwał im i hołdy oddawał i oddaje jeszcze, chociaż depcą to, co sercu Polaka i katolika jest najdroższem. I cóż tak szczytnego u nich znalazł? **Świetny styl?**... ależ styl dostraja się do ideału, który artysta w sobie nosi... A że to są ludzie bez ideałów, więc też piękność ich poezyi

---

<sup>1)</sup> Niedziałkowski Karol, Biskup. 'Czemu dziś w poezyi nie mamy słowików?

jest tylko cczą formą, która do duszy przemawiać nie może, jest tylko nagromadzeniem pewnych wyrazów dźwięcznych, w których częstokroć niema sensu. Usterek tam dosyć, nieprawidłowości, dziwadeł, ale to wszystko im brać literacka i krytyka nowoczesna wybaczy, dlatego, że są zdeklarowanymi nieprzyjaciołmi Boga. Czasem zdaje się, jakoby poezya nowoczesnych naszych poetów napisaną była li tylko w celu, aby propagować idee bezbożne. I choć artyzm ucierpiał z powodu tego kierunku jawnej nieraz bezbożności, to przecież największy hołd odbierają ci, którzy otwarcie wyrzekli się wiary Chrystusowej, którzy bluźnierstwa wypowiadają tak straszne, na jakie szalony ledwieby się zdobył, n. p. Konopnicka, Kasprowicz. O ostatnim pisze profesor Stanisław Tarnowski: „Dla sumienia chrześcijańskiego jest to co napisał Kasprowicz w swoim poemacie „Chrystus, poemat społeczno-religijny“ tak oburzające, tak gorszące, jak w literaturze polskiej, odkąd jest, nie było nigdy nic“<sup>1)</sup>).

W poeziach Konopnickiej jest tyle bluźnierstw, tyle przewrotnych myśli, wyszukiwanych z wyrafinowaną złośliwością, że można się dziwić, jak ich się tyle mogło pomieścić w jednym życiu ludzkim, w jednej duszy, i to

---

<sup>1)</sup> Tarnowski Stanisław. *Historya literatury polskiej*. Tom VI. Część druga.

kobiety. Przejmowanie się poezjami takich pisarzy, nie tylko może wywołać wątpliwości w wierze — to nie byłoby może jeszcze najgorszą ostatecznością — wiara nieraz znowu wraca — lecz może wyrugować ze serca wszelki ideał chrześcijański, wszelką miłość ku Bogu i ufność w Niego. — Dziwnem jest, że nie razi u Konopnickiej jej zupełna nieznajomość istoty chrześcijaństwa; zdawaćby się mogło, że była wychowaną wśród pogan, że nic nie wie o przyjściu Chrystusa Pana, o Odkupieniu. Pyta się, n. p. Pana Boga, kiedy nareszcie da się ludziom poznać, kiedy wskaże ludzkości jakiś cel i drogę do niego? O Kościele Chrystusowym wie wprawdzie, ale tylko dlatego, żeby go nawiązać i potwarzać. — Zmarły biskup Niedziałkowski powiada, że niema ani jednego punktu, w którymby była w zgodzie z naszą wiarą — oprócz istnienia Pana Boga — lecz na to wierzy, żeby Go sądzić i wymówki Mu robić. Po pogańsku pojmuje zupełnie Boga. „Nie pamiętam“, powiada tenże biskup Niedziałkowski, „by w 4 tomach jej poezji choćby raz jeden Bóg się okazał pięknem, prawdą, nadzieją, a przede wszystkim miłością“. Według niej „Kościół (albo świat chrześcijański) liczne ustawy kreślił zadumany. — Prócz jednej tylko ustawy miłości“. A przecież Chrystus i chrześcijaństwo są samą miłością!

Chociaż niewątpliwą rzeczą, że nawet prawowierni katolicy aureolą otaczają nieraz wrogów Boga i Kościoła, to nie można zrozumieć

tego zjawiska. Toć z zachwytem śpiewają „Święty Boże, święty Mocny“, i ci sami ludzie cieszą się, gdy kto temu Bogu urąga! Uwielbiają Kasprowicza, który motto „Święty Boże“ użył na wypowiedzenie najzuchwalszych bluźnierstw, nie dających się wcale powtórzyć; on to ostatecznie zwraca się do szatana, klękając przed nim.

Konopnicka napisała także hymn pochwalny na szatana, kończący się:

„Lecz ty, stracony, światłem walisz się  
przez szczyty“,  
„W losie swym i w swej klęsce wiecznie świe-  
ży, nowy“.

I to Polacy takie potworności piszą i Polacy kult takich bluźnierców uprawiają; słyszało się zaś tyle razy, że Polacy są narodem przez Boga wybranym! Zakończmyż już wreszcie ten kult i protestujemy przeciw niemu! Ani jednej książki z takimi bluźnierstwami nie ścierpijmy u siebie, wyrzucimy wszystkie! Przecież religia nie jest martwą formułką — religijność znaczy oddanie się Bogu z całego serca w miłości. Jeżeli Boga kochamy, to staramy się także o cześć Jego. Gdyby ktoś n. p. zelżył naszego ojca lub matkę, nie pomnażalibyśmy objawów czci dla niego. Nicby skarbiec literatury na tem nie stracił, gdyby się z niego usunęło takich bezbożnych pisarzy, o tyle tylko o nich wspominając, aby drugich przestrzedz, jak przed zarazą.

Lecz może jaką inną wartość etyczną posiadają poezye tych nowszych pisarzy? Może **miłość bliźniego**, może **miłość maluczkich**? Dużo o niej mówią, bezwątpienia, lecz jestto u nich główny motyw naciągany do propagowania bezwyznaniowości i wrogiego usposobienia względem Boga; to jest tylko nowa forma do wyrażenia niezadowolenia swego z rządów Boga. Podnosi krytyka, sprzyjająca poezyi bezbożnej, że poeci walczą nie za swoją biedę, o swoje prawa, o swoje krzywdy, lecz że walczą w obronie cierpiącej ludzkości.... Toć przecież nie oni jedni kochają ludzkość; toć od czasu Chrystusa miłość bliźniego była nie tylko znana, lecz praktykowali ją ludzie z największem zaparciem się samych siebie. Ażeby kochać bliźniego, nie potrzeba zapierać się Boga. Przypuśćmy, że ktoś cierpi rzeczywiście za miliony, natenczas też spodziewać się możemy od niego, że będzie się starał tym cierpiącym naprawdę ulżyć, dzieląc się z nimi wszystkim, a sobie zostawiając tylko tyle, ile mu do utrzymania życia koniecznie potrzeba. — Dowiedzionem jest, że ten prawdziwie kocha bliźniego, kto kocha Boga, a ci nowocześni poeci, rugując ze serc ludzkich miłość Boga, czyż potrafią pobudzić do miłości bliźniego?

Pamiętajmy o tem, że dobroczyńcą ludzkości zowie się ten, kto ją nauczy być zadowoloną i szczęśliwą w najskromniejszych nawet warunkach. Ja-



każ bowiem korzyść dla ubogich, gdy im się ciągle wmawia, że im się krzywda dzieje od ludzi, a nawet od Pana Boga. Gdybyż te obrazki przynajmniej były prawdziwe! U Konopnickiej chłopci są istotami najnieszczęśliwsi, wiecznie głodni, obdarci, po chacie im wiatr wieje, oni jedni tylko nieszczęśliwi! Gdzież ona spotykała takie wsie opuszczone i ludzi tyle w łachmanach?

Te narzekania i bluźnierstwa naruszają podstawy chrystyanizmu, gdyż chcą przekonać, że dla tej ziemi człowiek stworzony, że tu tylko ma szukać szczęścia dla siebie.

Czasem znajdują się n. p. u Kasprowicza wzniosłe słowa Chrystusa Pana, za chwilę jednak ozwie się zgrzyt przenikliwy w słowach Lucyfera, lecz któż zaręczy, że właśnie te słowa nie wpiją się głębiej w duszę niż tamte — a jaki w tem autor miał cel, to jemu najlepiej wiadomo. Gdyby mógł widzieć, jakie spustoszenia sprawiają w niektórych duszach, przecieżyby może zadrżał.

**Może kwestye społeczne rozwiązują ci poeci?** Bynajmniej! oni zaogniają waśń klasową, miasto ją goić. Czy to się zgadza z prawdą, co Konopnicka mówi, że dwór jest urodzonym wrogiem chaty, że pan odebrał chłopom wszystko, nawet gwiazdy z nieba?

A może przecieży jakaś **wielkość duszy się przebija przez te poezye nowoczesne?** Ci pieśniarze są zapewne tak zatopieni w swoich

ideałach, że zapominają o sobie — a cóż szczytniejszego nad takie zapomnienie o swoim „ja“? Ich serce może wyzuło się z miłości własnej, aby objąć ludzkość całą? I to nie! Oni tak dalece się rozkochali w sobie, jak gdyby oprócz nich nikogo i nic nie było na świecie. To też chociaż o czem innem mówią, siebie zawsze mają na myśli. Kasprowicz skromnie powiada, (zezwoiliwszy na koniec świata, na nicość) „Bo cóż być może, jeśliś Ja zaginał!“ I tę pychę i wyniosłość daruje mu świat, sam zarażony nietzscheizmem, nie mogącym znieść nikogo, chociażby cokolwiek wyższego od siebie; daruje to Kasprowiczowi, ponieważ jest wrogiem Boga. Czy i my katolicy do tego chóru się przyłączymy? Czy nie powtórzymy raczej za francuskim pisarzem Hello: „Niechże nam Bóg ześle geniuszów, dość dumnych na to, aby o sobie zapomnieć, dość wielkich, aby stać się pokornymi“<sup>1)</sup>).

Czego jeszcze mamy szukać w nowoczesnej poezyi polskiej? **Miłości dla kobiety**, szlachetnej, wzniosłej, opiewanej przez trubadurów? Nic z tego! Miłość u owych poetów, jak Tetmajer, Przybyszewski i ich adeptów, jest — delikatnie powiedziawszy — li tylko zmysłowością, jak gdyby człowiek, porówno ze zwierzęciem miał tylko ciało, a nie posiadał duszy!

---

<sup>1)</sup> Hello Ernest. Człowiek (życie — wiedza — sztuka).

A jakie **zasady filozoficzne** u nich reprezentowane? Może mądrość wielka? ... Dla tych poetów wszystko jest środkiem, prowadzącym do celu, tj. do obalenia wiary w Boga chrześcijańskiego; wszędzie się przebijają ich pseudo-postępowe zasady, chociażby i były w sprzeczności ze sobą, chociażby i nie wytrzymały żadnej krytyki. Jeske-Choiński mówi: „przy czytaniu poezyi Konopnickiej myślacemu mężczyźnie włosy na głowie powstają“.

Lecz **patryotyzm** powinien przynajmniej ich poezye przenikać; boć oni sobie przywłaszczyli monopol patryotyzmu, odsadzając od niego ludzi, wypełniających ściśle swoje obowiązki względem Boga i Kościoła. Odzywa się wprawdzie ta nuta u niektórych; lecz wogóle patryotyzm rzeczywisty nie jest ich cechą znamioną i bardzo mało się go u nich znajdzie, ani też w nim niema tej nadziei, która krzepi. A mogliby znaleźć poetyczne natchnienie w nowszych zdarzeniach historycznych; toć bóle i nadzieje zawsze odbić się powinny echem w duszy i pieśniach. Że zaś ubolewają nad tem, i biadają, jak bardzo Polacy nieszczęśliwi, tego nam koniecznie nie potrzeba — to sami czujemy — lecz czego nam w gruncie rzeczy potrzeba? Oto, wskazać na lepsze czasy, nauczyć, jak się starać o przyspieszenie lepszej doli; ich słowa zaś kirem przysyłają wszelką nadzieję w lepszą przyszłość. —

Jeszcze jedno pytanie należy postawić

„Młodej Polsce“, czy ona jest przynajmniej młoda? ... Młodość znamionują energia, siła, pełnia życia, radość, chęć do życia, a tu ... co jest nutą przewodnią u tych młodych w literaturze? Żale, lamenty, jęki, rozpacz; pociechy ni ulgi ani tu na ziemi, ani w wieczności — słowem najczarniejszy pesymizm, wywołujący pesymizm i zwątpienie u czytelników. Sami nie będąc stoikami, i drugich nauczyć nie potrafią, że cierpienie oczyszcza człowieka, że go hartuje, podnosi siły, że cierpieć chętnie i z odwagą znaczy być walecznym.

Poezya działająca tylko na nerwy i zmysły i wywołująca niezdrowe nastroje, nie wychowuje narodu, ale wpływa zgubnie na charaktery. A nam zwłaszcza, w wyjątkowem położeniu naszym, trzeba tęgich charakterów. Iluż to młodym odebrała ochotę do życia! Kto wie, czy nasi Młodzi poeci nie mają na sumieniu więcej ludzi wykołejonych, złamanych, więcej rozpacz i samobójstw, niż może niejeden filozof niechrześcijański.

Że najnowsi poeci nasi nie są Orfeuszami, ożywiającymi czarem swych pieśni, o tem oni sami najlepiej świadczą. Ich s a m y c h nie uszczęśliwiają ich nastroje, jakżeby mogli wpływać pokrzepiająco na d r u g i c h? Może to jest jedyną ich zasługą, że tak otwarcie się przyznawają do tego, co się w ich duszy dzieje! Wołają zniechęceni: „Życie krótkie ... czemuż nie krótsze jeszcze?“ — Gomulicki zawodzi: „I jedną tylko tu prawdę znam, Ból,

co mi serce rozrywa". „Pragnę nicości — ciała z kamienia“.

Posłuchajmy znowu Konopnickiej: „I niechaj ja zostanę wśród mojej zadumy — Tak, jako zawsze byłam smutna i samotna“. —

Życie u tych poetów jest bezcelowe, więc jakąż może być ich poezya? Tetmajer się odzywa w te słowa: „Wszystko jest marne, podłe, złe i wstrętne, — Niema na świecie nic, nic, coby było — Cokolwiek warte! Świat jest błota bryłą, — Rzuconą w wody nieprzejrzane, mętne“.

Przybyszewski powiada szczerze: „A jakże mielibyśmy być weseli, my cośmy wyrosli na bagnach i błotach!“

Nawet widok natury nastraja tych ludzi smutnie. I takich poetów mielibyśmy wpuszczać do dusz naszych? ... My chcemy oddychać pełną piersią, chociażby i w smutku, lecz w nadziei lepszego jutra.

Zatem, czy jest cośkolwiek w tej najnowszej poezyi, co nas pociąga? ... Ten styl, ta piękność artystyczna, bardzo często wątpliwa, gdy bezstronnie osądzona. A choćby wreszcie było trochę piękności formy, cóż to znaczy wobec tej obniżki uczuć, pojęć i zasad, spowodowanych przez poezję dekadencją i bezbożną. Niebyśmy nie stracili, gdyby jej wcale nie było. Nie obawiamy się, że zostaniemy bez poezyi; nawet gdyby nie było najnowszej, to jeszcze mamy **nową**, t. j. **na-**

**szych wielkich wieszczów z epoki romantycznej** i zastęp tych, co się koło nich zgromadzili — mniejsi od nich, ale jeszcze wielcy, w porównaniu do wielu poetów. „Tam u najostatniejszych nawet, uczucie jest szlachetne, pojęcie człowieka i życia szlachetne. To jest poezya prawa, czysta, godna“. Ta dzisiejsza poezya nie może być odrodzeniem, chyba zwyrodnieniem. Prawdziwe odrodzenie przyszło przez naszych trzech wielkich wieszczów. Ich to poezya, co ma prawo liczyć się do najwspanialszych wogóle, weszła jak słońce i nie zgasła jeszcze. Nie, ona nie jest przestarzałą, ona nie przestaje wywierać na nas wpływu uszlachetniającego i pobudzać nas do czynu.

Choćby nawet ta dawniejsza czysta poezya nie mówiła nam wyraźnie o obecnych naszych obowiązkach, zadaniach życiowych i społecznych, skoro duszę podniesie i wzmocni, wtedy każdy nasz krok, każde pragnienie, każdy czyn się uduchowi, i będziemy działali tak, jak dana chwila od nas tego wymaga.

Gdy na tej poezyi zawsze nowej, choć latami starszej, młodsze pokolenie kształcić się będzie, wtedy i poezya nasza powróci do dawnego rozkwitu, i znowu będziemy mieli poetów z łaski Bożej, piszących w duchu narodowym i katolickim. Arcybiskup Teodorowicz w swem kazaniu na temat poezyi Słowackiego mówi: „Bez górnej myśli Chrystusowej, poezya nigdy nie zdoła być prze-

wodniczką narodu, a łatwo stać mu się może zagubą“.

Biskup Niedziałkowski podobnie mówi: „Co nieśmiertelne musi żyć — a na tej ziemi jedna jest tylko, wśród co kilka lat zmieniających się fałszów, jedna tylko nieśmiertelna prawda — prawda Chrystusowa. Jeżeli się z nią poeci nasi złączą, ideał dla nich powróci, w przeciwnym razie będą coraz bardziej karłowacieli, pókąd nie zginą w błocie, albo nie wywietrzeją w płytkości. Na ich miejscu, godzi się spodziewać, powstaną inni, lepsi, i ci poznają, że jedna jest tylko droga do ideału, „przez Krzyż do Światła“.

---



#### IV.

### Powieść i utwory sceniczne.

Na ten dział literatury szczególnie trzeba zwrócić uwagę, gdyż w obecnych czasach jest potęgą, z którą liczyć się musimy. Jedna wielce poczytna powieść może większy wpływ wyrzucić, niż rozmaite siły moralne, społeczne i państwowe. Jeżeli jest dobra i jeżeli czytelnik oddaje się czytaniu jej z umiarkowaniem, wpływ jej dodatni jest bezsprzeczny, bo w łatwy i przyjemny sposób wprowadza do duszy wzniosłe myśli i szlachetne pragnienia. Dostarcza też czytelnikowi niewinnej rozrywki, zapobiegając tem samem szukaniu szkodliwych i wątpliwych zabaw.

Lecz czy najnowsza powieść spełnia to zadanie? czy taki cel sobie wytknęła? Ironią byłoby twierdzić to o większej części nowszych powieści. Pozwalam tu innym mówić za siebie. Na ostatnim Kongresie Marvańskim w Przemyśle Stanisław Tarnowski powiedział: „Literatura nasza, czysta przez całe wieki, wydaje dziś książki i pisma tak sromotne, że trudno spotkać coś podobnego gdzieś indziej,

a publiczność czyta wszystko z dziwną wprost lekkomyślnością". — Jeske-Choiński woła: „Zgasły w książkach i na scenie dawne wzory obowiązku, uczciwości, cnoty i bohaterstwa. Miejsce typów świetlanych, podnoszących serce i ducha, zajęły typy..." (których bliżej określać nie myślę.)

Możnaby wiele miejsc zacytować z gazet i książek, lecz najlepszym dowodem, jak się obniżył poziom literatury, a zwłaszcza powieści w obecnych czasach jest wojna krzyżowa, którą jej wypowiedziały umysły, dbające o dobro swego społeczeństwa — są stowarzyszenia, wiece lub kongresy, występujące przeciw niej.

Jakież to są te powieści, których nie można czytać bezkarnie, t. j. nie ponosząc szkody na duszy? Są to książki, napadające na **wiarę i dogmaty**, albo **podkopujące moralność**. Książek, w których są wyraźne wycieczki przeciwko wierze i Kościołowi, coraz więcej się wprawdzie ukazuje, lecz jeszcze ich się ogólnie u nas nie czyta. Niestety, wystarcza jednak nieraz jedną taką książkę przeczytać, aby utracić wiarę na zawsze; mamy na to liczne przykłady. Gdyby ludzie chcieli zrozumieć, jak wielki skarb postradali przez utratę wiary, nie narażaliby jej tak lekkomyślnie. Wiara daje człowiekowi wszystko, co go może prawdziwie uszczęśliwić. Z jakąż tedy zazdrosną nieomal troskliwością powinniśmy strzedz skarbu wiary, przed wszystkim, co nas go może

pozbawić. Ileż to ofiar ponieśli ludzie, ażeby nie utracić wiary, poczynawszy od pierwszych chrześcijan w katakumbach aż do Unitów naszych. Od nas takich ofiar się nie wymaga, potrzeba nam nieraz tylko wstrzymać się od czytania niektórych książek, które dla prawdziwego katolika wstrętnemi być muszą.

Lecz nie tylko książki wręcz przeciwnie dogmatom, narażają nas na utratę światła wiary i dobrodziejstw religii, czynią to pośrednio także książki obrażające moralność. Czy takie powieści są czytywane, czy mają popyt? ... Cyfry niech odpowiedzą. Współczesna powieść, która z małymi wyjątkami jest niemoralną, liczy coś tysiące tomów, a ilość egzemplarzy i mnogie wydania świadczą wymowniej jeszcze o ich poczytności. Z tych wszystkich tysięcy ogół bardzo małą liczbę wyłącza jako demoralizujące. Niektórzy nie czytają n. p. takich „Hintertreppen-Romane“, kolportażu po 10 fen. za zeszyt, razem z obrazkami. Taką literaturę policja nieraz konfiskuje, więc szanujący się człowiek nie czyta jej, lecz reszta, wszystko jest dobre dla ogółu inteligentnego i nieinteligentnego.

Więc **jakaż jest treść** większej części tych książek, które są codzienną strawą tylu milionów ludzi, któremi się szczyci cywilizacya, przypisując im oświatę ogółu — bo kiedyż było tyle czytających co teraz? Jakaż, powtarzam, jest treść tych książek, które goszczą nieraz na poddaszach lub w suterrenach, a także w pięk-

nej oprawie figurują nadto w buduarach pań lub z ostentacją rozkładają się w salonach, gdyż to są dzieła sztuki, z talentem napisane!! Tak przynajmniej głosi krytyka na wszystkie tony. Czytywane one są przez eleganckie damy, złotą młodzież, poważnych ludzi schodzących z areny światowej, ale i przez panienki rozkwitające dopiero, przez gimnazyistów i nie rzadko przez dzieci 12 lub 10 letnie. I cóż tam jest tak przyciągającego? Po większej części **erotyka zwyrodniała**. Najlepiejby nas ci poinformować mogli, którzy je czytają — jeżeliby mieli smutną odwagę wypowiedzieć to głośno. Niejedna osoba zarumieniłaby się, gdyby miała opowiedzieć, jaki tam znalazła stek brudów, występków, bezwstydu — w jak podły sposób autor tam depce to co jest drogie sercu uczciwego człowieka, co jest świętem dla duszy katolickiej. Więcej się nad tem rozwódzić nie będę. Spytam się tylko: Czy bez takiej powieści żyć nie można? **Czy to zawsze taką lekturą się karmiono? . . .** U nas nie. Dawniejsze pokolenie, t. j. to, które się teraz do starszych zalicza, raczyło się inną literaturą. Zachwycało się spokojem piękności klasycznej dawnych pisarzy, ogniem tryskającym z romantyzmu rycerskiego naszych wieszczów, rzewnemi pieśniami skromniejszych lutnistów. Pokochało poważne dzieła historyków i wielkich myślicieli, którzy rozbudzali wielkie myśli.

Czytywano i powieści, chociaż nie tak wiele jak teraz — po większej części rodzime,

a chociaż dużo z nich nie wychodziło ponad średnią miarę, przecież powieści rodzime (z małymi wyjątkami) były wyrazem szlachetnych — szczerze szlachetnych intencji, i wiele podniosłych myśli można było w nich znaleźć. Literatura taka, rozumie się, nie wywoływała „nastrojów”, targających nerwami, nie rozpalała mózgu do czerwoności, ale za to zostawiała serce świeże, niedostępne pesymizmowi, zdolne cieszyć się słoneczną atmosferą i z radością w niej żyć, pracować i modlić się, chociażby i to słońce nieraz było zakryte chmurami.

Powie może kto, że jeżeli wszystko idzie naprzód, czyż jedynie powieść miała pozostać na pierwotnym stopniu swego rozwoju? Czy wobec postępu psychologii, która wnika w najgłębsze tajniki duszy, powieść miała jak niegdyś, przedstawiać tylko głównie życie zewnętrzne? Dobrze, niech i powieść idzie z postępem, niech się zamienia z poczwarki Krasszewskiego na motyla Sienkiewiczowskiego! (rozumie się, z wykluczeniem miejsc drastycznych). Taki postęp byłby pożądanym przez uczciwych ludzi i prawdziwych katolików.

Lecz jak się to dzieje, że ci sami uczciwi ludzie i prawowierni katolicy, obok uwielbienia dla Sienkiewicza, żywią dla zwyrodniałej powieści nowoczesnej taki sam entuzjazm, lub może i większy, sądząc z nienaruszonego prawa obywatelstwa, jakie sobie uzyskała?

**Czemuż nie pozostało, jak było przed dwudziestu albo trzydziestu laty, kiedy to źli ludzie**

czytywali złe książki a dobrzy zadowolnili się dobrami? — Nieszczęśliwą tę zmianę **zawdzięczamy naszej pochopności do naśladowania Francuzów**, a po drugie, **bojaźliwemu oglądaniu się na opinię**.

Francuski wpływ demoralizujący już raz ogarnął ziemię naszą; było to w 18. wieku, kiedy wolteryanizm importowano do nas; tak trafnie Mickiewicz opisuje to w Panu Tadeuszu: „Gdy raptem paniczyki młode z cudzych krajów — Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów, — Prześladować w ojczyźnie Boga, przodków wiarę, — Prawa i obyczaje...”

To źródło nieczyste odpłynęło jednak po części, gdy wielkie nieszczęście narodowe nauczyło Polaków myśleć poważnie i zwracać myśl ku tym błękitom, dokąd ich prowadziła nasza czysta i jasna literatura romantyczna, w pierwszej połowie 19. wieku.

We Francyi po wstrząśnieniach rewolucyi, literatura odżyła na nowo, lecz nie na długo. Romantyzm tam obiecywał dużo, lecz nie dotrzymał słowa. Wyzwoliwszy się na początku 19. wieku z ciasnych pęt naśladownictwa starożytności, szukał natchnienia w rycerskich wiekach średnich, w historii narodu, w nauce i sztukach, w ludzkości, w naturze, lecz także w chrześcijaństwie, w Biblii. Były to piękne źródła, lecz niestety, ta nieograniczona wolność dla dzieł artystycznych nauczyła pisarzy nie krępować się żadnymi względami. Imaginacya

była teraz wyrocznią, rozsądek już nie był sędzią gustu i tego co wypada lub nie; a co gorsza, wolność artystyczna, łącząc się z wolnością zasad, sprawiła, że etykę chrześcijańską w dziedzinie beletrystyki nie tylko pomijano, lecz ją nawet zdeптano. Sławiony romantyzm popadł niezadługo (z pewnymi wyjątkami) w najwstrętniejszy realizm. Wiktor Hugo zapoczątkował swój rozgłos skandalicznym romansem „Notre-Dame“, o tendencji, podkopującej powagę religii i Kościoła. „Les Misérables“, również bezecne, siejące nienawiść do klas wyższych. — Zazdroszczący Wiktorowi Hugo powodzenia, Dumas, ojciec, demoralizuje ludzi, żeby ich zabawić; nie lepszy jego syn, broniący rozwodów. — Szturmem bierze czytelników, zwłaszcza czytelniczki, George Sand, apoteozująca wolną miłość już w pierwszej połowie 19. wieku; Gyp sama będąc „sans-gêne“, uczy bezwstydu; Balzac coraz większy realizm wprowadza do powieści, aż gdy nareszcie około r. 1870, Zola wystąpił ze swymi płodami najwstrętniejszego naturalizmu, zastał już grunt przygotowany. Bestyę ludzką przedstawiał, a jednak znalazł czytelników, co go podziwiali. Tak przywykł świat do skrajnego realizmu, że po Zoli łatwo mu strawić takiego Anatola France, Prévost'a, d'Annunzia i t. p.

A Polska przed laty kilkadziesiąt, jakie stanowisko zajęła wobec tej coraz wzmagającej się fali francuskich powieści? Ponie-



waż u nas już oddawna były oczy zwrócone na Francję, jako przodowniczkę w literaturze i naukach, przeto wpływ jej i teraz był nieunikniony. Przywozili te powieści niemoralne ci co podróżowali po Francyi; wciskały się one do nas przez tłumaczenia, najczęściej w tygodnikach naszych. Czytali je wtenczas niektórzy; lecz większa część naszego społeczeństwa, ta lepsza, moralnie zdrowa, oparła się jej. Umysły były wtedy skierowane ku temu, co drogie sercu każdego Polaka; losy ojczyzny nie były ludziom obojętne, bo też i zasady wiary, na ogół, były nienaruszone, ludzie żyli podług przepisów Kościoła, który zakazuje czytania książek niemoralnych i przeciwnych wierze.

Żli ludzie zawsze byli i złe książki zawsze były czytane przez złych; **lecz cóż się stało, że i dobrzy poszli na lep?** Było nieszczęściem wielkiem, że właśnie wtedy, gdy Europa zagrożoną była potopem niemoralnych powieści, żydzi wpadli na pomysł, o którym już powyżej wspominaliśmy: „Zdobądźmy prasę, a będziemy mieli wszystko“. — Oni to zaczęli wołać: „Czytajcie wszystko, postęp tego wymaga“.

U nas ich wpływ był jeszcze silniejszy, gdyż naród nasz miał zawsze słabość do żydów. W Królestwie przyjęci zostali do towarzystwa, nadawali ton w salonach, i z największą łatwością **opanowali także prasę**. Za jej pomocą

i pozytywizm, (który zwolna przygotowywał rozbrat z religią i Kościołem), mógł snadnie reklamować powieści, wyrosłe na jego gruncie. Programem jego było stworzyć nowe pokolenie, którego ideałami miały być dobrobyt, bogactwo i używanie. Praktyczni ludzie nie mają czasu patrzeć w niebo! „Sursum corda“ jest dla nich okrzykiem niezrozumiałym. „Inżynier, panowie, — woła Rawicki Orzeszkowej — to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu co wielkie, piękne i dobre“. (sic!)

Wobec tego powieść polska musiała upaść bardzo nisko. Dodajmy jeszcze do tego wzmagającą się niewiarę u ościennych narodów, wpływ Kanteizmu, Nietzscheanizmu, przewrotności idące do nas z Norwegii, Włoch, Rosyi, a dziwić się nie będziemy, że umysły młode, bezkrytyczne, oprzeć się nie mogły tej złowrogiej fali. Nietylko czytelników znalazły u nas nowoczesne powieści demoralizujące, ale społeczeństwo nasze pczęło samo wytwarzać taką literaturę — do obcych już po nią chodzić nie potrzebujemy.

Na grunt polski zostało przeszczepione hasło: „Sz t u k a d l a s z t u k i“. Przewróciło to bodaj w głowie młodym autorom; ze swej wysokości patrzeli ze wzgardą na filistrów, drwili sobie z obywatelskiej przyzwoitości i rozsądku, żadnego hamulca nie uznawając dla swych zwyrodniałych namiętności. Podług Przybyszewskiego — przywódcy modernisty-

cznej powieści — „sztuka nie zna żadnych praw moralności, artysta stoi ponad światem, jest panem panów!“ Że ten piasek rzucony w oczy społeczeństwu naszemu, przyćmił na razie wzrok tak dalece, że nie widziało na dalszą metę, dziwić się nie można; lecz teraz, kiedy już tak widoczne są skutki złej lektury, niezrozumiałem wydawać się musi, że jeszcze większa część Polaków powtarza przewrotne hasła. Toć obecne czasy nastrajają nas poważnie, bardziej może, niż przed rokiem 1863, ucisk bowiem teraz większy, a nadziei może coraz mniej.

**Przyjrzyjmy się więc tym hasłom czyli raczej sofizmatom,** narzuconym nam przez żydów i masonów, ażebyśmy je mogli w danym razie odeprzeć lub drugich przed nimi ostrzedz.

Głoszą więc: **„Kto nie czyta wszystkiego, nie zna wszystkiego, nie idzie z postępem“.** Lecz któryż to człowiek w s z y s t k o czytał?... gdzie go się znajdzie? I najbardziej postępowy człowiek tylko malutką cząstkę może przeczytać z tych nowości, z tego balastu literackiego, którymby otchłań zasypać można. We Francyi pisze się samych romansów rocznie około 3 tysięcy; przypada tedy na jeden dzień mniej więcej dziesięć; więc, chociażbyśmy dzień i noc ślęczeli nad książką, nie zdołalibyśmy przeczytać wszystkich. Musimy się tedy pogodzić ze swoim losem, że nie wszystko możemy znać.

Powtóre: „Z postępe m nie idziemy, jeżeli nie hołdujemy nowoczesnej literaturze!“ Ułękli się więc biedni ludzie, że ich nazwą zacofoanymi i rzucili się chciwie na wszystkie nowości postępowe, nie pytając się nawet o to, że owe wyroki feruje prasa żydowska, autorowie sami, księgarze, nakładzcy i wszyscy, którzy w tem są interesowani. To co nowe, nie koniecznie oznacza postęp. Są w obecnych czasach olbrzymie postępy w dziedzinie wynalazków i nauk przyrodniczych, ale literatura, która doprowadziła wielką część ludzkości do zwyrodnienia moralnego i kulturalnego, kroczy fałszywą drogą postępu. Że nie należymy do postępowców, kochających się w szpetności i brudach literackich, tego nie potrzebujemy się wstydzić. Ks. Roztworowski powiada: „Nie ujmą, lecz chwałą jest nieznanomość brudu“.

Lecz nie sam brud zawierają owe powieści nowoczesne — mówią nam — jest w nich tyle a r t y z m u, n a s t r o j u, p i ę k n y j ę z y k i f o r m a — one są napisane z talentem! Czy jednak nie lepiejby było zamiast nastroju uderzyć w strunę pełną prostoty, któraby dźwiękiem ukoić zmęczoną myśl i rozstrojone nerwy? Piękność tych arcydzieł jest nieraz tak podejrzana, że dziwić się można, iż znajdują nakładzców; dla nas nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nakładacz, jeżeli wie co drukuje, chciał rzucić swoje rzemiosło na cztery wiatry i chwycił się użyteczniejszej pracy.

Na podobnych dziełach nikt pewnie się nie będzie uczył stylu, ani też gramatyki; zdarza się bowiem nierzadko u takich autorów, że w zdaniach swoich pogubili tu i owdzie podmiot lub orzeczenie, że taki nawał słów dziwacznych panuje w ich okresach bezsensownych, iż siebie sami nie rozumieją. Gdyby zresztą tylko dziwactwa i bezsensowność się łączyły w powieściach dekadencek, byłoby pół biedy — gorzej, że **treść niemoralna** wycisnęła na nich swe piętno.

Powie kto, że powieść modernistyczna może wykazać się dziełami, napisanymi z r z e c z y w i s t y m talentem. Jeżeli tak jest, to one tym zgubniejsze; styl udatny bowiem porywa, do książki przykuwa, a autor utalentowany z tem większą zręcznością obalamuci i pociągnie do złego, którego jest rzecznikiem.

Cóż pomoże protest choćby najenergiczniejszy przeciw literaturze brukowej, jeżeli się pobłądza dziełom nie mniej niemoralnym, ale udekorowanym płaszczykiem artyzmu. Trucizna zawsze pozostanie trucizną, chociażby i w eleganckim podana puharze, chociażby się mieściła w pysznym kwiecie. Cóż z tego, że ten kwiat ma cudny kolor i kształt artystyczny, jeżeli zionie jadem, człowieka odurza i o śmierć przyprawia?

Lecz czy rzeczywiście można mówić o jakiegokolwiek piękności dzieła, jeżeli treść jego obrzydliwa? **P i ę k n o m o r a l n e j e s t p i ę k n e m i d o b r e m w y ż s z e g o r z ę -**

du, niż piękno sztuki; ono powinno głównie wpływać na wybór dzieł i nasz sąd; ta prawda powinna znaleźć oddźwięk w duszy chrześcijanina, w umyśle każdego szlachetnego człowieka.

To tylko owym zdeprawowanym autorom się zdaje, że w ich dziełach artyzm, bo tam właściwie tylko chorobliwe fantazye, niemożliwe sytuacje, zaprawione brudem moralnym, a wszystko wypowiedziane językiem cuda-cznym, nieraz ordynaryjnym. Artyzmem prawdziwym jest piękno, w którym dusza stworzona na obraz Boga — dusza tęskniąca za tem, co najlepsze, najszlachetniejsze, najwznioślejsze — znajdzie pierwiastek sobie pokrewny.

Forma sama nie czyni dzieła polecenia godnem; treść, wpływ dzieła na społeczeństwo dopiero rozstrzyga o jego wartości. Sztuka nie może być sama sobie celem. To właśnie spowodowało te nieszczęsne stosunki literackie, iż zaczęto tyle wagi przywiązywać do stylu, techniki, do niczem niekrępowanej wolności autorów, do coraz większego szerzenia ich utworów, nie obawiając się niczego tak bardzo, jak ograniczenia ducha ludzkiego przez prawo Boskie, przez zasady nienaruszone od tylu wieków, przez nadprzyrodzone życie łaski, podporządkujące nieokiełznane namiętności pod panowanie Chrystusa.

Posłuchajmy sądu tak wytrawnego krytyka jak profesor St. Tarnowski. Oto co mówi o Przybyszewskim: „Niektórzy widzą u niego

talent. Zapewne, jakiś talent musi mieć każdy, kto coś pisze, skoro jest wielu ludzi, którzy nie potrafią napisać nic; ale chodzi o to, jaki ten talent jest. Tu jakiś mógł być, ale sam zniszczył on talent swój zarozumiałem wyobrażeniem o swojej wielkości i złudzeniem, że dziwactwo a oryginalność, brutalność a siła, to jedno. Wyrzucić potok słów, w których nie ma sensu, a między którymi nie ma związku, to nie jest pisanie, to tylko rzucanie piasku w oczy”.

Tyle co do formy, a co do zasad Przybyszewskiego mówi tenże Tarnowski: „Jego pojęcie człowieka, życia, świata, to jest absurd, w który sam autor nie może wierzyć, chyba że jest odurzony jakimś rodzajem haszyszu. Ale mniejsza o absurd. Gorsza jest ta niezależna moralność, ta indywidualność, wyższa nad wszystko, która „pluje na obowiązek”, a zwierzęcą żądzę ma za treść człowieka i życia”.

A chociażby się u Przybyszewskiego, lub jemu podobnych autorów, znalazły niektóre dobre myśli, czy mamy najprzód przebrnąć przez błota przepastne, przez zaspę śmieci, ażeby dostrzedz klejnot, może nawet tylko błyskotliwy, fałszywy! **Tej potrzeby nie ma;** gdyż lektury mamy dosyć, gdzie tych klejnotów aż po brzegi, i tylko proszą, by je brać. Pociąg brodzić w bagnie, by zerwać jeden lub dwa kwiatki, kiedy tych kwiatów pełne łąki,



poła i ogrody. Życia ludzkiego nie starczy na przeczytanie wszystkiego. co prawdziwie dobre i piękne.

Inny sofizmat głosi: **Dlaczegoż nie zaznajomić się z brudami i występkami, kiedy to życiowa prawda!**

Czy więc tylko zbrodnia i podłość są prawdą? Zatem wszyscy ludzie już tylko żyją zmysłami! Czy kobieta polska upadła tak nisko, jak ją nowsi autorowie przedstawiają? Dla czego wyciągać na jaw same momenty czarne, „jak protokół nocnej policyi?” Czy społeczeństwo nasze nie może już dostarczyć żadnych obrazów świetlanych i wywołać górnych porywów? Czy niema już wiernych żon i mężów, cnotliwej młodzieży i uczciwych obywateli? Z pewnością, tak z przeszłości jak i z czasów obecnych stworzyć można piękne typy, charaktery, sceny, zdarzenia, znajdujące oddźwięk w duszach szlachetnych i poruszające je nieraz do głębi.

Toć głosy męzczyzn się odzywają, wskazując na ideały i na świetlane typy współczesne, które poezya i powieść wcielić mogą i powinny — im już obrzydła ta literatura nieestetyczna — a kobiety i młodzież nie miałyżby nic innego zajmować jak zwyrodniała erotyka, jaskrawe sceny zmysłowe? Nie jest-że to smutnem, że właśnie kobiety i młodzież tworzą najliczniejszą klientelę dla powieści, i że dla nich fabrykują pisarze te niesmaczne płody literackie.

Cóż podają czytelnikom na karb rzeczywistości? Urojenia, fantazyje chorobliwe, karykatury rzeczywistości, wylęgle w mózgach pisarzy.

Możnaby się tych panów zapytać, jakie kobiety oni znają, z jakich biorą wzory? Gdzie w rzeczywistości można spotkać taką Pobratymską Żeromskiego, dziewczynę uczciwie wychowaną, nabożną, przemieniającą się jednym tchem w upadłą kobietę?

Stanisław Lam mówi: „Czy jest to już rzeczą konieczną, że nowoczesny człowiek w czarnych musi przedstawiać się kolorach, czy konieczną jest rzeczą, że ten „nadczłowiek“, zamiast być wyzwolonym z wad i ułomności, jest pełen występków i zbrodni? Chyba brudne charaktery i brudne dusze, mające skłonność do tego co złe i przewrotne, nie są znamieniem wyższości duchowej, ale przeciętności i karłowatości“.

Jakie wyobrażenie może mieć o nas zagranica, jeżeli o takich typach polskich dowiaduje się z naszych powieści!

**Wnętrze duszy chcą nam przedstawić.** Do jej najgłębszych tajników się wdzierają i wydobywają z niej to, czego tam niema. Czy kobiety przez to lepiej poznają siebie i swoje obowiązki? Nadto w owych powieściach ani duszy niema! Tam tylko miłość zmysłowa, niegodna kobiety tej, którą dawniej cały świat chrześcijański szanował. A zresztą, czyż tak trudno poznać duszę? Umysł, mający z a s a-

dy chrześcijańskie za busołę, nie rozbije się, sterując po burzliwym oceanie życia tego, chociażby ani jednej powieści psychologicznej nie było na świecie. Łatwą jest rzeczą omijać szkopyły, gdy się nie traci z oczu celu ostatecznego! Prosta, niewykształcona kobieta, mająca zdrowy umysł i niezepsute serce, żyjąca podług zasad wiary, lepiej zrozumie swoją duszę i więcej szczęścia rozdzielać będzie naokoło, niż ta dama, która przewertowała całe stosy romansów psychologicznych. Zostawmy więc tę nędzną, niezrozumiałą psychologię autorów zwyrodniałych i wykolejonych.

Falszem także jest, który oni skwapliwie rcziewają, **że trzeba złe poznać, aby go się ustrzedz**. Myślę, że żaden rozsądny człowiek na seryo nie twierdzi, że ochroną od złego jest roztaczanie brudów życiowych przed czytelnikiem (lub przed widzem, w teatrze), albo zapoznawanie go ze złem, którego może nigdy nie spotka, albo wreszcie rozbudzanie namiętności, któreby może na zawsze były pozostały uśpione. „Nie osiągnie się dobrych rezultatów, jeżeli się upadki i grzechy pokazuje ku uciesze czytelników, tak samo, jak gdyby kto rozdawał nieprzyzwoite obrazki w celu, by walczyć z bezwstydną sztuką“. (Kronika Powszechna.)

**A złego człowieka czy to naprawi?** Wstrząśnie nim wprawdzie i wzruszy jego nerwy, lecz oplącze go bardziej jeszcze siłkami złego — bo człowieka, który wpadł w błoto, błotem obmyć nie można. „Kto z grobu chce zmar-

t w y c h w s t a ć — mówi Krasiński — t e n  
n i e c h w i e, ż e t y l k o w ś w i e t l e s i ę  
z m a r t w y c h w s t a j e“. Oczyścić duszę  
może tylko tchnienie zdrowe, obmyć może  
tylko źródło czyste, które w niebie ma swój  
początek i do nieba, do Boga zbliża. — Słu-  
sznie mówi pewien kapłan nasz o romansach  
naturalistycznych: „Książek takich do ręki nikt  
wziąć nie powinien, kto w duszy pragnie zacho-  
wać wdzięk i prostotę. Powie ktoś, czytam te  
książki dla tego tylko, żeby też poznać świat  
i motywy, poruszające ludzkie serca. Lecz kto  
stoi w życiu, temu ono aż nadto ciekawość po-  
wyższą zaspokoi — a kto się nie spotkał z jego  
brzemieniem i podłością ludzką, ten niech Bogu  
dziękuje za tę łaskę, ale niech nie sięga po  
książki, które mu życie zwarzą i fantazję za-  
trują“.

Dostatecznie udowodnionem jest przez  
upadek obyczajów lat ostatnich, że o s w a j a -  
n i e z e z ł e m w y w o ł u j e t y l k o z ł e  
s k u t k i. Toć bodaj czy świat kiedy był tak  
obznajmiony ze złem jak teraz, a nigdy może  
zło nie szerzyło się tak szalenie szybko, nie było  
takiego zdziwienia obyczajów u wszystkich  
klas i u ludzi każdego wieku. Nad tem zepsu-  
ciem dalej rozwodzić się nie potrzeba, gdyż  
wszystkie gazety informują swoich czytelników  
codziennie o tem. Świadczą o tem rozliczne  
instytucye i stowarzyszenia w celu naprawy  
upadłych jednostek. Wysiłki te jednakże nie na  
wiele się przydają, jeżeli się złego nie podetnie

u samego korzenia. Chcąc złe wykorzenie, naśladowmy medycynę, starającą się obecnie o to, by nie dopuścić do choroby — co też łatwiej niż ją wyleczyć. I w świecie ducha należy zastosować metodę zapobiegawczą, tj. **zatarować źródła, z których głównie zło wypływa**, a temi są nowoczesna zła literatura i teatr demoralizujący. Nie ulega żadnej wątpliwości, że głównie zła lektura przyczyniła się do upadku moralności i zaniku wiary, bo wychowanie — aż do lat ostatnich — było przecież jeszcze przeważnie katolickie. Narzekają **żony, matki**, że ich mężowie, synowie niemoralne życie prowadzą, że hulają, grają w karty. Podejmują te nieszczęśliwe kobiety akcję przeciw temu — co bardzo zrozumiałe, bo i kieszeń ich to odczuwa, lub grozi to nawet ruiną materyalną — lecz niestety mało lub wcale nie chcą wystąpić przeciwko temu, co tę zgniliznę moralną szczepi i rozwija, t. j. teatrowi i lekturze, sprzyjającej zmysłowości i wszelkiej deprawacyi. Niezrozumiałe zaślepienie! Więcej tu przezorności światowej niż cnoty! Lecz ta przezorność, ugruntowana tylko na korzyściach doczesnych, na wiele się nie przyda, bo cnót wpajać nie można rozkazem ad hoc, policyjnym, lecz trzeba je **pielegnować**.

Czy więc już wcale nie można pisać o złem? Zapewne, i o złem może mówić książka, i o zbrodni, lecz uczciwy autor uczyni to w sposób tak delikatny i oględny, że

jego książka nie będzie gorsząca, raczej budującą. Kardynał Wiseman przedstawił w „Fabioli“ przeciwieństwo zepsutego świata pogańskiego z światem chrześcijańskim — a przecież ta książka nie pozostawia niesmaku, owszem wzbudza najpiękniejszy idealizm.

**A może pobudza do litości nad upadłymi niejedna książka, opisująca z bezwstydnym realizmem nędzę moralną?** Ależ powiedzmy sobie szczerze, czy ten, co przypatrzył się w duchu mętom społeczeństwa, co z autorem zwiedził nory, gdzie się ukrywa zbrodnia, zamknie książkę z postanowieniem oddania swych sił, swego mienia, swego życia na usługi upadłych bliźnich?... Praktyka i doświadczenie wykazują co innego. Rozumie się, że społeczeństwa powinny wiedzieć, jakie zło nurtuje w nich, ażeby wynaleść środki przeciwdziałające. Takimi badaniami zajmują się osoby zacne, z odpowiednim przygotowaniem i doświadczeniem, pełne chęci służenia bliźnim i w sposób właściwy zaznajamiają społeczeństwo o bolączkach, które leczyć trzeba. Nie Zapolska, Hauptmann, Tolstoj i im podobni dali impuls do pracy rzetelnej nad moralnie upadłymi. Nie tacy pisarze wywołują szlachetny zapał i wytrwałość! Toć miłość bliźniego i miłosierdzie chrześcijańskie kwitły już dawno, bardzo dawno przed rozpasaniem się brudnej literatury, bo od początku ery chrześcijańskiej.

Słyszy się też nieraz argument: **Ja mogę wszystko czytać, mnie nic nie szkodzi.** Tu

należy przypomnieć, że „kto stoi, niech patrzy, żeby nie upadł“. Niedobrze jest być zanadto pewnym siebie, zarozumiałość zwykle bowiem sama siebie karze. Zapewne, nie często się to zdarza, żeby człowiek dojrzały, który przez wiele lat szedł drogą cnoty, po przeczytaniu jednej złej książki wstąpił na drogę występku — chociaż... i to jest możliwe. W każdym razie nie pozostanie nigdy bez ujemnego wpływu czytanie złej książki. I rozum nie zawsze zdolen odeprzeć zły wpływ, jeżeli wyobraźnia nim owładnie. Nic zaś łatwiej nie opanuje całej wyobraźni, nie omota uczuć, jak powieść. Przy czytaniu, zwłaszcza powieści „nowoczesnych“, cały człowiek — rzeczyby można — zamienia się w uczucie; rozum, pamięć i wola pod jego wpływem — więc jeżeli książka jest skandaliczną, albo bezbożną, jakże opłakany wtedy jest rezultat! Choćby nawet i dobra tendencya była przyczepiona do tych brudów i szpetności, to czytelnik zwykle ją przeoczy, a w duszy pozostaną męty, zgrzyty, z których może się już nie otrząśnie; może zwolna ją ogołocą z wszystkiego, co tam było czystego, szlachetnego i świętego. Pisarze nowsi sami doznali wpływu dekadенckiej literatury na sobie. Oni już ledwie pojąć, ani może nawet uczuć nie mogą co wypada, a co nie.

Słyszysz się czasami: **Pozwólmy wreszcie ludziom czytać skandaliczne rzeczy, jeżeli tylko jakakolwiek dobra tendencya w nich zawarta, inaczej, czytać będą najgorsze.** Wielka to po-



myłka! Rzecz się ma odwrotnie! Coraz bardziej właśnie przyzwyczajając się będą do takiego czytania, aż w końcu najwstrętniejsze obrazy ich już razić nie będą, ani w książce, ani w życiu. Najgorzej pierwszy krok zrobić! Dlatego też wszelkie brudy powinny być wykluczone z literatury, z powieści, którą chcemy nazwać dobrą. Pewien krytyk powiedział w „Przeglądzie Powszechnym“, że nie powinno się robić najmniejszego ustępstwa pod tym względem, gdyż przez to daje się jakby uprawnienie brudnej literaturze, żeby sobie bezkarnie hulała. Niemcy katolicy poznali także niebezpieczeństwo tych ustępstw, zupełnie zbytecznych; tłumacząc arcydzieła naszej literatury, n. p. Quo vadis, opuszczają miejsca i sceny drastyczne, nazywając takie wydanie „oczyszczonem“ (purgierte Ausgabe); jest ono przeznaczone dla dorastającej młodzieży.

A jakież wpływ uszlachetniający może na swoje otoczenie wywierać człowiek, karmiący się zgnilizną moralną? Zatruty mając umysł, czyż może szczepić naokoło siebie zdrowie moralne? Jakież tedy będzie wpływ rodziców i wychowawców na dzieci i młodzież? Czy wogóle będą strzegli ich niewinności jak oka w głowie? Z pewnością niejedna zasadnicza prawda wyda im się przestarzałą, niejedna ostrożność przesadzoną, i niejedni rodzice doczekają się tego, że to złe, na któreby się oni jeszcze nie odważyli, opanuje ich dzieci. W obec-

nych czasach matki zdają się nie wiedzieć, że dusze ich córek, to lilie, których czystości zagraża najmniejszy pyłek. Mówiąc: „one i tak później złe poznają“, z rozpaczliwą rezygnacją starają się córki dostroić do tonu, który je niemile uderzyć musi z rozstrojonej duszy przysłego męża, zastarzałego w nieprawościach. Smutny to obraz! Lecz czyż tak być musi? Nie byłoby tak, gdyby matka zechciała i umiała synów swoich tak przygotować, ażeby harmo-nijna nuta, płynąca z niezepsutych serc ich żon, znalazła oddźwięk w ich duszy. Lecz czy ona to robi? Czy ona zdoła podnieść w górę inne dusze, gdy jej własna po ziemi może się wlecze?

**„Mogę wszystko czytać, gdyż jestem do-rosłą osobą i dojrzałą — mówią — dla mnie niema ograniczenia“.** Ten dojrzały człowiek, który sobie tak ufa, iż obronną ręką może wyjść z pokusy ukrytej w książce, piśmie lub przedstawieniu teatralnem, gdyby tylko zrobił ściśły obrachunek ze sobą, przekonałby się niezawodnie, ile on już utracił skarbów ze swej duszy; przyznaćby musiał, że to właśnie te czynniki, które on tak bardzo lekceważył, pozbawiły go idealizmu w przekonaniach i w zadaniach życiowych. Ze ściśnionem sercem widziałby, że dawna radość życia uleciała — że ma przyjemności życia (jak je świat nazywa), ale nie ma wesela w duszy, gdyż nie ma spokoju. Nowoczesny człowiek przebiega lądy i morza, ogląda i studjuje piękną naturę; lecz na jej widok serce jego nie zadrga, oko nie za-

biyśnie tą radością co dawniej — pesymizm i apatya bowiem nie są teraz rzadkimi gośćmi w duszach ludzkich. A gdzie się podziały zapał i energia do pracy, tak potrzebne w wieku dojrzałym, gdy człowiek ma poważne obowiązki do spełnienia? Pracuje on jeszcze, lecz głównie dla pieniędzy, ale i te są w ręku jego pospolitą mamoną, dla której nie ma wyższych przeznaczeń; społeczeństwo mało go obchodzi, praca dla niego staje mu się ciężarem.

Jakże mi żal tych osób, którym życie upływa wśród ciężkiej pracy, lub w osamotnieniu! Wieczór zastaje je przygnębione, złamane nieraz niepowodzeniem, a one zamiast się pokrzepić i wzimocnić do walki życia przy pomocy dobrej książki, czytają rzeczy tak bezdennie smutne, że musi im się nasuwać wątpliwość, czy jeszcze jest dobro na świecie. Biedne istoty, kładą się wieczorem z ciężkiem sercem, a rano wloką się do pracy jako najemnicy. Nie jestże taki człowiek wrogiem samego siebie? Czy zadaniem powieści ma być wywoływanie sztucznych cierpień? Czyż nie powinna ona raczej rozjaśnić szarych horyzontów życia?

Jakież teraz jest życie rodzinne? Czy w istocie uszczęśliwiają ludzi jeszcze owe ciche radości rodzinne, których człowiek dawniej tak pragnął i szukał, a znalazłszy je, umiał cenić; gdy zaś je utracił, nie mu ich zastąpić nie mogło..... I na to jest odpowiedź: nie! Podobno rodzinie teraz tylko dobrze, gdy przebywa po za domem. Co się stanie z narodem

naszym, gdy dom — ta ostatnia ostoja nasza — przestanie być arką narodową?

Nasuwa się może pytanie, czy powyższy obraz nowoczesnego człowieka bez ideału jest istotnie wykwarem powieści nowoczesnej? Nie wyrósłże on raczej z materializmu nowoczesnego, powstałego głównie z nagromadzenia bogactw w ręku jednostek, którym tłumy zazdroszczą?..... albo czy mianowicie brak wiary i obojętność dla religii nie spowodowały obniżenia się ideałów? Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że trudno rozeznaczyć, co tu skutkiem, a co przyczyną? Zaprzeczyć się nie da, że materializm coraz bardziej naciera z wszystkich stron, że niewiara coraz szersze ogarnia koła — lecz dzieje się to głównie dlatego, że społeczeństwa coraz mniej posiadają odporności, gdyż duch ich zatruty przez złą literaturę.

O ten zanik ideałów i tę utratę wiary przed sąd powołać trzeba głównie **powieść** nowoczesną. Ona upoiwszy swoich czytelników niby haszyszem, tępyimi ich uczyniła na wszystko co wzniosłe i szlachetne, tak że nie dla nich już kwitną kosztowne owoce tego życia, zasadzone dla nas ręką Bożą, t. j. **pokój, radość i szczęście**. W ich duszy rwie się nieć łączności z Bogiem, modlitwa wydaje im się oschłą, słowo Boże, t. j. kazanie, choćby najkrótsze, staje się im nudnem, książka umoralniająca, podnosząca na duchu, niezrozumiałą; **bo czyż Bóg,**

**niewysłowna czystość, może pozostawić Swój obraz tam, gdzie goszczą brudne wyobrażenia?** Jakże pusto musi być w takich duszach!

Śmiało można powiedzieć, że **powieść współczesna powoduje odchrześcijanienie świata**, gdyż apoteoza zmysłów niezgodna jest z wzniosłą nauką Chrystusa, bo ją wręcz zabija. Im dłużej trwać będzie wpływ literatury dekadencckiej, tym więcej będzie niewierności wobec Kościoła; on bowiem ludziom zmysłowym nie na rękę, bo niepokoi czasem ich sumienie.

Przez współczesną powieść przemycają się prądy destrukcyjne. Nieprzyjaciele wiary nie potrzebują się wcale silić, żeby ją tępić; powieść nowoczesna za nich dokona dzieła zniszczenia. Ten, któryby się może wahał wziąć do ręki książkę wręcz antyreligijną, ten dla którego filozofia jest niezrozumiałą, a dzieła uczone za nudne i za ciężkie, wchłania z tego co najgorsze właśnie przez powieść, a że nie bez skutku, o tem przekonują nas fakty. Nie tylko jednostki doprowadza nieraz zła książka do zbrodni, więzienia i pod gilotynę, lecz i całe narody wskutek tego kariowacieją i w zgniliznę moralną popadają.

Czyżby jeszcze chciano w nas wmówić, że **oświata robi wielkie postępy skutkiem „czytania” ogółu**, tyle a tyle bowiem tysięcy — nawet milionów — tomów powieści nowoczesnych przeczytanych jest każdego roku. Otóż właśnie takie bezmyślne czytanie powieści, po-

budzających tylko zmysły, pozbawia człowieka jasności sądu i czyni go niezdolnym do pracy umysłowej i wszelkiego wysiłku ducha. Książki wzniosłe, będące wynikiem prawdziwego natchnienia, napisane przez autorów z łaski Bożej, zalegają półki księgarskie i pył zapomnienia je okrywa, a chociaż czasem są czytane i przez amatorów nowoczesnej powieści, których zniewala do tego konieczność, ambicyja lub inne okoliczności — jednak wątpić należy, czy to czytanie jest dla nich prawdziwą uczcią duchową.

Z powyższych wywodów można tylko ten wniosek wyciągnąć, że stanowisko nasze wobec modernistycznej powieści, jako katolików i Polaków, w żadnym razie nie może być bierne, ale wręcz odporne, że zwalczać ją trzeba na każdym kroku i drugich od niej strzedz. Gdy lepsza część naszego społeczeństwa zabierze się gorliwie do pracy, natenczas i zgubne prądy nowoczesne utracą nieco ze swej mocy, świat chrześcijański otrząśnie się ze swych naleciałości pogańskich, mniej będzie katolików z imienia tylko w naszym narodzie; przynajmniej idealizm znowu weźmie górę nad materyalizmem; stąd wołać trzeba nieustannie: **precz z wszystkim** co jest złe, półśrodki nie wystarczają, — ze złem paktować nie wolno! Najwyższy czas walczyć przeciw wszelkim ustępstwom, gdyż do czego świat wreszcie dojdzie! Żadnego hamulca już nie będzie dla bezwstydu. Powieść współczesna, znajdujaca najliczniejszą

klientelę wśród kobiet, stworzyła kobiety autorki, urągające w opisach wszelkim zasadom przyzwoitości, przesadzające w tem nawet mężczyzn. Naturalną kolejną rzeczy, coraz bardziej będą się przyjmowały w społeczeństwie idee wolnej miłości, bezwyznaniowość i anarchia pojęć, jeżeli się tym wpływom przeciwdziałać nie będzie; a to, co do tego czasu jeszcze jest wyjątkiem, stanie się regułą. Czułość nasza nie powinna więc ustawać, literatura modernistyczna bowiem nie dała jeszcze za wygraną!

Na Zachodzie rozwija się w rozmaitych kształtach hołd przyrody; niebawem nowe formy dojdą i do nas i będziemy mieli nowy wybuch „rodzimej twórczości”. Futuryzmem nazywa się najnowszy kierunek w literaturze, (oczywiście w powieści zdobywający najtrwalszy grunt), który wziął sobie za zadanie **zerwać zupełnie z przeszłością** — nie tylko z religią chrześcijańską, ale ze wszystkim, co jest w y k w i t e m tej religii, co było wzniosłem, pięknem i wielkiem w życiu jednostek i w życiu narodów: z ich historią, literaturą, pamiątką, tradycją, ze wszystkim, co było ich sławą i dumą, oraz pokrzepieniem i co zaprowadziło niejednen zbłąkany umysł napowrót do źródła nadprzyrodzonego, najczystsze go, z którego wzięły początek tęcze we blaski ziemskie, t. j. do religii Chrystusowej.

Cóż tedy futuryzm chce postawić na miejsce zburzonych ołtarzy? jakież ideały?... go-



rażkową gonitwę za wszystkim, a to jest właśnie brakiem ideałów. Wysławiać chcą anarchizm, chyżość wynalazków, bieg automobilu, olbrzymią nowoczesną technikę, gorączkę wielkomiejską dzienną i nocną — a burzyć biblioteki, muzea, zwalczać moralność, lub jak ją z przekąsem nazywają „moralizm“, i t. p. i t. p. Ich bohaterowie to siłacze, sportsmeni. I taką to literaturę nazwą postępową! Tych zaś, którym się i ten rodzaj zdawać będzie niewystarczającym, (bo głód sensacyi, nigdy nienasycony równa się pragnieniu pijaka), częstuje nowsza literatura prozą poetyczną (!) Czarnej Rasy! I ten wybryk literatury kulturalnej znajdzie amatorów. Przyciągać będzie zmysłowość zwierzęcą, bezceremonialność, brutalność... gdyż nowoczesny krytyk raczy to nazwać czyistością uczuć i pojęć. I ten jest może **najgorszym** ze wszystkich podstępnych wymysłów, którymi odwieczny nieprzyjaciel pragnie usidlić dusze ludzkie: „**że nieczystego nic nie ma**, gdyż to, co Pan Bóg stworzył nie jest ani brzydkiem, ani brudnem — że niewstydlivość jest raczej prostotą i szczerością!“ Tym najprzewrotniejszym z sofizmatów spodziewają się najwięcej ludzi obalamucić, boć ludzie nie są aniołami, natura ludzka ciągnie ich do złego, więc pohoŋnie przyjmą wskazówki takie, które sumienie usypiają, i cieszyć się będą, że mogą wszystko czytać, nie czując nawet wyrzutów sumienia.

Nietylko ciemne tłumy upaja obecnie sen-

sacya, lecz również i n t e l i g e n c y ę, która skutkiem tego popełnia wybryki, graniczące z barbarzyństwem. Czy można zaliczyć do rzędu ludzi kulturalnych tych inteligentów warszawskich, którzy sobie sport urządzili z biednych obłąkanych, albo damy paryskie, bawiące się w pogrzeb, lub bogaczy amerykańskich, udawających żebraków w łachmanach i szydzących z ubóstwa?

Sensacya w literaturze, sensacya w życiu! Rozmowa najciekawsza wtedy, gdy jej osiá jest sensacya i skandal, choćby i przez to poróżnić małżeństwo, lub uczciwego człowieka pozbawić czci i honoru!

Jeżeli codzienne spokojne życie, jeżeli dzień, zapełniony obowiązkiem, oraz uczciwa rozrywka już ludzi zadowalniać nie będą, więc do czegoż to ostatecznie doprowadzi?

Jakaż to różnica między społeczeństwem z przed trzydziestu laty a dzisiejszem! Lecz nam może tylko trzeba będzie lat nie wielu, a nie poznamy społeczeństwa naszego; ci zaś, co się ocalą z potopu, ręce załamywać będą nad tonącymi, których już uratować nie będą mogli. Czy ten smutny horoskop jest może fałszywy, lub przesadzony? Oby tak było!... Wszakże, gdy kamień leci na dół, nikt go nie zatrzyma, on runąć musi w przepaść — gdy kula śniegu się toczy z góry ku nizinom, zamienia się w lawinę, druzgocącą i porywającą wszystko po drodze. A zgubnych wpływów złej literatury, wzmagających się z przeraża-

jącą szybkością, nie będziemy się obawiać? Jeżeli ich nie powstrzymamy, porwą za sobą cały naród, zadając mu śmierć rzeczywistą — **bo czyż ten naród żyje, który gnije moralnie!**

Czczymy pamięć Piotra Skargi! Niejedno serce ścisnie się żalem niewysłowionym na myśl, że trzysta lat temu nasi przodkowie nie usłuchali proroczych ostrzeżeń jego; a więc teraz przynajmniej nie bądźmy głuchymi, gdy woła na nas z za grobu. Wierzmy temu prorokowi, że „zły zasiew, tylko złe owoce rodzić może”. On widocznie czuwa teraz nad nami, gdy nam grozi zagłada ostateczna. Pod jego wezwaniem założone zostało we Lwowie Towarzystwo, które wzięło sobie za cel zwalczanie złego piśmiennictwa a szerzenie dobrego. Chociaż nie każdy może należeć do tego Towarzystwa, jednak wszyscy w tym samym duchu działać możemy. Jeżeli każdy, komu jeszcze imię Polaka jest drogie, stanie pod sztandarem Piotra Skargi, wtedy możemy być pewni zwycięstwa.

Od czego tedy zacząć, ponieważ trzeba walczyć na wszystkie strony?..... W każdej wojnie potrzebni są wodzowie. W walce ducha stawają na czele ludzie wykształceni, inteligencya. Oni wskazują innym drogę, lecz..... mówią, i to słusznie, że każdy powinien naprawę zacząć od siebie. I w tym wypadku inteligencya powinna najprzód wymieść stajnię Augiasza u siebie. Myślę, że takie osoby odetchną nawet

z całą swobodą, gdy uczują, że czysto jest w ich duszy, ich sercach i domach; że ich dzieci, służba, domownicy będą otoczeni czystą atmosferą i że ich zdrowiu moralnemu nie będzie zagrażało żadne a żadne niebezpieczeństwo. Był to bowiem błąd zasadniczy, że zabraniano złej lektury tylko ludowi i młodzieży, a inteligencya nie robiła żadnych ograniczeń dla siebie. Czyżby człowiek wykształcony w istocie mniej był dostępny złym wpływom lub pokusom? Rzeczywistość mówi inaczej. Potrzeba tylko wziąć w rękę pierwszą lepszą gazetę, aby się przekonać, że inteligent zdolny jest popełnić te same zdrożności, co człowiek nieoświecony. Inteligencya zatem musi wpierv wyzwolnić swój własny organizm z pod jadu literatury nowoczesnej, jeżeli zamyśla wszczepiać zdrowie moralne społeczeństwu, zakładając biblioteki publiczne, lub kierując nie mi. Natenczas i sumienie cenzorów bibliotek stanie się bardziej wrażliwe, i nie będą brali cokolwiek im kto narzuci, zasadzając całą ambycję na wielkiej liczbie egzemplarzy najnowszych wydawnictw. Wielka szkoda, że ludzie nie uchwycą każdego pomysłu wszechstronnie, zanim się zabiorą do przeprowadzenia go. Często wystarcza im maksyma: „Kiedy tak wszyscy robią, więc tak musi być dobrze”. A więc, ponieważ w Paryżu, Berlinie i innym modnym „Babilonie”, mają biblioteki, zawierające kilkasettysięcy tomów (najrozmaits-

szego rodzaju, chociażby i nie najgrubszą pornografię, lecz w każdym razie sprzeciwiające się zasadom chrześcijańskim), dla czegoż mybyśmy sobie nie mieli pozwolić na kilkadziesiąt tysięcy! Zapewne, że w takiej bibliotece będą i poważne i dobre dzieła, może i bardzo dobre, lecz komu wpadnie w rękę chociażby jedna książka demoralizująca, dla tego straconą być może korzyść kulturalna wszystkich innych dobrych dzieł.

U nas niektórzy uważają za wystarczający cel kulturalny pielęgnowanie języka ojczystego, co jest jednostronnem pojęciem kultury. Każdy, czy to Polak, czy Francuz, Niemiec, Rosyanin i t. p. znający dobrze swój język, może być bardzo niekulturalnym. Sam język nie uratuje narodu, gdyż z upadkiem jego i język przepadnie. Języka można się przecież nauczyć, chociażby i książek nie było wiele, lecz za to doborowe.

Im dogodniejsze warunki biblioteki publicznej, tym zgubniej może ona działać, jeżeli się do niej wprowadza książki bez wyboru. Amerykańska autorka Dorothy Dise podnosi głos ostrzegający: „Pochłanianie romansów bez wyboru, jest zgubne dla moralności i zdrowych poglądów. Pod tym względem publiczne bezpłatne biblioteki są nieomal tak samo zgubne, jak ewentualnie bezpłatne szynkownie lub jaskinie palaczy opium“. — Niema żadnej potrzeby zaopatrzenia bibliotek w tyle tysięcy książek, najdłuższe bowiem życie ludzkie starczy

zaledwie na kilkaset, jeżeli je się chce tak przeczytać, żeby korzystać z tego odnieść.

Lecz nietylko względem bibliotek nie wolno inteligencyi zająć biernego stanowiska — jeżeli chce swoje zadanie spełnić — **jest ona równie odpowiedzialną za teatr**, za tolerowanie tej zgangrenowanej nowoczesnej literatury dramatycznej. Teatr jest czynnikiem bardziej wpływowym niż książka, gdyż tam nie przemawia martwa tylko litera, bo namiętności rozgrywają się przed oczyma widza z plastyczną realnością i wciskają się do jego duszy wszystkimi otworami zmysłów. Złe instynkty, które może już były przysypane popiołem zapomnienia, rozdmuchują się na nowo i wybuchają nieraz płomieniem.

Jakie stanowisko zajęła nasza inteligencya wobec nowoczesnego teatru — tego teatru, który słusznie ktoś nazwał „szkołą przygotowawczą zepsucia“, o którym paryski „Matin“ powiedział, że jest „rozsadnikiem zepsucia?“ Na to pytanie odpowiem: b i e r n e (z małymi wyjątkami). Biernie pozwala na to, że dają najgorsze sztuki — biernie się zachowuje w teatrze (zamiast go opuścić), gdy na taką sztukę trafia — biernie przyjmuje (miasto protestować) recenzje teatralne, chwające sztuki najniemoralniejsze. To też dyrekcyje teatrów, licząc na ową bierność publiczności, żadnymi względami się już nie krępują i doczeka się może świat tego, że z teatru zniknie wszelka kultura.

Wobec tej fali zwyrodniałej beletrystycznej literatury, tak gwałtownie w rozmaitych formach z wszystkich stron napływającej, wobec tak zepsutego gustu literackiego wszystkich warstw społeczeństwa, wobec tych mas łaknących sensacji, czy możemy jeszcze mieć nadzieję, że się otrząśniemy kiedykolwiek z tego, co nam narzuciły żywioły, wrogie naszej religii i narodowości? Albo, czy już nigdy nie odtrącimy płodów ducha zatrutego, płodów pochodzących od autorów zdeprawowanych, wykolejonych, tonących w nirwanie, nie mających pojęcia o etyce, a częstokroć pozbawionych rozsądku? Czy publiczność czytająca już zawsze będzie przebywała w takim towarzystwie, jakie jej narzucają tacy autorowie? Niejedna osoba nie „zniży się“, ażeby rozmawiać z drugą, chociaż szacunku godną, lecz — jak jej się zdaje — mniej dobrze wychowaną, albo niżej urodzoną od niej, a nie uważa za użyczenie swej godności obcować z osobami, które jej autor nikczemny narzuca. Ci „bohaterowie“ zwyrodniałej powieści albo sztuki teatralnej nie tylko wchodzi do domu, lecz wstępują do duszy, bratają się, tworzą jedno z nią, nawet rządzą nią, tyranizują ją!...

Czy więc wobec takiego stanu rzeczy, można się jeszcze spodziewać wyzwolenia od upadłej literatury?....

Ocknęli się już niektórzy, praca w tym kierunku zainaugurowana, potrzeba tylko, żeby



ludzie dobrej woli się wspomagali w niej stale i z wytrwałością, coraz szersze koła do tej pracy wciągając, a wysiłki te bezowocne nie będą. Autorowie niesumienni zawsze będą, lecz któż nas zniewoli do czytania ich książek? Świat w skrytości tęskni za czemś lepszym, chciałby wydostać się z tego piekła pesymizmu, zgrzytu, z tych ponurych, przygnębiających ciemności. Więc niechże przynajmniej spróbują, gdzie też człowiekowi lepiej, czy w dusznej atmosferze, napełnionej zabójczymi miazmatami, czy też na wolnem świeżem powietrzu, pełnem balsamicznych woni, wśród przestrzeni, gdzie unosić się można, hen pod obłoki!.....

Z takich sfer swobody nie ma się chęci wracać do ponurego więzienia — tak samo, od literatury podniosłej, zdrowej, jędrnej, niepodobnem będzie czytelnikowi przejść do brudnej, zatruwającej organizm. Dziwić się będzie sobie, jak mógł dawniej mieć upodobanie w lekturze, tak mało odpowiedniej godności duszy ludzkiej.

Więc powrót do dobrej książki dokonacudu.

## V.

### Dobre książki

mają wyrugować złą lekturę.

Lecz jakaż to książka będzie rzeczywiście zdolną wyprzeć tego towarzysza wstrętnego, w brudach i łachmanach, wiodącego po manowcach, ciągnącego do przepaści?... w jakiej szacie powinna nam się pokazać? Jaka jest jej istota?...

Szata powinna być pociągająca, ale dla kogo?... dla oczu czystych, które zwykły od szarzyzny ziemskiej szukać wypoczynku dla siebie w lazurach niebieskich. — Istota niech posiada siłę, lecz nie druzgocącą, tak jak tamte książki, złe — tylko siłę życiodajną, krzepiącą ducha.

Zdawaćby się mogło, że o dobre książki także nie trudno wobec powodzi piśmiennictwa, którem jesteśmy obecnie zalani. Lecz i pomiędzy temi książkami trzeba jeszcze zrobić wybór, gdyż z nich, jedne są dobre, lub mają nawet tylko pozór dobrych, a inne są lepsze lub i najlepsze. Dlaczegoż

więc nie mamy szukać tych **najlepszych**? Jeżeli pomiędzy żywnością czynimy wybór i sięgamy zawsze (gdy tylko można) po to, co najwięcej dodaje siły ciału i najpewniej przyczynić się może do podtrzymania życia, to tem większą troskliwością powinniśmy być przejęci, gdy chodzi o pokarm dla duszy.

Są książki, odpowiadające wymaganiom sztuki, cieszące się wielkim rozgłosem, mające znamię moralności bez skazy, a jednak, wpływ ich równa się zeru, a nawet jest ujemnym.

Mam tu na myśli „**książki bez Boga**“.

Jakto, czy każda książka musi mówić o Bogu? — powie niejeden. Odpowiadam na to: tak! Rozumie się, niema tu mowy o książkach kupieckich i innych zawodowych, tylko o tych, które należą do literatury właściwej, t. j. pięknej i naukowej. Niekoniecznem jest, żeby Imię Boga było często wspomniane, lecz niech autor daje nam odczuć, że jego światopogląd zgadza się z naszym, że on wierzy w Boga, nie mglistego, panteistycznego, lecz osobowego, objawionego, który mieszka w sercach naszych, którego widomym przedstawicielem jest Kościół katolicki. Czyż nas katolików mogłaby zadowolnić etyka niechrześcijańska, bez wyznaniowa! od niej do etyki przewrotnej, demoralizującej tylko krok jeden. U nas nie brak literatury bezwyznaniowej, tej literatury, będącej wykwitem **pozytywizmu**, który odłączył najprzód religię od życia, a potem, co było natu-

ralnem następstwem, pozbawił część ludzkości religii, zastępując ją racjonalizmem i nareszcie empiryzmem: rozum, rozsądek i doświadczenie zastąpić miały Objawienie i intuicyę. A ten rozum ludzki jakżeż nisko wtedy zeszedł, gdy się oderwał od mądrości Bożej!

Pomiędzy pisarzami tego pokroju spotyka się także natury szlachetniejsze, którym w zaraniu życia przyświecały jeszcze ideały chrześcijańskie i przeszły im niejako w krew i kości, tak, że nie mogli ich zupełnie wyrugować z duszy, mimo nawet jawnego odstępstwa od wiary ojców. Przeszczepili ci pisarze to co mieli z chrystyanizmu na grunt bezwyznaniowy; jest więc u nich patryotyzm, sprawiedliwość, miłość bliźniego, litość dla maluczkich; ponieważ jednak etykę swoją odłączyli od źródła pierwotnego, stworzyli co najwyżej Nietzscheańskich nadludzi. Ta teorya nadludzi usidliła też wiele kobiet. Poczwały się powołane do pióra i zdawało im się, że świat odrodzą, a tymczasem w locie swoim spaliły ikarowe skrzydła i spadłszy nieraz bardzo nisko, innych pociągnęły za sobą. Śmiało można powiedzieć, że **literatura bezwyznaniowa stwarza także same społeczeństwo**. W książce rozwija się wszystko bardzo gładko, chociaż i bez Boga, lecz w rzeczywistości tak nie jest.

Prawda życiowa wielokrotnie nas przekonyuje o tem, że przewodnikiem na drodze życia nie może być ktoś, równie słaby i błędzący, jak my, lecz ktoś, co stoi wysoko nad nami; musi

to być najwyższa Prawda i Siła. Zadaniem naszym tedy powinno być *wyszukiwać* dzieła, w których idea Boża przesuwa się jako nić przewodnia przez myśli, uczucia i sprawy ludzkie, przemawiając do nas: Idź i czyn! nie zesłabniesz w drodze, bo Pan będzie pracował z tobą i walczył za ciebie.

Lecz, czy nowsze piśmiennictwo posiada takie książki, czy katolicka literatura z lat ostatnich może się poszczycić dziełami wartościowymi? Zapewne, że może, tylko że trudno je znaleźć, bo gazety, będące po większej części kierowane ręką ludzi przewrotnych lub obojętnych dla dobrej sprawy, nie głoszą dla nich takich hymnów pochwalnych, jak dla złych książek. **Lecz czemuż katolicy tak mało o nich mówią?** Tak bogatą i wartościową jest katolicka literatura, że protestanci zaczynają się garnąć do niej. Akatolickie czasopismo „Zukunft” mówi: „W Niemczech istnieje obszerna katolicka literatura, a my o tem nic nie wiemy. Tak nie może być na przyszłość”. Słusznie odzywa się głos katolicki: „Ilużto z nas zachwyca się np. żywotem św. Franciszka z Asyżu, napisanym przez racjonalistę Sabatier’a, który mimo całą swą cześć dla Świętego, pojął go jednak i przedstawił fałszywie — a nie zna życia tego Świętego, napisanego przez Jörgensona i nie czyta innych prześlicznych dzieł tego katolickiego poety!” Wprawdzie Jörgenson nie jest Polakiem, lecz i Sabatier nim nie jest jak wielu innych autorów, których wstretne dzieła

mają poczytność u naszego narodu. Więc nie byłoby żadnym występkiem, gdybyśmy raz po raz przynajmniej korzystali z katolickiego skarbcza obcych literatur. Naród nasz, zasiłwszy się u tych czystych źródeł, wydałby większą liczbę autorów, szukających natchnienia we wzniosłych prawdach i niezrównanem pięknie katolicyzmu.

Te prawdy i piękno, nietylko że za mało są wyzyskane przez samych katolików, ale wielu jest nawet takich, którym się wydaje, że „tendencya katolicka” — jak oni to nazywają — obniża wartość dzieła; co najwięcej, przyznawają, że dla prostaczków takie dzieła przydatne i stosowne, a nie dla inteligencji. Po głębszem zastanowieniu przekonałaby się jednak ta inteligencya, że **właśnie w katolicyzmie jest niewyczerpane źródło natchnienia dla autora.** Jeżeli on szuka p r a w d y, znajdzie w religii i Kościele katolickim taką, która pozostała nienaruszoną, niezmienną przez tyle wieków — chce zaczerpnąć mądrości, niech otworzy Pismo św., księgi Ojców Kościoła — chce przejąć się n a t c h n i e n i e m (pisząc poezję), niechaj psalmy, treny, hymny, modlitwy, mowy i wzniosłe myśli, tryskające z życia i dzieł mężów, prawdziwie katolickich, świętych, nauczą go lepiej rozumieć i wypowiedzieć piękno nadprzyrodzone, piękno w naturze, lub złożone przez Boga w duszy ludzkiej. — Uczony, piszący h i s t o r y ę, niech się zatapia w historyi Kościoła, w tem najwięk-

szem religijno-politycznem dziele historyi. — Autor s o c y o l o g może czerpać zapał w dziełach miłosierdzia chrześcijańskiego, zaczynających się za czasów apostołskich, a trwających nieprzerwanym ciągiem do obecnej chwili; w tych dziełach, wcielonych w dyakonach, w zgromadzeniach zakonnych, w osobach wysokiego pochodzenia, a zniżających się do maluczkich; w nędzarzach dzielących się groszem wdowim i w Siostrach Miłosierdzia doby dzisiejszej w szpitalach i na polu bitwy, i wreszcie w katolickich działaczach społecznych obecnej doby, pracujących na każdej niwie. — Kto chce przedstawić b o h a t e r s k ą n i e u s t r a s z o n ą o d w a g ę, pojmowaną w duchu katolickim, temu przesuną się przed oczyma całe szeregi męczenników, krzyżowców, zakonników, misyonarzy, (mężów i niewiast) krzewicieli wiary i zarazem pionierów kultury wśród dzikich narodów z narażeniem własnego życia. Wielka szkoda, że działalność misyonarzy tak mało u nas znana. — A w naszym własnym narodzie nieprzeliczone zastępy bohaterów, których do boju prowadziły dwie wielkie cnoty chrześcijan-katolików: Wierność dla Kościoła i Miłość Ojczyzny. — Dawny, skrzętnie pracujący Benedyktyn nareszcie, jakież to sympatyczny typ u c z o n e g o. — Czy może „Psyche“, ta niby nowa zdobycz myślenia ludzkiego, jest wykluczoną z literatury katolickiej?... dziwne pytanie! można odpowiedzieć. Toć królestwem religii jest właśnie k r a i n a d u c h a; znane



jej są zarówno zachwyty tych, którzy do trzeciego nieba zostali porwani, jak skruszone westchnienie syna marnotrawnego; dla ducha katolickiego jest równie zrozumiałą i cenioną granitowa myśl wielkiego ducha bez skazy, który przeszedł przez próby życiowe, jak nieśmiały, pełen prostoty głos, odzywający się w sercu dziecka niewinnego.

Zarzuci może kto katolicyzmowi, że gubi się tylko w abstrakcyach, że życie rzeczywiste jest mu obcem i obojętnem.... O nie! duch katolicki pełen prostoty trzeźwo patrzy na każde zjawisko życiowe i zawsze wie, jak sobie postąpić, aby nie ubliżyć swojej godności, a jednocześnie siać naokoło siebie szczęście i zadowolenie. Zajmuje się życiem codziennem, lecz nie widzi w niem szarzyzny.

A miłość dwojga dusz dla siebie przeznaczonych, czy może jest wykluczoną z dziedziny literatury katolickiej? To jedna pomyłka więcej. Właśnie Kościół katolicki zna apoteozę dwojga wybranych, połączonych ze sobą węzłem małżeńskim. Chrześcijaństwo, które stworzyło to szczęście małżeńskie i rodzinne, zdolne też przedstawić je w sposób pociągający i uroczy. Inny to będzie obraz miłości dusz, niż ten, który stawia przed oczy zwyrodniała erotyka.

W naszej własnej literaturze, aż do niedawna, wawrzynem wieńczeni byli zawsze ci, których dzieła przenikał duch kato-

licki, a autorzy bezbożni, lub pomijający etykę chrześcijańską, zyskiwali rozgłos li przez sztuczną reklamę; to też sława ich była herostratową i przemijającą.

Gdy się rozejrzemy w literaturze w s z e c h ś w i a t o w e j, zobaczymy, że najświetniejsze gwiazdy zabłysły właśnie pomiędzy autorami katolickimi lub tymi, którzy hołdowali zasadom katolickim, nieraz i bezwiednie. Komuż z wykształconych nie są znani owi mistrzowie słowa i ich dzieła, chociażby z nazwiska tylko? Począwszy od wspaniałych hymnów *Te Deum*, *Lauda Sion*, *Stabat Mater*, od wielkich Ojców Kościoła, śś. Grzegorza z Nazyanzu, Bazylego, Jana Chryzostoma, Augustyna, Hieronima, Tomasza z Akwinu, przychodzimy w późniejszych wiekach do Dantego, Petrarki, Torquata Tasso, Camoensa, Lope de Vega, Calderona, św. Teresy, Racine'a, Boileau'a, Bossueta, Fénelona, Chateaubrianda, Lamartine'a, Ludwika Veuillot'a i wielu, wielu innych.

Po stronie niekatolickiej niektórzy tak dalece się zbliżyli do naszej religii, że o nich przypuszcza się, iż byli katolikami -- u najślawniejszych z nich właśnie najczęściej katolik spotyka się ze swemi zasadami i zdaje mu się niekiedy, że przebywa jakoby we własnej krainie ducha. Nazwijmy chociaż kilku z nich: Szekspira, Milтона, Byrona, dalej Schillera, Göthego -- wszyscy oni nie mogli się nieraz oprzeć wpływom katolicyzmu. Wyższość

katolickiej literatury pełnej życia, treści, ciepła i światła, nad jałową protestancką lub przewrotną antychrześcijańską udowadnia świetnie Aleksander Baumgartner<sup>1)</sup>), historyk literatury wszechświatowej.

• Idźmy jeszcze dalej. Nawet w dekadenceckiej literaturze, jeżeli znajdziemy jaki przeblask rozweselający serce, jaką postać świetlaną, możemy być pewni, że one są wytworem myśli katolickiej, która ślady swe z dawnych lat zostawiła w sercu autora, obecnie zepsutem, a niegdyś czystem.

W ostatnich czasach rozwinęła się też u nas **literatura ściśle religijna**, która jest literaturą „*par excellence*“, gdyż najlepiej spełnia kulturalne zadania kształcenia rozumu, woli i serca. Ona zbliża nas najwięcej do najwyższych ideałów i rozwiązuje najważniejsze zagadnienia życiowe, odkrywając nam źródła bytu i cel ludzkości. Ona harmonizuje ideały narodowe z religijnymi. Pomiędzy dziełami tego rodzaju znamienne miejsce zajmują apologetyczne, które wynikły z potrzeby czasu. Od początku chrześcijaństwa wiara nie była z tylu stron napastowana co teraz. Więc, gdy Bóg przez Kościół, przez sługi swoje, podaje nam broń w rękę, będziemy ją odrzucać i z własnej winy narażać się na utratę wiary, tego skarbu najdroższego, ażeby go może nigdy już nie odzyskać?

---

<sup>1)</sup> Baumgartner Aleksander, S. J. Die Stellung der deutschen Katholiken zur neueren Literatur.

**Czy w naszym narodzie literatura dobra, poważna, szlachetna i katolicka jest ceniona?...** Ogół raczej obojętnie względem niej się zachowuje. Można jednak mieć nadzieję, że wysiłki katolików wszystkich krajów, w celu szerzenia dobrego piśmiennictwa, wpłyną i na nas dobroczynnie. Na inteligentną młodzież wyższych szkół — tę młodzież, która kiedyś przodujące, zajmie stanowisko w społeczeństwie — są oczy naszych katolików zwrócone. Ci młodzieńcy wierzący, żyjący podług zasad wiary i praktykujący ją, są jakby zapowiedzią lepszej przyszłości. Nie jest to bynajmniej optymizmem spodziewać się, że oni podniosą literaturę naszą z upadku, w który została wtrąconą przez wrogów naszej wiary i narodowości i przez bierną obojętność naszego społeczeństwa. Ta młodzież, rozżalona za wydarcie jej ideałów, woła przez usta jednego ze swoich rzeczników dobrej sprawy: „Społeczeństwa przestały marzyć, kochać i bić się w piersi za swoje przewiny; rozwalily prastare, odwieczne ołtarze w swej duszy, a na ich miejsce przyszło oświecenie ośmnastego i dziewiętnastego wieku, płytkie, egoistyczne, szyderskie oświecenie. Padły hasła, że trzeba raczej o sobie myśleć niż o Bogu i o tąd e k o n o m i a wysunęła się na plan pierwszy. Nic nam w zamian nie dali za wydarte serce, choć głoszą, że nauczyl nas myśleć, a zostawili nam jedyną na świecie prawdę: samolubny, wszechwładny egoizm ekonomiczny! Dziękujemy im

dzisiaj za to naszymi łzami krwawemi i pustką bezmierną w piersi i rozpaczą, która nas trawi i zabija, niemocą twórczą i brakiem jakiegokolwiek wiary! Ten byt z dnia na dzień, w sieroctwie duchowem, stał się nam męką nie do zniesienia! Młodzi i lepsi z krzyżem pójdziemy na barykady ducha! Zdobywać będziemy to, z czego nas okradły wieki — wiarę!“

Niech głos Franciszka Coppée'go także odbije się echem w naszym społeczeństwie: „O! Niech przyjdzie Siewca przypowieści i niech rzuci pełnemi rękami zasiew rezygnacyi i chrześcijańskiej solidarności w ten świat współczesny, ponury i upadający, w którym rośnie zgorszenie i oschłość serc u góry, a bunt i rozpacz u dołu. Jakie szlachetne zadanie i jakie pole zasług stoi otworem dla młodych pisarzy i poetów; którykolwiek może, niech się odzywa; jako nowy Chateaubriand niech nawołuje, stanąwszy za zwiastuna odrodzenia wiary!“

Gdy będzie więcej polskich pisarzy, szczerze katolickich, wtedy i u nas znajdzie się więcej miłośników dobrej lektury, a ideały w literaturze staną się ideałami społeczeństwa. Świat przewrotny chce nas przekonać, że jesteśmy tylko materją; więc brońmy się, ocalmy ducha! Niech dobra książka zyska znowu prawo obywatelstwa; czytajmy, rozszerzajmy ją, aby się ratować od potopu mate-

ryalizmu, chcącego nas już, już pochłonać. Lecz, aby ten cel osiągnąć, trzeba zacząć od młodzieży i dołożyć wszelkich starań, aby u niej wzbudzić zamiłowanie do dobrej literatury.

---

## VI.

### Literatura dla dzieci i młodzieży.

---

Czy i tu może być jakie niebezpieczeństwo, czy i tu wybór może być fałszywy?... Zdawałoby się, że każdy wychowawca zna swój obowiązek pod tym względem, że nawet autor lub księgarz wie, jaką wziął na siebie odpowiedzialność, pisząc lub ewentualnie sprzedając książki dla młodzieży. Powinnoby zadrzżyć ich serce na myśl, że przez ich opieszałość albo niesumienność mogłoby się dostać do rąk młodzieży to, co zbruka niewinną duszę dziecka, która niedawno wyszła z rąk Boga. Jakżeż często rodzice sami sobie przypisać muszą winę, gdy ich praca wychowawcza idzie na marne, ponieważ obojętnem im było, co wchodzi do duszy ich dzieci, młodszych czy starszych, przez lekturę. Jakiż zawód ich nieraz spotyka! Ta córeczka, rozwijająca się jak kwiatek, mająca kiedyś być ozdobą domu, i jak róża, co na drżących listkach swoich w kropelkach rosy odbija słońce — dorósłszy, tarza zwiędłe liście swoje w kurzu, zwarzona przez mróz, albo spalona przez wiatry gorące.....



Ten chłopczyk, ta młoda latorośl, mająca się zamienić w dąb silny, nieugięty, w którego cieniu rodzice spodziewają się znaleźć odpoczynek, gdy nadejdzie wieczór ich życia, zawiedzie także ich nadzieje; nie olbrzyma, lecz karła się doczekają, jeżeli wzrastać będzie w gruncie nieodpowiednim właściwemu rozwojowi.

Może powie niejeden, że niekorzystnie wpływa na młodzież nie sama zła lektura, ale więcej snadnie zły przykład kolegów i koleżanek. Prawda, lecz główną winowajczynią jest przedewszystkiem zła literatura, boć owi źli towarzysze są także zepsuci przez złe książki, a zresztą młodzież byłaby o d p o r n i e j s z ą na wszelkie zgubne ponęty, gdyby nie została pod wpływem bezbożnej albo demoralizującej literatury.

Jeżeli zła lektura tak ujemnie działa na rozum, wolę i uczucie osób starszych, cóż dopiero mówić o jej wpływie na dzieci i młodzież! Do umysłu młodego, niewyrobionego, powinno wchodzić światło jasne, mogące wskazywać drogę krokom niepewnym, ażeby ten umysł umiał rozróżnić między złem a dobrem, między tem, co go uszczęśliwia, a tem, co go do zguby prowadzi. Jeżeli **rozum** młodzieży zostanie przyćmiony zakopconym kagańcem fałszywych proroków, wtedy może już nigdy nie ujrzy słońca prawdy.

Nietylko rozum, ale i **uczucie, wola i wyobrażenia** młodzieży ponoszą szwank przez nie-

odpowiednią lekturę. Zamiast jędrnych, zdrowych, szlachetnych myśli, mętne wyobrażenia opanowują duszę; miłość dla rodziców, rodziny, znika; młode serce pragnie czegoś nowego, nieokreślonego, zwolna ulegając uludnym wpływom złego, które z książki doń się wciska paląciami literami. Dziwnem zaiste, że wielu wychowawcom wydaje się dekadenccka literatura wprost przeznaczoną dla młodzieży, gdyż rzekomo ją wprowadza w życie, czyni dojrzłą. A rzecz ma się wręcz przeciwnie. Lektura nowoczesnej dekadencckiej literatury nie wyrabia męznego charakteru, lecz go wprost łamie. Wszystko tam schlebia zmysłom, ubezwładnia ducha, czyni go niezdolnym do wysiłków, do zaparcia się siebie, przysłaniając cel wyższy człowieka, tak, że nareszcie w młodej duszy pozostaje jedyne pragnienie zadowolenia zmysłów. „Panem et circenses“ było krzykiem ludu rzymskiego, pozbawionego wszelkich szlachetnych uczuć i radości — teraz, nie chleba, lecz bogactw i zabaw woła młodzież dorastająca i pragnie ich za jakąbądź cenę. Życie całe upływa w oszołomieniu, a gdy się zbliży kres drogi doczesnej, wyrwie się z piersi okrzyk: „Cóż mi przyszło z życia?“ Okrzyk ten będzie gorzką wymówką dla tych, co nie strzegli duszy młodzieńczej od lektury, pozbawiającej wiary i cnót. Komu się zdaje, że przedstawiona tu jest młodzież w kolorach zbyt ciemnych,

niech spojrzy na cyfry przerażające, które podaje statystyka młodocianych przestępców, a będzie miał obraz jeszcze smutniejszy. U nas może tylko wyjątki dochodzą do tej ostateczności, lecz bądź co bądź i u nas młodzież karłowacieje, wzrasta bez ideałów, zamienia się w starców przedwczesnych.

Oby nasza młodzież jeszcze zrozumiała wołanie: „Młodzieży, ty nad poziomy wylatuj!” Chłubiłby się wtedy mogła nasza ojczyzna takimi synami. Oby nasze dziewczęta były kapłankami ogniska domowego, poświęcającemi się dla każdej dobrej sprawy!

Czy serce niejednej matki i niejednego ojca nie zabije żywiej na myśl, że się doczekają takich synów i córek? Dla takiej nagrody warto zadać sobie nieco trudu i strzedz swoje dzieci przed zgubną nowoczesną literaturą.

**Czy i tu znajdują się jeszcze sofizmaty?** Pewnie - - bo codziennie się rodzą, nowe wymyślają z podstępna rafineryą. Aż do znudzenia słyszy się, że młodzież musi złe poznać, aby go się ustrzedz w przyszłości. Gdyby to było skutecznym środkiem, musiałaby ta młodzież być samą niewinnością, bo nigdy tak nie była uświadomiona jak teraz. Jestto podobny środek, jak dawać dziecku niezdrowe pożywienie, aby je zahartować na przyszłe możliwe choroby.

Ażeby młodzież wychować w czystości obyczajów, potrzeba czego innego! Adam Korpka mówi: „Nasi dziadowie i ojeowie nie

mieli specjalnych uświadamiaczów, jednak umieli nieraz po bohatersku walczyć z przeciwnościami w życiu i bronić najświętszych ideałów ludzkości. Najlepsze uświadomienie, to otoczenie młodzieży w rodzinie atmosferą czystą pracy, poświęcenia i przykładu życia bez skazy; wpojenie w nią miłości bliźniego i wczesne zaprawienie jej do pracy społecznej<sup>1)</sup>.

Powołać się też mogę na oświadczenie dwudziestu biskupów w zbiorowym liście pasterskim z r. 1908 („O wychowaniu młodzieży”), że „pierwszym środkiem ochrony od złego jest moralne uczucie skromności, przez Boga samego na stróża dodane”... że „strzedz trzeba dzieci i młodzież przed książkami, które tę wstydlivość chrześcijańską obrażają i dopomagają do rozbudzenia się namiętności”.

We Francyi, na posiedzeniu „Akademii teologii moralnej”, w lutym 1912 r. pod przewodnictwem kardynała Vivès, wypowiedziano następującą tezę: „Błędem teologicznym jest, jeżeli się uważa zaznajomienie z występkiem (przeciwnym czystości obyczajów) i skutkami jego, jako lekarstwo przeciw pokusom. Środkiem do odwrócenia woli od przedmiotu pociągającego, nie jest bowiem stawianie go przed oczyma<sup>1)</sup>).

Czyż nie lepsze były czasy, gdy wystarczało, by odjeżdżającemu do szkół synowi,

---

<sup>1)</sup> Romans-Revue. (Guide général de Lectures).  
Directeur: Louis Béthléem.

ojciec dawał tę przestrożę: „Nie słuchaj, nie mów i nie czyń nic takiego, co byś się wstydził powtórzyć, lub do czego byś się nie śmiał przystąpić przed matką lub siostrą swoją“. A teraz... możeby ten chłopiec nie potrzebował się wstydzić przed matką, gdyż matki same takie książki czytają i do takiego teatru chodzą, gdzie się zabija wszelką wstydlivość — a przecież, człowiek i tem przewyższa zwierzę, że może się wstydzić.

Najpierwszym tedy środkiem do ustrzeżenia młodzieży od wpływu złych książek, jest dobry przykład rodziców i wychowawców. Jeżeli oni sami się powstrzymają od złej lektury, jeżeli się ani jedna zła książka nie znajdzie w domu, natenczas i młode pokolenie, oddychając atmosferą czystą, słoneczną w własnym domu, odrzuci także ze wstrętem dzieła podejrzaney wartości, wciskające się do niego z zewnątrz.

Większa część rodziców broni synów swych lub córki od lektury wprost demoralizującej, lecz bez skrupułu zachęca ich do czytania **romansów i wszelkiego rodzaju książek, wcale niestosownych dla ich wieku.** Romans, to nowa literatura dla dzieci i młodzieży. (!...) Dawniej nikt nie słyszał o tem, żeby młodzież czytała romanse, zanim dorośnie, a teraz dawają je 14-letnim, nawet 10-letnim dzieciom, nie myśląc o tem, jak wielką krzywdę im wyrządzają. W najlepszym nawet romansie dużo jest zmysłowości — i jakiż tego rezultat?...

Chłopiec lub dziewczę marzą teraz nie o tem, jak żyć dla drugich, tylko zakochani w sobie, szukają uwielbienia dla siebie na każdym kroku, a na gruncie miłości własnej nie zakwitną cnoty. Tym syrenim głosem w romansie młodzież oprzeć się nie jest zdolną, gdyż wola jej jeszcze miękka, chwiejna; doświadczenie życia nie nauczyło jej jeszcze, na czem prawdziwe szczęście się zasadza, więc łatwo się poddaje ułudom, że świat jest salą balową, na której tylko płaszać potrzeba, albo rajem, w którym czekają na nas owoce i kwiatki, i tylko rękę potrzeba wyciągnąć, by je uszczknąć. Może się matki obawiają, że córki nie dosyć wcześnie za mąż pójdą, jeżeli ich zawczasu nie zaznajomią ze sprawami miłosnemi — lecz nie z tej strony zagraża niebezpieczeństwo! Przeciwnie, dziewczę, zaprawione w wieku nieomal dziecięcym do flirtu, będzie poszukiwane do flirtowania, a nie do małżeństwa.

Z chłopcem nie inaczej. Nawet więcej jeszcze trzeba go bronić przed ułudą; on ma tyle lat przed sobą, zanim o hymenie myśleć może; więc w jaki sposób będzie zaspokajał te niezdrowe zachcianki, jakie czytanie romansów w nim rozbudziło? Czy o takim synu matka marzyła, gdy mu kołysanki śpiewała? — Czy o takim przyszłym młodzieńcu myślał ojciec, gdy z dumą patrzył na niego, jak pierwsze stawiał kroki? — Rodzice marzą o karierze dla synów; chcieliby, żeby szkoły jak najprędzej

ukończyli, a tu często promocya zatrzymana, bo chłopiec oduczył się skupiać uwagę i nauka mu się nudną wydaje. Matka chciałaby widzieć w swej córce przyszłą kobietę wykształconą więcej od siebie, czuje bowiem, że potrzeby czasu wymagają tego od kobiety; pragnie widzieć w niej kiedyś kobietę społeczną, pracującą dla dobra drugich ze zrozumieniem rzeczy — a tu córeczka jej, marzy o bohaterach romansowych i nauka mało ją obchodzi.

Niepokój i zamęt w duszy działają także niekorzystnie na nerwy i przyprawiają o sen namiętnych czytelników tej modnej lektury, gdyż zwykle przeciąga się to czytanie do późnych godzin w nocy.

Miłości i miłostek podsycać nie potrzeba; znajdują się one same. Aleksander Manzoni pisze: „Miłość potrzebna na tej ziemi, lecz będzie jej zawsze dosyć. Nie jest więc potrzebnem z trudem ją pielęgnować; bo pielęgnować ją, znaczy tam ją w y w o ł y w a ć, g d z i e z b y t e c z n a. Są inne uczucia, których moralność potrzebuje i którymi pisarz powinien coraz więcej przenikać dusze, jak zwłaszcza litość, miłość bliźniego, ofiarność“.

Przejęcie się takimi uczuciami jest prawdziwym przygotowaniem do stanu małżeńskiego, do pożycia szczęśliwego w doli i niedoli — czytanie zaś romansów przygotowuje rozwody. Nie można tedy inaczej nazwać jak karygodną lekkomyślnością, gdy rodzice i wychowawcy biernie się zachowują względem tego, co dzieci



lub młodzież czytają. Powinni oni przestrzegać, aby bez ich pozwolenia nie czytali, co im kto pożyczy; oprócz tego niech sami przejrzą dokładnie, co młodzieży można dać w rękę, nie polegając na zdaniu księgarza, który bynajmniej w pedagogię się nie bawi, gdyż jemu tylko chodzi o to, aby swoje książki sprzedać.

Pedagodzy uczciwi i wytrawni ostrzegają nie tylko przed nowszą literaturą zdeprawowaną, gdyż radzą zachować ostrożność nawet względem dawniejszych autorów, klasyków albo romantyków, wtedy gdy chodzi o młodzież. Przed kilku laty, na zebraniu pedagogów w Wiedniu, zwracano uwagę na to, że tacy koryfeusze literatury, jak Göthe, Schiller, Herder, Szekspir nie pisali wszystkich swych dzieł dla młodzieży szkolnej.

**Co nam tedy służyć powinno za kryterium, gdy wybieramy pisma lub książki dla dzieci albo młodzieży?**

Po pierwsze, muszą one być zastosowane do ich wieku; po drugie, powinny być takie, by ich celem było nie tylko dostarczenie godziwej rozrywki, lecz pouczenie i uszlachetnienie. A więc dla dzieci winna być literatura dziecięcą. Nasze czasy nazywają wiekiem dziecka, a tymczasem to biedne dziecko wyrrywają z jego królestwa i przesadzają je do krainy obcej. Dziecko z natury jest szczerre i otwarte, chętnie daje z tego co ma, więc po cóż je wprowadzać w świat samolubstwa

i intryg? Z drugiej zaś strony, jeżeli w niem już tkwią popędy zazdrości, zagarnięcia tego, co kto inny posiada, jeżeli się nauczyło kłamać, to nie poprawią go opowiadania o spekulacjach kupieckich, o fałszerstwach lub usuwaniu testamentów, o kopaniu dołków pod bliźnim.

Dziecku obce są miłości i flirty; ono łąnie miłością serdeczną a tak je uszczęśliwiającą, do rodziców, rodziny, przyjaciół, ono ma uwielbienie dla swego Stwórcy, Zbawiciela; religia i natura są mu poezją — a literatura obecna, niby dziecięca, każe dziecku flirtować niemal już w kołysce, pozbawiając je wszystkich szlachetnych uczuć.

Czyż przeciw takiej literaturze nowoczesnej nie powinniśmy stanąć do walki z całym arsenałem broni, t. j. odeprzeć ją przez literaturę prawdziwie dobrą? Arcybiskup Bilczewski odzywa się do młodzieży: „Dzisiaj książek i pism tak wiele, że wam nie wolno czytać nawet dobrych, tylko najlepsze“.

Wychowawcy winni skrzętnie wyszukiwać taką właśnie literaturę najlepszą, domagać się jej, lub jeżeli ona nas dzisiaj zawodzi, wrócić do literatury z wczoraj albo przedwczoraj.

Czytania powieści (z umiarkowaniem, rozumie się) nie potrzebujemy młodzieży zabraniać, lecz powieść nie koniecznie jest romansem; jest wiele powieści historycznych, lub też opowiadań na tle rozmaitych zagadnień życiowych, napisanych dla młodzieży. Powieść je-

dnak nie powinna stanowić j e d y n e j stawy duchowej; przeważać musi literatura poważniejsza. Po za dziełami naukowemi mamy jeszcze inne różnorodne, które młodzież może czytać z korzyścią i przyjemnością, n. p. opisy krajów naszych i obcych, pamiętniki i życiorysy sławnych ludzi, Świętych, uczonych, filantropów; dalej krytyki literackie, popularną filozofię chrześcijańską, piękną poezję, rozmaite problematy życiowe ujęte we formę odpowiednią dla młodzieży i przedstawione w świetle etyki chrześcijańskiej; a niepoślednie miejsce zajmować także powinny dzieła religijne, nie wyłączając wiadomości misyjnych.

W Krakowie wychodzi miesięcznik „Misy e k a t o l i c k i e”<sup>1)</sup>, bardzo dobrze redagowany, przeznaczony dla czytelników z inteligencji. Karty tego pisma są jakby nimbem otoczone, dla tego że je pisał misyonarz, którego życie równie idealne jak jego słowa, — ten prawdziwy „nadczłowiek”, który z pomocą łaski Bożej zapanował nad swoją naturą ułomną. Karty te wyszły z pod pióra misyonarki, o całe niebo wyższej od modnych bezwyznaniowych działaczek naszego wieku, u których słów dużo, a czynów dodatnich mało. Dziwna rzecz, że ludzie śledzą z interesem czyny haniebne, zachwycają się tem, co drugich unieszczęśliwia, sympatyzują nawet ze zbrodniarzem,

---

<sup>1)</sup> Misye katolickie. Kraków. Redaktor ks. M. Czermański.

a zimnymi ich zostawiają czyny heroicznej miłości bliźniego i poświęcenie się ideałowi Bożskiemu, który jest i naszym ideałem.

Misyje są także wymownem świadectwem żywotności Kościoła katolickiego, który ma siłę wydawać ze swego łona istoty tak uduchowione w wieku tak zmateryalizowanym jak nasz.

Pedagogia nowoczesna katolicka uznaje ogólnie doniosłość wpływu pism misyjnych. Jeden z profesorów gimnazjum luksemburskiego polecał swoim uczniom „Katholische Missionen” temi słowy: „Jestem za tem, żeby każdy uczeń studyował to wspaniałe wyposażone pismo. Ono rozszerzy jego ogólne wiadomości i wzmocni jego wiarę. Kto bez tego pisma przejdzie przez szkoły, ten dużo stracił pod względem idealizmu”. — Myślę, że słowa te można zastosować i do naszych polskich „Misyi katolickich”. I z nich — dodać jeszcze trzeba — młodzież może sobie przyswoić w łatwy sposób dużo wiadomości z dziedziny przyrody, geografii, ludoznawstwa, i dowiedzieć się o dawnych zabytkach i pamiątkach, bo i ryciny są tam dobre.

Więc różnaitość w repertuarze dobrej lektury - i nowszej także - dla młodzieży jest wielką, nasze albo obce literatury posiadają pod tym względem skarby niewyczerpane. Lecz tym wszystkim dobrym dziełom naznaczono taką rolę kopciuszka, że większa część ludzi nie ma pojęcia o ich wartości i ich wpły-

wie potężnym, umoralniającym i uszczęśliwiającym.

Nie ulega wątpliwości, że niejedna matka pragnie, aby jej synowie i córki nabrali zamiłowania do dobrego czytania i nieraz im podsuwa dobre rzeczy, lecz daremne jej wysiłki, młodzież stroni od tej lektury. Jest jednakże sposób na to: **w każdym domu powinno się praktykować głośne wspólne czytanie z dziećmi i młodzieżą.** Rozumie się, że nie zastosowane do tego, co starsi lubią, lecz do tego, co przydatne dla młodego świata. Godzinę czasu na to znajdzie codziennie każda matka, nauczycielka albo i niejeden ojciec; można ją oszczędzić na niepotrzebnych rozrywkach. Gdy młodzież sama czyta, czyni to zwykle pośpiesznie, bez zastanowienia się nad treścią, lub nieraz i opuści to, co właśnie stanowi największą wartość dzieła, goniąc za tem, co zaspokaja wyobraźnię i ciekawość. Przy wspólnem zaś czytaniu nie tylko piękność stylu, lecz i wzniosłe zasady i prawdy głębiej wnikają w duszę młodzieży, gdyż wychowawca ma sposobność objaśnić i wspólnie omówić niejedno, rozgrzać własnym zapalem i tym sposobem pozyskać młodych czytelników dla dobrego i poważnego czytania. Zadzierżgnie się też węzeł wzajemnych interesów pomiędzy rodzicami lub wychowawcami a młodzieżą i wpływ na nią będzie o wiele ułatwiony. Te godziny wspólnego czytania staną się z pewnością dla rodziny najmielszą rozrywką; będą to dla nich błogie chwi-

le, w których zapomną o świecie hałaśliwym, walczącym, rywalizującym, niezadowolonym — i żyć będą życiem lepszym, szczęśliwszem.

Niejedni rodzice, sami już wychowani na tej „nowej“ zgubnej literaturze, może żałują, że ich życie nie poszło idealniejszymi drogami i doświadczają na sobie braków szlachetnej podniety, wypływającej z czytania dobrego — czemuż tedy nie chcą dzieci swoich poprowadzić jaśniejszym szlakiem? Rodzice nieraz podejmują największe ofiary, by dzieciom zapewnić intratną karierę i im przysporzyć majątku, a gdy chodzi o skarby największe, dające szczęście niezawodne, t. j. miłość Boga, cnoty i ojczyzny, przywiązanie do wiary ojców, zamiłowanie do nauki i pracy, szlachetność i czystość uczuć, radość życia, odwagę w obliczu śmierci — czyżby mogli rzeczywiście żałować trochę trudów, trochę czasu, by czuwać nad ich książkami, by razem z nimi czytać? Jest to jakby posag, który rodzice dają swym dzieciom. Przywykną one tak do tej literatury idealnej, że i w późniejszym wieku bez niej się obyć nie będą mogły i całe życie ich będzie idealnem. Nauka katechizmu wskazuje wprawdzie w pierwszym rzędzie drogę do prawdy i dobra; lecz na każdym kroku naszej ziemskiej drogi czyha nieprzyjaciół, żeby to dobre ziarno móżdż wybrać; więc też i każdego dnia i bardzo często trzeba sobie uprzytomnić to, co jest godne wyższej części naszej istoty, ażeby nie dać posłuchu temu, co jest podłe i marne.

Arcybiskup Bilczewski mówi: „Nigdy nie zapomnę uwagi jednego z profesorów, który po przeczytaniu z nami w klasie arcydzieła naszej literatury, powiedział: „Prawda, ukochani moi, że każdy z was czuje się uszlachetnionym i że żaden nie byłby zdolny do nędznego czynu!“

Jeżeli taki jest rezultat czytania dobrych dzieł, czyż nie byłaby karygodną bierność lub obojętność pod tym względem?...



## VII.

### Literatura naukowa.

---

Studyum książek naukowych jest wielkiej wagi, gdyż nie tylko nas wzbogaca we wiadomości, dające się użyć bezpośrednio dla własnej korzyści albo bliźnich, jako też dla chwały Boga, lecz i dla tego, że to studyum jest *pracą* we właściwym słowa tego znaczeniu — a wiemy wszyscy, że *praca* *uszlachetnia* człowieka i podnosi jego godność. Zapewne, że każdy człowiek ma swoje obowiązki, które są pracą wyczerpującą nieraz jego siły, i nie jeden mówi: „Obowiązek przede wszystkim“, lecz właśnie w imię tegoż obowiązku powinniśmy zakres swej wiedzy rozszerzać, abyśmy go mogli lepiej i dokładniej wypełniać. A jeżeli studia nasze będą miały podkład chrześcijański, możemy powiedzieć z Salomonem: „Szukałem mądrości, a razem z nią przyszły mi wszystkie dobra“.

Z pomiędzy nauk trzeba przede wszystkim wyszczególnić **pedagogię**, której zadaniem jest używać tych dóbr najobficiej nie tylko pedagogom, lecz i tym, którzy ich wpływom podlegają.

**Czy nowoczesna pedagogia zbliża do właściwego celu, jej nakreślonego, czy też może od niego oddala?.....** Tak szybkim teraz ona postępuje krokiem, że nawet trudno się w niej zorientować. Jest w tych nowościach wiele stron dodatnich, ale równie tyle ujemnych, że narażonoby na szwank postęp samej pedagogii, gdyby świat rzeczywiście ślepo szedł za wszystkimi nowatorami. Toć Francya kroczyła na czele wiedzy, a do jakiego poniżenia doprowadziła kraj przez przewrotny system pedagogiczny, praktykowany w szkołach, wszystkim wiadomo.

Właśnie względem tych najnowszych niespodzianek w pedagogii powinniśmy być powściągliwymi w naszych pochwałach, zanim nie dojdziemy do jądra rzeczy. W każdym niemal kierunku w rozmaitych dziedzinach wiedzy dochodzą teraz do przesady, gdyż tak wiele jest piszących, a każdy z nich chce wymyśleć coś nowego — tak samo i w pedagogii — i tym sposobem powstają nieraz dziwaczne pomysły, które postęp pedagogii tamują. Co gorsza, jak wszędzie tak i tu wciskają się prądy, mające na celu wyrugowanie wpływu religii z wszelkiej dziedziny wiedzy i moralności. Jak bardzo tedy potrzebna czujność nam, katolikom — wtedy gdy chodzi o idee podstawowe — ażeby się nie dać olśnić fałszywym systemom, które możnaby nieraz porównać do wilków w owczej skórze. Jak zachęcająco n. p. brzmi „w y k s z t a ł c e n i e    ż y c i o w e”

(„Einführung in das Leben“). Cóż może być słusznieszego; toć i swoje własne życie powinienn wychowanek ukształtować, i jednocześnie przygotować się do życia w społeczeństwie, — czego chrześcijańskie zasady też uczą — lecz u przewrotnego pedagoga te dwa kierunki wypaczają się, bądź to w partyjny socjalizm, bądź w egoizm, pełen pretensyi dla siebie.

„I n d y w i d u a l n o ś ć d z i e c k a“ („Persönlichkeitspädagogik“). Dokąd doprowadził ten kult osobowości, rozpoczęty już w 18-tym wieku przez Rousseau'a, a na nowo ożywiony mianowicie przez Ellen Key, zapaloną wielbicielek nie tylko Rousseau'a, ale i Nietzsche'go. Ellen Key ubóstwia tę indywidualność dziecka w swojej książce „Wiek dziecka“, następującemi słowy: „Rodzicom tak samo nie przysługuje prawo albo władza dawania przepisów tym nowym istotom (t. j. dzieciom), jak nie mają władzy lub prawa przepisywać gwiazdom ich biegu“. Gurlitt, głośny przedstawiciel postępowej pedagogiki w Niemczech, idzie jeszcze dalej. Przeciwny jest moralności, obowiązującej zarówno wszystkich, żąda wychowywania wielkich osobistości, samotnych ludzi. Podług niego nie plan szkolny ma obowiązywać dzieci i młodzież, lecz ich własna woła ma rządzić w szkole.

„P e d a g o g i k a w o l n o ś c i o w a“ („Freiheitspädagogik“). Katolicki pedagog zna wolność prawdziwą, t. j. uwolnienie człowieka od samego siebie, od swoich złych skłonności

— a Gurlitt wysuwa na widownię „wolność tygrysa“.

Albo znowu wychowanie narodowe w poglądach Balickiego! On to głosi różnicę pomiędzy chrześcijańską etyką dogmatyczną ideałów, co rodzi świętych, a narodową etyką autonomiczną, niezależną idei polskiej, co rodzi bohaterów. Jakoby różnica taka nie godziła wprost w istotę etyki chrześcijańskiej, jakoby ta etyka Chrystusowa nie rodziła bohaterów, dziewic orleańskich, Jadwig polskich, naszych Mieczysławów i Bolesławów, naszych Żółkiewskich, Czarneckich! On to głosi, że religia nie polega na wierze, jeno na uczuciach religijnych — kroczy śladami modernizmu — aby na dobitkę zaznaczyć, że rozbudzanie w młodzieży uczuć religijnych jest zupełnie co innego, niż sucha nauka katechizmu i przepisów Kościoła. Takie teorie — to jad, który dusze nasze roztoczy na zgniliznę zupełną.

Modną jest obecnie psychologia, jako ważna część pedagogii. Nauka ta zrobiła już wiele doświadczeń, przyczyniła się do lepszego poznania dziecka, jednakże w tej dziedzinie najbardziej zaznaczył się wpływ fałszywej filozofii; bowiem naukę o duszy chcą budować bez duszy — podług teorii Darwina. Więc jakżeż podług nich wygląda ta dusza? Jest to rzecz odmierzona, odważona, pokrajana w kawałki, w której już chyba nie można odnaleźć tego nieśmiertelnego ducha.

którego Bóg tchnął w człowieka. Wprawdzie takie pojęcie duszy nie jest niczem nowem, bo już Jan Fryderyk Herbart, który umarł w roku 1841, głosił, że władze duszy są to siły, których objaw może być obliczony matematycznie.

Ktoby chciał mieć jeszcze dalsze próbki pedagogii, z której Bóg jest wykluczony, niech się przyjrzy szkole, którą Ferrer założył w Hiszpanii: „Celem mojej propagandy jest — mówi on — wychować w szkołach a n a r c h i s t ó w z przekonania. Młodzież musi wiedzieć, że na politykę tylko jest jeden środek: bomby i trucizna“.

Pytamy się zdziwieni, jakim sposobem mogła pedagogia tak zbłądzić, że doszła aż do potworności, aż do dziwactwa. Zdziwienie większe nas ogarnąć może wobec tego, że i teraz jeszcze olśniewa katolików pedagogia, opierająca się na e t y c e n i e z a l e ż n e j; że jeszcze nie widzą, iż z wyżyn systemu pedagogicznego Herbart schodzi się dosyć szybkimi krokami do teoryi Gurlitta albo Ellen Key. Powtarzają wielce obiecujące frazesy Herbart o wolności, doskonałości, sprawiedliwości, lub o jakiejś religijności jego wynalazku, i poddawają się wpływowi zgubnemu, który musi na katolika wyrzucić e t y k a, n i e o p i e r a j a c a s i ę n a p r z y k a z a n i a c h B o ż y c h, l e c z n a e s t e t y c e.

Niektóre problemy pedagogiczne, co prawda, nie mają żadnego bezpośredniego związku z dogmatami religijnymi, i dobrze ka-

tolik robi, jeżeli korzysta z praktycznych i użytecznych wskazówek pedagogów, wyznawających poglądy niechrześcijańskie; lecz i w tym razie niebezpieczeństwo nie jest wykluczone, gdyż przewrotne umysły i tu wciskają własne dogmaty, naruszające wiarę. — Wielkiego rozgłosu nabrała teoria, czyniąca pracę ręczną lub sport środkiem wychowawczym. Bardzo dobrze! I katolik nie zaprzecza doniosłości tej teorii, lecz jak daleko się zapuścił skrajny jej kierunek? Twierdzi, że nie religia, tylko praca ręczna i sport mają być dźwignią dla formowania charakterów.

Teraz, jeżeli się zapytamy, czy nasza polska pedagogia daje nam wskazówki, na które jako katolicy zgodzić się możemy, musimy odpowiedzieć: Niestety, bardzo często, nie! Już teraz mija się z prawdą, „że co polskie, to i katolickie“.

Możemy jednakże mieć nadzieję, że i polscy pedagodzy pójdą za tym ruchem, który się obudził w świecie katolickim. W r. 1910 zorganizował się „K a t o l i c k o - p e d a g o g i c z n y z w i ą z e k w s z e c h ś w i a t o w y“ (z siedzibą zarządu w Niemczech), którego celem, nie tylko obrona szkoły wyznaniowej, ale i pogłębienie oraz spopularyzowanie chrześcijańskiej pedagogiki. Oprócz tego zakładają w Monachium k a t o l i c k i i n s t y t u t p e d a g o g i c z n y, którego zadaniem będzie obrabiać kwestye pedagogiczne w zastosowaniu do wiecznego celu naszego, oraz studyować

wpływ, jaki wywiera na dziecko i rozwój jego charakteru taka potęga, jak religia katolicka. We Francyi szkolnictwo wraca coraz więcej na grunt katolicki; bezbożne szkoły rządowe stoją pustką, a katolickich szkół i seminaryów nauczycielskich przybywa coraz więcej, więc i stamtąd nasza literatura pedagogiczna będzie mogła się zasilać zdrowemi, chrześcijańskimi ideami. I w Galicyi robią wielkie wysiłki, ażeby dla katolicyzmu wywalczyć na każdym polu stanowisko mu przynależne; można się też spodziewać, że nowoutworzona tamże „Rada katolicka“ i w dziedzinie pedagogii wpływ swój zaznaczy.

Niech nam wyniki badań i doświadczeń katolickich pedagogów będą zawsze drogie i miłe. Pedagogia opierająca się na religii katolickiej, jest jasną, pewną, stanowczą, daje nam wskazówki nadprzyrodzone tam, gdzie dla ludzi światopoglądu niechrześcijańskiego postawioną jest granica, poza którą dotrzeć nie mogą. Ona dopiero czyni pracę wychowawczą owocodajną, wskazując nietylko co i jak czynić, w jaki sposób urabiać charakter, lecz także u jakiego źródła z a c z e r p nąć siły, ażeby cel osiągnąć. — Stan nauczycielski, opierając się na katolickiej pedagogii i uprzytomniając sobie tym sposobem n a d p r z y r o d z o n ą wartość swej pracy i cel jej wieczny, nie będzie mniemał, że pracuje tylko dla zysku materialnego. Nie będzie się nauczycielowi wydawało, że świat jest bezduszną



maszyną, a on kółkiem popychanem, gdyż działalność jego będzie dla niego polem, na którem rosną nie tylko zboże, ale i kwiaty.

Jeżeli do studyów pedagogicznych pobudza nas często tylko poczucie obowiązkowości, to do poznania **historii narodu naszego i historii literatury naszej**, pociąga nas nasze serce polskie. Tę przeszłość, która już nam jest drogą, chcielibyśmy ukochać jeszcze bardziej; chcielibyśmy u ogniska patryotyzmu rozgrzać duszę do czynu zbożnego, nabrać otuchy do walki z przeciwnościami; w przeszłości chcielibyśmy znaleźć wskazówki na przyszłość. Czy najnowsi sędziowie naszej przeszłości mogą zawsze zadowolić pragnienia naszej duszy polskiej? Niestety, i w tej dziedzinie jest rozdźwięk, jest dążność do okrycia wzgardą tego, co kochać powinniśmy. Zupełnie manią chorobliwą stało się u niektórych pisarzy wydobywać z zapomnienia, lub domyślać się nawet złego, zgnilizny w przeszłości naszej, z przemilczeniem niezliczonych dobrych stron. Nie tylko historię narodu, ale i historię literatury naciągają do swych celów partyjnych, mianowicie antykatolickich.

Rozumie się, że studyując historię i chcąc, aby przeszłość była szkołą przyszłości, musimy zdobyć się na hart duszy i znieść prawdę, chociażby i przykrą, gdyż inaczej mielibyśmy ułudę zamiast rzeczywistości. Toć i Kalinki żaden wytrawny umysł krytyczny nie potępi

za to, że w swoich dziełach historycznych wykazał, co było zdrożnego w przeszłości naszej. On jest we czci, chociaż może pierwszy odważył się na sąd historyczny u nas. Wystąpił nawet jako badawczy lecz sprawiedliwy sędzia „Trzeciego Maja“ i wykazuje niedoskonałości w ustawie i słabości lub małości w ludziach, którzy to dzieło utworzyli — wszakże nie odziera ludzi z ich zasług i wartości, ani sprawy ze słuszności i szlachetności — bo Kalinka nas nie uczy gardzić Polską, tylko raczej ubolewać nad nią i kochać ją bardziej jeszcze.

Co innego jest jednak, gdy autor zasadniczo, dla powodów jemu najlepiej wiadomych, wydobywa na jaw brudy i skandale, do rzeczy zupełnie nie należące, gdy faktom nadaje barwę religijną lub polityczną, zaprawioną subiektywizmem, a dobre strony przemilcza lub osłabia — wtedy ułoży się nieraz obraz Polski mierny; dojrzałemu człowiekowi żal się robi, że należy do takiego społeczeństwa, a młodzieży odejdzie chęć do pracowania dla takiej Polski.

Najnowszą metodą u krytyków i historyków naszej literatury jest także erotomania, zasadzająca się na wyciąganiu na jaw wszelkich miłostek i słabostek młodości naszych znakomitości literackich, rozdmuchując je do wielkich rozmiarów i nadając im taką wagę, że owi pisarze z pewnością zaprotestowaliby przeciw temu, gdyby im wolno było na ten świat powrócić. **Nawet to nie jest zawsze**

**pewnikiem historycznym**, co o tych dawnych czasach i autorach opowiadają; jakiś tam ślad znajdują, z tego wysnuwają **wniosek**, (który rozumie się, może mieć podstawę subiektywną) a na tym wniosku opierają swoje **przekonania**. O książce Romana Plenkiewicza „Życiorys Jana Kochanowskiego, wraz ze studjum nad jego dziełami“ (streszczonej przed kilku laty przez Hösicka) mówi profesor Tarnowski: „Wszystko się składa, wszystko się logicznie łączy, wszystko mogło tak być. Ale czy tak istotnie było? To wielkie pytanie, na które twierdzącej odpowiedzi dać nie śmiemy. Stoimy przed nowem rusztowaniem domysłów i hipotez; jedne z nich mają za sobą więcej, drugie mniej podobieństwa do prawdy, rusztowanie jest dobrze związane; ale rzadko która z jego części jest pewną i stałą. Domysły i hipotezy są inne, ale że nie dowiedzione, więc są zawsze tylko domysłami i hipotezami“. Dalej: „Konstrukcja historyczna jest rzeczą bardzo piękną i potrzebną, ale trzeba obchodzić się z nią ostrożnie; podawać za pewne to, co jest rzeczywiście dowiedzione, a przynajmniej uzasadnione, ugruntowane; to, co prawdopodobne, oznaczyć wyraźnie jako hipotezę; bronić jej, dowodzić jej, ale nie podawać jej za pewne, za fakt. Pan Plenkiewicz tej ostrożności nie zawsze zachowuje“.

Rozmaici autorzy o takich drobnostkach, jak prawda historyczna, zapominają, byleby postawić w aureoli nasze wielkości historyczne

i literackie — bardzo im na rękę przekonać społeczeństwo, że można być wielkim, nie pytając się o przepisy moralności; łatwiej wtedy ono wybaczy niejednemu z nowoczesnych autorów jego niemoralne życie. Że niektórym się podobają takie krytyki historyczno-literackie (!), dziwić się nie można; ci jednak, którzy nie chcą, żeby przeszłość i przyszłość, żeby świat cały im się przedstawiał w czarnych kolorach, sięgną po takie dzieła, w których prawda skojarzoną jest z miłością ojczyzny i ze zrozumieniem ducha polskiego.

Nie sądźmy też, że m ł o d z i e ż y wpoimy cnoty narodowe lub społeczne, gdy jej ciągle przed oczy stawiać będziemy to, co było zdrożnego w narodzie naszym, boć zresztą i potrzeby nie ma, żeby młodzież o wszystkim złem wiedziała. Przyklasnąć można słowom, które już dosyć dawno wypowiedział ks. Zöller, na walnem zebraniu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie: „Z narodowych wad leczyć się powinniśmy, prawda powinna być podaną, lecz to podawanie lekarstwa młodzieży powinno się odbywać w ten sposób, by podstawa wszelkiego wychowania — c z e ś ć i s z a c u n e k — nie została niczem nadwątloną. Nagromadzeniem cieni nie trzeba młodzieży zniechęcić, przerazić, nie odbierać jej nadziei i ufności we własne siły i potęgę narodowego ducha, by jej przedwcześnie nie złać, lub nie wtrącić w apatyę. Niech młodzież uczy się czei dla przeszłości swojego

narodu, czci dla jego wiekowej pracy, wiekowego bólu, wiekowych zapasów i cierpień; bo gdy się tego na j p i e r w nauczy, gdy jej rozwój duchowy od czci i miłości się rozpocznie, w ó w c z a s d o p i e r o i n a t y m f u n d a m e n c i e może bez szkody swojej uczyć się w wieku dojrzałym z dziejów swego narodu, choćby w świetle najboleśniejszej, byle **sprawiedliwej** krytyki rozpatrywanych, mądrości życia i mądrości stanu“.

Niemniej zgubnem jest dla młodzieży, gdy jej się podaje podręczniki do historii lub literatury, pisane przez autorów pozytywistów, ateuszów, bo dzieła takie muszą z konieczności być wyrazem zasad i zapatrywań autora i zachwieją z pewnością podstawami religijnymi uczącej się młodzieży, a patryotyzmu bynajmniej nie wzmocnią. Zrozumiał to Mickiewicz, gdy na śpiewkę agnostyka:

„Niech sobie ludzie nie kochają Boga,  
Byle im była cnota i ojczyzna droga!“

odpowiedział:

„Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie  
w górach,  
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach!“

Jak bardzo ostrożnym być trzeba, gdy chodzi o książki dla młodzieży, wypowiada profesor Tarnowski w swojej krytyce książki Ignacego Chrzanowskiego: (Historia literatury polskiej. Książka dla młodzieży. Część I. Literatura Polski niepodległej) „Naszem zdaniem

autor był cokolwiek nieostrożny, jego książka mogłaby być nadużyta w złej myśli, do złych celów... Wyznawaliśmy przez całe życie zasadę, że o przeszłości należy mówić prawdę, ale ta otwartość, szczerłość, prawdomówność nie powinna ani jednostronna być, ani nawet taką się wydawać. Inaczej, może być podchwyconą, przekręconą... Cóż więc autor miał robić? Chyba nie mówić prawdy? Owszem, przeciwnie, mówić ją, ale mówić całą... W takich czasach, jak nasze, kiedy szturm i napaści na wiarę i na obyczaj prowadzą się z różnych stron z siłą dotąd u nas niewidzianą, i z niewidzianym także skutkiem, ten brak względu, brak ujęcia kwestyi w jej całości, jest jeszcze niebezpieczniejszy niż zwykle!“

Z nauk potracimy jeszcze o **przyrodnicze**.

Jakim z tych książek mamy dać pierwszeństwo, niech nam powie ten sam ks. Zoeller, o którym powyżej była mowa. „Lecz wszystkich autorów, piszących dla młodzieży o cudach przyrody, najświętszem zaklinamy zaklęciem, najrzewniejszą prosimy prośbą, niech piszą dla młodzieży o otwartej a przedziwnie pięknej księdze natury jak najwięcej, ale piszą tak, **by młodzież, patrząc w ziemię, nie oduczala się patrzeć w niebo**, by podziwiając cuda przyrody, ich mnogość i piękność, widziała w nich ślad Bożej mądrości i Bożej potęgi, by zachwycając się pięknnością stworzenia, zachowała niezaciemnione oko, nie-

skażone serce i dla piękności najwyższej — dla Boga“. — O takie książki coraz to trudniej teraz; ostrożność wobec książek przyrodniczych, staje się coraz więcej uzasadnioną, bo już nawet do książek, przeznaczonych dla młodzieży, wciska się darwinizm, monizm, zasady Haeckla i tym podobne fałszywe i systemy, przeciwne chrześcijańskiemu światopoglądowi. Więc nauczyciel lub wychowawca powinien wiedzieć, jaką książkę przyrodniczą oddaje w ręce młodzieży, gdyż zdarzyć się może, że przewrotne doktryny, spopularyzowane, wniknąwszy w duszę dziecka, odbiorą mu spokój i swobodę lub wstrząsną może fundamentem jego wiary i zburzą go na zawsze. Dziwnem byłoby, gdyby nauczyciel raz uczył dziecko łączyć się z pieśnią Psalmisty: „Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże, Któż się Twym sprawom wydziwować może?“ a innym razem dał mu w ręce książkę, która wyklucza Boga ze świata. A sam nauczyciel, czy może być zupełnie pewnym, że z tej strony nie zagraża żadne niebezpieczeństwo jego wierze?

---



## VIII.

### O charakterze literatury pracy społecznej.

---

Tej literatury nie brak nam dzisiaj, gdyż coraz to większa liczba społecznie pracujących mężczyzn i kobiet literaturą społeczną zasypuje świat. Zdawałoby się, że tu już śmiało można czerpać ze skarbcza piśmiennego, nie przebierając, bo tu przecież celem jest tylko praca dla społeczeństwa, chociaż w rozmaity sposób ujęta i przeprowadzona.

Że idea pracy społecznej jest *p o d k ł a d e m*, to jeszcze nie znaczy, że społeczeństwo zawsze z niej *k o r z y ś ć* odnosi. Toć mamy literaturę społeczną, bardzo radykalną, nawet anarchistyczną. Taką odtrąci każdy uczciwie myślący i rozsądny człowiek — więc nie z tej strony idzie niebezpieczeństwo.

Jest jednak inna literatura społeczna, czynna, ruchliwa, wiele obiecująca, wskazująca coraz nowe drogi; lecz **tej pracy społecznej początkiem i kresem jest tylko doczesność**; wszelkie pobudki i cele nadprzyrodzone z niej wykluczone. Taki rodzaj literatury jest szko-

dliwy nietylko dla samej pracy społecznej, ale niebezpieczny i dla działacza społecznego. Wprawdzie praca dla maluczkich, opuszczonych, nie umiejących sobie radzić, powinna także być podjętą dla ich dobra doczesnego, materialnego; lecz gdy dla tej pracy zabraknie sankcyi religijnej, gdy się opiera na wysiłkach czysto ludzkich, nie ma z niej wielkiej korzyści i zgubną nieraz się stanie dla społeczeństwa, jak to pokazuje doświadczenie lat ostatnich w każdym niemal kraju. We Włoszech ks. Murri przez swą niezwykłą gorliwość w pracy społecznej, z początku wzbudzał podziw u wszystkich i pociągał przykładem swym drugich, także innych kapłanów do pracy w tym kierunku. Ale późniejsza jego zgubna działalność jest niemniej znana: spowodował on rozdziwienie, ludowi niezadowolenie przyniósł zamiast uspokojenia i pomocy, a ojczyźnie swej dopomaga do szybszego rozkładu moralnego. Co się przyczyniło do tego? ... Oto nie chciał pracować w łączności z Kościołem katolickim — i sprawdziło się na nim, co św. Augustyn mówi: „Przy całej mądrości tego świata, człowiek jest jak sternik bez steru, który sam siebie wiedzie do przepaści“.

Więc szukajmy zachęty do pracy społecznej w literaturze, która w **Bogu czerpie siły i w religii znajduje wskazówki**. Niech nauczyciel w lekcyach religii i historii Kościoła wskazuje na to, że praca społeczna kwitła nieprzerwanie w Kościele katolickim od czasów zało-

żenia jego, że on nam i teraz dostarczyć może wskazówek, zachęty i przykładów; że potrzeby niema uciekać się do doktryn bezwyznaniowych, trujących i ubezwładniających tę pracę nieraz w samym zarodku.

---

## IX.

### O charakterze prasy.

---

Jeżeli wobec książek nam nie wolno zająć stanowiska obojętnego, biernego, to tym mniej wobec prasy, bo w obecnych czasach ona jest potęgą, która **rzadzi narodami i opinią, a u jednostek wyrabia zasady i przekonania**. Skoro wpływowi temu podlegają całe narody, to i jednostki z pod niego wyłamać się nie mogą. Obowiązkiem naszym jest informować się o bieżących sprawach, ażeby nie być obojętnymi widzami maszyny świata; wszakże mamy się nauczyć, kiedy i gdzie przyłożyć rękę do pług. Czy i wśród tej literatury ulotnej — jednodniówki po części — katolik powinien wybierać taką, któraby miała charakter katolicki? ... Przytoczę wyjątek z referatu wygłoszonego na zebraniu „Towarzystwa imienia Piotra Skargi“: „Wystarczy stale czytać pisma dla Kościoła i wiary obojętne, wystarczy nigdy nie stykać się z katolicką, intelektualną atmosferą — a wnet wytworzy się też nastrój umysłu i serca, w któ-

rym nie znajdzie echa najgorętszy nawet apel do katolickiego czynu... przejdzie lat kilka, a dusza uczuje się obcą i zobojętniałą dla wszystkiego, co wychodzi poza sferę kilku zewnętrznych praktyk religijnych“.

Które jednak pismo nazwiemy szczerze katolickiem? Można by na to odpowiedzieć: to, które p r a g n i e być szczerze katolickiem. Tylko w tem leży trudność, że świat teraz nie zawsze idzie prostą drogą, stąd nie tak łatwo poznać, co kto ma na myśli. Wziąwszy n. p. do ręki niejedną gazetę, widzimy w niej sumiennie zanotowane święta i nabożeństwa katolickie; zresztą nie zawiera ona nigdy nic wyraźnie przeciwnego dogmatom Kościoła; znajdują się w niej nawet nieraz artykuły pióra katolickiego — a jednak nie jest ona taką, aby zadowolnić mogła katolika. **Etyka bowiem tam jest podwójnej miary;** obok katolickiej przykłada się często wcale niechrześcijańską do utworów literackich, do powieści i sztuk, oraz recenzyi teatralnej. Chwałą powieści obrażające uczucia moralne — a jeżeli taka dekadenccka powieść zgoda ż a d n y c h nie ma zalet, tak że już niepodobna jej polecić, to przynajmniej umieszczają nieraz jakiś chociażby ustęp i gorszą tem samem tych nawet, co z zasady unikają literatury gorszącej. Podobne gazety lub czasopisma, ubierające się w płaszcz chrystyanizmu, bardziej szkodliwe niż otwarcie bezwyznaniowe, gdyż ludzie dobrej woli im bezwarunkowo ufają.

Czytelnik powie: nie moja w tem wina, innej gazety niema, więc taką czytać muszę. Lecz bez winy nie jest ów czytelnik. Gdyby tak jeden, drugi, dziesiąty, setny w y p o w i e d z i a ł r e d a k t o r o w i s w o j e z d a n i e, chociaż w delikatny, ale stanowczy i rzeczowy sposób, z pewnościąby uwzględnił życzenia swoich prenumeratorów, byłby może nawet wdzięcznym, że mu zwracają uwagę na to, co on sam przeoczył, że mu pomocni są w spełnieniu obowiązku redaktorskiego.

Jakież tedy jest stanowisko społeczeństwa naszego do prasy? Można twierdzić, że bardzo często u nas Polaków, katolików, objawia się obojętność i bierność, gdy chodzi o sprawę zbożną, z której się nie ma korzyści osobistej — a często jest i brak cywilnej odwagi. Nawoływania do odwagi są dosyć częste, lecz czyż one zawsze mają być głosem wołającego na puszczy?.....

Na Kongresie Maryańskim w Przemyślu, w sierpniu r. 1911-go Adam Konopka tak gorąco zaapelował do prasy, żeby była uczciwą, katolicką, żeby w recenzjach nie otaczała aureolą tego co złe, aby we felietonach nie królowały: żądza, nieprzyzwoitość lub wiarołomstwo itd. itd. — „aby była taką — mówi dalej — żebyśmy nie potrzebowali, jak dzisiaj, chować je w domu pod klucz. ...Niestety tej złej prasy mamy taką moc, że zatracamy pojęcie dobrej“.

Jest to jakby okrzyk zwątpienia, bo też rzeczywiście możnaby nieraz powiedzieć: teoria co innego, praktyka co innego; teoria bowiem kosztuje tylko kilka słów, a praktyka wymaga wysiłków nieustających.

Nazwał ktoś prasę szkołą dorosłych; słusznie, bo dzisiaj każdy bierze do ręki gazetę, zajmuje się poruszonymi w niej zagadnieniami religijnymi, społecznymi, politycznymi. Sąd prasy jest sądem niezliczonych tłumów. Starajmy się o prasę szczerze katolicką, bo od charakteru prasy w znacznej mierze zawisło dobro społeczeństwa.

Nazwał ktoś znowu inny prasę kazalnicą czasów nowszych. Nie może więc być dla katolika szczerego obojętną sprawą, kto na tej kazalnicy miejsce zajmuje, czy z kazalnicy tej ma się głosić nienawiść do Chrystusa, niewiara, mniej lub więcej złośliwa krytyka Kościoła prawdziwego, czy też ma się głosić prawda i obrona rzetelna najwznioślejszych interesów, bo interesów religijnych. —

Precz z prasą obcą duchem katolicyzmowi!



## X.

### Zakończenie.

---

Jeżeli tej nowej literaturze tak mało ufać możemy, **jakim sposobem dowiemy się, co jest złe, a co dobre?** Czy może przeczytamy nieznaną książkę, ażeby się dowiedzieć, jaka jej zawartość? Znaczyłoby to, w niektórych razach, spożyć truciznę, ażeby się przekonać, czy jest rzeczywiście trującą. .

Kogoż więc pytać się mamy? Komu zaufać możemy?

W pierwszej linii jest *I n d e k s k s i ą ż e k z a k a z a n y c h*, wydany przez Stolicę Apostolską. Że Kościół ma prawo wydać zakaz taki, o tem nam nie wolno wątpić. Powinno być zrozumiałem dla każdego, że jeżeli Kościół ma nadane od Boga posłannictwo ogłaszać naukę Chrystusa i starać się o utrzymanie wiary i obyczajów w czystości, musi także mieć p r a w o z a k a z u p i s m i k s i ą ż e k, które przeszkadzają głoszeniu i wykonywaniu tej nauki; inaczej, czyby mógł jaki wpływ wywierać? Nie może nam się wydawać krzywdą, że nam nie wolno czytać książek gorszą-

cych, wzbudzających wstręt, lub pozbawiających nas cnót, wiary, nadziei i miłości, tych nieocenionych skarbów duszy naszej. Toć policyi jesteśmy wdzięczni za umieszczenie tablicy, ostrzegającej przed niebezpieczeństwem życia — a duszę chcielibyśmy lekkomyślnie narażać? Będziemy kopię kruszyć za Niemojewskim, Przybyszewskim, Dumasem itp.?... Zachowajmy swoją gorliwość dla lepszej sprawy i godniejszych autorów. Kościół zabrania nam tego tylko, co zakazuje prawo Boże i prawo natury. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że w Indeksie wymieniona jest każda książka zakazana. Niemożliwem byłoby to w obecnych czasach, gdzie złych książek jest tak wiele, że morze niemi możnaby zasypać. Więc nazwane po imieniu mogą tam tylko być te książki, które mają rozgłos wielki, a reszta książek lub pism gorszących jest potępiona ogólnym zakazem.

Oprócz Indeksu powinnyby nam służyć za drogowskazy dobre biblioteki, katalogi, recenzyc, krytyki w czasopismach, lecz — któreż są **rzeczywiście dobre?**... W tem właśnie leży największa trudność, bo czyż możemy być pewni, że krytycy, recenzenci i inni posiadają rzeczywiście kwalifikacye potrzebne do sprawowania swego obowiązku, t. j. wiadomości dostateczne, poczucie odpowiedzialności i gruntowne zasady etyki chrześcijańskiej? Toć właśnie krytyka fałszywa najwięcej zawiniła w sprawie

czytelnictwa. Niektórzy krytycy przez ciągle wertowanie dzieł różnorodnych tak się z wszystkim oswoili, że utracili rozeznanie tego, co wypada lub nie. Tych jednak, co ze złej woli uprawiają przewrotną krytykę, jest nie mniej wielka liczba. A co najgorsza, że sposób ich destruktywnej roboty jest bardzo podstępny: nadawają sobie pozór uczciwych ludzi lub dobrych katolików, wygłaszając piękne frazesy w o g ó ł e dla zasad chrześcijańskich, i dla prawdziwego piękna i dobra — a w s z c z e g ó ł a c h zalecając to właśnie, co jest złe i zgubne, wydobywając niemożliwe argumenty na poparcie swych przewrotnych zasad.

Dziwić się nieraz można ich czelności. N. p. dlatego często autora robią wielkim, że się buntuje przeciw Kościołowi; chwali go krytyka, chociażby i ze sobą musiała być w sprzeczności. Krzyczą tedy, że Kościół nie idzie z postępem, a jednak Tołstoj ma u nich mir, mimo że jest negacją postępu, cywilizacji, kultury ducha — lecz Tołstoj zaprzecza dogmatom, obala chrystyanizm, więc trzeba go apoteozować!

Nieszczęściem jest, że tak dużo osób czuje się powołanemi do krytyki; nawet pisma codzienne, których specyalnością jest polityka, uprawiają także literaturę, a ich redaktorzy przyjmują jakąkolwiek im nadesłaną recenzję; nie mają czasu, by ją zbadać, lub nie są dosyć kompetentni, by ją należycie osądzić. „Gdyby

tak każde pismo“ — mówi jeden z katolickich działaczy — „które chce uchodzić za uczciwe, **stanowczo** piętnowało brud moralny jako plamę i podłość, jako grzech przeciw Bogu, ojczyźnie i całemu społeczeństwu, zmniejszałaby się liczba pisarzy, którzy w tym błocie szukają zysku“. Krytyka uczciwa nie będzie także „dla ponęty“ częstowała publiczności wyjątkami dosłownymi z książek pornograficznych, zachęcając przez osławianie ze złem, do czytania całości.

Spotkawszy się z uczciwym pismem literackim, stojącym na gruncie **prawdziwie** katolickim, praktyczną będzie rzeczą, notować sobie książki wraz z krótką recenzją — osobno dobre, osobno złe — ażeby w danym razie mieć potrzebne wskazówki pod ręką. Może się też kiedy doczekamy katalogów zupełnie kompetentnych, nie tylko dla ludu i młodzieży, ale i dla inteligencji, t. j. katalogów ułożonych przez wykształconych katolików, mających poczucie tego, co prawdziwie piękne, dobre i przyzwoite.

Polecają jako niezawodzący sposób oceny książek: **przeczekać przynajmniej rok od czasu ukazania się książki.** Przez ten czas książka sobie już wyrobiła firmę, mówią o tem, jakiego ona jest rodzaju, więc już niespodzianie niechęący nikt nie wejdzie w brudy. W każdym razie młodzież wcale nie powinna brać do ręki tego, o czem na pewno nie wie, że jest dobre. Starsze

osoby, gdy z konieczności muszą jaką książkę przejrzeć, a widzą z kilku miejsc, że zła, powinny ją zaraz odłożyć. Konieczna potrzeba czytania złych dzieł jest tylko dla k r y t y k a z z a w o d u i u r z ę d u, który musi informować społeczeństwo o nowościach, lecz tym krytykiem literatury wątpliwej powinna być osoba dojrzała i rozumie się, więcej stosowny jest ten urząd dla mężczyzny niż dla kobiety.

Jeżeli tedy wątpić nie możemy o zgubnym wpływie bezbożnej i niemoralnej literatury, czyż miłość bliźniego nie skłoni nas do tego, żebyśmy i **innych przed nią ostrzegali**? Czyż powiemy „co mnie to obchodzi?“ Nietylko publicznie, t. j. w prasie i w stowarzyszeniach piętnujemy ją, lecz i prywatnie, każdy w swoim kółku; nie wystarcza nie czytać i nie kupować jej, gdyż zwalczać ją trzeba. Nieraz człowiek życie naraża, widząc zagrożone dobro doczesne bliźniego — a niebezpieczeństwo, wypływające ze złej lektury, czyż nie obudzi naszej czynności i energii? Nasi ojcowie na polu bitwy bronili nasz kraj przed nawałą pogańską — naszym polem walki niech będzie literatura, przyczyniająca się do spoganienia naszego społeczeństwa. Nie dajmy się od walki odstraszyć tym, którym ona nie na rękę.

Obok walki ze złą literaturą, konieczną jest w obecnych czasach **propaganda dobrej**. To apostołstwo nowoczesne stało się obowiązkiem każdego katolika; nie jest tak trudnem,

jak się wydaje, gdyż sposobność polecenia dobrej książki lub pisma, nadarza się często. W Anglii członkowie katolickich stowarzyszeń rozkładają dobre książki po salonach i biorą je za temat do rozmowy towarzyskiej.

Niech cały nasz naród pokocha dobrą i szlachetną literaturę. Skarbiec naszych katolicko-narodowych ideałów powinien się znajdować nietylko w ręku tych, co się już usunęli od świata — jak to niektórym się wydaje — lecz więcej jeszcze w ręku tych, co zaczynają życie, co są w sile wieku i czas do działania mają p r z e d sobą.

Przyczyniamy się także skutecznie do rozszerzania dobrej literatury przez kupowanie dobrych książek i prenumerowanie takichże pism. Będzie to nawet bodźcem dla katolików utalentowanych, żeby chętnie czas i siły swe poświęcali piśmienictwu, w przeświadczeniu, że ich praca nie idzie na marne. Bierzmy przykład z gorliwości i ofiarności tych, co działają w duchu wywrotowym: niedawno ktoś ofiarował milion marek uniwersytetowi lipskiemu na rozszerzanie ateizmu. — Na posiedzeniu „Polskiej Rady Katolickiej“ w Krakowie wypowiada dr. E. Schnayder słowa zachęcające: „Czyż miłość ma być słabszą od nienawiści? Przeciwnicy nasi korzystają z każdej sposobności, aby zaświeciła ich doktryna, a my mielibyśmy być światłem pod korcem, pochodniami zgasz-

nemi? Byłoby hańbą, gdybyśmy byli mniej oddani Bogu, niż oni swoim ideom“.

Nie zapominajmy zwłaszcza o młodzieży. Teraz książki szkolne mało zawierają dobrych myśli, a często wręcz materialistyczne zasady wypowiadają, więc najświętszym jest obowiązkiem starszych zwracać umysły młodzieży ku ideałom religijnym i narodowym, ażeby całe życie górnie przeżyła. Jeśli zaś chcemy być tymi wajdelotami, zdolnymi przelać własne ognie w piersi słuchaczy, musimy sami czerpać natchnienie z czystego źródła, a jeżeli najnowsza literatura nas zawiedzie, zwróćmy się do dawniejszej, wypróbowanej. Ona jest właściwie nowoczesną, więcej zastosowaną do życia, do terażniejszości niż ta najnowsza, bezbożna i niemoralna. Ci dawniejsi mistrzowie słowa tak głęboko odczuli naturę ludzką, tak przewidzieli jej potrzeby istotne, że pod ich wpływem budzimy się do pełni życia, podczas gdy ci, co są oszołomieni modernistyczną literaturą, żyją jakby w gorączce, albo czują chłód śmierci.

Więc żywą była nasza literatura w 19-ym wieku, dopóki przy schyłku jego nie zwyrodniała. Ideał miłości ojczyzny, który ona wypielegnowała, krzepił naród w chwilach najcięższych, tak bolesnych, jak może żaden naród nie przechodził, a że nie upadł pod ciosem, zawdzięcza to swojej literaturze czystej, szlachetnej i bogatej. Każdy dział literatury przyczyniał się przez kilkadziesiąt lat do uświetnie-



nia imienia polskiego, do podniesienia w kraju naszym cywilizacji. Nietylko poezya, ale i proza każdego rodzaju: wymowa kościelna i świecka, historia, powieść, literatura religijna, naukowa, wszystko służyło ojczyźnie i pracowało dla jej dobra. Zapalała ta literatura porozbiorowa do wielkich czynów, ożywiała ducha religijnego — a tych sił życiodajnych i dla nas jeszcze starczy.

Jeżeli tedy w b r e w panującej modzie — nie czyniącej wyboru żadnego — pokochamy z literatury tylko to co jest prawdziwie dobre i piękne, wtenczas nastąpi dla nas **istotne Odrodzenie**, a lektura stanie się nam jedną z najmilszych rozrywek i zarazem najszlachetniejszych. Lecz wielu jest takich, co mają czas na wszystko, tylko nie na czytanie. Jakaż tego przyczyna? Marnuje się czas zbyt znacznie na zabawy — kobiety tak bardzo zajęte fatalizmkami, niegodnemi dostojeństwa ich duszy — ludzie pracy uważają sobie za obowiązek a nawet za szczyt cnoty, pracować od świtu do późnej nocy w celu robienia grosza, nagromadzenia bogactw, czasu nie zostawiają sobie dla wyższych zadań. A wynik takiej pracy? Sprzykrzy się, gdy raz cel będzie osiągnięty; przychodzi potem gorączka jakiejś zmiany, kończąca się na używaniu i nadużywaniu rzeczy tego świata. Czyż nie lepiej uniknąć tego zmateryalizowania, podnosząc ducha swego z tych szarych nizin do jasnych sfer, przez czytanie (choćby

codziennie po trosze) rzeczy, wskazanych nam przez zdrowy krytycyzm. Lecz niestety, tego zdrowego krytycyzmu tak nam brak! opinia tak sfałszowana! gust tak zepsuty! Niech ci przynajmniej, co są katolikami nietylko z nazwiska, bo prawdziwie kochają Boga i ojczyznę, niechże ci nie będą bezmyślnymi pionkami w ręku tych, których zasady są wręcz przeciwne etyce chrześcijańskiej, którzy głoszą apoteozę przewrotnej literatury. Nie ulękniemy się, chociażby i za to dzielnicę naszą wielkopolską „Beocya“ nazwali!

Teraz „postępowcy“ śmieją się z tych, co nie idą za zgubną nowością, lecz kiedyś, gdy przyjdzie zdać rachunek ostateczny z całego życia, przekonają się, że ci tak zwani zacofańcy właśnie wybrali mądrość największą i powiedzą wtedy o nich: Czyż to nie ci, których mieliśmy za głupców?

Możemy nawet już teraz powiedzieć sobie, że lepszą część obraliśmy od tych, co skosztowali owoców zakazanych. Oni nie są z tego powodu ani mędrsi, ani lepsi, ani szczęśliwsi. A jakże często dusze ich zwarzył mróz, spiekło słońce, okrył pył — skrzydła ich nawpół złamane nie pozwalają im wznieść się wysoko — ich zapał, radość, młodość, tylko są pozorne.

Co innego ten, co sobie może powiedzieć: karmiłem ducha swego szlachetną literaturą, **nie przeczytałem ani jednej złej książki!** Jemu nie zabraknie siły, energii i wytrwałości do

końca. Nawet chociaż stary latami, umysłem pozostaje młody; zapał młodzieńczy budzi w nim zawsze to, co wielkie, szlachetne i wzniosłe. Ból życia nie jest mu obcy, bo i radość przeplata dni jego, pełne treści życiowej. Przyszłość, wieczność nie przestrasza go, bo to nie obca kraina dla niego. On tak jest do niej zbliżony, gdyż już tu na ziemi rozkoszuje się tem Pięknem, Dobrem i Prawdą, które tam zobaczy, zrozumie i posiedzie w pełnej jasności i doskonałości nieograniczonej.

P o z n a ń, w październiku 1912 r.





## Spis rzeczy.

|   | Str. |
|---|------|
| I. Wstęp . . . . .  | 5    |
| II. Filozofia . . . . .                                   | 15   |
| III. Poezya . . . . .                                     | 50   |
| IV. Powieść i utwory sceniczne . . . . .                  | 64   |
| V. Dobre książki . . . . .                                | 100  |
| VI. Literatura dla dzieci i młodzieży . . . . .           | 112  |
| VII. Literatura naukowa . . . . .                         | 127  |
| VIII. O charakterze literatury pracy społecznej . . . . . | 141  |
| IX. O charakterze prasy . . . . .                         | 144  |
| X. Zakończenie . . . . .                                  | 150  |



## Sprostowania.

| <i>Str:</i> | <i>Wiersz:</i> | <i>Zamiast:</i>                                     | <i>Winno być:</i>  |
|-------------|----------------|---|--|
| 22          | 5 od dołu      | takaż   | taka   |
| 22          | 4 „ „          | rzeczywiście nie zdoła                              | rzeczywiście zdoła   |
| 27          | 2 od góry      | cynizmu   | cynizm   |
| 28          | 2 „ „          | czwiek  | człowiek   |
| 29          | 11 od dołu     | Chrystusowy   | Chrystusowej   |
| 39          | 2 „ „          | Vitor S. J. Reilgion                                | Victor S. J. Religion  |
| 52          | 2 od góry      | z niej  | z literatury   |
| 52          | 5 „ „          | wyjawiała   | wyjałowiała  |
| 74          | 7 „ „          | nakładzcy   | nakładcy   |
| 74          | 4 od dołu      | nakładzców  | nakładców  |
| 78          | 6 „ „          | miałyżby  | miałożby   |
| 85          | 14 „ „         | dla dorastającej                                    | dla dorosłych i dora-<br>stającej                                  |
| 89          | 12 od góry     | niepokoi  | niepokoi   |
| 90          | 9 od dołu      | tylko w naszym naro-<br>dzie; przynajmniej          | tylko, a przynajmniej<br>w naszym narodzie                         |
| 91          | 14 od góry     | przyrody; niebawem                                  | przyrody, oraz inne dzi-<br>waczne prądy litera-<br>ckie; niebawem |
| 91          | 16 „ „         | Futyryzmem nazywa się                               | Futyryzmem n. p. na-<br>zywa się                                   |
| 92          | 16 „ „         | zwierzęcą   | zwierzęcą  |
| 92          | 5 od dołu      | pohopnie  | pochopnie  |
| 95          | 5 od góry      | zagrozało żadne a za-<br>dne niebezpieczeń-<br>stwo | zagrozało z tej strony<br>żadne niebezpieczeń-<br>stwo             |
| 128         | 12 od dołu     | wymyśleć  | wymyślić   |
| 144         | 12 „ „         | obojętnemi  | obojętnymi   |
| 146         | 3 „ „          | je  | jej  |
| 157         | 4 od góry      | bo  | ale  |









KS. NIKODEM CIESZYŃSKI.

# KOŚCIÓŁ

## A NOWOCZESNY RUCH PRZECIWAŁKOHOLOWY.

SZKICE HISTORYCZNO-SPOŁECZNE

× × × Z PRZEDMOWĄ × × ×

KS. KAZIMIERZA NIESIOŁOWSKIEGO.



POZNAŃ 1914. NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA,  
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.

---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

## PRZEDMOWA.

---

Kościółowi katolickiemu robi się często zarzut, że nie posiada należytego zrozumienia dla zagadnień socyalnych, że owszem nieraz wrogie względem nich zajmuje stanowisko. Zarzut taki podnoszono także odnośnie do sprawy alkoholizmu.

Katolicy, nieobeznani gruntownie z nowoczesnym ruchem przeciwalkoholowym, byli nieraz w przykrem położeniu, gdy wskazywano im na wspaniałe rezultaty pracy na polu walki z alkoholizmem w krajach specyficznie protestanckich jak w Norwegii i Finlandyi lub na imponujące cyfry organizacyi przeciwalkoholowych, hołdujących zasadom indyferentyzmu religijnego jak n. p. Dobrych Templaryuszy i t. p. Na zapytanie: co Kościół katolicki na tem tak ważnem polu pracy socyalnej zrobił, następowało nieraz kłopotliwe milczenie. A przecież sprawa alkoholizmu nie jest i nie była nigdy Kościółowi obojętną. Z dumą może Kościół wskazywać na liczne zastępy swych sług, zwalczających alkoholizm z zaparciem się siebie, z apostołską nieraz gorliwością. A nie brak i owoców nieraz wprost zdumiewających.

Niestety, rzadko kto zdawał sobie z tego sprawę, prawdopodobnie z powodu zupełnej nieznajomości historyi ruchu przeciwalkoholowego, a może też i z tego powodu, że Kościół jest instytucją wszechświatową, trudno przeto wiedzieć, co w poszczególnych krajach działo się w walce z alkoholizmem.

Dlatego z uznaniem powitać należy pracę: Kościół a ruch przeciwalkoholowy. Cyfry i fakta skrzętnie przez autora zebrane dają najlepsze świadectwo prawdzie, że Kościół w dziedzinie walki z alkoholizmem spełnia swe zadanie prowadzenia dusz do nieba.

Kto uważnie przeczyta cenną pracę, odniesie pozatem jeszcze inne korzyści: zapozna się np. z historią ruchu antyalkoholowego, jako też z nowoczesną metodą zwalczania alkoholizmu.

Ci katolicy, którym się nieraz wydaje, że najnowszy ruch przeciwalkoholowy jakoś trudno pogodzić z duchem Kościoła, przekonają się ze zdumieniem, że ten ruch jednoczy pod swym sztandarem tysiące kapłanów katolickich i zakonników, że z zapalem go krzewili dostojnicy Kościoła, że nawet sami Namiestnicy Chrystusowi kilkakrotnie wiernym go polecali.

Autor pracy niniejszej pięknego i pożytecznego podjął się zadania i jestem przeświadczony, że z zadania dobrze się wywiązał.

*Ks. Niesiołowski.*



## **Duchowieństwo w krajach angielskich.**

Mathew i Manning.

---

Nowoczesny ruch przeciwalkoholowy podobnie jak każdy inny ruch społeczny zapowiadał się, nim wystąpił na widownię dziejową, w poglądach mężów, wybitnych swym rozumem praktycznym, bystrem okiem dostrzegających niebezpieczeństwo alkoholizmu. Za takich zwiastunów tego nowego prądu antyalkoholowego uchodzą Benjamin Franklin, który rozwodzi się w swojej „Autobiography” (V.) o szkodliwości piwa i przez cały ciąg życia trwa w abstynencyi, oraz Tomasz Jefferson, kierujący się jako prezydent w administracyi zasadami abstynenckimi.

W ich krajach zawrzała też niebawem walka z odwiecznym wrogiem — alkoholem, tem potężniejsza, im groźniejszym się stawał. Po niedostatecznych usiłowaniach złamania jego wpływu z pomocą Towarzystw wstrzeмиężliwości zawiązało się 1826 r. w Bostonie „Amerykańskie Towarzystwo abstynenckie” (The American Temperance Society).

Zasady nowe rychło przedostały się do Europy, a ponieważ i tu nie brakło ludzi w dal patrzących i pragnących zmiany na lepsze, wnet się przyjęły i rozpowszechniły. Prawdziwy „apostół wstrzeźliwości“ pojawił się w Irlandyi, genialny kapucyn z Corku.

Teobald Mathew<sup>1)</sup> urodził się 10. października 1790 r. w Thomastown<sup>2)</sup> w południowej Irlandyi. Odebrawszy staranne wychowanie i wykształcenie, wstąpił do zakonu Kapucynów. Wyświęcony 1814 r. na kapłana, dostał po krótkich studyach posadę w Kilkenny, a stąd powołano go do Corku, gdzie po niedługim czasie stał się ulubieńcem wszystkich dzięki wytrwałej obowiązkowości, hojnemu miłosierdziu i wytężonej pracy społecznej.

Gdy Mathew rozpoczął swą działalność, kraj znajdował się w okropnem położeniu. Wprawdzie od r. 1829 usiłowania O'Connela polepszyły stosunki polityczne, ale było potrzeba zupełnego odrodzenia na polu ekonomicznem.

Irlandczycy zepchnięci do stanowiska hebotów, wysługując się wszechmożnym lordom angielskim, szukali zapomnienia twardej doli w kieliszku i oddawali się ogólnie nałogowi pijaństwa podsycanemu przez wytwórczość kra-

---

<sup>1)</sup> Źródła: P. Cajetanus, P. Mathew. P. Mathew, Apostel Irlands, Von einem Priester der Erzdiözese Köln. Savoy: „Les trésors de la sainte abstinence“, str. 393—402. Bergmann: „Geschichte der Antialkoholbestrebungen“, str. 271—75. Mów: Metsju.

<sup>2)</sup> Mów: Tomestaun.



jową, polegającą przeważnie na wyrobie alkoholu we wielkich i licznych gorzelniach, bo kraj rolniczy hodował ogromne ilości ziemniaków. Połcwa Irlandczyków korzystała się przed demonem pijaństwa, któremu i młodzież ulegała. Kraj stał się krajem pijaków i żebraków. Potwierdzał to sam Mathew, gdy później w Londynie powiedział, że Irlandczycy do roku 1838 „byli najwięcej uciskany, ale też i najwięcej rozpojonym narodem na ziemi“.

Z pijaństwem kojarzyły się jeszcze inne dwa źródła nędzy: lenistwo i ciemnota. Do usuwania tych wad narodowych zabrał się Mathew z poświęceniem sobie właściwem.

Rozpoczynając pracę u podstaw, założył kilka szkół przemysłowych dla dzieci, by je zaprawiać do pracy i trzeźwości, zbierał datki i sypał nimi w około, zajmował się losem wykolejonych młodzieńców, słowem stał się „Ojcem ubogich“, jak go nazywano.

Należąc do grona kierowników Domu ubogich (Workhouse), stykał się bezustannie ze straszliwymi skutkami alkoholizmu. Większa część robotników, chroniących się do tego Domu, zawdzięczała nędzny swój los pijaństwu. Gorliwy kapłan czynił, co mógł, by zmniejszyć pijaństwo, ale skutek nie odpowiadał jego wytężonym staraniom. Począł się więc oglądać za bronią ostrzejszą, środkiem skuteczniejszym niż jest zwykła wstrzemięźliwość.

Podówczas istniało już w Corku towarzystwo abstynentów, składające się z nielicznych

członków-protestantów. Ożywieni jak najlepszymi chęciami, pracowali z energią, lecz bez powodzenia, bo lud katolicki nie miał do nich zaufania i zrażał się ostremi żądaniem. Na czele towarzystwa stał kwakier William Martin, współpracownik Mathewa z Domu ubogich. Widział on usiłowania Mathewa w rugowaniu pijaństwa, mówił mu często o zaletach towarzystwa spodziewając się, że pozyskaniem tak dzielnego człowieka dla sprawy ruch cały się wzmoże.

Po długim, sumiennem rozważaniu i żarliwej modlitwie, zwołał Mathew za zezwoleniem przełożonego pierwsze zebranie przeciw-alkoholowe.

Dnia 10. kwietnia 1838 r. zebrała się mała garstka, bo tylko 59 osób, późnym wieczorem w jednej ze sal szkolnych w Corku. Mathew przemówił z zapalem. Przedstawiwszy w jaskrawych barwach nędzę spowodowaną przez alkohol, a abstynencyę jako najlepszy środek zaradczy, określił plan swej działalności kończąc temi słowy: „Jeżeli nasze usiłowania uchronią choć jedną duszę od śmierci wiecznej, czyż dla tego już nie opłaci się rozpocząć! Rozważywszy sobie dobrze, jestem mocno przekonany, że ani wam ani mnie ani wogóle zdrowemu człowiekowi napój wyskokowy niepotrzebny. Proszę was tedy, pójdźcie za moim przykładem. Pierwszy wpisuję się w tę księgę tutaj i mam nadzieję, że w krótkim czasie się zapełni“. Wymawiając owe pamiętne sło-

wa: „Niechże tak będzie! W imię Boże!“ — sięgnął drżącą ze wzruszenia rękę po pióro i zapisał na pierwszej stronnicy: O. Teobald Mathew, ze zakonu Kapucynów.

Burza oklasków zerwała się w sali. Ścisniano dłoń dzielnego zakonnika, dziękując za rozpoczęcie zbożnego dzieła. Wszyscy zapisali się do szczęsnej księgi.

Taki był początek „Towarzystwa abstynencyi zupełnej w Corku“ (Cork total abstinence Society), początek owego ruchu, który w krótkim czasie ogarnął kraj cały i przeniósł się do Anglii i Ameryki i innych krajów, świat cały w podziw wprowadzając.

Poczęła się teraz wytrwała praca: zebrania, wykłady, przyjmowanie członków, a wszystko tak dziwne i wspaniałe, że zda się być bajką. Po niejakiś czasie bowiem towarzystwo Mathewa, jak pisze Savoy, liczyło 200,000 członków.

Sława o powodzeniu zakonnika rozeszła się po całej wyspie. Z wielu miast poczęto śłać posłów do Corku, prosząc Mathewa, by przybył. A Mathew ożywiony szlachetnym zapałem dla wielkiej idei, dla której chciał pozyskać jak najwięcej rodaków, rozpoczął swą wędrówkę od miasta Limerick.

Gdy przybył dotąd, tłumy nieprzejrzane z okolicznych miast i wiosek czekały już. Rozgorzał zapał nie do opisania, gdy zakonnik począł opowiadać o swych dążeniach i zachęcać gorąco do wstąpienia w szeregi tej nowej

armii. Naoczni świadkowie opowiadali, że tłumy porwane wymową zakonnika cisnąc się doń rozrywały szpaler, utworzony przez regiment szkocki, unosząc z ziemi konie i jeźdźców. Inni przechodzili po głowach i ramionach swych sąsiadów, by się tylko dostać do zakonnika. A on w szarym swym habicie stał spokojny pośród głów wiru z okiem pałającym, z uśmiechem czarującym. Sprawnie dzieląc niesformą ciżbę na grupy po kilkadziesiąt ludzi, wypowiadał donośnym głosem formułę zobowiązania: „Przyrzekam z pomocą Bożą wstrzymywać się od wszelkich napojów upajających“, a lud powtarzał ją chórem. W taki to sposób przyjmował Mathew zwykle nowych członków, wręczając im jeszcze na pamiątkę medal.

W czasie czterodniowej pracy w Limerick powiększyła się liczba jego zwolenników o 150,000.

I w innych miastach tysiące spieszyły na głos potężnego zakonnika, który przyjmowany i witany przez biskupów i władze świeckie, słuchaczy wprost czarował ognistą swą wymową. I tak w Lismore 25,000 złożyło przyrzeczenie, w Gort 40,000, w Ennis 30,000, w Loughrea<sup>1)</sup> 51,000, w Portumna<sup>2)</sup> 20,000, a w Dublinie nawet 178,000<sup>3)</sup>. Tutaj kazał pod gołem niebem i znowu zapal taki ogarnął słu-

---

<sup>1)</sup> Mów: Loree.

<sup>2)</sup> Mów: Portamne.

<sup>3)</sup> Bergmann podaje, że liczby te nie są przesadne, raczej za małe.

chaczów, że nawet zagorzali protestanci nie wahali się pójść za jego wołaniem. Szczególnie przejęli się jego zasadami studenci z protestanckiego „Trinity College“<sup>1)</sup>.

Mathew patrząc na potężniejący ciągle ruch, oglądał się za środkami, zapewniającymi mu trwałość na długie lata. Do tego potrzeba było szczególnie warstw oświecieńszych, któreby w głębokiem przekonaniu o doniosłości tego przedsięwzięcia wytrwale dlań pracowali i nie pozwolili na rozprzężenie. — W pierwszym rządzie postanowił zyskać młode duchowieństwo dla swej idei. Pospieszył więc do seminaryum do Maynooth<sup>2)</sup> i tu od razu 250 studentów razem z 4 profesorami stało się jego zwolennikami.

Stąd szła dalsza wędrówka po miastach i parafiach zielonego Erynu mianowicie w północnej jego części. Już 1842 r. mógł Mathew powiedzieć: „Z pomocą Bożą wzniosłem sztandar wstrzemięźliwości we wszystkich katolickich parafiach Irlandyi; Bóg hojnie pobłogosławił mej pracy“.

Znalazł on też niemałe poparcie między inteligencją świecką, a nawet między właścicielami gorzelni, chociaż im wielkie szkody wyrządzał. Do zwolenników skromnego zakonika zaliczali się mężowie tacy jak O'Connel, szlachetny „Oswobodziciel Irlandyi“, ksiązę Devonshire<sup>3)</sup>, lord Errington i inni.

---

<sup>1)</sup> Mów: Trinity kolidż — gimnazyum Trójcy św.

<sup>2)</sup> Mów: Mejnuts.

<sup>3)</sup> Mów: Diwenszajr.

Ruch ten narodowy liczący 1842 r. już 2 miliony zwolenników, zajaśniał jutrenką odrodzenia dla ludu irlandzkiego, jak o tem wymownie świadczą przemówienia biskupa Wisemana<sup>1)</sup>, późniejszego kardynała, opisy tych, którzy patrzeli na przemianę stosunków, a także dane statystyczne. Wytwórczość okowity o połowę się zmniejszyła, między robotnikami zapanowała pracowitość, w rodzinach rozpromieniało szczęście. Blocher podaje, że „liczba więźniów w śledztwie w latach od 1839—1841 z 36,392 zmalała do 21,790, a skazanych przestępców z 12,049 do 9297“.

Tryumfy zakonnika odbiły się głośnem echem na sąsiedniej wyspie i rychło poczęto ślać poselstwa po niego. Najpierw przeprowił się Mathew do Szkocyi, gdzie w stolicy kraju przez kilka dni z powodzeniem działał. Niebawem rozpoczął swój tryumfalny pochód w Anglii od środowisk przemysłowych Manchesteru<sup>2)</sup>, Leedsu, Hullu itd., aż wreszcie 1843 r. dotarł do Londynu, z radością oczekiwany i z entuzjazmem witany. Wieść o jego przybyciu rozeszła się lotem błyskawicy po olbrzymiem mieście, bo plakaty oznajmiały ją jako „glorious news“<sup>3)</sup>. Tłumy poczęły więc płynąć na zebrania katolickiego mnicha, a były tak wielkie, iż żadna sala nie mogła ich po-

---

<sup>1)</sup> Mów: Waizmena.

<sup>2)</sup> Mów: Menczesteru, Lidzu, Harlu.

<sup>3)</sup> Mów: glorjes njus — wspaniała wieść.

mieścić. Mathew musiał wiece urządzać pod gołem niebem.

Zazwyczaj trwało takie zebranie, jak podaje naoczny świadek ks. Seling, od 11 rana do samego wieczora z udziałem 10, 20, 50, a niekiedy i stu tysięcy. Przebieg był następujący. Najpierw przemawiał Mathew, a mówił nie dłużej jak pół godziny. Po nim zjawiali się na mównicy ludzie z różnych zawodów i warstw, opowiadając przeważnie zdarzenia z własnego życia. W czasie tego Mathew, stojąc przed mównicą, zgromadzał w około siebie chętnych i udzielając im błogosławieństwa, przyjmował do grona abstynentów. Wzruszające się tu nieraz rozgrywały sceny. Tak przybył z innymi młodziutki książę Norfolk, prosząc o medal. Mathew, znając go, zwracał jego uwagę na doniosłość postanowienia. Na to odrzekł książę: „Czyż Ojciec nie wie, że dziś miałem to szczęście przyjąć z rąk Ojca Komunię św.? Dobrze rozważyłem przedsięwzięcie swoje i za nie Bogu dziękuję i z Jego pomocą pragnę je wykonać“.

Wyteżona praca obfite przyniosła plony: 250 tysięcy nowych ochotników. Ze zadowoleniem wracał Mathew do ojczyzny.

Niespodziewane ciosy! Jego wydatki na podróże, jego szczodrobliwość dla ubogich obarczyły go niemałymi długami. Jakiś fabrykant kazał go aresztować w chwili, gdy w Dublinie przyjmował nowych członków. Na



wieść o uwięzieniu zakonnika, zebrano ową sumę dobrowolnemi składkami i uwolniono go.

Większe było nieszczęście, gdy głód i choroby zakaźne nawiedziły Irlandyę 1846 r. Ofiary tych klęsk liczono na 300,000. Mathew był teraz aniołem stróżem swych ziomków. Jego energia podwajała się, chociaż spostrzegał, jak jego wielkie dzieło poczęło się chwiać. Tem więcej się krzątał. Niósł pociechę religijną, naprawiał, co się popsuło, darzył datkami obfitymi, gdzie było potrzeba. Na jego ręce bowiem przysyłano całe okręty ze zbożem, z żywnością, jemu oddawano olbrzymie sumy do dyspozycji. — Dzięki niezmordowanej działalności uchronił towarzystwa abstynenckie od rozpadnięcia się, choć ruch cały niepowetowane poniósł straty.

Na ponowne, usilne zaproszenia pospieszył wreszcie, gdy kraj rodzinny po klęskach swych począł się dźwigać, do Ameryki. Na wieść o jego przybyciu wyjechał 2-go lipca 1849 r. lord prezydent Nowego Jorku na czele magistratu i deputacyi różnych towarzystw naprzeciw aż do Staten-Island<sup>1)</sup>), by irlandzkiego bohatera w tryumfie wprowadzić do świątecznie przybranego portu.

Po dwutygodniowej pracy w stolicy pospieszył Mathew do Bostonu, Filadelfii i Waszyngtonu<sup>2)</sup>), gdzie mu wyznaczono miejsce

<sup>1)</sup> Mów: Stejten Ajlend.

<sup>2)</sup> Jego pobyt w tem mieście dziś jeszcze przypomina katedra im. Mathewa, skąd rozbrzmiewają hasła przeciw alkoholizmowi.

w kongresie — odznaczenie, jakie tylko Lafayette i królów spotkało.

Zwiedził także Stany południowe i tu działał szczególnie między swymi ziomkami — wychodźcami. Obfitą w skutki działalność streszcza „New Vork Herald“, jak następuje: „Od dnia swego przyjazdu począwszy, zwiedził 35 Stanów Unii. W przeszło 300 największych miastach naszych założył stowarzyszenia wstrzeźliwości, a więcej niż pół miliona naszych współobywateli przeszło do jego zwolenników. W swych podróżach zrobił 37 000 mil (angielskich), które połączone z podwójnym przejazdem przez ocean składają się na drogę dwa razy tak długą jak podróż około świata. Chociaż dolegało mu cierpienie grożące śmiercią, gdyby zbyt się wysilał, nie życzył sobie ani chwili spoczynku. Na północy i południu, na wschodzie i zachodzie wszędzie spełniał, bardzo pilnie, pełen skromności, szczytne swe posłannictwo, podnosząc upadłych współbraci, z powrotem przywodząc synów marnotrawnych na łono społeczeństwa, przypominając ludzkości tę pocieszającą prawdę, że na ziemi nigdy nie zapóźno żałować swych grzechów i z nich się poprawić. Bez zarozumiałości i pychy faryzejskiej chodził ścieżkami swego posłannictwa, opowiadając podobny Boskiemu swemu Mistrzowi o wstrzeźliwości, sprawiedliwości i przyszłym sądzie“.

Długoletnie trudy stargały jego zdrowie,

apopleksya się powtórzyła, musiał więc wracać do ojczyzny. Za poradą lekarzy wyjechał na Madeirę, a ostatnie swe chwile spędził nad morzem w miasteczku Queenstown<sup>1)</sup>. Gdy się dowiedziano o groźnym stanie „Apostoła wstrzemięźliwości“, tłumy poczęły ściągać do jego mieszkania, a on bliski już śmierci z łoża niemocy wciąż jeszcze przyjmował przyrzeczenia gorliwych.

Umarł w uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. M. P. 1856 r.

Zwłoki jego sprowadzono do Corku i złożono je, jak sobie życzył, na „cmentarzu ubogich“, który sam kiedyś założył.

Wdzięczni ziomkowie wystawili mu 1864 r. pomnik, a 1890 r. obchodzono we wszystkich krajach i koloniach angielskich uroczyste rocznicę jego urodzenia.

W życiowej działalności tego niezwykłego męża najwięcej zaznaczyła się jego praca dla abstynencyi. Ona jest gwiazdą przewodnią jego dążeń, szczytną treścią jego działania, wcieleniem w czyn myśli Bożej, jaką Opatrzność o nim miała. A dziwnie się praca ta, prawie cudownie przejawia w czasie tej 19-letniej działalności. Z podziwu i zdumienia nie wychodzimy, czytając o tem powodzeniu olbrzymiem, prawie bajecznem tak, iż zdawałoby się nam, że to jakieś przesadne opowiadanie z romantycznego średniowiecza. A je-

---

<sup>1)</sup> Mów: Kinstaun.

dnak to kawał dziejów. Wnikając w charakter tego wielkiego męża, pojmujemy dobrze, że zasługiwał na takie błogosławieństwo Boże.

O sercu szerokiem umiał on zapłonąć tą potężną miłością dla ojczyzny i współbraci, o umyśle bystrym, obejmującym dalekie widnokreśli, umiał wnikać w głębię duszy ludzkiej, jej pragnienia i pobudki działania, umiał zrozumieć potrzeby społeczeństwa i zaradzić stosownymi środkami. Poznawszy, jak walecznym środkiem przeciw potędze alkoholizmu jest abstynencya, a środkiem niezbędnym, uchwycił broń tę z zapalem młodzieńczym w swe krzepkie dłonie i przez tyle lat aż do śmierci walecznie nią władał.

Nie był to jednak mnich sfanatyzowany swą ideą, nie mający wyrozumienia dla innych, postępujących inaczej, używających napojów alkoholowych, a może nawet zwalczających ruch abstynencki. Ani śladu z tego w życiu Mathewa. Zanadto był rozsądny, żeby nie wiedzieć, że fanatyzm szkodzi sprawie więcej niż pomaga, zanadto był przepojony miłością Chrystusową, by głównego jej znamienia nie wycisnąć na czynach swoich. Wszędzie występował umiarkowanie. Z ust jego słyszemy te zasadnicze słowa: „Jeżeli chwale abstynencyę i zapraszam wszystkich do wstępowania w nasze szeregi, to jednak nie ważę się ganić tych, którzy umiarkowanie używają napojów alkoholowych. Nie potępiam ich tak samo, jak św. Paweł nie potępił ucz-

ciwego małżeństwa. Ograniczam się tylko do powiedzenia, że chrześcijanin, obowiązujący się do abstynencyi od napojów upajających, nie rzeka się żadnej przyjemności prawdziwie jego godnej i że pobudki święte popychają nas, by współbraciom dawać przykład wstrzemięźliwości“.

Ułatwiało także jego pracę poparcie i życzliwość ze strony rządu. Mathew chciał, by ruch abstynencki nie wychodził poza ramy ściśle społeczne, więc unikał wszelkiej polityki, chociaż miał w swoim gronie O'Connela i Norfolka.

Wiedział dokładnie, jak naprężony stosunek Irlandyi do Anglii, miał przed oczyma walkę co dopiero stoczoną, pracował więc zawsze nad tem, by spokojnie i bez narażenia się potężnemu wrogowi podnosić naród moralnie i dodawać mu prawdziwych sił żywotnych. A wykonał to znakomicie. Jeżeli odrodzenie Irlandyi łączymy z osobistością O'Connela, to mamy tu na myśli odrodzenie polityczne. Tego uzupełnieniem zaś jest odrodzenie etyczne i ekonomiczne, jakie sprowadził Mathew. Jak tamten jest „Oswobodzicielem Irlandyi“, tak ten jest „Irlandyi apostołem wtrzeźmiewczości i największym dobroczyńcą“.

Najważniejszym jednak czynnikiem sprowadzającym pomyślność, to jego praca niestrudzona i wytrwała modlitwa. Mąż Boży nie oglądał się na swe zdolności: na dar wymowy i zmysł organizatorski, lecz nie ustawał

w ciągłych zabiegach. „Gorliwość żadnego misyonarza“, powtarza Savoy za Maguirem<sup>1)</sup>), pierwszym biografem Mathewa, „nigdy nie dorównała gorliwości Mathewa. Czy to jadąc pocztą czy koleją, czy na ulicy, czy w odwiedzinach, wszędzie O. Mathew zyskiwał zwolenników. A czynił to zawsze w sposób czarujący. Jeżeli zaś raz pozyskał, to już było na zawsze; to było zasadą Mathewa, że czuwał nad zwolennikami swymi pilniej niż skąpiec nad skarbami“.

Silę i otuchę, skromność i pokorę czerpał z brewiarza, którego nigdy nie opuszczał mimo nawалу pracy i zmęczenia, z rozmyślania i łączenia się z Bogiem wśród mszy św.

Gdy dziś po przeciągu półwiekowym patrzymy z historycznego oddalenia na pracę abstynencką Mathewa, poznajemy tak wydatnie jej ogrom.

Wszak to dopiero nikłe promyki nowego brzasku wschodzącego dla społeczeństwa rozbłysły w Ameryce, wszak ruch dla Irlandyi jakoby wcale jeszcze nie istniał, a tu ledwie wystąpił wielki ten organizator i jemu poświęcił swe siły, ruch ogarnął nie tylko całą Irlandyę, ale i inne kraje angielskie. Takich tryumfów, jakie jemu towarzyszyły, takiego porywania tłumów, ale i takiego poświęcenia próżnobyśmy szukali w dziejach abstynencji. Podziwiamy działalność Amerykanki Miss Willard, która

---

<sup>1)</sup> Mów: Magajrem.

w przeciągu 25 lat corocznie objeżdżała 44 stany, mając codziennie prawie wykład, która utworzyła towarzystwo kobiece przeciwalkoholowe i skupiała w niem 300 000 członków. Podziwiamy takiego Gougha<sup>1)</sup>, który pozyskał 200 000 zwolenników. Jakże to wszystko jednak niknie wobec tych milionów, które poszły za Mathewem!

Nie będziemy go porównywali z wielkimi postaciami historycznymi, ani mu wyznaczali jakiegoś wysoce zaszczytnego miejsca w dziejach kultury ludzkiej, ale posłuchajmy jeszcze, co o nim pisze jeden z najwybitniejszych duchownych protestanckich Ameryki, Channing<sup>2)</sup> z Bostonu: „Wątpić lub rozpaczać o postępie moralnym narodów byłoby zupełnie nierozsądnem. Opatrzność przedstawia nam obecnie w świetle jaskrawem powodzenie wysiłków podjętych dla odrodzenia narodów. Ludzie rozsądni i prawi starali się w ostatnim czasie położyć tamę nałogowi pijaństwa szerzącemu wszędzie więcej jeszcze niż inne nałogi nędzę i chorobę; ale cóż znaczy wysiłek ten ducha moralnego w porównaniu z pracą olbrzymią, która się dziś dokonywa poza oceanem?

Gdy przed kilku laty chciało się wymienić najnędzniejszy kraj, najwięcej pogrążony w bagnie pijaństwa, bez wahania wskazywało się na Irlandyę. Dziś powstaje nowa Irlandya; 5 000 000 przyjęło pledge, a małą jest liczba

---

<sup>1)</sup> Mów: Goua.

<sup>2)</sup> Mów: Czening.



tych, którzy go nie przyjęli. W handlu napojami wyskokowymi jest o cały milion Liv. st. (20 milionów marek) różnicy.

Niepomierne to wydarzenie, nic podobnego nie znamy w dziejach, a przywódcy tego ruchu O. Mathewowi należy się miejsce ponad bohaterami, mężami stanu.

Chociaż my jako protestanci przeczymy prawu wliczania umarłych między Świętych, tu jednakże mamy sługę Bożego, który w nagrodę za swe zasługi powinien być kanonizowany, którego imię winno być umieszczone w kalendarzu blisko imion Apostołów“.

A O'Connel w Londynie tak streścił zasługi zakonnika: „Imię „Mathew jest rzeczywiście słowem czarodziejskiem! Jak ma Irlandya godnie wyrazić podziękowanie O. Mathewowi! Słowa są niczem, gdy chodzi o takie uczucie. Tęczy pokoju na niebie i promieni złotych słońca nie można odmalować“.

„Kościół katolicki w Anglii“, — pisze Bergmann — „nie ustępuje innym stowarzyszeniom religijnym. I on gorliwy brał udział w zwalczaniu alkoholizmu. Widzieliśmy już, jak w Irlandyi katolicki kapłan umiał cały naród zapalić do wspólnego działania i wywołał tam ruch, nie mający sobie równego. Pozyśkanie szczególnie angielskich katolików dla walki z alkoholizmem, to wielka zasługa kardynała-arcybiskupa Dr. Henryka Manninga“.

Henryk Edward Manning<sup>1)</sup> urodził się dnia 15 lipca 1808 r. w Copped Hall<sup>2)</sup> w pobliżu Totteridge, w hrabstwie Herfordshire ze starożytnej rodziny anglikańskiej. Zamożni rodzice starannie wychowywali zdolnego, żywego chłopca, kształcąc go najpierw w Totteridge, później w Harrow<sup>3)</sup>, gdzie się odznaczał jako dzielny sportowiec i lubownik klasyków greckich i łacińskich. Poświęcając się karierze urzędniczej, poszedł na studia prawnicze do Oxfordu (1827 r.). Tutaj obudził się w nim duch religijny. Począł się zagłębiać w zagadnienia religijne, czytywać Pismo św., unikać hałaśliwych towarzystw, aż wreszcie przerzucając się na teologię został wyświęcony na księdza anglikańskiego (1832 r.).

Pierwsza posada to Lavington, ważna w rozwoju życiowym młodocianego duszpastersza. Pod okiem rektora Sargent z zapalem oddawał się pracy. Zostawszy po śmierci jego następcą, ożenił się (1833 r.) z córką jego Karoliną. Po nader szczęśliwem, lecz krótkiem bo czteroletniem pożyciu, przerwanem śmier-

---

<sup>1)</sup> Mów: Mening. Źródła: Bergmann, op. cit. str. 289 i 290. — Savoy, op. cit. str. 419—30. — Gasquet, Cardinal Manning. — Father J. Morris, Artykuł o Manningu z czasopisma „Month“. — Dr. Werthmann: „Bilder aus der katholischen Mässigkeitbewegung“. Charitas II. 38. — Volkswohl 1904, str. 37. — Bachem Staatslexikon 3, 1216—27. — Miesięcznik III, 170. Sobrietas 1907 r., 14 str. — Kegan Paul, „The Temperance Speeches of Cardinal Manning“. Przegl. powsz., r. 1911, str. 20.

<sup>2)</sup> Mów: Kopet Horl, Totteridż, Herfordszajr.

<sup>3)</sup> Mów: Harrou, Lewington, Sardżent.

cią żony, tem gorliwiej oddał się Manning duszpasterstwu i studyom.

Odwiedzając parafian, zajmując się ich potrzebami, szukając lekarstwa na ich niedolę, nabrał tego szerokiego doświadczenia społecznego, jakie później wszystkich w podziw wprowadzało. Równocześnie zagłębiając się w Ojców Kościoła i pisarzy scholastycznych, oraz studia społeczne, począł zabierać głos w różnych zagadnieniach i już w tym okresie stał się jednym z leaderów w kościele anglikańskim.

To też nikogo nie zadziwiło, gdy Manninga 1841 r. mianowano archidyakonem w Chichester<sup>1)</sup>). Na nowem stanowisku nowa praca — nowy budziła zapal, wielostronne zajęcia odpowiadały jego umysłowi wielostronnemu, nie przeszkadzając bynajmniej życiu asketycznemu. Biskup Philpotts już teraz przepowiadał mu wielką przyszłość: „W trzech mężów naród nieczadługo wpatrywać się będzie, Manninga w kościele, Gladstona w państwie, Hopa w prawie“.

Tymczasem ujawniać się począł w pismach Manninga zwrot ku katolicyzmowi, wobec którego nigdy nie zajmował wrogiego stanowiska. Opisuje, jak na niego, gdy zwiedzał Rzym, podziałało nabożeństwo z wystawieniem w kościele św. Ludwika: „Czułem się wzruszonym w cudowny sposób. Pierwszy

---

<sup>1)</sup> Mów: Cziczester.

raz w życiu pojąłem, że prawda może być po stronie katolicyzmu i odtąd nawrócenie moje nie wydawało mi się już niepodobieństwem“.

Nie od razu się jednak zdecydował, potrzeba było jeszcze długich rozmyślań i studyów. Do zupełnego zrozumienia prawdy posłużyły mu „*Loci theologici*“ Melchiora Canusa.

Podziękowawszy wreszcie za urząd i zamieszkawszy u siostry w Londynie, konwertował razem z przyjacielem 6. kwietnia 1851 r., przyjmowany na łono Kościoła przez jezuitę Brownbilla<sup>1)</sup>. Dnia 14 czerwca udzielił mu kardynał Wiseman święceń kapłańskich.

Po trzechletnich studyach w Rzymie odebrał z rąk Piusa IX., który go bardzo polubił, doktorski dyplom, poczem wrócił do Anglii, by tu rozpocząć pracę już zupełnie w duchu katolickim.

Tak założył 1856 r. kongregację świeckich kapłanów, Oblatów, na której czele sam stanął, z siedzibą w Bayswater<sup>2)</sup>. Równocześnie pracował w duszpasterstwie i literaturze, mianowicie jako współpracownik czasopisma „*Dublin Review*“.

Po śmierci Wisemana wybrano go na arcybiskupa westminsterskiego 1865 r., a 1875 r. mianował go papież kardynałem.

Olbrzymia i ludzkie siły prawie przechodząca była działalność konwertyty-kardynała. Poważany i lubiany w wyższych warstwach

---

<sup>1)</sup> Mów: Braunbirł, Uajzmen.

<sup>2)</sup> Mów: Bejzuoter, Dablin Rewju.

narodu, żyjąc w ścisłych stosunkach z wybitnymi jego przedstawicielami, czynny brał udział w przejawach społecznych, nieraz wy-ciskając własne piętno na dziełach wielkich. Z drugiej strony przejmując się niedolą upośledzonych przez los i ludzi, poświęcając im dużo sił i czasu, zasłużył sobie na wzniosłe przydomki „Biskupa ubogich“, „Kardynała robotników“. Niespożytą swą energią, znakomitemi zdolnościami, szerokiem sercem ogarnął on całokształt kwestyi społecznej, w każdej jej części wybitne zajmując stanowisko.

„Najściślej z jego biskupio-kościelną działalnością łączyła się jego nadzwyczajna praca charytatywna, prywatna i publiczna, jego życiowa walka z alkoholizmem, której poświęcił swe najlepsze siły tak ciała jak ducha“.

Odkąd został arcybiskupem, rozpoczął okres swej długiej walki z tą chorobą społeczną. Wprawdzie już w Lavingtonie mamy początki nieznaczne tej walki, ale tu jeszcze Manning nie poznawał tego ogromu zła, sprowadzanego przez alkoholizm. Dopiero gdy w ciągu lat 1853 i 54 gruntownie przestudyował kwestyę alkoholową, zrozumiał, że i jego obowiązkiem przyłożyć rękę do jej rozwiązania. Założył więc 1867 r. stowarzyszenie wstrzemięźliwości, miewał po wiecach i zebraniach wykłady, dokładniej badał nędzę alkoholową i środki zwalczania. Stykając się z klasą robotniczą, w której ta nędza najjaskrawiej się przejawiała, dostrzegł rychło, że wstrzemięźliwość zwykła nie

wystarczy, że potrzeba środka ostrzejszego, że potrzeba abstynencji. Aby głosić abstynencję, musiał sam być jej zwolennikiem. Został nim w 1872 r., mając blisko 65 lat, a sam opowiada, przy jakiej sposobności: „Proszono mnie, bym miał dla robotników naukę o alkoholizmie. Mówiąc do nich nie mogłem inaczej powiedzieć jak: zostańcie abstynentami! Jedyne to sposob, jaki mógł im przynieść korzyści. Nie mogłem im jednak tego powiedzieć nie dodając, że sam zostałem abstynentem i ot, dla czego nim zostałem“.

A zostawszy zwolennikiem abstynencji z poświęcenia, wniósł poświęcenie w pracę dla tej idei. By połączyć duchowieństwo i lud w potężną armię przeciw alkoholizmowi, założył 1873 r., „Ligę krzyża“ (The Catholic Total Abstinence League of the Cross). Otóż jak opowiada o powstaniu tej armii w swej mowie z 10. 10. 1876 r.: „Na zebranie zeszły się tłumy z wszystkich stron Londynu. Zacząłem: „Któż tu z was wziął pledge z rąk O. Mathewa“ i jakieś 20 rąk się podniosło. „Powiedzcie mi“, ciągnąłem dalej, „co mamy czynić, by odnowić u nas jego dzieło?“ Odpowiedź brzmiała: „Zawołać na duchowieństwo, by stanęło na czele i nam przewodziło!“ „Nigdy nie będę zachęcał“, mówiłem, „kogoś, do czego sam nie jestem przekonany, a ponieważ to moim obowiązkiem jako biskupa i pasterza waszego, będę sam waszym przywódcą“. „Sądzę, że słowa dotrzymałem i nie

złamię go przy Bożej pomocy. A jakie owoce? Mielśmy wiele zebrań i wielu gorliwych kapłanów założyło towarzystwa w swych parafiach. Nasza liczba wzrastała i nasze dzieło się wzmacniało.“<sup>1)</sup>)

Ponieważ Liga krzyża jest jedna z najważniejszych organizacyi katolickich we walce z alkoholizmem i ponieważ inne nieraz się na niej wzorowały, warto się zapoznać z jej zasadami. Podstawowe są cztery:

„1. Zupełna abstynencya jest obowiązkiem dla członków a biorą go na siebie bez ograniczenia czasu.

2. Tylko katolicy mogą być członkami Ligi.

3. Wszyscy członkowie Ligi obowiązują się wieść życie katolickie.

4. Katolik nie praktykujący nie może piastować żadnego urzędu, ponieważ nie spełnia swych obowiązków religijnych“.

Inne najważniejsze artykuły regulaminu:

„Wstępuje się do towarzystwa, obowiązując się zwykle klęcząco przed krzyżem temi słowy: „Przyrzekam Tobie, Ojczy duchowny, i Lidze krzyża wstrzymywać się z pomocą Bożą od wszystkich napojów upajających.“ — A można dodać: „Przyrzekam także wiernie pełnić obowiązki religijne“.

„Zobowiązanie to nie jest przysięgą ani ślubem i samo przez się nie wiąże pod grze-

<sup>1)</sup> The Temperance Speeches str. 18.



chem. Jednakowoż byłoby grzechem złamać to zobowiązanie dla tych, którzy wiedzą, że przez to wystawiają się na niebezpieczeństwo niewstrzeżliwości. Choćby tego niebezpieczeństwa nie było, związani zobowiązaniem, nie powinni nigdy z pod niego się wyłamywać, wyjąwszy przypadek, gdzieby z ważnych przyczyn było dla nich lepiej, doń się nie stosować“.

„Przewodniczącym centralnej organizacji Ligi krzyża w Londynie jest kardynał-arcybiskup westminsterski“.

„Każdy oddział w Londynie ma kapłana za przewodniczącego, który najczęściej, chociaż to nie jest nieodzownym warunkiem, sam jest abstynentem; ma on do pomocy wiceprezesa kapłana lub świeckiego, zarząd i innych urzędników“.

„Oddziały mają zebrania zwykle co tydzień. Mają także swe przepisy, ćwiczenia pobożne jak uczęszczanie do sakramentów świętych itd.“

„Każdy oddział posiada, jeśli to możliwe, własny sztandar i własną kapelę. Pewna liczba mężów wybranych składa się na gwardyę honorową kardynała“.

„Sztandary mają po jednej stronie obraz patrona parafii. Muzykanci muszą być abstynentami i członkami Ligi“.

„Ponieważ Liga nie jest towarzystwem politycznem, nie wolno sztandarów i innych odznak używać na zebraniach politycznych“.

„Wielką uroczystość doroczną Ligi obchodzi się w Kryształowym pałacu w Londynie“.

„Zorganizowano także wielką liczbę oddziałów Ligi dla dzieci, które się tylko za zezwoleniem rodziców wpisują. Co miesiąc mają swe zebrania z osobnymi nabożeństwami“.

„Kościół udzielił Lidze odpustów zupełnych i cząstkowych“.

Kardynał Manning był duszą Ligi. Przekonany o konieczności pracy abstynenckiej, którą ma się nie tylko ratować z pijaństwa, ale także chronić młode pokolenie przed niem, chętnie i gorliwie jej się poświęcał. Jeżeli mu choroba nie przeszkadzała, przewodniczył walnym zebraniom Ligi miejscowej, a gdy się nie mógł stawić, posyłał list umyślny.

Jego zapal udzielał się duchowieństwu, które gromadnie dążyło za arcybiskupem. On sam wystawił mu chlubne świadectwo w liście z 1878 r.: „Jestem zobowiązany wyrazić Wam moją głęboką wdzięczność za wytrwałość i gorliwość, z jaką krzewicie i ożywiacie Ligę krzyża. Bez Waszej pomocy i opieki nigdyby takiego powodzenia nie miała“.

Szczególnie dzielnych pomocników znalazł kardynał w ks. Nugent<sup>1)</sup>, z którym wspólnie był rozpoczął agitację, dalej w OO. Lockhart i Richardson, a także w ruchliwym mimo sędziwego wieku Ryszardzie Collin.

Dzięki temu poparciu mogła się Liga krzyża rozrość w jedną z najpotężniejszych organi-

<sup>1)</sup> Mów: Nadżent, Lokhart, Ryczartson.

zacyi przeciwalkoholowych. Toć już cztery lata po założeniu liczyła 58 000, jak podaje sam Manning, a 1886 r. składała się z 160 oddziałów, rozsianych po wszystkich krajach angielskich.

Wspaniałemi manifestacyami Ligi i wogóle ruchu przeciwalkoholowego były doroczne uroczystości Ligi. Naoczni świadkowie nie mogą się dość nachwalić piękności takiego pochodu towarzystw londyńskich, opowiadają o malowniczości tłumu przesuwającego się po brzegach Tamizy przy dźwiękach muzyki do pałacu kardynała, opowiadają o wzniosłej chwili, kiedy wszyscy na klęczkach przyjmowali błogosławieństwo z rąk jego, opowiadają, jak potem przez dwie godziny trwał pochód mimo kardynała, z radością przeglądającego swe szeregi i jak wieczór kończono koncertem, wykonanym przez trójtysięczny tłum malców, chłopców i dziewczek.

Mimo podeszłego wieku kardynał nie ustawał w pracy. Roku 1890 na synodzie westminsterskim przedłożył biskupom angielskim 9 rezolucyi, które przyjęli jako to:

„1. Ofiarowanie mszy św. i wystawienia N. S. na intencję wytępienia pijaństwa, wytrwania abstynentów, krzewienia cnoty wstrzeźliwości.

2. Odmawianie co tydzień różańca na tę samą intencję.

3. Praktykowanie jakiegoś umartwienia w picu pod kierownictwem i za zezwoleniem spowiednika.

4. Unikanie knajp i innych wyszynków.

5. Wstrzymanie się od wina i każdego napoju upajającego w piątki i soboty na cześć cierpiącego Chrystusa i boleści Maryi.

7. Wstrzymywanie się zupełne od napojów palonych.

8. Zobowiązanie do wstrzymania się od wina i innych napojów upajających na rok cały.

9. Zobowiązanie się do tego już na całe życie“.

Rezolucye te, jak uchwalił synod, mają być czytane z kazalnicy w pierwszą niedzielę każdego miesiąca.

Gorliwy kardynał, tworząc osobne towarzystwa dla dzieci, był przekonany, że mianowicie na młodem pokoleniu cały ruch oprzeć się musi, jeżeli ma mieć powodzenie. Dalej pragnął te dziatki, które gorąco kochał i dla których wychowania i wykształcenia tyle zdziałał, uchronić przed zepsuciem alkoholowym. Stąd odzywa się już pod koniec życia w osobnym liście do rodziców, zostawiając im cenne rady, dotyczące wychowania. Między innemi czytamy tam:

„Gdyby rodzice tego pokolenia byli wychowani we wstręcie do alkoholu, ogniska domowe krzewiłyby dzisiaj wstrzeźliwość, poszanowanie powagi rodzicielskiej i przywiązanie dzieci do tych, którzy im dali życie. Jeżeli dzieci dzisiejszej doby wychowają się w abstynencyi, ogniska domowe i rodzice przyszłego pokolenia zakwitną szczęściem.

Z tych i wielu innych względów, o których mówić terazbym nie chciał, proszę gorąco rodziców, by wychowywali swe dzieci zdala od pokus i znajomości z alkoholem. Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Nie dajcie dzieciom alkoholu, oddalajcie od nich i pokusy. Namawiajcie je, by nie brały do ust napoju alkoholowego, pozwólcie im zapisywać się do Ligi dziecięcej. Nasi dobrzy duszpasterze przyjmą je za waszem zezwoleniem, a w domu będziecie czuwali, by je ustrzedz od wszystkich rzeczy, jakieby im przeszkadzały w dążności do życia lepszego. A to będzie dla nas pocieszeniem w ostatniej godzinie.

Kardynał Manning“.

Wielką tę gorliwość kardynała zrozumiećmy należycie, gdy poznamy jego wzniosłe poglądy na abstynencję. One właśnie ogrzewały jego zapał i ze starca czyniły młodocianego bojownika w tej szczytnej sprawie, one określają wogóle wartość abstynencji jako czynnika etycznego i społecznego, wskazują, jak ją pojmować trzeba. Według pojmowania kardynała, który powiedział: „Gdybym nie był złożył przyrzeczenia abstynenckiego, nie ważyłbym się stanąć przed mym Stwórcą“, jest abstynencya dzielnym środkiem w ręku duszpasterza. Jak wyrażnie to wypowiada: „Teraz, kiedy stoję nad grobem, czuję jeden tylko wyrzut t. j., że nie zająłem się rychlej dziełem abstynencji. Poprzednie lata uważam prawie za stracone wprowadzie nie przed Bogiem,

ale ze względu na wynik pracy około podniesienia klasy robotniczej. Rzeczywiście, napróżno polepszać będziecie płacę, jeżeli stosunkowo więcej płynąć będzie wydatków na alkohol“.

Musiała jednak ta walka z alkoholizmem namacalnie przynosić korzyści, jeżeli ten, który tyle pracował społecznie i tą pracą tyle złagodził niedoli, powiedział o abstynencyi: „Muszę przyznać, że nic w mem życiu publicznem nie przyniosło mi większego zadowolenia, jak praca moja podjęta dla krzewienia abstynencyi“.

To też i w ostatniej chorobie nie przyjął mimo nalegań lekarzy wina, wierny abstynencyi do ostatniego tchnienia.

Umarł 14 stycznia 1892 r.

\*

\*

\*

Dwie czyste, świetlane, potężne postaci przed nami, ich praca i zasługi około wskrzeszenia ruchu etycznego, pragnącego ulgę przynieść ludzkości.

Rozpatrywaliśmy wpływ Mathewa na rozwój ruchu w krajach angielskich i w Ameryce; wpływ ten jednak dalej sięgał i sięga. Znaczenie jego dla ruchu abstynenckiego nie było chwilowe.

Nasamprzód przeszczepił Mathew ruch ten na grunt katolicki i wycisnął na nim to potężne znamię ducha Chrystusowego. Ruch, jaki w Ameryce się rozpoczął, był ruchem nie tylko społecznym, ale i etycznym a stąd było po-

trzeba, żeby Kościół wobec niego przychylnie zajął stanowisko.

I wstąpił O. Mathew w imię tych nowych dążeń, poświęcił im wszystkie swe siły i pokazał światu, ile blasku i potęgi Kościół w dzieło dobre wlać może, boć siłę swą czerpał skromny zakonnik właśnie ze zasobów Kościoła. Pierwszy jednakże zajmując się tym ruchem, a mianowicie w tak wybitny sposób, stał się „Ojcem ruchu katolickiego przeciw alkoholowi“.

Jako troskliwy geniusz nie tylko stał u jego kołyski, ale blaskiem swych zdolności i gorącym poświęceniem wpływał na rozrost jego i rozwój po całym świecie katolickim. Śledząc ruch katolicki spostrzegamy, jak niektórzy wielcy jego przedstawiciele, porwani byli właśnie przykładem dzielnego zakonnika. W Belgii Mathewa śladami idzie ks. Senden, ks. Seling w Niemczech czerpie wprost ze źródła swój zapal, w Galicyi ks. Antoniewicz zapala się do walki na wieść o powodzeniu irlandzkiego bojownika. A i najnowszy ruch katolicki wspiera się na działalności tego „Apostoła wstrzemięźliwości“, ogląda się na słup ten świetlany, który znaczy drogę w przyszłość lepszą i zagrzewa do czynu i postępu.

Tak zagrzał on też i kardynała Manninga. Zasługą jego to właśnie podjęcie tej idei Mathewowej, częściowo zapomnianej po jego śmierci. Gdy kardynał rozpoczynał działalność abstynencką w Londynie, z 11 stowarzyszeń założonych przez Mathewa pozostały tylko



dwa, ale już w roku 1878 było ich przeszło 20, a w pogrzebie kardynała brało udział z samego Londyna 28,000 abstynentów.

Zasługą dalszą Manninga, że poznawszy potrzebę abstynencyi, tak potężnie umiał ją w wielkiem stowarzyszeniu zastosować. Zasługą jego, że mimo swego różnorodnego zajęcia tyle okazał poświęcenia całej sprawie. Jeżeli więc Mathew wskrzesił ruch katolicki, to Manning jako godny jego następca starał się naprawić, co ubytek Mathewa zepsuł i czuwał nad dalszym rozwojem ruchu.

Wielkie jest także znaczenie Manninga dla ruchu abstynenckiego i z tego względu, że on, społecznik *par excellence*, uznał potrzebę jego, wykazując jasno, że kwestya społeczna nie może być rozwiązana bez rozwiązania kwestyi alkoholowej; a kwestyi alkoholowej rozwiązać nie można za pomocą zwykłej wstrzemięźliwości, lecz potrzeba abstynencyi. A co „jego logiczny umysł i zdrowy sąd uznał, jego silna wola, jego szlachetne serce, jego życie askeetyczne, szerega znajomość stosunków, dar ujmowania sobie innych dla dobrej sprawy“ genialnie wcieliły w czyn i stworzyły te tysiące bojowników dobrze zorganizowanych i dobrze ćwiczonych.

Ruch katolicki antyalkoholowy ogrzewa się więc nie tylko słońcem zapалу Mathewowego, ale oryentuje się także przy świetle szerokiego światopoglądu Manninga. Jeżeli tacy dwaj geniusze podali sobie dłoń do wspólnego dzieła,

spodziewać się można, że duch ich przez wieki ożywiać będzie to dzieło.

\*

\*

\*

Jakkolwiek ruch ten olbrzymi, jaki ogarnął około 1840 r. Irlandyę, nie utrzymał się w swej potędze z powodu klęsk politycznych i ekonomicznych, to ślady działalności Mathewa jednakowoż jeszcze dziś widoczne szczególnie w szeregach duchowieństwa. W najnowszych czasach księży abstynenci połączyli się w „Stowarzyszenie O. Mathewa“. Przewodniczącym był Mgr. Clauchy<sup>1)</sup>, biskup z Elphinu, który przykładem swym pociągnął za sobą 40 kapłanów. Roku 1905 liczyło stowarzyszenie 265 członków, a rok później już 365. R. 1911 pisze ks. Schoonjans, że trzecia część duchowieństwa zachowuje abstynencyę.

Działalność tego duchowieństwa też wybitna, objawia się w kierownictwie olbrzymich towarzystw. Najwspanialej rozwija się: „Le Father Mathew O. S. F. C. Hall“, stowarzyszenie pod kierownictwem OO. Kapucynów, a mianowicie O. Alojzego. OO. Jezuici zdołali zebrać organizacyę abstynentów-pionierów, która 1910 r. liczyła już 160 000 członków, duszą jej O. Cullens, autor świetnego „Katechizmu wstrzemięźliwości“. Oprócz tych dwóch najważniejszych istnieje jeszcze sporo innych stowarzyszeń, gdzie duchowieństwo owocnie pracuje.

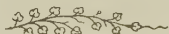
---

<sup>1)</sup> Mów: Klouczy, Elfinu.

Podobnie i w Anglii duchowieństwo ze zapałem działa w duchu Manninga. Dzielnym jego następcą w kierownictwie Ligi był kardynał Vaughan, który w znakomitem dziełku swoim „The Young priest“, (Młody kapłan) zachęca duchowieństwo do abstynencyi.

---

<sup>1)</sup> Mów: Dse jang prist, Wogen.



## Duchowieństwo amerykańskie<sup>1)</sup>.

---

Kościół amerykański, znany ze swego świetnego rozwoju mianowicie przy końcu 19-go stulecia bacznie zwraca oko także na alkoholizm i niemałe położył już zasługi około jego zwalczania. Jakkolwiek już 1660 r. Mgr. Laval stanowczo wystąpił przeciw nadużyciom alkoholizmu, zakazując handlu napojami upajającymi, jakkolwiek w dwa wieki później O. Mathew przebiegał szerokie Stany Zjednoczone, prawdziwy ruch w kołach duchowieństwa rozpoczął się dopiero około r. 1880. Wskrzesał go Mgr. Taschereau, arcybiskup z Quebecu<sup>2)</sup>, występując ze zdumiewającą śmiałością przeciw temu złu społecznemu, jakim jest alkoholizm.

Rysem znamiennym walki antyalkoholowej w Ameryce, to poparcie ze strony władz państwowych przez stosowne prawa: czy to

---

<sup>1)</sup> Źródła: Savoy, op. cit. str. 416—19, str. 449—54. Szlagowski, „Leon XIII.“ Brewe Leona XIII tłumaczone z niemieckiego. L'Autre Cloche z Leodyum 1910. Priest's Total Abstinence League of America, Statement. Abstynent z Chicago R. I. 1911 r.

<sup>2)</sup> Mów: Kwibek.

przez system licencyi (high licence) czy też przez prohibicyę. System licencyjny polega na tym, że handel alkoholem dozwolony tylko za wysokimi opłatami, podczas gdy prohibicya zakazuje w ogóle sprzedaży alkoholu<sup>1)</sup>, wzorując się na prawie, przeprowadzonym przez generała Neal Dowa<sup>2)</sup>, w stanie Maine w 1851 r.

Wyrażną wzmiankę tych praw znajdujemy w dekretach VI. synodu prowincjonalnego odbytego w 1882 r. w Quebec: „Władza świecka ustanowiła pewne prawa dotyczące podatku za koncesyę i sprzedaż napojów wyskokowych... Osób, które sprzedają bez zezwolenia, nie wolno do sakramentów przypuszczać“.

Na tym samym synodzie biskupi, skarżąc się na upadek towarzystw wstrzeźliwości, zachęcali do rozniecenia świętego zapału w zakładaniu nowych towarzystw i „ożywianiu ich za pomocą kazań, uroczystych mszy i innych środków“, odzywając się między innymi: „Każdy powinien należeć do tych pięknych towarzystw: umiarkowani, by trwać w cnocie, świecić przykładem, pijaków zagrzewać do poprawy; nieumiarkowani, by zerwać pęta swych nałogów, naprawić życie przeszłe i utwierdzić się w dobrych postanowieniach“.

Odtąd kwestya alkoholowa stała się żywotną, a omawianie jej powtarza się na zjaz-

---

<sup>1)</sup> 1907 r. 33 miliony żyły pod opieką prawa prohibcyjnego, jak podaje Helenius.

<sup>2)</sup> Mów: Nil Dawa, Mejn.

dach duchowieństwa amerykańskiego. Na szczytne wspomnienie zasługuje tu III. synod plenarny zwołany 1884 r. bulą Leona XIII „*Rei catholicae incrementum*“ do Baltimore. Obradami kierował delegat apostolski, arcybiskup Gibbons<sup>1)</sup>; udział brało prócz licznych prałatów i przełożonych zakonnych 13 arcybiskupów i 57 biskupów. W sprawie walki z alkoholizmem, który według słów dekretu do największych należy klęsk, zapadła uchwała, popierająca towarzystwa wstrzeźliwości i polecająca sprawę opiece duszpasterskiej. Otóż, co mówi: „W najpierwszym rzędzie (*En tout premier lieu*) liczymy na pomoc duszpasterzy, którym Bóg powierzył opowiadanie słowa żywego i utwierdzenie w dobrych obyczajach. Niechaj więc kapłani nieustannie nawołują do walki z nadużywaniem napojów, do walki ze sposobnościami wiodącemi do nadużywania; niechaj głos ich zespolony się rozlega, a rozlega potężnie, szczególnie na misyach parafialnych!“

Nie poprzestają zgromadzeni na samem nawoływaniu i przytaczaniu stosownych miejsc z Pisma św., ale podają środki praktyczne, ostre, które zło u korzeni mają podciąć:

„Idąc dalej na drodze wytkniętej, przez poprzednie synody baltimorskie i opierając się na nauce Doktora anielskiego<sup>2)</sup> aprobujemy i pole-

---

<sup>1)</sup> Mów: Dżibens.

<sup>2)</sup> Św. Tomasz 2a, 2ae q. 149, art. III. W tym artykule z napisem „*Utrum usus vini totaliter sit illi-*

camy gorąco chwalebny zwyczaj tych, którzy za naszych dni wstrzymują się zupełnie od używania napojów wyskokowych, aby tem pewniej wyprzeć plagę alkoholizmu, czy to uchylając się od sposobności czy też dając innym piękny przykład wstrzemięźliwości. Ich zapal, jak to chętnie głosimy, płynie z przekonania i zrodził już piękne owoce, a w przyszłości pewnie jeszcze piękniejsze zrodzi“.

Chwałą potem takie stowarzyszenia, jak „Unię katolicką“, łączącą zasady abstynencyi z intensywnem życiem religijnem. Oberżystów zaś ostrzegają, by nie nadużywali sposobności i nie dawali napojów młodzieńcom i ludziom takim, którzy ich prawdopodobnie nadużyją, wreszcie żądają zamknięcia składów podczas niedzieli.

Synod III. baltimorski jest ważnym wydarzeniem w ruchu antyalkoholowym. Solidaryzując się bowiem z ruchem abstynenckim w obozie protestanckim, głosi on całej Ameryce katolickiej potrzebę zupełnej wstrzemięźliwości czyli abstynencyi, podkreśla doniosłość stowa-

citus“ rozstrzyga autor kwestyę, w jakim stosunku stoi używanie wina do mądrości, bez której nie można się zbawić, w następujący sposób: „Sapientia potest haberi dupliciter. Uno modo secundum modum communem, prout sufficit ad salutem: et sic non requiritur ad sapientiam habendam, quod aliquis a vino omnino abstinereat, sed quod abstinereat ab immoderato usu vini. Alio modo secundum quendam perfectionis gradum: et sic requiritur in aliquibus ad perfecte sapientiam percipiendam, quod omnino a vino abstineant secundum conditiones quarundam personarum et locorum.“



rzyszeń abstynenckich, poleca je opiece duszpasterzy i zaszczenia przez to ideę w szerokich kołach, dając jej sankcyę urzędową.

Odtąd zaledwie trzy upłynęły lata, a i sam papież Leon XIII głos zabrał w tej palącei kwestyi. Idąc dalej śladami Grzegorza XVI i Piusa IX<sup>1)</sup> napisał 27-go marca 1887 r. do Irlandii<sup>2)</sup>, arcybiskupa z St. Paul, następujące brewe:

„Z najwyższem zadowoleniem czytaliśmy Twoje najnowsze sprawozdanie o tych świętych czynach chrześcijańskiej miłości, przez które wierni w Stanach Zjednoczonych energicznie usiłują popierać zbawienie i korzyści współobywateli.

Niesłychanie nam się podobało, że zgubny nałóg pijaństwa z takim zwalczacie zapalem

---

<sup>1)</sup> Warto tu pokrótce omówić stanowisko, jakie zajmowali papieże w obec nowoczesnego ruchu przeciwalkoholowego.

Grzegorz XVI, będąc sam abstynentem, na wieść o powodzeniach Mathewa z chlubą nosił jego medal na piersiach.

Pius IX zachęca do abstynencyi, pisząc jak następuje: „Zachęcamy Was, jeżeli chcecie prawdziwie zapewnić szczęście i podnieść dobrobyt Waszych okolic: *popierajcie szczerze pod przewodem Kościoła ruch abstynencki, a wtedy bez wątpienia zasłużycie się około chwały Bożej, około dobra Kościoła i Jego wyznawców.* Z głębi serca życzymy Wam wielkiego powodzenia w usiłowaniach Waszych i udzielamy Wam i wszystkim, co z Wami współpracują nad tem dziełem, Apostolskiego błogosławieństwa.“

I Pius X w piśmie z dnia 5. IX. 1905 przez sekretarza swego, kardynała Merry del Val oświadczył, że abstynencya to środek pomocny w spełnieniu naczelnego programu: *Omnia instaurare in Christo*, a towarzystwom abstynenckim specjalne nadał odpusty.

<sup>2)</sup> Mów: Ajrlend, Sejnt Pol.

w znakomitych stowarzyszeniach, a mianowicie w katolickich stowarzyszeniach zupełnej wstrzeźliwości.

Nie możemy się dość nachwalić duszpasterzy Stanów Zjednoczonych, którzy niedawno na plenarnym synodzie w Baltimore, nałóg pijaństwa w ostrych zgromili słowach zaznaczając, że pijaństwo jest niewyczerpanem źródłem grzechu i okropnem nasieniem zła, pozatem w straszliwy sposób niszczy rodziny pijaków, a bardzo wielu wtrąca w przepaść wiecznego zatracenia, dalej, że ludzie oddani temu nałogowi są zgorszeniem dla niekatolików i niemało przeszkadzają w rozszerzaniu prawdziwej religii.

Dla tego uważam **szlachetne postanowienie pobożnych stowarzyszeń, które sobie za cel wytknęły zupełne wstrzymanie się od wszystkich napojów wyskokowych, za godne szczególnego polecenia.** Niema wątpliwości, że silne to postanowienie jest stosownem, a nawet wielce skutecznem lekarstwem przeciw zgubnemu nałogowi pijaństwa, a dla wszystkich będzie tem większym bodźcem do zwalczania zmysłowości, im większa powaga tych, którzy się nim kierują.

Jednakże najwięcej w tej sprawie może osiągnąć gorliwość kapłanów, których zadaniem krzepić lud słowem Bożem i wychowywać w dobrych obyczajach. Dla tego potrzeba, by na drodze zbawiennej przodowali. Niechaj więc duszpasterze gorliwie nieustannemi na-

pomnieniami chronią owczarnię Chrystusową od choroby pijaństwa, niechaj przyświecają wszystkim przykładem wstrzemięźliwości, a tak dokładają sił i starań, by Kościół i państwo osłonić przed grożącemi stąd nieszczęściami.

Żarliwie modlimy się do Boga, by w sprawie tej błogosławił Twym zabiegom, kierował Twemi postanowieniami i wspomagał Twoje usiłowania.

Jako rękojmię opieki niebieskiej i w dowód naszej ojcowskiej życzliwości udzielamy Tobie i wszystkim, którzy świętem z Tobą złączeni przymierzem, ze szczerego serca apostołskiego błogosławieństwa.

Dan w Rzymie u św. Piotra dnia 27 marca 1887 r. w 10-ym roku naszego pontyfikatu“.

Leon P. P. XIII.

List ten z radością przyjęty w całym świecie przez zwolenników nowego ruchu utwierdził i utwierdza ich w uciążliwej pracy; gdziekolwiek żywszą rozwijają działalność, tam wszędzie powołują się na list papieski. Obok Irlandia zaznaczył się, jak już wspominaliśmy, Mgr. Taschereau, późniejszy kardynał. Jego list pasterski z 20-go października 1890 r. stosuje ostre środki przeciw nadużyciom alkoholizmu. Zakazuje bowiem dawać rozgrzeszenie

1. tym, którzy nieprawnie importują napoje alkoholowe do prowincyi Quebecu;
2. tym, którzy im są przytem pomocni.

A widząc natychmiastowy skutek, w dieście dni potem, osobnym okólnikiem pozwolił rozgrzeszać tych, którzy przed wydaniem listu pasterskiego dopuścili się tych przestępstw. Zatwierdził jednakże jako grzechy rezerwowane: „1. Przemycanie napojów alkoholowych do prowincyi Quebecu. 2. Pomaganie przemytnikom. 3. Zakupywanie napojów, o których się wie, że są przemycane....“

Nie mniej ciekawe są przepisy arcybiskupa, dotyczące towarzystw abstynencyi:

„1. Towarzystwo abstynencyi obowiązuje członków do wstrzymywania się od wszystkich napojów alkoholowych i zakazuje polecać te napoje wyjąwszy, że zdrowie tego wymaga.

2. Każdy dorosły może wstąpić do tego towarzystwa, jednakże odznakę towarzystwa, krzyż, dostaje tylko głowa rodziny... Ona ma skupiać koło siebie innych członków rodziny.

3. Przystąpienie wymienionych ustaw w ważnej rzeczy, pociągające za sobą zgorszenie, daje powód do wykluczenia, jednak dopiero po bezskutecznych napomnieniach.

4. Prezesem towarzystw abstynencyi będzie każdorazowy proboszcz; do pomocy może sobie wziąć ławników i sekretarza-skarbnika“.

Przyjęciu do towarzystwa towarzyszy akt uroczysty. W kościele błogosławi się krzyż drewniany, na czarno pomalowany, oddaje się go nowo wstępującemu, który klęczy na stopniach ołtarza, poczem ten za przybyciem do

domu zawiesza go tu na widocznem miejscu. Po śmierci jego krzyż złożony na trumnie towarzyszy mu aż do grobu. Tu kapłan wręcza go innemu abstynentowi z tej rodziny i tak krzyż dostaje się znowu do domu, by nadal przypominać wzniosłą ideę.

Gdzie biskup takim jest bojownikiem w sprawie wstrzemięźliwości, i duchowieństwo i lud spieszy z zapalem do walki. To też katolicy nie ustępują innowiercom w gorliwości i porówno z nimi przeprowadzili takie korzystne uchwały jak zamykanie wyszynków od soboty 7 godziny wieczorem aż do poniedziałku rana 6-ej, a nawet za prohibicyą większość głosów się oświadczyła.

Udział duchowieństwa w tym ruchu przedstawia Savoy, jak następuje: „Pewien kapłan, mieszkający w archidiecezyi św. Bonifacego od marca 1903 r. pisał mi w październiku tego samego roku, że wszyscy kapłani tej archidiecezyi, 200 razem wyznają i praktykują zupełną wstrzemięźliwość z wyjątkiem 5 lub 6, którzy na własny użytek wyrabiają napój nieszkodliwy. Zaczny arcybiskup świeci jako abstynent swym przykładem i duchowieństwu i ludowi czy to w swej rezydencji czy w czasie wizytacji. Stąd też nałóg pijaństwa tutaj bardzo rzadki, a jeżeli mu się ktoś oddaje, traci wszelki szacunek i jest uważany jako publiczny grzesznik, jako gorszący drugich, którego się unika“.

I w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się ożywiony ruch organizacyjny między ducho-

wieństwem około r. 1900. Zainaugurowała go „Liga Kapłańska Serca Jezusowego“ (Sacred Heart Priest League) w Cincinnati<sup>1)</sup> w stanie Ohio, kierowana z powodzeniem przez tamtejszego arcybiskupa Eldera. Za jej przykładem poszli kapłani, zebrani w Pittsburgu z okazji zjazdu „Unii katolickiej abstynenckiej“ i założyli 7. VIII. 1903 „Amerykańską Ligę Kapłanów abstynentów“ (Priest's Total Abstinence League of America). Przewodniczącym obrano zasłużonego bojownika ks. Antoniego Siebenfoerchera, znanego mianowicie z zakładania towarzystw abstynenckich po seminariach duchownych, a prezesem honorowym ks. arcybiskupa Eldera.

Potrzebę założenia takiej organizacyi wyrażają trafnie słowa, jakie krótko potem pisano: „Liga ta jest wyrazem gorącego pragnienia, ożywiającego członków wspólnie z wszystkimi gorliwymi katolikami, pragnienia, by skuteczniej użyć przemożnego wpływu Kościoła przeciw zachłannemu nałogowi pijaństwa tak bardzo rozpowszechnionego w ludzkości . . . . . A celem tej Ligi Kapłanów abstynentów, by pracy abstynenckiej kapłanów zapewnić między ludem tem znaczniejszy wpływ i skutek, jaki się odnosi z wysiłków zorganizowanych przeciw alkoholizmowi, zgodnych z zasadami katolickimi i praktyką abstynencyi“.

I rzeczywiście Liga od razu stanęła na silnem podłożu, bo od razu znalazła uznanie

<sup>1)</sup> Mów: Symsynati, Ohajo.

między niższem i poparcie między wyższem duchowieństwem. Toć zaraz w dniu założenia jeden z pierwszych zapisał się w jej szeregi biskup Canevin, toć, przyjmując zaszczytny swój urząd, tak dobitnie pisał o niej arcybiskup Elder: „Cóż chwalebniejszego w świętem kapłaństwie, coś piękniejsze przynosi owoce, jak dawanie ludowi wzniosłego przykładu, stawanie na jego czele, gdy chodzi o zaparcie się siebie, jakie polecamy owieczkom naszym“.

Podobne, zapisując się na członka Ligi, wypowiadał zdanie, późniejszy jej prezes honorowy Patryk Jan Ryan<sup>1)</sup>, arcybiskup z Filadelfii: „Najskuteczniejszą bronią przeciwko pijaństwu, zaiste! jedyną bronią wywalczającą odrodzenie niewolnikom pijaństwa to abstynencja (total abstinence). Broń ta zwycięska w ręku kapłana, duchowieństwa, mianowicie gdy dzierżą ją ci, co sami są abstynentami“.

Do tych mężów pełnych poświęcenia, przyłączyli się i inni arcybiskupi i biskupi, szeregując w koło siebie duchowieństwo nie tylko ze Stanów Zjednoczonych, lecz i Kanady.

Liga dzieli się na oddziały dyecezyalne, promotorzy są ich przedstawicielami w Lidze. Sekretarzem jeneralnym, który jest zarazem skarbnikiem został po ks. Mullenie ks. Lambing, dusza Ligii. 1911 r. Liga liczyła około 300 członków<sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Mów: Rajen.

<sup>2)</sup> Wszystkich księży zorganizowanych w Ameryce było 1911 roku 500.



Duszpasterzom pomaga w tej walce lud wierny połączony w „Katolickiej Unii Abstynentów w Ameryce“ (Catholic Total Abstinence Union of America), rozgałęzionej po całej Ameryce. R. 1911 Unia liczyła już około 100 000 członków. Na czele stał O. Callaghan, a kapłanem jej był znany nam już biskup Canevin. Organem Unii jest „Orędownik“ (C. T. A. U. Advocate).

Boga chwalić, że i w Ameryce siew rzucony hojną dłonią wielkiego „Apostoła wstrzeмиężliwości“ i po lat dziesiątkach bujne przynosi plony. Potęgą ogromną bowiem jest armia stutysięczna rozsiana po całej Ameryce, za przewodem takich jenerałów i oficerów jak arcybiskupi i księża bezwzględny tocząca bój z wrogiem odwiecznym. Przyszłość nasza, jeżeli zapał i nadal przetrwa, przyszłość nasza, bo i w starym świecie ruch przeciwalkoholowy nabiera rozmachu dzięki niemało i pracy Kościoła.



## Duchowieństwo francuskie, belgijskie i holandzkie<sup>1)</sup>.

---

Francya należy do krajów, w których alkoholizm największe czyni spustoszenia. Konsumcya alkoholu, jak podają Bergmann i Hellenius, w żadnym kraju nie jest tak wielka jak tutaj. Na jednostkę przypadało rocznie 117 litrów wina, a prócz tego i wódką i absyntem tam nie gardzą. Czynniki ten wpływa niemało na zwyrodnienie narodu niegdyś tak potężnego i jeżeli dziś ogólna skarga na ubytek ludności francuskiej, to jedną z ważnych przyczyn znowu alkohol.

Otóż jak przedstawia biskup Turinaz niebezpieczeństwo alkoholowe w r. 1899: „We Francyi walka przeciw alkoholizmowi jest stosunkowo nowa, ponieważ plaga ta długo nas oszczędzała. Ale dzisiaj, o zgrozo, pierwsze zajmujemy miejsce w nędzy alkoholowej, chyżo staczając się w przepaść“.

<sup>1)</sup> Turinaz: „Le clergé catholique et la lutte contre l'alcoolisme“, VII Congrès International I, 250. Bergmann, op. cit. 420—23 Savoy, op. cit. 474—76. „Le Péril Alcoolique“ r. 1904. „Rundschau in der Alkoholfrage“. Artykuł A. Zimmermanna o ruchu belgijskim. Dr. Werthmann: „Bilder aus der katholischen Mässigkeitsbewegung.“ Charitas 1908. Le Bien social, 1910 r. List ks. Lemmensa.

Reakcyja nie odpowiada wcale potędze wroga, nie może się równać z wysiłkami, jakie się czyni w krajach anglo-germańskich. Późno się rozpoczęła, bo dopiero u schyłku XIX-go stulecia, a rozwinęła energiczniejszą działalność, kiedy 1895 r. paryski psychiatra Legrain zorganizował „Union française antialcoolique”. najpotężniejsze dziś stowarzyszenie w kraju, kiedy w tym samym czasie ze Szwajcaryi przeszczepiono „Związek niebieskiego krzyża”, kiedy 1899 r. zwołano do Paryża międzynarodowy kongres antyalkoholowy.

Duchowieństwo katolickie tego kraju, jak w ogóle w ruchu społecznym, tak i w ruchu antyalkoholowym słaby brało udział. Niektórzy biskupi jednak, poznawszy całą grozę niebezpieczeństwa, nawoływali do walki z alkoholem: biskup David już 1876 r., jego następca biskup Fallieres w 1893 r., w tym samym roku kardynał Thomas, arcybiskup z Rouen.

Wybitnego przedstawiciela ma ruch francuski w biskupie Turinaz z Nancy. Jego występ na kongresie paryskim rozniósł imię biskupa po całym świecie cywilizowanym, bo należał, jak powiada Bergmann, do najświetniejszych, a dr. Legrain nazwał posiedzenie, na którym Turinaz przemawiał, „klejnotem kongresu”.

Dowiadujemy się z tej wspaniałej mowy także o własnej działalności biskupa, przypominającej działalność wielkiego kardynała westminsterskiego. Podobnie jak ten obejmuje

i Turinaz całokształt kwestyi społecznej<sup>1)</sup>, podobnie jak tamten pełen poświęcenia i odwagi, gdy chodzi o polepszenie doli biednych i upośledzonych. „Odwiedzam“, powiada, „robotników fabrycznych i rolnych w ich mieszkaniach, odwiedzam chorych i ubogich pod strzechą albo po poddaszach, a nawet w stajniach, jeżeli tego potrzeba“<sup>2)</sup>.

Wzruszającą jest scena, kiedy w czasie strajku w hucie szkła nieustraszenie przemawia do wzburzonych robotników, wskazując wymownemi słowy na skutki pijaństwa i kiedy oni przekonani rzucają się przed nim na kolana, wyrzekając się wódki i proszą o błogosławieństwo.

Różnorodnymi sposobami zwalcza plagę alkoholizmu, uważając walkę tę za jedno ze zadań swych życiowych. Stąd też, reorganizując konsystorz, wypisuje dla jednej z komisji walkę z alkoholizmem jako osobny program. Stąd porusza kwestyę alkoholową w dziełku swem „Trois fléaux de la classe ouvrière“.

Opierając się na znanych słowach papieża Leona XIII, nawołuje duchowieństwo do udziału w tem wielkiem zadaniu i podaje te środki, jakimi się posługiwać winno. „Duchowieństwo<sup>2)</sup> ma nasamprzód powagę i potęgę

---

<sup>1)</sup> Por. Jaroszyńskiego „Katolicyzm socyalny“ I, 32.

<sup>2)</sup> Miejsce dosłownie przytaczane ze znakomitej mowy biskupa.

nauczania. Przypominać godność chrześcijanina, obowiązki ojca i matki, pracodawcy i robotnika, potrzebę dobrego przykładu, ważne prawa teologii moralnej, to wszystko stanowi już skuteczne zwalczanie nałogu i wszelkiego rodzaju rozprzężenia. Lecz duchowieństwo winno mieć osobne nauki o alkoholizmie. Winno je głosić z kazalnicy, w katechizacyi, we wszystkich zgromadzeniach kościelnych, przy odwiedzaniu parafian, w codziennem obcowaniu z owieczkami sobie powierzonymi. A przede wszystkim winno wywierać korzystny wpływ na dzieci i młodzież w szkołach wolnych i innych, przez co dopomódz może roztropnym i gorliwym nauczycielom w tej walce.

Ksiądz może żądać od dzieci w szkole albo przy uroczystości pierwszej Komunii św. zobowiązań stosownych. A potem winien je przypominać w tych licznych i pobożnych zebraniach młodzieńców i dziewczę i w stowarzyszeniach robotników i robotnic, u dziewczę i matek winien się powoływać na ważność religii i wartość spraw im najdroższych; winien dokładać wszelkich starań, by je uchronić od tego okropnego nałogu i wychować w nich apostołki wstrzemięźliwości.

Ksiądz winien popierać wszelkimi siłami towarzystwa wstrzemięźliwości i wyznaniowe i symultanne; winien poświęcać swój wpływ, swą gorliwość na ich zakładanie i szerzenie

stosownie do okoliczności mniej lub więcej pomyslnych“ . . .

„Duchowieństwu nie wolno się cofać ni wzdragać przed przeciwnościami i przeszkodami, lecz ono właśnie powinno świecić dobrym przykładem“.

„Tak duchowieństwo musi być koniecznie po waszej stronie“, kończy swą mowę, „i musi wam pomagać z poświęceniem. A tej pomocy możecie być pewni, duchowieństwo wam jej nie poskąpi, lecz wspólnie z wami pójdzie na znój i bój, wspólnie z wami sięgnie po palmę zwycięstwa“.

Gorące te słowa, przyjmowane ze zapałem, znalazły oddźwięk w szerokich kołach duchowieństwa francuskiego, chociaż nie zaraz.

Tymczasem obok Turinaza zaznaczył się we walce z alkoholizmem i biskup Latty z Châlons-sur-Marne, mianowicie przez swe postępowe listy pasterskie. Tak odzywa się między innymi w 1900 r. w swym liście pastnym:

„Nieskończenie dużo bolesnych i banalnych rzeczy pisano o tym przedmiocie (tj. o alkoholizmie). Tymczasem mężowie poważani i znani ze zdolności i wpływu, niemniej także z charakteru i patryotyzmu stosowali tu wyniki swych badań wielce sumiennych i dokładnych: i wszyscy jednozgodnie ogłosili niebezpieczeństwo alkoholowe jako najstraszniejszą plagę.

Chrześcijanie francuscy, czy wy nie wiecie, że każdy rodzaj alkoholu jest trucizną! Że do wyrobu alkoholu używa się nieraz substancyi najobrzydliwszych nawet odpadków drzewa i łachmanów? Że i alkohole wytwarzane ze zboża, buraków, z ziemniaków są tak samo szkodliwe jak te, które powstały z esencji jakichś i eterów? — Że wszystkie te alkohole jako to we winie, w jabłeczniku (cidre) są często fałszowane, a i nawet alkohol we winie najczystszym jest rodzajem trucizny i ujemny wywiera skutek?“ —

„Drodzy bracia, nie używajcie alkoholu: zakazuje wam tego wiedza, a zakazuje wam dla tego, że alkohol zabija. Zabija alkohol całego człowieka, jego siły fizyczne i moralne, zabija go nagle albo powoli, ale zabija go na pewno i zawsze. Morduje on rodziny, społeczeństwo, ojczyznę. W imię miłości ojczyzny, miłości i litości dla waszych dzieci, w imię waszej godności osobistej nie bierzcie nigdy do ust kropelki tego piekielnego napoju“.

Do duchowieństwa wydał Latty 1901 r. osobną odezwę, prosząc w imię wiary i ojczyzny, by nie tylko nie pili alkoholu, ale go też nie wyrabiali. W artykule 5 czytamy te słowa: „Księży proboszczów uprasza się, by nie wytwarzali lub dawali wytwarzać alkoholu z owoców ogrodowych, obojętnie, do czego by go potem chcieli użyć“.

Za przewodem takich biskupów ruszyło się duchowieństwo, choć powoli i późno. Radosny



ten objaw przedstawia na I. kongresie narodowym przeciwalkoholowym sekretarz jeneralny „Union française antialcoolique“ Barbey: „Z jaką niecierpliwością wyglądaliśmy tego dnia, w którymby Kościół swą potęgą moralną wsparł naszą sprawę i pomógł nam we walce, której powodzenie religię nie mniej obchodzi jak ojczyznę. Wspaniała mowa, wygłoszona przez Mgr. Turinaza na kongresie 1899 r. pozostała dla nas przyrzeczeniem niespełnionem...

A wreszcie jednak odezwał się z drugiego obozu głos i posłyszeliśmy echa dobrymi zapowiedziami brzemiennie“.

Ten głos podnosi się z katolickiego stowarzyszenia „la Croix Blanche“, które mimo swego krótkiego istnienia od 1903 r. liczyło już 1904 r. 1300 członków. Ważny udział w pracy tego stowarzyszenia ma duchowieństwo, kierujące różnemi towarzystwami wstrzeźliwości. R. 1912 założono w „la Croix Blanche“ osobny oddział dla abstynentów. Wogóle ruch między katolikami szczególnie w Normandyi się wzmacnia.

\*                      \*

Starszy jest ruch antyalkoholowy między duchowieństwem belgijskiem. Pierwszy założył ks. Senden, kanonik z St. Frond, pociągnięty przykładem O. Mathewa, 1886 r. towarzystwo zupełnej wstrzeźliwości pod nazwą „Société de tempérance“<sup>1)</sup>). Działając profilak-

---

<sup>1)</sup> Sint-Jansgenootschap.

tycznie tworzył także stowarzyszenia dla młodzieży od 7 do 18 lat.

W trzy lata później powstało za sprawą ks. Edmunda Vasleta<sup>1)</sup>, autora znakomitego „Manuel de tempérance“, w Brukseli stowarzyszenie „Société belge de tempérance“. Wywołało ono podobne stowarzyszenia powstające w innych miastach za inicjatywą duchowieństwa, które też ujęło ster w tych towarzystwach. Ks. Vaslet był także założycielem „Ligi Krzyża“.

Wyżej stanął swym talentem organizatorskim ks. Józef Lemmens. Jego towarzystwo „Bien-Etre social“ w Leodyum „może służyć“, jak powiada biskup Turinaz, „za wzór wszystkim katolickim organizacyom“. Ks. Lemmens jest głównym inicjatorem „Międzynarodowego katolickiego stowarzyszenia przeciw alkoholizmowi“. Powstało 1897 r. w Belgii, a ma na celu połączenie przywódców z katolickiego obozu. Dalszem dziełem wybitnego organizatora to zlanie towarzystw w jedno potężne w r. 1902 pod nazwą „Fédération des sociétés de tempérance catholique de Belgique“, liczące 1913 r. około 70 000 członków.

Od kilku lat istnieje dla Belgii Związek księży abstynentów „Abstinentia“, mający 1913 r. blisko 200 członków.

---

<sup>1)</sup> Ks. Vaslet \* 1857 w Malines, redaktor pism „Le Bien social“ i „Volksgeleuk“ umarł 6. X. 1910 roku w Schaebeck.

Biskupi jak Mercier, Stillmanns i Heylen czynnie popierają ruch antyalkoholowy, zasilając Francję i Holandję. W Holandyi poszło duchowieństwo za wzorem Anglii zakładając Ligi krzyża (Kruisverbond), 1910 r. liczyły już 60 000 członków. Samo duchowieństwo zorganizowane jest w Priester-Kruisverbond albo w niemieckim Związku księży. Według ks. Weertza było w Belgii i Holandyi 1911 r. około 500 księży zorganizowanych.



## Duchowieństwo w krajach niemieckich i austriackich<sup>1)</sup>.

---

### I.

W dziejach walki antyalkoholowej w Niemczech wybitnie zaznaczają się dwa potężne odruchy przeciw panowaniu alkoholizmu, zgodne w swym celu, odmienne jednak w używaniu środków stosownie do potrzeb czasu, w jakim się ujawniają. Już około połowy zeszłego stulecia wystąpiła szeroko sięgająca reakcja przeciw alkoholizmowi. Walka w tym czasie

---

<sup>1)</sup> Bergmann, op. cit. str. 129—145, 366 i 372. Seling: „Rüstammer gegen die Macht des Branntweins“ str. 109—116. Seling: „Rüstung“ str. 3 itd. Helenius: „Die Alkoholfrage“ str. 209. Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości. R. 1906 str. 83 i 1908 str. 162. Dr. Werthmann, op. cit. str. 35. „Sobrietas“, „Volksfreund“, „Alkohol, Mässigkeit und Abstinenz. Erinnerung... an Bischof Dr. Egger“. „Bericht über den V. internationale Kongress“, str. 73 itd. Egger: „Die Abstinenz als christliches und patriotisches Liebeswerk“. „Der Klerus und die Alkoholfrage“. „Der Kampf gegen den Missbrauch geistiger Getränke“. Mahnwort der schweizerischen Bischöfe. 1894 r. Neumann: „Mithilfe der katholischen Kirche im Kampf gegen den Alkoholismus. Neumann: „Zur Reform der Trinksitten“. Koźlik: „Vom österreichischen Kampfplatz gegen den Alkoholismus“. Przegląd powszechny r. 1909.

była skierowana przeciw gorzałce, gdziekolwiek w Niemczech wystąpiła, ponieważ jej używanie stało się powszechnem i sprowadzało straszne nadużywanie. Chcąc więc wykorzenić nadużywanie napojów palonych, chwycono się ostrego środka tj. wstrzemięźliwości od wszystkich napojów palonych, a przede wszystkim wódki. Nie była to wstrzemięźliwość bezwzględna, jaka jest ideałem ruchu nowoczesnego, ale stosownie do potrzeb czasu była ona środkiem wyborynym. A nie powinno nas tyle dziwić, że nie poznano wtedy jeszcze konieczności zupełnej wstrzemięźliwości, raz dla tego, że głównymi i dla szerszych warstw jedynymi przedstawicielami alkoholu były napoje palone, a alkohol w innych napojach nie wyrządzał takich szkód jak dzisiaj i ledwie go znano, a po drugie, dla tego, że pewniki naukowe dotyczące szkodliwości alkoholu nie były jeszcze tak jasne i szczegółowe. Dziś jednak przy zmianie stosunków społecznych i poglądów naukowych abstynencya stała się nieodzowną, jak wogóle cały ruch i jednostki kierujące nim dowody na to dają.

Różnymi sposobami starano się walkę z alkoholizmem przeschwycić na grunt niemiecki. Wielka część tego zadania przypadła duchowieństwu katolickiemu w udziale. Wywiązało się ono też znakomicie z niego, urządzając misye, tworząc towarzystwa, później bractwa, łącząc środki nadprzyrodzone z przyrodzonymi. W łonie kościoła niemieckiego

począł się ruch potężny, zagarniający szerokie tłumy pod sztandar wstrzemięźliwości, przenoszący się także do krajów polskich. Z podziwem patrzy się dziś na te postaci księży i zakonników, działające w sprawie wzniosłej idei ze zapałem i skutkiem.

Pierwszorzędne stanowisko między nimi zajmuje ks. Jan Maciej Seling od św. Jana w Osnabrücku.

Urodzony 1792 r. w okolicy Osnabrücku rychło już nabrał, jak się sam wyraża, „nienawiści“ do gorzałki. Przyczyną tego było opowiadanie ojca o gościńcu dziadka, własne doświadczenie chłopca, patrzącego na nędzę pijaka, ojcowego dłużnika, do którego chodził daremnie przez długi czas po 12 talarów, a także jego pobyt u wuja, właściciela browaru w Alkmaarze w Holandyi. Służąc we wojsku Napoleona mimo przelicznych ponęt i powszechnego przykładu towarzyszy postępował jak opowiada: „W czasie pierwszego roku służby nie piłem ani wódki ani piwa ani wina, chociaż pracując tylko piórem nie mogłem się wzmocnić i zahartować ćwiczeniami cielesnymi, a jednak wytrzymywałem dwunastogodzinne marsze w pełnym rynsztunku w czasie niezwykłego upału łatwiej niż zahartowani towarzysze, raczący się na każdym przystanku wódką“.

Po tych rozmaitych i dziwnych kolejach zostawszy w 30. roku życia kapłanem, począł przemyśliwać nad środkami, by ograniczyć

spustoszenia, jakie czyniła gorzałka. W szkołach więc, które sam założył i gdzie chłopców i dziewczęta uczono przędzenia, opowiadał dzieciom o szkodliwości gorzałki, dla nich układał piosenki o wstrzemięźliwości, śpiewał z nimi i tak piosenki te rozpowszechniały się szybko między ludem.

Potrzeba było jednak szerszej pracy. Słyszac o usiłowaniach pastora Böttchera, który zalecał zupełną wstrzemięźliwość od wódki, uważał, że niemożliwą jest rzeczą zasadę tę w życie wprowadzić. Przeczytawszy jednak jego rozgłosne dziełka „Das Hauskreuz“ i „Mässigkeitsbuch“, postanowił rączy się zabrać do zwalczania pijaństwa za pomocą zupełnej wstrzemięźliwości od wódki.

Dla tego dokładał wszelkich starań, żeby powołać do życia towarzystwo wstrzemięźliwości, co też mu się 1840 r. w Osnabrücku udało. Ważną datą ta dla tego, że towarzystwo to jedno z pierwszych w Niemczech, a pierwsze katolickie w tym kraju. Nim jednak ks. Seling rozpoczął wielką swą pracę agitatorską, przygotowywał się rozważnie, biorąc udział w niemieckim zjeździe wstrzemięźliwości, odbywającym się 1843 r. w Hamburgu, a mianowicie w zebraniach irlandzkiego „apostoła wstrzemięźliwości“. Ten mu był wzniosłym wzorem, jak się trzeba poświęcać dla dobra współbraci i zachętą do rozwinięcia rozpoczętego dzieła.

Po roku 1843 począł więc ks. Seling prze-



biegać wsi i miasta swej ojczyzny, urządzając misye i zebrania, ilustracyami często przedstawiając skutki pijaństwa, nawołując do poprawy i cnoty, przyjmując licznych członków do swego towarzystwa. Tak dotarł on w swych podróżach aż do Magdeburga i Berlina, gdzie się porozumiewał z de la Rochem z Kórnika, najwięcej zawdzięczały mu jednak Hanower i Oldenburg. Od 1843 do 1851 nauczał w 150 wsiach i miastach, a po największej części z powodzeniem, mimo że nie miał wielkiej wymowy ani imponującego wyglądu Mathewa. Pozyskał dla towarzystw wstrzeмиężliwości, jak według zapisków swego dziennika podaje, 82 000, a towarzystwa te ładnie się rozwijały pod przewodnictwem księży i nauczycieli. Windthorst powiedział o nich 30 lat później: „W kołach moich dawnych znajomych — byłem wtedy adwokatem, i stąd miałem wiele sposobności stykania się z ludźmi — dostrzegałem, jak niesłychanie zbawiennie działał mąż ten i jak te towarzystwa wstrzeмиężliwości sporą liczbę pijaków sprowadziły z bezdroży“.

Wielki w swej pracy i powodzeniu znalazł „niemiecki Mathew“, jak go Windthorst nazywał, uznanie i realną pomoc u panujących. August Oldenburski darował mu złoty krzyż, a gdy córce swej, żonie Ottona greckiego, opisał powodzenia ks. Selinga, na dworze w Atenach usunięto zaraz używanie wódki, a król gorliwemu kapłanowi przysłał odznaczenie.

On tymczasem nie ustawał w swej pracy. Gdy choroba przeszkadzała mu w urządzaniu misyi i zebrań, spisywał nauki i doświadczenia swoje i wydał je w popularnych dziełkach „Rüstammer“ i „Rüstung“.

Zapał taki nie mógł nie wpłynąć na drugich i nie zapalić ich do pójścia za dzielnym przewodnikiem i szerzenia jego zasad. Powstali więc liczni księża, by działać w duchu ks. Selinga jak na Śląsku ks. Fietzek, w zachodniej części Niemiec ks. Hillebrandt. Działalność ks. Hillebrandta przypada na lata 1845—61 i ogniskuje się w pracy misyjnej mianowicie w Paderbornskim. Kazał on na 242 miejscach, a kazał także z powodzeniem, jak podają różne opisy. Ot, jeden z nich: „Gdyby misya nic innego nie była spowodowała, jedno zawiązanie się bractwa wstrzemięźliwości, to już byłoby dosyć. Nie liczono, ilu doń się zapisało, lecz ilu się nie zapisało. A gdy po roku odnawiano misyę, okazało się często, że wszyscy członkowie bractwa wiernie wytrwali. Nierzadko przed misyą widoczna była opozycja przeciw zakładaniu bractwa, nierzadko sztydono sobie z tego, ale potem niechętni właśnie pierwsi się zapisali“.

Obok tych mężów agitacyi czynnej występował jako pisarz przeciw alkoholizmowi ks. Alban Stolz, profesor fryburski. Już 1845 r. zaznaczył to swoje stanowisko w „Kalender für Zeit und Ewigkeit“, a później w „Ein Gläschen Schnaps“. Godną podkreślenia jest

tu ta postępową myśl, że, chcąc pijaka uratować, trzeba go przyzwyczaić do zupełnej wstrzemięźliwości czyli abstynencji.

Walka antyalkoholowa w tym okresie miała swe ogniska w bractwach kościelnych. Już działalność Mathewa znalazła uznanie u Stolicy apostolskiej, podobnie i stowarzyszenia w Hanowerskiem doznały poparcia od władzy duchownej, ale nie omieszkało poprosić papieża o zatwierdzenie osobnego bractwa wstrzemięźliwości. O takie zatwierdzenie postarał się kardynał-biskup wrocławski Melchior Diepenbrock w r. 1851 u papieża Piusa IX.

Ruch ten potężny, a tak znamienity w okresie „wiosny ludów“, niedługo się utrzymał. Właśnie rok 1848, rok politycznych przewrotów, podciął znaczenie tego ruchu społecznego, a reszty dokonały wojny 1866 i 1870 r. Dalszą przyczyną upadku to ustrój stowarzyszeń, nie postępujących z czasem. Za długo trzymano się zwykłej wstrzemięźliwości, a tu potrzeba już się wyłoniła zupełnej, bo pojawili się nowi wrogowie, na których zwykła ta broń nie wystarczała. Brakło także tej ścisłej organizacji, koniecznej, gdy chodzi o przeprowadzenie wielkiej reformy społecznej, opierano się tylko na składkach dobrowolnych, nieregularnie płaconych. Niemało też zawinił rząd. „W Niemczech“, pisze Wertheim, „walka kulturalna wydalila z kraju kierowników bractw i głośnych kaznodziejów misyjnych, zdziesiątkowała szeregi duchowieństwa, osierociła liczne

parafie. Nie dziw więc, że ruch wstrzeźliwości w naszej ojczyźnie nierzadko poszedł w zapomnienie. A nawet walka kulturalna, polityczne i społeczne walki wyparły walkę z alkoholizmem, tak iż kardynał Kopp 1890 r. skarżył się na to, że niekatolicy okazują więcej żarliwości w zwalczaniu pijaństwa niż katolicy“.

Upadek ten jest widoczny, gdy weźmiemy do rąk statystykę. Jak wiemy, ks. Seling pozyskał 82 000, tysiące pozyskał i ks. Hillebrandt, na Górnym Śląsku liczono 1844 r. 500 000 członków w towarzystwach wstrzeźliwości, w Księstwie 1845 r. 300 000, nie licząc jeszcze tych tysięcy w częściach protestanckich Niemiec i w innych krajach. A niedawno, jak obliczył Forel, wszystkie towarzystwa wstrzeźliwości miały w całości tylko 91 000 członków.

Upadek tego ruchu wielkiego nie uprawnia jeszcze do twierdzenia, jakoby wskazywał właśnie na bezowocność zabiegów antyalkoholowych. Bynajmniej. Najpierw bowiem wielkie sprowadził dobrodziejstwa na jednostki, rodziny i całe społeczeństwa. Dalej ma on znaczenie jeszcze głębiej sięgające w istotę walki jako ruch przygotowujący nowoczesne dążenia antyalkoholowe i wskazujący na konieczną potrzebę ostrzejszej broni, jaką jest abstynencja. Znaczenie jego charakteryzuje Helenius: „Nie można zaprzeczyć, że i towarzystwa wstrzeźliwości bardzo wiele zdzia-

łały w zwalczaniu pijaństwa, a mianowicie za pomocą środków praktycznych... Dążności te tworzą organiczną fazę w rozwoju całości“!

## II.

Idea tak żywotna jak walka z alkoholizmem nie mogła pozostać w uśpieniu w Niemczech, gdzie szczególnie się rozpanoszył król-alkohol w postaci piwa, gdzie jego używanie głęboko się zakorzeniło uświęcone zwyczajami, gdzie poczęto już odczuwać zwyrodnienie jako skutek używania, a zarazem tęsknić za naprawą stosunków i szukać środków przeciw alkoholizmowi. Spostrzeżono wnet, że we wrzawie wojennej zniweczywszy resztki zdobyczy dawniejszych, przeoczono potężne dążenia antyalkoholowe narodów sobie pokrewnych. Późno, bo dopiero po r. 1880 zabrano się zwolna do pracy, by chociaż zdążyć za owym ruchem, a pierwsze te usiłowania nie przynosiły zadowalających owoców.

Za to silniejszy podmuch powiał w Szwajcaryi, gdzie idea abstynencyi przed rokiem 1880 znakomicie się przyjęła dzięki zabiegom Lucyana Rochata, pastora z Gienewy. Jego „Związek niebieskiego krzyża“<sup>1)</sup> założony 1877 r. w Genewie na podstawie zupełnej wstrzemięźliwości święcił niezadługo swe try-

---

<sup>1)</sup> Jakkolwiek zwie się „Mässigkeitsverein des Blauen-Kreuzes“, jednakże członkowie są abstynentami.

umfy we wszystkich niemal krajach niemieckich, a dziś należy, rozpowszechniony po całym świecie, do najpotężniejszych organizacyi antyalkoholowych.

Szczególnie dla katolickich<sup>1)</sup> Niemiec padło hasło nowoczesnej walki w Szwajcaryi, a odbiwszy się głośnem echem o podniebne Alpy, rozległo się we wszystkich krajach niemieckich, tem potężniej, że rzucił je z wyżyny stolicy biskupiej prymas biskupów szwajcarskich. Był to mąż wybitnych zdolności i szerokiego serca, który z młodzieńczym zapałem podjął tę ogromną walkę.

Dr. Augustyn Egger urodzony 1833 r. w Unter-Schoenau z miennych rodziców, kształcił się w szkołach szwajcarskich i niemieckich. W tym samym roku, w którym wielki „apostół wstrzemięźliwości“ zeszedł do grobu, rozpoczął młody Augustyn pracę kapłańską, nie przeczuwając, że na niego przejdzie berło Mathewa. Po kilkuletnim pobycie na wikaryacie, powołany został na profesora języków starożytnych do seminaryum w St. Gallen. Później był jakiś czas proboszczem w Oberriet. Powróciwszy 1865 r. do St. Gallen objął redakcyę najpierw czasopisma, „Neues Tageblatt“, następnie „Ostschweiz“.

---

<sup>1)</sup> Pierwszy założył w Szwajcaryi „Ligę krzyża“, stowarzyszenie i pismo ks. Savoy, autor świętego dzieła „Les trésors de la sainte abstinence“. Umarł 5. V. 1911 roku.

R. 1882 wybrano go na biskupa i na tem stanowisku jeszcze wytrwał 24 lata. W dowód uznania jego zasług ofiarował mu Leon XIII kapelusz kardynalski, lecz skromny biskup nie przyjął go, bo do końca pragnął pracować we własnym kraju.

A praca jego była różnorodna, skierowana ku dobru nie tylko dyecezyi, lecz całego kraju i Kościoła. Patrząc na rozstrój społeczny i badając prądy współczesne, przykładł zarazem rękę do rozwiązania kwestyi społecznej tak, iż śmiało stanąć może w szeregu takich działaczy jak Ketteler, Manning, hr. de Mun, Descurtins.

Biskup Egger jednakże zajmował się zagadnieniem specyjalnem, kwestyą alkoholizmu. Długoletnie myślenie i działanie w tej dziedzinie przysporzyło akcji katolickiej wiele znaczenia, a jego wysunęło na pierwszorzędne stanowisko między pracującymi w tej sprawie, mianowicie katolikami. On bił tory nowej idei, zwalczając zaśniedziałe poglądy, był przywódcą duchowym nowych szeregów, ojcem nowoczesnego ruchu katolickiego w niemieckiem społeczeństwie.

We walce z alkoholizmem cenił abstynencję wysoko, bo uważał ją jako środek potrzebny, nawet konieczny: „Dotąd myślała większa część“, powiada w jednym ze swych wykładów, „że ludzi trzeba zachęcać do wstrzeмиężliwości. I ja tak myślałem. Od czasu, jak jestem biskupem, bezustannie nawoływałem do



wstrzemięźliwości w listach postnych, w innych urzędowych okólnikach, we wykładach i broszurach. Ale chociaż mieszkańców ze St. Gallen nie uważam pod tym względem za gorszych od innych Szwajcarów, mogę zaręczyć, że tem wszystkiem dosłownie nic nie osiągnęłam. Jednakże, szerząc od pół roku abstynencję, wprawdzie nader mało działałam, ale jednak coś, podczas gdy dawniejsze moje słowa ani odgłosu nie wydały. Jestem przekonany, że jakkolwiekby był w ciągu 20 lat kazał o wstrzemięźliwości, w 20. roku gorzejby wyglądało aniżeli w pierwszym.“

A na innem miejscu: „Dzieło to (t. i. abstynencję) stawiam obok najszlachetniejszych, jakich dokonano dla Kościoła i ojczyzny. Przodkowie nasi często przelewali krew swą za ojczyznę. Teraz ojczyzna znowu w niebezpieczeństwie, a kto chce przyłożyć rękę do jej oswobodzenia, nie potrzebuje poświęcać krwi, lecz tylko kilka kieliszków alkoholu. Zobaczmy, czy znajdują się synowie Winkelrieda, zdolni do patryotyzmu i poświęcenia.“ A potrzeba poświęcenia, bo „chodzi o rzecz nową, a niezwykłą, o prąd wrogi rozumie się zmysłowości ludzkiej, chodzi o walkę z przeciwnikiem, po którego stronie ogromna potęga, którego otaczają wałem nieprzystępnym najróżnorodniejsze względy, niezliczone przesady i głęboko zakorzenione zwyczaje. Gdy się żąda ofiar, gdy się ma roszczenia na niekorzyść zmysłowości, to nie można wcale liczyć zaraz:

w pierwszej chwili na przyjęcie z otwartymi ramionami.“

A dalej potrzeba wytrwałości i cierpliwości, jak powiada na innem miejscu: „Chociaż powodzenie towarzyszy usiłowaniom, to jednak każdy krzewiciel abstynencyi przyzna, że zbyt wolno się szerzy, im moźolniejsze borykanie się, im większe przeszkody, tem więcej uznania należy się wytrwaniu we walce dla dobrej sprawy. Mnie się zdaje, że trudności te właściwie winny dodawać bodźca naszej gorliwości, bo właśnie przeszkody dowodzą konieczności abstynencyi.“

Z chrześcijańską ufnością patrzył mąż ten na wynik walki, jak to wynika ze słów wypowiedzianych na kongresie bazylejskim: „Dusza jest, jak Tertulian powiedział przed 1600 laty, co do istoty swej chrześcijańską, ma wrodzoną dążność do prawdy i cnoty, do Boga i nieśmiertelności. Jaskrawo zmysłowe używanie nie zadowoli ludzkości na czas dłuższy. Zawsze musi nastąpić reakcja. Chociaż zmysłowość, przesąd i słabość wciąż odgrywać będą w społeczeństwie ludzkim jakąś rolę, jednak każdy ruch, dążący do wzniosłego celu z wytrwałością, śmiało spoglądać może w przyszłość — także ruch abstynencki.“

Przekonania swe biskup Egger starał się urzeczywistnić, pracując dla nich spokojnie i wytrwale, słowem i piórem.

Potężne towarzystwa abstynenckie zawdzięczają jemu swe powstanie. Około 1890

roku założył „Katolicką ligę abstynencką“ (Katholische Abstinentenliga), towarzystwo, które się rozpowszechniło między katolikami szwajcarskimi, a także w Niemczech, popierane przez biskupów szwajcarskich, dobrze się rozwija. Składało się z dwóch działów: jeden mieścił abstynentów w sobie, drugi zwykłych wstrzemięźliwców. Jednakowoż na zjeździe delegatów w Lucernie 1901 r. zmieniono ustawy o tyle, że jako członków aktywnych uważa się tylko abstynentów, podczas gdy ci drudzy są tylko członkami honorowymi.

Tak samo był biskup Egger inicjatorem „Związku księży abstynentów“ (Priesterabstinentenbund), który powstał 1901 r. Jako prezes Związku był do końca życia swego duszą i sprężyną jego usiłowań.

Papież Leon XIII. rychło się dowiedział o zasługach biskupa dla ruchu wstrzemięźliwości. R. 1895 wysłał go jako swego legata na kongres antyalkoholowy do Bazylei, o czym biskup zaraz na wstępie swej mowy wspomina:

„Zgłaszając się na ten oto, międzynarodowy kongres, miałem zamiar jedynie przysłuchania, pouczenia i zachęcenia się do walki z alkoholizmem. Gdy jednakże papież Leon XIII. od komitetu organizacyjnego odebrał wiadomość o kongresie, zapragnął, jak to już przedtem uczynił, wyrazić mu swą przychylność i upoważnił mnie do obwieszczenia jego życliwości i wypowiedzenia uznania dla gorliwości

uczestników kongresu, który zamierza usunąć ze społeczeństwa tak zgubne nadużycie.“

Warto tu także przytoczyć jeszcze jego słowa, określające stanowisko papieża w tej walce:

„Kwestyę alkoholową można sądzić z różnorodnego stanowiska, ze stanowiska lekarskiego, społecznego, moralno-religijnego. A z jakiegokolwiek się ją bada, dochodzi się zawsze do tego samego wyniku: społecznik i doctor medicinae, papież i przywódzca robotników, wszyscy muszą jednoznacznie oświadczyć: alkohol jest naszym wrogiem. Zdania tego nie potrzebuję bliżej określać, bo to reifen wszystkich wykładów tego zebrania. Jeżeli Leon XIII. podziela ten okrzyk, to czyni to jako głowa Kościoła, strzegąc interesów moralno-religijnych, ale także w imię gorliwości, z jaką usiłuje pomnożyć społeczne dobro narodów.“

Imię Eggera zajmuje także niepoślednie stanowisko między pisarzami antyalkoholowymi. Jeden z najpłodniejszych pisarzy katolickich w tej dziedzinie <sup>1)</sup> śmiało miażdży stare przesady, rzuca hasła, podaje projekty, nawołuje do brania udziału w tem wielkiem dziele, nawołuje wszystkie stany, a szczególnie duchowieństwo. W rzeczowej swej broszurze „Duch-

---

<sup>1)</sup> „Alkohol, Alkoholismus und Abstinenz“ — „Alkohol und Volkswohl“ — „Familie und Alkohol“ — „Der beste Arzt“ i inne.

wieństwo a walka z alkoholizmem<sup>1)</sup>) żąda od duchowieństwa walki z alkoholizmem, planem zakreślonej i jednolitej<sup>2)</sup>, pisząc: „Bogu dzięki dużo jest rzeczy, o których dwóch zdań być nie może. Chciałbym je tu krótko zestawić.<sup>3)</sup>)

„1. Duszpasterze powinni kwestyę alkoholową ze strony teoretycznej studyować dokładnie, a praktycznie rozbierać na zebraniach. Stąd byłoby pożądanem rozczytywanie się nie tylko w pismach ludowych, ale także w dziełach naukowych, by się uzbroić do zwalczania alkoholizmu w słowach i pismach. Dalej historia ruchu abstynenckiego w różnych krajach jest bardzo pouczająca, a i błędy i nadużycia, których tam nie brak, mogą być dla nas wskazówkami. Jeżeli poza Kościołem z pomocą środków tylko ludzkich już bardzo dużo się osiągnęło, to katolickie duszpasterstwo, obdarzone środkami nadprzyrodzonymi i przyrodzonymi jeszcze więcej zdziałać może.

2. Pouczanie ludu o nadużywaniu alkoholu powinno być w wyżej wymieniony sposób zorganizowane i przeprowadzone energicznie.

3. Z praktycznych wskazówek można bez wahania teraz już dwóch użyć. Pierwsza to ratowanie pijaków, względnie zakładanie schronisk dla nich. Znaną przecież rzeczą, że pijaków jedynie zupełną abstynencyą ratować można, a niektórzy przyzwyczajają się do

---

<sup>1)</sup> „Der Klerus und die Alkoholfrage“ ukazało się w roku 1910 w polskiem tłumaczeniu w Poznaniu nakł. Zw. Ks. Ab.

<sup>2)</sup> „Der Klerus und die Alkoholfrage“, str. 28.

wstrzeźliwości jedynie przez dłuższy pobyt w zakładzie. Dotychczasowe doświadczenia z schroniskami dla pijaków dodają niemało otuchy. — Druga wskazówka, którą jak najspieszniej w czyn wprowadzić trzeba, to chronienie dzieci przed używaniem alkoholu. W tym względzie powinni wszyscy się godzić.

4. Co do abstynencji nie można się spodziewać, żeby odrazu wszyscy się do niej przekonali. Lecz kto się z nią pogodzić nie może, niech przynajmniej zachowa swój sąd, aż kwestyę alkoholową wszechstronnie i dokładnie przestudyuje. Na tem stanowisku jednakże powinni wszyscy stać, żeby abstynencyę uważać jako skuteczną broń przeciw alkoholizmowi, a wtedy jest też ich obowiązkiem cenić ją jako środek krzewiący królestwo Boże i pomyślność narodu. Mnie się zdaje, że poważne studyum tej sprawy każdego kapłana jeszcze trochę dalej zaprowadzić winno; a żaden nie potrzebowalby żałować, jeśliby doszedł do zdania Manninga, który na łożu śmiertelnem rzekł do swego otoczenia: „W tej sprawie stałem się głupcem z miłości dla Chrystusa, a i wam nie życzę piękniejszego końca nad ten, żebyście i wy mogli o sobie kiedyś wydać to świadectwo.”

5. Na końcu powinniśmy w ofierze i modlitwie sami i przez innych sprawę tę Panu polecać. Walka z alkoholizmem jest walką świętą, walką o odnowienie przykazania Chrystusowego o zaparcie się siebie, walką przeciw jednemu z najgorszych wrogów, którzy kiedy-

kolwiek się wdarli do miasta Bożego, walką dla dobra doczesnego narodu i dla wiecznego zbawienia niezliczonych dusz nieśmiertelnych, to walka dla sprawy Bożej. Dlatego potrzeba pomocy Boga, a on nam jej nie poskąpi, jeżeli Go o nią prosić będziemy.“

### III.

Dzieło rozpoczęte przez biskupa Eggera spotkało się z uznaniem biskupów szwajcarskich, którzy je szczerze i energicznie popierali w swych listach i odezwach. R. 1893 polecali twierzenie stowarzyszeń antyalkoholowych, a 1894 r. połączyli wszystkie i wydali odezwę: „Walka przeciw nadużywaniu napojów alkoholowych“<sup>1)</sup>). Znakomite dziełko to zawiera znamienne poglądy na ruch antyalkoholowy, mianowicie co do zasadniczej kwestyi, czy wystarczy wstrzeźliwość, czy konieczna abstynencya. Czytamy tam: „Doświadczenie uczy, że pijaków można wtedy tylko naprawić i uchronić przed powrotem do nałogu, gdy się staną abstynentami. Nad nawróceniem pijaków mogą pracować tylko abstynenci. Stowarzyszenia abstynentów winny mieć dwie grupy członków: jedną, która tylko dla własnej korzyści hołduje abstynencyi, drugą zaś, która się abstynencyi oddała z miłości ku pijakom, aby ich ratować.

---

<sup>1)</sup> „Der Kampf gegen den Missbrauch geistiger Getränke“. Mahnwort der schweizerischen Bischöfe 1894.



Abstynencya jest jeszcze większej wagi, gdy chodzi o walkę przeciw panującym zwyczajom, tym źródłiskom wszystkiego złego; dopóki trwać będą, dopóty nie zmniejszy się nadużywanie alkoholu, przeciwnie jeszcze się wzmoże. Nie będzie zmiany na lepsze, dopóki nie rozleci się jarzmo tej tyranii zwyczajów pijackich. A jakże się to stanie?

W niektórych okolicach robiono próby ze stowarzyszeniami wstrzemięźliwości, ale bez skutku. Nie trudno sobie wytłumaczyć niepowodzenie. Ludzie prawdziwie wstrzemięźliwi zasługują na szacunek, ale odrodzenie narodu, wyrugowanie alkoholizmu nie od nich zależy, gdyż oni właśnie poddają się sprawcom złego, którychby trzeba usunąć, ponieważ hołdują zwyczajom współczesnym. A hołdują im w pożyciu rodzinnem, towarzyskiem, a chociaż nie przestępują praw etyki, jednakowoż nieznacznie poczynają się dostosowywać do wymagań mody i panujących zwyczajów. Ich bierne zachowywanie się wcale a wcale nie narusza zwyczajów towarzyskich, które tysiącom gotują zgubę.

Jedynie abstynenci wstrząśli wszechwładztwem zwyczajów, jedynie oni mogą otwarcie i śmiało kazać i nawoływać ze skutkiem do reformy, a kiedy pomnoży się ich liczba, wyrwać otoczenie z niewoli zwyczajów. Wyłącznie abstynenci, jak już powiedzieliśmy, mogą świecić przykładem tym nieszczęśliwcom, których tylko abstynencya zdoła uratować. Jedynie

u abstynentów znajdzie się to przekonanie i tę nieznużoną gotowość do walki z tą chorobą. Stowarzyszenia abstynenckie więc winny odzyskać nowe pokolenie dla życia rozsądnego i chrześcijańskiego i zabezpieczyć przed władzą współczesnych zwodniczych zwyczajów.“

Nie wystarcza im jednak to ogólne podkreślenie znaczenia abstynencyi we walce z alkoholizmem, rozbierają szczegółowo i ściśle, jaki wpływ powinny wywierać osoby wyżej stojące na szczeblach społeczeństwa. Odżywają się więc do państwa, rodziny, szkoły, prasy i stowarzyszeń, nie pomijając i duchowieństwa. Stąd czytamy: „Usunięcie chorób moralnych jakiegoś narodu — a nadużywanie napojów upajających jest taką chorobą — należy w pierwszym rzędzie do zadań Kościoła... Dla tego Kościół a przede wszystkim jego słudzy są powołani, uzdolnieni i obowiązani zwalczać wszelkimi siłami choroby moralne naszej epoki, a mianowicie nadużywanie alkoholu. Zakreśla się więc dokładnie stanowisko, jakie kapłan winien zająć i na jakim trwać w dziele abstynencyi. W ruchu tym ma witać sprzymierzeńca, którego winien wspierać, u którego wsparcia szukać... Każdy duszpasterz, przejęty duchem Chrystusowym, obowiązkowością i odpowiedzialnością nie będzie mówił o abstynencyi jak człowiek światowy, ale sąd i postępowanie kształtował według jej znaczenia dla zbawienia dusz nieśmiertelnych i szczęścia narodu. Będzie o niej nie inaczej

sądził jak Chrystus. A Chrystus jak sądzi? W świetle ewangelii ukazuje się abstynencya jako zaparcie się siebie, jako dobry uczynek, jako środek do zbawienia dusz.“<sup>1)</sup>)

W tym czasie, kiedy się ukazała ta ciekawa odezwa wszczął się żwawy ruch między katolikami niemieckimi, wywołany przez duchowieństwo, przejęte zasadami abstynenckimi. Wzniosłym wzorem dla niego był biskup ze St. Gallen, który pragnął je zszeregować w osobnem stowarzyszeniu. Już 1895 r. pisał: „Uważam za rzecz ważną, żeby przywódcy ruchu między katolikami założyli między sobą stowarzyszenie.“ Projekt ten powoli dojrzewał. Na zjeździe międzynarodowym w Brukseli 1897 r. utworzył się komitet celem założenia takiego towarzystwa. Lecz dopiero po kongresie wiedeńskim 1901 r. powstał za staraniem ks. Neumanna, ze współudziałem biskupa Eggera i ks. Weissa, profesora fryburskiego, „Związek księży abstynentów“ (Priesterabstinentenbund). Organem tego towarzystwa to czasopismo „Sobrietas“.

Cel Związku zestawia ks. Neumann w kilku zdaniach:

Czego chce Związek księży abstynentów (P. A. B.)?

Związek wytknął sobie za cel zwalczanie alkoholizmu i jego skutków z pomocą przyrodzonych i nadprzyrodzonych środków.

---

<sup>1)</sup> „Mahnwort str. 10.

Dla tego Związek:

1. stara się zyskiwać kapłanów dla abstynency i łączyć ich,
2. chce członków przysposobić do zwalczania pijaństwa modlitwą i przykładem wstrzeмиężliwości od wszystkich napojów alkoholowych,
3. poleca osobne modlitwy,
4. zamierza urządzać wykłady i pracować z pomocą prasy, towarzystw wstrzeмиężliwości, względnie abstynencyi (Związku krzyża, Ligi abstynenckiej) stosownie do potrzeb miejscowych, a mianowicie oddziaływać na młodzież, szczególnie studentów.“

Po śmierci zasłużonego prezesa, biskupa Eggera, (1907 r.) został jego następcą ks. Maksymilian saski. Związek przyjmuje członków ze wszystkich krajów. To też liczba jego stale się zwiększa:

1907 r. przypadało na

|               |     |          |
|---------------|-----|----------|
| Niemcy . . .  | 156 | członków |
| Austryę . . . | 40  | „        |
| Szwajcaryę .  | 32  | „        |
| Zakony . . .  | 93  | „        |

---

razem 321 członków

W 1908 r. liczył Związek, jak podaje ks. Werthmann, 360 członków. W 1911 na końcu roku było już około 650 członków, jak podaje X. Weertz, redaktor „Sobrietas“, a 1913 już około 700.

W ostatnich latach ujawnia się niemałe ożywienie i w seminariach. Na zjeździe w Würzburgu 1907 r. utworzyło się „Stowarzyszenie katolickich studentów abstynentów” (Katholischer Akademischer Abstinentenverband = K. a. A.-V.), liczące z początku tylko trzy oddziały miejscowe. R. 1910 już w 9 seminariach w obrębie Niemiec ma oddziały, a oprócz oddziału krajowego (Landesgruppe) należą do K. a. A.-V. i oddział szwajcarski i austriacki, razem około 260 członków. Można się więc śmiało spodziewać pomyślnego rozwoju „Związku księży abstynentów” tem więcej, że w niem samym działają ludzie takiej miary jak ks. ks. Weiss, Haw, Kozlik, O. Elpidiusz<sup>1)</sup>, a mianowicie Neumann.

Ks. Józef Neumann jest obok biskupa Eggera najwybitniejszą postacią w ruchu antyalkoholowym Niemiec katolickich. Długoletni szermierz odznacza się nadzwyczajną ruchliwością, biorąc udział wybitny w kongresach międzynarodowych, tworząc towarzystwa i instytucje, słowem kierując niejako całym ruchem katolickim w zachodnich Niemczech.

Gdy sprawa antyalkoholowa po raz pierwszy 1881 r. na zjeździe katolików w Bonn,

<sup>1)</sup> O Elpidiusz, franciszkanin wymowny, w ostatnim czasie wslawił się przez swe misye i wykład dla duchowieństwa, jaki miał 1911 r. w Moguncyi na Zjeździe niemieckich katolików. Wykład ukazał się jako broszurka pod tyt.: „Wie bekämpft ein Seelsorger am wirksamsten in seiner Gemeinde die Trunksucht?” szczególnego polecenia godzien.

w toku obrad się pojawiła, polecono wtedy zakładanie bractw wstrzemięźliwości. Rezolucya ta nie wiele praktycznych przyniosła korzyści, jak to wykazuje 1896 r. ks. Neumann na zjeździe w Dortmundzie, bo lud jeszcze za mało był uświadomiony, by pojął doniosłość walki z alkoholem. Dla tego wniósł ks. Neumann o założenie towarzystw antyalkoholowych, a podobnie żądano ich zakładania i na zjeździe w Akwizgranie 1896 r., co też niezadługo miało spełnić.

Jedno z pierwszych towarzystw katolickich antyalkoholowych to „Związek krzyża“ (Kreuzbündnis). Początek temu Związkowi dał ks. Neumann, zakładając pierwsze stowarzyszenie antyalkoholowe tego rodzaju w Rellinghausen 1896 r. W pierwszych latach dzielił się „Związek krzyża“ na trzy grupy: abstynentów, wstrzymujących się od napojów palonych i zwykłych wstrzemięźliwców. Od 1904 roku wstrzemięźliwców się już nie przyjmuje.

Dzięki działalności założyciela „Związek krzyża“ rozszerzył się w krótkim czasie na całe zachodnie Niemcy, do czego niemało się przyczyniła aprobata, jaką otrzymał 1904 r. od arcybiskupa kolońskiego, Fischera. Ma on poparcie i ze strony innych biskupów. Tak w każdej dyecezyi biskup mianuje jednego z księży dyrektorem dla wszystkich oddziałów. R. 1905 obrali delegaci z poszczególnych dyecezyi ks. Neumanna<sup>1)</sup> przewodniczącym Związkowi. Orga-

<sup>1)</sup> Ks. Neumann ur. 1856 r. w Dudeldorf w dyecezyi trewirskiej, studyował w Rzymie, 1876 r. wyświęcony

nem Związku<sup>1)</sup> jest „Volksfreund“, wskrzeszony przez ks. Neumanna, a obecnie redagowany przez ks. ks. Kamilianów w Heidhausen.

W ostatnich latach starano się „Związek krzyża“ połączyć ze „Stowarzyszeniem katolików abstynentów“ (Verein abstinenter Katholiken), co też się po daremnych zabiegach na zjeździe katolików w Dyseldorfie (1908) wreszcie 1909 r. szczęśliwie udało. „Związek katolików-abstynentów“, znacznie młodszy od tamtego, bo powstał dopiero 1905 r., przyjmuje do swego grona tylko abstynentów<sup>2)</sup>. I tu duchowieństwo energiczną rozwinęło działalność, a mianowicie ks. Beimel, kierownik Związku i redaktor czasopisma „Der Kreuzritter“ i ks. Meinertz w Essen. Także w r. 1905 powstał „Katolicki Związek wstrzemięźliwości“ (Katholischer Mässigkeitsbund). Nie żąda on od swych członków abstynencyi, ale pragnie i usiłuje jak najszerze warstwy wciągnąć w ruch antyalkoholowy i zapalić do wytężonej walki<sup>3)</sup>. Kierownikiem Związku i zarazem redaktorem organu związkowego „Der Morgen“ jest ks. Haw, zdolny pisarz, znany także pod pseudonimem

---

założył 1896 r. w Rellinghausen pierwszy Związek krzyża, 1901 r. „Priesterabstinentenbund“. 1909 wstąpił do klasztoru, gdzie 13. XII. 1912 umarł.

<sup>1)</sup> 1909 wzrosła liczba członków do 4126. 1912 r. liczył 37 tys.

<sup>2)</sup> 1909 r. liczył 1300 członków.

<sup>3)</sup> Obok tego związku założył ks. Haw w r. 1912 nowy „Kath. Abstinentenbund“, połączony z tamtym pod wspólną nazwą „Verband gegen den Alk. für das kath. Deutschland.“



„Johannes“, jako autor broszury: „Der katholische Klerus und eine moderne Frage“.

Ks. Haw jest także kierownikiem „Związku Anioła Stróża“ (Schutzengelbund), skupiającego w sobie tysiączne rzesze dzieci. Roku 1912 było ich przeszło 100 000. Dla nich wydaje pisemko „Frisch von Quell“, dla dzieci także przeznaczone pisemko „Die Aufrechten“.

Dla gimnazyastów wydaje ruchliwy działacz ks. dr. Strehler pismo abstynenckie „Quickborn“, prócz tego wychodzi dla studentów „Frührot“, a dla młodzieży niestudującej: „Jung David“.

Szerzenie się alkoholizmu ogranicza się nie tylko przez zapobieganie z pomocą środków wstrzemięźliwości i abstynencyi, ale i przez leczenie nałogowych pijaków. I w tym względzie postępowano za przykładem Szwajcaryi, gdzie powstał pierwszy katolicki zakład leczniczy „Vonderflueh“ w Sarnen. Ważną tą, a zarazem trudną sprawą zajął się w Niemczech ks. Neumann z poświęceniem i roztropnością. Zwiedziwszy klasztory OO. Kamilianów w Holandyi i Belgii, Francyi i Włoszech, a także zakłady niemieckie i szwajcarskie i porozumiewszy się z prowincyałem Kamilianów O. Vido, wystarał się u rządu o zezwolenie na osiedlenie się tego zakonu. Tak powstał 1898 r. w uroczej okolicy nadreńskiej w Heidhausen zakład, pod nazwą „Dom św. Kamila“ (St. Kamillushaus), którego kierownictwo objęli ks. ks. Kamilianie.

Umieszczają się tu nałogowych pijaków w celu wyleczenia z nałogu i choroby, a obok innych środków używa się do tego w pierwszym rzędzie abstynencyi stosownie do słów jednego z znawców w tej sprawie: „Bez względu na strzeżliwość jest kategorycznym imperatywem.” To też za zupełnie uleczonych uważa się, gdy opuszczają zakład, tylko wytrwałych abstynentów.

Niedługo potem powstał staraniem ks. Endericha drugi zakład we Walderbach pod wezwaniem św. Józefa. Od 1902 r. kierują Trapiści zakładem leczniczym w Maria Veen, przeznaczonym dla robotników-alkoholików, a 1903 roku wybudowano w parafii ks. Neumanna, w Mündt zakład leczniczy dla kobiet, wreszcie 1912 r. powstał jeszcze jeden w Lenterdorf nad Renem.

\* \* \*

Antyalkoholowy ruch Niemiec rychło rozszedł się sąsiedniej Austrii. Ważnym w tej sprawie jest kongres wiedeński 1901 r., bo dał on bodźca usiłowaniom antyalkoholowym w krajach naddunajskich i powołał do życia liczne związki, między nimi i katolickie. Ks. ks. Weiss i Neumann, biorąc udział w pracach kongresowych, nie omisskali wpłynąć na założenie związku katolickiego, przygotowując grunt pod tę mowę sięjącą przez osobne wykłady, konferencje i przez rozrzućanie literatury agitacyjnej. I z austriackiej strony nie próżnowano.

Wspólna praca została rychło pomyślnym uwieńczona skutkiem; jeszcze tego samego roku związało się we Wiedniu „Katolickie stowarzyszenie wstrzeźliwości na Austryę“ (Katholischer Mässigkeitsverein für Oesterreich). Za zadanie wytknęło sobie pouczanie społeczeństwa o kwestyi alkoholowej, budowanie zakładów leczniczych, wpływanie na ustawodawstwo, zwalczanie zwyczajów pijackich, ochronę dzieci i młodzieży. Na jeneralnem zebraniu 1901 roku ustanowiono wydział wstrzeźliwości dla wszystkich krajów koronnych, składający się przeważnie z duchownych. Prezesem wybrano ks. Otona Kozlika z Wiednia, zasłużonego działacza w tej sprawie. Szczególne ożywienie w kołach duchowieństwa zapanowało po kongresie w Budapeszcie 1905 r., wysłano nawet odezwę do biskupów monarchii austriackiej, prosząc o poparcie dążeń.

I w seminariach duchownych liczy abstynencya, jak już wspominaliśmy, licznych zwolenników dzięki zabiegom księży, a szczególnie profesorów jak ks. Waitza. W wielu seminariach omawiają kwestyę alkoholową w pogadankach społecznych, a w Ołomuńcu w osobnym kursie alkoholowym.

W zachodniej części kraju wskrzesił ruch antyalkoholowy O. Kalikst Herié z Marburga, a szerzy się on wspaniale między społecznie uświadomionymi Słoweńcami. Pierwszy zjazd antyalkoholowy odbył się w Lublanie, zwołany i kierowany przez duchowieństwo. Skon-

stutowawszy, że bractwa wstrzemięźliwości nie przyniosły w dyecezyi pożądanych korzyści, postanowiono zakładać towarzystwa wstrzemięźliwości, względnie abstynencyi w łączności z wiedeńskim stowarzyszeniem. Z czasem utworzył się w Krainie potężny związek abstynencki „Złata Doba“. Podzielony przed niedawnym czasem na dwa stowarzyszenia: świeckich i duchownych<sup>1)</sup> świetnie się rozwija pod umiejętnem kierownictwem ks. ks. Kalana, Lenarda, a mianowicie ks. Křeka, który jest „organizatorem i duszą ruchu katolickiego między Słowenami“, jak pisze ks. Wiecki.

Mówiąc o ruchu austriackim nie można pominąć pracy O. Edmunda Hagera. R. 1884 założył on kongregacyę „Benedyktynów katolickiego stowarzyszenia przyjaciół dzieci“ (Benediktiner vom katholischen Verein der Kinderfreunde). Liczy ona w sześciu zakładach 400 członków abstynentów.

\*       \*       \*

Chociaż ruch przeciwalkoholowy w obozie katolickim jest stosunkowo młody, nie ustępuje w pracy innym obozom. Dążenia jego są skierowane do rozwiązania kwestyi społecznej, bo wychodzą ze założenia, że walka z alkoholizmem jest jednym z głównych środ-

---

<sup>1)</sup> Związek księży abstynentów liczył 1010 około 150 członków.

ków, by dopiąć tego upragnionego celu. W Dortmundzie powiedział ks. Neumann: „Z rozwiązaniem kwestyi alkoholowej mamy trzy czwarte całej kwestyi społecznej rozwiązane.“

Dalej uważa się w Niemczech walkę z alkoholem jako czynnik wielce pomocny w pracy charytatywnej. Jak wiemy, praca charytatywna cieszy się w tym kraju wielkiem uznaniem i zorganizowana wzorowo i praktycznie świetnie się rozwija. Ścisła łączność ruchu antyalkoholowego z tą pracą jest jedną z przyczyn, dla czego ruch ten tak szybko się wzmaga. Że taka łączność istnieje, stwierdza to ks. Neumann na kongresie wiedeńskim: „Jest to znamieniem naszego ruchu, że odpowiadamy różnym prądom, ale także społeczno-charytatywnej stronie kwestyi alkoholowej.“

Ruch antyalkoholowy w przeważnej części rozwija się pod troskliwem okiem władzy duchownej. Obdarza ona towarzystwa przywilejami, wyprasza dla nich odpusty i popiera je swemi odezwaniami. Listy pasterskie od czasu do czasu zwracają uwagę wiernych na potrzebę walki i wybór środków. Otóż, co pisze biskup hildesheimski w liście postnym 1907 r.

„Z radością trzeba powitać znamienny ten objaw, że niektóre jednostki z wszystkich warstw poświęciły się zupełnej abstynencji. Podziałało to skutecznie i dzięki ich wymowie i przykładowi setki a nawet tysiące w różnych krajach od dziesiątków lat ratowały się od

zguby. Uznanie więc należy się duchownym i świeckim, którzy z miłości ku nieszczęśliwym współbraciom Bogu przyrzekli wstrzemięźliwość od wszystkich napojów alkoholowych. Słowa „zupełna wstrzemięźliwość“ brzmią, jakoby to była wielka ofiara. Ale ktokolwiek zapoznał się z abstynencyą, wie, że żadne brzemie tak lekkie nie jest jak abstynencya.“

Nie sposób wymieniać wszystkich listów, zachęcających do brania udziału w tym ruchu, bo w ostatnim czasie mamy ich już dość sporą liczbę.

Niepodobnem jednak zamilczeć zdania zbiorowego biskupów dyecezyi limburskiej, fuldajskiej, mogunckiej, fryburskiej i rotenburskiej, a to z tego powodu, że list tych biskupów ma być odczytywany w każdą niedzielę palmową z kazalnicy. Czytamy tu między innymi: „Wzywamy naszych współobywateli tak mężczyzn jak kobiety do poparcia naszych usiłowań, skierowanych przeciw nieprzyjacielowi, który pochłania więcej ofiar niż zarazy i wojny, który zapełnia domy chorych i obłąkanych, domy ubogich i więzienia, który niweczy majątek, szczęście i pokój przelicznych rodzin, który zatruwa nawet świat dziecięcy i dorastające pokolenia rzuca chorobom na pastwę — przeciw nieprzyjacielowi, który narusza zdrowie, dobrobyt, moralność całych gmin, nawet całego narodu i nakłada narodowi niemieckiemu za te spustoszenia, jakie mu wy-

rządza, jeszcze 2500 milionów podatku — przeciw nieprzyjacielowi, który w swej wewnętrznej istocie jest antychrześcijańskim, który podkopuje wiarę i pobożność, przytępia poczucie moralne, psuje charakter i kojarzy się z nałogiem rozpusty.“





## Duchowieństwo polskie.<sup>1)</sup>

---

### I.

Równocześnie i równolegle z ruchem niemieckim, chociaż w większej części od niego niezależnie, rozwijał się ruch antyalkoholowy w krajach polskich.

I tu rozróżniamy dwa wielkie okresy, wyraziście występujące, różniące się co do środków stosowanych, ale zgodne w celu.

Pierwszy okres obejmuje walkę z alkoholem około połowy XIX w., skierowaną podobnie jak w Niemczech zachodnich przeciw używaniu i nadużywaniu wódki. Poczęła się ona prawie równocześnie we wszystkich kra-

---

<sup>1)</sup> Seling: „Rüstkammer, str. 122. Rundschau in der Alkoholfrage I, 12. Ks. Formanowicz: „Organizacja wstrzemięźliwości w Wielkim Księstwie Poznańskim“. Miesięcznik r. 1905. J. Chociszewski: „Słowo o ruchu wstrzemięźliwości w ziemiach polskich“. Ks. Trzeciński: „Krótki przewodnik pracy społecznej“ str. 95—103. „Zbiór ustaw“, str. 104—99. „Wiec obyczajowy w Poznaniu 1901 r.“ Charitas R. 1908, str. 38. R. 1909, str. 60—95. Miesięcznik R. 1905—1913. Przegląd powszechny R. 1894 i 95. „Ks. Karol Antoniewicz“ ks. Badeniego. Podręczna encyklopedia kościelna str. 239—41. Ateneum Kapłańskie 1912 roku 360.

jach polskich, a wnet ogromem swym przewyższyła ruch niemiecki.

Najwspanialej wystąpił do walki Górny Śląsk, na czele ks. Fietzek z Piekar. Porozumiawszy się listownie z ks. Selingiem, rozpoczął swą działalność 1844 r. w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej kazaniem przeciw używaniu wódki i założeniem towarzystwa wstrzemięźliwości. Nie ograniczył się jednak na własnej parafii, lecz wspólnie z O. Stefanem Brzozowskim, kapucynem, w którym dzielnego znalazł sprzymierzeńca, urządził między ludem górnośląskim misye ze znakomitym skutkiem. Zerwał się zapał po miastach i wioskach, zapępniały się na wołanie misyonarzy domy Boże, opróżniały karczmy, potęgowały towarzystwa wstrzemięźliwości. A była potrzeba takiego odrodzenia, bo lud śląski hołdował chętnie nałogowi pijaństwa, uległszy wpływowi niemieckich górników, jak podaje ks. Seling.

Potęzną i nagłą była reakcyja przeciw pijaństwu. Już w końcu 1844 r. liczono tu w towarzystwach wstrzemięźliwości 500 000 członków. Błogie stąd skutki. „Proboszcz, pochodzący z Górnego Śląska, zaręczał mi, pisze ks. Seling, „że, odwiedzając miejscowość swą rodzinną, napotkał taką zmianę i poprawę między ludźmi, że ledwie ich mógł poznać.“ Był to obraz tylu innych miast i wiosek. A reskrypt ministra spraw wewnętrznych z 1845 r. wspomina: „Najlepszym dowodem zbawiennej działalności jest ten fakt, że w tej prowincyi (t. j.

na Śląsku) w ciągu zeszłego roku zniesiono 18 gorzelni zupełnie, 108 przestało pracować, a podatek z okowity zmniejszył się o 254 489 talarów.“

Ruch ten udzielał się także krajom sąsiednim. Nauki O. Brzozowskiego, głoszone w czasie odpustów na Górze św. Anny, roznosili pielgrzymi do stron ojczystych na Morawy, do Galicyi. Na Węgry przeniósł nowe hasła ks. Soltesz, który bawił dłuższy czas w Piekarach u ks. Fietzka.

R. 1851 sprowadził ks. Fietzek z Galicyi Jezuitów, między nimi ks. Antoniewicza.

Pod kierownictwem żarliwego apostoła poczęły się nowe misye, nowe prace nad ludem śląskim, a ruch wstrzemięźliwości wstrzymany wypadkami 1848 r. wznowił się, bo „śluby wstrzemięźliwości odnowiono,“ jak pisze ks. Antoniewicz, wspominając o owocach misyi.

Ruch w Księstwie, chociaż w zasadzie ten sam co śląski, nie był z początku tak ściśle kościelny jak śląski. Jednakże nie znaczy to, że duchowieństwo w nim udziału nie brało, owszem nie możnaby sobie tego olbrzymiego powodzenia bez współpracy jego wystawić. Ale praca ogniskowała się w towarzystwach, gdzie inteligencya świecka ręką w rękę z duchowną podejmowała się dzieła odrodzenia kraju z pijaństwa. Pierwsze towarzystwo antyalkoholowe nosiło nazwę „Towarzystwo ku przytłumieniu używania wódki“, założone po roku 1840. W krótkim czasie towarzystwa takie

siecią pokryły Księstwo. Ogniskiem ich stał się Kórnik, a organem pisemko, wydawane przez chirurga z Kórnika, de la Roche, „Zwiastun wstrzemięźliwości w Wielkiem Księstwie Poznańskim“. Oto, co czytamy w niem o działalności duchowieństwa:

„Nieledwie w każdym miejscu, w którem jest kościół katolicki, a ksiądz czynny, tkliwe serce mający na nędzę swego bliźniego, zabrzmiało solenne wezwanie do walki naprzeciw napojom szaleństwa aż do wytępienia ich do szczętu. Wszędzie każą z wymową wszystko ogarniającą, z serca wypływającą naprzeciw niszczycielowi narodu... A wskutek tych kazań ciśnie się lud po wszystkich miastach, stanie w niedzielę po skończonem nabożeństwie do Pańskich ołtarzy, aby tu w tych miejscach świętych złożyć ślub na rozbrat z tym tyranem... A nie są to wyłącznie członkowie klas niższych, co na wezwanie pasterzy dążą pod chorągiew wstrzemięźliwości, owszem wielu z najszlachetniejszych i najznakomitszych członków narodu polskiego, hrabiowie, obywatele, urzędnicy, nauczyciele, nawet damy wspańiałe stanów najoświecieńszych nie wahają się posłużyć ubogim i niższym za wzniosły przykład do przyklęknienia w miejscu najświętszem i złożenia ślubu świętej trzeźwości i wstrzemięźliwości od wszystkich napojów upajających, którzy tak w ręce pasterza składając najgodniej się łączą z ważnem poruszeniem czasu... Dnia 24. listopada roku zeszłego zapisało się w ko-

ściele kórnickim przeszło 100 osób z wszystkich stanów do bractwa trzeźwości. W Poznaniu sięga liczba braci tysięcy“.

Do pierwszych i najwięcej znanych krzewicieli wstrzeźliwości należał ks. Waber w Kępnie. Skutki swej pracy opisuje w dziełku „Słów kilka o zaprowadzeniu wstrzeźliwości i trzeźwości“: „W piątą niedzielę po Świątkach“, pisze, „pierwszą stoczyłem walkę i zaraz 620 ochotników do boju stanęło. Krew się nie lała, choć dotąd dzień w dzień potykaliśmy się z sobą, ale łzy radości płynęły. Zapalone to młode żołnierstwo coraz więcej mężnych i odważnych w szeregi wprowadzało, iż wreszcie 1421 członków z poświęceniem i zaprzeniem samego siebie do boju stanęło. Kochani bracia w Chrystusie! Ci wszyscy zupełnie się aż do kropli wódki wyrzekli, a trzeźwość i mierność w wszystkich innych napojach umiłowali. Miasteczko Baranów, tak bliskie Kępna, jak gdyby przedmieściem jego było, nie mogło nie posłyszeć o tej zmianie, jaka między nami zaszła. W parafii tej rozległej jest już dziś 1284 ochoczych żniwiarzy, którzy razem z nami do wspólnej dali się pracy“.

To też plon tego ruchu był obfity. R. 1845 towarzystwa wstrzeźliwości w Księstwie liczyły, jak podaje de la Roche, 300 000 członków. — „Po wsiach i miasteczkach“, pisze ks. Seling, „wypijano już tylko tyle kwart, ile zeszłej zimy beczek. Pomiędzy polskimi mieszkańcami trudno było znaleźć takiego, któryby

pił wódkę, chociaż niedawno jeszcze wszyscy z małymi wyjątkami pili, a nawet po największej części pijakami byli“.

Wzniosłe te hasła, we wszystkich rozlegające się warstwach, niemało się przyczyniły do podniesienia moralności. Rządy arcybiskupa Dunina, ze wszech miar obfite w owoce, powiększyły szeregi duchowieństwa, podniosły religijny poziom społeczeństwa, okazały stanowczość Kościoła wobec dążności protektanckiego rządu. Duchowieństwo liczniejsze teraz mogło się z większą skutecznością zabrać do pracy nad wytępieniem pijaństwa i rzeczywiście zdawało się, że ruch ten, tak szczęśliwie rozpoczęty i umiejętnie kierowany, podniesie ekonomiczny byt narodu i postawi społeczeństwo nasze między najtrzeźwiejsze. Sława i wieść o zwycięskich walkach z pijaństwem w ziemiach polskich rozeszła się po Zachodzie i wpływała jeszcze dziesiątki lat później dodatnio przy tworzeniu bractw kościelnych.

Znienacka spadł cios, skąd go się najmniej było można spodziewać. Nieszczęśliwe lata 1846 i 48, gdzie społeczeństwo obietnicami zwiedzione, chwyciło za broń odruchem rozpaczliwym, rozbiły w puch usiłowania zbawienne tak, iż szczątki tylko zostały.

To też już 1852 r. maluje jeden z współczesnych stan wstrzeźliwości w Księstwie, jak następuje: „Pijaństwo i tutaj jest zakorzenione może mniej cokolwiek niż w innych częściach dawnej Polski. Lud poznański nadużywa trun-

ków, ale to prawda, że nadużycie to najszkodliwszą jest jego przywarą i nietylko, że niszczy zdrowie i przeszkadza dobremu, a przynajmniej lepszemu bytowi, ale jak świadczą w ogólności akta kryminalne, wszystkie zdrożności i zbrodnie w stanie pijaństwa są zazwyczaj popełniane<sup>1)</sup>).

Jednakowoż w kilka lat po powstaniu na nowo odżyła walka z pijaństwem przez misye ks. Antoniewicza, który „w imię Jezusa Chrystusa pierwszy w Galicyi podniósł chorągiew trzeźwości, pierwszy wypowiedział bój pijaństwu“, jak pisze ks. Polkowski, „a odtąd całe jego życie było właściwie tylko nieustanną walką przeciw pijaństwu“.

Urodzony we Lwowie 6. listopada 1807 r. brał po świetnie ukończonych studiach prawniczych 1831 roku udział w powstaniu pod generałem Dwernickim. Ożeniwszy się z Zofią Nikorowiczówną zamieszkał w Skwarzewie, gdzie był wieśniakom ojcem i przyjacielem. Po bolesnej stracie żony i pięciorga dzieci wstąpił do zakonu Jezuitów i odebrał 1844 roku święcenia kapłańskie z rąk biskupa podlaskiego, Jana Gutkowskiego. Pierwsze swe polskie kazanie wypowiedział przy założeniu towarzystwa wstrzeмиężliwości w Sączu 1844 r. Podówczas alkoholizm straszne czynił spustoszenia w Galicyi, a szczególnie na całym karpackim podgórzu. „Przeciw tej zarazie“, pisze ks.

---

<sup>1)</sup> Prz. p. R. 1895, str. 335.



Badeni, „powstał Antoniewicz w czterech kazaniach, w cztery z rzędu adwentowe niedziele wypowiedzianych; powstał, jak tradycja niesie, z taką siłą, w tak groźnych barwach odmalował straszne tej choroby następstwa, że całe tłumy, między którymi znajdowało się niemało nałogowych pijaków, cisnęły się na wyścigi i błagały, aby ich zapisać do świętej trzeźwości“.

Po rozpędzeniu Jezuitów 1848 r., pospieszył ks. Antoniewicz 1850 r. na wezwanie kardynała Diepenbrocka na Śląsk, a 1852 r. na wezwanie arcybiskupa Przyłuskiego do Księstwa.

Tutaj rozpoczął misye swe na czele pięciu Jezuitów w Krobi, a zaraz na wstępie z wielkiem powodzeniem. Nieznużony spieszył dalej do Krzywina, Czerwonejwsi, Kościana, Niechanowa, Poznania, wszędzie głosząc między innemi kilka nauk na temat trzeźwości. W czasie cholery, która wybuchła w tym roku, okazał się podobnie jak O. Mathew, w którego ślady wchodził, prawdziwym aniołem stróżem dla okolic południowych Księstwa, aż wreszcie sam padł w Obrze ofiarą zaraźliwej choroby — w dniu św. Stanisława Kostki 1852 r. Wdzięczne obywatelstwo poznańskie wystawiło mu pomnik, a świetnemi mowami uczcili jego pamięć ks. ks. Prusinowski i Janiszewski w Poznaniu, ks. Jełowicki w Paryżu.

Jednakże usiłowania ks. Antoniewicza nie zdołały już wywołać dawniejszego zapału; zresztą czas był za krótki, przeszkód za wiele,

aby ks. Antoniewicz mógł w całym blasku rozwinać swą działalność i urzeczywistnić program, jaki sobie był wytknął. Ale mimo to wszystko owoce misji były obfite i długo jeszcze pamiętano o wzniosłych naukach wielkiego kaznodziei.

Towarzysze ks. Antoniewicza ks. ks. Praszalowicz, Baczyński, a także ks. Kamiński ponieśli ruch wstrzemięźliwości do Prus Królewskich, a równocześnie inni Jezuici obudzili go na Warmii. Tutaj używanie wódki zmniejszyło się o dwie trzecie i dziś jeszcze widać tu ślady ich działalności.

W Księstwie idea wstrzemięźliwości nowe zyskała poparcie przez arcybiskupa Ledóchowskiego. W sierpniu 1868 r. na kongregacyi dziekanów w Gnieźnie postanowiono zaprowadzać bractwa wstrzemięźliwości we wszystkich parafiach obydwóch dyecezyi. Ustawy opiewają, że członkowie zobowiązani są do wstrzymania się od wszystkich napojów „palonych“ i nakazują, by bractwo celem większej łączności miało wspólną mszę św. za zmarłych członków, wspólne odpusty dwa razy do roku, wspólną chorągiew bracką i zebrania przynajmniej cztery razy do roku, na których ma się niepoprawnych wykluczać<sup>1)</sup>.

„Dla ludu wiele zdziałało Bractwo wstrzemięźliwości“ pisze ks. Trzeński. Nie zdołało ono jednak odświeżyć zapału dawniejszych

<sup>1)</sup> Zbiór ustaw, str. 194—202.

powodzeń tem mniej, że nadeszły wypadki roku 1870, a po nich walka kulturalna, która i ruchowi antyalkoholowemu wielkie klęski zadała<sup>1)</sup>).

## II.

Gdy na Zachodzie idea wstrzemięźliwości, a raczej abstynencji coraz liczniejszych zyskiwała zwolenników, ujawniając się jako potężny prąd społeczny w Ameryce i w Anglii, nie mogły odgłosy tej nowoczesnej walki przejść niepostrzeżenie w krajach polskich, gdzie społeczeństwo tak przychylnie dla kulturalnych zdobyczy Zachodu. Powoli poczęły się tworzyć nowe organizacje antyalkoholowe, odświeżające tradycje ruchu dawniejszego. Z początku mało znalazły uznania w społeczeństwie mało uświadomionem w tym względzie, a brakło też zajęcia się tą żywotną sprawą w warstwach wyższych, tak iż czasopismo jej poświęcone w Księstwie utrzymać się nie mogło. Dalszą przyczyną niepowodzenia, jak wnioskować można z ruchu wstrzemięźliwości w Niemczech i z usiłowań w innych krajach, gdzie rozpoczęto od zwykłej wstrzemięźliwości, a potem jej zaniechano dla abstynencji, była obawa przed złamaniem tradycji czy też nieznanomość abstynencji jako koniecznego warunku powodzenia. Nie można tego jednak

---

<sup>1)</sup> W r. 1913 wkroczyły Bractwa za sprawą ks. Biskupa Likowskiego w nową falę rozwoju, bo zatwierdzono ustawy Bractwa abstynenckiego.

uważać jako wsteczność, boć i w Niemczech nie wszystkie towarzystwa od razu kierowały się zasadą abstynencyi, a większa część katolickich dopiero w ostatnich latach, jak pisaliśmy, w tym względzie poczyniła reformy. Mimo to ruch antyalkoholowy, wskrzeszony około roku 1890, miał doniosłe znaczenie, bo odnowił zapomniane albo zaniedbane tradycye, wskazał na konieczność walki z alkoholizmem, słowem stał się brząskiem nowego ruchu już abstynenckiego.

Zasługa rozpoczęcia tego nowego okresu walki z alkoholizmem przez wskrzeszenie ruchu przygotowawczego należy się p. Zygmuntowi Celichowskiemu, który przypomniał Księstwu chlubną działalność Kórnika ery dawniejszej. Założył on tu bowiem 1887 roku „Towarzystwo szerzenia wstrzemięźliwości“. Organem tego towarzystwa była „Pobudka do szerzenia wstrzemięźliwości“, wychodząca od roku 1891, by nieza długo przejść na nakład Miarki w Mikołowie.

Podobnie wystąpił p. Józef Chociszewski z Gniezna do walki, zakładając 1890 r. „Jutrzenkę“ w Poznaniu. Wnet powstały i w innych miastach Księstwa, a nawet Prus Królewskich podobne stowarzyszenia. Z łona tej „Jutrzenki“ zwołano 1901 r. „Wiec obyczajowy“ do Poznania, gdzie o alkoholizmie przemawiali pp. Adam Karwowski, Zygmunt Celichowski i Józef Chociszewski. Arcybiskup Stablewski życzył usiłowaniom, podjętym

wspólnie przez duchowieństwo i świecką inteligencję, powodzenia w osobnym liście, o którym poniżej będzie mowa.

Jednym z wybitnych, gorliwych członków „Jutrzenki“ był Franciszek Wojciechowski. Zapoznawszy się gruntownie z kwestyą alkoholową w Norwegii, ze zapalem rozpowszechniał ją, gdzie się ku temu nadarzyła sposobność, podkreślając szczególnie potrzebę zupełnej wstrzemięźliwości, pierwszy w Księstwie. W początkach nie znajdował posłuchu, ale już 1891 r. powstało w łonie „Jutrzenki“ „Kółko Promienistych“ z hasłem zupełnej wstrzemięźliwości. Tymczasem upłynął jeszcze dziesiątek lat, nim nowa idea znalazła takiego przedstawiciela, któryby jej mógł szerokie wywalczyć uznanie.

Wyszedł on z kół duchowieństwa.

Światły arcybiskup Stablewski, ogarniający bystrem okiem budzące się prądy społeczne, zajął się także kwestyą alkoholizmu. W liście posłanym na wiec obyczajowy tak się odzywa między innemi: „Serce moje rozradowało się wiadomością, że wielkie dzieło wstrzemięźliwości, powołane do życia w dycezyach naszych przez poprzedników moich, znajduje w świeckich nowych sprzymierzeńców“. A w jednym ze swych okólników, w którym występuje za sprawą wstrzemięźliwości, powiada tak trafnie: „Jednym z najszczytniejszych objawów miłości bliźniego naszych czasów to walka w wszystkich krajach

przeciwko pijaństwu czyli alkoholizmowi“. W roku 1900 wyznaczył arcybiskup osobne cztery niedziele dla kazań o wstrzemięźliwości i bractw wstrzemięźliwości. On to starał się na kongregacyi dziekanów z tego samego roku podać nowe środki duchowieństwu na zwalczanie alkoholizmu, on to wysłał 1903 r. jednego z naszych światłych społeczników do Bremy na kongres celem zbadania tego ruchu.

Narodziny najnowszego przełomowego ruchu się zbliżały.

W seminaryum poznańskiem po rekolekcyach zebrało się kilku kleryków na pogadankę. Wśród rozmowy potrącono i o kwestyę alkoholową, jej najnowsze przejawy, zainteresowanie się wzmagало, bo kilku tę kwestyę dokładniej znało. Jeden z kleryków, ks. Franciszek Olejniczak, podał myśl, żeby popробować z abstynencyą. I rzeczywiście kilku ją podjęło i dało sobie przyrzeczenie, że odtąd będą ją wcielać w czyn.

Do tej garstki odważnych przyłączył się ks. Niesiołowski z Pleszewa, który już od kilku lat kwestyą tą się zajmował. Za inicjatywą ks. Olejniczaka zebrało się 13. września 1902 r. 7 kleryków i jeden kapłan w Domu katolickim w Poznaniu i po gorącym przemówieniu młodego kapłana złączyli się zebrani w kółko, nadając mu nazwę „Związek księży abstynentów na dycecezyę gnieźnieńsko-poznańską“. Prezesem został ks. Niesiołowski, sekretarzem ks. Fórmanowicz, później ks. Mrugas.

Ustawy obowiązujące członków uległy z czasem małym zmianom. Jaki zakres pracy wytknął sobie Związek, jak ją spełnia?

Celem „Związku Księży Abstynentów“<sup>1)</sup> jest zwalczanie alkoholizmu. (§ 2).

„Związek starać się będzie o wypełnienie swego zadania przez

1. Dobry przykład członków, zobowiązujących się do zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych.

2. Pozyskanie jak najszerzych kół duchowieństwa dla sprawy wstrzemięźliwości.

3. Uświadamianie wszystkich warstw społeczeństwa o szkodliwości alkoholu za pomocą wieców, zebrań, wykładów, pism, broszur, artykułów do gazet i t. p.

4. Popieranie działalności i towarzystw i bractw wstrzemięźliwości.

5. Szerzenie cnoty wstrzemięźliwości między dziećmi i uczącą się młodzieżą.

6. Zwalczanie zgubnych zwyczajów picia przy każdej sposobności, zniewalania do picia, kolejkowania, toastowania, częstowania wódką podczas żniw, wynagradzania pracy i częstowania dzieci napojami alkoholowymi i t. p.

7. Popierania lecznic dla alkoholików, gospód wstrzemięźliwości, kawiarni, herbariarni, bezpłatnych czytelni i t. p. “ (§ 3).

Działalność małego Związku, trudna i mozolna powoli, ale trwale przynosiła owoce mia-

---

<sup>1)</sup> Słuszną zmianą, bo przyjmuje się na członków i księży z innych dzielnic polskich zaboru pruskiego.



nowicie dzięki ruchliwości członków jak ks. ks. Mrugasa, Olejniczaka, Stankowskiego i innych. Liczba członków stale rośnie. R. 1905 liczył Związek 30, 1909 r. już 70 członków. R. 1909 utworzono osobny oddział dla dyecezyi chełmińskiej, na którego czele stanęli ks. Gołębiwski, długoletni abstynent i gorliwy ks. Szuman. R. 1913 Związek Księży Abstynentów liczył około 80 członków. Organem Związku jest „Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzeźliwości“ wychodzący od grudnia 1903 r. w Pleszewie. Stoi głównie pracą ks. Niesiołowskiego, który w przystępny, a wyrazisty sposób z wielką znajomością życia kreśli społeczną stronę kwestyi alkoholowej.

Ks. Kazimierz Niesiołowski jest dziś głównym przedstawicielem ruchu abstynenckiego nie tylko w Księstwie, ale w całej Polsce. A ponieważ ruch ten na nowe wepchnął tory, ponieważ, „nowym etapem walki z alkoholizmem, jak pisze ks. Trzeciński, „jest u nas jego wystąpienie“, warto się dowiedzieć, jakie przyczyny i warunki wprowadziły go w wir walki. Sam to opowiada<sup>1)</sup>, jak następuje: „Pleszew jest moją pierwszą i jedyną dotąd posadą<sup>2)</sup>. Aż do przybycia tu dotąd, nie interesowałem się wcale kwestyą alkoholizmu. Osobiście nie miałem ani skłonności ani wstrętu do kieliszka,

<sup>1)</sup> W liście z dnia 14. września 1909 r.

<sup>2)</sup> Urodził się 6. lutego 1872 r., wyświęcony 29. czerwca 1896 r. Instytucyę kanoniczną odebrał 1900 r.

jak większość przeciętnych śmiertelników. Otrzymawszy wokracyę do Pleszewa poznałem rychło skutki pijaństwa w mieście liczącem na 8 000 mieszkańców przeszło 50 knajp... Zabrałem się energicznie do pracy, ograniczającej się z początku do ambony i konfesyonału. W roku 1898 wskrzesiłem tutejsze bractwo wstrzemięźliwości, które od kilkunastu lat przestało zupełnie istnieć. Mimo, że wstąpiło w pierwszym roku przeszło 300 członków, zauważyłem, że bractwa w obecnych warunkach nie mogą wystarczyć. Przypadkowo wyczytałem w pewnem piśmie znany szczegół z życia kard. Manninga, który dla dobra ludu został abstynentem. Postanowiłem sobie pójść jego śladami. Dnia 2. lutego 1899 roku wygłosiłem kazanie o trzeźwości i na zakończenie przyrzekłem parafianom, nie używać żadnych napojów upajających, aby im świecić dobrym przykładem. Później dostało mi się do ręki dziełko biskupa Eggera: *Der Klerus und die Alkoholfrage*. Następnie inne tegoż prace. Kongres w Bremie 1903 r., w którym uczestniczyłem, otworzył mi do reszty oczy na znaczenie kwestyi alkoholizmu. — W ciągu roku 1901 poznałem kilku kleryków z seminaryum poznańskiego, którzy zostali abstynentami częściowo pod wpływem prof. Lutosławskiego, częściowo wskutek czytania dzieł niemieckich, dotyczących walki z alkoholizmem. Dnia 13. września 1902 r. założyliśmy w Domu katolickim w Poznaniu nasz Związek,

do którego wstąpiło 7 kleryków i ja jako jedyny ksiądz“.

Jego imię jako gorliwego działacza przynosi chlubę narodowi polskiemu i za granicą, bo czynny brał udział w kongresach międzynarodowych (1905 r.) w Budapeszcie, w Bremie, w Sztokholmie (1907 r.), w Hadze 1911 r. Na II. zjeździe polskich abstynentów w Krakowie (1905 r.) należał do komitetu i wygłosił wykład „O ruchu wstrzemięźliwości w Księstwie Poznańskim“, podobnie na ostatnim zjeździe we Lwowie 1912 r.

Usilnem jego dążeniem jest przeniesienie abstynencyi w jak najszerze warstwy. Stąd wydawał ulotne pisemka, popularne broszurki jak „Czytajcie matki“ i Przyjaciół czy wróg“ stąd rzucił myśl założenia świeckiego towarzystwa abstynencyi.

, W tym celu zwołano 22. listopada 1905 r. wiec w sprawie wstrzemięźliwości do Poznania. Między innymi brali w nim udział pp. Celińchowski, Paweł Gantkowski, lekarz z Poznania, ks. Niesiołowski, a także delegaci z Galicyi i Górnego Śląska. Utworzono stowarzyszenie pod nazwą „Wyzwolenie“ na zasadzie abstynencyi, na czele stanęli dr. Gantkowski i ks. Niesiołowski.

Zapał, jaki panował na zebraniu, poniósł się do miast i siół, nawet poza granice Księstwa, do Westfalii<sup>1)</sup> i na Śląsk, z roku na rok

---

<sup>1)</sup> 1912 r. należało na wychodźstwie do „Wyzwolenia“ 706 członków.

rosnąć i praktyczne przynosząc korzyści. Rodzą się towarzystwa „Wyzwolenia“ nie tylko po miastach, ale i wioskach dzięki wspólnej pracy inteligencji świeckiej, warstw średnich, szczególnie zaś duchowieństwa. Statystyka wykazuje ciągły wzrost towarzystw. Przy założeniu liczyło „Wyzwolenie“ 137 członków. 1906 r. 626, 1907 r. 1004, 1908 1496, 1909 1919, 1910 r. w 39 tow. 3054, 1912 r. w 89 tow. 4100 członków.

W „Wyzwoleniu“ łączą się wszystkie warstwy społeczeństwa,<sup>1)</sup> spotyka się kobiety i młodzież, wspólnymi siłami dźwiga się gmach lepszej przyszłości pod hasłem „Przyszłość nasza.“

Niemaló przyczyniły się do rozwoju abstynencji obok „Miesięcznika“ i inne pisma a w pierwszym rzędzie „Przyjaciel trzeźwości“. R. 1910 przejął go na swój nakład Zw. Ks. Abst. i powierzył redakcyę ks. Maksymilianowi Mrugasowi z Głuszyny, który obok ks. Niesiołowskiego jest najruchliwszym w Księstwie abstynentem.

Mniej powiodło się z innemi pismami: „Świt“, pismo redagowane przez młodzież dla młodzieży w duchu abstynenckim, w ogóle pierwsze pismo młodzieży pod zaborem pruskim, połączono 1911 r. z „Miesięcznikiem“, który jednakże zyskał przez to na objętości.

---

<sup>1)</sup> Niestety, inteligencja świecka z małymi wyjątkami stroni od Wyzwolenia! Por. Świt, 1913 r.

„Wiadomości z ruchu wstrzemięźliwości“, wyrosły ze znakomitego pomysłu, rozsyłane do redakcyi dzienników z gotowym materiałem do przedruku, nie ostały się długo.

W ostatnich latach szczególną uwagą poczęto darzyć dzieci, chcąc je pozyskać dla nowego ruchu. Stało się to przeważnie za inicjatywą ks. ks. Karczyńskiego i Szumana. Od r. 1913 począł więc ks. Szuman wydawać pisemko dla dzieci „Nasz Przewodnik“, który odrazu zyskał sobie sympatyę dzieci i społeczeństwa, rozwijając się znakomicie. Zarazem postarano się u ks. Biskupa Likowskiego, znanego z przychylności dla nowego ruchu, o zatwierdzenie ustaw dla „Bractwa Dzieciątka Jezus“, zapewniając mu w ten sposób jak najpomyślniejszy rozwój. Rozrastają się zadania ruchu abstynenckiego u nas, świadomość o jego potrzebie duchowieństwo coraz więcej przenika, a choć przeszkód i prac bez liku, coraz nowi wyłaniają się działacze, płomienni zapałem i poświęceniem dla wzniosłej idei.

\*

\*

\*

Na Śląsku środowiskiem walki z alkoholizmem są jak w okresie przeszłym Piekary, przynajmniej środowiskiem bractw kościelnych. Tu założył kardynał Kopp arcybractwo, któremu wszystkie bractwa podlegają, było ich około 100. Od zjazdu księży-abstynentów śląskich w Tarnowskich Górach 1908 r., zakła-

dają się osobne bractwa dla Polaków. W każdym bractwie jest osobne kółko abstynentów. Dyrektorem bractw jest ks. Kapica, ogarniający działalnością swą cały Śląsk, przedstawiciel ruchu katolickiego na Śląsku.

Ks. Kapica ur. 2. lutego 1866 r.<sup>1)</sup> jako syn gospodarza w Miedźnej, w powiecie pszczyńskim, uczęszczał do gimnazjum w Bielsku na Śląsku austriackim i w Pszczynie. Ukończywszy studia teologiczne we Wrocławiu i wyświęcony na kapłana 15. czerwca 1892 r., dostał parafę w Siemianowicach, w parafii liczącej 20 000 dusz, przeważnie robotników. Talentem swym organizacyjnym rychło ogarnął szerokie pole pracy. Dla robotników założył towarzystwo i poświęcał im wiele czasu. Po dwóch latach przerzucony do Berlina, pracował w parafii św. Jadwigi, aż 1898 r. został proboszczem w Tychach, znowu na Górnym Śląsku.

Patrzac od lat dziecięcych na skutki pijaństwa, — „kolebka moja stała przy karczmie“ (są jego słowa) — a teraz w swej parafii poznając całą doniosłość tej choroby społecznej, postanowił przeciwdziałać jej zgubnym wpływom. Założył więc, odbywszy poprzednio misję, 8. grudnia 1898 r. bractwo wstrzemięźliwości, do którego się zaraz jedna czwarta parafii, tj. 2000 zapisało, a w lutym następnego roku przybyło jeszcze 1500. Opierając się na takim powodzeniu, podał u kardynała Koppa

---

<sup>1)</sup> Według jego własnego opowiadania podano.

wniosek o ponowienie dawniejszych bractw. Kardynał poprosił go z referatem na konferencyę dziekanów i tu go mianował dyrektorem z władzą tworzenia bractw i odprawiania misyi wstrzemięźliwości. Gorliwie spełniał ks. Kapica obowiązek sobie powierzony i świetnie zorganizował bractwa śląskie. Prócz pracy misyjnej brał on udział w tworzeniu towarzystw śląskich i zasłynął podobnie jak ks. Seeling swymi wykładami, jakie miewał w niektórych miastach niemieckich. Jakkolwiek wybór jego na posła opolskiego 1907 r. ograniczył szeroką jego działalność społeczną, nie ustał w gorliwej pracy dla sprawy. Dowodem na to jego świetna przemowa na zjeździe katolików we Wrocławiu (1909 r.), ważna i pod tym względem, że pierwszy raz kwestya alkoholowa stała się przedmiotem obrad posiedzenia plenarnego.

Dowodem na to jego praca literacka<sup>1)</sup>.

W sprawie leczenia alkoholików Śląsk wyprzedził naszą dzielnicę. Już wkrótce po założeniu pierwszej lecznicy dla alkoholików nad Renem powstała podobna na Śląsku w Miechowicach, dokąd sprowadzono także OO. Kamilianów. R. 1906 przeniesiono lecznicę do Tarnowskich Gór.

\* \* \*

---

<sup>1)</sup> Dzielka jego pisane w języku niemieckim: „Leitsätze“, „Gewissensfragen“, „Die Seelsorge und die Mässigkeitsbewegung“, znakomitą tę rzecz przetłumaczono na polskie i wydano we Włocławku.



W Galicyi rozpoczął walkę z alkoholizmem, jak już wspominaliśmy, ks. Antoniewicz, zakładając 1844 r. towarzystwo wstrzemięźliwości w Sączu. Mnożące się towarzystwa znalazły poparcie u biskupa Zachariasiewicza, a za wstawieniem się biskupa Hirschlera zostały 1871 r. wyniesione do godności bractw i ustawy ich zatwierdziła Stolica apostolska.

W najnowszym ruchu antyalkoholowym, już abstynenckim, wskrzeszonym przez prof. Lutosławskiego, który 1902 r. założył „Eleuteryę“, duchowieństwo bardzo mały udział brało. Wymienić tu jednak trzeba ks. Bielez Krosna, który, stojąc na czele tamtejszego kółka, ruchliwie zajmował się sprawą abstynencką. Z czasem jednak zbudziło się silne zainteresowanie, szczególnie w archidiecezyji lwowskiej dzięki zachętom i pracom ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Znany ten społecznik, idąc śladami wielkiego kardynała westminster-skiego, nakazuje instrukcją dla duchowieństwa z r. 1906, aby żądało od dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii św., przyrzeczenia wstrzemięźliwości aż do 20-go roku życia, zachęca kleryków do abstynencyi, tworzy osobne kółka abstynenckie przy towarzystwach św. Wincentego à Paulo, głosi takie poglądy na kwestyę alkoholową: „Ważnem zadaniem, które świeccy katolicy łącznie z duchowieństwem mają dziś do spełnienia, to ujęcie i rozszerzenie dzisiejszego ruchu antyalkoholicznego przy równoczesnem uleczeniu od choro-

bliwych naleciałości. Każda bowiem tama przeciw pijaństwu i niewstrzeźliwości to jeden z najskuteczniejszych środków do szczerśliwego i pokojowego rozwiązania tak rozognionej kwestyi socyalnej, tej prawdziwej męki naszych czasów.“

A jak duchowieństwo galicyjskie zajmuje się „ujęciem i rozszerzeniem —dzisiejszego ruchu antyalkoholicznego?“

Chlubne zasługi w tej sprawie zyskał sobie ks. Bronisław Markiewicz, proboszcz w Miejsu Piastowym. Ledwie „polski Don Bosco“ objął rządy w swej ubogiej parafii (1892 r.), utworzył zakład dla swej ukochanej młodzieży. Wychowywał on tu — 1898 r. wybudował nowy gmach — setki chłopców, przeważnie kształcąc ich w praktycznych zawodach; głównem prawidłem tego wychowania to prostota połączona z zupełną wstrzeźliwością a hasłem „Powściągliwość i praca“. R. 1903 założył filię w Pawlikowicach. Ks. Markiewicz<sup>1)</sup> powiedział do Niemców, zwiedzających jego zakład: „Powściągliwość i praca uratują nas, uratują świat.“

Idąc za głosem arcybiskupa Bileczewskiego, połączyli się księża-abstynenci 1907 r. we Lwowie w „Związek księży abstynentów dla Galicyi“. Kapłani jednakże rozproszeni po całej Galicyi nie mogą częstych odbywać zebrań.

---

<sup>1)</sup> Ks. Markiewicz \* 1842 r. w Pruchniku, wyświęcony 1867 r., umarł 1912 r.

Za to tem gorliwiej pracują w swych parafiach, roznosząc hasła abstynencyi za pomocą wieców i broszur między lud, jak podawał sekretarz Związku, ks. Makłowicz.

Pod wpływem XX. synodu przemyskiego, gdzie polecono zakładać w Bractwach osobne kółka dla abstynentów i w celu wydajniejszej działalności zreorganizowano Związek w Przemysłu 1911 r., gdzie wybrano na prezesa ks. Janiszewskiego z Hliboki, znanego działacza i literata przeciwalkoholowego, obok niego gorliwie pracuje i wiceprezes ks. dr. Ciemniwski, nie wymieniając innych. Związek nieźle się rozwija, 1912 r. liczył 95 członków. Wybitny brał też udział w wspaniałym kongresie polskim z rzędu III., jaki się odbył 1912 r. we Lwowie.

Usiłowania Związku nagradzają się obficie, bo ruch coraz szersze zatacza kręgi, szczególnie w kołach młodszego duchowieństwa. W pierwszej połowie 1909 r. powstało za inicjatywą Z. X. A. „Koło Abstynentów Alumnów“ we Lwowie. W regulaminie obowiązującym do zupełnej wstrzemięźliwości wyznacza sobie Koło jako program: „Wykształcenie się i przygotowanie do szerokiej pracy społeczno-charytatywnej“.

\*

\*

\*

I pod zaborem rosyjskim duchowieństwo chwyta za broń przeciwko alkoholowi, wierne świetnym tradycjom ks. Ejmonda, ks. biskupa

Wołoncewskiego i Pallulona. Niestety, jak w ogóle tak i tutaj rząd paraliżuje działalność.

Najświetniejsze owoce przynosi ona na Litwie, poczynając się mianowicie z r. 1908. W tym roku założono bowiem towarzystwo „Blaivybe“ (Trzeźwość), w pierwszym roku naraz 31 oddziałów. Pod kierownictwem księży, których około 30 jest abstynentami, rozwija się świetnie z pomocą miesięcznika „Vienybe“ (Jedność). W 1911 r. liczyło przeszło 20 000 członków, 1912 r. 30 000, abstynentów zaś 5000. Ruch cały ogniskuje się w Kownie, przywódcą jego jest ks. Mamro, doznawał też opieki ze strony ks. biskupa Cyrtowta.

W Królestwie księży abstynenci niedawno, bo dopiero 1910 r., się zorganizowali w Włocławku w „Bractwie zupełnej wstrzeмиężliwości“. Od razu przystąpiło 20 członków a „duch wśród członków, jak pisał korespondent, „panuje jak najlepszy i wszelkie widoki po temu, że zasady abstynencji wśród duchowieństwa dyecezyi włocławskiej licznych znajdą zwolenników.“

\*

\*

\*

W Ameryce, ojczyźnie ruchu nowego, jak pisaliśmy, katolicy nie potrzebują się powstydzic owoców swej działalności, niemniej i Polacy. Pierwsze kółko abstynenckie założył Lutostawski 1908 r. w Chicago, w parafii św. Jadwigi na zaproszenie proboszcza O. Piechowskiego. Gdy się zaczęło rozpadać, zreorgani-

zował je ks. dr. Kwiatkowski i nazwał „Kółkiem Wskrzesicieli“.

Ks. dr. Kwiatkowski od razu rozwinął energiczną działalność. Umiejętny literat wydawał od r. 1911 „Abstynenta“, który się niezadługo przekształcił na „Odrodzenie“. Za jego też sprawą założono na wiecu kapłanów polskich w Detroit 8. lutego 1912 r. „Związek Polskich Księży Abstynentów w Ameryce“. Honorowe prezydium przyjął ks. biskup Rhode. Zorganizowane duchowieństwo tem wybitniej pracuje w licznych towarzystwach abstynentkich.

\*

\*

\*

W ogóle ruch antyalkoholowy w Polsce nosi na sobie znamiona ruchu młodego. Rozproszony na wielkich obszarach, przejawiający się sporadycznie, przyjmowany bardzo często z niedowierzaniem, nie może pracy swej należycie skupić. Bez wątpienia najlepiej i najzdrowiej zorganizowany pod zaborem pruskim jako najstarszy i najobszerniejszego doznał uwzględnienia w niniejszej pracy. I słusznie, bo on był i jest bodźcem dla wszystkich zaborów i całego wychodźstwa. Pomagał poznański Zw. Ks. Abst. w organizowaniu się duchowieństwa galicyjskiego, krzepił i kupił wychodźstwo, rozrzucaniem broszur i pism swoich przygotował ruch w Ameryce, był i jest kością pacierzową „Wyzwolenia“ poznańskiego.

Choć wiernego obrazu o całokształcie polskich usiłowań przeciwalkoholowych jeszcze

mieć nie można, pewnikiem jednak jest, że i w Polsce duchowieństwo nie zaniedbuje swego zadania, by „zwalczać wszelkimi siłami choroby moralne naszej epoki, a mianowicie nadużywanie alkoholu“, idąc za donośnym wołaniem wielkiego papieża i „w ruchu tym witając sprzymierzeńca, którego winno wspierać, u którego wsparcia szukać“<sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Słowa biskupów szwajcarskich.



## **Zakończenie.**

Ruch przeciwalkoholowy, zainaugurowany przed z górą 70 laty geniuszem Mathewa, rozrósł się pod skrzydłami Kościoła w rozliczne i potężne organizacje, jak tego dowodzi krótki ten przegląd historyczny. Szczególnie w krajach anglo-germańskich budzi ruch katolicki podziw nawet innowierców, tak chyży jego rozwój<sup>1)</sup>). Jest to bowiem ciekawe zjawisko instytucji Chrystusowej, że niezmienna sama umie się dostroić do każdego wieku, dostosować do różnorodnych prądów, a darząc swem życiodajnem błogosławieństwem dwój ich siłę i rozmach. Podobnie i z ruchem abstynenckim. Pod kierownictwem mężów, czerpiących całą swą siłę ze skarbnicy Kościoła mimo przeszkód różnorodnych ogarnął on rozliczne kraje, wskrzeszał coraz to nowe organizacje. By organizacje te wzmocnić i zjednoczyć pod hasłem jednej idei, założono w ostatnich latach Międzynarodową Katolicką Ligę Przeciwalko-

---

<sup>1)</sup> Opisałem najważniejsze odruchy. We Włoszech ruch najmłodszy; katolicy założyli tu codopiero organizację i pismo „Nova Crociata“.



holową, jej protektorem z ramienia Stolicy św. został jeden z najwybitniejszych kardynałów i mężów współczesnych, arcybiskup Dezydery Mercier. Równorzędną do tej Ligi powstała i Międzynarodowa Liga Księży-Abstynentów.

Tak wygląda w ogólnych zarysach katolicka akcja przeciwalkoholowa zorganizowana, nie mówiąc o odwiecznej walce Kościoła z alkoholem przez kazalnice i konfesyonał. I nie dziw, że Kościół tak rączy przykładą dłoń do tej pracy, bo tu chodzi o sprawy jego, o sprawy Królestwa Bożego, które „nie jest z tego świata“. A „ten świat“ jako najgroźniejszego wroga przedstawił Kościołowi w obecnej dobie egoizm, chęć używania, której źródłiskiem głównem alkoholizm. „Dla Kościoła i jego sług pisze ks. biskup Egger<sup>1)</sup>, jest ta walka (z alkoholizmem) walką o najwyższe jego interesa, możnaby powiedzieć: walką o byt. Cóż bowiem stanie się z niedzieli, coś z młodzieży, rodziny, chrześcijańskiego zaparcie się siebie i całego praktycznego chrześcijaństwa, jeżeli lud coraz głębiej zapadać się będzie w bagno alkoholizmu? Jeżeli, my kapłani, nie chcemy osłabić siebie i zaniedbać naszej sprawy, musimy, nie oglądając się na nic, podjąć zaciętą walkę z tym nieprzyjacielem.“

---

<sup>1)</sup> „Duchowienstwo a walka z alkoholizmem“, str. 40.





## SPIS RZECZY.

---

|   |     |
|---|-----|
| Przedmowa . . . . .   | 5   |
| Duchowieństwo w krajach angielskich . . . . .                     | 7   |
| Duchowieństwo amerykańskie . . . . .                              | 40  |
| Duchowieństwo francuskie, belgijskie i holandskie                 | 52  |
| Duchowieństwo w krajach niemieckich i austrya-<br>ckich . . . . . | 61  |
| Duchowieństwo polskie . . . . .                                   | 93  |
| Zakończenie . . . . .   | 120 |

---



PIEOMYŁNOŚĆ  
KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO.

*Rev. Dr. Jędrzejko  
O. M. C.*



KS. B. CHEŁMIŃSKI.

---

# NIEOMYLNOSĆ KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO.



POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.  
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.

1914.



---

---

**ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.**

---

---

„... Kościół Boga żywego, filar  
i utwierdzenie prawdy.“

I Tym. 3, 15.

### **Wstęp.**

Kościół katolicki był po wszystkie czasy światłem świata i stróżem prawdy, sprawiedliwości i dobrych obyczajów. Na każdej niemal karcie historyi czytać można, ile to dobrodziejstw ludzkość Kościołowi zawdzięcza. Przez wieki całe Kościół św. był jedynym krzewicielem oświaty, prawdziwej kultury i cywilizacyi. Jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, tak Kościół katolicki z iście macierzyńską pieczołowitością czuwał i czuwa nad dziećmi swemi, by żyjąc wśród świata zepsutego z przewrotnych jego nieraz nauk szkody nie poniosły. Jako nauczyciel i sędzia najwyższy w rzeczach wiary i obyczajów czujnym On okiem śledzi i bada stosunki społeczne, a spostrzegłszy gdziekolwiek niezgodne z wiarą objawioną nauki lub fałszywe i mrzonki niezdrowej filozofii, natychmiast w imieniu prawdy objawionej głos zabiera i wiernych przestrzega. Nie było czasu, kiedyby kłamstwo i złość ludzka nie

targnęły się na prawdę odwieczną; ale podczas gdy dawniej heretycy i niedowiarkowie zaprzeczali lub fałszywie tłumaczyli poszczególne dogmaty, dzisiaj Kościołowi katolickiemu wprost racyi bytu odmawiają i istnienie prawdy objawionej wogóle zaprzeczają.

„Co to jest prawda?“ pytają za Piłatem z uśmiechem na pół szyderczym sceptycy nowocześni; „Écrasez l'infame!“ — zgładźcie nikczemną t. j. wiarę chrześcijańską — za bezbożnym francuskim filozofem Voltaire'm wołają inni. Wszędy patrzymy dziś na zgubną robotę socyalistycznych agitatorów, na szerokie warstwy społeczeństwa bałamucone kłamliwemi obietnicami, na miliony robotników odwracających się od Boga i od Kościoła. Cała nienawiść socyalnej demokracji zwraca się przeciwko religii katolickiej; wiedzą oni bowiem bardzo dobrze, że skoro im się uda wiarę z serc ludzkich wydrzeć, łatwo im przyjdzie reszty dokonać i tak ołtarze jak trony panujących w niwecz obrócić. Jeden z głównych przywódców socyalistycznych, Liebknecht, wyraźnie oświadczył: „W czasach, kiedy socyalna demokracja będzie panującą, Kościół katolicki będzie należał do fantastycznych bajek przeszłości“.

Ale wobec tego groźnego niebezpieczeństwa „nie śpi, który strzeże Izraela — non dormit, qui custodit Israel“; nie śpi, który jest filarem i utwierdzeniem prawdy, Kościół św.! Głowa jego, Papież

Leon XIII pierwszy głos podnosi i w wspaniałych encyklikach swoich jasno wykazuje błędy socyalnej demokracji i podobnych przewrotnych teorii, wskazując zarazem drogę prowadzącą do rozwiązania najtrudniejszych zagadnień społecznych. Nauczyciel najwyższy Kościoła przemawia, a słucha go świat cały i podziwia mądrość jego. — Obok dążności i nauk przewrotnych socyalnej demokracji i tendencyami równej masoneryi grozi nam inne najnowsze pochodzenia niebezpieczeństwo wśród katolików samych kierowanych urojoną jakąś gorliwością o dobro wiernych i Kościoła; jest niem prąd wśród niektórych uczonych katolickich, żądających w Kościele dziwnych jakichś reform czyli zmian, niezgodnych z zasadami zdrowej nauki Kościoła, a zagrożających w następstwach swych istocie Kościoła i wiary objawionej. Prąd ten zwie się k a t o l i c y z m e m p o s t ę p o w y m czyli zreformowanym<sup>1)</sup>). Jedni chcą wiary katolickiej bez ścisłych dogmatów czyli artykułów wiary, tylko naukowej etyki czyli moralności. Tymczasem choć nawiasem tylko wobec owej teorii zaznaczyć wypada, iż, jak rozum wskazuje i doświadczenie wraz z historią potwierdza, bez wiary najszczytniejsze nawet reguły etyczne czyli moralne niezdolne są przytłumić namiętności i pokonać bestyi w człowieku. Inni znowu z owych „postępowców“ nie odrzucają

<sup>1)</sup> Cfr. Bilezewski, „O Kościele Chrystusowym.“

dogmatów, żądają tylko, by tym dogmatom czyli artykułom wiary dano odmienne od pojmowań dawniejszych znaczenie, któreby odpowiadało więcej postępowi i badaniom nowoczesnym filozofii. Wszystko zgola na świecie, tak wywodzą ci nowinkarze, podlega pewnej zmianie i nieustannemu postępowi, a wiara miałaby sama z tej reguły być wyjęta? Otóż i ona winna postępować z czasem i zastosować się do wymagań ducha czasu, inaczej uważamy ją za zacofaną i niegodną, by umysł ludzki tak „jaśnie oświecony“ nadal nią się zajmował. W części macie słuszność, panowie, ale tylko w części. Trzeba rozróżniać między rozwojem a istotną zmianą — *Qui bene distinguit, bene docet!* Wiara owszem się rozwija, lecz nigdy istotnie się nie zmienia.

Rozwija się Kościół i wiara się rozwija, podobnie jak drzewo z ziarnka począwszy rozwija się i rośnie, a jednak nigdy drzewem być nie przestaje czyli istoty swej jako drzewo nie zmienia. Dogmaty czyli artykuły wiary rozwijają się w tym sensie, iż jakkolwiek w zasadzie i niejako w zarodku w składzie wiary (*depositum fidei*) zawarte, po części z czasem dopiero ukazują się nam w świetle prawdziwym i w całej objętości; n. p. Niepokalane Pożęcie Najśw. Maryi Panny, Nieomyślność Ojca św. itd. Nigdy atoli nie podlega Kościół katolicki ani jego dogmaty zmianie istotnej, któraby miała miejsce, gdyby Kościół ogłaszał prawdy wprost nowe, w składzie wiary wcale nie za-

warte lub prawdy objawione pojmował lub ich nauczał wręcz przeciwnie niż przedtem, n. p. że niema siedm sakramentów, jak uczono dotychczas, jeno są dwa, albo że Chrystus nie był Bogiem, lecz tylko zwyczajnym człowiekiem. Szkaradna byłaby w tem sprzeczność; nie postęp to, ale odstęp od zasad wiary i zdrowego rozsądku; nie byłaby to oświata, lecz cofanie się w ciemności pogaństwa. Zaznaczyć tu wypada, iż owi reformatorzy nowocześni czyli t. zw. katolicy zreformowani, ściśle rzecz wzięwszy, sami dokładnie nie wiedzą, co mówią i do czego właściwie dążą. Panujące w głowach ich zamieszanie uwydatnia się najlepiej w mglistych i niejasnych wyrażeniach i wywodach. Jak zresztą u wszystkich niepowołanych reformatorów, tak i u nich myślą przewodnią jest ostatecznie nienawiść przeciwko Kościołowi i jego Najwyższej Głowie. Stosunki takie nie uszły baczości Papieża Piusa X, który jako najwyższy nauczyciel i pasterz Kościoła czuwać musi, by jad błędów nie szerzył zniszczenia w duszach wiernych. Dlatego ogłasza dnia 4. lipca 1907 r. nowy „syllabus“ piętnujący te przewrotne nowoczesne nauki.

Znany też jest inny podobny obłęd, zwany modernizmem, szerzący się w sposób zastraszający wśród niektórych uczonych katolickich. Modernizm nie jest wprawdzie niczem innym jak odnowieniem znanych już zdawna a odgrzanych w innym kształcie błę-

dów; ponieważ jednak na czele systemu tego stanęło kilku poważnych skądinąd pisarzy — Tyrell w Anglii, Loisy, Laberthonnière i Sabatier we Francyi, w Niemczech Schnitzer i inni — hasła ich znalazły posłuch u wielu nie rozumiejących może zrazu niebezpieczeństwa i całej doniosłości objawów modernizmu. By poznać istotę tej niebezpiecznej nowoczesnej herezyi, wystarczy wiedzieć, że wedle nauki modernistów rozum ludzki poznaje tylko to, co pod zmysły podpada i wskutek tego zewnętrz- nego objawienia ze strony Boga nigdy nie było i być nie może. Bóg objawia się ludziom przez uczucie; uczucie to czyli zmysł religijny ulega rozmaitym zmianom; wiara zależy od osobistego przeświadczenia o prawdzie, więc każda religia musi być prawdziwą. Widoczna rzecz, iż teorya ta godzi w zasadnicze pojęcia wiary, odrzuca Objawienie i powagę Kościoła. To też P i u s X przeciw tym modernistom z całą stanowczością i surowością wystąpił; w A l l o k u c y i (przemowie) swej na Konsystorzu 16 grudnia 1907 roku określa naukę nowoczesnych niepowołanych reformatorów świeckich i duchownych i piętnuje jako streszczenie wszystkich dawniejszych błędów przeciw wierze, jako tr u c i z n ę, zawierającą jad w s z y s t k i c h dotychczasowych herezyi.

W Polsce powstało w ostatnich latach pod wpływem niewiasty cierpiącej na urojenia kacerska sekta m a r y a w i t ó w, dla któ-



rej acz początkowo groźnej i śmiałej pono już trumnę zamówiono. W każdym razie obłęd ten sprowadził w niektórych okolicach rozdwojenie wśród ludu i niejednych zbałamucił. I tu znowu Kościół św. czuwa, a Głowa jego i najwyższy nauczyciel Papież Pius X wysłała osobny list „Tribus circiter“ do Polski dnia 5. kwietnia 1906 r., w którym wzywa biskupów do czujności i podaje wskazówki, jak złemu w zarodku zaradzić należy.

Przeciwno sekcje maryawitów i innym podobnym dążnościom warto przytoczyć trafną uwagę Ks. Jakóba Wujka, którą on robi wobec t. zw. reformatorów 16. stulecia, objaśniając słowa Pisma św. I Tym. 2, 12 „**N a u c z a ć niewieście nie dopuszczam**“:

„Przeciw temu rozkazaniu czynią dzisiejsze niewiasty, zwłaszcza te, które się Ewangeliczkami zowią, biblią szermując i o piśmie się dysputując, którym się to słusznie rzecz może, co Bazylisz św. kuchmistrzowi Cesarowskiemu, coś z pisma za Ariańską sektą przywodzącemu odpowiedział: Twoja rzecz, prawi, potrawy Cesarzowi gotować, a nie Ewangelią wykładać“.

Jak wobec obecnych prądów i nauk przewrotnych, tak zachowywał się Kościół katolicki po wszystkie czasy od pierwszych początków swego istnienia. Idźmy wstecz, przejdźmy w duchu owe blisko dwadzieścia wieków, jakie upłynęły od założenia Kościoła, zawsze On troskliwie strzegł składu wiary, by

ani krzty nie uronić z przekazanej Mu nauki Chrystusowej, wołał i napominał wedle słów i zlecenia apostoła Pawła: „O Tymoteuszu, strzeż tego coć powierzono, warując się niezbożnych nowości słów i odporności fałszywie nazwanej umiejętności, którą niektórzy obiecując odpadli od wiary“<sup>1)</sup>. — „Miej wzór zdrowych słów, któreś odemnie słyszał w wierze i w miłości w Chrystusie Jezusie. Strzeż dobrej rzeczy zwierzonej przez Ducha św., który w nas mieszka“<sup>2)</sup>. Nie miał i nie może mieć Kościółśw. względów jakichkolwiek, skoro przychodzi mu stawać w obronie prawdy objawionej. Niech przyjdą ludzie głęboko uczeni, niech posiadają mądrość i wymowę iście anielską, niech odznaczają się znamienitą na pozór gorliwością i pobożnością, a niech nauki i teoria ich sprzeciwiają się wierze objawionej, czcza i marna będzie ich mądrość, próżna i daremna ich gorliwość: „Ale choćby my, albo Anioł z nieba przepowiadał wam mimo to, cośmy wam przepowiadali, niech będzie przeklątwem“<sup>3)</sup>.

Wiernych umacniać we wierze, zbłąkanych sprowadzać na dobrą drogę prawdy i sprawiedliwości; wskazać drogę prawa i prawdy duszom błąkającym się na bezdrożach tysiącznych błędów, świat rozdarty nie-

---

<sup>1)</sup> I Tym. 6, 20. 21.

<sup>2)</sup> II Tym. 1, 13. 14.

<sup>3)</sup> Galat. 1, 8.

zgoda i żądzą nienasyconą nowości zjednoczyć a ludom i panującym przypominać wieczne zasady Bożego prawa — otóż nadludzkie i olbrzymie iście zadanie Kościoła katolickiego tu na ziemi! Zadaniu odpowiadąć muszą środki; nadludzkie zadanie nadludzkich, boskich wymaga środków; posłannictwo to przechodzące siły ludzkie nie obędzie się bez pomocy z góry — od Boga!

Aby Kościół mógł spełnić posłannictwo swe, aby nam mógł być sternikiem pewnym i niechybnym, wyposażył go Bóg darem nadprzyrodzonym nieomylności:

**Kościół katolicki w nauce wiary i obyczajów jest nieomylny.**

Część pierwsza: **Rzeczywistość nieomylności Kościoła katolickiego.**

Część druga: **Istota nieomylności Kościoła katolickiego.**

Część trzecia: **Nieomylność Papieża.**

---

## CZEŚĆ PIERWSZA.

### Rzeczywistość nieomyłności Kościoła.

---

#### I. Nieomyłność Kościoła opiera się na jego nadprzyrodzonym pochodzeniu.

Nieomyłność Kościoła nie może być należycie pojętą i zrozumianą przez tych, którzy w Kościele katolickim widzą li tylko instytucję naturalną, czyli zgromadzenie i zespolenie czysto przyrodzone, nie różniące się w niczem od zwykłych stowarzyszeń i instytucyi świeckich. Jak istnienie Kościoła i cały ustrój jego jest dla nich zagadką, tak niezrozumiałą musi być w oczach ich nauka o nieomyłności Kościoła. Nie dziw stąd, że nieomyłność Kościoła wrogom jego i niedowiarkom służyła i służy do dziś dnia za przedmiot pośmiewiska i szyderstwa. Niechno Kościół katolicki czyli w jego imieniu najwyższy nauczyciel Ojciec św. odzwie się, by mocą urzędu swego bronić prawdy lub potępić błędne nauki, a wszystkie liberalne i masońskie dzienniki i czasopisma hurmem nań uderzą, drwiąc z niego i mówiąc z przekąsem o „nieomylnym Papieżu“. Mą-

drość Bożą, która przemawia przez usta Kościoła, jest im zgorszeniem i głupstwem, tak iż sprawdzają się tu w pewnem znaczeniu słowa św. Pawła I. Kor. 1, 23, 24: „My przepowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego, Żydom wprawdzie zgorszeniem, a Grekom głupstwem; lecz samym wezwanym i Żydom i Grekom Chrystusa mocą Bożą i mądrością Bożą“. Znaczenie i cała doniosłość nieomylności Kościoła zasadza się szczególnie na tem, że Kościół katolicki jest pochodzenia nadprzyrodzonego czyli boskiego.

Moderniści przeczą, jakoby Pan Jezus wogóle Kościół ustanowił; Kościół katolicki jest wedle nich dziełem czysto ludzkim a nadto istotnie różnym od Kościoła pierwotnego. W Francyi myśli i zdania podobne rozsiewa mianowicie Auguste Sabatier „Les religions d'autorité et la religion de l'ésprit“ i Loisy „L'Evangile et l'Eglise“; w Niemczech I. Schnitzer im wtoruje. Nie może być zadaniem rozprawy niniejszej i przekraczałoby zakres i cel przedmiotu, gdybyśmy chcieli teorye te obszernie przedstawić i niedorzeczności ich zbijać. Sam fakt, że Kościół katolicki przez blisko dwa tysiące lat istnieje i pomimo ciągłych strasznych burz nienawiści i prześladowań coraz to więcej się rozszerza i potężnieje, jest jasnym żadnem rozumowaniem niezbitym dowodem jego boskiego pochodzenia. Ziszcza się na Kościele

katolickim prorocze słowa Gamaliela: „Przetoż i teraz powiadam wam, odstąpcie od tych ludzi i zaniechajcie ich (t. j. apostołów); albowiem jeżeli jest z ludzi ta rada albo sprawa, rozchwieje się; lecz jeżeli jest z Boga, nie będziecie mogli ich zepsować, byście snąc nie naleźli się z Bogiem walczyć“<sup>1)</sup>). Nie wymysłem ludzkim jest instytucja Kościoła, ale dziełem boskiem. Nie dowcip ludzki go stworzył, lecz mądrość Boża go ustanowiła. Nie kieruje losami jego słaba siła ludzka, lecz wszechmocna ręka boża.

„Gdy w czasach spokojnych po Konstantynie Wielkim Ojcowie Kościoła przenieśli się w duchu w one trzy stulecia, w których chrześcijaństwo świat zdobyło, nie mogli nie wiedzieć, że szybkość zdobyczy tej była jasnym dowodem boskiej pomocy. W równej mierze zdumiewają się nad objawem tym historycy dni naszych. Siedmdziesiąt lat po założeniu pierwszej gminy w Antyochii, tak pisze jeden z tych historyków, donosi Pliniusz Trajanowi o chrześcijaństwie w odległej prowincyi Bitynii, iż jest ono wdziercą wystawiającym na niebezpieczeństwo stare kultury pogańskie; siedmdziesiąt lat po Pliniuszu widzimy, iż istnieje konfederacja kościołów, rozciągająca się ze środowiskiem w Rzymie, aż do Lyonu i do Edessy; znowu siedmdziesiąt lat później cesarz Decyusz oświadcza, że wo-

---

<sup>1)</sup> Dzieje Apost. 5. 38. 39.

lałby widzieć w Rzymie przeciwnika jako cesarza niżli znieść, by wakująca naonczas stolica biskupia na nowo była obsadzona<sup>1)</sup>.

Chrystus przyobiecał ustanowienie Kościoła, gdy mówił do Piotra: „Ja tobie powiadam, iżes ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój“. Chrystus też Kościół rzeczywiście założył wybierając w tym celu apostołów (Łuk. 6, 13), którym zaraz z początku zdał władzę związywania i rozwiązywania (Mat. 18, 18) i których wysłał później w świat, aby nauczali wszystkie narody (Mat. 28, 19). Od wiernych żąda posłuszeństwa: „Kto was słuha, mnie słuha; kto wami gardzi, mną gardzi“ (Łuk. 10, 16); a innym razem: „Jeżliby kto Kościoła nie słuhał, niech ci będzie jako poganin i celnik“ (Mat. 18, 17). Paweł św. wyraźnie stwierdza, iż ustrój cały Kościoła i poszczególne urzędy kościelne od Chrystusa samego pochodzą; „I tenże (Chrystus) dał niektóre Apostoły, a niektóre Proroki, a drugie Ewangelisty, a inne pasterze i doktory<sup>2)</sup>. Podług rozkazu i zlecenia Chrystusa Pana apostołowie występowali nauczając i opowiadając Jezusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, a w Zielone Świątki wskutek kazania Piotra św. od razu przystąpiło do Kościoła „jakoby trzy tysiące dusz“.

Że apostołowie nie samowolnie ale

---

<sup>1)</sup> Batiffol — Seppelt str. 411.

<sup>2)</sup> Efez. 4, 11.



jako posłannicy Chrystusowi występowali, wynika z słów Chrystusa: „Nie wyście mnie obrali, alem ja was obrał i postanowiłem was, abyście szli i przynieśli owoc, a owochy wasz trwał...”<sup>1)</sup> Jak Jezusa posłał Ojciec, tak On ich posyła: „Jakoś ty mnie posłał na świat, i jam je posłał na świat.” W liściach swoich św. Paweł wielokrotnie odwołuje się na to, iż Chrystus sam go wybrał i posłał: „Paweł apostoł nie od ludzi, ani przez człowieka, ale przez Jezusa Chrystusa...”<sup>2)</sup> Św. Paweł z szczególnym przyciskiem często powtarza, iż od Chrystusa wszelki urząd i wszelka władza w Kościele pochodzi: „Paweł, sługa Jezusa Chrystusa, powołany apostoł, odłączony na ewangelią Bożą.”<sup>3)</sup> Od Chrystusa apostołowie są powołani i Od niego wzięli łaskę i apostołstwo: „Przez którego — Jezusa Chrystusa Pana naszego — wzięliśmy łaskę i apostołstwo ku posłuszeństwu wiary między wszystkimi narody dla imienia jego”<sup>4)</sup>.

Boskiego więc pochodzenia jest Kościół, albowiem Syn Boży, Jezus Chrystus go założył; boskiego i nadprzyrodzonego pochodzenia są również istotne władze i urzędy w tymże Kościele.

---

<sup>1)</sup> Jan 15, 16.

<sup>2)</sup> Jan 17, 18.

<sup>3)</sup> Galat. 1, 1.

<sup>4)</sup> Rzym. 1, 1.

<sup>5)</sup> Rzym. 1, 5.

Skoro Kościół co do założenia swego i całego ustroju jest instytucją boską, nadprzyrodzoną, nie może być niedorzecznością, że cieszy się on darami i przywilejami nadprzyrodzonymi. Takim darem nadprzyrodzonym jest między innymi szczególnie dar nieomyślności. Dziwnem byłoby, gdyby jaka szkoła filozofów, które w czasach starożytnych w wielkiej liczbie istniały, przypisywała sobie dar nieomyślności, gdyż to nie stowarzyszenia nadprzyrodzone, boskie, ale ludzkie z słabym i omylnym rozumem ludzkim; a jednak, choć — niesłusznie, platonizm przypisywał mistrzowi swemu Platonowi boską nieomyślność; u Pytagorejczyków był zwyczaj jako ostateczny niezbity dowód przytaczać słowa mistrza: tak mistrz powiedział — αὐτὸς ἔφα. Jak niezrozumiałem i wprost potwornem nam się to być wydaje, iżby człowiekowi przypisywać można boską nieomyślność, tak niemniej jasno fakt ten odzwierciedla głębie serca ludzkiego, które nie może nie pragnąć absolutnej prawdy i bezwarunkowej pewności co do zagadnień sięgających ponad zmysły i ponad rzeczy widome. Jakżeż nam wobec tego podziwiać trzeba mądrość i dobroć Boga, który ku zaspokojeniu tego wrodzonego pragnienia serca ludzkiego ustanowił Kościół swój w tym celu i z tym zadaniem, by on nam w imieniu Boga po wszystkie czasy był mistrzem i nauczycielem nieomylnym!

## II. Nieomyślność Kościoła ze względu na jego cel i zadanie.

Nieomyślność Kościoła wynika z celu i z a d a n i a, jakie wedle postanowienia Chrystusa Pana ma tu na ziemi. Chrystus założył Kościół i wyposażył go rozmaitemi darami i łaskami, aby za jego pośrednictwem wszyscy ludzie stać się mogli uczestnikami dzieła odkupienia i nieskończonych zasług Chrystusowych, a tem samem osiągnęli ostatecznie szczęśliwość wieczną. Chrystus przyszedł na świat, aby ludziom przynieść światłość prawdy, za którą oni tęsknili przez lat tysiące. „Jam się na to narodził i na tom przyszedł na świat, abym świadectwo dał prawdzie.“<sup>1)</sup> Chce on, aby wszyscy ludzie przyszli do poznania prawdy i przez to byli zbawieni: „Który chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli ku uznaniu prawdy“<sup>2)</sup>. Kościoła zadaniem jest, objawioną przez Chrystusa prawdę i naukę jego podawać dalszym pokoleniom, aby dzieło odkupienia trwało po wszystkie czasy: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody... nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał“<sup>3)</sup>.

Głoszenie słowa Bożego jest pierwszym i najgłówniejszym zadaniem Kościoła. Jak wiara jest „gruntem rzeczy tych, których się

---

<sup>1)</sup> Jan 18, 37.

<sup>2)</sup> I Tym. 2, 4.

<sup>3)</sup> Mat. 28, 19. 20.

spodziewamy“, „a bez wiary niepodobna jest, spodobać się Bogu“, tak nauczanie wiary Chrystusowej jest najważniejszym przedmiotem działalności Kościoła, podstawą niejako wszelkich łask nadprzyrodzonych. Jakże mógłby Kościół sprostać temu nadludzkiemu zadaniu, jeśliby w nauce wiary miał zbłądzić? Kto chce nam być przewodnikiem na drodze do wieczności, musi wprzód sam drogę tę dokładnie znać. Ażali poprowadziłby nas Kościół na pewno i niechybnie do celu t. j. do poznania Boga i do oglądania go kiedyś w wieczności, gdyby sam zboczyć mógł z drogi prawdziwej? Zawiódłby nas Kościół na manowce a nie do poznania i posiadania prawdy odwiecznej, gdyby mógł się mylić i zamiast prawdy fałsz i kłamstwo ogłaszać.

Kto pragnie dopiąć napewno celu jakiego, musi koniecznie użyć środków odpowiednich, niechybnie do celu prowadzących. Chrystus przekazał Kościołowi władzę i zadanie nauczania i głoszenia prawd objawionych, musiał dlatego uczynić go zdolnym do tego iście boskiego dzieła, a więc uchronić go od błędu. Co by to był za Kościół boży, który ma i chce ludzi nauczać, a sam się myli i błądzi! Niemożliwe to przypuszczenie i niezgodne z celem i zadaniem Kościoła. Kościół zdolny błędowi byłby sprzecznością samą w sobie.

P. Bóg jako wszechmocny i najmędrszy mógłby, absolutnie mówiąc, objawiać się każ-

demu z osobna i do każdego człowieka z osobna przemawiać, jak to po części uczynił rzeczywiscie w Starym Zakonie, objawiając się Mojżeszowi, Patryarchom i Prorokom a w Nowym Zakonie apostołom swoim. Nie użył Bóg środka tego, któryby zresztą niezawodnie nie odpowiadał mądrości jego, ale powierzył skarb prawd nadprzyrodzonych Kościołowi, aby w imieniu jego do nas przemawiał. Kościoła s ł u c h a ć mamy pod utratą zbawienia i w i e r z y ć bezwarunkowo i bezwzględnie wszystko zgola, co on nam w imieniu Boga do wierzenia podaje: „Idąc na wszystek świat, opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie, a kto nie uwierzy, będzie potępion“<sup>1)</sup>. Grzeszy ciężko, kto Kościoła nie słucha: „Jeźliby kto Kościoła nie usłuchał, niech ci będzie jako poganin i celnik“<sup>2)</sup>. Z słów tych wynika, iż obowiązek b e z w z g l ę d n e g o p o s ł u s z e ń s t w a wobec Kościoła odnosi się do wszystkich ludzi wszystkich czasów. Ale czyż byłby obowiązek ten możliwy, jeźliby Kościół, któremu wierzyć mamy, mógł się mylić? Skądże mógłby Kościół rościć sobie prawo, żądać od nas posłuszeństwa pod utratą zbawienia, gdyby zdolny był zbłądzić i fałszywie nauczać? Zmuszać nas do bezwzględnego posłuszeństwa wobec Kościoła omylnego i błędącego, byłoby wprost nedorzecznoscia. Jeźli więc Chrystus

---

<sup>1)</sup> Mar. 16, 15. 16.

<sup>2)</sup> Mat. 18, 17.

nakazuje nam pod utratą zbawienia, wierzyć Kościołowi i we wszystkim go słuchać, najmniejszej ulegać nie może wątpliwości, że Kościół zawsze tylko prawdę mówi i głosi czyli, że jest n i e o m y l n y.

„Filozofia przemawia wprost do rozumów ludzkich dowodami, i niczego więcej nie potrzebuje, tylko żeby rozумы dowody jej oceniły — religia podaje się jako objawiona i wymaga wiary; więc, jeżeli sama się bierze na seryo, to musi wymagać w i a r y b e z w a r u n k o w e j we wszystko co zawiera; a oprócz tego musi ją ktoś podawać, świadczyć o tem, że jest objawioną. Bo jakżeż inaczej? Choćby Biblia w oczach ludzkich z nieba spadła, to jeszcze nie wszyscy ludzie byłiby świadkiem tego spadnięcia; ci co by byli na drugiej półkuli i ludzie następnych pokoleń musieliby być o tem pouczeni od tych co widzieli, a pouczeni w jakiś obowiązujący sposób, jeżeli religia nie ma być dowolną spekulacją, lecz objawieniem wymagającym wiary. Słowem, nie pojmuję religii objawionej bez pewnego organizmu kościelnego z w ł a d z ą n a u c z a j ą c ą, która jakimś sposobem uwierzytelnia swą misję od Bóstwa. Że katolicyzm stanął na tem stanowisku szczerze i niepołowicznie, to mi tłumaczy jego trwanie, w przeciwstawieniu do znikomości wyznań, które tego nie zrobiły<sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Morawski, Wieczory nad Lemnem 196.

### III. Nieomyślność Kościoła warunkiem jedności jego.

Z konieczności zachowania j e d n o ś c i w e wierze wypływa niezbędna nieomyślność Kościoła. Jedność wiary jest cechą istotną Kościoła. Bez jedności Kościół byłby wprost niemożliwym; co więcej, bez jedności wiary, ani nawet wyobrazić go sobie nie można, jak wyobrazić sobie nie można domu bez cegieł lub kamieni ściśle z sobą zespolonych. Naocznie uwypatnia to Chrystus sam, przyrównując Kościół swój do budowli: „na tej opoce zbuduję Kościół mój“. To też przy ostatniej wieczerzy modli się Chrystus, by apostołowie i wszyscy, którzy przez słowo ich w Niego uwierzą, byli jedno jako Ojciec Niebieski i Chrystus jedno są. Kiedy w Koryncie chrześcijanie podzielili się na kilka stronnictw, św. Paweł napomina ich temi słowy: „Proszę was, bracia, przez imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyście też mówili wszyscy, a iżby nie były między wami rozerwania, ale bądźcie doskonali w j e d n e m rozumieniu i w j e d n e j nauce“<sup>1)</sup>).

Jedność ta byłaby niemożliwą bez nieomyślności Kościoła. „Zważywszy nieudolność umysłu ludzkiego i trudne do pojęcia prawdy i tajemnice wiary, niezrozumiałość nawet Pisma św.<sup>1)</sup>), nie może obyć się bez tego, by nie powstały nieporozumienia i spory co do objętości objawienia i znaczenia poszczególnych dogma-

---

<sup>1)</sup> I Kor. I, 13.



tów, itd., jak to rzeczywiście się zdarzyło, a tego dowodem historia dogmatów. Musi dlatego być postanowiony od Boga sędzia rozstrzygający spory, aby owoce objawienia, jednosc wiary, nie były na szwank wystawione... Aby zaś sędzia ten mógł sprostać wielkiemu zadaniu swemu, winien być obdarzony taką powagą, iżbyśmy w rzeczy tak ważnej, jaką jest wiara, z zupełną pewnością wyrokowi jego jako absolutnie prawdziwemu poddać się mogli i aby on spowodować mógł spierających się, by zdanie i wyrok jego przyjęli i nań się zgodzili<sup>1)</sup>).

Sędzią tym jest Kościół katolicki przez swój urząd nauczycielski; wyposażony jest w rzeczy wiary powagą absolutną przez Chrystusa samego, aby Kościół zdolny był, napewno wskazać i rozstrzygnąć, gdzie prawda, i tym sposobem usunąć wszelkie wątpliwości, musi on być koniecznie nieomylny. Żadne inne wyznania i tak zwane kościoły nie mają nieomylnego trybunału najwyższego, któryby sądził i rozstrzygał kwestye dotyczące wiary; którego wyroki byłyby prawomocne i obowiązujące pod utratą zbawienia. Stąd rozdwojenie i niezgoda tak u protestantów jak w kościele schizmatyckim czyli prawosławnym. W samej cerkwi rosyjskiej jest sekt tak wiele, że ich nawet policzyć nie można; a u protestantów naliczono dotąd

---

<sup>1)</sup> Hurter, Theol. generalis 240.

różnych sekt około dwieście. Wobec tego rozdwojenia pewien uczony protestancki powiedział ślusznie, że to, w czem się protestanci dzisiaj zgadzają, mógłby napisać na paznogciu swego palca. Udowodnioną jest rzeczą i codziennem stwierdzoną doświadczeniem, że wyznania religijne odosobnione od Kościoła katolickiego prowadzą z czasem siłą nieugiętej logiki do zupełnego niedowiarstwa czyli pogaństwa; wprzód rozdwojenie i rozkład, w końcu zniszczenie i nicość. I nie może być inaczej! Bez najwyższej powagi nieomylnej niemasz jednolitej wiary, nie może być jedności; a gdzie nie ma jedności, tam z czasem wszystko idzie w rozsypkę, wedle onej starej prawdy: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje — *Concordia res parvae crescunt, discordia vel maximae dilabuntur*“. Jakżeż inaczej w Kościele katolickim! Orzeczenia i wyroki Kościoła wierni na całej kuli ziemskiej przyjmują jako boskie i święte i wierzą w nie jednomyślnie, bo nie mogą ani na chwilę przypuścić, iżby Kościół mógł kiedykolwiek zbłądzić. Przedziwna ta jedność we wszystkim, co Kościół ogłasza i naucza, tłómaczy się jego nieomylnością, bez której jedność we wierze byłaby tak niemożliwą jak budowa bez fundamentu.

„Choć Kościół jest rozproszony po całym świecie, pisze św. Ireneusz, to jednak przechowuje on otrzymaną od Chrystusa wiarę z największą wszędzie troskliwością tak, jak

gdyby zamieszkiwał tylko jeden dom; wyznaje ją po wszystkie czasy z taką jednomyślnością, jak gdyby miał tylko jedną duszę i jedno serce; głosi ją zawsze z tak wielką zgodnością, jak gdyby miał tylko jedno usta<sup>1)</sup>).

Że jedność wiary polega na nieomyślności Kościoła i że bez najwyższej absolutnej powagi w nauczaniu o zgodzie i jednomyślności mowy być nie może, o tem przekonać się musieli nawet t. zw. reformatorzy 16. stulecia. Z żalem w sercu wyznać musieli, że dzieło ich na piasku zbudowane, że bez silnej podstawy, jaką jest powaga obowiązująca, na trwałe ostać się nie może. „Za życia jeszcze pierwszych reformatorów Lutra i Kalwina wszystko się rozpadało wskutek zniesienia powagi w rzeczach wiary. Luter pisał do Zwingli'ego, jeżeli świat jeszcze potrwa, to trzeba będzie chyba wrócić do soborów, ażeby jakkolwiek jedność w wierze zachować. Wreszcie udało się ściągnąć głośniejszych nowatorów do Augsburga i kazało się im ułożyć formułę wiary; czego gdy inaczej uskutecznić nie mogli, musieli z góry pod przysięgą się zobowiązać, że się poddadzą wszystkiemu, co to zebranie postanowi, „nie wątpiąc, że niem Duch św. rzadzi“. Tak powstała Konfesja Augsburska, pierwsza spójnia protestantyzmu, zbudowana na katolickiej zasadzie powagi obowiązującej. Spójnia ta,

<sup>1)</sup> Advers. haer. V, 1, 10, 2.

wskutek sprzeczności z protestancką zasadą, wkrótce pęknąć musiała; potworzyły się osobne Konfesye, również za wyrokami obowiązującymi osobnych soborków, i tak szło dalej... Kiedy idzie jedynie o postępowanie, to mogę się jeszcze kierować powagą, której tylko względną przypisuję wartość, bo mogę sobie ostatecznie powiedzieć, że usłucham, choćby mój kierownik zbłądził; ale kiedy idzie o wiarę, więc o bezwarunkowe przekonanie, że podana nauka jest prawdziwą, to albo powaga będzie miała dla mnie wartość bezwzględną, czyli będzie nieomylną, albo wcale o nią wiary oprzeć nie zdołam. Jeśli w takim razie uwierzę, to nie dla tej powagi, którąbym miał za omylną, ale dlatego, że rzecz sama mi się spodoba i trafi, jak mówią, do mego przekonania. Uwierzę więc zapewne nie wszystkiemu, co mi w tej nauce podają, ale tylko temu, co mi się spodoba; drugi zaś obok mnie, dla takiejże racyi, to właśnie odrzuci, a innym częściom tej nauki uwierzy, trzeci jeszcze innym. I tak, jeżeli wogóle wiara będzie możliwa, to przecież niemożliwa będzie j e d n o ś ć w i a r y, niemożliwa społeczność w wierze — i żaden wogóle Kościół istnieć nie będzie... I dochodzi się, nie do takich zaprzeczeń pojedynczych dogmatów, jakie zatrzymały Lutra, ale aż do radykalnej negacyi boskości chrystyanizmu. I niema żadnego środka, któryby mógł ten proces zniszczenia powstrzymać, bo on leży w samem za-

łożeniu protestantyzmu: w odrzuceniu nieomyślnej powagi w wierze<sup>1)</sup>).

Znamiennem objawem owego rozdwojenia wśród protestantów jest ta okoliczność, że każda sekta na dowód rzekomej prawdziwości swej nauki odwołuje się na Pismo św., twierdząc, jakoby Duch św. ją oświecił. Dziwne to zaiste musi być oświecenie, skoro każda z tych sekt wręcz przeciwne i sprzeczne z Pisma św. wywodzi nauki. Jakżeż mógłby ten sam Duch św., Duch prawdy, oświecić jednego tak a drugiego owak? To też ku ośmieszeniu podobnych niedorzecznych zapatrywań sekciarskich utworzono wiersz następujący:

Hic liber est, in quo quaerit sua dogmata quisque;  
Invenit et pariter dogmata quisque sua.

To znaczy po polsku: Ta jest księga, w której każdy szuka i znajduje równocześnie swoje dogmaty! Nic w tem dziwnego, że w braku najwyższej powagi w protestantyzmie każdy wierzy wedle własnego osobistego rozumu i upodobania, „quot capita, tot sensus — ile głów, tyle myśli i zdań.“

Jednomyślność czyli jedność w wierze nie może się zatem obyć bez najwyższej i to nieomyślnej powagi, jaką dla nas jest właśnie Kościół katolicki.

Są podziśdzień i byli tacy, którzy twierdzili, że nauki i wyroki Kościoła obowiązują tylko o tyle, o ile się zgadzają z wywodami badań teologów i uczonych świeckich. Więc

<sup>1)</sup> Morawski, Wieczory nad Lemanem 185. 189. 190.

ostatecznie rozum ludzki byłby n a j w y ż s z ą i n s t a n c y ą i ostateczną miałby decyzją nad prawdą boską! Ależ ten ograniczony i słaby rozum ludzki nie pojmuje nawet rzeczy przyrodzonych i stokrotnie się myli, jak dzieje ludzkości i codzienne doświadczenia uczą; jakżeż ten rozum ludzki może być sędzią najwyższym w tak trudnych do pojęcia prawdach nadprzyrodzonych i w tajemnicach wiary! Nie mielibyśmy wówczas pewności żadnej; bylibyśmy raczej postawieni zawsze przed pytanie, którego nikt dotąd nie rozwiązał: Jaka tedy nauka albo szkoła ma rozstrzygać i mieć powagę decydującą i bezwzględnie obowiązującą?

#### IV. Nieomyślność Kościoła w świetle Pisma św.

Chrystus wyraźnie do Piotra mówi, iż Kościół swój na nim zbuduje jako na opoce, „a bramy piekielne nie zwyciężą go“<sup>1)</sup>. Tem samem wyklucza on wszelką możliwość, jakoby Kościół mógł się mylić i odejść od prawdy objawionej. W ciągłej przeciwności stoją niejako ze sobą: kłamstwo, którego początkiem i źródłem jest szatan, „kłamca od początku“, a prawda, której początkiem i źródłem jest Bóg, którego dlatego nazywamy odwieczną Prawdą. Kościół popadłszy w błąd i fałsz stałby się w tej chwili ofiarą „kłamcy od początku“, szatana; bramy piekielne odniosłyby zwycięstwo nad Kościołem Chrystusowym.

---

<sup>1)</sup> Mat. 16, 18.

Chrystus przyobiecał Kościołowi, że go nie opuści nigdy i że jako obrońca potężny stał będzie zawsze u boku jego: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody... A oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata“<sup>1)</sup>). Ażali może stać się ofiarą błędu i mylnej nauki Kościół, nad którym czuwa odwieczna prawda, Syn Boży? Bez tej pomocy mógłby się Kościół mylić, gdyż składa się z ludzi omylnych i słabych, jak mylą się kościoły fałszywe. Nie zejdzie atoli z drogi prawej i nie zabłąka się, komu przewodnikiem jest ten, który mógł o sobie powiedzieć: „Jam jest droga i prawda, i żywot“<sup>2)</sup>). Kościół wskazuje nam drogę prawdziwą i nie poprowadzi nas na bezdroża, bo Chrystus, droga prawdziwa, jest z nim; Kościół będzie nam zawsze tylko prawdę ogłaszał, bo z nim jest Chrystus, który jest prawdą. Nie może nam podawać jako pokarm duchowy trucizny i jadu błędnej nauki a tem same spowodować śmierć duszy naszej Kościół, którego zasila i pokrzepia Syn Boży, On zaś jest żywotem.

Chrystus nietylko sam jest z Kościołem po wszystkie czasy, ale nadto przyrzekł mu nieustanną pomoc Ducha św., Ducha prawdy: „A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Du-

---

<sup>1)</sup> Mat. 28, 19. 20.

<sup>2)</sup> Jan 14, 6.



ch a p r a w d y...<sup>1)</sup>). „Gdy przyjdzie on Duch prawdy, n a u c z y was w s z e l k i e j p r a w d y“<sup>2)</sup>).

Duch św. czyli Duch prawdy ma mieszkać z Kościołem na wieki i nauczyć go wszelkiej prawdy. Nie może się tedy wydarzyć, by Kościół rządzony Duchem prawdy mógł kiedykolwiek popaść w błąd i oddalić się w czemkolwiek od prawdy. Gdzie Duch prawdy mieszka, tam nie może równocześnie mieszkać duch błędu i fałszu, bo kędy światłość jest, nie może zarazem być ciemności; jedno drugie wyklucza. Stąd wykluczony jest błąd w Kościele, w którym prawda mieszka; mylić się nie może, komu D u c h p r a w d y jest n a u c z y c i e m. Słusznie dlatego apostoł Paweł widzi w Kościele Chrystusowym podwalinę prawdy, „K o ś c i ó ł B o g a ż y w e g o, f i l a r i u t w i e r d z e n i e p r a w d y“<sup>3)</sup>). Jak się na filarze sklepienie opiera, a na fundamencie budowa cała, która stąd nie może się rozsypać, tak prawda spoczywa na Kościele jako na mocnej i trwałej podwalinie.

„Dowody na nieomylność Kościoła z P i s m a ś w. protestanci zaczepiają twierdząc, że obracają się w błędnem kole. Katolicy, tak mówią, dowodzą nieomylności Kościoła z natchnionego (nieomylnego) Pisma św. a znowu natchnienia czyli inspiracyi Pisma św. z nieomylności Kościoła.

---

<sup>1)</sup> Jan 14, 16. 17.

<sup>2)</sup> Jan 16, 13.

<sup>3)</sup> I Tym. 3, 15.

Atoli odwołując się w dowodach apologetycznych na nieomyłność Kościoła na Pismo św., uważamy je przede wszystkim za historycznie pewny dokument i staramy się nabyć z niego pewnego przekonania, czy Chrystus Kościół założył, na czym polega jego istota i jakie są jego znamiona. Wynikiem badania tego jest fakt niezaprzeczony, że Chrystus rzeczywiście Kościół założył, który w rzeczach wiary jest nieomylny. Skoro się w ten sposób z autentycznych i wiarogodnych ksiąg Pisma św., mianowicie Nowego Zakonu, wykazało, że Kościół jest nieomylny, wolno nam na dowód inspiracyi słusznie się odwołać na nieomyłność Kościoła. Dowodzenie takie nie jest, jak z łatwością każdy widzi, bynajmniej t. zw. *circulus vitiosus* (błędne koło)<sup>1)</sup>.

Prawdę o nieomyłności Kościoła zawartą w Piśmie św. znajdujemy niemniej jasno wyrażoną i stwierdzoną w drugim źródle objawienia t. j. w ustnem podaniu Kościoła czyli w tradycyi.

## V. Nieomyłność Kościoła w świetle tradycyi.

Liczne mamy świadectwa Ojców Kościoła i znakomitych pisarzy kościelnych już z pierwszych wieków chrześcijańskich, którzy pośrednio lub bezpośrednio przypisują Kościołowi nieomyłność, nazywając go nauczycielem i wiernym tłumaczem i stróżem

<sup>1)</sup> Specht, Apologetyka 284.

prawdy objawionej. Kto szuka i pragnie prawdy, nie ma wedle nich uciekać się do mędrców i filozofów tego świata ani do heretyków, ale do Kościoła Chrystusowego, który jest pośrednikiem i szafarzem łask boskich i nauczycielem boskiej prawdy. W przeciwstawieniu mianowicie do szerzących się błędnych nauk, Ojcowie Kościoła wciąż wskazują na Kościół, który posiada prawdę. Gdzie herezya, tam tem samem jest kłamstwo i ciemność błędu, zaś gdzie Kościół, tam szczerłość i światłość prawdy.

Św. Ignacy († 107), biskup antyiocheński, mówi, że Chrystus Kościół Swoj obdarzył „nieskazitelnością“ t. j. że nie podlega zepsuciu a tem samem żadnemu błędowi<sup>1)</sup>. Ireneusz († 202), biskup lyoński, w przeciwieństwie do heretyków, którzy prawdy nie mają i mieć nie mogą, przypisuje Kościołowi posiadanie prawdy: „Albowiem gdzie jest Kościół, jest też duch Boży, a gdzie jest duch Boży, tam jest Kościół i wszelka łaska; Duch św. jest prawdą“<sup>2)</sup>. Kto chce widzieć i szczerze się przekonać, znajdzie w Kościele przekazaną i odziedziczoną od apostołów naukę, za którą ręką biskupi jako prawdziwi następcy apostołów. Apostołowie są „dodecastylum firmanentum Ecclesiae“, fundamentem przez Chrystusa samego założonym. My zaś mamy obo-

---

<sup>1)</sup> Ep. ad Eph. c. 17.

<sup>2)</sup> Adv. haer. III, 24. 1.

wiązek słuchać prawowitych ich następ-  
ców, którzy nauki ich strzegą i którzy wraz  
z święceniem swem odebrali pewny i nie-  
omylny dar prawdy — „charisma veritatis  
certum”<sup>1)</sup>). Nie masz prawdy poza nauką apo-  
stołów, nie masz nauki apostołów poza Kościo-  
łem, nie masz Kościoła bez następstwa, sukce-  
syi biskupów. Duch św. utwierdza Kościół;  
jeśli nauka Kościoła stałą jest i niezmienną, po-  
chodzi to stąd, że duch Boży wciąż ją odnawia  
jako dobro drogocenne, które przechowuje się  
w pięknem naczyniu, a duch odnawia też na-  
czynie same<sup>2)</sup>).

K l e m e n s   A l e x a n d r y j s k i (żył  
około r. 200) uwydatnia mianowicie znaczenie  
i stanowisko Kościoła jako nauczyciela i stróża  
prawdy w przeciwieństwie do herezyi, które  
nie mając prawdy chwiejne i zmienne są jak  
wiatr. „Chrystus jest oblubieńcem Kościoła,  
a my jesteśmy dziećmi opierającemi się wiatrom  
herezyi, które są pełne głupstwa; wzbraniamy  
się wierzyć tym, którzy inaczej nas uczą niż  
ojcowie nasi, a staniemy się doskonałymi, jeśli  
należymy do Kościoła z Chrystusem jako  
Głową”<sup>3)</sup>). O Kościele jako oblubienicy Boga  
tak się wyraża: „Oblubienica, którą jest Ko-  
ściół, musi być czystą i wolną od myśli sprze-  
ciwiających się prawdzie, nietkniętą również  
i nieskażoną mniemaniami, które z zewnątrz na

<sup>1)</sup> Adv. haer. IV, 21; 26.

<sup>2)</sup> Adv. haer. III, 24. 1.

<sup>3)</sup> Paedagog. I, 5.

nią nacierają; mam tu na myśli zwolenników herezyi namawiających ją do niewierności wobec Boga wszechmocnego a jedyne go jej oblubieńca<sup>1)</sup>. W porównaniu więc do herezyi Kościół jest prawowitą, czystą i wieczną oblubienicą, na którą herezye z zewnątrz nacierają. Kościół jest prawdą; herezya mniemaniem niestałym i zmiennym jak wiatr.

Jakże moglibyśmy przypuścić, woła *Tertulian* († 240), iż Chrystus dozwolił, by cokolwiek z wiary tym było nieznane, których On jako nauczycieli ludzkości postanowił!... Ażali można przypuścić, by Duch św., którego Chrystus miał przysłać jako nauczyciela prawdy, o Kościół się nie troszczył? Miałby On, zastępca Chrystusa, obowiązek swój zaniedbać i dozwolić, by Kościół wedle upodobania wierzył i wiarę inaczej pojmował niż On przez apostołów nauczał?<sup>2)</sup>

Podobnie jak *Klemens Alexandryjski*, następca jego w nauczycielstwie przy szkole katechetów w Alexandryi, sławny wówczas na świat cały z głębokiej wiedzy i nauki *Origenes* (ur. się r. 185) wskazuje na Kościół, który posiada i głosi prawdę, a piętnuje heretyków jako kłamców i obłudników, jako złodzieji i cudzołożników: „Kościół posiada wiarę prawdziwą“. Heretycy noszą miano chrześcian; chlubią się znajomością jakiejś prawdy, któ-

---

<sup>1)</sup> Stromata III, 12.

<sup>2)</sup> Praescr. 22. 28.

rej członkowie Kościoła nie znają; w rzeczywistości są oni złodzieje i cudzołożnicy; złodzieje, którzy kradną naczynia świątyni; cudzołożnicy, którzy błędami swymi czyste i czcigodne dogmaty Kościoła kalają<sup>1)</sup>.

W razie wątpliwości, mówi Origenes, ma się każdy zgłosić do tych, którzy są postanowieni nauczycielami Kościoła. Jak uczniowie zwracają się do boskiego mistrza swego i go pytają, mamy i my podobnie czynić; w rzeczach wiary trzeba nam szukać porady i odpowiedzi na nasuwające się nam zagadnienia u tych, których Bóg uczynił nauczycielami w Kościele<sup>2)</sup>. Napomina też Origenes, byśmy nie zważali na tych, którzy nam Chrystusa nie pokazują w Kościele; Kościół zaś jest pełen światła prawdziwego, filarem i utwierdzeniem prawdy<sup>3)</sup>.

Św. Cyprian († 258) mówi: „Płynąca w Kościele czysta, zbawienna i święta woda nie może być zepsuta ani fałszowana, jako i Kościół sam nieskażony jest i czysty<sup>4)</sup>”. Rozumie on to mianowicie o czystości i nieskazitelności nauki, albowiem zboczenie od prawdy jest w oczach jego rodzajem duchowej sromoty wedle słów Pisma św. II. Kor. 4, 2: „Odrzucaamy pokrytą sromotę, nie chodząc w chytrości ani fałszując słowa Bożego, ale okaza-

<sup>1)</sup> Comment. in om. I, 19; II, 11.

<sup>2)</sup> Comment. in Matth. XIII, 15.

<sup>3)</sup> Comment. in Matth. scr. n. 46.

<sup>4)</sup> Ep. 73, 8.

niem prawdy zalecając się samych do wszelkiego sumienia ludzi przed Bogiem.“

Św. Ambroży, biskup medyolański († 397),) pisze, iż Kościół zbudowany na opoce apostolskiej pozostaje niewzruszony i polega ustawicznie na fundamencie niezachwianym<sup>1)</sup>. Podobnie wyraża się św. Augustyn († 430) przytaczając na dowód, że Kościół posiada prawdę i zbłądzić nie może, szczególniejeśca pisma św. Mat. 16, 18 i I. Tym. 3, 15.

Piotr Kluniaceński (Petrus Venerabilis, z 12. stul.) pisze przeciwko heretykom t. zw. Petrobrussyanom: „Czyż nie trzeba wierzyć świadectwom Kościoła, z którym Duch św. nierozłącznie pozostaje nietylko tu, ale wiecznie? Czyż nie należy się wiara świadectwom Kościoła, który jest jeden z Ojcem i Synem, jako Ojciec w Synie a Syn w Ojcu jest? Komu dał Syn Boży chwałę, jaką od Ojca odebrał (Jan 17, 22)? Jakżeż więc mógł przez więcej niż tysiąc lat błądzić lub być w błąd wprowadzony Kościół, z którym prawdziwy Ojciec, z którym prawda Syn, z którym Duch prawdy nieustannie pozostawał?“

## VI. Nieomylność Kościoła w świetle historii.

Wiara w nieomylność Kościoła jest tak dawna jak Kościół sam. Nieporozumienia i różność zapatrywań co do kwestyi tyczących wiary, jeśli tedy owedy zachodziły, były prze-

---

<sup>1)</sup> Ep. 2, 1.



ściowe i trwały dopóty tylko, dopóki Kościół nie wydał rozstrzygającego orzeczenia i ostatecznego wyroku. Skoro Kościół w sprawie dotąd wątpliwej głos zabrał i zawyrokował, zamilkł wszelki spór a wierni przyjmowali słowa Kościoła z taką czcią i uważali je za tak święte, prawdziwe, jakoby Bóg sam do nich był przemówił. W *Dziejach Apostolskich* roz. 15. czytamy, iż powstał spór, czy poganie chcący przyjąć wiarę chrześcijańską muszą się wprzód obrzezać i zachować zakon wedle zwyczaju Mojżeszowego, czy też obowiązku tego nie mają; zdania co do tego były podzielone. Wtedy zebrali się apostołowie na Sobór do Jeruzalem i tam uchwalili, że obrzezanie i przepisy ceremonialne wedle zwyczaju Mojżeszowego nikogo nie zobowiązują, „albowiem zdało się Duchowi świętemu i nam, abyśmy więcej nie kładli na was ciężaru“. List z uchwałą tą posłano do mieszkańców Antyochii, „który przeczytawszy, uradowali się z pocieszenia. A Judas i Syłas, będąc i sami Proroki, wielą słów cieszyli bracią i utwierdzili“. Kościół przemówił, a wierni przyjęli z radością wyrok jego jako świętą, nieomylną prawdę.

Żyjący w 16. stuleciu Ks. Jakób Wujek, rodem z Wągrówca, znany jako znakomity tłumacz Pisma św. na język polski, w uwadze swej do rzeczzonego miejsca — *Dzieje Apost.* 15, 31: „....uradowali się z pocieszenia“ — tak się wyraża: „Wierni katolicy przyj-

mu ją z radością dekrety koncyliów jako dekrety Ducha św. Lecz uporni herecyty, których błędy na koncyliach bywają potępione, jako na on czas Cheryantowie i fałszywi apostołowie nie przyjęli tego Jerozolimskiego, Aryanowie Niceńskiego, a Trydent-  
skiego dzisiejsi heretykowie.“

Jak pierwsi chrześcijanie za czasów apostołskich wierzyli w nieomylność Kościoła, tak wierni w następnych czasach niemniej przekonani byli o tej prawdzie, iż niemożliwą jest wprost rzeczą, by Kościół w rzeczach wiary mógł kiedykolwiek zbłądzić. Że Kościół jest wedle słów apostoła „filar i utwierdzenie prawdy“ i jako taki mylić się nie może, było dla prawdziwie wierzących katolików zawsze tak jasnem jak słońce na niebie. Dzieje Kościoła dostatecznym są dowodem tego, że wierni szli zawsze za głosem Kościoła jak trzoda idzie za głosem dobrego pasterza. Ilekrotnie Kościół się odzywał, objaśniając jaki przedmiot wiary lub też potępiając błędne nauki, wierni przyjmowali słowa jego z dziecięcym zawsze posłuszeństwem, uznając je za prawdziwe bez najmniejszych wątpliwości i jakichkolwiek zastrzeżeń. Ci zaś, którzy wyroków Kościoła przyjąć i uznać nie chcieli, uważani byli za odszczepieńców, nie należących nadal do Kościoła i nie zasługujących na miano prawowiernych chrześcijan; nie wdawano się z nimi w długie dysputy, nie pytano ich, dla jakich przyczyn oni tych lub owych

orzeczeń Kościoła przyjąć i uznać za prawdziwe nie chcą czy nie mogą, lecz fakt sam, że nie wierzą i poddać się nie chcą wyrokom Kościoła, wystarczał, by ich tem samem wykluczyć z społeczności prawowiernych katolików. Niepojęte to na pozór i aż nadto surowe niby postępowanie wobec wszystkich, którzy Kościołowi bezwarunkowo wierzyć i poddać się nie chcą, tłumaczy się owem niezachwianem żyjącem wśród wiernych przeświadczeniem, że przez Kościół Bóg działa i dlatego słowa Kościoła są w ostateczności zupełnie nieomyłne, a jako takie nie znoszą oporu, powątpiewania lub krytyki ludzkiej. Prostaczek, który się nad nieomylnością Kościoła nigdy bliżej nie zastanawiał, i uczony teolog, który może z zawodu obszernie i głębokie studia o przedmiocie tym robił, każdy z nich zarówno niejako instynktownie to odczuwa, że Kościół błędzący i omylny byłby taką niedorzecznością jak słońce nie dające światła. Bez tego wrodzonego niejako przeświadczenia żadna powaga ani żadna władza, choćby najmędrsza i najpotężniejsza, nie zdołałaby wymódl na ludziach, by na jedno skinienie natychmiast słuchali i wierzyli jednomyślnie; co więcej, iżby słuchali i wierzyli nie na zewnątrz tylko i z obawy może lub z innych względów, ale z serca i z zupełnem przekonaniem. Szaleństwem byłoby po prostu postępowanie tylu tysięcy i milionów wiernych w wszystkich czasach, którzy Kościołowi na

słowo wierzyli i raczej śmierć woleli ponieść niż o prawdziwości nauk jego powątpiewać, gdyby nie byli nad wszelką wątpliwość o tem przekonani, że Kościół w imieniu Boga do ludzi przemawia i że dlatego orzeczenia jego są tak prawdziwe jak Bóg sam prawdziwy jest i nieomylny.

A r y u s z zaprzecza bóstwu Chrystusa, dowodząc w swój sposób, iż jest on tylko stworzeniem acz najwyższem ze wszech rzeczy stworzonych; Najśw. Marya Panna nie jest dlatego Matką boską, ale matką Chrystusa-człowieka. Kościół potępia tę naukę na p i e r w s z y m Soborze w Nicei r. 325 i piętnuje Aryusza jako heretyka oddalającego się od objawionej boskiej prawdy. Prócz niektórych zwolenników Aryusza ogrom wiernych przyjmuje ten wyrok Kościoła jako prawdziwy, a cesarz Konstantyn Wielki zgodnie z wiarą tą oświadcza: Co Sobór postanowił, nie jest niczem innem jak g ł o s e m B o ż y m, gdyż D u c h ś w. zamieszkał niejako w sercach i umysłach tych godnych i szlachetnych mężów t. j. biskupów i wolę Boga im objawił.“

P e l a g i u s z na początku piątego stulecia naucza, iż łaska boska do zachowania przykazań i do zbawienia nie jest koniecznie potrzebna. Na kilku synodach a wreszcie przez Papieża Innocentego I. nauka ta została potępioną, a A u g u s t y n ś w. wespół z wiernymi mógł się odezwać: „Sprawa jest ukończona; oby kiedyś zakończył się i obłęd“. Z słów tych

św. Augustyna utworzyła się z czasem ta znamienna zasada: „Roma locuta, causa finita — Rzym orzekł, sprawa jest ukończona“. Zdanie to moglibyśmy słusznie umieścić jako napis nad całą historią Kościoła od pierwszego soboru apostolskiego w Jerozolimie aż do Soboru Watykańskiego i aż do dni naszych. Rzym czyli Kościół przemówił, rzecz skończona! Co za wielkość, co za potęga mieści się w krótkim tem wyrażeniu! Któryż władzca świecki, któryż cesarz albo król potężny miał kiedykolwiek tę władzę, by słowem jego świat cały wierzył i wyrokom jego bezwzględnie się poddał? Kościołowi wierzą i posłuszne są miliony; na słowo i niejako na jedne skinienie jego wierni całej kuli ziemskiej korzą się nie jako niewolnicy z obawy, ale jako dzieci wolne Ojca niebieskiego, który przez usta Kościoła ich poucza.

Dnia 8. grudnia 1854 ogłasza Kościół przez usta Papieża Piusa IX. dogmat o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny. Prócz znikającej garstki kilkunastu przeciwników, cały świat katolicki orzeczenie to przyjmuje z przedziwną zgodą i jednomyślnością, a hymny i pienia radosne na cześć Niepokalanej rozbrzmiewają od wschodu do zachodu, od bieguna do bieguna. Czem się tłumaczy to zadziwiające zjawisko, jeśli nie mocnem przekonaniem wiernych, że co Kościół ogłasza, to bożą nauką! Wiara w nieomyłność Kościoła

czyli Papieża, który w imieniu Kościoła do nas się odzywa, jedynie zdolna nam to wyjaśnić, coby inaczej było dla nas niepojętą zagadką.

Historya Kościoła pełna jest podobnych przykładów jako naocznych świadectw tej prawdy, że wiara w nieomyłność Kościoła jest tak dawna jak Kościół sam i że przeświadczenie o nieomyłności tej zawsze było wśród wier-nych żywe i niczem niezachwiane. Słowa i rozumowania, acz dobre i pożyteczne, w ogólności mniej dowodzą niż fakta rzeczy-wiste, które niejako w oczy biją i dlatego sil-niejsze i bardziej przekonywające robią wra-żenie na serca i umysły ludzkie. Litery i księgi są martwe, choćby wiele mądrości zawierały; życie tylko i rzeczywistość może budzić życie i żywe przekonanie w umysłach i porywać serca. Jak okoliczność ta, że Kościół katolicki mimo najsroższych prześladowań żyje przez blisko dwa tysiące lat niezłamany i pełen siły żywotnej, naocznym jest dowodem jego bo-skiego pochodzenia, tak niemniej u s t a w i c z- na j e d n o m y ś l n a i b e z w a r u n k o w a wiara w orzeczenia i wyroki Ko-ścioła, jaką napotykamy i podziwiamy u prawdziwych katolików wszystkich czasów, jest niezbitym dowodem nie o m y ł n o ś c i Kościoła katolickiego. Bo czyż mógłby Bóg do-puścić, by wierni członkowie Kościoła Jego zawsze przyjmowali i uważali za niewątpliwą prawdę to, co w rzeczywistości jest kłamstwem i fałszem? Znaczyłoby to w ostateczności

tyle, że Bóg święty i prawdziwy ustanawia Kościół swój i spokojnie znosi i dopuszcza, że prawdziwi i wierni członkowie tegoż Kościoła w ogromnej swej całości ustawicznie wierzą, co w rzeczy samej jest błędne; byłaby to sprzeczność sama w sobie. Skoro wierni są w błędzie, to i Kościół musi być fałszywy i ostatecznie Bóg sam, który go ustanowił, przestałby być świętym i prawdziwym.

---



## CZEŚĆ DRUGA.

### Istota nieomyślności Kościoła katolickiego.

---

#### I. Objasnienie nieomyślności Kościoła.

Chrystus w tym celu Kościół założył i ustanowił, by w Jego imieniu prawdę objawioną zachował i głosił wszystkim narodom po wszystkie dni aż do skończenia świata. Aby Kościół, składający się z słabych i omylnych ludzi, mógł swe iście nadludzkie zadanie spełnić, wyposażył go Chrystus równocześnie rozmaitemi łaskami i darami; darem takim nadprzyrodzonym czyli przywilejem jest nieomyślność Kościoła. Nieomyślność ta polega na tem, że Kościół za szczególną pomocą boską czyli wskutek przyczynienia się bożego (assistentia divina) w nauce wiary nigdy mylić się nie może. Ta pomoc boska nie wyklucza atoli użycia środków przyrodzonych, jak modlitwy, badania źródeł objawienia, a temi są Pismo św. i ustne podanie czyli tradycja; i do używania tych środków przyrodzonych odnosi

się owa nadprzyrodzona pomoc czyli asystencya boska.

„Nieomylność t. j. wolność od błędu sama w sobie jest pierwotnie wyłączną własnością Boga, gdy tymczasem stworzenie każde a w szczególności człowiek ze siebie i z natury błędowi podlega. Stąd atoli nie wynika, jakoby Bóg daru nieomylności nie mógł również ludziom udzielić, jeśli on to w celach zbawienia uważa za stosowne; tak samo jak znajomość przyszłości, którą on także tylko sam posiada, udzieloną być może innym a udzieloną rzeczywiście prorokom czasu swego zostało. Udzielając jednakże Bóg Kościołowi nauczającemu daru nieomylności, nie wyposaża go tem samem własnością boską, nie staje się Kościół przez to w s z y s t k o w i e d z ą c y m i niejako istotnie i wszechstronnie nieomylnym, ale tylko zachowany bywa od błędu przy tej czynności i w tym przypadku, gdy nam treść i przedmiot wiary do wierzenia podaje. Jak człowiek czyniący cuda, a więc działający, co właściwie tylko Bogu się przynależy, nie jest obdarzony własnością boskiej wszechmocy, tak Kościół czyli urząd nauczycielski Kościoła, ogłaszając nam nieomylnie treść wiary, nie jest tem samem obdarzony własnością boskiej wszechwiedzy“<sup>1)</sup>).

Pomoc boska, która Kościół w rzeczach wiary czyni nieomylnym, jakkolwiek jest dzie-

---

<sup>1)</sup> Specht, Apologetyka 323.

łem Boga w Trójcy jedynego, w szczególności przypisuje się trzeciej osobie w Bóstwie t.j. Duchowi świętemu (assistentia Spiritus sancti). To też na pierwszym powszechnym Soborze w Jerozolimie Piotr św. i apostołowie wyraźnie mówią, że to, co uradzili, postanowili za natchnieniem Ducha świętego: „Zdało się Duchowi świętemu i nam, abyśmy więcej nie kładli na was ciężaru...”<sup>1)</sup>. I w czasach następnych, ile razy Kościół, mianowicie zgromadzeni na soborze papież i biskupi rozjaśniają wątpliwości we wierze lub potępiają błędne nauki heretyków, zawsze zapadają uchwały zebranych przy pomocy Ducha świętego: „zdało się Duchowi św. i nam.”

Nieomyślność w nauce wiary nie jest darem osobistym, lecz przywilejem urzędowym zaliczającym się do tych łask i darów nadprzyrodzonych, które w pierwszym rzędzie przeznaczone są dla dobra i zbawienia innych. Różni się zatem ten dar nieomyślności od tych darów i łask, jakich Bóg udziela ludziom ku ich dobru i zbawieniu osobistemu; taką jest n. p. łaska uświęcająca; zaś kapłaństwo i inne łaski, jako związane z kapłaństwem władze, przeznaczone są w pierwszym rzędzie, choć nie wyłącznie, dla dobra i zbawienia innych. Takimi łaskami są n. p. dary prorocтва, cudów, o których czytamy w Piśmie św.;

---

<sup>1)</sup> Dzieje Apost. 15, 28.

nazywają one się też „łaski darmo dane — gratiae gratis datae“: „Niemocne uzdrawiajcie, umarłe wskrzeszajcie, trędowate oczyszczajcie, czarty wyrzucajcie; darmoście wzięli, darmo dawajcie“<sup>1)</sup>). Dary te noszą też nazwę charysmów czyli darów charysmatycznych. Do tego rodzaju łask zalicza się również nieomylność Kościoła, którą Sobór Watykański dlatego wyraźnie nazywa charysmem prawdy *charisma veritatis*.

Pominać tu nie można istotnej różnicy, jaka zachodzi między tym darem nieomylności a natchnieniem Bożem czyli *inspiracją*. Daru nieomylności nie można stawiać na równi z inspiracją, o ileby się przez inspirację czyli natchnienie rozumiało także boskie oznajmienie nieznanych dotąd prawd albo zdarzeń. Zadanie bowiem Kościoła nie na tem polega, by odbierał od Boga nowe objawienia i ludziom je oznajmiał, ale na tem, by z śmiercią ostatniego apostoła ukończony i zamknięty raz na zawsze skład wiary objawionej zachował, ogłaszał i objaśniał.

Autorzy czyli pisarze ksiąg Pisma św. byli natchnieni przez Ducha św., wpływ ten nazywamy *inspiracją*; w księgach więc świętych w pierwszym rzędzie Bóg przemawia, pisarz zaś sam zajmuje miejsce drugie, ale nie całkowicie podrzędne. Pisarz biblijny nie jest

<sup>1)</sup> Mat. 10, 8.

czysto mechanicznem narzędziem, jakoby Duch św. mu słowo w słowo dyktował a ów pisarz li tylko pisał bez własnego współdziałania duchowego; nie jest on wprawdzie piórem tylko w ręku Boga, że się tak wyrazimy; zwykle mówią, że styl i cały układ myśli jest własnością poszczególnego pisarza, istotna część czyli myśli same ostatecznie zawsze od Ducha św. pochodzą. Nie tak daleko sięga wpływ boskiej a s y s t e n c y i, jakiej zażywa Kościół. Przy inspiracyi poddaje i wskazuje treść myśli Duch św., przy asystencyi zaś s t r z e ż e Duch św. tylko o d b ł ę d u. Stąd to jest Pismem świętem Boga, co napisane pod wpływem natchnienia, natomiast to nie jest Pismem św. co napisane za przyczyną daru nieomyłności, a więc orzeczenie kościelne. Jeśli więc Kościół zamierza określić lub objaśnić jaki dogmat albo powziąć ważną jaką uchwałę w rzeczach wiary lub obyczajów, użyć mu trzeba wprzód odpowiednich środków przyrodzonych, a tymi prócz modlitwy do Ducha św. o oświecenie, są mianowicie głębokie i sumienne badania i studia źródeł wiary tj. Pisma św. i tradycyi jako też niemniej dokładne rozważanie wszelkich argumentów przeciwnych. Nadto i z tego względu mówić nie można o inspiracyi czyli natchnieniu Kościoła, że mu przyo b i e c a n ą jest tylko p o m o c czyli a s y s t e n c y a przy ogłaszaniu i objaśnianiu prawd już objawionych aby uchronić go od błędu, nie zaś inspiracya albo i przekazanie

prawd nieobjawionych dotąd i wcale nieznanych. Z śmiercią ostatniego apostoła św. Jana, około r. 100 p. Chr., objawienia raz na zawsze były ukończone.

Duch św. więc udziela Kościołowi swej pomocy i chroni go od błędu; to nazywamy asystencyą Ducha św. — assistentia Spir. s. Ustęp odnośny w Katechiźmie Rzymskim tak opiewa: „Jak ten jeden Kościół mylić się nie może w rzeczach wiary i obyczajów, gdyż Duch św. nim rządzi, tak koniecznie stąd wynika, że wszystkie inne kościoły przypisujące sobie miano Kościoła, ponieważ rządzi nimi duch szatana, znajdują się niechybnie w najzgubniejszych błędach nauki i obyczajów“. Jak przy stworzeniu świata „Duch Boży unaszał się nad wodami“, by wszystkie rzeczy stworzone, przedstawiające pierwotnie niekształtną jeszcze masę czyli chaos, w przyszłości się uporządkowały i przeistoczyły w kształt stworzeń o cudnej, zgodnej harmonji, tak ten sam Duch Boży unasza się niejako nad Kościołem Chrystusowym czyniąc go pięknym, czystym i wolnym od plam i zmazy fałszu i błędów. Duch prawdy go zasłania i broni: „Aby Kościół mógł Skład wiary, jaki odebrał, wiernie zachować i wszystkim narodom prawdziwą Chrystusa naukę przekazać; aby mógł spory w rzeczach wiary, które wskutek słabości rozumu ludzkiego powstać mogą, podług zasad prawdy rozstrzygnąć; aby mógł wreszcie zupełnego posłuszeństwa wew-

nętrznego, jakie się Chrystusowi samemu nauczającemu należy, żądać: Chrystus przyobiegał i dał Ducha prawdy, któryby jak ongi apostołów, tak ich następców biskupów nauczył wszelkiej prawdy; On sam również przyrzekł, iż będzie z nimi po wszystkie dni aż do skończenia świata. Kościół zatem, „filar i utwierdzenie prawdy“, w tem, co się odnosi do wiary i obyczajów ani się mylić ani żadną przemocą lub podstępem ludzi i piekła w błąd wprowadzony być nie może<sup>1)</sup>).

## II. Podmiot nieomyłności Kościoła.

Podmiotem czyli dzierzycielem tego przywileju nieomyłności czyli nieomylnego nauczania w Kościele Chrystusowym jest ustanowiony przez Chrystusa samego urząd nauczycielski. Pierwszymi zawiadowcami tego urzędu nauczycielskiego byli wybrani i posłani od Chrystusa apostołowie: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody“; nieomylnymi w nauce wiary musieli być i byli apostołowie mając pomoc Chrystusa i Ducha św. czyli Ducha prawdy: „Oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“ — „prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha prawdy...“ „Gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy“. Nie każdy może sobie samowolnie przywłasz-

---

<sup>1)</sup> Conc. Prov. Col. P. I, c. 24.



czyć tego urzędu nauczycielskiego i wedle upodobania głosić słowo Boże, ale musi być wezwan od Boga jak Aaron. Ani świątobliwość życia ani nauka ani inne jakiegokolwiek dary, choć najszczytniejsze, nie upoważniają same przez się do tej władzy nauczycielskiej w Kościele. Świętość i mądrość, choćby anielska, nie daje sama przez się prawa do tego urzędu, ale jedynie wyraźne boskie posłannictwo.

Ku należytej ocenie niepowołanych reformatorów i głosicieli jakichś nowych, nieznanych w Kościele nauk, z szczególnym przyciskiem zawsze powtarzać trzeba tę zasadę, że bez osobnego boskiego rozkazu czyli posłannictwa każdy mianujący się kaznodzieją jest fałszywym prorokiem i fałszywym apostołem. Miarodajną tę i stosowaną zawsze regułę czyli zasadę Chrystus sam postanowił, kiedy powiedział do apostołów: „Jako mię posłał ojciec i ja was posyłam”<sup>1)</sup>. W przypowieści o dobrym pasterzu Chrystus myśl tę szczególnie jasno i naocznie uwydatnia, kiedy mówi, że przez Niego powołany i posłany być musi, ktokolwiek chce być prawym duszpasterzem: „Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: Kto nie wchodzi przez drzwi do owczarni owiec, ale wchodzi inędzy, ten jest złodziejem i zbójcą. Lecz który wchodzi przez drzwi, pasterzem jest owiec... jam jest

---

<sup>1)</sup> Jan 20, 21.

drzwiami owiec. Wszyscy ile ich przyszło, złodzieje są i zbójcy i ich nie słuchały owce. Jam jest drzwiami. Przez mię jeżeli kto wniknie, zbawion będzie<sup>1)</sup>).

Toż samo wynika z słów św. Pawła, który jako warunek niezbędny głoszenia wiary Chrystusowej stawia posłannictwo Boże, mówiąc: „A jako będą p r z e p o w i a d a ć, jeśliby nie byli p o w o ł a n i?“<sup>2)</sup> Nie każdego Duch. św. oświeca i nie każdy wedle upodobania samowolnie może być pasterzem owiec Chrystusowych i nauczycielem w Kościele, jak mylnie utrzymują protestanci i inne fałszywe wyznania religijne, albowiem wyraźnie powiada ten sam apostoł narodów: „A Bógci postanowił niektóre w Kościele, najprzód apostoły, powtóre proroki, po trzecie nauczyciele... Iżali wszyscy apostołami? Iżali wszyscy prorokami? Iżali wszyscy nauczycielami?“<sup>3)</sup>. W miejsce Judasza obierają apostołowie Macieja, ale tak, że wybór ten jest ostatecznie nie ich dziełem, lecz dziełem Boga czyli Ducha świętego; Bóg wybiera i posyła Macieja: „I postanowili dwu, Józefa, którego zwano Barsabas, którego nazywano Justem, i Macieja. A modląc się mówili: Ty Panie, który znasz serca wszystkich, okaż, któregoś obrał z tych dwu jednego.

---

<sup>1)</sup> Jan 10, 1. 2 i 7—9.

<sup>2)</sup> Rzym. 10, 15.

<sup>3)</sup> Dzieje Apost. 1, 23—26.

aby wziął miejsce usługowania tego i apostołstwa, z którego wypadł Judasz, aby odszedł na miejsce swe. I dali im losy, i padł los na Macieja i policzon jest z jedynaścią apostołów.“

Apostoł Paweł, broniąc siebie przeciwko zarzutom, jakie mu niektórzy czynili, jakoby sobie nieprawnie miano i powołanie apostoła przywłaszczał, jasno określa różnicę między prawowitym posłannikiem Chrystusowym a samozwańcem i tymi, co nie od Chrystusa, ale od ludzi są posłani: „Paweł Apostoł nie od ludzi ani przez człowieka, ale przez Jezusa Chrystusa...“<sup>1)</sup>

Urząd więc nauczycielski i to nieomylny, apostołowie od Chrystusa samego odebrali. W przeświadczeniu o tem boskiem posłannictwie swem przypisują sobie apostołowie a b s o l u t n ą p o w a g ę i domagają się bezwarunkowego posłuszeństwa ze strony wier-nych, albowiem co opowiadają, jest nieomylną boską prawdą: „Jakośmy doświadczeni byli od Boga, żeby nam była zwierzona Ewangelia, tak mówimy... przepowiadaliśmy u was E w a n g e l i ą b o ż ą. Dlatego i my dziękujemy Bogu bez przestanku, iż przyjąwszy od nas słowo słuchania Bożego, przyjęliście je nie jako słowo ludzkie, ale jako jest prawdziwie słowo Boga...“<sup>2)</sup> W imieniu Boga nauczają, w imieniu Boga rozkazują i napominają apo-

---

<sup>1)</sup> Galat. 1, 1.

<sup>2)</sup> I Thess. 2, 4. 9. 13.

stołowie, a nauki i wyroki ich jako boskie i nieomyłne nie znoszą krytyki ludzkiej, lecz wymagają wiary pewnej i niezachwianej: „Jeżeli kto zda się być prorokiem, albo duchownym, niech pozna, iż co wam piszę, są Pańskie rozkazyania“<sup>1)</sup>. — „Miasto Chrystusa poselstwo sprawujemy, jakoby Bóg przez nas napominał.“<sup>2)</sup>

Następcami prawowitymi apostołów w właściwym i pełnym słowa tego znaczeniu są biskupi, a jako tacy dzierżą oni tę samą co apostołowie władzę i urząd nauczycielski w Kościele; obdarzeni są również przywilejem nieomyłności. Jeśli wedle słów Chrystusa Kościół i wiara trwać mają po wszystkie czasy, to tem samem trwać musi nieustannie w Kościele przez Chrystusa ustanowiony urząd nauczycielski i złączony z nim istotnie dar nieomyłności; obietnica dana apostołom przez Chrystusa, iż będzie z nimi po wszystkie dni i że Duch św., Duch prawdy mieszkać z nimi ma na wieki i nauczyć ich wszelkiej prawdy, odnosić się zatem musi również do prawowitych następców t. j. biskupów. Że biskupi są prawdziwymi następcami apostołów, mającymi ten sam co apostołowie obowiązek nauczania i zachowania wiary objawionej czystej i nieskażonej, wynika jasno z Pisma św.

---

<sup>1)</sup> I Kor. 14, 37.

<sup>2)</sup> II Kor. 5, 20.

Pierwszy biskup w Efezie, Tymoteusz, którego Paweł św. sam wyświęcił, odebrał od tegoż apostoła napomnienie: „Przepowiadaj słowo; nalegaj w czas, nie w czas, karz, proś, łaj, z wszelką cierpliwością i nauką. Albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądlivosti nagromadzą sobie uczytelów mając świerzbące uszy; a prawdyć słuchania odwrócą, a ku baśniom się obrócą<sup>1)</sup>). Do Tytusa, którego apostoł Paweł ustanowił biskupem na wyspie Krecie, pisze tenże apostoł: „A ty mów, co przystoi zdrowej nauce... To mów i napominaj i strofuj, z wszelką powagą. Żaden toba niech nie gardzi<sup>2)</sup>). Oboje odbierają równocześnie od apostoła zlecenie, by obierali sobie współpracowników, następców, mężów, którzyby nauczali tych, co nie mają i nie znają prawdy: „Dlaczegom cię zostawił w Krecie, abyś to czego niedostawa naprawił i postanowił kapłany po miastach, jako i ja tobie rozrządził... Trzymający się tej, która jest wedle nauki, wiernej mowy, iżby mógł napominać przez zdrową naukę i tych, którzy się sprzeciwiają, przekonać<sup>3)</sup>).

Biskupów uważano zawsze za prawdziwych następców apostołów i jako nauczycieli i stróżów wiary prawdziwej; oni są też dziedzicami urzędu i wła-

<sup>1)</sup> II Tym. 4, 2—4.

<sup>2)</sup> Tyt. 1, 5. 9.

<sup>3)</sup> Tyt. 2, 1. 15.

dzy apostołskiej. Dowodem tego jest prócz Pisma św. także nauka Ojców Kościoła i historia Kościoła. Św. Hieronim pisze: „U nas miejsce apostołów zajmują biskupi“. — „Byli, o Kościele, apostołowie ojcami twymi! gdyż sami cię zrodzili; teraz atoli, kiedy oni świat opuścili, masz zamiast ich biskupów jako synów“<sup>1)</sup>). Augustyn św. w uwadze swej do ps. 44. 17. mówi: „W miejsce apostołów ustanowieni są biskupi. Kościół sam ojcami ich nazywa, on sam ich zrodził, i on sam ich ustanowił na stolicach ojców t. j. apostołów“. Wedle Ireneusza apostołowie pozostawili biskupów jako następców i przekazali im obowiązki urzędu nauczycielskiego w Kościele.<sup>2)</sup> Cyprian tak się wyraża: „Wiedzieć ci trzeba, że biskup w Kościele jest a Kościół w biskupie“<sup>3)</sup>).

Co Pismo św. i tradycja czyli nauka Ojców Kościoła głosi, stwierdza również historia Kościoła. Według historyi kwestye sporne przedkładano biskupom, którzy je rozstrzygali. Na soborach tylko biskupi mieli zawsze głos decydujący i podpisywali powzięte uchwały. Zwyczajni kapłani zaś mieli na soborach tylko głos doradczy, ale nigdy decydujący; chyba że kapłan zwyczajny jako zastępca biskupa i w jego imieniu głos oddawał.

---

<sup>1)</sup> Hieron. ep. 42 n. 3 i in ps. 44. 17.

<sup>2)</sup> Adv. haer. I. 3 c. 3. n. I.

<sup>3)</sup> Ep. 66 n. 8.

Co do daru czyli przywileju nieomyłności zachodzi jednakże znaczna różnica między apostołami a biskupami. Dar nieomyłności wskutek natchnienia Bożego posiadał każdy apostoł z osobna; poszczególny zaś biskup nie cieszy się przywilejem tym z osobna, tem mniej posiada dar inspiracyi; tylko biskupi razem jako kolegium czyli całość w jedności z Papieżem są nieomylni, gdyż wszyscy razem — pomijamy chwilowo przywileje Papieża jako następcy św. Piotra, są dziedzicami władzy nauczycielskiej apostołów. Różnica ta tłumaczy nam niejedno zajście w dziejach Kościoła, które inaczej byłoby niezrozumiałe. Dość wspomnieć tu św. Cypryana, biskupa Kartagińskiego, który był mylnego zdania, jakoby chrzcić ważnie mogli tylko prawowierni. W piątym stuleciu Nestoryusz, biskup Konstantynopolski, a w siedmnastym stuleciu biskup Ypernski, Janseniusz, głosili wprost heretyckie nauki. Poszczególny więc biskup nie posiada przywileju nieomyłności. Nigdy atoli mylić się nie mogą biskupi jako całość przedstawiająca powszechny nauczycielski urząd Kościoła. Cokolwiek zatem biskupi razem w jedności z Ojcem św. w rzeczach wiary lub obyczajów ogłaszają i nauczają, jest zawsze nieomylną boską prawdą.

Nieomyłność Kościoła w najszerszem słowa tego znaczeniu odnosi się do wszystkich wiernych wogóle jako ściśle węzłem jednolitej wiary zespolonych członków jednego



widzialnego zgromadzenia kościelnego. Wynika to stąd, że Kościół jest ciałem Chrystusowym, którego Głową jest Chrystus sam a wierni członkami jego. Z tego punktu widzenia nieomylność Kościoła w dwojakim znaczeniu pojmować trzeba: Nieomylność w nauczaniu (in docendo) i nieomylność w wierzeniu (in credendo); pierwsza jest przywilejem Kościoła nauczającego czyli urzędu nauczycielskiego, (eccl. docens), ostatnia odnosi się do Kościoła całego (eccl. audiens). Nieomylność Kościoła słuchającego (eccl. audiens) wypływa z nieomylności Kościoła nauczającego. Wierząc w to, co Kościół nauczający nieomylnie do wierzenia podaje, wierni tem samem zachowani są od błędu i dlatego zachowują prawdę nieskażoną.

### **III. Wykonywanie nauczycielstwa nieomylnego w Kościele.**

Według Seboru Watykańskiego Kościół sprawuje swój nieomylny urząd nauczycielski w sposób dwojaki: W sposób nadzwyczajny orzeczeniem uroczystem czyli solennem i w sposób zwyczajny t. j. zwykłym i powszechnym wygłaszaniem prawd objawionych. Sposób nadzwyczajny na tem polega, że Papiież razem z biskupami jaką prawdę objawioną ogłasza lub objaśnia albo błędną jaką naukę potępia, lub też że Papiież sam jako najwyższy nauczyciel i jako Głowa Kościoła coś orzeka i wy-

rok w rzeczach wiary wydaje. Ustawiczne zaś i zwykłe wygłaszanie Słowa Bożego przez biskupów i poddanych im kapłanów nazywamy zwyczajnym sposobem działalności nieomylnego urzędu nauczycielskiego w Kościele. Wszystko zatem, co Kościół czy to w sposób nadzwyczajny czy zwyczajny ogłasza i do wierzenia podaje, jest nieomylną boską prawdą.

*1. Sposób nadzwyczajny.*

Określając bliżej nadzwyczajny sposób działalności nieomylnego nauczycielskiego urzędu, rozróżniać możemy wogóle trzy sposoby uroczystego orzeczenia lub określenia dogmatu jakiego czy też potępienia jakiej fałszywej nauki albo wydania wyroku w rzeczach wiary; dźiać się to może: a) Przez sobór powszechny t. j. przez Papieża razem z biskupami na soborze zgromadzonymi; b) Przez Papieża razem z biskupami na całym świecie rozproszonymi; c) Przez Papieża samego, o czem obszernie mówić będziemy w części trzeciej: „Nieomylność Papieża.“

a) **Sobór powszechny.** Przykładem i wzorem wszystkich soborów jest sobór apostołski w Jerozolimie, o którym czytamy w Dziejach Apostelskich; apostołowie z Piotrem św. na czele po długich badaniach i rozprawach nad pytaniem, które chcieli rozstrzygnąć, jednomyślnie powzięli uchwałę, że zakon Mojżeszowy co do obrzędów starozakon-

nych nikogo więcej nie obowiązuje; wyraźnie w uchwale tej mówią, że wyrok ostateczny wydali za przyczyną i pomocą Ducha św.: „Zdało się Duchowi świętemu i nam, abyśmy więcej nie kładli na was ciężaru...”<sup>1)</sup> Podobnie Kościół w następnych czasach na soborach obraduje i wyroki wydaje wedle najsumienniejszych badań a zawsze z pomocą Ducha świętego.

Wogóle liczymy dotychczas 20 soborów powszechnych. Pierwszy sobór powszechny odbył się w Nicei w Małej Azji r. 325; ostatni w Rzymie w kościele św. Piotra, tak zwany Sobór Watykański od r. 1869—1870, odroczony. Nieomyślność soboru powszechnego stąd wynika, że na nim zgromadzony jest co do istoty nauczający Kościół cały czyli przedstawiciele nieomylnego jego urzędu nauczycielskiego w całości i jedności z Głową Kościoła t. j. biskupi w łączności z Papieżem. To też orzeczenia i wyroki soborów powszechnych zawsze uważano za nieomyślne i bezwzględnie obowiązujące wszystkich wiernych na całym świecie. Sobór atoli tylko w tym razie jest powszechny a uchwały jego prawomocne i obowiązujące, jeśli potwierdzony jest przez Głowę Kościoła czyli Papieża; bez tego potwierdzenia ani sobór sam ani uchwały jego nie są ważne. Tak samo winien sobór, by był ważny, zwołany być w imieniu Papieża albo przynajmniej za jego poprzedniem zezwoleniem, odnośnie następnem zatwierdzeniem.

<sup>1)</sup> Dzieje Apost. 15, 28.

Koniecznym warunkiem ważności soboru powszechnego jest również i to, by soborowi p r z e w o d n i c z y ł P a p i e ż lub jego upoważniony zastępca czyli l e g a t. Co do b i s k u p ó w koniecznem jest, by wszyscy na sobór byli zaproszeni i aby chociaż nie wszyscy, przynajmniej tyle ich się na sobór stawiło, iżby zgromadzenie ich uważać można słusznie za r e p r e z e n t a c y ę K o ś c i o ła n a u c z a j ą c e g o. Zdarzyć się może, że przy obradach zdania członków soboru są podzielone. Nieomylność soborowi jako takiemu w całości, nie zaś każdemu członkowi z osobna przynależy. Różność zdań trwać może nawet przez całą sesję aż do ostatniego głosowania włącznie, tak iż ostateczna uchwała powziętą być może przeciwko głosom mniej lub więcej znacznej mniejszości członków soboru. Jednomyślność więc nie jest konieczną, by uchwały były ważne i pełnomocne; i tak n. p. na Soborze Watykańskim przyjęty został dogmat o nieomylności Papieża 533 głosami przeciw dwom, a na Soborze Trydenckim nawet 50 Ojców Kościoła głosowało przeciw ustawie oznaczającej „małżeństwa tajemne“ za nieważne. Byłoby nawet możliwem, aczkolwiek nigdy w rzeczywistości nie zaszło, że Papież przyłączy się nie do zdania większości, ale do mniejszości, albowiem w każdym razie miarodajny i rozstrzygający jest ostatecznie głos i wyrok Papieża. „Jako przewodniczący czyli prezes soboru musi Papież głosy liczyć“, mówi kardynał Bel-

larmin — ale jako Głowa Kościoła mógłby w danym razie rządzony Duchem św. przyłączyć się do mniejszości“<sup>1)</sup>).

Uchwały i orzeczenia Soborów powszechnych jako zupełnie nieomylne są nieodwołalne i niezmiennie. Znieść lub istotnie zmienić nie może ich żaden Papież ani żaden sobór następny; prosta rzecz, że co dziś jest uznane za boską nieomylną prawdę — a sobory tylko prawdę ogłaszać mogą — nie może się stać kiedykolwiek nieprawdą. Natomiast może sobór następny uchwały soboru jakiego poprzedniego uzupełnić; tak n. p. Sobór Watykański uzupełnił i bliżej określił dekret Soboru Trydenckiego o natchnieniu Bożem Pisma św.

Niezależne są też uchwały soborów powszechnych od przyzwolenia i przyjęcia wiernych, jak mylnie nauczali janseniści a i poniekąd protestanci. Sprzeciwiałoby się to istocie nieomylności Kościoła oraz ogólnie przyjętemu i zawsze przestrzeganemu zwyczajowi, wedle którego uchwały soborów od soboru apostolskiego w Jeruzalem począwszy, zawsze uważano za nieomylne i prawomocne same przez się, niezależnie zupełnie od przyjęcia następnego i zatwierdzenia ze strony wiernych. To też już na pierwszym soborze apostolskim w Jerozolimie apostołowie zawyrokowali nie pytając, czy to wiernym się będzie podobało, „zdało się Duchowi świętemu i nam...“ A św. Paweł,

---

<sup>1)</sup> Bellarm., de eccles. milit. I, 18.

przechodząc przez Syryę i Cylicyę i inne prowincye, nie pytał wiernych, ażali się zgadzają z tem, co apostołowie uchwalili, ale bez wszystkiego wprost im nakazuje, uchwały apostołów w wierze i posłuszeństwie przyjąć i wiernie je zachowywać: „Obchodził (Paweł) Syryą i Cylicyą, utwierdzając kościoły, rozkazując chować przykazania apostołów i starszych“<sup>1)</sup>. — „A gdy chodzili po mieściech, podawali im ku chowaniu nauki, które były postanowione od apostołów i starszych, którzy byli w Jeruzalem.“<sup>2)</sup>

Dekrety i uchwały soborów partykularnych lub synodów prowincyalnych nie są same przez się nieomyłne i prawomocne; stają się nimi dopiero, skoro albo Kościół cały — nietylko pewna prowincya lub dyecezya — je przyjmie albo Papież uroczyście jako naukę całego Kościoła zatwierdzi. Przeciw Pelagiuszowi na początku piątego stulecia odbyły się dwa sobory partykularne; powzięte uchwały posłano do Papieża Innocentego I. i dopiero gdy tenże je zatwierdził, stały się prawomocnymi i nieodwołalnymi na zawsze, tak iż św. Augustyn mógł powiedzieć: „Sprawa jest ukończona — Causa finita est.“

b) **Drugi sposób nadzwyczajny** działalności nieomyłnego urzędu nauczycielskiego na tem polega, że biskupi, nie zgromadzeni

<sup>1)</sup> Dzieje Apost. 15, 40.

<sup>2)</sup> Dzieje Apost. 16, 4.

na soborze, ale rozproszeni na całym świecie w jedności z Ojcem św. dogmat jaki ogłaszają lub sprawę jaką, tyczącą wiary czy też obyczajów, rozstrzygają. Wedle przyjętego wyrażenia teologicznego czyli kościelnego mówi się wtedy o Kościele rozproszonym (*ecclesia dispersa*) w odróżnieniu od Kościoła zgromadzonego na soborze (*ecclesia congregata*).

Co więc biskupi rozproszeni na całym świecie jednomyślnie wygłaszają jako prawdę objawioną, jest zawsze nieomylną prawdą. Przyczyna tego jest ta, że jak na soborach i tutaj biskupi jako jednolita całość przedstawicielami są Kościoła całego czyli nieomylnego nauczycielskiego urzędu, jaki odziedziczyli i przyjęli w całej pełni od apostołów; rozumie się, że warunkiem niezbędnym nieomylności biskupów wszędzie i zawsze jest jedność z Papieżem.

Częstokroć, jak uczą dzieje Kościoła, biskupi potępiali i przytłumiali powstające herezje, tak iż nie było potrzeba zwoływać nau-myślnie w tym celu soboru. Sobory wogóle nie są same przez się ani koniecznym ani istotnym objawiem Kościoła nauczającego; wiadoma bowiem rzecz, że Kościół przez całe stulecia istniał bez soborów; w pierwszych trzech stuleciach chrześcijańskich — prócz soboru apostoelskiego w Jerozolimie około r. 50 — soborów powszechnych wogóle nie było, a przecież mimo to Kościół istniał. Zwołanie



soboru powszechnego dzieje się stosunkowo rzadko i tylko z nadzwyczajnie ważnych przyczyn. Bo i zresztą dziwne byłoby to wymaganie, by Kościół gwoli jakiej marnej herezyi każdą razą sobór miał zwoływać. Uwydatnia to mianowicie św. A u g u s t y n przeciwko herezyi Pelagiusza: „Czyż było potrzeba zwołania synodu, by tę jawną zgubną naukę potępić? Jakoby żadna herezya bez synodu (soboru) potępioną być nie mogła! Zarozumiałość i pycha heretyków tych — Pelagianów — jest tak wielka, że domagają się, by gwoli nich Sobór Wschodu i Zachodu się zgromadził.”

## 2. *Sposób zwyczajny.*

Jak przy uroczystych swych orzeczeniach, bądź na soborach bądź przez zgodną naukę biskupów, Kościół jest nieomyślny, tak niemniej wszystko, co się opowiada i wygłasza wiernym w s p o s ó b z w y c z a j n y, a więc nieustannem codziennem głoszeniem Słowa Bożego, niemniej nieomyślną jest prawdą i dlatego również przedmiotem wiary. Co więc biskupi słowem czy pismem w swych diecezjach w jedności z Papieżem a kapłani upoważnieni w posłuszeństwie i jedności z swym biskupem w kazaniach, naukach katechizmowych i t. d. nauczają i wiernym do wierzenia podają, jest tak prawdziwe i pewne jak prawdziwe i nad wszelkie wątpliwości pewne są uroczyste orzeczenie i wyrok Kościoła.

I nie może być inaczej! Skoro się bowiem przypuści, że kapłani w swych kazaniach i naukach katechizmowych a biskupi w swych listach pasterskich i t. p. w rzeczach wiary lub obyczajów błędnie nauczać by mogli, większa część wiernych, wskazana li tylko na żywe słowo swoich kapłanów, odnośnie biskupów, nigdy nie mogłaby być *a b s o l u t n i e p e w n ą*, że to, co im się głosi, jest rzeczywiście i niewątpliwie *s ł o w e m B o ż e m*. Cóż dopiero powiedzieć o prostaczkach, o dzieciach, wogóle o ludziach, nie umiejących ni czytać ni pisać! Im wystarcza i musi wystarczyć żywe słowo kapłana, które jest dla nich tak święte i prawdziwe jak Bóg sam, który do nich przez usta kapłana mówi, świętym jest i prawdziwym. Jeśli przypuścimy, że jeden kapłan co do *i s t o t n y c h r z e c z y w i a r y*, czy to w kazaniach czy w innych naukach, błądzić i mylić się może, to konsekwentnie powiedzieć to możemy tem samem prawem i o drugim, dziesiątym i t. d. bez końca, tak iż ostatecznie nigdzie i nigdy nie byłoby dla wiernych pewności absolutnej; co więcej, Kościół cały stałby się, skoro pierwszą możliwość przypuścimy, instytucją niepewną i zachwianą a w dalszych następstwach cała nauka objawiona byłaby daremną. Rozumie się, że mówi się li tylko o kapłanach *u p o w a ż n i o n y c h* do głoszenia Słowa Bożego przez swych biskupów i nauczających w *j e d n o ś c i* z biskupem; nie można też mówić, jakoby kapłan przez biskupa posłany i upoważniony po-

siadał dar nieomyślności w rzeczach wiary, on tylko uczestniczy niejako w tym darze o tyle, o ile jest posłannikiem prawowitym Kościoła.

To samo zastosować można także do misjonarzy, którzy poganom światło wiary przynoszą; oni tak samo, skoro są upoważnieni do nauczania, uczestniczą poniekąd w nieomyślności Kościoła. Nie rozumie się to jednakowoż tak, jakoby kapłani czy misjonarze, głosząc Słowo Boże żadną miarą mylnie nauczać nie mogli; twierdzenie nasze rozumieć trzeba tak, że jeśliby wyjątkowo kapłan lub misjonarz nauczał sprzecznie z nauką Kościoła, z czasem, choć nie koniecznie zaraz, nie mogło by to ujść baczności przełożonych, strzegących czystości wiary; przecież w poszczególnych dyecezyach biskupi mają zadanie czuwać nad tem, by Słowo Boże wszędy głoszone zgodnie z nauką Kościoła.

Że zwykłe, codzienne i nieustanne opowiadania Słowa Bożego w dyecezyach i parafiach całego świata tak samo jest nieomyślne i bezwarunkowo obowiązujące jak uroczyste orzeczenia i wyroki Kościoła, orzekł wyraźnie Sobór Watykański, Sess. 3. cap. 3.

### 3. *Kongregacye rzymskie.*

Kongregacye rzymskie, mianowicie kongregacya św. oficyum czyli inkwizycyi

(Congregatio sancti Officii seu Inquisitionis) strzegącej czystości wiary i kongregacya indeksu (Congregatio Indicis) czuwająca nad pismami szkodliwemi co do wiary lub obyczajów, nie są same przez się nieomyłne. Dekrety ich stają się dopiero nieomyłnymi, skoro Papię w sposób uroczysty je zatwierdza i niedwuznacznie daje poznać, że w dekretach tych chce wydać ostateczny wyrok co do wiary lub obyczajów.

#### IV. Przedmiot nieomyłności Kościoła.

##### 1. *Nauka wiary i obyczajów „skład wiary.”*

Przedmiot czyli objętość nieomyłności określa się i wynika z celu Kościoła. Celem Kościoła i jego zadaniem jest uczyć ludzi prawd wiary, prowadzić ich do poznania Boga i ostatecznie do zbawienia wiecznego. Wszystko zatem, co do osiągnięcia celu tego istotnie i koniecznie jest potrzebne, stanowi przedmiot nieomyłności Kościoła. Jak odpowiedzieliśmy powyżej na pytanie: Kto jest nieomyłny i w jaki sposób nieomyłność Kościoła się objawia?, tak teraz odpowiedzieć nam trzeba na pytanie: W czym Kościół jest nieomyłny czyli do jakich przedmiotów i prawd nieomyłność Kościoła się odnosi albo co ona obejmuje? Wszystko zgoła, co bezpośrednio w koniecznym stoi związku z celem i zadaniem Kościoła, musi być przedmiotem jego nieomyłności. W nauczaniu wszystkich bez wyjątku prawd objawionych nadprzyrodzonych, a i niemniej

w rzeczach czy naukach przyrodzonych, ściśle związanych z prawdami wiary, Kościół musi być nieomylny, inaczej nie zdołałby posłannictwa swego spełnić.

Co jest przedmiotem wiary, musi być także przedmiotem nieomylności Kościoła. Przedmiotem wiary jest wszystko zgoła, co Chrystus objawił i czego nauczał; o b j a w i e n i e c a ł e Jezusa Chrystusa jest przedmiotem wiary a więc i przedmiotem nieomylności Kościoła. Chrystus objawił i kazał nauczać, co w i e r z y ć i c o c z y n i ć mamy, zatem Kościół jest nieomylny w nauce w i a r y i o b y c z a j ó w: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Nauczając je c h o w a ć wszystko, com wam kolwiek przykazał“<sup>1)</sup>). Nadmienić tu trzeba, że gwoli krótkiego wyrażenia się mówi się często o nieomylności Kościoła we wierze t. j. we wierze w szerszem słowa znaczeniu, lecz się tem samem włącza także obyczaje czyli naukę moralności; bo jak „wiera bez uczynków martwa“ jest, tak nauka wiary nie- możliwą jest bez nauki moralności. Aby jednak wykluczyć wszelkie niedokładne pojęcia i wątpliwości, mówi się poprawnie, że Kościół jest nieomylny w rzeczach wiary i obyczajów.

Chrystus wyraźnie mówi, dając rozkaz apostołom, nie o tej lub owej prawdzie, ale o w s z e l k i e j p r a w d z i e, „gdy

---

<sup>1)</sup> Mat. 28, 19. 20.

przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy“; wedle rozkazu i zlecenia, jakie apostołowie od Chrystusa odebrali a Kościół po apostołach przejął, mają ludzie zachowywać nie to lub owe tylko przykazanie, ale wszystkie przykazania i rozkazy Chrystusowe, „nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał.“ (Mat. 28).

Ewangelie t. j. słowo Boże nie wedle upodobania i w części tylko, ale w całości mają apostołowie opowiadać: „Idąc na wszystkie świat, opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu“<sup>1)</sup>). Równocześnie Chrystus zapewnia apostołów, że będzie zawsze przy nich i że Duch św. wszystko im przypomni i wszystkiego ich nauczy: „Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“<sup>2)</sup>) — „Pocieszyciel Duch święty, którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, com kolwiek wam powiedział“<sup>3)</sup>).

Rozkaz nauczania wszystkich prawd objawionych i pomoc Chrystusa jako też Ducha św. z apostołów przeszła na Kościół, stąd Kościół jest nieomylny we wszystkim, co się tyczy wiary objawionej.

Przekazane Kościołowi prawdy objawione nazywamy składem wiary (depositum fidei). To tylko, co w składzie wiary, z śmiercią ostatniego apostoła św. Jana raz na zawsze

---

<sup>1)</sup> Mar. 16, 15.

<sup>2)</sup> Mat. 28, 20.

<sup>3)</sup> Jan 14, 26.

ukończonym i zamkniętym, jest zawarte, może być przedmiotem jak nauki tak nieomylności Kościoła. Nauki Kościoła są chociażby pośrednio apostołskie czyli pochodzenia apostołskiego. Żadna z nauk objawionych nie powstała w późniejszym poapostołskim czasie. Te tylko objawienia, które apostołowie od Chrystusa odebrali, zawarte są w składzie wiary i mogą być przedmiotem nauki i nieomylności Kościoła.

O b j a w i e n i a jakiegokolwiek późniejsze o s o b i s t e czyli p r y w a t n e, nie są przedmiotem wiary ani nieomylności i nie obowiązują nikogo pod utratą zbawienia, jak obowiązują objawienia, które apostołowie odebrali. I tak n. p. objawienia prywatne błogosławionej Małgorzaty Alacoque o czci Najśw. Serca Jezusowego, lub inne podobne, chociaż uznane są za wiarogodne, nigdy przecież nie są przedmiotem wiary i dlatego nikogo nie obowiązują. Istotna więc zachodzi różnica między objawieniami prywatnymi a objawieniami, które apostołowie odebrali. W tem przeświadczeniu zawsze Kościół działał i orzeczenia swe wydawał. Nigdy i nigdzie Kościół nie mówi, jakoby odbierał i ogłaszał prawdy i objawienia n o w e; przeciwnie jasno i niedwuznacznie oświadcza, że celem i zadaniem jego jest p r z e k a z a n e dawne a p o s t o ł s k i e objawienia tłómaczyć i bliżej określać. I tak n. p. S o b ó r W a t y k a ŋ s k i swe orzeczenie o wierze rozpoczyna temi słowy: „Postanowiliśmy ogłosić i objaśnić Chrystusa zbawienną



naukę, opierając się na słowie Bożem w Piśmie i w ustnem podaniu, jakośmy je odebrali od Kościoła katolickiego, który je wiernie przechowuje i według prawdy objaśnia“. Sobór Trydencki tak się wyraża: „Święty, powszechny (ekumeniczny) Synod ustawicznie ma ten cel przed oczyma, by czystą zachować Ewangelię, którą Syn Boży wprzód sam własnymi ustami opowiadał i apostołom swoim, by ją światu całemu głosili, przekazał, jako źródło wszelakiej zbawiennej prawdy i nauki obyczajów. Prawda ta i nauka obyczajów zawarta jest w księgach pisanych i w podaniach niespisanych, które apostołowie albo od Chrystusa samego odebrali albo od Ducha św. objawione otrzymali i które tym sposobem niejako z ręki do ręki na nas przeszły.“

Skład wiary obejmuje objawione prawdy, których źródłem jest Pismo św. i ustne podanie czyli tradycya. Stąd wynika, iż Kościół, który ma nauczać nieomylnie wszystkich prawd objawionych, nieomylnym być musi w uznaniu i objaśnianiu źródeł objawienia, jakimi są: Pismo św. i tradycya. Gdyby Kościół mógł się mylić co do źródeł objawienia, mógłby się tem samem mylić co do prawd objawionych wogóle, które z źródeł tych wypływają. Nieomylnym jest zatem Kościół w orzeczeniach swych dotyczących treści ksiąg Pisma św. i zrozumienia ich, tak samo względem tradycyi czyli ustnego podania.

Nie nowe objawienia, nie nowe jakie nauki,

a chociażby na pozór najlepsze, są przedmiotem wiary i nieomylności Kościoła, ale przekazane od apostołów i w składzie wiary zawarte. Dlatego nie jest i nie może być zadaniem Kościoła, wdawać się w dysputy i szerokie rozprawy z tymi, których naucza, a którym prawdy objawione głosi, ale fakt sam, że Kościół tak a nie inaczej naucza, jest dowodem tego, że to, co orzeka czy objaśnia, jest rzeczywistą dawną i przekazaną objawioną boską prawdą.

Apostoł P a w e ł nie rozwodzi się długo i szeroko nad tem, dlaczego właśnie tak a nie inaczej naucza; nie zwraca się długimi argumentacyami do rozumu słuchaczy, ale wprost oświadcza, iż nauczając głosi, czego s a m s i e n a u c z y ł, a ci, którzy słowom jego wierzą, mają tak samo wszystko wierzyć i zachować tak, jak ich nauczono: „Oznajmuję wam, bracia, Ewangelię, którą wam powiedział, którąście też przyjęli i w której stoicie; przez którą też zbawienia dostępujecie, jeśli pamiętacie, jakim obyczajem przepowiedałem wam...”<sup>1)</sup> Skład wiary jest tem samem przez św. Pawła w zasadzie określony. Tymoteusz ma wedle napomnienia apostoła Pawła zawsze trzymać się powierzonego składu wiary a wystrzegać się nauk nowych: „O Tymoteuszu, strzeż tego coć p o w i e r z o n o, warując się niebożnych n o w o ś c i słów i odporności fałszywie nazwanej umiejętności, którą niektórzy obiecując odpadli od wiary...”<sup>2)</sup>

---

<sup>1)</sup> I Kor. 15, 1. 2.

<sup>2)</sup> I Tym. 6, 20.

## 2. *Konkluzje teologiczne.*

Przedmiot nieomyślności Kościoła prócz składu wiary t. j. prócz prawd wprost i bezpośrednio objawionych, stanowią także wszystkie prawdy stojące z objawieniem i życiem chrześcijańskim w tak ścisłym związku, że Kościół co do nich również musi być nieomyślny; w przeciwnym razie Kościół nie zdołałby ani składu wiary objaśniać i wiernie przechowywać ani prawd w nim zawartych przeciw błędnym naukom i herezyom należycie bronić. Prawdami takimi, związanymi ściśle z objawieniem, są mianowicie t. zw. *Konkluzje* czyli *wnioski teologiczne*, które niejako wypływają, wynikają z prawd wyraźnie objawionych. Rozróżnia się bowiem prawdy jasno i wyraźnie objawione a prawdy, pierwotnie niejako ukryte i w zarodku tylko w składzie wiary zawarte; jak w ziarnku spoczywa pierwiastek kłosu a w żółdździ przyszły dąb, tak prawdy te spoczywają jakoby ukryte pierwiastkowo w składzie wiary i z czasem dopiero rozwijają się i wychodzą na jaw, ukazując się nam w właściwym świetle i w całej pełni. Tak np. dogmat o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny polega na konklucyi czyli na wniosku teologicznym; znaczy to, że dogmat ten nie jest wprost tak jasno i wyraźnie zawarty w składzie wiary jak np. bóstwo Chrystusa; że jednak z tego, co jest wyraźnie objawione, siłą logicznego rozwoju i wywodu koniecznie wy-

n i k a. Co bowiem ani bezpośrednio i wyraźnie w składzie wiary nie jest zawarte ani pośrednio drogą logicznego wywodzenia z niego nie wynika, nigdy nie może być przedmiotem wiary ani nieomyślności Kościoła. Cokolwiek zaś, czy wprost jasno i wyraźnie, czy pierwiastkowo w zarodku niejako w składzie wiary jest zawarte, musi być koniecznie przedmiotem wiary i podlegać nieomyślności Kościoła. Na tej podstawie opierają się też t. z. prawdy katolickie.

3. *Sprzeczne z wiarą objawioną nauki  
przyrodzone, filozofii i t. d.*

Z powyższych przyczyn jest Kościół także nieomyślny w zwalczaniu i potępianiu błędnych nauk filozofii, o ile się sprzeciwiają prawdom objawionym, w składzie wiary zawartym, wedle tego, co mówi św. Paweł: „Patrzcie, by kto was nie oszukał przez filozofią i próżne omamienie wedle ustawy ludzkiej, podług elementów świata, a nie według Chrystusa“<sup>1)</sup>. Błędne dlatego jest zdanie tych, którzy twierdzą i głoszą, że w naukach przyrodzonych i badaniach filozoficznych, historycznych i t. d. panuje samowola bez granic i zupełna niezależność od prawd objawionych. Wiedza i umiejętność ludzka o tyle tylko jest swobodna i niezawisła od powagi i nauki Kościoła, o ile czy to w zasadach czy dalszych wywodach nie sprzeciwia się prawdom objawionym. Póki myśliciel jaki czy uczony w ba-

<sup>1)</sup> Koloss. 2, 8.

daniach swych nie przekracza granic prawdą objawioną zakreślonych, Kościół nigdy nie będzie mu przeszkadzał ani się w sprawy jego mieszał. W przeciwnym razie Kościół z urzędu i obowiązku musi wkroczyć i wiernych przestrzegać, bo przestałby być „filarem i utwierdzeniem prawdy.“ (I. Tym. 3, 15).

Trafnie to wyraża Synod Koloński (concilium Coloniense a. 1860): „Niewątpliwie Kościołowi, aczkolwiek naukami przyrodzonymi się nie zajmuje, jako stróżowi prawd objawionych przysługuje prawo potępiania nauk filozofii, które albo wprost się sprzeciwiają prawdzie objawionej, albo zdolne są zachwiać wiernych we wierze czy też wiarę w sercach zniszczyć.“

Rozum ludzki, słaby i ograniczony, a w badaniach i wnioskach swych omyłkom i błędom podlegający, poddać się winien wyższej, od Boga ustanowionej powadze, wedle tego, co mówi św. Paweł: „...w niewolę podbijając wszelki rozum pod posłuszeństwo Chrystusa“<sup>1)</sup>. Podobnie myśl tę czyli zasadę przedstawia Sobór Watykański: „Kościół, który wraz z urzędem nauczycielskim odebrał rozkaz, strzedz składu wiary, ma również prawo i obowiązek przekazany od Boga, fałszywą naukę potępiać, by kto nie był oszukany przez filozofią i próżne omamienie“. (Koloss. 2, 8). Dlatego też wszystkim prawowiernym chrześcia-

<sup>1)</sup> II Kor. 10, 5.

nom zabrania się tego rodzaju zdań, które są uznane jako sprzeczne z nauką wiary, mianowicie jeśli przez Kościół są odrzucone, jako wywody poprawne wiedzy podtrzymywać, przeciwnie zobowiązani są bezwzględnie uważać je raczej za błędy noszące zgubny pozór prawdy<sup>1)</sup>). A dalej ten sam Sobór Watykański orzeka: „Jeśliby kto mówił, że nauki ludzkie z tą uprawiane być mogą wolnością, iż twierdzenia ich, chociażby sprzeciwiały się nauce objawionej, możnaby przyjmować za prawdziwe, i że przez Kościół nie mogłyby być potępione, A. S. — niech będzie wyklęty!“<sup>2)</sup>)

#### 4. *Kanonizacya Świętych.*

Przyjętą jest ogólnie nauką teologów, że nieomyłność Kościoła odnosi się także do *Kanonizacyi Świętych*, gdyż byłoby szkaradną niedorzecznością przypuścić, że Kościół zdolen jest ogłosić świętym i postawić jako wzór do naśladowania człowieka, który albo nie jest świętym albo może jest potępionym. Co do *karności* czyli dyscypliny kościelnej i co do *obrzędów* kościelnych czyli liturgicznych, Kościół o tyle jest nieomylnym, że niemożliwem jest, aby mógł wydać kiedykolwiek rozporządzenia sprzeciwiające się wierze i obyczajom.

---

<sup>1)</sup> Sess. 3. cap. 4. „de fide et ratione“.

<sup>2)</sup> Can. 2. „de fide et ratione“.

## CZEŚĆ TRZECIA.

### Nieomyślność Papieża.

---

#### I. Rzeczywistość nieomyślności papieskiej.

##### 1. *Nieomyślność papieska w świetle Pisma św.*

Czytamy w ewangelii według św. Mateusza, jak Chrystus w sposób uroczysty odzywa się do apostoła Piotra św.: „Ja tobie powiadam, iż eś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go“<sup>1)</sup>). Piotr zatem przyrównany jest do opoki, do skały twardej i mocnej; ma on być silną podwaliną czyli fundamentem, na którym spoczywać ma wspaniała budowa Kościoła Chrystusowego. Cały Kościół Chrystusowy i boskie jego prawdy opierać się mają na Piotrze, który ma być fundamentem jak skała twar-dym i tak trwałym, iż piekło całe niezdola go wzruszyć, a tem mniej obalić. Prawda obja-

---

<sup>1)</sup> Mat. 16, 18.



wiona spoczywa na Piotrze! Ale cóż się stanie, gdy ten Piotr sam chwiać się pocznie? Czy może prawda napewno i niechybnie opierać się na człowieku, który sam się myli i błądzi? Skoro więc Piotr ma być fundamentem prawdy objawionej i Kościoła, musi w sprawach wiary zachowany być od błędu. Zapadłby Kościół Chrystusowy, zniszczałaby prawda objawiona i zostałaby ofiarą mocy piekielnych, jeśliby możliwem było, iżby podstawa Kościoła i wiary chwiać się poczęła. Skoro Kościół Chrystusowy trwać ma po wszystkie czasy, muszą słowa wystósowane do Piotra św. odnosić się także do jego prawowitych następców. Następca prawdziwym Piotra św. jest Papież czyli Ojciec św. A zatem i do Papieża każdego stosuje się obietnica dana Piotrowi św. Papież jest tak samo silną opoką, na której pewno i bezpiecznie spoczywa prawda objawiona. Wedle wyraźnej obietnicy Chrystusa musi Papież podobnie jak ongi Piotr św. w rzeczach wiary zachowany być od błędu czyli musi być nieomylnym. W przeciwnym razie słowa Chrystusa byłyby czczą obietnicą, a nie poważnem, uroczystem oświadczeniem, jakim były w rzeczywistości.

Doniosłość obietnicy Chrystusowej uwydatnia się tem, co Chrystus dalej mówi: „I tobie dam klucze królestwa niebieskiego“<sup>1)</sup>). Do miejsca tego robi Ks. Ja-

<sup>1)</sup> Mat. 16, 19.

kób Wujek w swym polskim przekładzie Pisma św. następującą trafną uwagę: „Przez te klucze rozumie się najwyższa zwierzchność i przełożenie dane Piotrowi nad wszystkim Kościołem, to jest moc rozsądzania nauk, jeżeli są prawdziwe albo fałszywe i prawo stanowienia... i moc szafowania dobry kościelnymi, tak duchownymi jako i świeckimi. Albowiem taką moc i zwierzchność Pismo św. na wielu miejscach wyraża przez klucze... Jako przełożonemu miejscu i gospodarzowi domowemu daniem kluczy zwierzchność nad miastem albo nad domem zlecają... A tak temi słowy, jako św. Grzegorz i św. Chryzostom piszą, porucił Pan Piotrowi wszystek świat, i uczynił go pasterzem i głową Kościoła wszystkiego.“

Piotr mianowany najwyższym zwierzchnikiem Kościoła, zarządcą i szafarzem wszystkich łask i prawd w Kościele tym złożonych! Zarządzać więc i rozkazywać ma Piotr, gdyż dane mu są klucze królestwa niebieskiego t. j. Kościoła tu na ziemi a w dalszym znaczeniu królestwa wiecznego, do którego nikt przyjść nie może bez pośrednictwa Kościoła widzialnego. Nawet jeden z najwybitniejszych nowoczesnych teologów protestanckich, Pfleiderer wyznać musiał prawdę wynikającą koniecznie z obietnicy danej Piotrowi św.. W dziele swem „Chrześcijaństwo pierwotne, str. 518“ wyraźnie mówi: „Wobec wszystkich przeciwnych usiłowań protestanckich powątpiewać o tem nie można, że miejsce to (Mat. 16) zawiera uroczy-

stą proklamacyę prymatu Piotra t. j. uroczyste mianowanie go Głową Kościoła; nazywa on się fundamentem Kościoła, dzierżycielem kluczy, a więc zawiadowcą czyli gospodarzem domu w królestwie Bożem i prawodawcą najwyższym, którego rozkazy i wyroki posiadają siłę obowiązującą praw boskich.“ Wyroki zatem Piotra św. a tem samem prawowitego jego następcy, Papieża, muszą być nieomyłne, skoro Kościół cały nie ma być w błąd wprowadzony. Jeśli więc Papież jako Głowa Kościoła wydaje rozporządzenia i wyroki w rzeczach wiary lub obyczajów, które nas mają bezwarunkowo obowiązywać, posiadać musimy pewność absolutną, że są prawdziwe. Gdy głowa źle i opacznie myśli i fałszywie kieruje, ciało całe i człowiek cały narażony jest na niebezpieczeństwo i na zgubę. Bez nieomyłności Głowy Kościoła, Kościół cały byłby zachwiany i wystawiony na zniszczenie.

Niemniej jasno wypływa nauka o nieomyłności Papieża z słów, któremi Chrystus po Ostatniej Wieczerzy a więc krótko przed męką swą, do Piotra św. się odezwał: „Symonie, Symonie, oto szatan pożyłdł was, aby przesiał jako pszenicę; alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty niekiedy nawróciwszy się potwierdzaj bracią twoją“<sup>1)</sup>. Chrystus zwraca uwagę aposto-

---

<sup>1)</sup> Łuk. 22, 31, 32.

łów na niebezpieczeństwa, jakie im grozić będą ze strony szatana, dodaje im zarazem otuchy, by się nie przełękli i nie zachwiali, gdyż On Piotra a przez niego wszystkich wiernych umacniać będzie we wierze. Piotr, wzmocniony łaską Chrystusa i modlitwą Jego, ma innych utwierdzać, by mimo udręczeń i prześladowań, jakie ich czekają, wiarę zachowali. Jakżeż mógłby Piotr to zadanie spełnić i wiernych we wierze umacniać, gdyby mógłby był sam się zachwiać? Modlitwa Chrystusa strzeże go od błędu, tak iż się nie zachwieje we wierze i nie zbłądzi. Papież jako następca Piotra św. mając ten sam urząd i te same co on obowiązki, nauczania i utwierdzania ludzi we wierze, musi, chcąc sprostać zadaniu swemu, tak samo modlitwą Chrystusa być wzmocniony we wierze i zachowany od błędu.

Inną razą Chrystus krótko przed odejściem swoim powiedział do Piotra św.: „P a ś b a r a n k i m o j e“; powtórzył Chrystus słowa te „Paś baranki moje“ i dodał: „P a ś o w c e m o j e“<sup>1)</sup>). Piotr zatem ma po odejściu Chrystusa paść całą trzodę jego t. j. wszystkich wiernych. Wszyscy wierni chrześcijanie mają za nim postępować. Paść znaczy tyle co karmić pokarmem duchowym, nadprzyrodzonym czyli Słowem Bożem, nauczać prawd wiary. Jeśli Piotr ma wszystkich wiernych nauczać i prowadzić, jako dobry pasterz prowadzi

---

<sup>1)</sup> Jan 21, 15—17.

trzodę swoją, musi sam znać dokładnie prawdy objawione i drogę prawdziwą, wiodącą niechybnie do zbawienia. Niech pasterz zboczy z drogi prawej a cała trzoda idąca za nim zabłąka się na manowce i bezdroża. Jeśli więc Chrystus chciał wiernych uchronić od nauk zdrożnych i błędnych, musiał zarazem starać się o to, by przewodnik ich na drodze do wieczności wolny był od błędu, czyli aby się nie mógł mylić. Co o Piotrze św., to powiedzieć trzeba również o jego następcach, Papieżach.

Albowiem Chrystusa Kościół nie miał tylko istnieć za życia Piotra, a potem zniknąć, ma trwać po wszystkie czasy i dla wszystkich narodów. Że zatem Papież jako następca Piotra św. jest Głową Kościoła i jego Najwyższym Pasterzem, a jako taki równie jak Piotr w rzeczach wiary nieomylnym, to było zawsze przekonaniem prawowiernych chrześcian i nauką Ojców Kościoła pierwszych wieków jako też znamiennych teologów wszystkich czasów. Jakkolwiek nie wszyscy zawsze i bezpośrednio mówią, że Papież jest nieomylny, to jednak z nauki ich o Kościele w ogólności i o stolicy Apostolskiej w Rzymie w szczególności wypływa naoczne ich przeświadczenie o nieomylności tego, który jest Głową i najwyższym Pasterzem Kościoła.

## 2. *Nieomyślność papieska w świetle tradycji.*

Ojcowie Kościoła nie mówią zawsze wprost o nieomylności Papieża, ale tło-

macząc i objaśniając przytoczone wyżej miejsca Pisma św., w których nauka o nieomylności Papieża jest zawarta, jasno wiarę swą w nieomylność papieską uwydatniają. Przypisują bowiem Kościołowi, na P i o t r z e jakoby na opoce zbudowanemu, niezachwianą stałość we wierze, wskazując równocześnie z szczególnym przyciskiem na konieczność z g o d n e j jedności z wiarą Kościoła rzymskiego, który apostolską naukę zawsze n i e s k a ż o n ą zachowywał<sup>1)</sup>).

Oдноśnie do Mat. 16, 18 mówi O r i g e n e s (In Matth. n. 12): „Mniemam, iż bramy piekielne ani opoki, na której Chrystus Kościół zbudował, ani Kościoła nie zwyciężą“. A u g u s t y n św. o stolicy Piotrowej tak się wyraża: „Jest ona tą opoką, której nie zwyciężą zuchwałę bramy piekielne“.

W objaśnieniu swem miejsca z Pisma św. Łuk. 22, 32. Papież L e o n W i e l k i († 461) wyraźnie powiada, iż słowa te „a ty niekiedy nawróciwszy się potwierdzaj bracią twoją“ odnoszą się także do wszystkich następców Piotra św., gdyż biskup rzymski zajmuje to same stanowisko, co Piotr św.

Podobnie wyraża się C y r y l A l e x a n d r y j s k i i św. C h r y z o s t o m.

Uczeń apostolski św. I g n a c y († około r. 107) mówi o Kościele rzymskim jako tym, „który w Rzymie przewodniczy i pierwsze

---

<sup>1)</sup> Specht, Apologetyka 338.

zajmuje miejsce“ jako o przełożonym w związku miłości“.

Ireneusz († 202), biskup Lyonński, powiada, iż z Kościołem w Rzymie jako założonym właśnie przez największych apostołów Piotra i Pawła, gwoili jego pierwszeństwa zgodne być winny inne kościoły t. j. wszyscy wierni, albowiem w Kościele tym zawsze zachowywała się tradycja, która od apostołów pochodzi.

Św. Hieronim († 420) pisze do Papieża Damazego. „Jestem z świątobliwością twoją t. j. z stolicą Piotra w jedności złączony. Na tej opoce jest Kościół zbudowany“.

### 3. *Nieomyślność papieska w świetle historii.*

Jak uczą dzieje Kościoła, nieomyślność Papieża w rzeczywistości i w praktyce zawsze była uznawaną, acz nie była formalnym dogmatem, bo jako taki ogłoszoną została dopiero na Soborze Watykańskim. Papieże sami zawsze przypisywali sobie prawo i uważali za swój obowiązek, strzedz prawd wiary, herezye potępiać i w sprawach spornych dotyczących wiary ostatecznie rozstrzygać; wierni zaś zawsze w posłuszeństwie i zgodnej jedności wyrokom Papieża się poddawali, przyjmowali je jako prawdziwe i nieomyślne. Gdy Papież Innocenty I. na początku piątego stulecia ostatecznie potępił herezyę Pelagiusza,



biskup Augustyn św. zaraz potem w kościele swym wobec wiernych oświadczył: „Sprawa ukończona, skorośmy odebrali odpowiedź od Stolicy Apostolskiej; oby także obłęd wnet się skończył!“ Niedługo potem pojawiła się herezya Eutychesa, który twierdził, że w Chrystusie jest tylko jedna natura. Papież Leon I. wystósował do biskupa Flawiana pismo, w którem naukę Pisma św. o dwóch naturach w jednej osobie Chrystusa objaśnia. Pismo to dogmatyczne przeczytali legaci papiescy na soborze Chalcedońskim r. 451 wobec zgromadzonych biskupów, którzy jednomyślnie zawołali: „Ta jest wiara ojców naszych, ta jest wiara Apostołów. Wszyscy się zgadzamy. Wykluczony niech będzie z Kościoła, ktokolwiek w tę prawdę nie wierzy. Piotr przemówił przez Leona“. Słusznie wielki uczony kardynał Bellarmin († 1621), który między innymi w dziele swem „de controversiis fidei christianae“ prawdziwość Kościoła katolickiego jasno udowadnia, mógł się wobec t. zw. reformatorów odwołać na przyjętą oddawna naukę, iż niemożliwą jest rzeczą, by Papież mógł błędnie i fałszywie nauczać.

## II. Istota nieomyłności Papieża.

### 1. *Objaśnienie nieomyłności papieskiej.*

Gdy Papież Pius IX. zwołał biskupów całego świata na sobór powszechny, który

się rozpoczął dnia 8. grudnia r. 1869 w bazylice W a t y k a ń s k i e j św. Piotra, wyrażono życzenie, aby sobór ten dawną naukę o nieomyślności papieskiej uznał za wyraźny dogmat czyli artykuł wiary. Jak na soborze ongi apostolskim w Jerozolimie początkowo zdania były podzielone, tak na Soborze Watykańskim Ojcowie Kościoła zrazu podzielili się na dwa stronnictwa. Większość z góry była za przyjęciem przedłożonego orzeczenia, uważając je wprost za konieczne, mniejszość była temu przeciwna. Po długich rokowaniach przyszło wreszcie dnia 18. lipca w czwartej sesyi do ostatecznego głosowania; wynik był ten, że z 535 obecnych Ojców Kościoła dwóch tylko przeciw wnioskowi głosowało, poczem P i u s I X. przeczytał K o n s t y t u c y ę „P a s t o r a e t e r n u s“, której czwarty rozdział nieomyślność Ojca św. określa temi słowy: „Zgodnie z świętym Soborem nauczamy i uznajemy za dogmat od Boga objawiony, że P a p i e ż R z y m s k i, jeśli przemawia „e x c a t h e d r a“ t. j. jeśli sprawując swój urząd jako pasterz i nauczyciel wszystkich chrześcian mocą swej najwyższej apostolskiej władzy naukę dotyczącą wiary lub o b y c z a j ó w jako obowiązującą Kościół cały określa: za pomocą boskiej, w Piotrze św. mu obiecaney przyczyny, tą obdarzony jest n i e o m y ś l n o ś c i ą, którą boski Zbawiciel Kościół swój w nauce odnoszącej się do wiary lub obyczajów chciał obdarzyć; że też dlatego tego rodzaju orzeczenia Papieża

Rzymskiego same ze siebie, nie zaś wskutek przyzwolenia Kościoła są nieodmienne“. —

Ustęp ten: „ze siebie, nie zaś wskutek przyzwolenia Kościoła są nieodmienne — *ex sese, non autem ex consensu Ecclesiae, irreformabiles*“ jest najważniejszy w Watykańskim dekreście. Albowiem już przed Soborem Watykańskim ogólnie przyjętą była nauka, że Papież ma prawo i obowiązek, czuwać nad zachowaniem czystości wiary w Kościele i błędne nauki potępiać; że nadto papieskie wyroki i orzeczenia wszystkich wiernych do posłuszeństwa obowiązują. Co do pytania zaś, czy orzeczenia i wyroki te już same ze siebie są nieomyślne i nieodmienne lub czy też dopiero wskutek następnego przyzwolenia Kościoła, zdania teologów były podzielone. Sobór Watykański orzekł więc, że orzeczenia i wyroki Papieża nieomyślne i nieodmienne są same ze siebie a nie są nimi dopiero wskutek przyzwolenia Kościoła. Wszyscy biskupi bez wyjątku, również dwaj pierwotnie przeciwni, po ostatecznej uchwale Soboru naukę o nieomyślności papieskiej jednomyślnie przyjęli jako prawdę od Boga objawioną, jako dogmat, który tak samo jak inne artykuły wiary w posłuszeństwie i wierze niezachwianej przyjąć i wyznawać winni wszyscy wierni. Wobec całego świata katolickiego uznającego orzeczenie to Soboru Watykańskiego za objawioną boską prawdę, protest

małej zbyt garstki t. zw. „starokatolików“, których zresztą na palcach policzyćby można, wcale nie wchodzi w rachubę.

Wedle Soboru Watykańskiego zatem Papież przemawiając „*ex cathedra*“ t. j. jeśli jako najwyższy pasterz i nauczyciel całego Kościoła w rzeczach wiary i obyczajów jaki wyrok wydaje, wskutek obiecanej mu w Piotrze św. pomocy boskiej mylić się nie może. Orzeczenia i wyroki jego są dlatego w tem znaczeniu nieomyłne i nieodmienne same ze siebie i jako takie niezależne od następnego przyzwolenia Kościoła.

## 2. *Przedmiot nieomyłności papieskiej.*

Co się powiedziało o nieomyłności Kościoła wogóle, odnosi się tak samo do nieomyłności Papieża; wynika to z wyraźnego określenia Soboru Watykańskiego, że Papież tą obdarzony jest nieomyłnością, którą boski Zbawiciel Kościół swój w nauce wiary i obyczajów obdarzył. Obejmuje zatem nieomyłność Papieża wszystko zgoła, cośmy o przedmiocie nieomyłności Kościoła czyli nauczycielskiego urzędu kościelnego wogóle powiedzieli.

## 3. *Podmiot nieomyłności papieskiej.*

Podmiotem czyli dzierzycielem nieomyłności jest Papież jako Głowa Kościoła czyli jako dzierzyciel najwyższej władzy nad całym Kościołem; a zatem nie jako biskup rzymski a tem mniej jako osoba pry-

watna. Nieomyślność Papieża jest u r z ę d o w a t. j. z urzędem złączona, a nie osobista. Jako osoba p r y w a t n a, zwłaszcza w rzeczach i naukach przyrodzonych, Papież mylić się może jak każdy inny człowiek. Papież nie cieszy się również nadprzyrodzonym darem nieomyślności, jeśli mówi lub pisze o jakim przedmiocie religijnym jako teolog, jako uczony słowem: kiedy mówi i działa li tylko jako osoba prywatna.

#### 4. *Sposób sprawowania nieomyślności papieskiej.*

S p o s ó b, jakim się nieomyślność Papieża objawia czyli wyraża, nazywa się orzeczeniem czyli wyrokiem „ex cathedra“. Przyjęte jest to wyrażenie krótkie i treściwe: „jeśli p r z e m a w i a czyli n a u c z a ex cathedra“; wyraz łaciński *cathedra* oznacza krzesło, tron, stolicę. Wyrażenia tego nie trzeba brać w dosłownem, jeno w przenośnem, obrazowem znaczeniu. Jeśli Papież jako nauczyciel i sędzia najwyższy Kościoła w rzeczach wiary lub obyczajów kwestyę jaką rozstrzyga, dogmat określa lub herezyę i fałszywą jaką naukę potępia, a wszystkich wiernych do przyjęcia swego wyroku i bezwarunkowo posłuszeństwa obowiązuje, wtedy żadną miarą mylić się nie może. Niezależne są orzeczenia papieskie od jakichś formalności lub pewnych przepisanych reguł. Wystarcza raczej, jeśli Papież w ten lub ów sposób niedwuznacznie daje poznać

swój zamiar, że wydaje o s t a t e c z n y wyrok i że obowiązuje w s z z y s t k i c h wiernych.

Najbardziej uroczysty sposób jest pismo papieskie — bula, k o n s t y t u c y a, o k ó l n i k czyli e n c y k l i k a, — wystosowane do Kościoła całego, n. p. Bula Piusa IX. z dnia 8. grudnia 1854 r. „Ineffabilis“, w której ogłasza dogmat o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny; albo encyklika Piusa IX. z dnia 8. grudnia r. 1864 „Quanta cura“, w której potępia mnóstwo nowoczesnych błędnych nauk, zwanych w streszczeniu „nowoczesnym liberalizmem“.

Orzeczenia i wyroki „ex cathedra“ mogą być wystosowane zasadniczo do pojedynczej nawet osoby, jak n. p. pismo dogmatyczne Papieża Leona I. do arcybiskupa Flawiana w Konstantynopolu. W piśmie tem potępia Papież herezyę Eutychesa. W jakikolwiek sposób Papież coś ogłasza, w każdym razie musi niedwuznacznie dać poznać, że ma zamiar, wydać wyrok o s t a t e c z n y i że pismo jego, acz wystosowane pierwotnie tylko do jednej lub do więcej osób, ma obowiązywać Kościół cały. Inny sposób orzeczenia czy wyroku „ex cathedra“ jest A l o k u c y a czyli przemówienie w K o n s y s t o r z u. Nie wynika z tego wszakże, aby każda bula, encyklika, alokucya papieska zawierała dogmatyczne orzeczenia; w każdym razie zawsze tego rodzaju wyurządzenia Stolicy apostolskiej powinny być wskazówkami dla wiernych miarodawczemi.

Zaznaczamy, że Papież nie cieszy się darem inspiracyi czyli natchnienia przez Ducha św., ale tylko *asystencyą* czyli pomocą Ducha św. Nie objawia mu Duch święty prawd nowych, lecz strzeże go tylko od błędu. Najwyższy nauczyciel Kościoła nie jest dlatego zwolniony od sumiennej pracy. Prócz modlitwy do Ducha św. o oświecenie będzie mu trzeba zwykle zasięgnąć rady wybitnych teologów, kardynałów, biskupów i innych uczonych mężów; nie pominie też szczegółowych studyów i badań nad źródłami wiary t. j. Pismem św. i tradycyą. Orzeczenie „*ex cathedra*“ będzie zazwyczaj wymagało wiele czasu i pracy. I tak n. p. ostatnie przygotowania uformułowania dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny trwały pięć lat.

Sposób więc, w jaki Papież wydaje swe wyroki i orzeczenia ogłasza, może być rozmaity. „Papież rzymscy“, mówi Sobór Watykański, „wedle czasu i okoliczności zwoływali to powszechne sobory to w inny sposób starali się poznać przekonanie Kościoła rozpowszechnionego na całej kuli ziemskiej; nadto używali synodów partykularnych lub innych środków, jakie Opatrzność im podawała; i tak postanowili, co za przyczyną (*asystencyą*) boską uznali za zgodne z Pismem św. i z podaniami apostołskimi. Albowiem Duch św. obiecany jest następcom Piotra św., nie aby wskutek odebranego przezeń objawienia głosili naukę nową, ale aby za jego przyczyną sumien-



nie przechowywali i wiernie wykładali o d z i e-  
d z i c z o n e, o d a p o s t o ł ó w przekazane  
prawdy wiary.“

### 5. *Rzekome herezye Papieży.*

Co się tyczy rzekomych błędów i herezyi, w jakie rzekomo popaść mieli niejedni Papieże, z góry śmiało powiedzieć można, iż pomimo usiłowań przeciwników nikomu dotąd nie udało się tego udowodnić; żaden Papież nie błdził ani pomylił się w rzeczach wiary wówczas, kiedy orzekał lub ostateczny wyrok wydawał *e x c a t h e d r a*! Przesąd, zła wola, lub niedostateczne pojmowanie nauki o nieomyślności papieskiej są przyczyną, że nawet bardzo światli i uczeni skądinąd ludzie w podobne bajki wierzą. Częstość winna jest temu ta okoliczność, że nie rozróżnia się należycie o s o b y o d u r z ę d u, Papieża jako osoby prywatnej a Papieża występującego jako Głowa Kościoła, a więc jako Najwyższego Pasterza całego Kościoła.

Mianowicie podczas Soboru Watykańskiego przeciwnicy nieomyślności Papieża wszelkimi sposobami usiłowali wydobyć i zebrać z historyi wydarzenia rozmaite dowodzące rzekomo, że kilku Papieży popadło w błędy i herezye. I tak między innymi przytacza się ze strony wrogów Kościoła katolickiego jako przykład i dowód, podobno niezbity, Papieża *H o n o r y u s z a* z siódmego stulecia. Tymczasem

wedle najnowszych badań historycznych Papież ten w właściwą herezyę i błędną naukę nigdy nie popadł; tyle jedynie można mu zarzucić, że przeciw herezyi monoteletyzmu nie dość stanowczo wystąpił i przez swe niejasne wyrażenia w liście do patryarchy Sergiusza w Konstantynopolu o tyle zawinił, iż błąd monoteletów nie od razu przytłumiony został. Nie fałszywą nauką, ale zbytnią uległością i nie dość stanowczem wystąpieniem przeciw monotelizmowi Papież Honoryusz zasłużył wprawdzie na naganę Papieża Leona II.

Niesłychaną więc i niebywałą w historii Kościoła jest rzeczą, by Papież jaki, gdy przemawia czyli naucza *ex cathedra* t. j. jako najwyższy nauczyciel całego Kościoła, kiedykolwiek mylnie i błędnie nauczał.

Nierozum a także złość ludzka przekręca nieraz tak jasną i dla każdego katolika zrozumiałą naukę o nieomyślności Papieża. Przeciwnicy czynią z niej karykaturę, zarzucając nam, że Papież to już chyba istny „bożek“, bo przecież Bóg sam jedynie jest nieomylny. Wobec podobnych, niczem nieuzasadnionych zarzutów godzi się nam przytoczyć, co nawet protestant o jasnych i sprawiedliwych poglądach sądzi na korzyść nauki katolickiej. Otóż teolog protestancki Monrad pisze do swego kolegi Martensen'a (Nr. 18 „listów politycznych“) dosłownie: „Czy dogmat o nieomyślności czyni papieża rzeczywiście „bożkiem“? Przeczę temu, gdyż nieomyślność

odnosi się tylko do jego wyroków jako papieża, następcy Piotra, jako najwyższego przedstawiciela Kościoła katolickiego a żadną miarą do jego przymiotów jako człowieka. Katolik żaden nie twierdzi, jakoby Papież pod jakimkolwiek względem prócz w wyrokach swych jako Papież nie podlegał ułomnościom i słabościom ludzkim. Skądże tedy nazywać go „bożkiem“? Znaczy to być wiernym „p r a w d z i e w m i łości“?

Łaciński pisarz kościelny Prudencjusz powiada o św. Hipolicie, męczenniku, że gdy go zapytano o schyzmę Nowata w czwartem stuleciu, tę dał odpowiedź:

Fugite, o miseri, exsecranda Novati  
Schismata: catholicis reddite vos populis.  
Una fides vigeat, prisca quae condita templo  
[est;  
Quam Paulus retinet quamque cathedra  
[Petri.

W przekładzie polskim:

Niecnych Nowata rozdwojeń, nieszczęsni wy,  
[pilnie się strzeżcie,  
Zaś z katolickim też ludem w jedności bra-  
[terskiej się łączcie;  
Kwitnąć ma jedna wciąż wiara, od dawna  
[w Kościele złożona,  
Paweł statecznie ją chowa i P i o t r a świętego  
[S t o l i c a.

## ZAKOŃCZENIE.

„Kościół Boga żywego“ (I. Tym. 3; 15) musi być tylko żywym organizmem, którym żywa rządzi powaga. Kościół katolicki jest tym żywym organizmem czyli wedle słów apostoła Ciałem Chrystusowem, którego Głową jest Chrystus sam a my członkami jego. Jako taki nie jest i nie może być ten Kościół Chrystusowy, jak sekciarze różni twierdzili mylnie i twierdzą do dziś dnia, li duchowem zespoleniem o indywidualnej samowoli co do myśli i wiary; przeciwnie jest on jednolitem, żywym i widzialnem zgromadzeniem; zgromadzenia czyli społeczności widzialne rządzone być mogą li powagą żywą i to bezwarunkową; pisanie lub przekazane prawo bez autorytetu żywego musi prowadzić do sporów i rozdziwienia. Przyznać to muszą, bo i nie mogą inaczej, nawet ci, którzy nie z przekonania, ale z nienawiści przeciw wspaniałej organizacyi Kościoła katolickiego wciąż marzą i piszą o czysto duchowym kościele, nie krępującym żadnymi dogmatami nienaruszalnej osobistej wolności człowieka; stąd ów żywy autorytet uznaje również Harnack (Historya dogmatów I. <sup>4</sup>, 416) za niezbędny:

„Widzialna społeczność nie może być rządzona przekazaniem i pisanem słowem, ale tylko przez osoby; litera bowiem sama zawsze będzie rozdwajała i rozłączała.“

Apostołowie byli w pierwszych czasach

chrześcijańskich, kiedy wszystko spoczywało na słowie żywym — Pismo św. Nowego Zakonu powoli powstawało — tem słowem autentycznym i wiarogodnym. Apostołowie nie przypisywali sobie tylko, ale zażywali powagi bezwzględnej tak dalece, iż bez tej absolutnej powagi żywej powstanie Nowego Testamentu byłoby zagadką niepojętą, tak samo jak idea składu wiary (*depositum fidei*), reguły wiary, tradycyi, urzędu nauczycielskiego i całej hierarchii kościelnej<sup>1)</sup>. „Dlatego i my dziękujemy Bogu bez przestanku, iż przyjąwszy od nas słowo słuchania Bożego, przyjęliście je nie jako słowo ludzkie, ale słowo Boga...“<sup>2)</sup> „...aleście posłuszni byli z serca tego sposobu nauki, do którego podani jesteście<sup>3)</sup>).

Ani apostołowie ani ich następcy nie byliby zdolni zjednać sobie u wiernych tego zaufania bez granic, tego bezwzględnego posłuszeństwa i tej siłnej, niczem niezachwianej wiary w to, co głoszą i czego nauczają, gdyby nie żyło w sercach tych tysięcy i milionów ludzi przeświadczenie o zupełnej, absolutnej prawdzie i wiści wszystkiego zgola, co im Kościół przez usta posłanników swych do wierzenia podaje. Kościół, to nie szkoła filozofów, w której się dysputuje i rozprawia, jak się to działo w owych szkołach starożytnych filozofów; skoro filozof jaki się nie podobał, obierano

1) Cfr. Batiffol — Seppelt 55. 56.

2) I Thess. 2, 13.

3) Rzym. 6, 17.

sobie innego wedle upodobania. Kościół nie dysputuje i nie przemawia argumentacyami mądrości ludzkiej, ale żywem słowem Bożem, jako dzierzący powagę i władzę absolutną od Boga mu daną. W tem siła i potęga niespożyta Kościoła katolickiego i jego wszechpotężny wpływ na jednostki i całe narody! Naucza on bowiem i działa z rozkazu i w imieniu Chrystusa, o którym czytamy wyraźnie w Piśmie św.: „I zdumiewali się na naukę jego, albowiem je **uczył jako władzę mający**, a nie jako Doktorowie“<sup>1)</sup>).

Zdumiewał się Pliniusz za panowania cesarza Trajana, zdumiewał się cesarz Decyusz, zdumiewają się również po dziś dzień myśliciele i uczeni nad tą niesłychaną powagą, jakiej Kościół u wiernych zażywa, nad jego wzrostem i wpływem; w oczach ich — i to słusznie — Kościół katolicki jest dziś pierwszą potęgą na całym świecie. Jeden z profesorów uniwersytetu berlińskiego Ferdynand Schmidt, pomimo że sam jest protestantem, tak pisze (cfr. *Civiltà cattolica* 1904 III. str. 248): „Z podziwem patrzymy dzisiaj, jak w czasach, gdy nasza literatura klasyczna tak zakwitła, a wielcy nasi filozofowie uprawiali filozofię, katolicyzm zyskał na sile i stał się najważniejszym czynnikiem w naszym życiu politycznem i umysłowem; i jakkolwiek fakt ten może się nie podobać nam protestantom, w każdym razie

---

<sup>1)</sup> Mar. I, 22.

przeczyć mu nie można. Doszliśmy do tego, że patrzymy, jak protestantyzm musi się cofać poza katolicyzm. Więcej powiem: dzisiaj katolicyzm, a nie protestantyzm, stał się środowiskiem i obrońcą kultury, bo tylko Kościół rzymski zachował żywe poczucie potęgi, jaką posiada myśl, idea, jednym słowem duchowy pierwiastek w życiu. Protestantyzm zasnął, a katolicyzm ostał się jako jedyna ożywcza potęga duchowa.“

My wiemy, co jest tą „ożywczą potęgą duchową“ w Kościele katolickim, nad którą świat się zdumiewa i której pojąć nie chce. Chrystus, który ten Kościół sam zbudował, dał nam już dawno odpowiedź na to pytanie, kiedy do Apostołów powiedział: „A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha prawdziwego, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi ani go zna. Lecz wy poznacie go, iż u was mieszkać będzie i w was będzie.“ (Jan 14, 16, 17).

KONIEC.





## Treść.

|                 |   |
|-----------------|---|
| Wstęp . . . . . | 5 |
|-----------------|---|

### CZĘŚĆ PIERWSZA.

#### Rzeczywistość nieomyślności Kościoła katolickiego.

|   |    |
|---|----|
| I. Nieomyślność Kościoła opiera się na jego nadprzyrodzonym pochodzeniu . . . . . | 14 |
| II. Nieomyślność Kościoła ze względu na jego cel i zadanie . . . . .              | 20 |
| III. Nieomyślność Kościoła warunkiem jedności jego . . . . .                      | 24 |
| IV. Nieomyślność Kościoła w świetle Pisma św. . . . .                             | 30 |
| V. Nieomyślność Kościoła w świetle tradycyi . . . . .                             | 33 |
| VI. Nieomyślność Kościoła w świetle historii . . . . .                            | 38 |

### CZĘŚĆ DRUGA.

#### Istota nieomyślności Kościoła katolickiego.

|   |    |
|---|----|
| I. Objaśnienie nieomyślności Kościoła katolickiego . . . . .          | 46 |
| II. Podmiot nieomyślności Kościoła . . . . .                          | 52 |
| III. Wykonywanie nauczycielstwa nieomyślnego w Kościele . . . . .     | 60 |
| 1. Sposób nadzwyczajny . . . . .                                      | 61 |
| a) Sobór powszechny (ecclesia congregata) . . . . .                   | 61 |
| b) Biskupi na całym świecie rozproszeni (ecclesia dispersa) . . . . . | 65 |
| 2. Sposób zwyczajny . . . . .   | 67 |
| 3. Kongregacje rzymskie . . . . .                                     | 69 |

|  |    |
|--|----|
| IV. Przedmiot nieomyślności Kościoła . . . . .                                   | 70 |
| 1. Nauka wiary i obyczajów, „skład wiary“ . . . . .                              | 70 |
| 2. Konkluzye teologiczne . . . . .   | 76 |
| 3. Sprzeczne z wiarą objawioną nauki przy-<br>rodzone, filozofii i t. d. . . . . | 77 |
| 4. Kanonizacya Świętych . . . . .  | 79 |

### CZĘŚĆ TRZECIA.

#### Nieomyślność Papieża.

|   |    |
|---|----|
| I. Rzeczywistość nieomyślności papieskiej . . . . .           | 80 |
| 1. Nieomyślność papieska w świetle Pisma św. . . . .          | 80 |
| 2. Nieomyślność papieska w świetle tradycji. . . . .          | 85 |
| 4. Nieomyślność papieska w świetle historyi . . . . .         | 87 |
| II. Istota nieomyślności papieskiej . . . . .                 | 88 |
| 1. Objaśnienie nieomyślności papieskiej . . . . .             | 88 |
| 2. Przedmiot nieomyślności papieskiej . . . . .               | 91 |
| 3. Podmiot nieomyślności papieskiej . . . . .                 | 91 |
| 4. Sposób sprawowania nieomyślności papie-<br>skiej . . . . . | 92 |
| 5. Rzekome herezye Papieży . . . . .                          | 95 |
| Zakończenie . . . . .   | 98 |



STRONNICTWO  
DEMOKRATYCZNO - NARODOWE  
W ŚWIEŹLE NAUKI KATOLICKIEJ.

*Ms. Göttingen Papalotter  
O. M. C.*

*Ms. Göttingen  
O. M. C.*



KS. F. KUJAWIŃSKI.

# STRONNICTWO DEMOKRATYCZNO - NARODOWE W ŚWIETLE NAUKI KATOLICKIEJ.

Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje,  
Próżno człowiek o nim się frasuje;  
Jeżeli miasta sam Pan strzedz nie będzie,  
Próżno czuje straż po blankach wszędzie.  
Próżno z domu przededniem wychodzisz,  
Próżno mrokiem ostatnim przychodzisz,  
Nie zarobisz ani pożywienia,  
Nie będzie li z nieba wspomóżenia.  
(PSALM 126.)



POZNAŃ.

NAKŁADEM AUTORA.

Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

1913.

~~~~~  
Za pozwoleniem Władzy Duchownej.  
~~~~~



## WSTĘP.

Po wszystkie czasy i w każdym społeczeństwie pojawiały się dążności bądź odruchowe bądź też sztucznie wywołane, które pod najrozmaitszymi nazwy, wskazującemi na pochodzenie, cel lub sposób urzeczywistnienia zamiarów pewnego ruchu, starały się zająć wśród otoczenia swego stanowisko dominujące, narzucić całości swój program i swój sposób myślenia. Stąd to pochodzi, iż każdy historyk dobrze obeznany jest z pojęciami, jak: arystokracja, plutokracja, ochłokracja, timokracja, demokracja i t. d., które bez względu na towarzyszące im przydomki i dodatki w tem jednym się schodzą, że zawierają w sobie pierwiastek *κρατειν* = panować. Zrzućmy ich jarzmo! — Niech nam nie panują — oto istotna treść i koniec ostateczny każdego takiego ruchu, bez względu na to, jaką nazwę odnośne czynniki sobie nadają lub inni im nadać zechcą. Bunt wszechświaty niegdyś przez szczęśliwego raju mieszkańca naprzeciw Panu i Stwórcy swemu, mści się w dotkliwy sposób na nieszczęsnym ziemi tułacz, niepozwalając mu ani chwili na

zdobytch spocząć wawrzynach, ani minuty na książęcym zasnąć tronie. Rzeczywista czy urojona krzywda, niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy lub prosta chęćka nowości wytwarzają po wszystkie czasy w rodzinach, społeczeństwach i narodach, w łonie ludzkości całej przewroty wielkiej nieraz doniosłości; a wynik ostateczny takiej zawieruchy — to zepchnięcie dotychczasowego kierownictwa, zdeptanie istniejącej powagi na to, aby własne „ja“ już to osobistą już też zbiorową uczynić normą, do której zastosować się powinna z konieczności reszta pod grozą kary — utraty majątku, czci i wiary lub gardła. Wszystko zaś razem nosi szczytną nazwę postępu, pod którem to mianem kryją się nietylko rzetelne zdobycze znoej pracy ludzi i pokoleń, ale szerzą też przejawy fałszu, złości i pychy zgubne swe wpływy, dążąc do zaspokojenia samolubnych a ambitnych zachcianek zwyrodniałych nieraz jednostek kosztem szczęścia całych narodów. Podsyca zaś odwieczny ten wśród ludzkiego mrowiska bój i wnosi do niego pierwiastek prawdziwego tragizmu ta okoliczność, że bardzo często, a bodaj czy nie najczęściej, stają do walki zastępy złączone ze sobą wspólnem pochodzeniem, językiem, tradycją, że biorą się za bary<sup>1)</sup> wychowawca i wychowaniec, nauczyciel i uczeń, ojciec i syn! Prawda!

---

<sup>1)</sup> Porównaj: „Teka“ r. 1899, V, str. 107; oraz r. 1907, X, str. 302. „Młodzież demokratyczno-narodowa i jej najbliższe cele“.

W pochodzie wieków zmienia się niejedno. Piorunem zdruzgotany dąb, głaz zwietrzały na słońcu i deszczu służyć musi na mocy odwiecznych praw przyrody za podłoże nowym istnieniom, świeżej roślinności. Zapewne i wśród ludzkiej gromady nowi ludzie niezaprzeczane mają prawa — a często bardzo i potrzebę — wytworzenia dogodniejszych warunków bytu; muszą świat przekształcać na własną modłę. Atoli jak w świecie przyrody nie się dziać nie może przeciw prawom rządzącym wszechświatem, tak w świecie ducha uwzględnić należy zawsze i wszędzie odwieczne nakazy moralności. Zaburzenie powstaje wtenczas, gdy w młodej duszy obudzi się zbyt rychło echo szeptu posłyszanego w zaraniu istnienia ludzkości: Będiesz jako Bóg! z tą jedynie zmianą formalną, że brzmi ono: Będziesz jako twoi przełożeni, nauczyciele, wodzowie, ojcowie, będziesz rozkazywał twoim rówieśnikom i przewodnikom dotychczasowym — a obudzi się w chwili, kiedy tamci jeszcze w sile wieku i pełni swych sił nie mają ani powodu ani ochoty do ustąpienia ze zajmowanego stanowiska naczelnego. Obraz ten przedstawia się szczególnie w naszej dobie oczom bezstronnego widza na wszystkich polach działalności ludzkiej. Nie ma po dziś dzień człowieka, któryby czegoś lub kogoś nie zwalczał, któryby zupełnie nieprzystępnym się okazał dla tego, co obecnie w gorączkowy ruch wprawia miliony umysłów i serc.

Szkody z takich wynikłe swarów między starymi a młodymi są rozliczne i zwykle niezmiernie dotkliwie tak dla stron poważnionych jak dla idei, za którą walczą. Ale biada, stokroć biada takiemu społeczeństwu, które skądinąd zagrożone przez wrogów śmiertelnych, godzących w najżywotniejsze podstawy jego bytu, niebacznie w bratniej walce trwoni i niszczy siły swoje gdzieindziej tak nieodzowne. Ktobykolwiek w takich chwilach lekkomyślnie rokoszu wznosił sztandar, ten dopuściłby się zabójstwa na własnem społeczeństwie i na własnej idei. Rzucając bowiem hasła nowe, dotąd nieznanne i niewypróbowane, wywołuje zamieszanie w narodzie, naraża społeczeństwo na klęski nieobliczalne. A gdy zginie naród, to któż podejmie i w czyn zamieni marzenia serdeczne niebacznego zapaleńca?!

Widownią takich zabójczych zapasów między stronnictwami wczorajszemi a dzisiejszemi była i jest aż dotąd nieszczęsna ojczyzna nasza, zagrożona z zewnątrz niszczycielską polityką potężnych mocarzy, pragnących dzieło wymazania Polski z politycznej karty Europy uwieńczyć zupełnem wynarodowieniem zwyciężonego ludu. W sercu Polaka rodzi się ból nieomal fizyczny na widok gmatwaniny w obozie własnym, na widok krętej, często zupełnie ginącej ścieżyny politycznej myśli polskiej, a duszę opanowuje zazdrość, gdy się spojrzy na ościennie narody, kroczące wytrwale i nieustraszenie po konsekwentnej polityki go-

ścińcach ubitych pracą i geniuszem wielkich statystów. Podczas gdy my ustawicznie marnujemy siły na przesypywanie już raz wznie-  
sionych wałów i na budowanie coraz to nowych a często zupełnie zbytecznych baszt, tamci swornie a celowo dawne wzmacniają zaczepne stanowiska i coraz to sroższe przeciwnam zataczają działa. Słusznie już od dawna utyskują historycy nasi na brak konsekwencji i jednolitości w polityce naszej. Nie było jej dawniej i nie ma jej dzisiaj, mimo szumne frazesy. Co jedno pokolenie wśród krwawego zbudowało znoju, to niszczy i burzy z zawziętością nieprzyjaciela pokolenie następne<sup>1)</sup>; stawia nowe grody i zamki na to, aby one niebawem tamtych dzieliły losy! Smutek stąd powstający potęguje się do najwyższego stopnia, gdy się zważy, że przy każdej takiej robocie wywrotowej, prócz zmar-  
nowania sił narodowych, zaznaczyć jeszcze wypada zamącanie a nieraz zupełne zasypianie źródeł ożywczych, z których przez wieki całe naród i warstwy poszczególne czerpały napój otuchy do dalszego bojowania i nadzieję lepszej przyszłości.

„Poeta Krasiński<sup>2)</sup> mógł upatrywać w zatruciu ducha narodu wielki ból; pisarz polityczny musi iść dalej. Widzi w tem nie tylko powód bólu, lecz objaw słabości ideowej społeczeń-

<sup>1)</sup> Porównaj: „Teka“ r. 1907. IX, artykuł wstępny.

<sup>2)</sup> Józef Milewski: „Zagadnienia narodowej polityki“, str. 17 i 18.

stwa na dziś, — bo tylko na słabych i chorych organizmach pasożytnicze krzewią się narośle, — i powód obawy na przyszłość, bo na rozkładzie nie można budować przyszłości. Może obcy żywioł na naszym rozkładzie korzystać; dla nas jest on utrudnieniem walki o przyszłość, osłabieniem narodowych sił. Polityka narodowa ma prawo i obowiązek żądać, aby te tylko idee krzewić i szczepić, co podnoszą i pomnażają siły narodu; te musi potępić, co rozpraszają, rozluźniają, osłabiają siły, co na nie-narodowe manowce odwodzą myśl, ferment szkodliwy wnoszą w etyczne i polityczne wyobrażenia“.

A jednak krzywdęby wyrządził ten, ktoby niebacznym tych burzycieli dawnej przeszłości pamiątek, tych wichrzycieli zdrowej myśli naszej, odsądzić chciał od czci i wiary, bryzgnać im w twarz zarzutem: Złą macie wolę! Cała ich wina w tem, że kochają oni ojczyznę swoją miłością młodego kochanka, że palą się żądzą widzenia swej matki-żywicielki jak najprędzej w swobodzie, wielkości, w czci przynależnej i sławie. Do tego celu za długą im się wydaje droga, którą kroczyli starzy. Bujna ich wyobraźnia popchnęła ich na ścieżki nowe, krótsze, na pozór prostsze. Wprowadzenie nowej metody wikła wynalazców w zatargi ze starszymi, wywołuje krytykę, niechęć, kłótnie, aż w końcu bucha płomieniem otwartej walki, prowadzonej z jednej strony z młodzieńczą zapalczywością a z wytrwałością dojrzałego

uporu z drugiej. Padają słowa ostre, przykre, często krzywdzące; wychodzą na jaw często rzeczy potworne. Wyczerpują się przytem siły narodowych zasoby, z czego chytre korzystając wrogci, zadają nam klęskę po klęsce. Śledzą oni bacznie a wprawnie okiem każdy przejaw, wyzyskują zgrabnie każdy błąd, często stosując przez nas wskazywane taktyki do nas samych i próbując niejako ich skuteczności na naszej skórze.

Przeszczepienie przed niewiele laty ruchu demokratyczno-narodowego na niwy wielkopolskie, rozwielenienie się tego kierunku wśród nas oraz wrzenie z tem połączone, radością napełniające jednych, drugich przejmujące niepokojem i trwogą, zniewoliły nas do skierowania uwagi na wspomniane stronnictwo i zachęciło nas do ogłoszenia spostrzeżeń i poglądów naszych w nadziei, że może nieudolność nasza pobudzi wytrawniejsze umysły i bieglesze pióra dzielnicy naszej do wypowiedzenia się w tym względzie.

Dałby Bóg, aby sprawa grożąca zawichrzeniem naszych szeregów, gdzie każda, choćby najdrobniejsza siła, zawsze kamieniem stać powinna na szaniec obrotnym, dostatecznie a wszechstronnie sine ira et studio wyświetloną i niebawem raz na zawsze załatwioną została, ne quid detrimenti res publica capiat!

---



## ROZDZIAŁ I.

### **Istota, powstanie i dążności stronnictwa demokratyczno-narodowego.**

---

Stronnictwem lub partią nazywamy grupę ludzi o wspólnych przekonaniach, dążących według jednolitego planu do pewnych ściśle określonych celów.

Osobniki wchodzące w skład partyi, noszącej nazwę narodowej demokracji, tworzą rzeczywiste stronnictwo, gdyż łączy je wspólność przekonań, programu i celów, a tworzą stronnictwo polityczne, bo dążą do przekształceń politycznych. Dokoło formalnie zorganizowanej partyi demokratyczno-narodowej gromadzą się ci, którzy do stronnictwa „moralnie“ należą, którzy z „narodowymi demokratami“ mniej lub więcej sympatyzują. Demokracją czyli gminowładztwem albo panowaniem ludu nazywa się grupa ta dla tego, że pragnieniem i zadaniem jej jest, aby lud polski uświadomić, z politycznego niemowlęctwa wydźwignąć, aby zeń uczynić najwyższą instancję w sprawach

narodowych, trybunał, którego<sup>1)</sup> orzeczeniom podlegać powinny wszystkie inne warstwy społeczeństwa polskiego.

Aby zaś wyróżnić się z mnóstwa już istniejących „demokracji“ według jednych, według drugich dla zatarcia śladów pokrewieństwa z „demokracją socjalną“, a najprawdopodobniej dla nadania sobie już z góry charakteru ogólnopolskiego i celem zmonopolizowania dla siebie jako przedstawiciela interesów całego narodu, dodano sobie przydomek „narodowa“; tak powstała oficjalna nazwa „stronnictwa demokratyczno-narodowego“, często skrócona przez SND. Aby zaś zakryć sprzeczność w tem się ujawniającą, iż stronnictwo jakieś, a zatem ograniczona liczba jednostek, bez upoważnienia z strony całego narodu zastępować pragnie całą Polskę we wszystkich jej interesach, a często też i dla wygody, opuszcza się wyraz „stronnictwo“, pisząc i mówiąc po prostu: narodowa demokracja, co się znowu przez ND. oznacza, skąd się utworzyła nazwa: endecja i endecy!

Historja powstania demokracji narodowej, uchodzącej często w opinii publicznej za prawą spadkobierczynię wszystkich atrybucyj rządu narodowego z roku 1863-go, następujące przedstawia koleje. Czy po upadku rewolucyi styczniowej istniał pod jakąkolwiek formą jaki-

<sup>1)</sup> Patrz niżej cytowany program tegoż stronnictwa.

kolwiek rząd narodowy, tego na podstawie znanych dokumentów na razie dociec nie podobna. Tak zwany ruch wszechpolski, którego ostatniem ogniwem jest SND., zrodził się w r. 1886 przez skojarzanie niedobitków warszawskiej „pracy organicznej“ z częścią emigrantów-powstańców w tajnej organizacyi pod nazwą: „Liga Polska“. Liga Polska wypisała na sztandarze swoim wywalczenie niepodległości, do czego przygotowywała naród: 1. założeniem skarbu narodowego w Rapperswyłu, 2. organizowaniem tajnych kółek i związków młodzieży<sup>1)</sup> „o formach spiskowo-wolnomularskich“, 3. uświadamianiem szerokich warstw ludu, budzeniem ducha polskiego z apatii przez urządzanie całego szeregu publicznych manifestacyi. Prąd ten<sup>2)</sup> „miał silne zabarwienie społeczne, wchłonał w siebie — z różnych źródeł, nieraz coprawda mętnych — dużo pierwiastków socjalistycznych“ i zapożyczył się mocno u rosyjskiego<sup>3)</sup> „narodnicztwa“, według którego tylko chłop w całym narodzie jest żywiołem zdrowym, mądrym, cnotliwym, patriotycznym. Wytropienie Ligi Polskiej w roku 1894 przez władze rosyjskie spowodowało zmiany w stosunkach jej wewnętrznych, gdyż po swem przekształceniu przybrała na-

---

<sup>1)</sup> Patrz: Res, Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim. Tom I., str. 247.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 225.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 226 i następne. Nasze stronnictwa skrajne przez Scriptora, str. 327.

zwę: „Ligi Narodowej“. Na odezwie wydanej przy tej sposobności w pięciu językach widnieje napis: Komitet Centralny Ligi Narodowej Polskiej“; — w języku potocznym jednak utarła się ogólnie nazwa „Liga Narodowa“, której zarząd składał się podobno z pięciu członków a rezydował w Warszawie. Liga Narodowa prowadziła w dalszym ciągu dzieło swojej rodzicielki, dodając jeszcze do swego programu walkę z „występującą w zaborze rosyjskim polityką ugodową“, która szczyt swój osiągnęła w świetnem przyjęciu cara w Warszawie roku 1897. W roku 1895 powołała Liga Narodowa celem nadania ruchowi wszechpolskiemu „określonej indywidualności politycznej“ do życia „stronnictwo demokratyczno-narodowe“, które w luźnym stojąc do swej twórczyni stosunku, jest jakoby jej popularnem, codziennem wydaniem. W skład tegoż stronnictwa weszły osobniki niegdyś bardzo czynne w szeregach<sup>1)</sup> socyalnej demokracji, n. p. pp. Balicki, Popławski, Grabski, ongi redaktor berlińskiej socyalistycznej „Gazety Robotniczej“ i inni.

Wszystko to działo się w tajemnicy — przed społeczeństwem polskiem — nie koniecznie zaś przed policją rosyjską, która dość dokładne o tych zajściach posiadała wiadomości. Wreszcie Liga Narodowa postanowiła, nie widząc żadnych dla siebie korzyści z dalszego

---

<sup>1)</sup> Patrz: Res, Dzieje ruchu socyalistycznego, str. 116, oraz Przegląd powszechny, rok 1906 na styczeń, str. 8.

się ukrywania, zrzucić płaszcz tajemniczości i „ujawniła“ się narodowi odezwą z dnia 8-go grudnia 1899 r., składając obrachunek z trzy-nastolecia swej tajnej działalności i oświadczając zarazem, że<sup>1)</sup> „czuje się dość silną, ażeby nie zejść z obranej drogi“. A droga ta prowadzi do całkowitej niezależności jako celu ostatecznego, i do „wywalczenia szeregu zdobyczy“ jako celów bliższych, pośrednich. W zamian za znój i trud ponoszony dla powyżej wy-luszczonych zamiarów Liga Narodowa rości sobie „prawo występowania nietylko jako przyjaciółka ludu i obroicielka jego dążeń i interesów“, „ale jako jego rzeczniczka i przedstawicielka“. Panowie ci głoszą, iż jako przedstawiciele ludu są zarazem j e d y n y m i przedstawicielami interesów narodu“ polskiego, bo<sup>2)</sup> „fałsz głoszą ci, którzy pomijając lud, lub nawet działając przeciw niemu, za obrońców sprawy narodowej się podają“. Idea utożsamiania interesów ludu z interesami narodu przypomina żywo stosunki przedstawicieli Ligi z członkami stronnictwa rewolucyjnego rosyjskiego Narodnaja Wola. „Jako przedstawiciele „)interesów ogólnonarodowych — głosi dalej wspomniana odezwa — silni pełnomocnictwem, które nam lud idąc za nami daje, po-

---

<sup>1)</sup> Patrz: Odezwa Komitetu Centralnego Ligi Narodowej u Scriptori: Nasze stronnictwa skrajne, str. 377.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 376:

<sup>3)</sup> Tamże, str. 377.

czuwamy się do trudnego i niebezpiecznego obowiązku kierowania polityką narodu i kierownictwo to zdobędziemy“. Bez retorycznych obsłonek znaczy to: lud jest wszystkim w narodzie, jest narodem samym. A lud ten milcząc, daje nam prawo narzucania naszej i jego woli wszystkim warstwom narodu. Ale nie jest to ta część ludu, która zdaje sobie sprawę z tego, co się dokoła niego dzieje; nie! to owa rudis indigestaque moles, którą my dopiero wydzwigniemy tam z podziemi społecznego gmachu, ukształtujemy i uświadomimy do tego stopnia, że pojmie nasze zamiary i cele, że stanie się podstawą naszego panowania. Dopóki jednak to nie nastąpi, my — „Liga Narodowa“ — zabieramy dla siebie to wszystko. co nam po latach wdzięczny lud przyzna.

Że wszystko to, co się dotąd powiedziało o pretensjach Ligi Narodowej, w równej mierze dotyczy SND. tego dowodem programy tegoż stronnictwa, a mianowicie<sup>1)</sup> program z roku 1896-go, którego odnośne wyjątki niechaj nam wolno będzie przytoczyć:

„Stronnictwo szczerze narodowe i rozumiejące, co stanowi istotę narodowego życia, nie tylko nie może się wyrzekać dążenia do niepodległości politycznej, ale, uważając ją jako warunek, przy którym jedynie jest możliwe rozwinięcie życia narodowego w całej pełni, musi osiągnięcie jej postawić jako cel główny

---

<sup>1)</sup> Patrz: Scriptor. Nasze stronnictwa skrajne, str. 370 i następne.

swoich usiłowań. Co do strony społecznej programu . . . , stawiamy w społecznych dążeniach naszych na pierwszym miejscu interesy duchowe i materialne warstw ludowych, podporządkowując im, gdzie tego potrzeba, interesy warstw innych. Jako stronnictwo demokratyczno-narodowe, uważamy się za stronnictwo ogólnopolskie, przedstawiające interesy całego narodu, a tem samem całego ludu polskiego we wszystkich dzielnicach“.

Z dalszych ustępów odezwy dowiadujemy się, że stronnictwo pragnie w pierwszym rzędzie wyzyskać wszystkie środki legalne, nie wyrzekając się przytem bynajmniej dróg nielegalnych, pracy tajnej, gdzie tego zajdzie potrzeba.

O ile w praktyce stronnictwo wszechpolskie wierne pozostało ideom pierwotnym, okazuje się z głosów licznej już bardzo prasy codziennej i peryodycznej, z programów, odezw, broszurek i pism ulotnych. Wszystko, co tam pisano, streścić można w następujących słowach: Głównym celem stronnictwa demokracji narodowej jest niepodległość Polski; środkiem do tego — lud, który trzeba wychować i uświadomić. W pochodzie swym do głównej bytu swego przystani endecya zatrzymuje się na rozmaitych stacyach, to znaczy, że stawia sobie jasno za cel bliższy wywalczenie stopniowe jak najobszerniejszej wolności — n. p. autonomii dla Królestwa — ułatwiających przygotowanie narodu na wielką swobody go-



dzinę. Wolności te przedstawiają się konkretnie w zaprowadzeniu polskiego języka w urzędzie gminnym, spolszczeniu szkół i t. d. Nagrodę zaś za pracę i trud ma stanowić panowanie bezwzględne nad myślą i sercem wszystkich ziomków, całego narodu polskiego.

Nie wdając się w rozprawę nad tem, czy żądanie to jest uprawnione czy nie, pomijając również kwestyę pożyteczności takiego afiszowania przed światem serdecznych pragnień narodu, pragniemy w następnych rozdziałach wyświecić stanowisko SND do Kościoła rzymsko-katolickiego. Celem więc naszym jest, rzucić jak największy snop światła prawdy Chrystusowej na twierdzenia i pragnienia partyi wszechpolskiej, wykazać niezgodność dążeń i zadań stronnictwa demokratyczno-narodowego z nauką katolicką, tak w teoryi jak i w praktyce, a tem samem dowieść szkodliwości wpływów, jakie wywierają rzeczone czynniki na myśl polską, na ducha narodu, który do dziś z dumą powtarza, że był przedmurzem chrześcijaństwa, że Polonia semper fidelis!

---

## ROZDZIAŁ II.

### **Stronnictwo demokratyczno - narodowe wobec zasad katolickich.**

---

Partya, pragnąca uchodzić za przedstawicielkę całej Polski i wszystkich jej interesów

najżywotniejszych, z konieczności liczyć się musi z wszystkimi prądami i przejawami nurtującymi w społeczeństwie polskim, a przede-wszystkiem z takimi, które w ciągu wieków zespoliły się i zlały w sercu każdego Polaka do tego stopnia z uczuciami i pragnieniami pokrewnymi, że stanowią wspólnie jedno potężne a harmonijne tętno tegoż serca. Prądem takim, ściśle złączonym z wszystkimi zjawiskami życia narodu polskiego i każdego Polaka z osobna, nicią czerwoną, która wije się wokoło każdego ruchu myśli polskiej — świadomie czy nieświadomie — jest i będzie uczucie głębokiego przywiązania do wiary ojców naszych, do Kościoła katolickiego. Nieomal każdy Polak zdaje sobie sprawę z tego, że Kościół katolicki był w życiu narodu polskiego tem, czem jest ściana dla pnącego się po niej w górę bluszczu, czem silna podpora dla słabej rośliny winnej, czem ręka macierzyńska dla dzieciny pierwsze stawiającej kroki, słowem, Polak prawy wie, iż Kościół katolicki był rzeźbiarzem, który z twardej a bezkształtnej bryły, jaką stanowiła Polska barbarzyńska za czasów Mieszka I, wykuł precudny posąg postaci idealnej, zapatrzonej w Chrystusa ukrzyżowanego, stworzył Polskę — Chrystusa narodów! Pierwszorzędnego tego znaczenia w procesie wyrobienia naszej historycznej indywidualności nie zaprzeczył dotąd Kościołowi żaden poważnie myślący dziejopisarz, a co niegdyś naród wyrobiło, to ma i dziś znaczenie czynnika

utrzymującego. „Wobec tego też<sup>1)</sup>), kto dezorganizuje u nas Kościół, jest szkodnikiem sprawy narodowej“.

Jeśli komu, to przedewszystkiem takiemu stronnictwu z pewnością tym liczyć się trzeba, które pragnie idee swoje wszczepić w lud polski, każdemu, co chce zawładnąć mózgami i sercem niższych warstw społeczeństwa naszego. Tem więcej powinna brać okoliczność tę w rachubę narodowa demokracja, przedstawiająca się narodowi całemu jako szczególniejsza jego opiekunka, pragnąca piętno swe wycisnąć na każdej dziedzinie działalności ducha polskiego, a opierająca nie tylko własne nadzieje, ale całego narodu przyszłość głównie na ludzie polskim, gdyż ten lud we wierze katolickiej nie zachwiał się dotąd ani razu, nadto sam często i chętnie wiarą się nazywa. Jakżeż więc wobec wiary, wobec prawd podawanych przez Kościół katolicki wyglądają programy czyli oficjalne orzeczenia stronnictwa demokratyczno-narodowego? W jakim stosunku do Kościoła katolickiego stoją półurzędowe enuncjacje menderów partyi wszechpolskiej? Jakie stanowisko zajmuje wobec nauki katolickiej urzędowa i nieurzędowa prasa stronnictwa? Jakie były dotąd praktyczne przejawy, świadczące o sprzeczności doktryn wszechpolsaków z nauką wiary katolickiej, czyli zatargi

---

<sup>1)</sup> Patrz: Józef Milewski, Zagadnienia polityki narodowej, str. 19.

endeków z Kościołem względnie z episkopatem polskim, zwłaszcza zaboru pruskiego?

I. *Programy stronnictwa demokratyczno-narodowego.*

Niesłusznem byłoby żądanie, aby stronnictwo jakiegokolwiek, mające na oku cele wyłączenie świeckie, wysuwało bez powodu przy każdej sposobności swoje przekonania wyznaniowe, uderzało zawsze i wszędzie w pobudki nadprzyrodzone. Postępowanie takie zasługiwałoby bezsprzecznie na nagane, gdyż uchybiałoby do pewnego stopnia drugiemu przykazaniu Boskiemu, a wzbudzałoby niedowierzania uzasadnione, rażąc wielu bigotyzmem i ukrytym zamiarem zdobywania prozelitów. Kto jednak sądzi, że powołanym jest na kierownika spraw całego narodu, ten w przeciwny popada błąd, zupełnie ignorując, lub co gorsza, za środek administracyjny albo agitacyjny uważając religijne przekonania ludu czy narodu. A jeśli prawda ta do jakiego się odnosi narodu, to z pewnością do narodu polskiego, który nigdy dobrowolnie nie ścierpiał, aby na tronie polskim zasiadał władzca, nie będący w jedności z Rzymem i Kościołem katolickim. I trzeba było tak odurzających ciosów, jakie spadły w latach styczniowego powstania, trzeba było dusznej atmosfery wiekowego ucisku na kraj polski, aby mógł się znaleźć śmiałek, któryby miał tyle odwagi, by bez wezwania imienia Bożego sięgnąć po władzę nad naro-

dem polskim, by się wytworzyć mogło stronnictwo, któreby ludowi naszemu się narzucało bezkarnie na wodza a spychało równocześnie sprawy wiary i zbawienia gdzieś tam na szary koniec, lub co gorsza, by kosztem wolności sumienia przynaglało szerokie koła społeczeństwa do prowadzenia walki na wszystkie strony, tak przeciw władzom państw zaborecznych jako też przeciw prawowitej władzy duchownej, celem uzyskania wolności pozornej, niepewnej, któraby z czasem zamieniła się w srogi jasyr u swoich. Legalne władze polskie rozpoczynały orędzia swoje i rozkazy od wezwania Trójcy Przenajświętszej; Liga Polska i Liga Narodowa uważały za stosowne pominąć ten zwyczaj starodawny. W całej<sup>1)</sup> odezwie z dnia 8-go grudnia roku 1899-go, zaopatrzonej w pieczęć z orłem białym i w podpis: „Liga Narodowa, komitet centralny“, nie znajdziesz ani razu słowa „Bóg“, a tem mniej jakkolwiek wzmiankę o Kościele, katolicyzmie lub chrześcijaństwie. Próznoby szukał czytelnik pojęć tych i w całym szeregu<sup>2)</sup> innych proklamacji „rządu“ tego. Unikano ich widocznie, a unikano chyba świadomie, tendencyjnie, bo nie można sobie inaczej wytłomaczyć tak jaskrawego wyodrębnienia się z pod prawa ogólnego, które zmusza każdego człowieka, nawet nie-

---

<sup>1)</sup> Patrz: Nasze stronnictwa skrajne, przez Scriptorę, str. 373. Odezwa.

<sup>2)</sup> Patrz na przykład: Odezwy Ligi Narodowej w Przeglądzie Wszechpolskim r. 1905, I, str. 62—69.

wierzącego, aby w chwilach uroczystych, wzniosłych, w chwilach, gdzieby pragnął własne ognie przelać w piersi słuchaczy, szczególnie wierzących w Istotę najwyższą, aby mimowoli wzniosł się myślą ku Stwórcy i Panu wszechrzeczy a usta Jego wzywał imienia.

Na przykładzie swej rodzicielki się wzorując i demokracja narodowa czuje wstręt widoczny do wszystkiego, co tchnie myślą religijną w prawdziwym tego słowa znaczeniu, szczególnie, jeśli myśl ta wypowiedziana została usty Kościoła rzymsko-katolickiego. Stąd też i jej proklamacye odznaczają się<sup>1)</sup> bezbarwnością wyznaniową; ujęte są w słowa takie, które bez najmniejszego namysłu podpisać może każdy żyd, protestant, schizmatyk, zdeklarowany ateusz, ale na które szcękciem szabli odpowiedziałby nietylko konfederat barski, lecz każdy uczciwy Polak w guście Reja i innych wierzących obywateli protestantów. Jakkolwiek żaden katolik takiego sposobu zwracania się do szczerze wierzącego ludu polskiego pochwalić nie może, to jednak możnaby nad tą negatywną stroną tychże programów przejść do porządku dziennego, uczyniwszy poprzednio nad nimi znak krzyża, gdyby tam nie było i pozytywnych rzeczy, spychających wiarę, najwyższe dobro człowieka na ziemi, do rzędu dóbr podporządkowanych interesom narodowym, gdyby nie było zamiaru uczynienia

---

<sup>1)</sup> Patrz: Przegląd Wszechpolski r. 1897, XI, str. 242 i 245.

z powszechnego Kościoła katolickiego <sup>1)</sup> „instytucyi narodowej“, gdyby nie głoszone zasady „kontroli publicznej“ <sup>2)</sup> nad polityką władz kościelnych i nad zachowaniem się obywatelskiem duchowieństwa“. Do jakich wyników „kontrolowanie“ władzy duchownej przez opinią publiczną w ogólności, a opinią narodowej demokracji w szczególności doprowadziło, zobaczymy niżej. Na tem miejscu niechaj nam wolno będzie zaznaczyć, że takie pojmowanie rzeczy nie tylko nazwać należy „polską schizmą religijną“ <sup>3)</sup>, ale że ono z góry prowadzi do nieuniknionych starć z Kościołem i jego przedstawicielami, gdyż Kościół, nie uznając w sprawach wiary i moralności żadnych kompromisów, żadną miarą zgodzić się nie może na to, co stronnictwo demokratyczno-narodowe nazwać pragnie dobrem lub złem. Według etyki chrześcijańskiej jest to dobrem, co się zgadza z wolą Bożą, złem zaś to, co się z przykazaniami Boskimi i stąd płynącymi wnioskami różni; a zasada ta ma znaczenie na każdym polu ludzkiej działalności, nawet w polityce. Natomiast <sup>4)</sup> program demokracji narodowej, ogłoszony w roku 1896, głosi całemu narodowi polskiemu: „Z naszego stanowiska, wszystko, co

---

<sup>1)</sup> Patrz: Program SND, przytoczony niżej.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Przegląd Katolicki 1906.

<sup>4)</sup> Patrz: Przegląd Wszechpolski r. 1897, XI, str. 243. Program stronnictwa demokratycznego narodowego w zaborze rosyjskim. Nasze stronnictwa skrajne przez Scriptorę, str. 370.



nas zbliża do tego celu, do niepodległości politycznej, jest dobrem, wszystko zaś, co nas od tego oddala, jest złem — i to jest właściwa miara w rzeczach polityki narodowej“. W późniejszej redakcyi tegoż programu, mianowicie z października roku 1903, brzmi ustęp ten jak następuje: <sup>1)</sup>„Interes narodu polskiego jako całości — w przeciwstawieniu do interesów klasowych, w y z n a n i o w y c h, korporacyjnych, dzielnicowych, lokalnych — stanowi najwyższą miarę wartości politycznej“. A więc nie w przenośnem, ale w dosłownem znaczeniu pisze p. Józefat Bohuszewicz w „Tece“<sup>2)</sup>: „Niepodległość jest dla nas ideą, ołtarzem, przed którym się modlimy, a nie instynktem życia codziennego“. Takich „idei“, takiego „ołtarza“ nie zna i znać nie może Kościół katolicki; nie zna ich żaden biskup, żaden kapłan katolicki. Przeciwnie! każda władza duchowna, każdy prawy sługa prawdziwego ołtarza w sumieniu zobowiązany jest nietylko nie tolerować takich i podobnych zasad antychrześcijańskich i antykatolickich, ale pozytywnie je niszczyć i tłumić, bez względu na to, kto te „ołtarze“ bałwochwalcze stawia i jakim goza to uczczą epitetem. Jeśli zaś szanowny czytelnik przypomnieć sobie zechce z wypadków niedawnej a tak krwawej doby, co przez

---

<sup>1)</sup> Patrz: Program SND. w zaborze rosyjskim. Kraków 1903.

<sup>2)</sup> Teka, r. 1907, X, str. 306.

„wszystko“<sup>1)</sup>) rozumieć można i należy, to będzie miał obraz dokładny wartości moralnej powyższego orzeczenia programowego; taki obraz bodaj czy go sprowadzi w szeregi tych, co na swym sztandarze powyższe wypisali motto, a w każdym razie przekona, że Kościół katolicki żadną miarą pisać się na taką moralność nie może. A jednak ludzie głoszący ten rodzaj nowoczesnego machiawelizmu roszczą sobie prawo roztaczania swych opiekuńczych skrzydeł nad Kościołem rzymsko-katolickim w ziemiach polskich!

Oto co opiewa <sup>2)</sup>program stronnictwa demokratyczno-narodowego, przyjęty i ogłoszony w październiku roku 1903: „Uważając Kościół rzymsko-katolicki w Polsce za instytucję narodową, stronnictwo demokratyczno-narodowe stawia sobie w stosunku do niego następujące zadania:

a) zapewnić mu ze strony społeczeństwa energiczną obronę przed zamachami wrogów zewnętrznych, oraz przed napaściami żywiołów przeciwnarodowych w kraju;

b) ustalić zasadę kontroli opinii publicznej nad polityką władz kościelnych i zachowaniem się obywatelskiem duchowień-

---

<sup>1)</sup> Naprzykład: Sprowadzenie endeckiej bojówki do Galicyi, aby pomyślny dla siebie osiągnąć wynik przy wyborach w r. 1907. Patrz Dziennik Poznański, nr. 275, r. 1910, na grudzień.

<sup>2)</sup> Patrz: Program SND. w zaborze rosyjskim. Kraków, 1903.

stwa, której to kontroli ze strony ogółu podlegać muszą wszystkie instytucje narodowe;

c) powołać duchowieństwo do jak najszerzej pracy narodowej w szeregach obywatelstwa wspólnie z innymi członkami społeczeństwa, pozostawiając Kościołowi rolę odrębnego czynnika politycznego tylko w sferze spraw religijnych i kościelnych.

„Niezależnie od wyżej wyłuszczonego stanowiska względem Kościoła rzymsko-katolickiego, stronnictwo stawia sobie za zadanie obronę innych wyznań przed prześladowaniem, o ile wyznania te mają charakter polski“<sup>1)</sup>).

Zanim słowa co dopiero przytoczone bliżej rozpatrzymy, niechaj nam wolno będzie zwrócić uwagę na to, że właściwego zrozumienia powyższego ustępu wydawcy programu SND. z roku 1903, wydając go w osobnej odbitce, a opuszczając „komentarz oficjalny“ właśnie do tego miejsca, w niczem nie ułatwili. W pewnej mierze czyni brakowi temu zadość artykuł „Przeglądu Wszechpolskiego“<sup>2)</sup>), zatytułowany: „Polityka narodowa w stosunku do religii i Kościoła“. Aby przeto z odpowiedniego stanowiska ocenić „urzędowy program“ zachowania

---

<sup>1)</sup> Program październikowy z roku 1903-go powoli uzupełniano i rozszerzano. Patrz: Przegląd Wszechpolski r. 1905, str. 236. „Komunikat SND. o położeniu i potrzebach królestwa“. Tamże r. 1905, str. 736. „Program Polskiego SND. w państwie austriackim“. Tamże r. 1905, str. 757. „Stanowisko SND. w chwili obecnej“.

<sup>2)</sup> Przegląd Wszechpolski r. 1903, V.

się SND. względem Kościoła katolickiego, trzeba odszukać w pamięci wszystko to, co w rozmaitych czasach ciż sami twórcy „urzędowego programu“ „nieurzędowo“ wypowiedzieli pod adresem Kościoła i duchowieństwa. Wspomnieć więc należy na owe czasy, gdzie głoszono, <sup>1)</sup> „że szlachta i wogóle warstwy naczelne nie umiały nigdy i nigdzie i nie mogły bronić podstaw bytu narodowego: ziemi, wiary, mowy ojczystej“, że duchowieństwo i katolicyzm „frymarczy z Watykanem“, że nie trzeba „okazywać preferencyi żadnemu z Kościołów“, chociażby to nawet w Ameryce było, trzeba silnie uprzytomnić całą „nagankę antykościelną“, o której naczelny organ wszechpolski wypowiedział później, iż <sup>2)</sup> „nie była wywołana żadną potrzebą społeczną“. Na tych przesłankach oparci zrozumiemy dopiero ton i sposób wyrażania się stronnictwa o Kościele katolickim. Takimi słowami bowiem nie przemawiają prawdziwi synowie do swojej matki, katolicy szczerze wierzący do Kościoła świętego! Tak wyraża się o Kościele zimna racya stanu o zabarwieniu wolnomularskim, dla której Boska instytucya jest ciałem obcem — malum necessarium — z którem z konieczności i ze względów utylitarnych liczyć się trzeba, które to ciało z pożytkiem dla własnych celów

---

<sup>1)</sup> Patrz: Przegląd Wszechpolski r. 1896, październik. Scriptor: Nasze stronnictwa skrajne, str. 11. Res: Dzieje ruchu socjalistycznego, tom I, str. 227.

<sup>2)</sup> Patrz: Przegląd Wszechpolski r. 1901, VII.

partyjnych wyzyskać należy. Bo czyż można sobie inaczej wytłumaczyć, aby prawdziwi synowie Kościoła tak mało znali jego charakter, iżby w dobrej wierze powszechnemu, katolickiemu Kościołowi nadawać się ośmielali znamię „instytucyi narodowej“?! Mielizby prawdziwi katolicy, uczęszczający na kazania, nie wiedzieć, że Kościół katolicki od samego swego założenia stanowczo się temu opierał, by zeń robiono gdziekolwiek instytucję narodową?

Gdzie zaś rzeczywiście gwałtu tego na Kościele dokonano, — wbrew wszelkiemu prawu przyrodzonemu i pozytywnemu Boskiemu — tam Boska ta instytucja nietylko, że poszła w zupełną poniewierkę, ale prócz tego straciła wewnętrzną moc i siłę swoją, postradała zdolność czynu jako pierwszorzędny czynnik cywilizacyjny. Historia wszystkich kościołów schizmatycznych dostatecznie na to dostarcza dowodów. I nie może też być inaczej. Każda bowiem prawda z istoty swej jest katolicką czyli powszechną, więc nie narodową, ani też chłopską lub pańską. Jeśli więc Kościół prawdę istotnie posiada, — a tak przecież jest — natenczas z konieczności pozostać musi katolickim, powszechnym. Cóżby zresztą powiedziały inne narody, gdyby Kościół, mający nauczać „wszystkie narody“, dla utrzymania się w jednym z nich, dla przypodobania się mu i pozyskania go, szedł na jego pasku? Coby się stało z ideałami wolności i brater-

stwa narodów? Zresztą <sup>1)</sup> „właśnie fakt powszechności Kościoła, pośrednicząc we wytworzeniu pewnych węzłów z ludami wyżej rozwiniętymi, z całym kaźdoczesnym zasobem ludzkiej cywilizacyi, podnosił poziom wyobrażeń, bytu i życia ludów mniej rozwiniętych, wzmagając przez to ich siły, wyrabiając wzbogaconą indywidualność“.

Prawdy w powyższych słowach zawartej w niczem nie zmieni odwoływanie się ani na wyjątkowe położenie naszego społeczeństwa ani na zmiany, jakie pod wpływem nowoczesnych nastąpiły poglądów. Próby utworzenia „kościół narodowego“ usilnie popierane przez amerykański „Związek narodowy polski w Stanach Zjednoczonych“, znoszący się z endecją w kraju, a nawet — jak utrzymują niektórzy — pod komendą narodowej demokracji stojący, są z góry potępione Syllabusem Piusa IX. Propozycję XXXVII, błędem nazywa twierdzenie, iż <sup>2)</sup> „można stwarzać kościoły narodowe, wyjęte z pod władzy biskupa rzymskiego“.

Wyrażenie programu, że zapewnić pragnie Kościołowi „energiczną obronę przed zamachami wrogów zewnętrznych oraz przed napaściami żywiołów przeciwnarodowych w kraju“ utwierdza nas w przypuszczeniu, że autorzy programu nie uważają się za członków

---

<sup>1)</sup> Patrz: Józef Milewski, Zagadnienia polityki narodowej, str. 158.

<sup>2)</sup> Patrz: Syllabus Pii IX: propositio 37. Allok: Multis gravibusque 27. września. 1860. Jamdudum cernimus. 18. marca 1861.

prawdziwych Kościoła katolickiego. Do broni<sup>9</sup> nienia bowiem swego Kościoła przed wrogami zewnętrznymi zobowiązany jest każdy katolik. Ojcowie nasi wyrażali tę gotowość broni<sup>9</sup> nienia Kościoła i wiary — dobywaniem szabli podczas ewangelii. Jeśli więc ofiarowana pomoc płynie z uczucia synowskiej miłości do Kościoła naszego, to zupełnie zbyteczny jest odnośny ustęp programu. Jeśli zaś przychodzi z innych pobudek, może w imię zasady do, ut de<sup>9</sup>, to timeo Danaos et dona ferentes. W praktyce zresztą Kościół katolicki w Polsce bardzo mało doznał tej „obrony energicznej“ stronnictwa demokratyczno - narodowego, które w tym względzie prócz bezowocnych żalów, skarg i ubolewań po rozmaitych kongresach nad smutnem położeniem tegoż Kościoła pozytywnie nie działało nic. Dzieje wieków dziewiętnastu powinny demokracji naszej dostatecznie uprzytomnić tę prawdę, iż Kościół katolicki, mając obietnicę, że „bramy piekieł nie przemogą go“, nie wrogów zewnętrznych za najniebezpieczniejszych uważał nieprzyjaciół, ale raczej lękał i bał się wyrodnych dzieci własnych, a tysiącletnia blisko historia tegoż Kościoła na ziemiach polskich dobitnie chyba świadczy o tem, że dość jest siły odpornej w hierarchii i ludzie polskim, aby czoło stawić wszelkim zakusom żywiołów przeciwnarodowych w Kościele naszym. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, czyby stronnictwo demokratyczno-narodowe zechciało kruszyć kopię w obronie spra-



wy katolickiej, gdyby tak który z „niezależnych kościołów polskich“ w Ameryce lub kozłowici w Polsce zdobyli sobie powodzenie wśród znaczniejszej części narodu? Z ostatniego zdania przytoczonego wyżej ustępu zdaje się wynikać, iż endecya raczejby się oświadczyła za „niezależnymi“ lub „kozłowitami“ niż za Kościołem Chrystusowym, któremu naród polski w olbrzymiej części zawdzięcza świetną swą przeszłość.

Niegdyś, skoro w Rzeczypospolitej zabrakło króla, ujmował w swe dłonie ster rządów nad narodem prymas polski, najwyższy Kościoła katolickiego w Polsce dostojnik. Dzisiaj, gdy od stu przeszło lat nie stało władcy prawego na ziemiach polskich, poddają swoi cały episkopat polski z prymasem i całem duchowieństwem pod kontrolę opinii publicznej, opinii, która — w naszych zwłaszcza czasach — nie oszczędza nikogo, biorąc, niby kapryśna pani sługi swoje, za włosy każdą niewygodną sobie powagę i włócząc ją po rynkach publicznych i śmietnikach paszkwilowych ku niezmiernej ucieście gapiów ulicznych i motłochu wszelackiego. Dawniej episkopat polski był stróżem praw i swobód narodu, śledził bacznie obywatelskie zachowanie się szlachty, czuwał nad tem, aby królowie w niczem nie uchybiali dobru narodowemu; dzisiaj „ustala“ się nad posiwiałymi w boju za wiarę i ojczyznę starcami „kontrolę publiczną“, by snąć pod mitrą nie wylęгла się zdrada. Niegdyś św. Stanisław, biskup krakowski, poniósł śmierć męczeńską za upomina-

nie króla Bolesława, za obronę krzywdzonego ludu polskiego. Dziś wielcy i mali przodownicy narodowej demokracji różnych nazwisk, a nawet notorycznie niewierzący rzeźnicy i przedstawiciele ludu „czuwają“ nad obywatelskiem zachowaniem się tych, którzy najwybitniejsze zajmują stanowiska w hierarchii kościelnej — bez względu na to, że każdy z zaczepionych książąt Kościoła zdołał sobie zdobyć w obronie praw Kościoła i narodu już zaszczytne miejsce w historyi, zanim ich dzisiejsi „mentorowie“ ujrzeni światło dzienne. Zaiste! kapłani polscy „stali się<sup>1)</sup> na płacz i poniżenie“, a Kościół katolicki w Polsce, to „księżna powiatów“<sup>2)</sup>, stał się „hołdownikiem“ — nie dlatego, że na taki los sobie zasłużył, ale raczej dla tego, że przewrotne umysły Boską instytucję uważają za narzędzie, z którego pomocą możnaby zawładnąć w celach partyjno-politycznych całym nieomal narodem polskim.

W tej też jedynie myśli powołuje się duchowieństwo do „jak najszerszej pracy narodowej w szeregach obywatelskich“, nie pomnąc na to, że i najmniej znany kapłan, urzędujący gdzieś tam w zapadłej wioszczynie, gdzie nigdy „obywatelska“ nie powstała noga, wcale takiego „powołania“ nie potrzebuje, gdyż wykonywując urząd swój duszpasterski sumiennie i spełniając wszystkie obowiązki swego kapłań-

---

<sup>1)</sup> Machab. I, 3.

<sup>2)</sup> Narzekania Jeremiasza I, 1.

skiego powołania, najlepiej spłaca dług, jaki zaciągnął wobec społeczeństwa. Jedno kazanie w języku ojczystym, jedna katechizacya pacholat, słów kilka z ciepłem wyrzeczonych do chłopka najlichszego, bardziej utrwala w ludzie naszym przywiązanie do mowy rodzinnej, kraju naszego i wszelkich tradycyi ojczystych niż głoszenie na świat cały, że bez wszelkich zastrzeżeń podpisuje się wszystkie, więcej niż dwuznaczne programy endeckie. „I bogobojne życie<sup>1)</sup> rodzinne wieśniaka w zapadłej wiosce, i jego praca wytrwała na ojcowiznie — chociażby i gazet nie czytał, ani był gorliwym wiecownikiem — toć są fakta nie obojętne politycznie. Toć on swą pracą broni ziemi w rękę narodu, broni wiary w sercach, broni języka i obyczaju w domu. A to wszystko podstawy i składniki życia naszego i sił“.

Szkoda, że demokracja narodowa tak mało zwraca uwagi na wskazówki idące z Rzymu, że dekrety Ojca całego chrześcijaństwa zna dopiero z recenzji gazet katolicyzmowi wrogich, lub lepiej powiedziawszy, że ich w olbrzymiej części może nie zna wogóle. Inaczej wiedziałoby stronnictwo demokratyczno-narodowe, że niewygasłej pamięci Ojciec święty Leon XIII, polecił już dawno, bo w roku 1885 w encyklice swej: *Immortale Dei* wszystkim katolikom, a więc i duchownym, aby usilnie dążyli do reformy ustawodawstwa i admi-

---

<sup>1)</sup> Józef Milewski, Zagadnienia narodowej polityki, str. 109.

nistracyi państwowej — ale w duchu chrześcijańskim — że encyklika: *Rerum novarum* z dnia 15 maja 1891 r. zaleca zdwojoną gorliwość sługom ołtarzy w pracy nad polepszeniem doli pracującego ludu, że na dniu 16 stycznia 1901 r. ustalił papież nazwę demokracji chrześcijańskiej, dając zarazem autentyczną definicyę tegoż pojęcia.

Lektura tych i innych okólników papieskich pouczałaby endeków o tem, że Ojciec św. wcale tego nie pragnie, aby wszyscy katolicy byli demokratami z przydomkiem lub bez niego, ale raczej, by wszyscy demokraci byli przede wszystkim katolikami i to w całej pełni tego wyrazu. Gdyby nie to, że „*catholica non leguntur*“, wiedziałoby stronnictwo wszechpolskie, że wołanie jego, aby duchowieństwo brało udział w pracy obywatelskiej, będzie głosem wołającego na puszczy, gdyż kler katolicki od dawna stoi przy warsztacie społecznym. Jeśliby zaś demokracja narodowa знаła całą akcyę duchowieństwa w tym względzie, a mimo to wzywała kler polski do uczestniczenia w szeregach szermierzy społecznych, to tłumaczyć ją można jedynie tem, że endecya dostrzegła zasadniczą różnicę w działalności katolickich organizacyi społecznych a własnymi celami i zamiarami, że pragnie duchowieństwo do swego wprzagnąć rydwanu. Wiedząc już nieco o nowej religii naszych „demokratów“, w której narodowość jest bożyszczem, a niepodległość ołtarzem, znając ich aspiracyę do

zawładnięcia umysłami, nie trudno dociec przyczyny takiego postępowania. Stronnictwo demokratyczno-narodowe nie uznaje i uznać nie może żadnej pracy społeczno-narodowej po za swoją własną, gdyż samo dąży do opanowania wszechstronnego a wyłącznego całokształtu spraw narodowych, politycznych, społecznych i kulturalnych, mieni się jedynym przedstawicielem „ludu” i „narodu”. Z Kościołem katolickim liczy się zatem o tyle tylko, o ile nie traci zupełnie nadziei, że po słońdowaniu sobie tegoż, uczyni zeń potężne narzędzie w ręku swym celem przeprowadzenia partyjnych zamiarów. Tendencya opanowania Kościoła zupełnie, odebrania mu nawet pośredniego wpływu na stosunki gospodarstwa narodowego, odciągnięcie go od właściwego zadania na tem polu czyli uniemożliwienie mu czuwania nad tem, czy wszystkie doczesne i gospodarcze sprawy narodu układają się według chrześcijańskiego prawa moralnego — oto podłoże, na którem wyrosły teorye streszczone na razie nieśmiało w tych ustępach programu SND., które dotyczą stanowiska względem Kościoła katolickiego. Nie dziwny się zatem, że idea taka podoba się nawet socyalistycznej „Krytyce”. Organ p. Feldmana oświadcza, że „istnienie<sup>1)</sup> silnego a istotnego stronnictwa narodowo-demokratycznego w zaborze rosyjskim i pruskim uważałby za pożądane”, a inni

<sup>1)</sup> Patrz: Wilhelm Feldmann, Rzecz o narodowej demokracji, Odbitka z „Krytyki”, Kraków, 1902, str. 34.

koledzy z pod czerwonego sztandaru również się z tem nie kryją, iż miłsza im endecya niż „fanatyzm katolicki“<sup>1)</sup>). Czyżby czyniono to jedynie ze względu na węzły pokrewieństwa, łączące niegdyś dzisiejszych zaciętych wrogów?! Sądzę, że nie, gdyż w innych sprawach poglądy ich różnią się bardzo znacznie. Dziś rywalizują dwa te stronnictwa ze sobą, ubiegając się o względy ludu polskiego, walcząc z sobą niby dwa sępy — o duszę chłopka naszego. Program powyżej już przytoczony zawiera również cenne rewelacye co do stanowiska endecyi i w tej kwestyi. „Interesy ludu, — czytamy tamże, — sprawa jego postępu pod wszelkimi względami są dziś r ó w n o z n a c z ą c e z interesami narodu; w ścieraniu się tedy sprzecznych dążeń społecznych pierwszeństwo musi być dane interesom warstw ludowych polskich i od nich muszą być uzależnione, gdzie tego potrzeba, interesy „warstw innych“. Jeśli łaskawy czytelnik przy powtór-  
nem odczytaniu powyższego cytatu opuści dodatek, zresztą bardzo elastyczny, „gdzie tego potrzeba“, otrzyma znakomitą definicyę programu socyalistycznego, którąby bez zakrzuszenia się wypowiedzieć mógł Daszyński, Kautsky, czy ktokolwiek z czerwonego obozu. Wartość tego zdania — nawet w dosłownem brzmieniu — uwydatnia się najlepiej w zestawieniu ze słowami encykliki „Graves de com-

---

<sup>1)</sup> Patrz: Nasi nacyonaliści. Napisał B. Cz. L. N. (były członek Ligi Narodowej). Londyn 1904.

muni“, na którą powołuje się Ojciec święty Pius X, w swym liście do biskupów francuskich z dnia 25 sierpnia 1910 r.: „Poprzednik nasz — pisze obecnie panujący nam papież — napiętnował ten rodzaj demokracji, który doszedł do tego stopnia przewrotności, iż najwyższą w społeczeństwie władzę oddaje ludowi, dążąc do podporządkowania i zrównania wszystkich warstw“. Pozytywnie uczył wielki papież robotników, iż demokracja chrześcijańska „winna podtrzymywać różnice stanów jako nieodzowną właściwość zdrowego społeczeństwa, winna dążyć do tego ustroju i charakteru społecznego, który społeczeństwu prawica Stwórcy naznaczyła“.

Prawdy te jednak mało co albo raczej nie nie obchodzą twórców kierunku demokratyczno-narodowego, gdyż oni stoją ponad tem wszystkim. Jeśli na kim, to właśnie na twórcach i zwolennikach endecyi stwierdzić można gorzką prawdę zawartą w słowach ks. Charszewskiego: „Wogóle błędzenie<sup>1)</sup> bezwiedne po wszelakich wertepach myśli, spowodowane przedewszystkiem przez brak znajomości uznanej prawdy chrześcijańskiej, to fakt doświadczalny, który co chwila stwierdzają dzieje, który i dziś jest wciąż na porządku dziennym, i to w stopniu wyższym, niż kiedykolwiek w czasach ery chrześcijańskiej“.

<sup>1)</sup> Patrz: Ks. I. Charszewski: *Moderniści, Modernizanci, Antymoderniści nasi i obcy*, str. 77.



## II. Zapatrywania przywódców stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Rozdział poprzedni przekonał nas, że cały kierunek endeceyi w programie wyrażony nie tylko nie dąży do zespolenia się z Kościołem w myśl nauki katolickiej, ale że we wielu rzeczach wręcz wrogie wobec katolicyzmu zajmuje stanowisko. Z tego, co w niniejszym powiemy ustępie, przekona się szanowny czytelnik, iż całe stronnictwo demokratyczno-narodowe, o ile się godzi na teorye duchowych swych przywódców, znajduje się już po za obrębem Kościoła katolickiego, a w znacznej części może nawet poza obrębem chrześcijaństwa. Ogromne spustoszenie w umysłach endeckich poczynił — choć nieświadomie — dzisiaj tak energicznie zwalczany i broniony modernizm! Twierdzenia naszego dowodzić będziemy na podstawie rozpraw i artykułów zamieszczonych w „dziesięcioleciu „Przeglądu Wszechpolskiego“<sup>1)</sup>. W przedmowie bowiem czytamy, iż dzieło to ma wykazać dobitnie „czem jest kierunek<sup>2)</sup> demokratyczno-narodowy, jakie są jego podstawowe założenia, jakie stanowisko w tych sprawach, które dziś stanowią oś narodowej polityki“. Dla tego to przemawiają tam przedewszystkiem ci, „którzy są twórcami teoretycznych podstaw kie-

---

<sup>1)</sup> Dziesięciolecie „Przeglądu Wszechpolskiego“. Kraków, 1905.

<sup>2)</sup> Tamże w przedmowie.

runku<sup>1)</sup>). Do twórców kierunku demokratyczno-narodowego zalicza się także p. Z. Balicki, którego „egoizm narodowy“ oraz „Zasady wychowania narodowego“ nam również cennego bardzo przysporzą materiału celem trafnego scharakteryzowania endecyi naszej w stosunku do Kościoła katolickiego. Studium płodów skreślonych piórem mENERów wykazuje, iż stronnictwo wszechpolskie, chcąc dochować wierności „postępowym“ zasadom swego obozu, nie może Kościołowi zrobić innego ustępstwa, jak pozostawić mu jedynie, „rolę odrębnego czynnika politycznego w sferze spraw religijnych i kościelnych“. Gdyby Kościół bowiem zapragnął dopilnować tego, aby polityka uprawiana przez demokrację narodową, aby wychowanie i uświadamianie ludu przez endecję podjęte, pozostawało w granicach zakreślonych zasadami niezmiennej moralności chrześcijańskiej, natenczas stronnictwo demokratyczno-narodowe straci zupełnie grunt pod nogami, gdyż „założenia podstawowe“ tejże partyi stoją w dyametralnej sprzeczności z prawdami Kościoła katolickiego. „Kościół<sup>2)</sup> jest królestwem Chrystusowem „nie z tego świata“ (Jan 18, 36), ale dla tego świata i na tym świecie. Składa się z ludzi i jest dla ludzi“, ale opiera cały gmach moralności obowiązującej sumienia wszystkich wiernych na przy-

---

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> Ks. Charszewski, Moderniści, Modernizanci, str. 73.

kazaniach Boskich, na nauce Chrystusa Pana i na wnioskach stąd płynących, żądając, aby człowiek każdy stosował się zawsze i wszędzie tak w stosunkach osobistych, jako też rodzinnych, społecznych, narodowych i politycznych do tych reguł moralnych, mających swoje źródło w Bogu. „Kościół<sup>1)</sup> jest stróżem czystości ideałów doczesnych, oraz doświadczonym wodzem w dążeniu postępowem ludzkości do ich realizacyi. Gdyby się owych praw wyrzekł, straciłby wpływ na rozwój świata, kiedy jego zadaniem jest oryentować jego postęp ku Bogu, jako najwyższemu celowi wszystkich ziemskich prac i zabiegów“. Według nauki Kościoła obejmuje religia całokształt stosunków, jakie człowiek do kogokolwiek ma lub mieć może. Stąd też Boski Kościół założyciel musiał wiernym swoim dać także normy, któreby im wystarczały zawsze i wszędzie, musiał stworzyć podstawy takie, któreby śmiertelnika każdego uzdolniły do poznania woli Bożej w każdym życia przypadku, słowem, musiał dać naśladowcom swoim możliwość „życia z wiary“.

Prawdom tym przeczy całokształt zapastryowań, jakie sobie stworzył autor „myśli nowoczesnego Polaka“, a do niedawna uwielbiany jeszcze dyktator endecyi w Królestwie Polskiem p. R. Dmowski. Smutek i ubolewanie, które dźwięczą tonem żałosnym w „my-

---

<sup>1)</sup> Tamże.

ślach“, wywołane konserwatywnem zachowaniem się społeczeństwa polskiego wobec prądów zachodu, gdzie bądź co bądź bezwzględna polityka kłamstwa i pięści wydzwignęła niejedno państwo do szczytu potęgi i znaczenia, skryształizowały się pod wpływem zetknięcia się z kulturą pogańskich Japończyków w bałwochwalcze nieomal uczucie czci i szacunku dla etyki, które z Japończyka czyni przede wszystkim „częstkę narodowej całości“, dla idei zawartej w pojęciu „egoizmu narodowego“. Podstawy tej etyki znajduje p. Dmowski tak w duszy Japończyka jak i Polaka, chociaż w duszy polskiej w daleko słabszym stopniu. Składają się na tę etykę „instynkty<sup>1)</sup> silniejsze nad wszelkie rozumowanie i panujące częstokroć nad osobistym instynktem samozachowawczym, gdy nie są znieprawowane lub wyrwane z korzeniem, zmuszając człowieka do działania nietylko wbrew dekalogowi (sic!), ale wbrew sobie samemu, bo do oddania życia, do poświęcenia droższych od niego rzeczy, gdy idzie o dobro narodowej całości“. Instynkty te sprawiają, iż ożywiony nimi patriota prawdziwy „w pewnej szerokiej sferze<sup>2)</sup> czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłusznym woli zbiorowej narodu“. Etyka, oparta na tych właśnie instynktach, nazwana

---

<sup>1)</sup> Patrz: Dziesięciolecie „Przeglądu Wszechpolskiego“. Kraków 1905. Rozprawę: Podstawy polityki polskiej, str. 18.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 18.

została przez p. Dmowskiego „etyką narodową“ i przeciwstawioną „etyce chrześcijańskiej“. Etyka narodowa pozwala „zmniejszyć<sup>1)</sup> lub nawet zniszczyć dobrobyt, spokój i szczęście dzisiejszego pokolenia, jeśli poświęcenie go jest potrzebne dla utrzymania ciągłości bytu narodowego, dla ocalenia tego, co nam pozostawiła przeszłość, dla rozwoju tego bytu w przyszłości“. „Etyka ta<sup>2)</sup> nie obowiązuje do myślenia w ten sam sposób, jak myśleli ojcowie i te lub inne wielkie duchy narodu“, i nie pozwala dawać wszystkim równego w narodowych sprawach głosu, „gdyż naród<sup>3)</sup> nie składa się z równowartościowych pod względem narodowo-etycznym jednostek“.

Nie wiemy, czy istotnie etyka narodowa japońska opiera się na przesłankach wyłożonych przez p. Dmowskiego, ale wskażemy mu na bliższe i czytelnikom bardziej znane. Zapamiętania głoszone w pismach rozmaitych o doskonałości szczepu germańskiego, obrona istniejącego prawa wyborczego w Prusiech przez prasę junkierską te same wykazują argumenta o nierówności obywateli państwa. Cała polityka antypolska rządu i sejmu pruskiego, ukoronowana wywłaszczeniem — oto wcielenie zasad p. Dmowskiego; a powody podane przez urzędowe dzienniki rosyjskie w obronie ukrócenia praw wyborczych Polaków do dumy

---

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Tamże.

wyglądają jakoby zrealizowanie myśli p. Dmowskiego.

Zwracając się do etyki chrześcijańskiej, głosi p. Dmowski, iż „etyka chrześcijańska<sup>1)</sup> bynajmniej nie obejmuje wszystkich stosunków ludzkich“. Ma ona jedynie znaczenie i wpływ na wzajemne stosunki jednostek. „Stosunek<sup>2)</sup> zaś jednostki do narodu i narodu do narodu leży właściwie po za sferą chrześcijańskiej etyki“ w krainie, gdzie samowładnie panuje „etyka narodowa“. „Chryścjanizm<sup>3)</sup>), będący religią jednostek i ludzkości jako zbioru jednostek, pierwotnie w zupełności sobie z tego zdawał sprawę, czyli innemi słowy, przyznawał, iż nie przystoi mu prawo wpływania na ukształcenie się stosunku jednostki do narodu i narodu do narodu“. „Duchowieństwo<sup>4)</sup>), błogosławiąc wojskom przed wyprawą wojenną, dla niejednego było w sprzeczności z zasadami miłości bliźniego i piątym przykazaniem, ale nie dopatrzy w tem sprzeczności umysł, który rozumie, że przykazania dotyczą wyłącznie stosunku między ludźmi jako jednostkami, że stosunki narodowo-państwowe leżą po za tą sferą“.

Etyka narodowa „niezależna<sup>5)</sup> ani od przykazań ani od altruizmu a tem mniej od egoizmu,

<sup>1)</sup> Tamże, str. 15.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Tamże.

<sup>4)</sup> Tamże, str. 16.

<sup>5)</sup> Tamże, str. 19.

pozwała mi na zamordowanie cudzoziemca — Niemca czy Rosjanina — bylebyśmy ja i on w chwili zabójstwa występowali jako przedstawiciele narodów. Znaczy to, że zbrodnia z pobudek narodowych, politycznych, w imię patriotyzmu spełniona, przestaje być zbrodnią a nabiera cech bohaterstwa, jest „cnotą“, stopniem doskonałości!! „Etyka narodowa jest podstawą etyki międzyludzkiej. W interesie moralnego postępu ludzkości musi być zachowana i coraz szersze w duszy ludzkiej zdobywać podstawy, coraz większą w postępowaniu jednostki odegrać rolę“. Zresztą „etyka“ ta bardzo dobrze zdaniem p. Dmowskiego się da pogodzić z etyką chrześcijańską, oczywiście pod warunkiem, że ta ostatnia skromnie pozostanie w kole przez pierwszą jej zakreślonym. Gdyby zaś się znalazł jakiś fanatyk, chcący „etykę narodową“ zwalczać w imię etyki chrześcijańskiej, to może to być jedynie człowiek taki, któremu zbywa „na pocuciu<sup>1)</sup> narodowem“, któremu „logika“ nie dopisuje, który przedewszystkiem powierzchownie jedynie zna zasady chrześcijańskie!!

Unikając dalszego mnożenia cytatów, porzucamy na odesłaniu ciekawego czytelnika do wzmiankowanego tyle razy źródła; tam się naocznie przekona o tem, iż pogańska dusza niezeepsutego moralnie Japończyka, o którejby Tertullian powiedział: *Anima humana natura-*

---

<sup>1)</sup> Tamże.



liter est christiana, pobudziła p. Dmowskiego, aby nieprzebytą wykopać przepaść między prawdziwą moralnością chrześcijańską a przez siebie objawioną „etykę narodową“. Najwięcej jednak na razie uderza w tej misternej nieomal tkaninie złożonej ze strzępów wszelkich błędów i fałszów, jakie w ostatniej dobie się pojawiły, bliskie pokrewieństwo nowej tej nauki z ideami potępionego modernizmu. Zdanie dostojnego autora encykliki: *Pascendi dominici gregis*, charakteryzujące dążności modernistów, jest jakoby z naszych wzięte stosunków: „Państwo<sup>1)</sup> — tak czytamy tamże — rozdzielić należy od Kościoła, katolik a obywatela. Stąd ma katolik, ponieważ jest zarazem obywatelem, prawo i obowiązek z pominięciem jego życzeń, wskazówek i przykazań, nawet z podeptaniem jego nagan, pełnić to, co wedle jego mniemania przyczynia się do pożytku państwa. Nadużyciem władzy kościelnej, które wszelkimi siłami należy usunąć, byłoby podawanie z jej strony obywatelowi normy działania“. W ten sam sposób argumentują p. Dmowski i towarzysze, z tą jednak różnicą, iż oni polecają wszystko to jako jedyną deskę zbawienia, jako środek wskrzeszenia ojczyzny, Ojciec św. zaś zdania te potępia, piętnuje i jako niekatolickie odrzuca.

Sprzeczność założeń i podstaw „polityki polskiej“, niczem nie dająca się zakryć rozbie-

<sup>1)</sup> Patrz encyklikę „*Pascendi*“ w tłumaczeniu ks. Okoniewskiego. Przegląd kościelny, tom XII, str. 261.

żność rezultatów obydwóch „etyk“, jako też zaznaczone zasady zwalniają nas z obowiązku zbijania każdego błędu z osobna. Tego atoli odmówić sobie nie możemy, aby nie wskazać na wzniosłą przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, którą Chrystus Pan zamknął usta człowiekowi na pozór bardzo biegłemu w zakonie żydowskim. Czyżby Pan Jezus przypadkowo tylko właśnie na tym przykładzie, na tle waśni żydów z mieszkańcami Samaryi, które to spory w różnicach narodowościowych miały swoje źródło, był uczył miłości bliźniego, nawet nieprzyjaciela „nieczystego“?! Sądzę, że o przypadku tutaj mowy być nie może! W praktyce zaś wysuwanie na plan pierwszy „etyki narodowej“ a spychanie w kąt moralności chrześcijańskiej do roli usługowego kopciuszka, wydaje potworne poprostu owoce, owoce tak cierpkie, iż nawet endecka przeciw temu wzdryga się natura.

Wytłumaczywszy bowiem publiczności zasady „etyki narodowej“ oraz jej stosunek do „etyki chrześcijańskiej“ w myśl p. Dmowskiego, można łatwo bardzo wychować osobniki, które przed złożeniem przysięgi, iż zamordują tego lub owego „szkodnika“ narodowego, klękają, by zmówić pacierz, a potem z łąą w oku powtarzają słowa przysięgi, powołując się przytem na aprobatę całego społeczeństwa polskiego, bez względu na to, że dziewięć dziesiątych tegoż społeczeństwa protestowało jak najenergiczniej tyle razy przeciw takiemu poj-

mowaniu etyki. Dowód praktyczny mieliśmy niedawno na Trudnowskim, członku „Związku narodowo-robotniczego“. Związek ten, zorganizowany przez endeków, dość długo stał pod wpływem narodowej demokracji, aby mógł wchłonąć w siebie albo raczej obudzić w duszy swych członków wszystkie te instynkty, na których się opiera „etyka narodowa“. Trudnowski jest typem obywatela umiającego w sposób doskonały godzić zasady „etyki chrześcijańskiej“ i „etyki narodowej“ według recepty p. Dmowskiego wyłuszczonej nam w „podstawach polityki polskiej“. Z nakazu<sup>1)</sup> „Komitetu pięciu organizacyi niepodległościowej związku robotniczego w Warszawie“, która to organizacya aż do roku 1908-go wchodziła w skład stronnictwa wszechpolskiego, uregulował ten „bohater“ stosunek „narodu“ do jednostki, imieniem Rybak, kładąc go trupem na ulicach Krakowa. „Etyka chrześcijańska“ i dekalogowa „nie zabijaj“ w niczem go krępować nie mogła — zdaniem p. Dmowskiego et consortium -- gdyż normowanie tego rodzaju stosunków leży właściwie po za sferą „etyki chrześcijańskiej“. „Etyki narodowej“ zaś głównym postulatem jest, aby umieć wszystko, nawet sumienia spokój, złożyć na ołtarzu ojczyzny, spalić dobru publicznemu w ofierze. Stąd tłumaczy się twierdzenie tego nieszczęśliwca, iż „się przysłużył ojczyźnie i Kościołowi!“

---

<sup>1)</sup> Patrz: „Dziennik Poznański“, nr. 184, r. 1910, oraz nr. 269.

A niech Pan Bóg broni, aby się ktoś odważył załatwianie stosunku jednostki do narodu i odwrotnie podporządkować prawidłom i nakazom moralności chrześcijańskiej! Tendencya taka jest podobno nader szkodliwą tak dla narodu jako też dla Kościoła, gdyż napędza ludy całe w sidła masoneryi i żydów. „W dziejach — tak rozumuje p. Dmowski dalej we wspomnianej tyle razy rozprawie — naszej części świata polityka kościelna często błędziła, usiłując przeciwstawić się prawowitemu państwu i narodowej idei lub sprowadzając je z właściwej drogi dla celów swojej organizacyi. Był to błąd, bo Kościół mający za cel moralne podniesienie ludzkości (sic!), nie zdawał sobie w tych razach sprawy, iż osłabiając ideę narodową i siłę moralną narodowego państwa, podkopywał najsilniejszą podstawę organizacyi moralnej. Błąd ten odsłoniły dziś najjaskrawsze fakty. Jeśli w krajach łacińskich antyreligijny i kosmopolityczny radykalizm największe dziś czyni zdobycze, to dla tego, że tam duchowieństwo, zanadto rzymskie, moralnie zbyt ciężące na zewnątrz narodu, zbyt obojętnem było na sprawy narodowe, na obowiązki obywatelskie. Nigdzie łoże wolnomularskie tak nie mnożą się jak w zdeorganizowanem narodowo środowisku. Najwierniejszej córce Kościoła, Hiszpanii, lada chwila grozi, że stanie się łupem masoneryi i co zatem idzie żydów. Wina za to spadnie na politykę kościelną i na miejscowe duchowieństwo, które tyle zrobiło usiłowań,

by państwo i narodową ideę zupełnie podporządkować widokom Kościoła i tem przyczyniło się do zdeorganizowania narodowych instynktów. Badania historyczne niezawodnie wykazują jeszcze, jaką rolę w przygotowaniu rewolucyi odegrało duchowieństwo, gdzie niszczyło narodową tradycję, gdzie starało się zerwać związek moralny między jednostką a społeczną częścią jako związek doczesny lub jako sprzeciwiający się według pewnych pojęć zasadzie powszechności Kościoła“.

Kto zna zasady, jakimi kierował się w Królestwie po powstaniu styczniowym ks. Czerkawski w polityce kościelnej, kto obeznany jest dostatecznie z zamiarami, jakie ożywiały i ożywają wszystkich dawniejszych i dzisiejszych inicjatorów „walk kulturalnych“, komu wreszcie nie obce są dążenia febronianizmu, józefinizmu i pseudosynodu w Pistoï, ten z łatwością zgodzi się na twierdzenie, iż Kościół katolicki w Polsce niepodległej, jaką sobie wyobraża p. Dmowski, straszne przechodzićby musiał burze i prześladowania, boleśniejsze i groźniejsze od obecnych klęsk dla tego, że od swoich pochodzące. Co do wyżej przytoczonego ustępu, to sądzimy, iż można go było z powodzeniem w miejsce wstępu umieścić w broszurach, które rozrzucono wśród publiczności w obronie znanego Ferrera.

Nie mniej błędne zasady, wcale z nauką Kościoła katolickiego nie licujące, wygłasza drugi koryfeusz stronnictwa demokratyczno-narodowego, p. Zygmunt Balicki, w swoich

rozprawach i pismach. Nie „spowiada“ on się co prawda ze swych przekonań dotyczących mianowicie kwestyi kościelnej tak szczerze i jasno, jak to czyni p. Dmowski. Stąd też krytycy Balickiego spotykają się dość często ze zarzutem, iż nie dorośli do zrozumienia wzniosłych, a dla narodu jedynie zbawczych idei!! Dziełko, które przedewszystkiem mamy na myśli, licznie wśród młodzieży rozpowszechnione, a przez wielu w miejsce ewangelii podobno czytowane, noszące tytuł: „Egoizm narodowy<sup>1)</sup> wobec etyki“, nie wspomina ani razu o Bogu, Chrystusie Panu lub Kościele. System w tej pracy wyłuszczonej opiera się na zupełnie dowolnem przewartościowaniu pojęć moralności, sumienia, dobra i zła, prawa i t. d., powołując się na takie powagi jak: Spencer, Kant, Tołstoj, Ruskin, pañ Staël, Rudolf Jhering, Goethe, Epiktet i Krasiński, który w tem towarzystwie ma rzeczywiście minę Piłata w Credo! Przez sumienie rozumie p. Balicki nie ów głos bosko-ludzki, mocą którego człowiek sam może osądzić moralną wartość swego czynu, ustalić jego stosunek do woli Bożej, ale raczej „odbicie<sup>2)</sup> w duszy nakazów moralnych z środowiska społecznego płynących“. Moralność nie oznacza bynajmniej zgodności ludzkiego działania z wolą Bożą, ale raczej zadowolenie powstające w duszy czło-

---

<sup>1)</sup> Egoizm narodowy wobec etyki. Napisał Zygmunt Balicki, Lwów. Nakładem towarzystwa wydawniczego, 1902.

<sup>2)</sup> Egoizm narodowy wobec etyki, str. 29.



wieka wskutek dostosowania swej działalności do woli ogółu. Tak jasno jednak autor „egoizmu“ czytelnika swego z temi definicyjami nie zaznajamia; operuje raczej niemi przez czas dłuższy, a potem dopiero tak od niechcenia w dopisku zaznacza, co przez odnośne pojęcie rozumieć należy.

Z. Balicki rozróżnia dwa rodzaje etyki: „etyką dogmatyczną“, „która<sup>1)</sup> bierze każdy czyn sam w sobie niezależnie od czasu, miejsca, okoliczności i skutków“ i „etykę autonomiczną“, „która<sup>2)</sup> bierze pod uwagę wszystkie konkretne warunki bytu i stosunków ludzkich“. Tamta zaleca wszystkim bez wyjątku praktykowanie jednej i tej samej zasady, czyniąc z niej bezwzględna normę prawa moralnego; ta zaś na podstawie „warunków“ i „stosunków“ „wykazuje każdemu w sposób bezwzględny jego stanowisku właściwe obowiązki indywidualne i społeczne“. Pierwszą nazywa autor „etyką ideałów“, gdyż wyznawcom tejże przyświeca wzniosły jakiś ideał, na przykład chrześcijaninowi wzór najpiękniejszy, Chrystus Pan; drugą mianuje „etyką idei“, gdyż tutaj trzyma siła atrakcyjna jakiejś idei osobnika danego na pewnym poziomie moralności. „Etykę ideałów“ p. Balicki odrzuca jako szkodliwą dla społeczeństwa, gdyż etyka ta „względna<sup>3)</sup> w swej istocie, niezdolna wytworzyć poczucia obo-

---

<sup>1)</sup> Tamże, str. 17.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 24.



wiązku powszechnego, rozbija społeczeństwo pod względem moralnym, wprowadza w nie chaos i anarchię duchową; wytwarzając sytuacje bez wyjścia, wbija się klinem w serca i mózgi, sieje niepokój i rozterkę wewnętrzną, rozstrój i histeryę, denerwuje ogół i tworzy z niego typ bez charakteru. W pogoni za doskonałością, ludzie przestają być dobrymi członkami społeczeństwa, w pogoni za cnotą przestają należycie spełniać swoje obowiązki osobiste i obywatelskie. Nie są to zaiste podstawy, na których dałoby się oprzeć odrodzenie moralne narodu“, woła z patosem autor „egoizmu“.

W miejsce odrzuconej aż siedmioma powodami „etyki ideałów“ stawia p. Balicki etykę „idei“, która z góry liczy się z tem, że doskonałość ludzka może być tylko względna. Realne jedynie dobro narodu mając na oku, wydaje „etyka“ ta nakazy takie, które konieczne są dla dobra ogółu, wychowuje nie „świętych“ ale „bohaterów“, jest zatem jedynie możliwą podstawą odrodzenia narodowego, gdyż szczęście i dobro narodu jest osią, w koło której toczą się wszystkie postulaty i impesatywy jej. „Nie polega<sup>1)</sup> ona na stosunku człowieka do własnego sumienia, ale na stosunkach ludzi do ludzi wewnątrz jednej grupy, na stosunkach grup między sobą“. Stąd moralnem jest tylko i wyłącznie to, co społeczeństwu korzyść przy-

---

<sup>1)</sup> Tamże.

nosi, co ogół za moralne uzna, choćby to była nawet zasada „wolnej miłości“ lub prawo topienia męskich noworodków jak w Egipcie za czasów Mojżesza. Moralnym czynem byłby na przykład pojedynek w „obronie obrażonych uczuć narodowych“, kłamstwo, „skoro<sup>1)</sup>“ wymaga tego twoja niezależność wewnętrzna i twój charakter“, „odwet srogi“, gdyż „przebaczenie krzywd“ i „ponoszenie<sup>2)</sup> dla innych ofiar, którychby nikt nie zrozumiał, doprowadziłoby do wzmożenia anarchii“.

Ponieważ człowiek każdy bez względu na swe własne szczęście doczesne czy wieczne żyć i działać powinien zawsze i wszędzie na korzyść swego społeczeństwa, dla tego niemoralnie postępuje ten, który z jakichbądź pobudek popiera instytucje zagraniczne, na przykład towarzystwa dobroczynne niemieckie, spieszy z pomocą dla głodem dotkniętych Rosyan albo grosz swój wydaje<sup>3)</sup> na świętopietrze! Z tego punktu widzenia niemoralnie postąpili sobie przodkowie nasi, iż „odpedziwszy Turków z pod Wiednia<sup>4)</sup>“, uratowali Austryę, która w sto lat niespełna dokonała rozbioru Polski, a złamali potęgę Turcyi, przeszłego naturalnego i wiernego sprzymierzeńca, który rozbioru dotąd nie podpisał“. „Takie postępowanie utrwała panowanie barbarzyń-

---

<sup>1)</sup> Tamże, str. 31.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 26 i 40.

<sup>3)</sup> Tamże.

<sup>4)</sup> Tamże, str. 45.

stwa, gdyż narody w stosunkach międzynarodowych nie mają żadnych względem siebie obowiązków, prócz dobrowolnie przejętych“. „Narody winne załatwiać sprawy swoje jedynie na zasadzie do, ut des! kto więcej czyni, postępuje niemoralnie“. Stąd uprawnione są, godziwe i moralne wszelkiego rodzaju<sup>1)</sup> asymilacyjne i ekspansywne dążności, wszelkie odwety i hakatyzmy!

Ponieważ zaś przyszłość do tego należy, który zapanować zdoła nad młodzieżą, przeto wszystkie te poglądy wszczepiać trzeba w serca młodociane, aby z dzisiejszego pokolenia wychować mężów o charakterze niezłomnego „obywatela-żołnierza“. Jak się do tego zabrać trzeba, wykazuje p. Balicki w broszurce zatytułowanej: „Zasady<sup>2)</sup> wychowania narodowego“. Zdając sobie doskonale sprawę z olbrzymiego wpływu, jaki wywiera na ukształtowanie się serca młodego wychowanie religijne, autor wspomnianej rozprawki, użycie potężnego tego środka poleca gorąco wszystkim tym, którym przypadło w udziale wychowanie przyszłych obywateli. Religia atoli, jaką p. Balicki ma na myśli „nie sprowadza<sup>3)</sup> się bynajmniej do pewnych wierzeń teologicznych i kosmogonicznych (sic!), zespolonych z przepisami etyki,

---

<sup>1)</sup> Tamże, str. 47, oraz „Przegląd Wszechpolski“, r. 1899, I, str. 2.

<sup>2)</sup> Zasady wychowania narodowego. Warszawa, 1909.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 13.

lecz opiera się przede wszystkim na uczuciu<sup>1)</sup> religijnem“. „Absolut uczuciowej harmonii, poparty najwyższą umysłową syntezą, godzącą z sobą wszystkie sprzeczności życia“ jest „kręgosłupem (sic!) moralnym“ tej religii. „Religia ta daje nam to mocne przeświadczenie<sup>2)</sup>, że niema sił szkodliwych, że są tylko siły użyteczne, chociaż źle zastosowane“. „Ponieważ wiara jest jedna i miłość jedna w duszy ludzkiej“, ponieważ „wszystkie postacie i odmiany jednej i drugiej, od najniższych i najprostszych do najwyższych i najbardziej złożonych, o ile nie są wypaczone, mają jedną istotę i treść wspólną“, przeto „niech się wiara w żadnej postaci (choćby naukowej) nie przeciwstawia wierze, ani miłość miłości“. Zrozumiałej powiedziane, brzmi to: Każda wiara jest równie prawdziwą, równie dobrą!! „Wychowanie<sup>3)</sup> religijne młodzieży zasadzać należy przed wszystkim innem na rozbudzeniu w niej uczucia religijnego, a to nietylko coś więcej, to zupełnie co innego, niż sucha nauka katechizmu i przepisów Kościoła“.

Inny „twórca duchowy kierunku demokratyczno-narodowego“ p. Zygmunt Wasilewski, głosi światu za Feuerbachem, iż „ideał bóstwa<sup>4)</sup>

---

<sup>1)</sup> Uczucie odgrywa w pomysłach p. Balickiego wogóle przemożną rolę. Porównaj w tym względzie uczuciowe podstawy społeczeństwa. Myśl polska, rok 1906, III, str. 49.

<sup>2)</sup> Patrz: Zasady wychowania narodowego.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 14.

<sup>4)</sup> Patrz: Dziesięciolecie „Przeglądu Wszechpolskiego“, str. 121.

jest ideałem uspołeczniającej się duszy, jest projekcją jej kształtu na ekranie niebios!“

Nie wdając się w dalszą analizę tej filozoficzno-religijnej mikstury, bo tem samem przekroczylibyśmy zakres pracy naszej, zaznaczamy, iż pojęcie religijne „twórców“ kierunku wszechpolskiego jest wszystkim innem, tylko nie katolicyzmem, nie chrześcijaństwem. Owszem, czyniąc z Boga ideał „uspołeczniającej się duszy“, „projekcję jej kształtu na ekranie niebios“, z religii coś zupełnie innego, niż sucha nauka katechizmu i przepisów Kościoła“, popadają w charakterystyczne błędy modernizmu, przeczą istnieniu Boga osobistego, odmawiają racji bytu Kościołowi, wywracają cały moralny porządek i ład dzisiejszego społeczeństwa. Osobnikom z natury idealnie usposobionym starczyć może na czas pewien sztucznie spreparowany surogat prawdziwej religii według recepty pp. twórców demokracji narodowej.

Kto jednak mniej ma idealną duszę, kto hołduje zasadzie *ubi bene, ibi patria*, komu wreszcie nędza i głód wybrały nietylko z serca miłość ku społeczeństwu, ku bliźniemu, ku ludzkości, ale spędziły rumieniec zdrowia i wstydu z twarzy, ten pewnie mniej zwróci uwagi na szumne frazesy zapożyczone u pseudomyślicieli rozmaitych, ale za to klinem i dębem wryje sobie w mózg i w serce ostateczny wynik nihilizmu rosyjskiego: „Dusza jest komórką, Boga nie ma, ojca można po łbie“!!

Dokopawszy się gruntu, na którym wznosi się gmach poglądu na świat tych, którzy „podstawowe stworzyli założenia zasad, jakimi kieruje się stronnictwo demokratyczno-narodowe przy normowaniu swoich stosunków do Kościoła katolickiego, do wszelkich grup wyznaniowych oraz zbiorowisk narodowych“, — nie możemy się puszczać na zbijanie wszystkich tych odkrytych błędów i fałszów, gdyż trzebaby nam napisać dzieło apologetyczne tych rozmiarów, co apologie Weiss'a lub Hettinger'a. Jesteśmy jednak przekonani, że każdy katolik, choćby powierzchownie tylko z katechizmem zaznajomiony, z łatwością osądzi i ze wstrętem odrzuci wszystkie te mamiące mrzonki, tłumiące prawdziwą a roztropną miłość kraju i ludu.

Na jeden atoli szczegół pragnęlibyśmy zwrócić szczególniejszą uwagę dla tego, że błędne to pojęcie dzisiaj ogólniej niż kiedykolwiek i wśród katolików skądinąd wzorowych czyni spustoszenie ogromne. P. Balicki kładzie niezwykle nacisk na wykształcenie czy rozbudzenie „uczucia religijnego“, wołając, iż „to zupełnie coś innego niż sucha nauka katechizmu i przepisów Kościoła“. Objaw ten, nie będący wyłącznie cechą religijności endeckiej, ale raczej znamię zapatrywania w szerokich warstwach nawet katolickich na sprawy religijne, szczególnie u nas w Polsce, napiętnował Ojciec święty Pius X w swem orędziu pasterskiem przeciw modernistom, ganiąc ostro tych, którzy

zamknąwszy „człowiekowi<sup>1)</sup> przystęp do Boga ze strony rozumu“, otwierają „odpowiedniejszy rzekomo przystęp ze strony jakiegoś uczucia i działalności duszy“. „Ale widoczną to rzeczą, że napróżno zupełnie“, pisze Ojciec św. „Uczucie bowiem duszy odpowiada wpływowi, jaki wywiera rozum albo zmysły zewnętrzne. Wstrzymajmy zupełnie działanie rozumu a człowiek podąży za zmysłami zewnętrznymi, ku którym przecież się skłania. I z tego jeszcze względu błędne to zapatrywanie; fantazje bowiem jakieś o uczuciu religijnem nie stłumią przekonania ogólnego: przekonanie zaś ogólne poucza nas, że poruszenie jakieś duszy i zajęcie się jej czemś, nie przyczynia się do zbadania prawdy, t. j. prawdy rzeczywistej, ale zbadanie tej prawdy raczej utrudnia; bo owa inna prawda, prawda subiektywna, która wynikiem jest zewnętrznego uczucia i działalności, przydać się może do zmysłowej zabawki, ale nie przyniesie żadnych namacalnych korzyści człowiekowi, któremu zależeć wielce na tem powinno, czy po za nim istnieje Bóg, w którego ręce wpadnie kiedyś!“

Do powyższych słów encykliki ks. dr. Cierniewski dodaje następujące objaśnienie od siebie: „Charakterystyczną<sup>2)</sup> cechą modernizmu jest przeniesienie punktu ciężkości pozna-

---

<sup>1)</sup> Patrz encyklikę „Pascendi“ w tłumaczeniu ks. Okoniewskiego. „Przegląd Kościelny“, tom XII, str. 348.

<sup>2)</sup> Patrz: „Ateneum Kapłańskie“ za marzec, r. 1909: „U źródeł modernizmu“.



wania z głowy do serca, z rozumu do uczucia, i oddanie uczuciu roli decydującej, zarówno w sztuce i filozofii, jak w teologii i religii objawionej. Modernizm w sercu osadza dźwignię archimedesową — i z uczucia a raczej wyczucia wysnuwa całą swą doktrynę, podobną raczej do poetycznej baśni, niżli do ściśle sformułowanej teorii“.

### III. *Prasa demokratyczno-narodowa.*

Zapoznawszy się, jak mniemamy, dostatecznie z podstawami, na których wznosi się ideowa budowa stronnictwa demokratyczno-narodowego, stwierdziwszy, iż podstawy te — to nie skalista opoka prawd chrześcijańskich, ale raczej lotny piasek pomysłów filozoficznych nowszej doby, — trzeba nam sięgnąć po dowody na to, że demokracja narodowa nie uważa błędnych swych przekonań religijnych za jakąś naukę tylko teoretyczną, ezoteryczną, zupełnie wewnętrzną, ale że raczej zgubne te pojęcia stara się wszelkimi środkami rozpowszechnić, wprowadzić w praktykę, przelać w życie, czyniąc z nich znamię prawdziwego patryotyzmu. Potężnym środkiem w zgubnej tej robocie jest liczna prasa jawnie na usługach rzeczonoego stronnictwa stojąca lub mniej lub więcej z kierunkiem tym sympatyzująca, przez której łamy przepływa jakoby przez kanały ów napój spreparowany przez endeków do duszy dziesiątków tysięcy czytelników, w silniejszych, to zno-

wu słabszych dawkach. Przyznać nam trzeba, że narodowa demokracja posiada dość liczną, znakomicie prowadzoną i doskonale zróżniczkowaną prasę tak codzienną jak też i peryodyczną, zastosowaną do poziomu umysłowego czytelników. Nie da się i to zaprzeczyć, że pisma, gazety i broszurki endeckie w niejednym obudziły, pokrzepiły lub wychowały poczucie narodowe i obywatelskie. Ale przemilczeć też nie wolno i ujemnych stron tego oddziaływania na poszczególne warstwy narodu. Nas mniej obchodzą zarzuty narażania rozmaitych osób, urzędów gminnych na grzywny lub inne kary, mniej interesują strajki szkolne nie przyczyniające się z pewnością do podniesienia kulturalnego społeczeństwa, mniej uderzają znamiona świadczące, iż prasa w wielkiej części konspiracyjna w myśl programu wszechpolskiego odrywa spory zasób sił od spokojnej a celowej pracy przy warsztacie społecznym, że stronnictwo demokratyczno - narodowe propaguje w miejsce dawnego liberum veto nowoczesne liberum conspiro! O wszystkich tych rzeczach czyta się po dziennikach i czasopismach długie rozprawy pro i contra. Uwagę naszą skierujemy na wszystkie te objawy, które dowodzą propagandy fałszywych pojęć o religii, Kościele, jego stosunku do społeczeństwa w ogólności a Polaków w szczególności, o duchowieństwie i t. d. Materiału dostarczą nam trzy czasopisma, które dla potrójnej przeznaczone kategoryi czytelników, stanowią — że tak powiem

— trzy nieco odrębne recepty, mające społeczeństwo nasze obudzić z choroby „apatyi“ i zubożenia narodowego kosztem wiekowego przywiązania do Kościoła katolickiego. Mamy tutaj na myśli „Przegląd Wszechpolski“, „Tekę“, i „Polaka“.

„Przegląd Wszechpolski“, miesięcznik, założony we Lwowie r. 1895, a r. 1902 do Krakowa przeniesiony, skupiał w koło siebie najwybitniejsze siły publicystyczne całego obozu demokratyczno-narodowego i był urzędowym organem wszechpolsaków<sup>1)</sup>. Życia dokonał w r. 1909. „Tekę“, również miesięcznik, wychodzi bardzo nieregularnie, służy do propagandy zasad demokratyczno - narodowych wśród młodzieży akademickiej i gimnazjalnej wszystkich zaborów. „Polak“ wychodził również co miesiąc i szerzył idee endeckie między ludem wiejskim, mianowicie w Królestwie Polskiem, dokąd bywał przemycany jako lektura nielegalna. Inne wydawnictwa stałe lub peryodyczne, legalne czy zakazane, pomijamy. Starczy nam, jeśli w rzeczonych trzech pismach odnaleźć zdołamy stwierdzone powyżej „założenia podstawowe“ stronnictwa, o którym mówimy.

Co do „Przeglądu Wszechpolskiego“ kierowanego przez dłuższy czas przez pp. Dmowskiego i Popławskiego, to jasną jest rzeczą,

---

<sup>1)</sup> O innych metamorfozach tegoż „Przeglądu“ nie wspominamy, gdyż leży to poza obrębem naszej pracy.

iż organ urzędowy nie może jako „typ pisma poświęconego sprawom całej Polski i przez wszystkie dzelnice czytowanego“<sup>1)</sup> z natury rzeczy innym hołdować poglądom niż jego twórcy, że z konieczności jest wiernem odbiciem tych dążeń i prądów, które ożywiają i nurtują samo stronnictwo demokratyczno-narodowe. Jeżeliśmy wszakże słów kilka temuż poświęcili wydawnictwu, to uczyniliśmy ze względu na taktykę kierowników tego pisma. Z podziwienia bowiem godną elastycznością umiała redakcja rzeczzonego miesięcznika lawirować między scylą a charybdą; nie wypierając się ani joty z owego programu, potrafiła ona przemawiać do duchowieństwa katolickiego to głosem piorunu, to znowu łagodnem a nęcącym szemraniem leśnego strumyka, a zawsze uderzała w czułą stronę serca, w patryotyzm, aby zrobić z księży polskich powolne narzędzia zamiarów własnych stronnictwo-politycznych. „W znacznej części pochodzące z ludu, obowiązkami swego powołania najbardziej do niego zbliżone duchowieństwo katolickie coraz czynniejszy z konieczności musi brać udział w pracy nad uświadczeniem narodem i politycznem“<sup>2)</sup>. Uczucie religijne niepoślednie zajmuje bowiem miejsce wśród czynników, na których narodowa demokracja zbudować pragnie „świadcność narodową“ i z któ-

---

<sup>1)</sup> Patrz: Dziesięciolecie, str. 148.

<sup>2)</sup> Patrz: „Przegląd Wszechpolski“, 1902, V, str. 251.

rych wyprowadzić zamierza „myśl polityczną“). Z tego stanowiska „Przegląd Wszechpolski“ zapatrywał się na cały ruch wywołany wśród „nawróconych“ niegdyś unitów ukazem tolerancyjnym, nazywając z „historykami“ unię „chybionym pomysłem politycznym“, „wiarą chłopską“, w obronę biorąc „przeszłość za upośledzenie obrządku i duchowieństwa unickiego“<sup>2)</sup>). Tem się również tłumaczy, że cała demokratyczno-narodowa prasa tak skwapliwie stanęła po stronie biednych dzieci poznańskich w czasie strejku szkolnego, wywołanego niemieckim wykładem religii w szkołach ludowych, że nawet zdeklarowani ateusze narzucali się nieszczęśliwej diatwie za opiekunów, wygrażając pięścią w stronę hierarchii i pomawiając<sup>3)</sup>) ją o brak odwagi i poczucia obowiązku w tej sprawie. Bogu jedynie wiadomo, czy może właśnie dla wypaczenia tak niefortunnego chwalebnej w założeniu pierwotnem myśli całego tego ruchu łązy strejkujących dzieci nie popłynęły napróżno!

„Przegląd Wszechpolski“ w czyn wprowadzając orzeczenie programu, iż bronić pragnie interesów Kościoła katolickiego nawet „wbrew hierarchii kościelnej“<sup>4)</sup>), gdyby ta - zdaniem endeków - w czemkolwiek uchybić miała obo-

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1905, V i VI, str. 301.

<sup>3)</sup> Patrz: „Myśl Polska“, r. 1907, nr. 26, str. 403. Naród a Kościół w Poznańskim.

<sup>4)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1807, XI, str. 245.

wiązkom względem „narodu lub Kościoła“, nie tylko pouczał rząd galicyjski, iż „można było<sup>1)</sup> odnieść się z mniejszą tolerancją do pewnej liczby proboszczów grecko-katolickich“, iż trzeba było rychlej uwięzić „kilku pasterzy“ unickich, — ale udzielał skwapliwie na łamach swoich gościny<sup>2)</sup> listom zgorzkniałego „księdza“ piszącego „do księży“, stawał energicznie w obronie powagi i wpływu duchowieństwa poznańskiego<sup>3)</sup>, zagrożonego ugodową polityką arcybiskupa Stablewskiego, którego nazwał „prusofilem we fioletach“<sup>4)</sup>, kazał się z nieufnością odnosić Polakom do polityki, jaką uprawia Watykan<sup>5)</sup> wobec nas ze względu na rząd rosyjski. Niektórzy upatrują w takim postępowaniu ukryty zamiar zmuszenia episkopatu polskiego do poważnego liczenia się z stronnictwem demokratyczno-narodowem za pomocą wywoływania względnie podsycania rozterek wewnętrznych, jakieby powstały w łonie duchowieństwa na tle niesubordynacji.

Ku temu celowi zaczęto nawet werbowanie zwolenników wśród duchownych przez osobną gazetkę wydawaną tajnie tylko dla księży pod nazwą „dla Swoich“. Zupełne i otwarte zerwanie z całym duchowieństwem katolickiem uważał główny organ wszechpolski za pomysł

---

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1901, I, 31.

<sup>3)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1897, V, str. 97.

<sup>4)</sup> Tamże, r. 1905, str. 895.

<sup>5)</sup> Tamże, r. 1896, str. 385.

niebezpieczny, gdyż kler stanowi<sup>1)</sup> w społeczeństwie naszym siłę zbyt poważną, a zmuszony do walki, mógłby pociągnąć wielką część ludu za sobą, mianowicie w W. Ks. Poznańskim. Przezorność ta bynajmniej jednak nie wpływała ujemnie na stosunek „Przeglądu Wszechpolskiego” oraz całego stronnictwa do Związku Narodowego Polskiego w St. Zjednoczonych Am. Pł.<sup>2)</sup>); wiemy, że ten związek szczególnie się odznacza na gruncie polsko-amerykańskim zwalczaniem wpływu duchowieństwa katolickiego. Objaw ten zrozumiałym się staje, jeśli się nie zapomina o programowych zasadach, jakie endecya sobie wytknęła względem Kościoła i religii; znany „Przegląd Wszechpolski” komentuje je w sposób następujący: religia<sup>3)</sup> jest nie tylko wyznaniem wiary jednostki, stąd nie tylko rzeczą prywatną — ale i wyznaniem społeczeństwa i dlatego potężnym składnikiem duchowego życia narodu. Kto więc rzetelnie służyć pragnie sprawie narodowej, ten musi bronić wyznania tego, które odnośny naród uważa za swoje. Ponieważ religią rzymsko-katolicką u nas olbrzymia większość wyznaje, przeto i demokracja narodowa czuje się zaniewoloną zająć w tej sprawie wyraźne stanowisko i stanąć w obronie

<sup>1)</sup> Tamże, r. 1901, II, 69.

<sup>2)</sup> Patrz: tamże, r. 1901, XI, str. 700, r. 1903, XI, str. 836, r. 1895, IV, str. 57, oraz: Scriptor, Nasze stronnictwa skrajne, str. III.

<sup>3)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, r. 1903, V, str. 321—326.



tegoż wyznania; uczyniłaby to samo z każdym innym wyznaniem, gdyby ono było wiarą Polaków! Wychodząc ze założenia, iż reprezentant katolickiego wyznania — Kościół katolicki jest „instytucją narodową“, poczuwa się endecya z jednej strony do bronienia Kościoła od wrogów zewnętrznych, z drugiej zaś do zwalczania niezdrowych objawów wewnątrz jego ustroju. Niezdrowy objaw upatruje endecya w zasadzie stronnictw klerykalnych i ultramontańskich, że widzą w Kościele władzę zewnętrzną nad wiernymi, że traktują sprawy religijno-kościelne z punktu widzenia nienarodowego, że ulegają rzekomo wpływowi bezpośredniemu „interesów zewnętrznych“. Duchowieństwu przynależy wśród społeczeństwa stanowisko możliwe, ale tylko w kościele; „poza kościołem<sup>1)</sup> jednak ksiądz musi być obywatelem, Polakiem przede-wszystkiem“, musi spełniać jaknajskrupulatniej obowiązki swe względem ojczyzny i to — według przepisów endecyi. A przepisy te zawierają bardzo sporą dawkę „prusactwa duchowego“, hakatyzmu i „ducha żandarmskiego“, gdyż — zdaniem „Przeglądu Wszechpolskiego“ — rubaszny, twardy, szorstki junker pruski — to właściwy charakter „starych Polan<sup>2)</sup> z epoki piastowskiej, niezłagodzony jeszcze dopływem żywiołów małopolskich.

---

<sup>1)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, r. 1905, str. 895.

<sup>2)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1901, I, str. 3.

ruskich i innoplemiennych". Szowinizm narodowy, iście krzyżacki, przemawia zbyt często z łanów „Przeglądu", by go można w jakibądź sposób, choćby i za pomocą sofistyki, ukryć przed okiem bezstronnego czytelnika, wprowadzić do nauki Kościoła katolickiego. Tego nie zacieśnią żadne tłumaczenia pojęć<sup>1)</sup>, żadne głębokie rozumowania teoretyków. Przeciwwstawia się im potężne słowo Pisma św.: „Czegobyś nie chciał, abyć kto inny czynił, patrz, abyś i ty kiedy drugiemu nie czynił!"<sup>2)</sup>

Duch przesadnego patryotyzmu, główny przycisk kładący na negatywną stronę szlachetnej tej prawdy, wieje silniej jeszcze i potężniej z tych wszystkich wydawnictw, które endecya przeznacza dla młodzieży. Przedsiębiorstwem takim była „Teka", na pozór uchodząca za wydawnictwo zupełnie niezależne, redagowane i czytowane przeważnie przez młodzież naszą. Że „Teka" w gruncie rzeczy była domowym nauczycielem idei endeckiej, czerpiącym swoją umiejętność głównie z źródeł demokratyczno - narodowych, o tem świadczą nietylko fakta, iż drukowała się w oficynie endeckiej a redaktorzy za zdeklarowanych uchodzili endeków, ale przede-wszystkiem wynurzenia samejże „Teki" oraz i „Przeglądu Wszechpolskiego". W artykule wstępnym, zatytułowanym: „Polskość naszego

<sup>1)</sup> Patrz: Tamże, r. 1896, XX, str. 460; r. 1903, XI, str. 805; r. 1902, XI, str. 801.

<sup>2)</sup> Księgi Tob., IV, 16.

programu<sup>1)</sup>) czytamy następujące wyznanie wiary: „Piszemy się na program demokratyczno-narodowego stronnictwa, bo w nim znaleźliśmy jedyną, wielką myśl polityczną“. Wiernopoddający ten hołd stwierdza „Przegląd Wszechpolski“, pisząc: „Pracę wśród młodzieży<sup>2)</sup> w obecnej fazie zaczęliśmy już jako stronnictwo demokratyczno - narodowe, mając swój sformułowany, jasny program“. Dalej czytamy: „Gdy weźmiemy do rąk<sup>3)</sup> wybornie prowadzone pismo młodzieży, „Tekę“, odrazu rzuca się w oczy, że jest to istotnie organ trójdzielnicowy, wszechpolski, nie tylko ze względu na równe zainteresowanie się sprawami trzech zaborów i liczne współpracownictwo z każdej dzielnicy, ale także, co ważniejsza, dla wspólności ideałów i dążeń oraz znakomite rozumienie się wzajemne między młodzieżą różnych dzielnic“. Chyba wspominać o tem nie potrzeba, iż młodzież z całym zapalem<sup>4)</sup> przejęła się ideami swych „starszych kolegów“ i głosi je z niezachwianą wiarą urbi et orbi jako jedyny środek zbawienia ujarzmionej ojczyzny. „Etyka narodowa“, oparta na „obserwacyi faktów psychologicznych“, a nie zarażona w niczem znienawidzonym klerykalizmem, jest ewangelią młodzieży grupującej się wokoło „Teki“. Szowinizm

---

<sup>1)</sup> „Teki“, r. 1901, X, 401.

<sup>2)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, r. 1901, IV, str. 212.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 213.

<sup>4)</sup> Patrz: „Teki“, r. 1906, I—II, str. 8.

w najwyższej nieomal potędze, bezwzględność polityki, krytycyzm zjadliwy, niechęć ku wszystkim tym, którym przypadło w udziale zadanie niewdzięczne, ujmowania wybujałej młodzieńczości w karby rygoru i ładu, bucha i tryska tam z taką siłą<sup>1)</sup>, iż „starsi” nieraz dość energicznych muszą używać perswazyi, by roznamiętnionego Pegaza we właściwych utrzymać granicach. Księży katechetów przedewszystkiem — prawie z lubością — młodzież rozciąga na łożu Prokrusta, bezwzględną na nich przeprowadzając wiwisekcję według zasad wyczytanych w „Tece”, nie troszcząc się wcale o to, czy rzeczony kapłan mógł, chciał czy musiał tak lub inaczej postąpić. Pisząc te słowa, w zupełności sobie z tego zdajemy sprawę, iż podobno zawsze i wszędzie profesorom przypisywać należy winę, gdy się uczniowi jakimukolwiek przydarzy nieszczęście, bez względu na to, czy ów pedagog we fraku czy w sutannie. Gdy jednak ktoś na katechetę swego wymyśla publicznie, winien się nieco więcej liczyć z prawdą, z stanem i charakterem kapłańskim, z przekonaniami czytelników, jeśli nie zupełnie jest sobie świadom, iż zastosować może zasadę: *similis simili gaudet*. Niewolno zatem żadnemu gimnazyaście czy akademikowi — choćby ze względu na innych kolegów — podawać w pogardę idei, którą reprezentuje nauczyciel religii, niewolno

<sup>1)</sup> „Teka”, 1907, IX, str. 242.

lekceważąco wyrażać się o praktykach religijnych, o Kościele, władzach duchownych itd. Tej zasady nie przestrzegają a zdaje się, że wogóle nie znają młodzi korespondenci „Teki”. Stąd też znajdziesz tam ostre słowa skierowane i przeciw kapłanom-służalcom i przeciw katechetom-dobrodziejom; krzywdzi się bądź to ks. biskupa Koppa, bądź to księży arcybiskupów (Popiela<sup>1)</sup>), (Szeptyckiego<sup>2)</sup>), (Stablewskiego<sup>3)</sup>) i innych. A gdy się pojawi przypadkiem rozprawka wymierzona przeciw propagatorom teorii Darwina, to z dopiskiem redakcyi, iż się „pozwala młodszym kolegom swobodnie wypowiadać na łamach „Teki” i dlatego pozostawia się rzeczoną korespondencyę bez zmiany”. Nie poprzestając na urzeczywistnieniu we własnem gronie zdania: „sami będziecie swą władzą<sup>4)</sup> i sami jej słuchać będziecie”, rezonują ci panowie o jezuityzmie w ujemnem tego słowa znaczeniu, wydrwiwają tych<sup>5)</sup>), co dążą do wypalenienia rozpuszty, przepisują sposób wychowania kleryków<sup>6)</sup> po seminariach duchownych. W pojęciu niektórych korespondentów jest Kościół katolicki „w swej zasadzie<sup>7)</sup> najistotniejszej kosmopolitycznym i jej to przede wszystkim zawdzięcza swój

<sup>1)</sup> Patrz: „Teka“, 1907, IV i V, str. 142.

<sup>2)</sup> Patrz: „Teka“, 1907, II i III, str. 53.

<sup>3)</sup> Patrz: „Teka“, 1902, X, str. 449.

<sup>4)</sup> „Teka“, 1902, VI i VII, str. 318.

<sup>5)</sup> Tamże, r. 1908, VI, VII, str. 154.

<sup>6)</sup> Tamże, 1903, XI, str. 491.

<sup>7)</sup> Tamże, 1904, II, 103.

wzrost i potęgę“. „Konsekwentny katolik — ortodoks — musi być kosmopolitą, jak nim był sam założyciel tej religii“. „Kapłan katolicki<sup>1)</sup> — narodowiec — jest więc zawsze typem kompromisowym, przystosowanym“.!! Autor listu „Jeszcze o klerykach“<sup>2)</sup> użala się na jednostronność wychowania w seminariach, biada nad cenzurą książek czytanych przez alumnów, skarży się na brak „rozmyślenia“ o Polsce itd. Biedak! toć chyba sobie włosy powyrywał na wieść o zakazie czytania gazet, mianowicie takiego zdradzających ducha, jakim owiana była „Teka“ i pokrewne! O tem wszakże zapewnić go możemy z wszelką pewnością, iż „Panteonu“, „pisma poświęconego krzewieniu i pielęgnowaniu myśli niezależnej od doktryn przeżytych dziś systemu religijnego chrześcijaństwa“ a przez „Tekę“ polecanego<sup>3)</sup>, w murach seminaryjskich się nie ścierpi! Czytając niektóre artykuły lub recenzje tego pisma dla młodzieży, pisane przeważnie przez ludzi bardzo nieraz młodych, mamy wrażenie, iż autorzy tych elaboratów — to areopag najmędrszych, najdoświadczeńszych i najnieomylniejszych filozofów, przed którym zdawać winna sprawę każda instytucja, począwszy od władz szkolnych galicyjskich<sup>4)</sup> a skończywszy na Stolicy Apostolskiej!! Powagi naukowe tej miary co

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> „Teka“, 1908, II, str. 73.

<sup>4)</sup> „Teka“, r. 1901 i 1902: Szkoły średnie w Galicyi ze stanowiska narodowego.

profesor Tarnowski powinny pokornie prosić tę młodzież o aprobatę na swoje dzieła, gdyż inaczej tęgie im się dostaną cięgi<sup>1)</sup> za stronniczość i „przychylność ku katolicyzmowi”; w dodatku dzieła ich powędrują na indeks książek zakazanych dla młodzieży! Nawiasem dodać możemy, iż żaden indeks nie liczy chyba tyle książek i pism, co demokratyczno-narodowy.

Pomijając dyskredytowanie wszelkich „piśmideł klerykalnych”<sup>2)</sup> jak „Znicz”, wyśmiewanie jezuitów, przestrogi o zastawianiu „siedel przez klerykałów”<sup>3)</sup> oraz rozmaite modlitwy i litanie<sup>4)</sup> polecane do odnawiania „ku pokrzepieniu serc i zbudowaniu ducha”, zbliżone zbytnio do bluźnierstwa, nie wspominając już o powoływaniu do odpowiedzialności Grzegorza XVI<sup>5)</sup> za potępienie rewolucyi i Leona XIII. za „sztuczki dyplomatyczne”, zwrócić pragniemy uwagę czytelników na „refleksye syllabusowe”<sup>6)</sup>, zamieszczone pod nagłówkiem „Z worka judaszowego”. Autor samychże refleksyi, podpisujący się „Mutek”, gorzko skarży się na obecnego papieża Piusa X., który na niego czyni wrażenie „rozkapryszonego dziecka, powtarzającego na wszystkie przedstawienia jedną, niezmienną, z uporem powtarzaną odpowiedź: „nie!” Panu Mutkowi wcale nie wystar-

---

<sup>1)</sup> „Teka”, 1909, nr. I, II i III, str. 29.

<sup>2)</sup> Tamże, 1907, XI, str. 296.

<sup>3)</sup> Tamże, 1907, VI i VII, str. 191.

<sup>4)</sup> Tamże, 1907, VI i VII, str. 163.

<sup>5)</sup> Tamże, 1904, II, str. 103.

<sup>6)</sup> Tamże, 1908, I i II, str. 50.



cza proste orzeczenie, iż błędy potępione syl-  
labusem nie zgadzają się z duchem nauki Ko-  
ścioła katolickiego! Nie rozumie też p. Mutek,  
jak św. Inkwizycya fałszem może nazwać  
iż „Chrystus nie ogłosił nauki, któraby stano-  
wiła system wykończony i dała się zastoso-  
wać do wszystkich ludzi”; krytykowi zbytnio  
się nie dziwimy. Kto stoi na stanowisku pp.  
Dmowskiego i Balickiego, ten przecież z góry  
przyznaje, że czeka dalszego rozwoju nauki  
Chrystusowej, że etyka chrześcijańska nie jest  
ostatnim wyrazem objawienia, że trzeba ją  
uzupełnić „etyką narodową” i przygotować  
do „egoizmu narodowego”. Dokonali tego  
szczęśliwie twórcy endecyi!! I tak genialny  
wynałazek śmie Ojciec św. potępić, ten sam  
następca na stolicy Piotrowej, która przecież  
dorzuca do nauki Chrystusowej ustawicznie  
„nowe prawdy”!<sup>1)</sup> Naprzykład dogmat Niepo-  
kalanego Poczęcia N. M. P.! Według smu-  
tnych refleksyi zasadza się postęp nauk na  
„ciągłej ewolucyi”, na ustawicznym prze-  
kształcaniu się i zmianie rezultatów nauko-  
wych, słowem na modernizmie. Stąd wy-  
nika, iż nauka „nie może mieć przyjaciela  
w Kościele, uważającego (sic!), że prawda  
jest niezmienną i że została tylko raz jeden  
objawioną”. Jako działa, mające w puch  
rozbić powagę św. Inkwizycyi i papieży, wy-  
tacza autor wspomniany „traktaty lingwisty-

<sup>1)</sup> Tamże.

czne, porównywawczo-historyczne i t. d.“ no i „zdrową logikę“!! Na zakończenie zaś poleca przeczytanie bez „uprzedzenia“ odpowiedniej literatury, naprzykład: „Stosunek wiary do rozumu“ (Drapera<sup>1)</sup>), „Dwa dokumenty ludzkości“, „Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów“ Radlińskiego i „Zarys teoryi monistycznej“ Haeckla, gdyż dzieła te „rzuca wiele jasnego światła na omawianą sprawę“!! Jak straszne zalegać muszą w głowie twórcy takich refleksyi ciemności, skoro dla niego wymienieni autorowie „jasnem“ są „światłem“!!

Co prawda wydrukowano kilka numerów później artykuł w odpowiedzi Mutkowi, podpisany J. K. i widocznie nadesłany, ale charakterystycznym pozostaje, że redakcya „Teki“ nie uważała za stosowne ani słowem zwrócić uwagi na niedorzeczności „Mutka“. Właściwego zaś oświecenia rzecz cała nabiera przez zjadliwy artykuł „Gazety Codziennej“ urzędowego dziennika narodowego-demokratycznego w Warszawie, z sierpnia r. 1907, wymierzony przeciw nowemu Syllabusowi.

Niewątpliwą jest rzeczą, iż pisma młodzieży i jej sprawom poświęcone są niezmiernie dodatnim czynnikiem w życiu społecznem i kulturalnem. W dzisiejszych jednak czasach, w dobie, gdzie racjonalizm niezdrowy, pesymizm, hyperkrytycyzm, obojętność religijna tłoczy się jakoby drzwiami i oknami do duszy i serca

---

<sup>1)</sup> Co o „dziełach“ Drapera sądzić należy, patrz: „Na przełomie“, część I, str. 66.

młodego pokolenia, powinno wydawnictwo takie w całej pełni uprzytomnić sobie, iż pilnie mu baczyć trzeba na to, by nie stać się upiorem wypijającym z serc młodocianych nawet i te kropelki wiary i religijności, jakie młodzieży zostawia wadliwy dzisiaj ogólnie system szkólny. Jeśli kierownictwo pisma jakiegobądź inaczej postępuje, jeśli gościnnego przytułku udziela na łamach swoich napaściom bezwstydnym na niewzruszone powagi boskie i ludzkie i wszystko to rzuca w świat w zeszytach noszących napis: od niewoli moskiewskiej, austriackiej, pruskiej wybaw nas Panie! — to tem samem publicznie redakcyja taka dokumentuje, że albo nie rozumie swego zadania, albo nie uznaje powag rzeczonych. Czyżby kierownicy „Teki” nie czuli, iż Syllabus piętnuje również i „podstawowe założenia”, na których wznosi się gmach wielkości ideowej całego stronnictwa demokratyczno-narodowego, a zatem i tego odłamu młodzieży, który pisze się bezwzględnie na wszystkie zasady głoszone przez „Teke”?!

Te same „podstawowe założenia”, któremi żyje i oddycha „Przegląd Wszechpolski” i „Tekka”, propagował również i „Polak”, założony roku 1896-go, — chociaż w zupełnie innej formie, stosownie do poziomu umysłowego swych czytelników. Znając przywiązanie ludu naszego do wiary katolickiej i jej przedstawicieli a swych duszpasterzy, „Polak” nie gardzi nawet obrazkami treści religijnej, hamuje swoje

zapędy cięte wobec duchowieństwa. Owszem, tłumaczy nawet postępowanie kleru w oczach zwolenników „obrony czynnej“<sup>1)</sup>, głoszonej przez Jeżę (pułkownika Miłkowskiego). Gdy jednak mówi o obowiązku bronienia wiary<sup>2)</sup> i mowy ojczystej jako o obowiązku „świętym“, ma na myśli „polską“ wiarę katolicką! Demokratyczne stanowisko wydawnictwa stwierdza zdania tego rodzaju: „Właściciele ziemscy, fabrykanci i wszyscy, którzy z pracy ludu żyją, niechętnie a nawet z pewną trwogą patrzą na to jego dążenie do oświaty, do polepszenia swego bytu, do wolności obywatelskiej, chcieliby je powstrzymać za wszelką cenę“. „Inni“<sup>3)</sup> gotowi są zawrzeć przymierze nawet z wrogami Polski przeciw ludowi polskiemu, byle swoje przywileje, swoje znaczenie w narodzie podtrzymać“. Śpiewając na wszystkie tony pochwalny hymn dążeniom rewolucyjnym, apoteozując bohaterów powstania, że posługiwali się skrytobójstwem, trącając ustawicznie bolesne rany krzywd poniesionych, „Polak“ przygotowywał lud nasz do ruchu zbrojnego i wmaślał w niego, iż ta do niedawna „na wpół martwa masa“ posiada „wszelkie potrzebne kwalifikacye, aby stanowić o sobie i o Polsce“,

---

<sup>1)</sup> „Obrona czynna“ polega „nie na powstaniu, ale też nie na wyrzekaniu się powstania“; w dobie dzisiejszej zaś przedstawia się w postaci „kijów i policzków“, którymi twórca skarbu narodowego radzi karcieć ciemiężców!

<sup>2)</sup> „Polak“, 1901, XII, 1902, III.

<sup>3)</sup> „Polak“, 1901, III.

aby ojczyznę wskrzesić „ze szlachtą czy i bez szlachty”. Chłop polski, już z natury rubaszny, spotykał się na łamach swego „przyjaciela” z takimi kwiatkami jak: „plugawy język mongolski”, „przekłęta kacapska mowa”, że „niemcy to podły naród, który o sprawiedliwości i uczciwości nie ma należytego pojęcia”, że każdy rosyjanin to „wróg bezwzględny”. Rozmaite „głuche wieści” podawane bez zastrzeżeń, a nigdy jasno nie sprostowane, wpajały w duszę chłopu polskiego przekonanie, że „moskale” podłożyli ogień pod klasztor jasnogórski, że rosyjaninowi nigdy ufać nie należy, chociażby świętymi się kłął przysięgami, że mordstwo na rosyjaninie spełnione to tylko „czyn śmiały”<sup>1)</sup>). Wychowawcy tego biednego ludu naszego nie mają słowa wyjaśnienia dla mniemania zgubnego a szerzącego się — jak to sami stwierdzają — coraz bardziej wśród ludności, że można „rozprawić się z moskalem po cichu i niech na tamtym świecie skarży się na nas”! Panowie od „Polaka” temu się ani „nie dziwią”! „Na tej polskiej ziemi”) — woła „Polak” — od Odry do Dniepru, od Bałtyku do Karpat i Morza czarnego nie ma dla nikogo miejsca prócz nas. My albo oni — a gdy my zwyciężymy, przypomnimy Niemcom i Moskałom Grunwald i Kłuszyn; doczekają się w tym może wieku dzieci nasze takiej chwili, że zobaczą

<sup>1)</sup> „Polak”, 1909, XI, nazwał skrytobójcę „śmiałym” miasto zbrodniarzem.

<sup>2)</sup> „Polak”, 1901, I.

carów moskiewskich na łańcuchach prowadzonych po Warszawie“. Do jakiego stopnia blaga i frazesy powyższe wpiły się w umysły, serca i dusze prostego ludu naszego, o tem przychwala się „Przegląd Wszechpolski“, zaznaczając z zadowoleniem, „iż uruchomienie<sup>1)</sup> ludu zaczyna się już dziś i gdyby chodziło o poruszenie go do czynnego wystąpienia w tej lub owej postaci — nie byłby wcale taki eksperyment trudnym.“!!

„Żal mi ludu tego“ zawołał ongi Zbawiciel nasz, mając w pierwszym rzędzie w owej chwili duchowe potrzeby ludzkie na uwadze. Dzisiaj powtórzyliby Mistrz nasz te same słowa, gdyby Mu pośród nas Polaków przyszło żyć i cierpieć, gdyby patrzeć był zmuszony na bezgraniczną lekkomyślność niektórych bohaterów i apostołów idei zatruwających duszę naszego chłopka zabójczym jadem przewrotnych doktryn. Ci panowie, którzy przy papierosie, w ciepłym pokoju, gdzieś tam za granicą dziesiątą i dziesiątą rzeką siedząc, piszą artykuły tego rodzaju jako strawę duchową dla ludu naszego, nigdy chyba nie spojrzeli w głąb własnej duszy i własnego sumienia, tem mniej zaś na dno duszy chłopskiej. Gdyż inaczej wiedziećby powinni, co się stanie we wnętrzu duszy ludzkiej z bezymyślnie porzuconego materiału, jakim oni operują, gdy czarne postaci zawiści, ciemnoty, nędzy, cierpienia i interesu osobistego tchną

---

<sup>1)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1902, V, str. 352.

w tę masę bezkształtną swego ducha. Broni bezkarnie nie wciska się do ręki; nigdy się nie wie, kiedy i na co będzie użyta. Bojówki, rzezie, bratnia walka na życie i śmierć, morza krwi i łez, skrytobójstwa niewinnych nieraz, wywołanie na taczkach, zdziczenie obyczajów, obniżenie ogólne poczucia sprawiedliwości — oto skutki — oto potworne owoce takiej roboty. „Masę na pół martwą“ do niedawna „hamować“ trzeba było „kontrbojówkami“, by stłumić iskry niebacznie rozdmuchane. Spełniały się bowiem obawy wyrażone w „Przeglądzie Wszechpolskim“<sup>1)</sup>, iż „ruch może przerosnąć ponad głowy i wymknąć się z pod naszego kierownictwa!“

Niczem Sybir, niczem knuty!  
Lecz narodu duch zatruty,  
To dopiero bólów ból!

#### IV. *Niezgodność zasad stronnictwa demokratyczno-narodowego z nauką Kościoła katolickiego w praktycznych przejawach.*

Znając już w grubych zarysach podwaliny „etyki narodowej“ i wiedząc o tem, iż stronnictwo propagujące rzeczzonej etyki zasady w piśmie i mowach oficjalnych, półoficjalnych i prywatnych zdobyło sobie dość znaczny zastęp zwolenników i wielki wpływ na społeczeństwo nasze, trzeba nam się obejrzeć za konkretnymi przejawami i faktami, w których i ze stro-

---

<sup>1)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1901, VII, str. 425.



ny katolickiej zadokumentowano niejako z urzędu niezgodność teorii endeckich z nauką katolicką. W społeczeństwach katolickich — a takim przecież jest dotąd i społeczeństwo nasze — każdy błąd teoretyczny, wprowadzony w życie, w praktykę, wywołuje ostry zgrzyt, na czynny napotyka opór, jeśli nie społeczeństwa samego, to przynajmniej tych czynników, których zadaniem jest, czuwać nad skarbami odziedziczonymi po przodkach, strzedz owczarni Chrystusowej. Nie można przypuścić, aby duchowieństwo polskie, czuwające na straży czystości i nieskazitelności odwiecznych prawd wiary, nie miało się poznać na stronnictwie, które w imię przesadnego patryotyzmu szerzy wśród narodu polskiego zgubne doktryny, fałsze oczywiste, w jawnej stojące sprzeczności z zasadniczymi prawdami nauki katolickiej.

Nie zatrzymując się nad głosami opinii katolickiej<sup>1)</sup>, potępiającemi ostro a słusznie nauki endeckie, pomijając zatargi liczne poszczególnych stronnictw katolickich z narodową demokracją, przystępujemy wprost do tych faktów, które odsłoniły właściwą wartość programowej endeckiej etyki narodowej w całej nagości. Dla zilustrowania tego, cośmy w poprzednich wyłuszczyli rozdziałach, bierzemy dwa typowe wypadki na tem miejscu pod rozwagę. Mamy tutaj na myśli sprawę „ambulanšu“ i dzieje „odezwy młodzieży szkół śre-

---

<sup>1)</sup> Patrz: „Przegląd Katolicki“, r. 1906.

dnich miasta Warszawy“, dwie „cnoty“ według „etyki narodowej“, według „etyki chrześcijańskiej“ dwa grzeszne i niegodziwe wybryki.

Wiadomą jest ogólnie rzeczą, z jaką sympatyą odnosiła się endecya stosownie do swego założenia, że wszystko, co nas do niepodległości zbliża, jest dobrem, a co nas od niej oddala, jest złem, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej do pogańskiej<sup>1)</sup> Japonii. Za zbyt ryzykowne uważając na owe czasy wywołanie w Polsce powstania, demokracja narodowa postanowiła nie tylko szerzyć wszelkimi środkami kult japońskiego bohaterstwa, ale uniemożliwić wszelkie przejawy humanitarności dla tych Polaków, którzy, wtłoczeni w mundur żołdaka rosyjskiego, zawleczeni zostali na śnieżne pola Mandżuryi. Gdy z początkiem roku 1904-go wysłano na daleki wschód żołnierzy z Królestwa polskiego pochodzących, grono wybitnych osobistości warszawskich z arcybiskupem Popielem i ks. prałatem Chelmskim na czele zorganizowało tak zwany ambulans czyli oddział sanitarny celem niesienia pomocy religijnej i lekarskiej przede wszystkim synom naszej ziemi. Ambulans ten składać się miał z kapłana, pięciu sióstr miłosierdzia św. Wincentego à Paulo i odpowiedniej ilości służby sanitarnej. Katolicy widzieli w tej akcji ks. Popiela arcy-

<sup>1)</sup> O wymianie telegramów z poselstwem japońskim, patrz w „Tece“, r. 1904, VII i VIII, str. 441.

pasterską pieczołowitość swego biskupa, innowiercy wzniosły czyn humanitarny — stronnictwo demokratyczno-narodowe zaś „niefortunny“<sup>1)</sup>, a lud „demoralizujący wysiłek dziś już całkiem niedołęznego arcybiskupa“<sup>2)</sup>. „Jest to“<sup>3)</sup>, pisał organ wszechpolski, odwrócenie uwagi od rzeczy głębokich i żywotnych do rzeczy fałszywych i komedyanckich, bo cóż arcybiskupa Popiela lub cynicznego prałata Chełmickiego i jego przyjaciół obchodzą na prawdę chorzy i cierpiący na dalekim Wschodzie? Czy obchodziły ich kiedy dziesiątki tysięcy chorych i głodnych w suterenach na przedmieściach warszawskich? Akcya ks. Popiela wprowadzić tylko może sentymentalną rozterkę do umysłów, zwłaszcza prostych, niweczyć będzie zawiązki solidarności narodowej, tak niezbędnej w dzisiejszej chwili historycznej, powlecze nasze sumienia obłudą, skrzywi pogląd znacznej części masy na oczekujące nas zadania, głosić będzie ordynarne fałsze o walce chrześcijan z poganami, mącić w umysłach polskich, które od trzech wieków z zamętu wyjść nie mogą“. „Polak“<sup>3)</sup> zaś udzielił czytelnikom swoim takiej lekcji: „Nadchodzi czas próby! Musimy dowieść, że naród nasz posiada już tyle oświaty i zrozumienia swoich interesów, że nie da się wziąć na łep pięknych słów urzędników mo-

---

<sup>1)</sup> „Przegląd Wszechpolski“, 1904, III, str. 216 i 217.

<sup>2)</sup> Tamże, r. 1904, III, str. 230.

<sup>3)</sup> „Polak“, r. 1904, na marzec.

skiewskich lub tych Polaków, którzy Moskalowi służą. My z całej duszy życzymy powodzenia Japończykom, a jak największych klęsk Moskwie“.

Nic przeto dziwnego<sup>1)</sup>, że w odpowiedzi na odezwę ks. arcybiskupa warszawskiego, pobudzając wiernych do ofiarności na rzecz wspomnianego przedsięwzięcia, w nocy z 28-go na 29-go marca nieznani sprawcy w kamienie uzbrojeni powybijali wszystkie frontowe okna w mieszkaniach tych osób, które wraz z ks. metropolitą Popielem czyn tak humanitarny i prawdziwie chrześcijański wdrożyły i popierały. Pałac arcybiskupi obroniła policja rosyjska przed podobnym losem. Kto był główną sprężyną tak żakowskiej demonstracji, tego stwierdzić niepodobna. To jednak niezbitym pozostaje pewnikiem, że czyn ten w zupełności odpowiada zasadom „etyki narodowej“, że powyżej przytoczone ustępy z pewnością takiej manifestacji nie przeciwdziałały, raczej ją przygotować były zdolne. Po dokonanym zaś fakcie nie miały organy wszechpolskie, zapomniawszy o zasadzie: *hostes, dum vulnerati, fratres!* a jedynie na „egoizmie“ już nie narodowym ale partyjnym polegając, dość słów nagany dla -- ks. arcybiskupa, iż „nie liczył się z ogólnym nastrojem ludności polskiej w Królestwie wobec wojny. „Przegląd Wszechpolski“, wynosząc wybicie szyb do znaczenia history-

<sup>1)</sup> Patrz. Listy polskie, r. 1904, czerwiec, str. 164.

cznego nieomal faktu, nazywa objaw ten „samorzutnem wystąpieniem patryotycznej ludności przeciwko akcji obrażającej jej uczucia“.

Fakt przytoczony dowodzi, iż stronnictwo demokratyczno-narodowe potępiło akt, nakazany zarówno przez chrześcijaństwo jak i przez kodeks międzynarodowej moralności, zgromiło i spotwarzyło publicznie arcypasterza troskliwego o wieczne i doczesne dobro sobie powierzonych owieczek, a uczyniło to w imię „etyki narodowej“ — na równi z najprzewrotniejszymi żywiołami w naszym kraju.

Zapewnie źle świadczy o społeczeństwie i jego moralności, gdy żywioły „dojrzałe“ takich się dopuszczają wybryków; ale stokroć gorszy stan musi być narodu tego, w którym trawiąca politykomania w szpony swoje pochwyciła młode, a tak łatwo zapalne i miary w uwielbieniu oraz w nienawiści nieznające umysły dzieci. Próbek dostarcza nam organ młodzieży, słynna „Teka“, aż nadto w każdym numerze. Najjaskrawsze światło atoli rzucił na bolesną a tak nader ważną dla całej przyszłości naszej sprawę, protest młodzieży warszawskiej, uczęszczającej do średnich szkół prywatnych, wystosowany na dniu 7 listopada 1906 roku do ks. arcybiskupa warszawskiego, Wincentego Chościak-Popiela. Ks. arcybiskup, który patrząc z wyżyn nauki Chrystusowej, popartej doświadczeniem długiego życia, na tok wypadków bieżących i mierząc zdarzenia codzienne miarą wyższą, wznioślejszą, miał od-

wagę być innego zdania, niż „opinia publiczna“, kontrolująca jego zachowanie się obywatelskie, inaczej oceniał niejedno, niż gazety endeckie, żydowskie i socyalistyczne, zapowiedział wizyty swoje w kilku szkołach prywatnych, aby osobiście zanieść działwie polskiej arcypasterskie swe błogosławieństwo i zarazem naocznie się przekonać o wynikach pracy księży prefektów, czego mu dawniej czynić nie było wolno. Na wiadomość tak niesłychaną zawrzały namiętnością serca młodocianych bojowników za sprawę narodową, namiętnością, podsycaną ustawicznie przez tych, którzy młodzieży każdy prawie czyn arcypasterza przedstawiali w świetle ujemnem, mianując go „złym obywatelem“, „odstępca“, „wrogiem polskości“.

I stała się rzecz potworna! Dzieci spotwarzyły, wygnały ze szkoły, a nawet pogroziły temu, który ośm lat wygnania cierpiał dla wiary i ojczyzny, który pół przeszło wieku jako arcypkapłan i obywatel stawiał czoło wszelkim burzom politycznym, cierpiąc i modląc się za lud swój. Czyż odpowiedzialność za niesłychany ten w dziejach całego chrześcijaństwa wybryk dziecinny kłaść na karb rodziny, szkoły, fatalnych stosunków, niedoświadczenia, czy też przypisać należy tym, którzy dzieci te popychali na pochyłą drogę, a później nie mieli sił dostatecznych, ażeby je zachować od zboczeń tak bolesnych dla Kościoła a tak przykrych dla narodu?! W niczem nie zmniejszając wpływu



nieszczęsnego wszystkich przytoczonych czynników, sądzymy, iż główny zarzut spotyka to stronnictwo, które celowo i świadomie pobudzało młodzież do oporu nawet wbrew woli rodzicielskiej, stwarzając w ten sposób system, zwany pajdokracyą. Stronnictwem tem jest narodowa demokracja. Iż endecja była ową sprężyną zniewalającą nieopatrzna młodź szkolną do strejków wszelkiego rodzaju, tego dowodem chętlive słowa p. Jastrzębca<sup>1)</sup>: „Organizacyi demokratyczno-narodowej udało się walkę, prowadzoną przez młodzież, a więc przez żywioł bardzo zapalny, w dodatku podżegany przez socyalistów do gwałtownych wystąpień, utrzymać w zakreślonych jej granicach“. Niestety! Jastrzębiec zbyt wczesnie zawyrokował, nie przewidując, że endecyi trzeba będzie się cofać i w tym względzie na całej linii i że młodzież odpowie na ten odwrót — obiciem p. Dmowskiego.

Czy protest z dnia 7-go listopada 1906 roku zaważył również na szali powziętego w gronie narodowych demokratów postanowienia, aby zakłady szkolne Macierzy polskiej utrzymać za jakąbądź cenę na stopie bezwyznaniowej, tego na razie dociec nie zdołaliśmy. Nie mogliśmy również i tego stwierdzić dostatecznie, jakie stanowisko zajęły wobec tak niesłychanej napaści naczelne organa stronnictwa, gdyż większość prasy endeckiej raczyła sprawę tak

---

<sup>1)</sup> Patrz: Dziesięciolecie, str. 121.



drażliwą ubić milczeniem. Młodzież sama jednak zdaje się, że nie przebaczyła siwowłosemu arcypasterzowi tak groźnego na jej samowładztwo zamachu. Wynika to z tonu, w jakim „Teka“<sup>1)</sup> obwieszcza czytelnikom swoim nowinę „sromotną“, iż „arcybiskup warszawski ks. Wincenty Popiel za długie lata swej służalczości wobec rządu moskiewskiego, pewnie za niedawne jeszcze czyny, ostrą walkę przeciw strejkowi szkolnemu w Królestwie, otrzymał wreszcie nagrodę: order i Najwyższą hrasmotę“, „książę Kościoła i nasz prawowierny święty, Polak otoczony łaskawością carską“.

\*

\*

\*

Ciekawy dokument pajdokracji warszawskiej, ogółowi zapewne mniej znany, przytaczamy poniżej według brzmienia podanego w „Kraju“ nr. og. zb. 1622 a XXXXV z r. 1906. Zwracamy przytem uwagę na perfidyę tych, którzy tą młodzieżą kierowali, którzy jej encyklikę papieską<sup>2)</sup> po swojemu „tłumaczyli“ a nie uważali za konieczne, aby też młodzież zaznajomić z autentycznym komentarzem do encykliki ogłoszonym w „Przeglądzie Powszechnym“<sup>3)</sup> i innych pisinach katolickich.

<sup>1)</sup> „Teka“, r. 1907, IV i V, str. 142.

<sup>2)</sup> List do biskupów polskich z okazji rewolucyi rosyjskiej i pogromów z r. 1905.

<sup>3)</sup> Por. „Przegląd Powszechny“, r. 1906 styczeń, str. 8. Czytamy tamże: „Kto sobie raz zdał sprawę z tej ogólnej intencji papieża, która góruje nad całym listem, ten też bez trudności zrozumie, jak należy,

„Młodzież prywatnych szkół średnich warszawskich dowiaduje się od swoich przełożonych, że czeka ją wizytacja Waszej Ekscelencyi. Uważając, że taki fakt mógłby poważnie zagrozić bezpieczeństwu i spokojnemu rozwojowi szkół, które młodzież wywalczyła sobie na drodze wielkich ofiar i poświęceń, a dla których Wasza Ekscelencya w ciągu całej akcyi miał tylko słowa bezgranicznego potępienia, my, podpisani na niniejszej odezwie, prosimy Waszą Ekscelencyę o zaniechanie tego zamiaru; w przeciwnym bowiem razie oburzenie młodzieży na Waszą Ekscelencyę mogłoby przybrać formy niepożądane, zakłócić prawidłowy bieg nauk i po raz wtóry Wasza Ekscelencya wyrządziłaby wielką krzywdę nowemu szkolnictwu. Obecnie były Waszej Ekscelencyi nasze dążenia, walki nasze i ofiary Wasza Ekscelencya nazwała „zepsuciem“, „próżniactwem“, „herodowymi czynami“, „błuznierczem pojmowaniem wielkiej i pięknej spuścizny naszej“. Dziś, gdy bodaj w części odnieśliśmy zwycięstwo, gdy tę nową szkołę mamy, niech jej nam Wasza Ekscelencya zjawieniem się swoim nie odbiera i niech przez wywołanie oburzenia młodzieży na niebezpieczeństwo nie naraża, porządku zakładów naszych nie zakłóca, a zоста-

---

wszystkie szczegółowe ustępy papieskiego pisma i nie będzie potrzebował wyjaśnień, że wzmianka n. p. o rzeziach żydów nie do Polski odniesioną być winna“. List papieski w najgorszym tłumaczeniu młodzież warszawska znała; objaśnienia autentycznego nie uwzględniła w niczem.

wi nas naszemu „zepsuciu, próżniactwu i herodowym czynom”. Młodzież nie może zapomnieć rusyfikacyjnych nakazów Waszej Ekscelencyi w zakresie przysięgi. Młodzież wreszcie nie może zapomnieć, że Wasza Ekscelencyja wyjednał i rozszerzył po kraju encyklikę papieską, która wobec całego ucywilizowanego świata oszczerczo oskarżyła naród polski o rzeźnię żydowskie. Jeżeli przeto Wasza Ekscelencyja ujrzy pod niniejszą odezwą liczne podpisy żydowskie, to niechaj wie, że znajdują się one tutaj tylko dla tego, aby świadczyły o tej pięknej harmonii, jaka na ławie szkolnej łączy nas wszystkich wbrew potwornej dyfamacyi. Nie do biskupa zwracamy się, Polacy i żydzi, bo nie o tego w tej chwili idzie, ale do złego obywatela, który kładł się kamieniem w poprzek najszlachetniejszym dążeniom, na „ruch ludzki nie pozwalał”, „martwe znał prawdy”, „nie obaczył cudu”. A wnosząc wszędzie niepokój, rozdział, rozjatrzenie, niezgodę, nawet dyfamację swego ludu, teraz przestąpić chce progi naszego domu, naszej szkoły, on, którego tylko nazwać możemy nieprzyjacielem naszego pokolenia i naszych ideałów. Niech tedy Wasza Ekscelencyja zostawi te nasze szkoły w spokoju, niech kwitną, niech nas kształcą i niechaj tego jedyne go dobytku naszego nieburzy zjawieniem się swoim.

Warszawa, 7 listopada 1906 r.

Tu następuje 747 podpisów młodzieży szkół średnich klas wyższych.

### RÓZDZIAŁ III.

#### **Stronnictwo demokratyczno-narodowe pod zaborem pruskim.**

---

„Świat“ warszawski ogłosił w numerze 35-tym roku 1910 pod nagłówkiem „z wycieczki w Poznańskie“ następujący „wywiad“ poczyniony u p. M. Seydy. „Pierwsze zorganizowało się i to już w maju roku przeszłego, Polskie Towarzystwo demokratyczne, nazywające się dziś Towarzystwem demokratyczno-narodowym.

Powstało ono przez fuzję ludowców starego autoramentu z pod sztandaru „Orędownika“ (dziś w rękach ND.) i „Postępu“ z narodowymi demokratami z obozu „Kuryera Poznańskiego“ i szeregu pism prowincjonalnych. Pierwsi (ludowcy) rekrutują się z warstw średnich, głównie rzemieślniczych i drobno-kupieckich, mniej włościańskich, drudzy przeważnie z kół inteligencji“.

„Tymczasem praktyka polityczna umiejętnego kierownictwa pogłębiła wzajemne zaufanie składanych żywiołów T. N. D., a ostatnie wybory poznańskie rozszerzyły jeszcze podstawy organizacyi przez okres najbardziej wyrobionych czynników ze sfer robotniczych. I rzecz znamienna, nie narodowi demokraci, lecz robotnicy poparci przez ludowców starego autoramentu, zażądali zmiany nazwy: Polskie

Tow. Demokratyczne na Tow. Demokratyczno-Narodowe“.

Cenne to wyznaczenie niechaj nam wolno będzie uzupełnić wskazówkami na kierunek ludowy z pod sztandaru „Orędownika“ i „Postępu“.

„Orędownik“<sup>1)</sup> powstał pierwotnie jako organ klerykalny, protegowany przez ks. Koźmiana i duchowieństwo i szlachtę pomocą bardzo realną. Z czasem spodobało się jednak kierownikowi tegoż pisma Dr. Szymańskiemu, przejść do opozycji, wywiesić hasło własne, utworzyć stronnictwo „łyków“ w przeciwieństwie do szlachty, duchowieństwa i inteligencji. Posypały się niebawem srogie zarzuty pod adresem Koła polskiego; przyszły burdy wiecowe, nastąpiła secesya wyborcza. „Stronnictwo ludowe“<sup>2)</sup> zaprowadzi reformę we wszystkich kierunkach“, wołał „Orędownik“. Pojawiły się napaści na zasłużonych obywateli, na arcybiskupa Stablewskiego, na ks. Wawrzeniaka i Spółki polskie, na M. Jackowskiego i Kółka rolnicze oraz na całe duchowieństwo nasze. „Oświadczenie“ księży miasta Poznania z dnia 6-go września r. 1893-go zarzuca ludowcom a raczej ich organom „Orędownikowi“ i „Postępowi“ „wzbudzanie nieufności“, „rozbijanie społeczeństwa“, „zdradę narodową przy wyborach“, „podkopywanie instytucji

---

<sup>1)</sup> Książka jubileuszowa „Dziennika Poznańskiego“, str. 87.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 77.

i zniesławianie osób zasłużonych“ oraz „przywłaszczanie sobie prawa wyłącznego do opieki nad ludem“, słowem wszystko to, co się mieści w pojęciu „demagogii!“

Więcej jeszcze niż „Orędownik“ miotał się „Postęp“, kierowany przez Stanisława Knapowskiego. Obelgi i pociski tegoż pisma skierowane nie tylko na osobę ks. arcybiskupa i jego senat duchowny, ale godzące nawet w powagę Stolicy apostolskiej, a duchowieństwo nasze porównywające „z faryzeuszami<sup>1)</sup>“, kapłanami żydowskimi, którzy spowodowali ukrzyżowanie Chrystusa, nawet z Lutrem, wreszcie z kilkoma biskupami polskimi, którzy w końcu XVIII wieku dopuścili się „zdrady narodowej“, spowodowały ks. arcybiskupa Stablewskiego do udzielenia temuż organowi ludowców dwukrotnego arcypasterskiego upomnienia. W piśmie swem z dnia 5-go września 1898 roku stwierdza ks. Arcybiskup, że „Postęp“<sup>2)</sup> „wstąpił na drogę odstępstwa od wiary, że artykuły jego są wyrazem nie tylko ducha niekatolickiego, ale wprost wrogiego Kościołowi, że odrywa serca ludu od swego arcypasterza, że prowadzi lud wprost na tory niewiary i odbiera mu to, co pozostało najpiękniejszą spuścizną narodu“.

Drugi „składowy żywioł“ T. N. D. — narodowi demokraci — „z obozu „Kuryera Po-

---

<sup>1)</sup> Książka jubileuszowa, str. 87.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 88.

znańskiego“ to tak zwana „szlachta postępowa“<sup>1)</sup>, t. j. pewna część inteligencji miejskiej i wiejskiej, mianowicie młodszej, wyniańczona przez „Przegląd Wszechpolski“, „Tekę“ i pokrewne pisma, ożywiona przeważnie dobrymi zamiarami, kochająca szczerze ale namiętnie i nieroztropnie swój naród. Większość tych ludzi małe bardzo i niejasne ma pojęcie o zasadach katolicyzmu, zna za to tem lepiej obce Kościołowi kierunki filozoficzne, społeczne i polityczne i w nich jedyny dla ojczyzny widzi ratunek.

Przeszczepiając na grunt Beocyi poznańskiej zasady endecyi, niezapomnieli o tem, że „kler stanowi w społeczeństwie naszym siłę zbyt poważną, a zmuszony do walki, mógłby pociągnąć wielką część ludu za sobą“. Tem się tłumacz, rozmaite ukłony w kierunku duchowieństwa pracującego społecznie, którym podobno stale towarzyszy aż nadto wyraźna niechęć do władzy duchownej.

Pozatem jednak całe T. N. D. w Poznaniu spoczywa na tych samych „podstawowych założeniach“, któreśmy wyżej już wyłuszczyli. Dowodów na to dostarcza nam prasa endecka, a mianowicie: „Kuryer Poznański“, dawniejszy „Goniec“, „Lech“, „Dziennik Berliński“, dawniejszy „Polak“ śląski i inne pisma *minorum gentium*.

---

<sup>1)</sup> Tamże, str. 96.



Prosimy naprzykład porównać wyżej przytoczone ustępy oficjalnego programu endecyi z programowemi orzeczeniami okazowego numeru „Kuryera Poznańskiego“ z dnia 20-go września 1906 r. Czytamy tam: 1. „Cokolwiek naszą energię narodową osłabia i paraliżuje, potępiamy jako zło“. 2. „Cokolwiek naszą energię narodową potęguje i wzmacnia, uważamy za dobro“. 3. „Stoimy na gruncie polityki samodzielności narodowej. Wykonywać należy ją tem ściślej, że system pruski bezwzględny wywiera nacisk na władze kościelne, powodując je do wkraczania w sfery naszych interesów politycznych, do kępowania naszej politycznej swobody, do uprawiania lub przypajmnienia tolerowania germanizacyi w Kościele. Tem bardziej musimy uniezależnić naszą politykę narodową od polityki władz kościelnych, a nawet gdzie tego zachodzi potrzeba, polityce władz kościelnych przeciwstawić“. Pozatem atoli pozostawia organ poznańskich endeków łaskawie władzy duchownej prawo decyzji w sprawach religijnych i wyznaniowych, byleby tylko taż władza się skromnie do tych kwestyi ograniczyła, które endecya za „religijne i wyznaniowe“ ogłosić raczy. Co więcej! „Kurier Poznański“ nawet własną pierś nadstawia, aby pochwycić cios zbyt radykalnego Aliquisa<sup>1)</sup>, pragnącego przeprowadzić bezwzględną operacyę na organizmie polskości

---

<sup>1)</sup> „Kurjer Poznański“ z 30-go września 1906 r.

i amputować wreszcie narośl polityki Kościoła, chociaż i „Kuryer” się na to godzi, iż narośl ta rzeczywiście istnieje i narodowi szkodzi. Przy tej sposobności dowiadujemy się, że to, „co ktokolwiek w głębi duszy myśli, co wierzy a czego nie wierzy, jest jego sprawą prywatną, a dla społeczeństwa rzeczą dość obojętną”, że postępować należy według recepty pewnego pośła, wypowiedzianej niegdyś z mównicy parlamentarnej: „Poczuwamy się”) — niezależnie od naszych osobistych wierzeń i przekonań — do bezwzględного obowiązku stawiania w obronie katolicyzmu na ziemiach polskich”.

Program urzędowy TND. wzywał duchowieństwo do pracy obywatelskiej. To samo czyni „Kuryer Poznański” bez względu na to, że u nas duchowieństwo od dawna ciężar ten wzięło na siebie, że w Poznańskim prawie nie ma dzieła, któregooby nie dokonano bez współudziału księży. Równocześnie jednak endecya stawia zasadę, że zgoda trwała da się utrzymać jedynie w ten sposób, iż duchowieństwo poprzestanie na roli czynnika współdziałającego według rozkazów endeckich. „Gwarancyą<sup>3)</sup> stałej i trwałej zgody duchowieństwa ze społeczeństwem (sic!) i na odwrót winien być charakter współdziału duchowieństwa w naszym życiu publicznem — nie jako hegemonii stanu — lecz jako współpracy obywateli o równych prawach i równych obowiązkach”.

1) Tamże

2) „Kurjer Poznański” z 2-go grudnia 1906.

Wypowiedziawszy raz zasadę, że „cokolwiek w głębi duszy myśli, co wierzy lub nie wierzy, jest rzeczą prywatną“, że demokracja „wymaga karność czynu<sup>1)</sup> w dziedzinie społeczno-politycznej, ale nie oznacza niewoli myśli w dziedzinie duchowo-kulturalnej“, że lepiej jest „mimo niejednego popełnionego głupstwa“ zachować samodzielność, niż powtarzać pacierz „za panem ojcem duchownym“, — kolportuje organ poznańskiej demokracji narodowej w swym „Feljetonie“ rozmaite rozprawy, rojące się od błędów i fałszów<sup>2)</sup> religijnych, wysławia Aleksandra Świętochowskiego<sup>3)</sup> jako szermierza idei w walce o postęp i niezależność myśli, o prawa człowieka, darzy czytelników swoich powieściami, w których nawet apostołowie w innej zupełnie występują roli niż ta, którą lud wierny przywykł widzieć na podstawie badań historycznych, tradycji i nauki Kościoła. Biada zaś temu, któryby pokusił się o zwrócenie uwagi społeczeństwu na to, iż prowadzenie społeczeństwa takimi torami „szeroko pojętej własnej, rodzimej, twórczej kultury duchowej“<sup>4)</sup> sprzeciwia się duchowi Kościoła katolickiego, że to są szlaki liberalizmu i modernizmu, że to jad, co nas będzie pożerać! Posypia się na śmiałka nieogłędnego zarzuty wsteczni-

---

<sup>1)</sup> „Kurjer Poznański“ na 24-go listopada 1908.

<sup>2)</sup> „Stosunek wiary do wiedzy“. „Uczuciowe podstawy społeczeństwa“.

<sup>3)</sup> „Kurjer Poznański“ na 15-go października 1908.

<sup>4)</sup> „Kurjer Poznański“ w artykule: „O naszą kulturę duchową“, z dnia 24-go listopada 1908 roku.

ctwa, nieznajomości społeczeństwa i prądów je nurtujących, uleganie wpływowi pokątnym i t. p. Czytelnicy nasi przypomną sobie zapewne wrzawę, jaka powstała w obozie endecyi poznańskiej z powodu ostrzeżenia wystosowanego do duchowieństwa we wrześniu 1908 r. Była mowa o partyi przewrotowej we Warszawie, a poplecznicy tejże w Poznańskim nazwani zostali niebezpieczniejszymi Kościoła wrogami, niż zewnętrzne zakusy pp. Haarhausenów, Rhodych, Rosenbergów, dążących do sprotestantyzowania katolickich Polaków. Różnica bowiem między katolicyzmem a dzisiejszym protestantyzmem jest zbyt wielka i rażąca, a lud nasz za bardzo do wiary ojców przywiązany, iżby dał się uwieść kusicielom obcym wiarą i narodowością. Łatwiej za to popaść temu ludowi w sidła tych, co przy najbłahszej sposobności — a często nawet i bez tego — trąbią na alarm, jęczą nad zanikiem poczucia narodowego i lamentują nad pomiataniem wolą ludu, a raczej swoją własną.

Uczuł się przedewszystkiem „Kurier Poznański” dotknięty. To też wylał niebawem czarę swego gniewu na tych, co zwiększają zastęp swych dość licznych rzekomo wrogów wśród duchowieństwa, sympatyzujących z „Kurierem“ i jego kierunkiem<sup>1)</sup>.

Ostrzeżenie dowodziło wszakże bardzo dokładnego obeznania z „podstawowemi za-

<sup>1)</sup> „Kurjer Poznański“, nr. 215, r. III.

łożeniami" kierunku wdzierającego się na grunt poznański oraz zadziwiającej przenikliwości co do konsekwencji stąd płynących. Podstaw tych w „zasadzie" zmienić nie zdoła ani też nie może żadnego poszczególnego reprezentanta „sumienie" czy „rozum"; nawet „realne warunki" odnośnego zaboru próżno się silą, aby zatrzeć ogólny i oficjalny charakter stronnictwa demokratyczno-narodowego, które nosi wszystkie znamiona tendencji niekatolickiej i niechrześcijańskiej. Jeśliby tego dokonano, natenczas nie będzie to już narodowa demokracja, ale coś innego, nowego.

Na jeden jeszcze szczegół pragnęlibyśmy zwrócić uwagę czytelnika. Ile razy prasa wszechpolska pisze o interesach Kościoła katolickiego, tyle razy dorzuca do wyrazu tego jakiś objaśniający przymiotnik. I w wspomnianym codopiero wypadku nie inaczej wyraziło się pismo poznańskie. W „wyjaśnieniu" swojem pisze „Kuryer Poznański"<sup>1)</sup>: „Pismo nasze stało, stoi i stać będzie na gruncie katolickim, broniąc r z e c z y w i s t y c h interesów Kościoła przed jego wrogami zewnątrz i wewnątrz społeczeństwa naszego". Któż tedy w danym razie ma zdecydować, czy interes jest „rzeczywistym", czy też urojonym interesem Kościoła? Może redakcja rzeczowej gazety; zwłaszcza gdyby się jakaś partya polityczno-społeczna lub pismo które-

<sup>1)</sup> Tamże.

kolwiek zechciało pokusić o obronę Kościoła i jego interesów „wbrew hierarchii“? Jakaż instancya ma rozstrzygać w razie niezgodności poglądów, która w stosunku Kościoła katolickiego do naszej endecyi dość często i w nader ważnych sprawach zachodzi i zachodzić musi?!

Dopóki nie przeprowadzi się niezbitego dowodu, iż Chrystus Pan, mówiąc: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody ucząc je chować cokolwiekem wam przykazał“ i „jako mnie posłał ojciec, tak ja posyłam was“, nie miał przed sobą apostołów, a przed okiem duszy ich następców biskupów, — ale redaktorów i współpracowników pism endeckich, dopóty trzymać się będziemy niewzruszonej zasady, stwierdzonej powagą Pisma św., przepisami kanonicznymi i praktyką wieków dziewiętnastu, iż jedynie powołanymi rzecznikami interesów Kościoła są prawowici biskupi, w jedności z Ojcem świętym pozostający. Wszelkie postronne ingerencye, bez względu na to, skądby pochodziły, uważać należy za karygodne i grzeszne zamachy na wolność i swobodę Kościoła!

Jaskrawiej niż „Kurier Poznański“ postępują sobie pomniejsze pisma endeckie na prowincyi, szerząc niezaufanie do duszpasterzy i ducha niezgody i niewiary wśród ludu polskiego. Zamachy gnieźnieńskiego „Lecha“ odpierało całe duchowieństwo gnieźnieńskie tak samo, jak księża poznańscy ongi wobec zaczepki samorzutnych „Kurjera Poznańskie-

go“. W swej zaciekłości nie wahał się „Lech“ powtórzyć czytelnikom swoim bezpodstawnej kalumnii na świętego Stanisława przez prof. Wojciechowskiego rzuconej, iż miał być zdrajcą kraju i za zdradę przez śmiałego Bolesława śmiercią skarany został.

Ktoby zaś pragnął zbadać wpływ endecyi na lud górnośląski, temu polecamy dziełko pod tytułem: „Der Beuthener Prozess im Lichte der Wahrheit“<sup>1)</sup>). Jeśli trzecia część tego, co tam podano, na prawdzie polega, natenczas stosunki, jakie tam obecnie zapanowały, były po prostu nieuniknione i nastąpić musiały.

---

<sup>1)</sup> Der Beuthener Prozess im Lichte der Wahrheit. Ein Beitrag zum Verständniss der oberschl. Wirren v. Dr. Stephan, Redakteur der „Gazeta katolicka“.



### **Zakończenie.**

Nie łudzimy się bynajmniej nadzieją, iżbyśmy niewprawnem piórem naszym zdołali skreślić dokładny w zupełności obraz wszystkich a tak licznych sprzeczności, jakie zachodzą między doktrynami wyznawanemi przez stronnictwo demokratyczno-narodowe, a niewzruszonymi prawdami złożonemi w skarbnicy Kościoła katolickiego; pod koniec pracy swej pragniemy dać czytelnikowi streszczenie tego wszystkiego, cośmy sumiennie zebrali, a w poprzednich rozdziałach wyłożyli. Przytem zastrzegamy się ponownie przeciw przypuszczeniu, jakobyśmy w jakibądź sposób krytyce swojej niekompetentnej poddawali polityczną działalność rzeczzonego stronnictwa. Prawdziwy a szczery katolik sam łatwo sobie wyrobić zdoła właściwy sąd o wartości politycznych wytyczni i zasad, które otwarcie godzą w prawidła fundamentalne jego przekonań religijnych. Wszechpolskie tendencye może wiele posiadają naturalnej trzeźwości, może niezwykle pojętnie działają na umysły polskie, łaknące i pragnące swobody i wolności, może niejednym się nawet szczytą sukcesem — trwa-

łym czy chwilowym...! Jednego atoli dążeniom tym stanowczo niedostaje! Brak tam Chrystusa!! Stąd ten chłód grobowy, wiejący z każdej zasady, pustka przerażająca duszę wierzącego Polaka. Ojczyzna, którą w mglistej przyszłości ukazuje nam endecya, to nie ona powabna postać rozciągająca błogosławiające ramiona ponad trzy narody, trzy stolice; to raczej tyran od stóp do głowy w zbroję zakuty, stawiający zwycięzką stopę na piersi zwyciężonych pobratymców! Z takiej Polski nie popłynęłyby na dalekie równiny sarmackie potężne smugi światła, wiary, miłości i cywilizacji prawdziwej; taka Polska może przytuliłaby do piersi swej ludy słowiańskie, ale tylko po to, aby je stłumić, zdusić, zmiażdżyć. Polska endecyi — to Borussia hakatystów et consortium w czerwono-białej sukni.

Że tak w rzeczy samej jest, tego dowodzą niezbiecie „podstawowe założenia stronnictwa“ wszechpolskiego, które sprowadzamy do następujących tez:

1. Dwie istnieją etyki: a) etyka chrześcijańska, dogmatyczna czyli etyka ideałów, która w naszym położeniu nam nie wystarcza; b) etyka narodowa, autonomiczna, etyka egoizmu narodowego czyli idei narodowej, która jedynie zapewnić nam może wywalczenie niepodległości.

2. Etyka narodowa nie uznaje żadnego innego źródła prawa lub moralności prócz woli i interesu społeczeństwa czy narodu.

3. Zbiorowa wola społeczeństwa czy narodu nie ma żadnego zgoła obowiązku, aby brać wzgląd na kogokolwiek przy oznaczaniu swoich celów i wyborze odpowiednich środków. W tej mierze bezwzględnie trzymać się należy zasady pogańskich Rzymian: *Salus rei publicae suprema lex esto!*

4. Z ogólnej a wszechwładnej tej zasady płynie dla każdego członka odnośnej całości ścisły obowiązek, aby zawsze i wszędzie dbać jedynie o dobro własnego społeczeństwa czy narodu z pominięciem wszelkich innych zbiorowisk ludzkich.

5. W razie kolizyi interesów jakichkolwiek przeważa w społeczeństwie interes ogólny, w zawikłaniach zaś międzynarodowych interes własnego narodu, przyczem bezwzględność i gwałt wcale moralnym jest środkiem, byleby tylko prowadził do celu.

6. Nakazów i żądań swoich uzasadniać nie potrzebuje żadne społeczeństwo, żaden naród ani wobec własnych poddanych, ani wobec innych społeczeństw lub narodów. Starczy: *Sic volo, sic iubeo, sit pro ratione voluntas!*

Na takim fundamencie złożonym z zimnych złomków materjalizmu, racjonalizmu, egoizmu potwornego, onnipotencyi państwowej, podtrzymywanym i spojonym nacyonalizmem chorobliwym z domieszką brutalnego szowinizmu, pomalowanym blagą i barwnym frazesem, wznieść się może ostatecznie gmach państwo-

wości hakatystycznej, gdzie pięść i żelazna rękawica niepodzielną roztaczają władzę.

Nigdy jednak na takim podłożu nie wyrośnie świątynia prawdziwej swobody i wolności, nie wzniesie się wolna Polska. Niezrozumiałą zaś wprost pozostaje rzeczą, jak można ideowy konglomerat tego rodzaju ubierać w śnieżny płaszcz nauki Chrystusowej, a powstała stąd karykaturę narzucać Kościołowi katolickiemu jako zaszczytną dekorację.

Kończąc, przypominamy słowa wielkiego naszego króla poetów: „Biada każdemu z nas, ktoby słabość własną, skutek grzechu swego, podawał za konieczny owoc życia chrześcijańskiego, ktoby lichy stan człowieka swego uważał za stan Kościołowi Bożemu właściwy, ktoby na podobieństwo martwości i oschłości swojej zamierzał wszystko wokoło siebie suszyć i mrozić, ufając fałszywie w zabiegi ziemskie, środki ziemskie i w przymierza z potęgą ziemi, od wieków odpornej duchowi Chrystusowemu!”



## TREŚĆ.

---

|  | Str. |
|--|------|
| Wstęp . . . . .  | 5    |
| Rozdział I. Istota, powstanie i dążności stronnictwa demokratyczno-narodowego . . . .                                | 12   |
| Rozdział II. Stronnictwo demokratyczno-narodowe wobec zasad katolickich . . . . .                                    | 19   |
| I. Programy stronnictwa demokratyczno-narodowego . . . . .   | 22   |
| II. Zapatrywania przywódców stronnictwa demokratyczno-narodowego . . . . .   | 40   |
| III. Prasa demokratyczno-narodowa . . . . .  | 61   |
| IV. Niezgodność zasad stronnictwa demokratyczno-narodowego z nauką Kościoła katolickiego w praktycznych przejawach . | 81   |
| Rozdział III. Stronnictwo demokratyczno-narodowe pod zaborem pruskim . . . . .                                       | 92   |
| Zakończenie . . . . .  | 103  |















U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096402882



